



WSZYSTKO CO DOBRE
KIEDYŚ SIĘ KOŃCZY...



UFAĆ ZBYT MOCNO

JADWIGA CZAJKOWSKA

Prószyński i S-ka

JADWIGA CZAJKOWSKA



UFAĆ
ZBYT MOCNO

Prószyński i S-ka

Copyright © Jadwiga Czajkowska 2017

Projekt okładki

Agencja Interaktywna tudio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

© Terry Bidgood/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta

Aleksandra Gajek

Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8097-921-5

Warszawa 2017

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

Niektóre to mają życiowego farta porównywalnego do wygrania miliona dolarów na loterii. Złapały faceta, który jest lepszy niż bajkowa złota rybka, bo spełnia nie tylko trzy, ale absolutnie wszystkie życzenia. Faceta jak ci w harlequinach, filmach o Bondzie albo w naiwnych dziewczęcych marzeniach – który kocha, rozpieszcza, adoruje, zarabia krocie i wyposaża żonę w platynowe karty kredytowe, by gotówka nie kojarzyła jej się z zarabianiem, ale z bankomatem. Jeżeli tylko zechce, ot tak, pod wpływem impulsu, podchodzi, wbija PIN i ma. Może wysypiać się do woli, realizować marzenia, czytać romanse, bujać się od jednego salonu kosmetycznego do drugiego, robić zakupy w najdroższych butikach i oglądać teleturnieje.

Jedną z tych szczęściar jest Blanka, której udało się przenieść do takiego raju na ziemi. Mogłoby się wydawać, że dożyje w nim sędziwego wieku i raz na zawsze zapomni o prawdziwym życiu, pachnącym dżunglą, bo wreszcie, wsparta na silnym męskim ramieniu, nie musi harować na swoją pozycję i utrzymanie.

Jakie to szczęście, że mamy pięciodniowy tydzień pracy, a już za pół godziny zaczyna się weekend. Westchnęłam z ulgą, opierając się wygodniej o zagłówek bajeranckiego fotela, wykonanego na specjalne zamówienie mojego poprzednika, Jacka Solskiego, dyrektora oddziału Elitumlux Banku – prywatnie bratanka jednego z największych akcjonariuszy firmy. Poza fotelem z funkcją bujania i masażu, obitym miękką szarą skórą, poczynił jeszcze kilka modernizacji – wydzielił prywatną toaletę, ze ścianami wyłożonymi włoskim marmurem; biuro, nazywane centrum dowodzenia, wyposażył w sprzęt audiowiz-ualny i chłodzarkę na wino, a ściany ozdobił abstrakcjami nabytymi od – jak twierdził –bardzo wziętego artysty. Jego snobizm przekroczył wszelkie granice. Cóż, wuj sypnął kasą na tak zwane koszty reprezentacyjne, więc zaszalał. Plotki mówią, że Jacuś przychodził do pracy w okolicach dziesiątej, zdejmował krawat, rozpiął kilka górnych guzików śnieżnobiałej koszuli i bujając się w fotelu z kieliszkiem schłodzonego martini, słuchał piosenek Shakiry. Tym sposobem dzielnie znosił niedogodności menedżerskiego życia aż do południa, kiedy to szedł na lancz, z którego nigdy nie zdarzyło mu się wrócić do biura. I chociaż dyrekcja regionu przymykała oczy na jego metody pracy, stanowisko zajmował tylko przez siedem miesięcy. Nie, nie wylali go jak zwykłego pracownika – awansował do centrali za rzekomą wybitną wydajność na stanowisko nicnierobienia, zapewne z dużo wyższą pensją. Wiadomo, jak awans, to awans.

Ja nie miałam żadnych koneksji w świecie bankierstwa i finansów. Po prostu od dnia – a było to w podstawówce – gdy tata zabrał mnie do banku, zamarzyłam, by zostać taką sympatyczną i godną zaufania panią, która uczciwie i kompetentnie doradzi, w jaki sposób zainwestować pieniądze lub jaki wybrać kredyt. Zauroczyła mnie atmosfera tego miejsca – ekscytujący szelest banknotów, granitowe kontuary, wygodne pufy dla klientów i cudowne pomnażanie stanu ich kont. Teraz wiem, że to tylko naiwne mrzonki lat dziecięcych, w których nie ma jeszcze miejsca na stres. Dopiero później przyjdą nieprzespane noce, bo wyniki sprzedażowe nie osiągnęły minimum i trzeba intensywniej wciskać klientom kit w elegancko oświetlonej sali transakcyjnej, naruszając wszelkie zasady tak zwanej etyki zawodowej. Nie mam pojęcia, jak jest w innych bankach, ale w Elitumluxie chciwość i pazerność akcjonariuszy i zarządu wymuszają taki właśnie styl pracy. Jesteś tyle wart, ile sprzedasz – niezależnie od zastosowanych metod – ile nowych kont i lokat założysz, ile umów kredytowych podpiszesz, ile kart kredytowych i innych produktów bankowych wciśniesz zdezorientowanym klientom. Liczy się plan sprzedażowy, notabene wzięty z sufitu. Jeżeli go nie zrealizujesz, znajdziesz się na czarnej liście – dostaniesz kopa i brutalnie wylądujesz na bruku.

Marzenia mają to do siebie, że często się spełniają. Tak było w moim przypadku. Przed siedmioma laty, bez wuja będącego bankowym akcjonariuszem, bez znajomości w kadrach, za to z piątkowym dyplomem magistra bankowości i finansów zdobytym na jednym z prestiżowych uniwersytetów ekonomicznych, pełna optymizmu ruszyłam na podbój świata. Jak się okazało, nie ja jedna. Jestem z rocznika boomu demograficznego, więc absolwentów podobnych kierunków było zatrzęsienie. Jakby tego było mało, trafiłam na feralny okres, gdy wydłużono wiek emerytalny, i bez znajomości załapanie się do pracy w zawodzie graniczyło z cudem. Pomimo sporej konkurencji postanowiłam, że osiągnę cel, i zaczęłam wędrowkę po potencjalnych pracodawcach. Zostawiałam swoje CV w każdym banku, niezależnie od tego, czy był komercyjny, czy spółdzielczy. Miałam przecież dyplom z wyróżnieniem, który uznałam za doskonałą inwestycję w przyszłość. Gdy w końcu zaproszono mnie na rozmowy kwalifikacyjne do Elitumlux Banku i Fivestars Banku, odtańczyłam dziki taniec radości i z euforią obdzwoniłam moje przyjaciółki.

Pierwsza była rozmowa w Elitumluxie. Gdy weszłam do holu i stwierdziłam, że oprócz mnie w poczekalni siedzi prawie czterdzieści osób, milczących i patrzących na siebie wilkiem, moja euforia straciła na mocy. Byłam jedenasta. Serce łomotało mi jak młotem, wszak stałam przed swoją życiową szansą. Skołowana wpatrywałam się, jak każdy z dziesięciu moich poprzedników już po kilku minutach wychodzi z pokoju ze zwieszoną głową. Ciekawiło mnie, jak w tak krótkim czasie można poznać predyspozycje kandydata.

Wreszcie nadeszła moja kolej.

W sali czekało na mnie dwóch regionalnych doradców do spraw personalnych. Poprosili, żebym usiadła. Padło pierwsze pytanie: „Dlaczego chciałaby pani u nas pracować?”. Nie jest źle, ukołysałam nieco nerwy, przecież na ten temat mogę mówić godzinami. Zaczęłam od dziewczęcych marzeń. Zdążyłam powiedzieć zaledwie kilka zdań, gdy przerwał mi starszy facet w rogowych eleganckich okularach:

– Świetnie. A teraz proszę nam przedstawić swoją bazę klientów. – Wskazał na teczkę, w której miałam oryginał dyplomu i certyfikaty językowe, włącznie z dokumentem poświadczającym znajomość podstaw języka migowego.

Zbaraniałam. Przez kilka sekund wpatrywałam się w nich jak idiotka, przekonana, że z tych nerwów coś źle zrozumiałam. Już otwierałam usta, by poprosić o powtórzenie pytania, gdy młodszy, w jedwabnym garniturze z atlasowymi obszyciami, z szerokim uśmiechem powiedział:

– Dziękujemy. Jeżeli nie odezwiemy się do pani w ciągu miesiąca, oznacza to, że wakat młodszego doradcy do spraw obsługi klienta detalicznego zajął ktoś inny.

Wyszłam z sali jak struta flakami na skisłym rosole. Ja również nie wytrzymałam w środku nawet pięciu minut. Co im we mnie nie pasowało? – zastanawiałam się. Ale po chwili doszłam do wniosku, że te pospolite świry same nie wiedzą, czego chcą.

Niestety, w Fivestarze było bardzo podobnie, tyle że rekrutację prowadziły dwie wypindrzone babki w średnim wieku, kandydatów było sześćdziesięciu dwóch, ja wchodziłam jako siódma, a rekrutowali na stanowisko specjalisty do spraw obsługi średnich przedsiębiorstw.

– Komu zamierza pani sprzedawać produkty naszego banku? – zapytała niższa z kobiet, z pietyzmem smarując dłonie cytrynowym kremem z tubki.

– Oczywiście każdemu zainteresowanemu, którego będę obsługiwała – odpowiedziałam płynnie, uznając to za sprawę oczywistą.

– A jak zamierza pani zwabić do banku tegoż zainteresowanego?

– Przecież sami przyjdą, zachęceni reklamami telewizyjnymi, prasowymi, marketingiem szeptanym, kampaniami...

– Owszem – wyższa założyła nogę na nogę – to pierwsza grupa klientów. Drugą, znacznie większą, utworzą klienci z pani prywatnej bazy, prawda? – zapytała złośliwie, uświadamiając mi, o co chodzi.

– Nie mam prywatnej bazy. Mam za to mnóstwo innych atutów – podjęłam próbę ratowania swojej pozycji. – Jestem silnie zmotywowana, komunikatywna, potrafię pracować zespołowo, nawiązywać, a potem utrzymywać pozytywne, długotrwałe relacje...

– To za mało – ucięła pierwsza, po czym ziewnęła i wrzuciła tubkę kremu do czarnej aktówki. – Oczekujemy kogoś, kto się zgłosi z własnym materiałem do

pracy. Bez tego i tak cudów by pani u nas nie działała, a my bylibyśmy tylko rozczarowani. Nie będę owijała w bawełnę: nie jesteśmy zainteresowani pani kandydaturą. Daję głowę, że za drzwiami jest ktoś, kto dysponuje bazą, być może nawet ją kupił albo wykradł ze swojej poprzedniej firmy – mówiła bez emocji, skreślając przy tym czerwonym markerem moje nazwisko z listy kandydatów. – Kwestie moralne nie mają dla nas znaczenia. Dziękujemy.

Najpierw dwa świry, teraz dwie wariatki, cóż, tak się trafiło. Ale nie dam się znokautować, postanowiłam, opuszczając bank dziarskim krokiem. Przecież moje CV jest jeszcze w kadrach kilkunastu innych banków.

Niestety, w kolejnych dniach nikt nie padł przede mną na kolana, błagając o przyjęcie posady. Przeżywałam trudny okres. Nie dość, że moje ambitne plany zostały tak brutalnie zweryfikowane przez rzeczywistość, to jeszcze zmarła Jusia – moja ukochana ciocia, siostra mojego ojca. Ciocia Jusia nigdy nie założyła rodziny, a w testamencie poleciła, by po jej śmierci tata sprzedał dom oraz wszystkie ruchomości i kupił mnie i mojej siostrze Iwonie mieszkania, a ewentualną nadwyżkę przekazał nam w gotówce. Moja mama w ważnych i nieważnych życiowych sprawach też wyręcza się mężem, który cały czas ją obsługuje, jakby była kaleką – podaje kawki, obiadki, tabletki na ból głowy, przygotowuje kąpiel w pianie. Ciągle czekam, kiedy ojciec w końcu tupnie nogą i wykrzyczy, że najwyższy czas na samodzielność. Ale pomimo że są małżeństwem od trzydziestu czterech lat, jak dotąd nic nie zwiastowało rewolucji.

Dziwnym trafem dzień po pogrzebie mama odzyskała żywotność i ochoczo zastąpiła tatę w wypełnieniu ostatniej woli swojej, skądinąd nie lubianej, szwagierki. Mama, od zawsze faworyzująca młodszą córeczkę, i tym razem zrozumiała sprawiedliwość po swojemu. Iwona kupiła czteropokojowe mieszkanie z widokiem na park w solidnym trzykondygnacyjnym budynku w luksusowej dzielnicy, a mi – dwupokojowe w betonowym blokowisku, oficjalnie nazwanym Słonecznym, a mniej oficjalnie, za to bardziej trafnie, Koszmarkiem, gdyż słyneło z nieustannych interwencji służb porządkowych. Nie dorzuciła mi też ani grosza gotówką. Gdy zapytałam, dlaczego hołduje szemranej moralności, z rozbrajającym uśmiechem odparła, że Iwona nie przywykła do rozpychania się łokciami, więc należą jej się granty. Miałam się sądzić z własną matką? Dałam sobie spokój, do forowania siostry byłam przyzwyczajona. Tata pewnie swoje myślał, ale był tak misiowaty życiowo, że nie odważył się zgłosić weta. Tak czy inaczej, miałam własne mieszkanie i chciałam sama zapracować na jego utrzymanie.

Żeby nie wisieć na kieszeni rodziców, pracowałam w kawiarni jako kelnerka i pomoc kuchenna, a w wolnym czasie szukałam prawdziwej pracy. W rozmowach telefonicznych, jeśli takie były preferowane, padałam już na pierwszym pytaniu – tym o doświadczenie. Okazało się, że bez doświadczenia jestem ostatnim barachłem i nie zasługuję na to, żeby poświęcić mi czas.

Czułam się jak żółw przewrócony na plecy, bezradnie machający nóżkami. Zaczęłam już rozważać opcję zmiany branży, w końcu wszelkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że to nieuniknione, ale po pięciu tygodniach, gdy na zapleczu kafejki nakładałam lody do pucharków, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu wyświetliła się nazwa przypisana do numeru: „Elitumlux Bank”, a mnie w ułamku sekundy przepełniła euforia. A jednak! Młodość i świeże spojrzenie górą! Co tam doświadczenie i rutyna! Ochłonęłam, gdy kadrowa, głosem tak przemęczonym, jakby dopiero co zrzuciła szuflą do piwnicy dwa wagony węgla, zapytała, czy mam ochotę objąć stanowisko referenta kancelaryjnego. Lepszy rydz niż nic, stwierdziłam.

Ze dwa dni otwierałam korespondencję, odnotowywałam ją w specjalnym dzienniku i segregowałam w teczce, którą potem zanosłam do sekretarki dyrektora; w międzyczasie przyjmowałam pisma do wysyłki, stawiałam na nich pieczętki, a na koniec dnia brałam pod pachę dużą torbę, szłam na pocztę, stałam w kolejce i wszystko wysyłałam. Czynności te nijak nie przystawały do mojego wykształcenia, a co dopiero do zawodowych aspiracji.

Prawie miesiąc cierpiałam katusze, siedząc samotnie w dusznej, nieklimatyzowanej kanciapie na tyłach banku. Czułam się jak więzień. Człowiek cierpiący na klaustrofobię nie wytrzymałby tam ani dnia. Nie dało się nawet wyjrzeć przez okno, bo był tam tylko umieszczony pod sufitem lufcik.

Pewnego dnia, kiedy bez entuzjazmu przykładałam pieczętki na monitach o niedozwolonym przekroczeniu salda, rozdzwonił się prawie nieużywany służbowy telefon. Kadrowa poinformowała mnie, że jedna z pracownic udaje się do szpitala, a ja mam ją zastąpić i obsługiwać klientów niebiznesowych. Coraz lepiej, dopingowałam się. Pokażę im, co potrafię!

Wychodząc z kancelarii o osiemnastej, spojrzałam na podrapane biurko, pudełko ze spinaczami, zszywacz i dziurkacz i przysięgłam sobie, że już nigdy tam nie wrócę. Czułam się jak rozbitek podczas sztormu, któremu rzucono koło ratunkowe. Zdoła podплыnąć i je chwycić – będzie uratowany, nie uda mu się – pójdzie na dno.

Nazajutrz posadzono mnie w sali transakcyjnej. Po raz pierwszy od kilku tygodni poczułam przestrzeń i powiew klimatyzowanego, pachnącego luksusem i finansami powietrza. Moją pierwszą klientką – nie zapomnę jej do końca życia – była emerytka z ewidentną niewydolnością serca. Ciężko opadła na krzesło ustawione naprzeciwko mojego biurka, przez kilka minut sapała i wzdychała, starając się wyrównać oddech, a ja, korzystając z jej milczenia, jak nakręcona namawiałam ją do założenia promocyjnej lokaty jesiennej. Rzetelnie tłumaczyłam zasady dziennej kapitalizacji, opowiadałam o wartościach progowych oprocentowania, wielkości depozytów gwarantowanych i konsekwencjach wycofania środków przed upływem zapadalności. Kobieta ocierała chusteczką

spoczone, pomarszczone czoło. Zrobiłam pauzę, pewna, że bez wahania chwyci przynętę, urzeczona moją znajomością tematu, ale ona poinformowała mnie, że chce pobrać ze swojego rachunku trzysta złotych, bo nie ufa tym maszynom do wydawania pieniędzy, a z tematem lokaty musi się przespać, bo co nagle, to po diable. Rozczarowana patrzyłam, jak starannie wkłada do torebki trzy stówki i człapie w kierunku wyjścia.

Tamtego dnia założyłam tylko jedną lokatę – studentowi, który zainwestował zarobione w czasie wakacji dwa tysiące. W sumie nie musiałam się wysilać, bo od progu wiedział, po co przyszedł.

– Dwa tysiące na pół roku, zmienne oprocentowanie – powiedział rzeczowo, a potem z ironicznym uśmiechem przyglądał się, jak z wypiekami na twarzy podaję mu do podpisu mój pierwszy sprzedany produkt bankowy.

Po ośmiu godzinach zostałam wezwana na dyrektorski dywanik. Czekałam w sekretariacie, a że drzwi do gabinetu były uchylone, słyszałam każde słowo.

– Czy pani myśli, że na pani widok dostaję orgazmu?! – wydierał się dyrektor do jakiejś biedaczki, a ja miałam ochotę uciec. – Niech pani idzie pod latarnię, może skusi się ktoś ślepy i sprzeda pani kredyt! Powiem krótko: jest pani na czarnej liście. Czekam tydzień. Jeżeli sprzedaż się nie zwiększy, wylatuje pani na bruk. Następna!

Minęłam w przejściu bladą jak ściana kobietę. Rozpoznałam ją – sprzedawała kredyty samochodowe. Na moje oko niewiele brakowało jej do emerytury.

Po raz pierwszy miałam sposobność przyjrzeć się dyrektorowi z bliska. Przemięły, elegancki, zrównoważony, budzący zaufanie starszy pan o srebrzących się skroniach, któremu bez wahania powierzysz swoje pieniądze, przez lata ciułane w skarpetce. Pozory jednak mylą.

– A, to ty, młoda. Ciekaw byłem, jak wyglądasz. – Otaksował mnie od dołu do góry. Miałam nadzieję, że nie zauważył trzęsących się kolan. Rozparł się wygodnie na fotelu. – Noo... – Spojrzał na wielki ekran zawieszony na ścianie po prawej stronie biurka. Wtedy dowiedziałam się o istnieniu tablicy sprzedażowej, wzorowanej na elektronicznej planszy wyników sportowych. Zerknęłam. W pierwszej rubryce pozycja, w drugiej nazwisko, w trzeciej liczba punktów podświetlona na czerwono lub zielono. Szef zauważył moje zainteresowanie. – Kto jest ciekawy, niech wsadzi nos do kawy – skwitował i zarechotał. – Ale niech ci będzie, łaskawie wytłumaczę ci funkcje tej zabaweczki. Komputer na bieżąco przelicza wyniki sprzedażowe każdego pracownika na punkciki. Na zielono świecą ci, którzy mieli dziś odpowiednie obroty, czyli pracowite bankowe pszczołki. Ale większość to leniwe oposy, wiesz, takie szcurki zaczepione ogonkami o drzewo, które drzemią całymi dniami. Ty jesteś w stadzie oposów przywódcą, bo wylądowałaś na samym dole tablicy. Nie rób sobie, mała, nadziei. Wszystko

wskazuje na to, że jesteś do bani. Nie będę trzymał cię tu na siłę. – Przeniósł na mnie pełen kpiny wzrok. – Nie lubię blondynek, a szczególnie długowłosych. Gdybyś była ruda, z piegami, zielonymi oczami, wiesz, taka seksi-fleksi, to może, może...

Kiedy wracałam tego dnia z pracy, przeklinając pod nosem tego oblecha, poprzysięgam sobie, że nie dam się znokautować i udowodnię, ile jestem warta. Nie ma zmiłuj. Muszę zdobyć doświadczenie. A do tego celu wiodła tylko jedna droga – muszę zacząć sprzedawać te cholerne produkty bankowe. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Zmusiłam swoje szare komórki do pracy na pełnych obrotach. Jak się okazało – skutecznie. Pomyślałam o Robercie, koledze mamy z czasów licealnych, legendzie w branży nieruchomości. Potrafi sprzedać wszystko, szybko i drogo. Wyciągnęłam komórkę, skryłam się przed porywistym wiatrem za murkiem przystanku i wykonałam najważniejszy telefon w moim życiu zawodowym. Umówiliśmy się na wieczór.

Żona Roberta podała nam herbatę i zostawiła nas samych w salonie wielkości boiska do piłki nożnej, wyposażonym w złoczone meble na miarę królowej angielskiej. Gdy wychodziła, popatrzyłam na nią z zazdrością. Ta to się w życiu urządziła. Złapała dobrze zarabiającego męża i nie ma zielonego pojęcia o dżungli życia, a tym bardziej o zaporowych planach sprzedażowych. Ot, kolejna niepracująca zawodowo żona biznesmena. Niektóre to mają szczęście. Westchnęłam ciężko i zaczęłam rozkładać na blacie ulotki, regulaminy i wzory umów. On jednak zgarnął je zdecydowanym ruchem, zrzucił na podłogę i zaczął mówić. Takiej lekcji nie udzieliliby mi żaden uniwersytet świata. Zero teorii, maksimum doświadczenia. Na początku odgrywaliśmy scenki. Taka niby-zabawa: ja grałam bankierkę, on klienta. Nie szło gładko, bo Robert co chwilę przerywał, żeby wskazać mi błędy. Nie ta mina, nie ta postawa, nie ten ton głosu, zbyt długie gładzenie o produkcie, zbyt duża precyzja, przedstawianie kosztów faktycznych, brak komplementu rzuconego ot tak, dla rozładowania napięcia. Potem zamieniliśmy się rolami. Ja wszelkimi sposobami wymigiwałam się od założenia lokaty, a on zbijał mnie z tropu. I tak do późnej nocy.

– Pamiętaj, Blanka, sprzedajesz korzyści. Jesteś dyrygentem, a klient klarncistą, choć musisz go przekonać, że jest odwrotnie – podsumował, odprowadzając mnie do drzwi. – Mówisz tylko to, co chce usłyszeć. Na czas pracy musisz wyłączyć sumienie, tak jak nocą wyłączasz światło w sypialni. Takie są realia. Gdybyś mnie jeszcze potrzebowała, to przychodź. Robię to dla twojej mamy. Kochałem się w niej w liceum – szepnął, rozglądając się, czy żona nie podsłuchuje. – Mogłabyś być moją córką.

Przez następne dni ściśle trzymałam się rad i wskazówek mojego sprzedażowego guru. Nabywałam niezbędnego na rynku doświadczenia; prezentując produkt, tuszowałam jego wady. Męczył mnie potężny kac moralny, ale starałam się go łagodzić nawracającą jak koszmar senny wizją utknięcia na amen w kanciapie. Nie sprzedawałam już produktów bankowych, ale marzenia o zyskach z inwestycji w lokaty, które realnie i tak były oprocentowane poniżej inflacji, czyli sprzedawałam straty. Pracownica, którą zastępowałam, w wyniku powikłań operacyjnych szykowała się do przejścia na rentę, więc miałam pełne pole do popisu. Stawałam się najlepsza w oddziale w kategorii sprzedaż kredytów i lokat. Dyrektor po zakończeniu każdego kwartału robił „przemeblowanie”. Zwalniał pięć osób z najslabszymi wynikami sprzedażowymi, a wakaty obsadzał świeżą krwią. Atmosfera psychozy sprawiała, że pracowałam z niemiłosiernie ściśniętym żołądkiem, ale moja pozycja, również kosztem dobrowolnej pracy wieczorami i w weekendy, była coraz silniejsza.

Wspierali mnie przyjaciele, a przede wszystkim Julia – ginekolożka. Wśród lekarzy panowała wtedy moda na przenoszenie się z mieszkań do domów poza miasto. Nazbierało się kilkanaście osób, a to dało mi możliwość wynegocjowania niższych kosztów i oprocentowania kredytów. Byli zadowoleni i polecali innym. Pomogła też babcia Wandzia, przewodnicząca klubu seniora. Zaprosiła mnie na jedno ze spotkań klubu. Zachęcałam do zakładania u nas kont, przekonywałam do korzystania z bankowości internetowej i kart płatniczych. Wiele z pań miało konta na Facebooku, Twitterze, niektóre pisały blogi – na przekór stereotypowi babci w fartuszkach, z koczkiem i w okularach, bynajmniej nie kulinarne; śmigały po sieci, jakby urodziły się z myszką w dłoni. Pozostałe cierpliwie uczyłam logowania, potwierdzania przelewów i sprawdzania salda. Już nigdy nie zostałam wezwana na dywanik. Każdy tyrał, jak mógł. Pułap planów sprzedażowych, w żargonie bankowym zwanych targetami, był tak zawyżony, że nie zawsze udawało mi się go osiągnąć, ale i tak zwykle byłam na szczycie tabeli.

Po dwóch latach awansowałam do obsługi klientów korporacyjnych. Wbrew pozorom oni również nie spadają z nieba. Wykonywałam setki tak zwanych *cold call* – telefonów do niespodziewających się kontaktów prezesów, dyrektorów i głównych księgowych z propozycją współpracy. To nie była bułka z masłem, bo wcześniej musiałam przedrzeć się przez sekretarki, specjalnie instruowane, by nie łączyć takich rozmów. Owszem, na początku byłam stremowana, ale z każdą kolejną próbą się uodporniałam. Statystyka robi swoje, klientów przybywało. Dyrektor regularnie zwoływał zebrania pod hasłem: „analiza problemów sprzedażowych”. Siedzieliśmy wzdłuż długiego stołu konferencyjnego, szarzy i zgarbieni, a on krążył wokół i prowadził monolog mniej więcej w ten deseń:

– Nie twierdzą, że jest źle. Jest fatalnie. Nasz oddział to nie przytułek dla

nieudaczników i nie łudźcie się, że dotrwanie na tej ciepłutkiej posadce do emeryturki. Ponad dziewięćdziesiąt procent z was to nieudolne pataluchy, które w każdej chwili mogą zostać odstrzelone. Centrala przygotowała wam cacy produkty, a wy macie je sprzedawać i już! Nie róbcie ze mnie jelenia i nie próbujcie wmawiać, że nie ma komu. Sam nie wiem, czy to horror, czy komedia, ale jednego jestem stuprocentowo pewny – macie wybujałe ego i małe mózgi!

Mnie na szczęście się nie czepiał, bo dwoiłam się i troiłam, by utrzymać standardy. Wchodziłam do jego gabinetu tylko w ważnych sprawach, przekraczających moje kompetencje. Rozmowy były krótkie i rzeczowe. O dziwo, nawet wskazywał mi wtedy krzesło, bym usiadła. Jednak coraz częściej czułam zwątpienie: jak długo wytrzymam w tym kieracie?

Minął piąty rok mojej pracy w Elitumluxie, a ja powoli rozważałam złożenie aplikacji w innych bankach, uznając swoje doświadczenie za wystarczające. I wtedy ogłoszono konkurs na dyrektora naszego kulejącego oddziału. Postanowiłam spróbować. To mogło przynieść same korzyści. Po pierwsze, wreszcie się wyrwę ze szponów tego chama, po drugie, przestaną mnie obchodzić targety, po trzecie, odkuję się finansowo. Kandydatów, a raczej desperatów, nie do końca spełniających kryteria, było tylko czterech – poza mną trzech facetów z zewnątrz. Byłam najmłodsza. Wydawało się, że nie mam szans, ale moją kandydaturę – nie wiedzieć czemu – poparł dyrektor sprzedażowy regionu. Wygrałam.

Oszołomiona sukcesem, zaprosiłam przyjaciół na imprezę do fantastycznego klubu Romans Pigmaliona. Wydałam całą pensję, ale było warto. Świetny klimat, drinki, szaleństwo, w którym Zuzia, moja przyjaciółka, w ekstatycznych podskokach skrzyła staw skokowy. Ginekolożka Jula przystąpiła do udzielania jej pierwszej pomocy. Wezwała barmana, który aż nazbyt ochoczo robił naszej minimalistycznie ubranej Zuzi okładę z lodu, i kelnera, który z równym zapalem masował – tyle że nie tę nogę. Ja z kolei pobiegłam do didżeja i zamówiłam dedykację. Po chwili utworzyliśmy chwiejny krąg wokół Zuzi i jej wybawicieli i śpiewaliśmy wraz z Adriano Celentano: *Susanna, Susanna, I'm crazy loving you...*

W pewnym momencie zauważyłam, że apetyczny facet po przeciwległej stronie sali patrzy na mnie łakomie. Kiedy tylko Zuzia po cudownym ozdrowieniu, a raczej pod wpływem endorfin, ruszyła w tany, on do białego rana, ku zazdrości moich koleżanek, nie odstępował mnie na krok. Ruszając się jak instruktor tańca, na parkiecie prezentował się fenomenalnie. Nad ranem zapisałam mu na nadgarstku numer mojej komórki.

Zadzwoił około południa, gdy gigantycznie skacowana przemywałam twarz zimną wodą. Powiedziałam, że nie możemy się spotkać, bo przez moją głowę przemaszerowuje właśnie pluton wojska, ale on się uparł, że potrafi postawić mnie

na nogi. Nie miałam ochoty go widzieć w obawie, że czar nocy pryśnie. Wiadomo przecież, że na rauszu i w blasku dyskotekowych świateł prawie w każdym facecie widzi się supermana. Ale w końcu uległam.

Nie minęło pół godziny, gdy stanął w moim progu. Wysoki, nieziemsko przystojny, wysportowany blondyn o brązowych oczach. W świetle dnia prezentował się jeszcze lepiej. Wręczył mi bukiet kwiatów, zebranych ponoć na działce rodziców, a potem wspomógł sokiem pomidorowym i aspiryną, które też miał na podorzędziu.

– Będę cię nazywał Dziuba – stwierdził. – To bardziej zmysłowe niż Blanka.

Wtedy został do wieczora. Później już co tydzień zostawał od piątkowego popołudnia do poniedziałkowego poranka. Mój Iwo, z fasady facet marzenie, jak z reklamy kurortu na Hawajach, w dodatku dowcipny i elokwentny. Kiedyś zwierzył mi się, że ma „niemoc do nauki” i jest na życiowym rozdrożu. Zawiesił studia na kierunku etyka i pracuje jako przedstawiciel handlowy w firmie sprzątającej. Gdy zapytałam, na czym polega to zajęcie, pokrętnie objaśnił, że na nawiązywaniu pozytywnych relacji biznesowych, co – jak się potem okazało – przekładało się na szukanie chętnych na usługi porządkowe. Po kilku tygodniach zdopingowałam go do wznowienia nauki o „życiowym fair play”, jak nazywał etykę, i załatwiłam mu lepszą pracę, co przy jego wykształceniu było nie lada wyzwaniem. Uruchomiłam wszelkie znajomości – począwszy od koleżanek z piaskownicy, poprzez dalekich kuzynów, na kontaktach nawiązanych w pracy skończywszy. W końcu się udało. Specjalnie dla niego znajomy dyrektor firmy farmaceutycznej utworzył stanowisko konsultanta do spraw rekrutacji w rewanżu za pomoc w opracowaniu strategii kredytowej. Wprawdzie Iwo nie zarabiał u niego kokosów, ale miał stałą, ciepłą posadkę, która dawała mu względną stabilizację. To jednak nie wystarczyło, by zostać finansowym filarem rodziny, o której założeniu marzył. Nalegał na ślub – nawet nie w formie subtelnych aluzji, ale całkiem wprost.

– Szaleję na twoim punkcie, Dziuba – powtarzał kilka razy dziennie. – Wyjdź za mnie.

– Nie ma problemu – odpowiadałam niezmiennie. – Tylko zdradź mi, jak chcesz utrzymać rodzinę? Skończ chociaż studia podyplomowe, zdobądź konkretny zawód. To przecież kluczowa sprawa w życiu.

– Po co? – śmiał się. – Przecież mam ciebie! Jesteś silną kobietą, kosisz sporą kasę, a ja wolę żyć w twoim cieniu. Jak się pobierzemy i urodzisz, pójdę na tacierzyński, to teraz trendy. Poza tym musimy koniecznie kupić domek pod miastem lub chociażby segment w szeregówce, bo mi duszno w tej norce. Trzeba ją sprzedać, dołożyć i kupić coś przyzwoitego.

– Świetny plan. A co zrobisz po odchowaniu dziecka?

– Ha, ha, to, co najprzyjemniejsze! Następne!

– Wow! Aleś ty sprytny! – komplementowałam, robiąc jędzowatą minę. – A propos domu, może zakaszysz rękawy i coś zarobisz? Wspólnymi siłami będzie łatwiej.

– Coś ty, Dziuba! To ty jesteś mistrzynią w robieniu szmalu, ja jakiś niedzisiejszy jestem. Może i założyłbym jakiś biznes, ale nie mam ochoty mieć łatki pieprzonego wyzyskiwacza – przekonywał z rozbajającym uśmiechem. – To nieetyczne. Preferuję inne wartości, wewnątrz człowieka jest dla mnie priorytetem.

– Przestań chrzanić farmazony. Mam nadzieję, że w końcu dorośniesz i zrozumiesz, że męską rzeczą jest zarabiać, a kobiecą pachnieć kupionymi przez męża perfumami.

Niestety, nic nie zapowiadało, żeby Iwo miał dorosnąć, ale i tak sporo koleżanek mi go zazdrościło. W dizajnerskich ciuchach, na które wydawał całą wypłatę, brylował na imprezach. Oczytany, błyskotliwy i elokwentny, potrafił gładko wypowiedzieć się na każdy temat, błyszcząc równym, białym uzębieniem. Przy tym nieustannie mnie adorował i nawet kiedy byłam totalnie rozdrażniona, potrafił mnie wyluzować i rozśmieszyć.

Właśnie kilka dni po tym, jak przyszedł wyciągnąć mnie z kaca, o siódmej rano usiadłam na bajeranckim fotelu dyrektora rozłożonego na łopatki oddziału Elitumluxu. Sekundę później zadzwonił Kamil, dyrektor do spraw sprzedaży w regionie, ten sam, który poparł moją kandydaturę. Zaczęło się całkiem niewinnie. Zaproponował, żebyśmy przeszli na „ty”, zapytał, jak mi się podoba gabinet i czy u nas też pada. To będzie fajna współpraca, pomyślałam, nie zdając sobie sprawy z tego, że ten sam człowiek już niedługo będzie podnosił mój poziom adrenaliny do wartości rekordowych, systematycznie rujnując stan mojej odporności psychicznej. Po kurtuazyjnym wstępie Kamil, wciąż przyjaznym tonem, stanowczo kontrastującym z treścią słów, powiedział:

– Blanka, masz we mnie przyjaciela, a przyjaciele mówią sobie bez ogródek. Oddział jest w trakcie procedury naprawczej, a ty jesteś warta tyle, co wypracowany przez twoich podwładnych target. Ale nie martw się, czasu masz mnóstwo, bo aż trzy miesiące. Oddział musi przynosić dochód. He, he – zarechotał. – Jest takie głupie powiedzenie: firmę tworzą ludzie, a nie budynki. Wiesz, takie pieprzenie o wiedzy i doświadczeniu. Ale w filozofii Elitumluxu to kompletna bzdura. U nas liczy się target i obowiązuje proste równanie matematyczne. Masz target – jesteś z nami, nie masz – szlifujesz bruk. I mam tu na myśli nie tylko leni, którym płacimy za nic, ale też ciebie, moja droga przyjaciółko.

Upłynęło kilka chwil, zanim doszłam do siebie, sącząc podaną mi przez sekretarkę kawę. Spokój, tylko spokój, powtarzałam jak mantrę. Zawsze sobie radzę. Tym razem nie będzie inaczej. Potem przystąpiłam do opracowania planu naprawczego. Prostego i genialnego, jak mniemałam. Przecież nikomu nie zależy na utracie pracy, musimy się skonsolidować, musimy stanowić drużynę

ukierunkowaną na wyniki. Wzywałam pracowników po kolei i każdemu z osobna cierpliwie tłumaczyłam, że jesteśmy postawieni pod ścianą, więc bardzo proszę o wyteżoną pracę, bo to jedyna droga do ocalenia oddziału. Mamy szansę i musimy ją wykorzystać.

Byłam przekonana, że odwaliałam kawał dobrej roboty, ale jakoś nazajutrz nikt nie rzucił się do słuchawki, by ponękać chociaż klientów mających u nas rachunek osobisty o założenie promocyjnej lokaty. Z doświadczenia wiedziałam, że takie propozycje wkurzają wielu, którzy są na permanentnym finansowym minusie, ale statystyki robią swoje i przynajmniej część dałaby się złapać na tę przynętę. Przerazona chodziłam w kółko po sali transakcyjnej. Nikt, ale to absolutnie nikt nie proponował obsługiwanemu klientowi zakupu nowego produktu. Podobnie jak w gabinecie mojego poprzedniego szefa, na ścianie obok biurka zawieszona była tablica sprzedażowa. Wyniki wskazywały na rychłą agonię. Sekretarka, w stroju odpowiednim na imprezę w remizie strażackiej, od rana piłowała paznokcie. A we mnie się gotowało. Cholera, w co ja się wpakowałam!

Ostentacyjnie stanęłam przed kobietą, która była moją prawą ręką – przynajmniej z założenia. Podniosła na mnie przymulony wzrok i zapytała, czy moim zdaniem lepsze są pilniki szklane czy metalowe. Myślałam, że eksploduję. Spokój, tylko spokój... Stanowczo poprosiłam, by wrzuciła pilnik do szuflady i z pytaniami tej natury zwracała się do manikiurzystki – popołudniami – a od jutra przychodziła ubrana zgodnie z bankowym dress code'em, czyli w ciemnych spodniach lub spódnicy i białej bluzce. Nieskrępowana próbowała obrócić wszystko w żart, ale nie dałam się wciągnąć w jej gierki. Poprosiłam ją do swojego gabinetu, usiadłam za biurkiem, a ona naprzeciwko – to pomogło mi utrzymać dystans. Zapytałam, kto kierował oddziałem, zanim rządy objął bratanek akcjonariusza. Niby proste pytanie, ale ona, obracając w dłoniach długopis, zrobiła minę, jakby w głowie miała pustkę. Po chwili zaskoczyła i wymieniła nieznane mi nazwisko, dodając z uszczypliwym uśmiechem, że sama pracuje tu od początku założenia oddziału, czyli od czterech lat, a dyrektorzy zmieniają się tak często, jak jej kochankowie, czyli średnio raz na kwartał.

– To sami protegowani największych udziałowców – stwierdziła, patrząc na mnie wymownie. – A pracownicy wytrzymują próbę czasu i cieszą się ze zmian, bo stagnacja w pracy jest demobilizująca.

Ten jej wykrzywiony półuśmieszek, ta nonszalancja, gdy spokojnie zakładała nogę na nogę (notabene kończyny dolne miała szalenie zgrabne), doprowadzały mnie do stanu wrzenia, ale nie dawałam tego po sobie poznać. Szanuję innych, ale jeżeli nie czuję wzajemności, potrafię odplacić pięknym za nadobne.

– Właśnie – przyznałam, odwdzięczając się takim samym uśmiechem. – Czas na zmiany. Zauważyłam, że ostatnio się pani nudzi, a przecież pani też może

dołożyć swoją cegiełkę do realizacji planu sprzedażowego. Jutro, ubrana zgodnie z biznesowym dress code'em, wyjdzie pani przed biurowiec i rozda przechodniom troszkę ulotek zachęcających do wzięcia kredytu samochodowego. – Wyciągnęłam z szuflady ryzę broszur. – Głęboko wierzę w pani zdolności perswazyjne.

Przez chwilę tylko patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Potem, nie bez oporu, wzięła ulotki i wyszła. Gdybym się ugięła, za chwilę wiedzieliby o tym wszyscy i byłoby po mnie. Trudno, wyszłam na wredną babę, ale każdy musi robić swoje. A do tego pracownicy nie byli przyzwyczajeni. Ciągłe zmiany dyrektorów wpoły im zasadę: wy płaciecie, a my udajemy, że pracujemy. Stwierdziłam, że tylko spokój i konsekwencja mogą nas uratować.

Dzień później, z samego rana, zwołałam zebranie pracowników sprzedażowych, czyli opiekunów klientów, doradców leasingowych, kredytowych i innych pracujących na linii ognia. To głównie od nich zależało być albo nie być tego oddziału. Rozumiałam ich – byłam jedną z nich – ale w żaden sposób nie akceptowałam pozorowania pracy i czekania na kolejną zmianę w strukturach rządzących. Oficjalnie poinformowałam o wprowadzeniu rygorystycznego planu naprawczego i ukierunkowaniu na realizowanie planu sprzedażowego. Wyjaśniłam, że w handlu i instytucjach finansowych to normalne wymagania. Sposobów pozyskiwania klientów jest mnóstwo: rodzina, przyjaciele, znajomi, nawet Facebook czy inne portale społecznościowe. Oczywiście nie można zapominać o stałych klientach. Trzeba ich szanować i utrzymywać z nimi przyjazne relacje, inaczej uciekną do konkurencji. Zadowolony klient jest doskonałym źródłem tak zwanej dosprzedaży i pozyskania następnych klientów. Przekonywałam moich pracowników, że nie są pozostawieni sami sobie, zawsze mają mnie pod ręką, poradzę i pomogę, bo wiem, z czym się je ten chleb. Poza tym centrala wydaje grube pieniądze na ogólnopolskie akcje marketingowe i promocyjne. Mają więc wsparcie, ale w zamian wymagam wyników. I mam nadzieję, że obejdzie się bez zwolnień, wojen i konfliktów. Jasno sformułowałam zasady, ale i tak odniosłam nieodparte wrażenie, że mówię sobie a muzom. Na początku przyglądali mi się z ciekawością, popijając kawę i zagryzając słonymi paluszkami, ale już po chwili, znudzeni, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, by na końcu bez skrępowania ziewać albo wpatrywać się za okno, bezczelnie i zuchwale mnie lekceważąc. Byłam bliska eksplozji, ale nie dałam się wyprowadzić poza granice poprawnego zachowania. Zmieniłam głos na szorstki i zdecydowany i zapowiedziałam, że niezastosowanie się do planu naprawczego będę traktowała jako dobrowolną rezygnację z pracy.

Wyszli, podszeptując. Ktoś się zaśmiał. Patrząc na ich plecy, poprzysięgłam sobie, że i tak dam radę. Jak zawsze.

Zadzwoiłam do Kamila, by poprosić o refundację szkolenia z technik skutecznych negocjacji. Najpierw ponażekał, że będą to pieniądze wyrzucone

w błoto, ale w końcu się zgodził.

– Bez obaw – zapewniałam. – Postawię ten oddział na nogi.

Następne dni były dla mnie katorgą. Pracownicy ewidentnie chcieli zrobić ze mnie idiotkę. Wręcz nadgorliwie siedzieli ze słuchawkami przyklejonymi do ucha, prowadząc rozmowy. Ponieważ efektów nie było, wzięłam billing i wykonałam dziesiątki telefonów pod wskazane na nim numery.

– Nazywam się Blanka Borek, dzwonię z Elitumlux Banku... – zaczynałam, a potem następowała błyskawiczna reakcja rozmówcy, w stylu:

– Mój Boże! Czy coś się stało mamusi? Ona tam pracuje!

Lub:

– Z tego banku, w którym pracuje Halinka? Jakby co, to też mam zaświadczyć, że chciała mi pani wcisnąć kredyt?

Myśleli, że ujdzie im to na sucho. Wzywałam pracowników po kolei. Próbowali wciskać mi głodne kawałki, ale bez skutku. Więc zaczęli pisać do centrali anonimy – że się znęcam, wymagając wykonywania telefonów i rozdawania ulotek. Nie byli przyzwyczajeni do zwykłej, codziennej pracy bankowca. Nie ugięłam się, pamiętając, że kiedyś sama byłam na pierwszej linii. Angażowałam się całą sobą. Demonstrowałam, jak telefonicznie wabić klientów na kredyt konsolidacyjny albo pakiet usług, jak negocjować, nie oszukując, ale pewne tematy pomijając milczeniem. Siłą rozpędu sama sprowadzałam do oddziału nowych klientów i podawałam ich na talerzu tym słabszym sprzedażowo. Niestety, nie obyło się bez obcinania premii i bez upomnień z wpisem do akt, a jednego totalnego lesera, po czterech rozmowach ostrzegawczych, po prostu zwolniłam. Od początku ustawił się w opozycji. Kładł na biurku tabliczkę „Chwilowo nieczynne – zapraszam obok” i wciskał nos w monitor, bez reszty zaabsorbowany. W końcu wyszło szydło z worka – udzielał się na forum bankowców, gdzie znalazł towarzystwo wzajemnej adoracji. Opluwał bank i mnie personalnie, radził się, czy zgłosić w prokuraturze mobbing. Szczycił się niemal zerową sprzedażą, gubił dokumenty, kategorycznie odmówił napisania planu naprawczego i non stop korzystał z kilkudniowych zwolnień od lekarzy różnych specjalizacji. Nie powinnam mieć wyrzutów sumienia, jednak czułam się podle, podpisując wypowiedzenie.

Po kilku tygodniach byłam cieniem samej siebie. Wszyscy patrzyli na mnie wilkiem, ale centralę i region satysfakcjonowały wyniki. Od czasu do czasu uwalniali nawet ekstrakasę do mojej dyspozycji na potrzeby oddziału. Co z tego, skoro naprawdę spore premie pracownicy zawsze uważali za zbyt niskie? Tak czy inaczej, dopięłam swego – oddział się utrzymał, a ja zajmowałam swoje stanowisko już prawie dwa lata, choć kosztowało mnie to sporo zdrowia i nerwów.

Popatrzyłam na zegar, jakbym szukała zbawienia. Dochodziła osiemnasta. Po całym tygodniu pracy byłam psychicznie i fizycznie wykończona. Wstałam z biurka i podeszłam do okna, by rozluźnić ściśnięte do bólu barki i przez chwilę zająć uwagę czymś innym. Oddział Elitumluxu zajmował cały parter dużej kamienicy, tuż przy rynku i pasażu handlowym, więc ruch na zewnątrz był spory. Na przystanku po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się przegubowy, pomalowany na niebiesko autobus miejski. Prowadziła go kobieta, mniej więcej w moim wieku. Z pobłażliwym uśmiechem, oparta na kierownicy, czekała, aż kilku pasażerów wsiądzie i będzie mogła zamknąć drzwi. Takiej to dobrze, pomyślałam. Nie musi się codziennie użerać. Rutynowo, jak mucha w kloszu, jeździ tą samą trasą, a wieczorem spokojnie zasypia, bo nie obchodzą jej wyniki, rankingi i statystyki. Autobus odjechał niespiesznie, a ja skupiłam wzrok na zbliżającej się do czterdziestki wysokiej, trochę zbyt pulchnej kobiecie, ubranej w czarne rurki i czerwony top na cieniutkich ramiączkach, eksponujący ramiona opalone egzotycznym słońcem. Pewna siebie, wyluzowana, podeszła do zaparkowanego tuż pod moim oknem białego bmw, pilotem otworzyła bagażnik i zaczęła układać w nim torby z logo okrutnie drogiego salonu mody tuż za rogiem. Takiej to jeszcze lepiej. Pewnie niepracująca żona jakiegoś biznesmena albo prezesa spółki giełdowej. Zero kłopotów finansowych, presji i kaca moralnego. Mąż zarobi, zadba, wyposaży w złote karty kredytowe, a ona nie zawraca sobie niczym głowy, no, może z wyjątkiem wyboru chirurga plastycznego, który najdroższymi metodami zniweluje pierwsze oznaki utraty jędrności skóry. Z pewnością też nie cierpi z powodu beczynności zawodowej. Kobieta założyła na nos okulary przeciwsłoneczne, dmuchnęła w wystrzępioną grzywkę, wsiadła do auta i odjechała. Fajne życie. Też bym tak chciała, rozmarzyłam się. Oprzeć się na facecie, który zapewni mi taki poziom życia, że mogę pracować tylko dla kaprysu. I ubierać się tak jak ona. Odruchowo spojrzałam na swoje klasyczne, skórzane czółenka na kilkucentymetrowym słupku. Bez wyrazu, ponadczasowe, modne w czasach młodości mojej babci i z pewnością trendy za dwadzieścia następnych lat. Dotknęłam materiału granatowej ołówkowej spódnicy o długości tuż za kolano, uszytej z cieniutkiej wełenki. Elegancka, ale równie dobrze mogłaby ją nosić zakonnica. Westchnęłam. No cóż, samo życie, nie każdy ma takie szczęście. Ale co tam! Od prawie dwóch lat mam przecież faceta, którego zazdroszczą mi wszystkie koleżanki. Wprawdzie nie jest moim filarem finansowym, ale przytuli, wysłucha, rozśmieszy, a wieczorem pójdziemy do klubu na drinka. Mój Iwo. Dzisiaj zjawi się tak jak w każdy piątek, koło siódmej, i zostanie do poniedziałku. Owszem, ma wady, ale jest tylko mój.

Od kiedy rozpoczęłam karierę zawodową, piątkowe wieczory są

najcudowniejszymi chwilami w moim życiu. Wreszcie mam wolne, a poniedziałkowy ranek wydaje się taki odległy. Tuż przed dziewiętnastą, gdy w pośpiechu tarłam żółty ser nad zapiekanką z cukinii, którą zaraz miałam włożyć do piekarnika, usłyszałam charakterystyczny chrobot w zamku drzwi wejściowych. Zaraz potem w przedpokoju rozległo się szuranie. Stęskniona, wytarłam ręce w ścierkę i pobiegłam, chcąc już i natychmiast się do niego przytulić, dać upust skumulowanemu od tygodnia stresowi. Stał odwrócony ode mnie, przodem do otwartej garderoby. Objęłam go w pasie, ale on zdrętwiał i odsunął moje ręce tak mocno, że aż zabolęło.

– Dziuba, wyprowadzam się. *Game over* – rzucił przez ramię.

W pierwszej chwili byłam przekonana, że to jeden z jego głupich kawałów, które z nudów wymyślał w pracy. Ale on naprawdę zgarniał z półek swoje ubrania i wrzucał do torby podróżnej, notabene mojej, tak szybko, jakby właśnie ogłosili ewakuację budynku.

– Zostawiasz mnie? – upewniałam się, zbaraniała.

– Dokładnie – potwierdził.

– Bo?

– Bo z tobą nie da się żyć. – Łaskawie odwrócił się do mnie i odsunął o krok. – Wszystko ma swoje granice, a mnie na szczęście olśniło. Marna z ciebie tancerka w życiowym tangu. Mam po dziurki w nosie tych twoich obietnic, że wreszcie się stąd wyprowadzimy i zamieszkamy w czymś przyzwoitym, jak ludzie. Zwlekas i traktujesz mnie jak idiotę! – wyrzucał z siebie słowa z mocą karabinu maszynowego, nerwowo przy tym gestykulując. – Wychodzisz do pracy, gdy jeszcze jest ciemno, i wracasz po zmroku. Od soboty ciągle słyszę gładzenie o banku, choć idziesz tam dopiero w poniedziałek. Masz przez tę pracę nierówno pod sufitem! – mówił coraz głośniejszym głosem, z dziwną satysfakcją w oczach. – Zresztą poznałem inną, normalną babkę i będę się żenił!

W pierwszej chwili nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Broda niebezpiecznie mi zadrżała i czułam, że lada moment się rozkleję, będę płakać, wręcz wyć, ale całą siłą woli powstrzymałam ten babski odruch. Postanowiłam do upadłego grać twardzielkę.

– Słuchaj, padalcu pospolity – starałam się mówić bezdusznie i z całych sił wypierać z pamięci wszystkie fantastyczne chwile, które dane nam było wspólnie przeżyć. – Podryguj sobie w życiowym obertacie z inną, ale stawiam sprawę jasno: to nie ty mnie rzucasz, ale ja cię wyrzucam. Przeznaczam na złom, do utylizacji! Zwijaj swój majdan! Daję ci kwadrans, a potem zatrudnię dezynfektorów, bo rozsiewasz zarazki, bakterie i inne świństwa przyniesione od tej twojej! Spadaj!

Ulżyło. Byłoby jeszcze lepiej, gdybym agresję słowną połączyła z fizyczną i chociaż go podrapała, ale nie posunęłam się do tego. Myślałam, że się odszczeka, odgryzie jakoś, ale on tylko machnął na mnie ręką i prychnął lekceważąco, jakby

nie warto było tracić na mnie czasu. Założyłam ręce na piersi i z łomoczącym sercem oparłam się o framugę drzwi kuchennych. Obserwowałam, jak uciekając przede mną wzrokiem, wrzuca do torby swoje ubrania. Zarekwirował też radio z funkcją budzika, które dorzucili mi gratisowo, gdy kupowałam odkurzacz, plastikową łyżkę do butów i shaker do koktajli. Wszystko to trwało zaledwie chwilę. Absurdalnie krótko w stosunku do wszystkich miesięcy, które spędziliśmy ze sobą.

Bez słowa przeszedł obok mnie, w kierunku drzwi wejściowych. Dopiero teraz zauważyłam, że ma nową koszulę – z orłami wyhaftowanymi na piersi. Kompletne bezguście, pewnie prezent od tamtej. Sam nie kupiłby sobie takiej tandety.

– Iwo! – zawołałam, gdy naciskał klamkę.

Westchnął głośno i odwrócił się do mnie z niechęcią.

– Dziuba, to nie ma sensu, naprawdę...

– Łazienka – przerwałam mu szorstko.

– Nie mam potrzeby. – Wzruszył ramionami.

– Ale ja mam. Czym prędzej zbieraj stamtąd to tałatajstwo, którym godzinami poprawiasz swoją wątpliwą urodę i pindrzysz się jak baba. Przynajmniej zrobi się luz w szafkach!

Gdy w końcu wyszedł, z hukiem zatrzęsłam drzwi. Oparłam się o nie plecami i zsunęłam powoli, aż usiadłam na podłodze. Objęłam kolana ramionami. Dopiero do mnie docierało, że właśnie zostałam porzucona. I za co? To ja zdopingowałam go do skończenia zawieszonych studiów. To ja poprawiłam wszystkie błędy stylistyczne i interpunkcję w jego pracy magisterskiej. To ja, zaciskając kciuki, czekałam pod gabinetem dziekana, gdy on – popychany przeze mnie – łaskawie poszedł na obronę. Tym sposobem został magistrem etyki, specem od moralności, od zasad życiowego fair play – tak to określał. To ja załatwiłam mu potem lepszą pracę. To ja o mały włos spóźniłabym się w Helsinkach na samolot, bo wybierałam w butiku sweter w norweskie wzory – specjalnie dla niego. To ja na wakacjach w Sopocie, kiedy spił się w sztok drinkami o idiotycznej nazwie „Bałtycka bryza” i stracił kontakt z rzeczywistością, dzwoniłam po taksówkę, by zawiozła nas do hotelu.

To ja, to ja, to ja... – wyliczałam długo i choć naprawdę nie chciałam, po policzku popłynęły mi łzy. Czuję się fatalnie. Jak zabawka wyrzucona do śmieci przez znudzonego dzieciaka. A przecież jeszcze w ubiegłym tygodniu tak bardzo nalegał na ślub.

Późną nocą, gdy już leżałam w łóżku, określiłam swój aktualny status: samotna trzydziestojednolatka, która prawie dwa lata życia poświęciła pseudospecjaliście od życiowego fair play. Trudno. Bez niego też sobie poradzę. Jak zawsze.

Z głębokiego snu wyrwał mnie dźwięk komórki. Z trudem otworzyłam oczy, wracając do rzeczywistości. Niechętnie sięgnęłam po aparat i spojrzałam na wyświetlacz. Mama. Gorzej być nie może. Nie da za wygraną i będzie dzwonić aż do skutku. Po siódmym sygnale odebrałam.

– Cześć, mamó... – wymamrotałam.

– Zbudziłam was? – zaświergotała.

– Mnie owszem. Jestem sama, Iwo mnie rzucił. – Wolałam poinformować ją o tym na wstępie, bo i tak lada moment by się dowiedziała. W sobotnie poranki zwykle obdzwania przyjaciółki, czyli „przykłada ucho tu i tam, by być do przodu z newsami z miasta”.

– To fantastycznie! – wykrzyknęła z entuzjazmem. – Przecież ty nie nadajesz się do założenia rodziny. Iwo przyczepił się do ciebie jak rzep psiego ogona i tylko traciłaś na niego czas. Mogłaś już pracować w centrali – trajkotała jak nakręcona. – Zaczekaj chwilę. Misiu! Iwo rzucił Blanę! – Jak ją znam, nakryła dłonią słuchawkę i dzieliła się z tatą radosną nowiną. Na kilka sekund zapadła cisza, którą wykorzystałam na odchrząknięcie po nocy. – To akurat jest najmniej ważne! – lekceważąco skomentowała słowa taty, których nie słyszałam.

– Co na to tata? – zapytałam zaciekawiona.

– Ach, tata! Wiesz, jak to on – westchnęła z dezaprobatą. – Zamiast się ucieszyć, zapytał, jak to znosisz. A przecież to w tej sytuacji najmniej ważne. Dziecko, jesteś stworzona do robienia kariery – tłumaczyła dobrotliwie. A ja myślałam o tym, że moją osobą chciała zrealizować własne niespełnione ambicje o wysokiej pozycji społecznej. Sama od kilkunastu lat pracowała na pół etatu jako doradca smaku lodów sorbetowych na infolinii producenta i ze średnim, ogólnym wykształceniem, bez znajomości języków, nie miała szans na jakikolwiek awans. Całe życie miała finansowe wsparcie w ojcu, który od rana do późnego wieczora prowadzi mały warsztat samochodowy, przynoszący całkiem spore zyski, a po powrocie z pracy długo myje umorusane smarami dłonie, robi zakupy, gotuje i podaje mojej wiecznie zmęczonej i wypalanej zawodowo mamie późny obiad, będący wczesną kolacją. Wiele razy namawiałam ją do zrobienia choćby licencjatu w trybie weekendowym, ale od lat wykręca się wiekiem i brakiem czasu, którego w mojej opinii ma aż za dużo. – Co innego Iwonka – zmieniła ton na ciepły, jak zawsze, gdy mówiła o mojej młodszej siostrze. – Iwonka jest wprost stworzona do bycia strażniczką domowego ogniska. Dziwne, że dzieci tych samych rodziców mogą stanowić tak jaskrawe przeciwieństwo...

– Aha! – Natychmiast odzyskałam rezon. Takie rozmowy podkreślały mi tętno, stanowiły punkt zapalny i często prowadziły do kłótni. – Twoja Iwonka jest strażniczką domowego ogniska, podającą mężowi gotowe dania z Petronelki,

podgrzane w mikrofali, i biorąc swojego jedynaka na ręce raz w tygodniu, bo od opieki nad nim jest niańka. Mamo, przestań!

– Aleś ty złośliwa! Zazdrościsz Iwonce, co? – rzuciła zirytowana.

– Dobrze, mamo, zostawmy ten temat, bo jest oklepany jak tyłek podstarzałej kelnerki. – Czułam, że lada moment przestanę się kontrolować. – Wiesz co? A może bym przyjechała do was na obiad? – zapytałam z nadzieją. Matka, jakakolwiek by była, zawsze daje jakieś poczucie bezpieczeństwa. Poza tym jest przecież tata. Może milczący, ale emanuje ciepłem, którego tak bardzo teraz potrzebowałam. Matka jednak nie wydawała się uradowana moją propozycją.

– Po co? – zapytała.

– No... Posiedziałybyśmy u was, zjedlibyśmy obiad...

– Nie! – ucięła kategorycznie. – Przywykliśmy do spędzania sobót tylko we dwoje. Poza tym muszę wypocząć przed harówką od poniedziałku. Nie mam takiej pracy jak ty, fuksiaro. Siedzisz na dyrektorskim stołku i pokazujesz palcem, co inni mają robić. Poza tym tata gotuje obiad na dwie osoby. Idź do restauracji, przynajmniej wybierzesz z menu to, na co będziesz miała ochotę. A ja nie mam wyboru. Widzisz? Pod każdym względem jest ci lepiej – argumentowała po swoim. – A teraz kończę, bo muszę wykonać pilny telefon! Pa!

Trwałam w tej samej pozycji jeszcze chwilę po tym, jak się rozłączyła. Wiedziałam, że dzwoni teraz do mojej młodszej o pięć lat siostry, żeby przekazać jej newsa. Nie wybaczyłyby sobie, gdyby ktokolwiek ją w tym ubiegł.

Nie myliłam się. Za moment odezwała się komórka.

– Cześć, Blanka! – Iwona przekrzykiwała wydzierającego się w tle Witusia. – Będę mówiła krótko, bo zaraz jedziemy do teściów na proszony obiad. Wituś dzisiaj ma schizę, a niania wolne. Będę musiała ją namówić na pracę w weekendy, bo jak tak dalej pójdzie, to dostanę świra. Rozumiesz? Mam w głowie kompletny bajzel! Nie słyszę własnych myśli, bo Benek ubiera go siłą. Słuchaj, mama przed chwilą dzwoniła i powiedziała...

– Wiem, że dzwoniła, i wiem, co powiedziała – przerwałam jej monolog. – Przecież znam was od podszewki.

– Ale numer! – W wyobraźni widziałam, jak Iwona zaciera ręce. Zawsze uwielbiała sensacyjki. – Taki niby zakochany w tobie do szaleństwa Iwo! Nie wyglądał mi na czuba, a puścił cię w trąbę! Naprawdę on ciebie, a nie ty jego? – upewniała się.

– Naprawdę – potwierdziłam.

Pod powiekami zamajaczył mi obraz Iwony tuż po zrobieniu licencjatu na prywatnej uczelni pod szyldem Wyższa Szkoła Kulturologii Antagonistycznej, gdzie wysokość czesnego wołała o pomstę do nieba. Przekonywała rodziców, że ostatnie trzy lata ciężkiej nauki ją wykończyły. Musi ochłonać i odsapnąć, a jak już dojdzie do siebie, podejmie studia magisterskie. Tymczasem trafia się jej

niepowtarzalna partia w osobie Benka, dentysty wyspecjalizowanego w ortodoncji. Trzeba brać byka za rogi i czym prędzej pędzić do ołtarza, zanim zwinie go inna szczęściara. Usłyszawszy te wieści, tata swoim zwyczajem milczał i zamyślony patrzył gdzieś w dal. Za to mama poparła decyzję córeczki z entuzjazmem. Wyprawiła Iwonce huczne wesele i jak pałeczkę w sztafecie przekazała ją w ręce specja od krzywego zgryzu. Po urodzeniu Witusia moja siostra, rzecz jasna, ani myśli o kontynuowaniu edukacji czy robieniu kariery zawodowej. Przecież jest żoną biznesmena, podkreśla na każdym kroku, bo Benek prowadzi prywatny gabinet, a na wizytę u niego trzeba się umawiać z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Ma opinię najdroższego, ale też najlepszego w swoim fachu.

– Posłuchaj, Blanka, faceci na ciebie lecą. – Siostra wyrwała mnie z zamyślenia.

– Tak, pchają się drzwiami i oknami – skomentowałam ironicznie.

– A właśnie że tak! Pamiętasz Rolanda, tego przyjaciela Benka jeszcze z podstawówki, którego poznałaś na moich ostatnich imieninach?

– Nie – zaprzeczyłam i kaszlnęłam. Marzyłam o szklance wody. – Byłam u was krótko, bo Iwo chciał obejrzeć mecz w telewizji. Legia grała z Lechem albo Widzewem, albo Górnikiem Zabrze... nie pamiętam.

– Więc ci powiem, Roland to szycha. Jest prezesem technicznym w zakładach produkujących sprzęt do szpitali. Został do końca imprezy i cały czas nawijał, że jesteś jak z jego snów i takie tam inne bzdety. Dam mu twój numer komórki...

– Nie!

– Właśnie że tak! Super, już się cieszę! Muszę kończyć, bo Benkowi udało się ubrać Wicia i jeżeli natychmiast nie opuścimy domu, może się sam rozebrać albo czymś zachlapać! Spodziewaj się telefonu!

– Nie! – powtórzyłam, ale odpowiedziała mi już tylko cisza.

Przez chwilę siedziałam oniemiała, próbując zebrać rozbiegane myśli. W końcu parsknęłam śmiechem. W sumie co mi szkodzi?

Wstałam z zamiarem przygotowania sobie czegoś do picia. Nie zdążyłam nawet przejść do kuchni, a komórka znów zadzwoniła. Ciarki przeszły mi po plecach. Nagle poczułam się jak licealistka podekscytowana ogromem możliwości, które może przynieść jej życie.

Głos Rolanda był seksowny i zmysłowy. Poczułam nagły przypływ euforii. Umówiliśmy się na osiemnastą w restauracji Romantyczna, w samym centrum miasta. Szansa spotkania w tym miejscu któregoś z kumpli Iwona jest olbrzymia. Może utrę nosa mojemu eks? Niech zzielenieje z zazdrości, niech tłucze głową o ścianę. I to z własnej głupoty!

Kilka minut po osiemnastej przejrzałam się w owalnym lustrze, zdobionym złotym ornamentem, zawieszonym w holu Romantycznej. Zadowolona wyciągnęłam z torebki błyszczak i pociągnęłam nim usta. Dzisiejsza praca nad wizerunkiem przyniosła efekt. Po telefonie Rolanda przeszukałam szafę. Iwo miał rację – nawet moje ciuchy świadczą o tym, że żyję głównie pracą. Większość z nich to białe topy i koszule, wełniane albo lniane ołówkowe spódnice za kolano i klasyczne marynarki kupowane w sklepie Bizneswoman przy rynku. Nie żałowałam na nie grosza, traktując je jako inwestycję w siebie. Poza tym oszczędzałam, jak tylko się dało, by w końcu kupić dom – za gotówkę oczywiście, bo miałam zbyt duże doświadczenie zawodowe, żeby chociaż pomyśleć o kredycie. Po telefonie Rolanda postanowiłam jednak zaszaleć i zrobiłam rundkę po sklepach. Z emocji i głodu ssało mnie w żołądku, ale to nic, byłam przecież zaproszona na wieczór do restauracji, czyli – jak się rozumie – na kolację. Dzień był wyjątkowo ciepły, więc ostatecznie wybrałam rozkloszowaną, podkreślającą talię, krótką jedwabną sukienkę w kolorze pistacji z dekoltem w kształcie litery „v” na plecach. Nie założyłam rajstop, ale spryskałam nogi samoopalaczem w sprayu. Zrobiłam sobie delikatny letni make-up. Nadgarstki i zagłębienia za uszami spryskałam ulubionymi perfumami z dominującą nutą wanilii i kwiatu pomarańczy. Efekt wart zachodu.

Obróciłam się wokół własnej osi. Sukienka zawirowała. Super! Czułam się jak modelka na wybiegu i ciągle miałam nadzieję, że dostrzeże mnie ktoś ze znajomych Iwona. Poza tym Roland... Dostałam gęziej skórki na wspomnienie jego głosu, pełnego żądz. Gwarantowane, że jest bystry i odpowiedzialny. Przecież byle chłystkowi nie powierzają stanowiska prezesa technicznego.

Na wysokich szpilkach pewnym krokiem weszłam na salę i rozejrzałam się. Wnętrze utrzymane było w bieli z dyskretnymi różowymi akcentami. Z sufitu, bogato zdobionego stiukami, na długich kablach zwisały kryształowe żyrandole, a naturalne, jaskrawe jeszcze o tej porze światło tłumiły muślinowe firanki. Panował nastrój intymności. Dwuosobowe stoliki nakryto obrusami z koronki, elegancką zastawą w deseń serduszek, pękatymi kieliszkami do wina, artystycznie ułożonymi w kształt kwiatów serwetkami i wypolerowanymi na błysk sztućcami. Wokół stołów ustawiono miękkie fotele w stylu międzywojennym, obite kremowym pluszowym materiałem. Z ukrytych gdzieś głośników sączyła się sentymentalna muzyka. Obok mnie przeszedł kelner ubrany w czarne spodnie i wykrochmaloną białą koszulę z elegancką muchą. Trzymając w jednej ręce posrebrzaną tacę, spieszył w kierunku najbliższego stolika. Wbiłam wygłodniały wzrok w talerze: faszerowana kaczka w sosie grzybowym, kopytka i buraczki. Jeść, jeść i jeszcze raz jeść! W ustach poczułam ślinotok, ale przywołałam się do porządku. Jeszcze chwila...

W tym momencie dostrzegłam mężczyznę, mniej więcej w moim wieku,

zbliżającego się do mnie z różą w dłoni. I natychmiast przypomniała mi się ta twarz z imprezy u Iwony. A jednak są na świecie faceci z klasą, że aż dech zapiera, stwierdziłam. Nie dość, że wita mnie z kwiatkiem, to jeszcze taki przystojny! Ciacho mające ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, z szerokimi brwiami i seksownym trzydniowym zarostem, ubrane w elegancki szary letni garnitur. Gdzie ja miałam głowę, niańcząc tego nieudacznika Iwona? A tu takie miodzio na wyciągnięcie ręki, wyrzucałam sobie, czując, że się rumienię, gdy podał mi różę i delikatnie musnął ustami mój policzek.

Pełna pozytywnych emocji, podeszłam do naszego stolika i usiadłam na podsuniętym mi fotelu. Delikatnie ułożyłam różę obok swojego nakrycia. Oboje chyba byliśmy zakłopotani niecodzienną sytuacją. Żeby czymkolwiek się zająć, wzięłam w dwa palce kosmyk włosów i zaczęłam się nim bawić, a on z dużą dozą erotyzmu gładził brodę. Wysoki poziom testosteronu, czyli sto procent faceta.

– Dobry wieczór państwu. – Kelner z uśmiechem położył na środku stolika świeczkę w kształcie amorka i zapalił knot. Błyszczący płomyk spotęgował nastrój intymności. Zaraz potem przed każdym z nas rozłożył menu, wykonane z białej tkaniny w deseń różowych serduszek. Zaburczało mi w brzuchu. Wyciągałam dłoń po swoje, kiedy usłyszałam szurnięcie. Karta zniknęła mi z oczu jak fatamorgana. Podniosłam głowę i oniemiałam. To Roland zerwał się z fotela. Jego twarz kipiała wściekłością. Spurpurowiał. Pomiedzy jego brwiami utworzyły się dwie grube pionowe bruzdy, grdyka szybko przesuwiała się w górę i w dół. Wcisnął osłupiałemu kelnerowi obie karty.

– Proszę to zabrać. Nie chcemy jeść – wycedził przez zęby. – Zdrowi ludzie nie jedzą po osiemnastej. Zamawiamy wodę mineralną i dwie szklanki. To wystarczy! – Opadł na fotel z satysfakcją, jakby stoczył życiową bitwę.

– Oczywiście. Woda mineralna i dwie szklanki – potwierdził zaskoczony kelner. Zauważyłam, że jego źrenice rozszerzyły się do granic możliwości, ale zaraz odzyskał rezon. – Pozwoli pan – spojrzał na Rolanda z ironicznym uśmiechem i sięgnął po moją różę – że ten kwiatek powróci na swoje miejsce.

Bezszelestnie wycofał się z różą w dłoni, spoglądając na mnie przeprasząco. Patrzyłam, jak podchodzi i wkłada ją do wazonu stojącego na marmurowej konsoli. Myślałam, że spłonę ze wstydu. Żołądek podchodził mi do gardła, miałam ochotę zwymiotować. Rozejrzałam się dyskretnie, czy ktoś nie był świadkiem tej sceny. Na szczęście otaczały nas głównie wpatrzone w siebie zakochane pary. Trochę mi ulżyło.

– Co za cham – skwitował Roland tonem pełnym dezaprobaty. – Głupiego kwiatka żałuje. Spójrz, ile tam jest tych róż. Jedna w tę czy w tamtą stronę mu robi różnicę! Zanim przyszedł – nachylił się w moją stronę i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu – wziąłem kartę i przejrzałem ceny. To jest po prostu zdzierstwo!

– Więc czemu mnie tu zaprosiłeś? – zapytałam, patrząc na niego jak na wariata. Już wiedziałam, co się święci.

– No właśnie – chrząknął, jakby przygotowywał się do dłuższej przemowy – zrobiłem błąd. Na szczęście po raz ostatni. Szkoda kasy na lokale. Będziemy się spotykać u ciebie. Coś tam upichcisz. Lepiej czy gorzej, nie ma znaczenia. W zasadzie ten pierwszy raz mogliśmy umówić się w parku. Jest piękna pogoda. Przy fontannie jest źródło i możesz pić wodę do woli. Za friko. Oboje znamy wartość pieniądza i oboje ciężko pracujemy. Jak się pobierzemy i zaciśniemy pasa, to możemy uzbierać fortunę. Za kilka lat...

– Służę państwu. – Kelner z przesadną gracją postawił przed nami dwie szklaneczki, a następnie zbliżył szyjkę butelki z wodą mineralną do tej stojącej przede mną.

Gwałtownie zakryłam szklankę dłonią.

– Dziękuję. – Spojrzałam na kelnera i uśmiechnęłam się z trudem. Byłam wściekła i miałam ochotę rozbić tę butelkę na głowie Rolanda. – Uregulujemy rachunek.

– Oczywiście. – Mężczyzna patrzył na mnie z litością, jak na bezbronno szczeniaczka, którego właśnie brutalnie oddzielono od matki. – Należy się sześć złotych.

– Sześć złotych! – powtórzył Roland z furją, po czym trzęsąc się jak galareta, zaczął szukać portfela w wewnętrznej kieszeni marynarki. Kiedy tam go nie znalazł, kontynuował nerwowe poszukiwania w pozostałych kieszeniach, również spodni. Ja i kelner patrzyliśmy na niego, jakby był błaznem na przyjęciu urodzinowym dla przedszkolaków i po raz tysięczny odgrywał ten sam wyświechtany numer. – Blanka – powiedział w końcu, patrząc na mnie przepraszająco – wyobraź sobie, że chyba zostawiłem portfel w innej marynarce.

– To się zdarza, nic nie szkodzi – uspokoiliam go, udając, że mu wierzę, i sięgnęłam po swoją torebkę. Z ulgą wypuścił przetrzymywane w płucach powietrze. Potem rozsiadł się wygodnie, napełnił wodą swoją szklaneczkę i zaczął popijać. Zachowywał się jak stały bywalec ekskluzywnego klubu sącący legendarną szkocką. Jego twarz pojaśniała. – Proszę. – Podałam kelnerowi dziesięciozłotowy banknot. – Reszty nie trzeba.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się szeroko. – Życzę państwu miłego wieczoru.

– Zwariowałaś? – Gdy tylko kelner odszedł, twarz Rolanda spochmurniała. Miałam wrażenie, że całą mocą powstrzymuje się przed zrobieniem mi awantury. – No, kochana, tak to my daleko nie zajdziemy. – Kręcił głową z dezaprobatą. – Na przyszłość tak nie szastaj! Zauważyłaś, że ten cham – wskazał kciukiem gdzieś za siebie – nie dał nam paragonu? Słusznie mówią, że napoje to zarobek kelnera. Zaraz pójdę do szefa tej knajpy. Może w rewanżu zafunduje nam kolację – lekko podniósł głos, ale zaraz zlągnął, jakby coś sobie przypomniał. – Wracając do

sprawy zapłaconego przez ciebie rachunku, to następnym razem, gdy pójdziemy zaszaleć, ja funduję! – Wpatrywał się we mnie, chyba oczekując wybuchu radości.

Nie wytrzymałam. Nachyliłam się w jego kierunku ze słodkim uśmiechem, jakbym chciała uraczyć go czułymi słówkami. A potem, patrząc mu głęboko w oczy, wyszeptałam:

– Jesteś totalną łajzą i patologicznym szmaciarzem z tendencją do pasożytnictwa, która dyskwalifikuje cię na starcie.

– Blanka... – Wpatrywał się we mnie, szczerze zaskoczony. Nie dowierzał. Jego ręka ze szklanką zawisła w pół drogi do ust.

– I nie będzie żadnego następnego razu – dodałam. – Idź z sikorkami pić wodę z kałuży. Żegnaj! – Wstałam, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w kierunku wyjścia. Po dwóch krokach zatrzymałam się i rzuciłam przez ramię: – A upojną noc spędź z wyciągiem bankowym ułożonym na poduszce. Ekstaza zapewniona!

Kelner kłaniał mi się w pas na pożegnanie. Kilka osób odwróciło głowę w moją stronę. Pomimo że starałam się iść pewnie, miałam wrażenie, że zaraz upadnę. Z głodu, z upokorzenia, z powodu niespełnionych nadziei. Najchętniej wymazałabym ten wieczór z pamięci. Przy stoliku, który mijalam, kątem oka zauważyłam eleganckiego mężczyznę o lekko szpakowatych skroniach, ubranego w beżowy cienki garnitur. Właśnie wsuwał na palec siedzącej przed nim nieciekawej kobiety, uczesanej w kok przypominający bocianie gniazdo, iskrzący się mnóstwem brylantów platynowy pierścionek. Poczułam ucisk w żołądku. Ta to ma dobrze. Ach, jak bardzo chciałabym być na jej miejscu. To na pewno jakiś ustawiony facet i niespodzianka z okazji rocznicy ślubu. Kochający, szanujący i adorujący – nawet po latach. Dlaczego niektóre mają takie szczęście? Mogą pracować dla kaprysu, na przykład tylko na kosmetyki. Przed kwadransem myślałam, że zaczynam nowe życie, a tu wszystko się posypało.

Tego wieczoru obsesyjnie chodziło mi po głowie jedno pytanie: kim ona jest? Dla kogo Iwo mnie rzucił? W końcu nie wytrzymałam i zdesperowana zadzwoniłam do Relci, jego koleżanki z pracy. Pomogłam jej kiedyś w konsolidacji kredytów i dobrze na tym wyszła. Nie znoszę kurtuazyjnych wstępów w interesownych rozmowach, więc zapytałam wprost, co wie na ten temat. Chwilę milczała, a potem, starannie dobierając słowa, poinformowała mnie, że Iwo żeni się w pierwszą niedzielę września ze zbliżającą się do czterdziestki telemarketerką operatora komórkowego, dla której mnie opuścił. Nadziany ojciec wybranki – prowadzący sieć salonów samochodowych – kupił swojej jedynaczce dom na przedmieściach i teraz cała rodzina zajmuje się urządzeniem gniazdka dla młodych. Udawałam obojętność, ale zabolalo jak cholera. Na końcu, z własnej inicjatywy, Relcia zapewniła, że ta rozmowa zostanie między nami. Ot, kobieca solidarność.

Najszybszym źródłem informacji jest poczta pantoflowa. Wiadomość, że jestem singielką, rozeszła się po okolicy z prędkością światła, oczywiście głównie za sprawą mojej mamy i siostry. Ponoć co niektórzy faceci czekali na ten moment. Dałam się więc namówić na kolejne randki. Nie licząc tej z sępiącym Rolandem, pierwsza była z Kacprem, farmaceutą, który z moim kuzynem Tomkiem, aktualnie psychiatrą, dzielił w czasach studenckich pokój w akademiku Uniwersytetu Medycznego. Kacper zaprosił mnie na niedzielny obiad. Przyjechał białym volvo. Od razu poczułam się nieswojo, jak w kolejce po niezawodny środek na rozwolnienie, bo auto było wyczyszczone na błysk. Biała była nie tylko karoseria, ale i skórzane fotele, dywaniki, a nawet gałka zmiany biegów. Jakby tego było mało, Kacper – z jasną jak mąka twarzą i krótkimi płowymi włosami, ubrany w kremowe materiałowe spodnie i białe polo – wyglądał jak piekarz w czasie przerwy obiadowej, który w dodatku od lat nie był na urlopie.

– Zamówiłem stolik w restauracji – zapewnił szeptem, gdy zastanawiałam się, czy od razu nie dać dyla.

Długo jechaliśmy w jakąś nieznaną mi część miasta, z głośno włączonym radiem, które niezawodnie zagłuszało burczenie w moim brzuchu i wykluczało prowadzenie konwersacji. Obmyślałam, co sobie zamówię. Stańto na bombie kalorycznej w postaci panierowanego kotleta, smażonych ziemniaków i surówki przyprawionej majonezem. A potem, na deser, puchar lodów z górą bitej śmietany. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed rustykalnym budynkiem położonym samotnie wśród pachnących modrzewi, pokrytym czerwoną dachówką i zdobionym kamiennymi kolumnkami. Posiadłość przypominała osiemnastowieczny dworek, do którego na legendarne uczyty zjeżdża okoliczna szlachta. Zamiast zaprzęgów konnych przed lokalem parkowało kilka samochodów. Wysiadłam i odetchnęłam pełną piersią czystym, prawie wiejskim powietrzem. Czułam, że mój głód sięga zenitu.

– Zaskoczona? – Kacper uśmiechnął się nieśmiało i przecesał dłonią płowe włosy.

– Bardzo – przyznałam, wpatrując się z niedowierzaniem w szyld zawieszony nad rzeźbionymi, mahoniowymi drzwiami. Jędrna Rzepa? Jak można profanować taki lokal tak idiotyczną nazwą? No, ale każdy ma prawo nazywać swój biznes, jak chce.

– Wszystko zapłacone. Jemy i pijemy do woli – szepnął mi do ucha, lekko objął ramieniem i wprowadził do środka.

Rozejrzałam się po sali i doznałam lekkiego szoku. Byłam przekonana, że miło spędzę czas w gospodzie, gdzie serwuje się tradycyjne polskie dania. Tymczasem był to skrajnie nowoczesny lokal, ze ścianami wyłożonymi białą glazurą, wśród których błyszczały geometryczne elementy z chromoniklowej stali.

Tak samo wyglądała posadzka. Wzdłuż lewej ściany na zestawionych ze sobą metalowych stołach stały błyszczące jak w laboratorium pojemniki, półmiski, dzbany i termosy z jakimiś potrawami. Przez środek przebiegał szpaler takich samych stołów, a po obu jego stronach stały rzędy białych krzeseł z tworzywa sztucznego. Nieskazitelnie, sterylnie jak na sali operacyjnej. Spojrzałam na Kacpra z nadzieją, że zaraz się roześmieje i powie, że to żart. Ale on pękał z dumy.

– Często się, jesteś moim gościem – zachęcał, prowadząc mnie do stołu bufetowego. Bezradnie szwendałam się z jednego końca na drugi, przeglądając zawartość półmisek: tarta marchew, pokrojona w słupki rzepa, poszatkowana kapusta, gotowane na parze kotlety sojowe i inne obrzydliwie zdrowe przekąski bez grama dressingu. Czytałam etykiety na dzbanach i termosach z nadzieją, że poza herbatą rumiankową i miętową znajdę choć kropelkę kawy. W rezultacie zrezygnowałam z picia i nałożyłam sobie na talerz koktajlowego pomidorka faszerowanego rzeżuchą i kilka listów rozszonki skropionych sokiem z cytryny.

Siedząc naprzeciwko Kacpra na niewygodnym, twardym i chyboczącym się krześle, wysłuchałam najnudniejszego w życiu wykładu na temat wpływu diety na samopoczucie, zdrowie i witalność oraz drugiego – bardziej przerażającego – o ogólnonarodowym braku higieny, skutkującym owsicą, grzybicą i wszawicą. W rezultacie nie byłam w stanie przełknąć nawet kawałeczka sałaty w obawie, czy na pewno jest dobrze umyta, bo kto wie – może w moim układzie trawiennym zacznie się panoszyć glista ludzka. Niby mimochodem wspomniał, że własna apteka to byłoby coś, tylko finanse mu na to nie pozwalają, ale gdyby... Gdy spiorunowałam go wzrokiem, zamilkł wystraszony.

Wiedziałam, że to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Kacper za bardzo odbiegał od akceptowalnej przeze mnie normy. Wyczałam, że jest interesowny, chociaż się kamuflował. Taki chytrusek zapatrzony we własny pępek, liczący na to, że dorzucę się do jego biznesu. Ponadto nie miałam ochoty spędzić reszty życia z facetem, który smaży jajecznicę z maską chirurgiczną na twarzy, nosi wyłącznie białe ubrania, które potem pierze z funkcją gotowania, a przed wejściem do mieszkania zostawia buty na klatce schodowej, żeby nie przynieść zarazków na podszwach. Zresztą słyszałam, że takie typy mogą być agresywne, potrafią rzucić się z pięściami za nieulożone pod linijkę doniczki z fiołkami na parapecie.

Po powrocie do domu, skrajnie zawiedziona, poczułam wilczą ochotę na coś niezdrowego. Przeszukałam zawartość lodówki i już za kilka minut, na znak protestu, raczyłam się parówkami, zrobionymi prawdopodobnie z mielonych wymion, świńskich ryjków i mączki kostnej, polanymi barwionym chemią keczupem. Chociaż unikam tego typu potraw, w tym momencie ten zestaw smakował mi jak bliny z kawiozem i na pewno pomógł odreagować kolejny feralny dzień.

Po Kacprze był Olek, kuzyn mojej koleżanki Zuzi. Wprawdzie nie udało mu

się skończyć polonistyki, bo czytanie lektur obowiązkowych zbyt go przytłaczało, ale miał aspiracje zostać, jak to określił, zawodowym poetą. Prozaiczne zatrudnienie mogłoby stłamsić jego talent, więc był na utrzymaniu rodziców, prowadzących bar mleczny na terenie kampusu studenckiego. W końcu jednak rodzice zaczęli się buntować i postanowili, że po trzydziestych piątym urodzinach Olka nie nakarmią go nawet zlewkami z baru. Stwierdzili, że jest już dużym chłopcem i musi stanąć na nogi, bo przecież oni wiecznie żyć nie będą. Gdy spotkałam się z Olkiem, miał trzydzieści cztery lata i trzy miesiące i na gwałt szukał muzy finansowej. W zamian obiecywał dedykację w swoim pierwszym tomiku poezji, oczywiście jeśli znajdzie wydawcę.

Olek był obłudnie przystojny i romantyczny. Przyniósł mi duży bukiet astrów kupionych za kieszonkowe od rodziców u kwiaciarki na rynku, ale już po kilku minutach wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Taki typ jest całkowicie niereformowalny. Ani nie zarobi, ani gwoździa nie przybije, ani jaj nie ma, ani rachunku za prąd nie zapłaci, a jego życiowym dorobkiem będzie kilka nigdy niewydanych wierszy. Jak go mamusia tak wychowała, to niech go dalej trzyma pod spódnicą.

Po Olku byli Ignasz, Marcin, Sławek i jeszcze kilku innych, których imiona wyleciały mi z głowy. Przyglądałam się im czujnie. Z żadnym nie było chemii, nie iskrzyło. Szkoda gadać. Chociaż starali mi się przypodobać, żaden nie był w moim typie. Jacyś tacy niewyraźni, bez ikry. Nie dałam się zwieść czułym słówkom. Prześwietliłam ich. Chcieli się mnie ucześcić i pasożytować na mnie finansowo, a tym sposobem podreperować swoje ego. Byłam dla nich obietnicą kury znoszącej złote jaja. Jednego po drugim odsyłałam na drzewo banany prostować.

Po czterech miesiącach randkowania z pozbawionymi talentu oszołomami, romantycznymi nieudacznikami, fanatykami zdrowego odżywiania, maminsynkami, nudnymi zerami intelektualnymi, erotomanami w jaskraworóżowych koszulach i innymi bezsensownymi typami miałam kompletnie dość. Na wszelkie próby swatania mnie odpowiadałam zdecydowanym sprzeciwem. Stwierdziłam, że widocznie jest mi pisane samotne życie.

W połowie listopada, gdy siedziałam w swoim gabinecie, skupiona na porównywaniu naszej oferty kredytów hipotecznych z konkurencyjną, zadzwonił Kamil. Odebrałam bez wahania. Nie miałam się czego obawiać. Wyniki za ostatni miesiąc wywindowały nas na szczyt rankingów.

– Blanka, po pierwsze, cześć – zaczął zwyczajowo ślamazarnym, lekko sepleniącym głosem, pod którym krył się bezwzględny, oschły karierowicz. – Po drugie, dzisiaj w domu kultury przy Nowatorskiej jest spęd maturzystów wszystkich techników w mieście. Mają szkolenie z przedsiębiorczości. Proszą

o przysłanie na trzynastą kogoś, kto opowie tym szczawikom o możliwościach kredytowania firm, jeżeli chcieliby założyć działalność po maturze. Pójdiesz tam. He, he – roześmiał się złośliwie. – To dla nas wielka szansa. Wyobraź sobie, Blanka, jakie będziemy zbierali zniwo! – zaczął mówić trochę szybciej. – Idę o zakład, że wielu z nich już się widzi w garniturach biznesmenów z telefonem komórkowym przy uchu. Wezmą kredyty pod zastaw rodzinnego majątku, a raty i tak będą spłacać tatusiowie albo te wszechobecne nadopiekuńcze mamusie, które...

– Wiem, wiem – weszłam mu w słowo. Nie miałam ochoty słuchać, jak się podnieca perspektywą bankowych zysków kosztem plajty biznesowych żółtodziobów rzucających się bez wiedzy i doświadczenia na głęboką wodę. – Kto jeszcze tam będzie? – zapytałam.

– Myślę, że poza maturzystami jacyś nauczyciele, może ktoś ze skarbówki, żeby pogadać o podatkach... W każdym razie nikt z naszej branży, więc musisz obniżyć loty. Masz być na trzynastą, powiesz swoje i się ulatniasz. Chyba nie jesteś stremowana? – zapytał drwiąco.

– Nie! – roześmiałam się, a Kamil zawtórował mi rechetem. Gdy tylko zostałam dyrektorką oddziału, w tajemnicy przed wszystkimi wzięłam kilka prywatnych lekcji u profesora sztuk teatralnych. To on wypędził ze mnie strach przed publicznym mówieniem, nawet na spotkaniach z branży, gdzie jakakolwiek wpadka byłaby natychmiast wychwycona przez słuchaczy. – Dobra, Kamil, załatwione.

– Weź trochę ulotek, wizytówek i mów z takim entuzjazmem, by za pół roku, zaraz po maturach, spłynęła na nas lawina wniosków kredytowych.

– Uhm... – mruknęłam, ale ścisnęło mnie w dołku, bo w wyobraźni już widziałam stos próśb o prolongatę terminów spłaty kredytów i zapłakanych młodych pseudobiznesmenów, którzy przecież chcieli jak najlepiej, mieli zapał i ambitne plany. Żał mi takich nieobeznanych z życiem nowicjuszy w biznesie, z których większość już niedługo otrzyma pierwszą, gorzką lekcję życia. Szkoda, że młodzieńcze marzenia nijak nie przystają do rzeczywistości. Tak bardzo chciałabym im powiedzieć prawdę: że życie jest brutalne, reguły rządzące rynkiem twarde i nie można ślepo wierzyć w to, co mówią inni. Nawet gdy ci inni są dyrektorami banków. Ach, te moje wyrzuty sumienia... Czy kiedyś się ich pozbędę?

Do domu kultury weszłam dziesięć minut przed czasem. Nigdy – nie tylko w biznesie, ale też w życiu prywatnym – nie pozwalałam sobie na spóźnienia. Mama wpoila mi, że brak punktualności to kradzież czasu innych, dlatego zawsze uwzględniam pewien zapas, na przykład na stanie w korku albo zmianę rajstop,

w których poleciało oczko. Niestety w mojej siostrze rodzicielka nie zaszczepiła tej zasady. „Pośpij jeszcze, córeczko, możesz nie iść na pierwszą lekcję, świat się przecież nie zawali. Tak późno poszłaś spać...”, trąkotała nad uchem Iwony, gdy ta zabalowała w klubie do bladego świtu.

Zaraz miałam wejść na salę. Zza uchylonych drzwi zerknęłam do środka. Na ustawionych rzędami krzesłach, podobnie jak w sali kinowej, siedziało około trzystu znudzonych, głównie młodych ludzi. Przy stole prelegenta stała niziutka starsza pani w śmiesznych okrągłych okularach i monotonnym tonem tłumaczyła słuchaczom różnice pomiędzy spółkami komandytowymi a akcyjnymi. Zlepek ekonomicznych i prawniczych sformułowań. Ale kretynka, pomyślałam. Dałabym głowę, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent maturzystów nie ma pojęcia, kto jest komandytariuszem albo co to są warranty subskrypcyjne.

Zapięłam wszystkie guziki żakietu i gdy tylko moja poprzedniczka z ulgą wymknęła się z sali, pewnym krokiem profesjonalistki weszłam do środka i stanęłam przed widownią. Wszyscy popatrzyli na mnie z zaciekawieniem, wszak nastąpiła jakaś zmiana.

– Witam przyszłych biznesmenów! – zaczęłam entuzjastycznie. – Nazywam się Blanka Borek. Od prawie dwóch lat jestem dyrektorem oddziału Elitumlux Banku i opowiem wam, w jaki sposób, współpracując z nami, możecie odnieść sukces.

Popatrzyłam uważniej na widownię, żeby sprawdzić, czy zrobiłam dobre pierwsze wrażenie, i zamarłam. Z pierwszego rzędu intensywnie wpatrywała się we mnie para oczu. Należały do mężczyzny w średnim wieku, ubranego w grafitowy garnitur. Niby przeciętniak, taka sobie sylwetka, twarz również nieszczególana. Brązowe włosy, lekko zwichrzone nad czołem, a po bokach wycieniowane. W tłumie nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby nie te zielononiebieskie oczy – jak akwamaryn w pierścionku ciotki Jusi. Był osadzony centralnie na szerokiej złotej obrączce, a zdobiły go iskrzące wokół diamentyki. Ale nie one mnie interesowały, tylko ten mniej cenny, jubilerski kryształ. Potrafiłam się w niego wpatrywać godzinami. Niby tylko kamień, rzecz martwa, ale było w nim coś niezwykłego. Lubiłam, gdy rodzice podrzucali mnie do ciotki. Chociaż pracowała jako główna księgowa i powinna twardo stąpać po ziemi, potrafiła zajmować mnie ekscytującymi, wymyślanymi na bieżąco historyjkami na temat najzwyklejszych rzeczy, takich jak dywan albo łyżka wazowa. Doskonale pamiętam, jak pozwoliła mi przymierzyć ten pierścionek. Gdy zauważyła na moich policzkach rumieniec podniecenia, mieszając kakao, powiedziała: „To kamień aniołów. One mają takie oczy. Pamiętaj, Blanka, nieraz anioły przybierają ludzką postać. Jeżeli ktoś ma oczy jak akwamaryn, to znaczy, że ma anielski certyfikat”.

Teraz, na tej sali, trwałam w zawieszeniu. Oczarowana stałam jak słup soli i nie mogłam oderwać wzroku od dwóch lśniących tęczęwek. Z letargu wyrwały

mnie szmery. Zaniepokojeni moim zachowaniem maturzyści tręcili się łokciami i szeptali między sobą. Siłą woli oderwałam spojrzenie od tych magicznych oczu i przeniosłam je w głąb sali. Odzyskałam rezon, ale kompletnie zapomniałam, jakie były moje ostatnie słowa – po prostu czarna dziura. Na chwilę wpadłam w panikę, że tracę nad sobą kontrolę, ale mój profesor przygotował mnie i na takie sytuacje.

– No, a teraz sprawdzę, czy mnie słuchaliście. O czym mówiłam? – zapytałam donośnie.

– O sukcesie! – odezwało się kilka głosów z sali.

– Super, właśnie tak! – potwierdziłam z zapalem. – A do sukcesu potrzebne są pieniądze. Nie od babci, cioci czy sąsiadki. Są przecież banki. A ja reprezentuję ten wiodący na rynku...

Do końca mojej wypowiedzi starałam się nie patrzeć w kierunku tych niezwykłych oczu, ale nie było to możliwe. Magnetyzowały mnie. Zniewalały charyzmą. Rozpraszały. W rezultacie kilka razy się zacięłam, pomyliłam i przejęzyczyłam. Na szczęście, zgodnie z zasadami wpojonymi mi przez profesora, udawałam, że tak miało być, nic się nie stało, a ja cały czas panuję nad sytuacją. Na koniec wyciągnęłam z torebki wizytówki i ulotki, położyłam je na stole prelegenta i zachęciłam, by skorzystać z nich w czasie przerwy.

– Do zobaczenia w oddziale Elitumlux Banku! Przypominam, że mój oddział mieści się tuż przy rynku, przy ulicy Szczęśliwej! – Już miałam zejść z podium, ale wbrew oczekiwaniom Kamila, jednak zgodnie ze swoim sumieniem, postanowiłam dodać: – Na koniec ważna rada. Proszę o rozwagę przy braniu kredytów, bo pieniądze pożyczone z banku mają to do siebie, że trzeba je zwrócić. I to z odsetkami. Ciocia, wujek, babcia może przymkną oko i podarują, ale bank nie. Do zobaczenia!

Wtedy ktoś zaczął bić brawo. Spojrzałam w kierunku, z którego dotarł do mnie dźwięk. No tak. Facet z zielononiebieskimi oczami. Założył nogę na nogę i uśmiechał się zadziornie, jakby był pewny, że zrobił na mnie wrażenie. Speszylałam się, chociaż rzadko mi się to zdarza. Za ułamek sekundy do okłasków przyłączyli się pozostali. Podziękowałam i zesłam z podestu, a moje miejsce zajął mężczyzna z sumiastym wąsem i wysokim stosem formularzy podatkowych w ramionach.

Gdy w końcu znalazłam się na pustym korytarzu, opadłam na fotel obity wyblakłym bordowym żakardem. Przyłożyłam dłoń do policzka. Poczułam ogień jak przy przeziębieniu. Spojrzałam w lustro zawieszona na przeciwległej ścianie. Na szczęście warstwy korektora, podkładu i pudru skryły rumieniec. Wyglądałam tak samo jak przed wejściem na salę, ale w środku trzęsłam się jak galareta. Miałam wrażenie, że każde uderzenie mojego serca niesie się echem po korytarzu. Przez kilka minut nie byłam w stanie się ruszyć. Czy on mnie oczarował? – zastanawiałam się, wstając z fotela i na miękkich kolanach opuszczając korytarz

domu kultury.

Przy wyjściu z tęsknym wzrokiem odwróciłam się w kierunku drzwi sali szkoleniowej.

Po powrocie do swojego gabinetu zalogowałam się do systemu analityczno-raportowego. Na monitorze komputera pojawiły się znane mi histogramy, mediany i kwartyle, ale jakoś nie mogłam się skupić. Chwyciłam słuchawkę i zadzwoniłam do Kamila.

– Blanka – zaseplenił – jak ty dzwonicz, to zawsze masz jakąś rewelację. Czyżbyś wymyśliła chwytliwą nazwę kredytu bożonarodzeniowego? – zapytał chytrze. Rzeczywiście – kilka miesięcy wcześniej wymyśliłam slogan zachęcający do wzięcia kredytu mieszkaniowego: „Nie mieszkać kątem, kup własne cztery”. Pojawił się na wszystkich billboardach, a nawet w reklamach telewizyjnych. Kredyty sprzedawały się jak świeże bułeczki.

– Nie. – Przełknęłam nerwowo ślinę. – Kamil, wróciłam właśnie z tego szkolenia z przedsiębiorczości i...

– I już masz efekty? Jakies nowe otwarte rachunki albo wnioski kredytowe?

– Przestań, przecież te dzieciaki muszą najpierw zdać maturę. Chodzi o to, że widziałam tam mężczyznę... – chciałam dodać: „o zielononiebieskich oczach”, ale żeby nie wyjść na idiotkę, ugryzłam się w język – ...który kogoś mi przypominał. Taki w średnim wieku, siedział w pierwszym rzędzie. Wiesz może, kto to mógł być?

– Ach, Blanka, i jak tu zrozumieć kobiety? Na czele z moją żoną oczywiście. Ja mam to wiedzieć? A czemu po prostu nie podeszłaś i nie zapytałaś, skąd się znacie? Czy wy, kobiety, zawsze musicie chodzić okrężnymi drogami, tak jakby prostych nie było?

– Nie miałam okazji zapytać, bo weszłam i wyszłam w trakcie szkolenia, a zaraz potem wróciłam tutaj, żeby trzymać rękę na pulsie. – Chciałam go trochę udobruchać. – Więc jak myślisz, kto mógł siedzieć w pierwszym rzędzie?

– Praktycznie każdy – odparł ze znużeniem. – Woźny, referent ze skarbowki, instruktor kółka plastycznego, nauczyciel historii, stażysta z urzędu miasta, uczeń. Lista jest nieskończona. Uzupełnij ją sobie sama.

Rozłączyłam się i usadowiłam wygodniej. Postanowiłam poszperać w sieci. Otworzyłam zakładkę „Nasi instruktorzy” na stronie domu kultury. Na szczęście każdy z instruktorów miał swoją wizytówkę wraz ze zdjęciem, więc poszło szybko. I bez efektów. Potem przejrzałam strony wszystkich techników i fotki wszystkich nauczycieli. Niewypała. Na stronie urzędu skarbowego nie było nawet nazwisk, a co dopiero zdjęć. Urząd miejski prezentował tylko fotografię prezydenta. Więcej z internetu nie mogłam wycisnąć. Szkoda. Dla mnie ten mężczyzna mógł być

kimkolwiek – referentem zarabiającym minimalną krajową, woźnym, bezrobotnym na zasiłku albo nawet bez. Nie miało to żadnego znaczenia, bo po prostu miał to coś. Gdzieś w głębi duszy czułam, że jest wpisany w mój życiowy grafik.

Tego dnia po raz pierwszy od odejścia Iwona przeszłam obojętnie obok skrzynek na listy. Dotychczas zawsze tliła się we mnie nadzieja, że może wrzucił tam kartkę z przeprosinami. Na pewno nie był mężczyzną z moich marzeń. Stałam przed windą i nacisnęłam przycisk, gdy nagle usłyszałam za sobą skrzekliwy głos:

– Pani Blanko! – Odwróciłam się. Pani Słowikowa, sąsiadka spod dwójki, starsza kobieta o posturze tyczki, wpatrywała się we mnie intensywnie zza przyciemnionych okularów, ściskając oburącz grubą kopertę ochronną. Na kopercie, wykaligrafowane zielonym flamastrem, charakterystycznym stylem Iwona, widniały moje imię i nazwisko. – Koło południa był tu ten pan, co to do pani przychodził zawsze w piątek. Ale ja to go tu dawno już nie widziałam... – Oparła się o futrynę, gotowa na dłuższą pogawędkę. – Chciał to wrzucić do pani skrytki, ale koperta nie chciała przejść przez otwór, a ja akurat wracałam z zakupów...

– Proszę mi to dać. – Wyciągnęłam rękę po przesyłkę.

– Nie jest pani ciekawa, co tam jest? – zapytała z uśmiechem słodkiej jaszczurki, ściskając kopertę, jakby mogła wyczuć, co jest w środku. – Zanim pani wjedzie na swoje piętro, to potrwa całe wieki, więc może pani wejść do mnie i u mnie otworzyć...

– Dziękuję, pani Słowikowa – powiedziałam stanowczo. Chwyciłam za brzeg koperty i niemal siłą wyrwałam ją ze szponów sąsiadki. – Do widzenia!

Po wejściu do mieszkania pierwsze kroki skierowałam do kuchni. Rzuciłam kopertę na stolik, rozpięłam płaszcz i usiadłam na krześle. Wlepiając wzrok w przesyłkę, zastanawiałam się, czy w ogóle ją otworzyć. Jeszcze kilka godzin temu, zaaferowana, zrobiłabym to już w windzie. Dziwne, ale teraz, po szkoleniu z przedsiębiorczości, wspomnienia o Iwonie jakoś wyblakły, ustępując pola przekonaniu, że pomiędzy mną a facetem o akwamarynowych oczach jest jakaś tajemnicza chemia.

W końcu sięgnęłam po nożyk do obierania owoców i rozciąłam kopertę. W środku był zapasowy komplet kluczy do mojego mieszkania. Nastroszyłam się na myśl, że dotykał ich ten zaprzędaniec, i cisnęłam nimi do zlewozmywaka. Wstałam, zagotowałam czajnik wody, a potem – rytualnie kończąc ten etap mojego życia – na przemian polewałam je wrzątkiem i środkiem do udrażniania rur. Po kilku sekundach klucze lśniły jak nowe. A mi od razu zrobiło się lepiej. Gdy wrzucałam kopertę do kosza, na podłogę wypadła mała, złożona na pół karteczka.

Podniosłam ją i przeczytałam: „Blanka, nie wiem, czy pamiętasz, ale gdy kupowałaś mikrofalówkę, to sprzedawczyni dorzuciła gratisowo minutnik do jajek w kształcie pomidora. Tak naprawdę to ja go wynegocjowałam, więc jest mój. Gdybyś mogła, prześlij mi go na adres moich rodziców”.

Nie wierzyłam własnym oczom. Ja ci dam minutnik, padalcu pospolity! Wrzuciłam karteczkę do komory zlewozmywaka, a potem podpaliłam. Wysoki płomień zgasł po chwili, zostawiając po liściku czarne, spopielałe strzępki, które od razu spłukałam silnym strumieniem wody. Alleluja i do przodu!

Minął tydzień od mojej prezentacji na szkoleniu z przedsiębiorczości. Przez ostatnie dni nieco zaniedbywałam swoje obowiązki, bo facet o zielononiebieskich oczach ciągle chodził mi po głowie, ale stwierdziłam, że czas najwyższy zstąpić z obłoków na ziemię. Postanowiłam zrobić obchód po oddziale, a przede wszystkim odwiedzić salę transakcyjną – tym razem od zaplecza.

Za pomocą magnetycznego identyfikatora otworzyłam drzwi prowadzące na tyły banku. Dyskretnie mijałam kolejne biura, łowiąc strzępki rozmów pracowników wydzwaniających do klientów z propozycją zaciągnięcia kredytu na wakacje czy skorzystania z kolejnych srebrnych i złotych kart kredytowych. W końcu bezszelestnie wśliznęłam się do sali transakcyjnej, pozostając niewidoczną dla pracowników i klientów za przepierzeniami z płyt gipsowych. Przesunęłam kilka ryz zapasowego papieru do drukarek i usiadłam na parapecie, skąd mogłam obserwować panią Basię.

Ubrana była w czarne lniane spodnie i białą bluzkę z cieniutkiej jak mgiełka bawełny, przez którą prześwitywał koronkowy biustonosz. Głęboki dekolt eksponował wgłębienie między piersiami. Czerwony, połyskujący lakier na paznokciach, na ustach karminowa pomadka. Na pierwszy rzut oka wyglądała na apetyczną babkę w średnim wieku, ale w żaden sposób nie przystawała do wizerunku pracownicy sektora finansowego, mającej wzbudzać zaufanie. A jednak miała niezłe wyniki. Ciekawe dlaczego.

Pochyliłam się, opierając łokcie na kolanach, żeby lepiej słyszeć rozmowę, którą właśnie prowadziła z klientem. Wiedziałam, że nawet jej przez myśl nie przejdzie, że siedzę tuż obok, przyczajona jak ninja. Obsługiwała gładko ogolonego faceta koło pięćdziesiątki, ubranego w garniturowe spodnie i białą koszulę z krótkim rękawem.

– ...Wydzwania i namolnie namawia do przeniesienia rachunku do ich banku – mówił facet. – Porównałem tabele opłat i prowizji. Nie ma co ukrywać, są konkurencyjni.

– Skoro tak pan mówi... – Pani Basia pochyliła się w jego kierunku i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie kłamię – odparł zmieszany, po czym przeczesał przerzedzającą się czuprynę.

– Tego nie twierdzę. Tylko proszę powiedzieć, czy dla paru złotych warto zmieniać bank? – zapytała zmysłowym głosem i poprawiła na szyi srebrny łańcuszek z przywieszką w kształcie czterolistnej koniczyny.

Wzrok klienta powędrował za jej dłonią i z rozmarzeniem zatrzymał się na opalonym zagłębieniu między piersiami.

– No... nie, oczywiście, że nie! – Mężczyzna zaprzeczył gwałtownie. – Tak tylko mówię.

– Cieszę się – roześmiała się z ulgą pani Basia. – Tak bardzo by nam pana brakowało. Przyjemnie się nam współpracuje. Proszę, oto potwierdzenie przelewu. – Podła mu druczek. – Kiedy się znów zobaczymy? Przygotuję specjalną ofertę lokaty, oprocentowanie wynegocjuję tylko dla pana – mrugnęła zalotnie.

– Może być piątek?

– Piątek to zawsze miłego początek. Będę czekała z niecierpliwością.

Facet wstał, wyraźnie wciągając brzuch, i przeciągle otaksował panią Basię na pożegnanie.

Cholera, to już do tego u nas dochodzi, że stosuje się styl „na wabika”, by nie stracić klienta? Nie miałam czasu na dalsze rozważania, bo przy biurku pani Basi usiadł kolejny klient. Tym razem kobieta – niska, na oko w moim wieku, z wydatnym brzuchem i rozbudowanymi udami, czego nawet nie starała się ukryć, zakładając kremowe legginsy i obcisłą pomarańczową bluzeczkę.

– Pani Justyno, witam serdecznie! – Pani Basia powitała ją z uśmiechem. – Jak tam dzieciątka?

– Jak to bliźniaki, dają w kość podwójnie. Ale jestem szczęśliwa, że je mam – odparła klientka, mrużąc oczy z rozmarzeniem. – Tak długo się staraliśmy, ale się udało. Wprawdzie przytyłam dwadzieścia trzy kilo...

– Ale to się nie liczy – pani Basia weszła jej w słowo.

– Właśnie. Teraz wiem, jaki jest sens życia. Przedtem czułam się zerem jako kobieta, a teraz jestem dumna pomimo tych wałeczków! – Klientka roześmiała się, wskazując palcem swój brzuch.

– Wszystko wróci do normy – pocieszyła ją pani Basia kojącym głosem. – Wiem to po sobie. Nieprzespane noce, ząbkowanie, kolki. Jeszcze będzie pani miała figurę modelki.

– Mam nadzieję. Fajnie tu u pani, ale się spieszę. Sąsiadka pilnuje mi maluchów, a jeszcze muszę zajrzeć do męża. Teraz prowadzi nasz warzywniak sam, ale jak dzieciaki trochę podrosną, to wezmę kogoś do opieki i znów będę mu pomagała. Pani Basieńko, przyszedłam tu w zasadzie z prośbą. Pani Agata, która kupiła obok nas kiosk i będzie tam sprzedawała ekologiczne pieczywo, chce założyć firmowe konto. Stwierdziłam, że najlepiej u pani. Mogę ją tu przysłać?

– Jasne. Najlepiej niech zadzwoni. Umówimy się na konkretną godzinę, żeby nie czekała. Wie pani, cenię czas naszych klientów. Tu jest moja wizytówka...

Zeszłam z parapetu. Nic tu po mnie. Tym razem pani Basia posłużyła się techniką „na przyjaciółkę”. Jest po prostu dobra, wypracowała własne, elastyczne metody postępowania z klientami. Wprawdzie odbiegają one od kanonów bankierstwa, ale każdy orze, jak może.

Już miałam wracać do siebie, kiedy przypomniała mi się pani Celina, odpowiedzialna za kredyty indywidualne. Kuleje z wynikami. W piątek tłumaczyła się wypaleniem zawodowym. Ma kaca moralnego, wciskając klientom najgorsze opcje kredytów tylko dlatego, że są najwyżej punktowane w planie sprzedaży. Płakać jej się chce, gdy klienci podpisują umowy, nie czytając zapisanej małym druczkiem klauzuli dotyczącej wymagalności spłaty całego kredytu wraz z odsetkami i karami umownymi w przypadku zaległości. Powinnam jej stanowczo powiedzieć, że jest tu po to, by dbać o interesy banku, a nie przejmować się, czy klient coś doczyta czy nie, ale nie miałam sumienia. Patrząc w okno, poradziłam tylko, by w najbliższym czasie wzięła urlop i się zrelaksowała.

W dalszym ciągu niewidoczna dla moich pracowników przeszłam za przepierzenia za stanowiskiem pracy pani Celiny. Miejsce było tak dogodne, że przez lukę pomiędzy dwoma ściankami bez trudu mogłam ją obserwować.

Naprzeciwko pani Celiny siedziało młode małżeństwo, praktycznie dzieciaki. Dziewczyna miała włosy niedbale związane gumką, czerwoną od płaczu twarz i rozmazany makijaż. Wycierała nos w strzępki chusteczki higienicznej. Chłopak był w dzinsach i bawełnianym, granatowym polo; pod pachami miał mokre plamy od potu. Spod wzburzonej, ufarbowanej na blond grzywy patrzyły gniewne oczy. Wyglądał jak kowboj, który zaraz wyciągnie z kabury załadowaną broń i jednym strzałem ujarzmi przeciwnika.

– ...Spłaciliśmy już tyle. I to się nie liczy? To świństwo, że zrywacie umowę kredytową i stawiacie całość w stan wymagalności! – Głos młodego był bliski krzyku. – Dajcie mi jeszcze kilka miesięcy. Dopiero co otworzyłem warsztat! Z dnia na dzień mam więcej klientów. Prawda, słoneczko? – zwrócił się do żony i wierzchem dłoni z czułością otarł spływające po jej policzku łzy. Przytaknęła, siorbiąc przeciągle. – Teraz, zamiast pracować – kontynuował – siedzę tu i tracę nerwy. Przecież warsztaty samochodowe nie plajtują. Sami o tym wiecie! Proszę mi coś poradzić, tak jak radziła mi pani wzięcie tego kredytu! Wtedy mówiła pani, że jest nowa oferta, kredyt lukratywny. Było tak, prawda? – Patrzył z zacięciem na panią Celinę. Nie wytrzymała tego spojrzenia. Opuściła głowę i skupiła wzrok na jakiejś kartce na biurku. Zauważyłam, że cała drży. – Mówię do pani! Czy pani mnie słyszy?

– Tak, słyszę – wyszeptala i nerwowo zagryzła wargę. Zaraz jednak

wyprostowała się i przybrała służbową pozę.

– To dobrze, bo już się bałem, że pani ogłuchła – stwierdził złośliwie. – Niech mi pani teraz łaskawie powie, jakie jest wyjście z sytuacji. Zrobię krótkie podsumowanie: kredyt dawno byłby spłacony, gdyby mi się udało szybciej uruchomić warsztat, a nie zrobiłem tego z przyczyn niezależnych – przeszła trąba powietrzna i zerwała dach. Teraz proszę mi znaleźć klauzulę, również zapisaną maczkiem, że mam możliwość późniejszej spłaty... – Nerwowo przesunął po blacie swój egzemplarz umowy. Pani Celina nawet na niego nie spojrzała.

– Jesteście państwo dorośli – zaczęła oficjalnie – i przed podpisaniem umowy powinniście się państwo z nią wnikliwie zapoznać...

– Niech się pani nie powtarza! – krzyknął. – Oszukała nas pani i tyle! Stracimy przez panią cały dorobek życiowy!

– Tak jak mówiłam, jedynym wyjściem jest podpisanie aneksu do umowy i określenie w nim innej daty spłaty kredytu, ale niestety – pani Celina bezradnie rozłożyła ręce – to nie leży w mojej gestii. Proszę wszystko opisać i udać się z podaniem do pani dyrektor.

– Ona wyrazi zgodę? – Usłyszałam cichutki, pełen nadziei głos dziewczyny, przypominający skomlenie szczeniaczka.

– Nie mogę państwu niczego obiecać – odparła wymijająco pani Celina i odetchnęła z ulgą, wiedząc, że zastosowała psychotechnikę. – Pismo możecie państwo złożyć w sekretariacie albo wysłać... – cierpliwie tłumaczyła im procedurę, świadoma, że regulamin tej umowy kredytowej nie przewiduje negocjacji z bankiem.

Ukryłam twarz w dłoniach. Tacy klienci – bez wyobraźni, niemający zielonego pojęcia o ryzyku i podpisujący umowy w ciemno – to skarb dla każdego banku. Z kolei tacy pracownicy jak pani Celina to istne cuda, zarabiające dla akcjonariuszy największą kasę. W podziękowanie kapnie im nieco premii, może nawet dostaną dyplom na firmowej Wigilii, który zaraz po wyjściu z imprezy podrą, bo sumienie nie pozwoli im się nim pochwalić przed rodziną. Współczułam jej, tak jak wszystkim innym pracującym na linii frontu, współczułam klientom, że dali się wpuścić w maliny, i współczułam sobie, że nie mam wyjścia i będę musiała rozpatrzyć podanie negatywnie.

Dyskretnie wycofałam się na korytarz. Poczulałam nagłe ssanie i pieczenie w żołądku. Miałam wrażenie, że usta i przelyk mam wypełnione kwasem solnym. Doskonale znałam to uczucie. Zgaga na tle nerwowym. Musiałam natychmiast się tego pozbyć, czyli zwymiotować lub chociażby wypluć ślinę. Od mojej dyrektorskiej ubikacji dzieliła mnie pętla korytarzy, ale tuż obok była toaleta przeznaczona dla reszty pań.

Weszłam do słabo oświetlonego pomieszczenia wyłożonego starą, popękaną glazurą. Po prawej stronie ciągnął się rząd ubikacji, oddzielonych od siebie

cienkimi ściankami z płyt pilśniowych, a po lewej było kilka umywalk. Z ulgą stwierdziłam, że drzwi do wszystkich toalet są uchylone. Wśliznęłam się do tej na samym końcu i zamknęłam. W tym momencie usłyszałam trzask drzwi i jakieś chichoty. Wyprostowałam się i oparłam o ściankę działową; w tej sytuacji musiałam poczekać.

– ...Suka jest suką i suką pozostanie. Taka się urodziła i taka umrze! – Wyteżyłam słuch. To pani Jola, obsługująca plany inwestycyjne w pakietach z ubezpieczeniem na życie.

– Przestań, to dla niej komplement. Wiesz, jaka wspaniała jest moja jamniczka Pinezka? Taka wierna, cały czas patrzy mi z miłością w oczy. – To była pani Alina, koleżanka Joli z boksu, odpowiedzialna za karty płatnicze.

– Tak, tak – potwierdziła Jola. – To reguła u psów, a nie u ludzi. Nasza bankowa suka też jest wierna, ale targetom określonym przez tych debili z centrali. A nas traktuje raczej jak pies goniący koty sąsiada, by je zagryźć.

Oparłam się mocniej o ściankę, żeby nie upaść. Już wiedziałam. To mnie wzięły na tapetę. Usłyszałam dźwięk zapadek w drzwiach kabin.

– A tak w ogóle – widziałas ją dzisiaj? – Alina przekrzykiwała szum spuszczonej wody.

– Na szczęście nie. Na pewno siedzi w swojej dziupli, przegląda raporty i zastanawia się, kogo dzisiaj opierdzielić! – Zarejestrowałam dźwięk otwieranych drzwi i szum wody w umywalce, a potem szelest papierowych ręczników.

– Przetrwaliśmy wcześniejszych, przetrwamy i Borkową. Może w końcu wezmą ją do centrali albo podkupi ją konkurencja?

– Oby. Będziemy miały spokój. Nas, weteranek, nic nie zdziwi, ale trzeba przyznać, że nie znam większej wywłoki.

– Tak, masz rację. Uwaga, muszę sobie ulżyć! – Usłyszałam kilka głośnych klaśnieć i chrząknięcie. A potem: – Nasza dyra jest pukniętą kanałą podle opętaną pieprzonymi targetami!

– Dobrze to było! Ale dajmy już dziś spokój tej pokręconej suce. Dobrze, że ma swój kibel.

Usłyszałam trzask zamykanych drzwi i głosy ucichły.

Gotowało się we mnie. Ja suką? Miałam ochotę wybiec za nimi i wykrzyknąć, że taki epitet akurat pasuje do nich jak ulał. Z pozoru sąsiadujące stanowiskami gruchające do siebie gołąbeczki, a tak naprawdę obłudnice i śmierdzące lenie. Obie od początku mojego dyrektorowania próbują mi się podlizać. Gdy wczoraj robiłam obchód po sali transakcyjnej i podchodziłam do stanowisk, jedna na drugą nadawała, niby mimochodem. Pewnie myślały, że uznają to za zasługę i sypną premią. „Ale się zrobiła kolejka do Joli. Tak to jest, jak się po śniadaniu idzie jeszcze na papierosa...”; „Pani wygląda tak promiennie po weekendzie, po prostu super. Ale niektórych to warto by sprawdzić alkomatem,

impreszki były, oj, były...”, szeptwała Jola, wskazując na Alinę brodą; „Jestem wykończona, dzisiaj u mnie młyn, a u Jolki jak zwykle luzy...”; „Tak, pani dyrektor, prawda, jak zawsze ma pani stuprocentową rację. Nie ma tu podpisu klienta, ale Alina tak głośno gada, że nie słyszę własnych myśli, rozprasza mnie...”.

Nie znoszę uprzejmie donoszących. Najdziwniejsze, że się nie zrażają, choć konsekwentnie je ignoruję. Wzajemne podkładanie świń to ich chleb powszedni. Nigdy żadna z nich nie osiągnęła średniego targetu oddziału, nie do końca realizowały opracowywane wraz ze mną plany naprawcze. Kiedy prosiłam o wyjaśnienia, płakały, szlochały i twierdziły, że potrzebują wsparcia. Próbowałam im pomóc, instruowałam, demonstrowałam, wysyłałam na szkolenia. Gdybym chciała je zwolnić, już niejedną raz miałam ku temu podstawy.

Chwilę potrwało, zanim się uspokoiłam. Wyszłam z łazienki, klnąc pod nosem. W głowie kołatała mi się myśl, by jeszcze tego dnia wręczyć im wypowiedzenia. Ale postanowiłam być ponad to. W każdym zespole trafia się jakaś kanalia. Nie ta, to inna.

Gdy weszłam do sekretariatu, kątem oka zauważyłam siedzące na fotelach dla gości młode małżeństwo, to samo, które przed chwilą siedziało przy stanowisku pani Celiny. Na mój widok wstali, jakby chcieli wejść ze mną do gabinetu.

– Proszę dać mi chwilę – rzuciłam i nie patrząc na nich, zamknęłam im drzwi przed nosem.

Opadłam na fotel. Oparłam łokcie na biurku i skryłam twarz w dłoniach. Cholera, ten kredyt lukratywny to naprawdę ostatnie badziewie. Jak mogli dać go sobie wcisnąć? Przecież umowa nie przewiduje żadnych aneksów...

Drzwi się uchyliły i do gabinetu weszła sekretarka z plikiem dokumentów do podpisania. Spojrzałam na nią uważniej po raz pierwszy tego dnia. Wprawdzie miała na sobie białą jedwabną bluzkę, ale na dół założyła legginsy tak obcisłe, że odznaczały się pod nimi dołek pępka i wzór koronki stringów. Ręce mi opadły, ale udałam, że tego nie widzę – mówić do niej to jak rzucać grochem o ścianę.

– Pani Jula dzwoniła trzy albo cztery razy. Pytałam, czy coś pani przekazać, ale odmówiła, bo to podobno sprawa prywatna. – Wyraźnie podkreśliła dwa ostatnie słowa i naburmuszona wydeła policzki. Wiedziałam, o co biega. Przed kilkoma dniami, gdy telefon w sekretariacie dzwonił jak szalony, wyszłam zobaczyć, co się dzieje, i złapałam ją na buszowaniu po Allegro. Gdy powiedziałam, aby prywatne sprawy załatwiała poza godzinami pracy, stwierdziła, że całe jej życie wypełnia praca, bo myśli o niej nawet po powrocie do domu. Więc co to za różnica?

– Coś jeszcze? – W tej chwili niczego tak nie pragnęłam, jak tego, by zeszła mi z oczu.

– Tak. Te szczawiki – pokazała brodą w stronę drzwi – mnie stresują.

Mazgają się, bo nie dają rady ze spłatą kredytu. Mogłaby ich pani przyjąć, bo dostanę szału, nerwicy albo depresji! Chodzi o kredyt lukratywny. Przecież i tak wiadomo, że nie będzie zgody...

– Mogą wejść – powiedziałam, sama nie wiem dlaczego, bo wiedziałam, że mam ręce związane paragrafami. Wystarczyło wziąć podanie, bez czytania napisać czerwonym flamastrem na skos „Nie wyrażam zgody” i mieć problem z głowy. Nie musiałabym nawet spojrzeć im w oczy. Wiem, za drzwiami mogłaby wybuchnąć awantura, ale od tego przecież mamy ochronę.

Weszli, trzymając się za ręce. Wyglądali jak Jaś i Małgosia, zagubieni w gęstym lesie i drżący ze strachu przed czarownicą. Wydawali mi się jeszcze młodszy niż przed kwadrans. W ich oczach dostrzegłam cień nadziei, że może jednak szpony złej wiedzy nie będą tak drapieżne. Przywołałam na twarz standardową, nieprzeniknioną minę, starałam się na nich patrzeć bez cienia emocji. Odkąd zaczęłam pracę w bankowości, przekonałam się, że taki wyraz twarzy jest najlepszy w trudnych sytuacjach. Działa jak tarcza, chroniąc przed próbami szantażu emocjonalnego.

Wylęknięci spojrzeli na mnie i resztki ich optymizmu ulotniły się jak powietrze z przedziurawionego balonu. Rozluźnili uścisk dłoni. Chłopak, ociągając się, podał mi napisane odręcznie podanie. Milczeli. Kartka była od góry po sam dół zapisana niewprawnym, chwiejnym pismem. Sekretarka przynosiła mi kilka takich petycji tygodniowo – zawsze w teczce z napisem „Do rozpatrzenia”. Następnie stała nade mną, gdy ja, bez czytania, nanosiłam na każdym z nich szablonową klauzulę „Nie wyrażam zgody”.

Wzięłam do ręki czerwony flamaster, gdy chłopak odezwał się zduszonym głosem:

– Pani dyrektor, bardzo panią prosimy... Jeżeli dostaniemy odmowę, stracimy wszystko. Zostało nam jeszcze tylko czternaście rat...

– Opisałam sytuację z detalami – wyszeptała dziewczyna, pociągając nosem.

– Terminy spłaty rat kredytu zostały sprecyzowane w umowie kredytowej, którą państwo podpisaliście – odezwałam się pouczającym tonem. – W umowie jasno i wyraźnie postanowiono, że w razie niezapłacenia którejkolwiek z rat...

– Tak, teraz już to wiemy – przerwał mi chłopak z rozgoryczeniem. – Ale wcześniej nie przeczytaliśmy tych ledwo widocznych paragrafów.

– Jak można nie przeczytać umowy w całości? – Udawałam, że nie słyszałam jego ostatniej uwagi. – Mogliście państwo wcześniej wziąć do domu wydruk standardowej umowy i spokojnie przeanalizować punkt po punkcie, a dopiero potem ją podpisać.

– A tak można? – zapytała dziewczyna, przyciskając chusteczkę do opuchniętego nosa. Stała nade mną, pełna żalości, jak nad grobem kogoś bliskiego.

– Oczywiście – skwitowałam, ściągając zatyczkę z czerwonego markera.

Tak naprawdę miałam ochotę wstać, porządnie nimi potrząsnąć i raz na zawsze wybić im z głowy podpisywanie bankowych cyrografów bez czytania. – Ponadto trzeba podejmować realne zobowiązania – kontynuowałam – a nie patrzeć na życie przez różowe okulary.

– Ale nam się przydarzyły nieprzewidziane okoliczności. Nikomu wcześniej nie przyszłoby do głowy, że trąba powietrzna może zrujnować dach warsztatu. Nawet najstarsi sąsiedzi nie pamiętają takiego przypadku...

– Niestety, w umowie nie ma klauzuli o wyjątkach związanych z klęskami żywiołowymi – tłumaczyłam. – Mogliście państwo wziąć kredyt z możliwością skorzystania z tak zwanych wakacji kredytowych. Wprawdzie jest trochę wyżej oprocentowany, ale daje możliwości.

– Mądry Polak po szkodzie. – Dziewczyna załkała cichutko.

– Dobrze, zapoznam się z państwa podaniem – powiedziałam, choć sama nie wiedziałam po co. – Jutro koło południa będziecie państwo mogli odebrać w sekretariacie pisemną decyzję w tej sprawie.

– Ale... – Chłopak podjął jeszcze próbę negocjacji, ale ucięłam:

– Jutro wszystko będzie jasne.

Gdy wyszli z ociąganiem, jakby czuli niedosyt, oparłam się ciężko o zagłówek fotela. Naprzeciwko mnie, na ścianie, wisiała reklama naszego banku. Mężczyzna w markowym garniturze szedł chodnikiem. W jednej ręce niósł menedżerską aktówkę, a drugą przyciskał do ucha telefon komórkowy. Sprawiał wrażenie wyluzowanego człowieka sukcesu. Wielki napis na tle chmur nad jego głową głosił: „Jesteś nie tylko naszym klientem. Jesteś naszym przyjacielem”.

– Szkoda, że niektórzy nabierają się na te głodne kawałki – mruknęłam pod nosem, pochylając się nad podaniem.

Gdy skończyłam czytać, znów ciężko oparłam głowę. Rzeczywiście los się na nich wziął. Prawdziwa kumulacja nieszczęść: trąba powietrzna, brak klauzuli zobowiązującej ubezpieczyciela do wypłaty odszkodowania w takim przypadku, fatalne warunki pogodowe, które przez kilka tygodni uniemożliwiły pracę ekipie budowlanej, ciąża zakończona wewnątrzmacicznym obumarciem płodu, a zaraz potem niespodziewana śmierć ojca chłopaka w wyniku rozległego wylewu krwi do mózgu.

Włączyłam w fotelu funkcję bujania, z której prawie nigdy nie korzystałam. Czy jestem w stanie im pomóc? Z raportów i badań, które bank zleca instytucjom zewnętrznym, wiem, że wśród wszystkich klientów proszących o aneksy do umów kredytowych są i tacy, którzy na prolongatę nie zasługują, bo zamiast spłacać raty, woleli wyjechać na luksusowe wakacje albo kupić kolejny samochód. Wzięłam do ręki podanie i przejrzałam przypięte do niego załączniki: zaświadczenie z wydziału środowiska o trąbie powietrznej, wypis ze szpitala ginekologicznego, akt zgonu. Wszystko udokumentowane. Czarno na białym.

Sięgnęłam po słuchawkę i długo obracałam ją w dłoniach, układając plan rozmowy. Wreszcie chrząknęłam i pełna niepokoju wybrałam numer Kamila.

– Cześć – powiedziałam. – Słuchaj, mam tu szczególny przypadek, który wykracza poza moje kompetencje. Chodzi o aneks do lukratywnego...

– Jesteś niedouczona czy co? – przerwał mi. – Przecież nie ma takiej opcji i już.

– Wiem. Tyle że tu chodzi o bliskiego krewnego.

Po drugiej stronie zapanowała cisza, a potem usłyszałam charakterystyczny ropuszy rechot.

– Blanka, bo pęknę ze śmiechu! Czy ty wcisnęłaś to dziadostwo komuś z rodziny?

– Tak. Przecież mamy z tego największe profity. – W słusznej sprawie potrafiłam kłamać jak z nut.

– Dobra, masz moją zgodę. Ale tylko ten jeden raz – zaznaczył, zmieniając ton na poważny. – I nie wciskaj już ciotkom czy innym pociotkom tego chłamu. A na marginesie, gratuluję, twój oddział przynosi spore zyski, a akcjonariusze zacierają ręce...

Głędził coś jeszcze, ale go nie słuchałam. Cieszyłam się tak, że gdyby był obok mnie, ucałowałabym go z wdzięczności w te chomicze policzki.

Gdy skończył, poprosiłam do gabinetu panią Celinę. Weszła skulona, trzymając w ręce jakieś dokumenty.

– Pani dyrektor, wiem, nie powinnam ich do pani przysyłać, znam regulamin tego kredytu... – tłumaczyła przepaszająco. – Oczywiście mam już przygotowaną odmowę. – Położyła na biurku kilka zadrukowanych kartek spiętych zszywką. – Skorzystałam z rutynowego wzorca. Wpisałam dane. Wystarczy podpisać.

– Niepotrzebnie – odparłam. – W tym przypadku będzie prolongata na dwa... nie, na trzy lata. Proszę przygotować nową decyzję.

– Pani dyrektor... – zawiesiła głos – mogła pani od razu powiedzieć, że to rodzina albo przyjaciele. Zaproponowałabym...

– To tacy sami klienci jak wielu innych – ucięłam i zgarnęłam z biurka dokumenty, które przyniosła. Policzyłam. Cztery arkusze. Tyle wystarczy, by zrujnować komuś życie, pomyślałam, wsuwając je pojedynczo do podajnika szumiącej z satysfakcją niszczarki.

W końcu zostałam sama. Miałam dość. W wygodnym dyrektorskim fotelu, o którym inni mogą tylko marzyć, czułam się jak w pułapce, do której sama ochoczo weszłam. Czy rzeczywiście tego pragnę? Nie. Tak naprawdę pragnęłam być aniołem podszeptującym innym, by nie wierzyli reklamom banków, tylko sto pięćdziesiąt tysięcy razy przeczytali ze zrozumieniem umowę przed jej podpisaniem, a wcześniej uderzyli się młotkiem w głowę i zastanowili, czy będą w stanie udźwignąć takie zobowiązanie. Fajnie by było, tyle że za to nikt by mi nie

płacił, a ja muszę utrzymać się sama, nie mam sponsora.

Wstałam i podeszłam do okna. Tuż pod nim, po drugiej stronie ulicy, parkowało właśnie brązowe terenowe audi. Miałam wrażenie, że nawet przez szybę czuję zapach nowości i luksusu. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły i ze środka wyskoczył pełen energii facet koło czterdziestki, ubrany w czarno-turkusową kurtkę narciarską. W kilku susach okrążył auto i otworzył drzwi od strony pasażera, pocałował w usta roześmianą dziewczynę, co najmniej kilkanaście lat młodszą od niego, i pobiegł w stronę bankomatu. Tak, pomyślałam z zazdrością, zaaplikuje sobie zastrzyk gotówki i zaraz popędzą na zagraniczne wojaże. Kolejny forsiasty facet bawi się maskotką, której wyniki banku zapisane w diagramach nie nawiedzają nawet w snach. Ach, niektóre to mają szczęście. Zupełnie mimowolnie pomyślałam o tajemniczym mężczyźnie ze szkolenia. A zaraz potem o pierścionku cioci Jusi. Tym z zielononiebieskim oczkiem. Ciekawe, co się stało z tym cudёнkiem. Potrafiłam wpatrywać się w niego godzinami. Akwamaryn, niby martwa rzecz, a tak bardzo mnie czarował. Może przez bajanie ciotki, że to kamień aniołów. Szkoda, że ciotki już nie ma. Umarła, gdy byłam krótko po skończeniu studiów, prawie dwadzieścia lat po tragicznej śmierci swojego narzeczonego, darczyńcy pierścionka. Wszyscy mówili, że łączyła ich miłość sięgająca poza grób. I tak zostało. Pomimo że różni mężczyźni starali się o względy ciotki Jusi, ona odrzucała umizgi, bo nie mogła zapomnieć o miłości swojego życia.

Sięgnęłam po prywatną komórkę. Wiedziałam, że mama jest w domu. Prezes firmy, w której pracowała, zamykał zakład od listopada do lutego, bo nie było zapotrzebowania na produkowane przez nich lody. Wysyłał pracowników na płatne urlopy, dzięki czemu mama mogła sobie pozwolić na cztery miesiące lenistwa. Spojrzałam na zegarek. Zbliżała się jedenasta.

Odebrała po pięciu sygnałach.

– Stało się coś? – zapytała zaspana.

– Mamo, gdzie jest pierścionek cioci Jusi? Ten z akwamarynem? – zapytałam bez wstępów.

– Pierścionek po Jusi... – mamrotała na granicy jawy i snu. – Z takiego powodu budzisz mnie w środku nocy?

– Mamo, jest prawie jedenasta!

– W nocy?

– Nie! W dzień! Najwyższa pora na pobudkę! – napominałam. Wieczne rozmawianie mamy przyprawiało mnie o palpacje.

– Blanka, czy ty nie rozumiesz, że od marca ciężko pracowałam i muszę odreagować? – zaczęła jęczeć, już nieco przytomniejsza. – Czytałam wczoraj wieczorem artykuł o *karoshi*, czyli śmierci z przepracowania. Mam wszystkie objawy. Zasuвам codziennie od siódmej do jedenastej i jestem wypalona

zawodowo. Rozumiesz?

– Tak, oczywiście – przytaknęłam dla świętego spokoju, blokując tym samym potok pretensji i żalów. Swoje wiedziałam. Zadaniem mamy było odebranie kilku telefonów dziennie. W pracy załatwiała wszystkie prywatne sprawy: wymieniała się z koleżankami najnowszymi plotkami, na forach dorzucała swoje trzy grosze w dyskusjach na temat tego, gdzie kupić dobrze modelujący stanik albo czym smarować zniszczone dłonie, czytała newsy ze świata gwiazd, kupowała ciuchy, sprawdzała pogodę, horoskopy, program telewizyjny i czytała dowcipy. Po powrocie z pracy demonstracyjnie zakrapiała przesuszone od gapienia się w monitor oczy i padała na fotel lub kanapę. Ze zmęczenia oczywiście. Miała jednak dość siły, by sięgnąć po pilota od telewizora i do późnej nocy nie wypuścić go z ręki.

– O co pytałaś? – zapytała, udobruchana moją pozorowaną empatią.

– O pierścionek ciotki Jusi z akwamarynem.

– Z tym bezpłciowym, wyblakłym, dawno niemodnym kamieniem, który przypomina wodę rozmieszaną z kroplą niebieskiej plakatówki?

– Tak, mam, dokładnie – potwierdziłam, wywracając oczami. Zirytowała mnie, ale wdawanie się w dyskusje nie leżało teraz w moim interesie.

– Całą biżuterię ciotki dałam Iwonie. Nic mi po niej. Mam swoją.

– Mamo, przecież Jusia wielokrotnie zaznaczała, jak rozporządzić spadkiem! Zostawiła nawet testament. – Mój głos zaczął kipieć od pretensji.

– Przecież zrobiłam dokładnie tak, jak chciała. Sprzedałam dom i kupiłam po mieszkaniu tobie i Iwonie. Zgadza się?

– Tak, ale wszystko miało być podzielone równo...

– I tak się stało. Nie zarzucaj mi, że jestem niesprawiedliwa. Czy naprawdę chodzi ci o te kilka gramów złota? – dociekała, podczas gdy ja odgrzebałam w pamięci wspomnienie ciocinej szkatułki.

Stała w sypialni, na toalecie. Całkiem spora, srebrna, w kształcie serca, zdobiona wypukłymi motywami kwiatów, wyłożona czerwonym aksamitem. Ciocia pozwalała mi zachwycać się jej zawartością do woli. Ostrożnie wyciągałam jubilerskie cacka i jedno po drugim przymierzałam, przeglądając się w kryształowym lustrze: kolie z białego złota wysadzaną rubinami, naszyjnik z szafirem, kilka przepięknych ażurowych bransolet, łańcuszek, sporo przywieszek z naturalnymi kamieniami i co najmniej kilkanaście pierścionków. Zakręciło mi się w głowie. Dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę z ich wartości. Przecież to unikatowe cuda, stworzone przez mistrzów jubilerstwa w czasach, gdy nie było syntetycznych kamieni i tandetnej masówki. Ile były warte? Majątek!

– Mamo – zmieniałam ton na pojednawczy – proszę, porozmawiaj z Iwoną. Niech da mi choć ten pierścionek z akwamarynem.

– Blanka, chyba ci się w głowie pomieszało. Iwona nie gustuje w takich

błyskotkach. W czasach licealnych i studenckich preferowała rzemyki, ćwieki, len, szkiełka, kryształki i piórka, ale potem poszła po rozum do głowy i teraz nosi tylko brylanty – mówiła matka lekkim tonem. W tle słyszałam, jak przechodzi do kuchni, wlewa wodę do czajnika i stawia na gazie. No tak, najwyższa pora na kawkę. – Tylko one do niej pasują. Tamte świecidełka sprzedała.

Zamurowało mnie.

– Komu?

– Nie mam pojęcia! – rzuciła zirytowana. – Poczekaj chwilę. – Wiedziałam, że wysypuje do kubka neskę. Zaraz ją zaleje, doda mleka z kartonu, trzy łyżeczki cukru i będzie szczęśliwa. Widziałam to tysiące razy. – Wiem tylko, że proponowała znajomym, więc kupowali te rzeczy na upominki z różnych okazji, wiesz, chrzty, imieniny, gwiazdka...

– Mamo, a ile mama ma córek?

– Dwie – odparła zdziwiona.

– Więc dlaczego wszystko po cioci Jusi dostała Iwona?

– Nie wymyślaj. Powtarzam: kupiłam dwa mieszkania, a świecidełka dorzuciłam Iwonie, bo ty dostałaś wykształcenie. Taka mała rekompensata.

– Mamo, przecież nie kupiliście mi dyplomów na bazarze. Studiowałam na państwowej uczelni, a chesne za podyplomówki pokryłam sama. To wyłącznie wina Iwony, że poprzestała na licencjacie – tłumaczyłam cierpliwie, choć w środku się gotowałam.

– Wiesz co, Blanka? Wkurzasz mnie – stwierdziła mama ze wzgardą. – Myślisz, że każdy ma tyle czasu i taką głowę do nauki jak ty? Weź pod uwagę, że Iwonka to artystyczna dusza. Ona szuka w życiu piękna, a ty jesteś taką materialistką, że aż przykro.

– Dobrze, mamo. Niech te pieniądze przyniosą jej szczęście, a ja sobie w życiu poradzę! – uciełam, wyprowadzona z równowagi jałowością tej dyskusji.

– Właśnie! – przytaknęła matka, jakby sprawa została raz na zawsze wyjaśniona. A potem odezwała się słodko: – Wiesz co? Teraz sobie przypominam... Jakiś czas temu Iwonka powiedziała mi, że ze wszystkich tych znoszonych błyskotek Jusi został tylko ten pierścionek z wyblakłym oczkiem. Wstyd jej było zaproponować go komuś znajomemu, bo kolor kamienia przypominał sprane majtki, więc zaniosiła go do lombardu. Nie wierzę, żeby ktoś go kupił, więc...

– Mamo, muszę kończyć.

Przygotowałam listę wszystkich lombardów w mieście i zaczęłam je obdzwaniać. Mogłam pójść na skróty – zadzwonić do Iwony i zapytać, gdzie zastawiła pierścionek, ale nie byłam w stanie. Czułam się oskubana przez

doskonale zgrany duet, czyli własną matkę i rodzoną siostrę. Wiedziałam, że złość mi przejdzie, ale musiałam dać sobie czas na odreagowanie.

– Akwamaryn? – W ósmym lombardzie usłyszałam znudzony męski głos. – Czy chodzi pani o taki przejrzysty, zielonkawy kamień?

– Tak! – potwierdziłam podekscytowana.

– Złoty pierścionczek z lancetowatym kamieniem i osadzonymi wokół szkiełkami?

– Tak!

– Moment... Chyba mam, ale muszę się upewnić... – Moje serce ruszyło do sprintu. – Ech... Już go nie ma. Leżał dość długo, nawet musieliśmy go ocierać od czasu do czasu z kurzu. W końcu ktoś się napalił. Mam zapisaną datę sprzedaży. Tak, poszedł dwa tygodnie temu.

– A czy może mi pan powiedzieć, kto go kupił?

– Pani chyba żartuje! – Zaśmiał się obcesowo. – Zapisujemy dane, kiedy ktoś kupuje samochód, ale nie tanią tandetę. Coś jeszcze?

– Tak. – Czulałam, jak opadają mi ramiona. – Czy powie mi pan, za ile poszła ta... tandeta?

– No dobra. – Facet westchnął ostentacyjnie. – Nie powinienem, ale powiem. Za dwieście trzydzieści złotych. Do widzenia.

W piątek, szóstego grudnia, tuż po siedemnastej odfajkowałam w komputerowym terminarzu wszystkie załatwione sprawy i swoim zwyczajem podeszłam do okna. Od rana świat się zmienił. Wszystko jak z bajki! W poblasku świateł widziałam spadające z nieba duże płatki śniegu. Na skwerze naprzeciwko stała rozłożysta choinka, roziskrzona kolorowymi światełkami. Wszystkie drzewa wzdłuż ulicy – od pnia po sam czubek – były otulone sznurami lampek. Mikołaj jedną ręką przyklejał sztuczną białą brodę, a w drugiej trzymał telefon komórkowy, gnając przed siebie. W oknach przejeżdżającego autobusu mignęły uśmiechnięte fluorescencyjne aniołki. Mikołajki. Nastął początek świątecznego szaleństwa.

Powróciły wspomnienia z dzieciństwa, prezenty przynoszone przez wujka Kazia przebranego w czerwony kombinezon roboczy ozdobiony wata, wtaczającego się do naszego małego saloniku. Najpierw było widać okazały brzuch, a potem całą resztę wujka. Szybko przekonałam się, że płomienne rumieńce to efekt różu mamy, siwe brwi to przyklejone strzępki filcu, a wydatny brzuszko był zasługą wepchniętej pod strój poduszki. W pierwszym momencie chciałam go wyśmiać i zdemaskować, ale gdy zauważyłam rozdziawioną z emocji buzię Iwony, dałam sobie spokój. Pamiętam, jak rozrywała szeleszczące opakowanie i wyciągała lalki, mówiące i zamykające oczy, kolorowe domki z plastikowymi mebelkami, toaletki z lusterkami dla małej modnisi, zestawy

koralek do samodzielnego wykonania błyskotek... A ja? Siedziałam obok na dywanie i z udawanym entuzjazmem patrzyłam na zestaw doświadczalny małego chemika, globus, kostkę Rubika, cyrkiel techniczny, tabliczkę mnożenia, składającą się z małych drewnianych elementów, ćwiczenia z ortografii... Już od kołyski była zaprogramowana inaczej niż ja. Tak jakby mama ustawiła nam różne parametry. Ach, nie ma co wspominać...

Ponownie usiadłam za biurkiem i wzięłam do ręki pustą ramkę na zdjęcie. Jeszcze w lipcu była w niej fotka z Sopotu. Wiał porywisty wiatr. W czerwonej kurtce przeciwdeszczowej ze ściągniętym troczkiem kapturem stałam wśród mew na brzegu morza. Obok Iwo w zielonym polarze i pomimo zachmurzonego nieba – w okularach przeciwsłonecznych. Tulił mnie, chroniąc przed zimnem. Wydawało się, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Zrobiło mi się smutno. Cholera, znowu spędzę samotnie weekend. Po raz kolejny popatrzyłam na zegarek. Siedemnasta czterdzieści. Wszyscy w oddziale na pewno nie mogą się doczekać osiemnastej i weekendu, a ja wołałabym, żeby był już poniedziałkowy poranek. Do czasu, gdy Iwo mnie rzucił, było odwrotnie. Marzyłam o dwóch dniach wolnego. Teraz byłam markotna, bo nie miałam pomysłu, jak je spędzić. Niby luksus. Mogę robić, co chcę, kiedy chcę i jak długo chcę. Kiedyś o tym marzyłam. Ale moje życie prywatne to w tej chwili kompletna pustka. A przecież jak każda kobieta potrzebowałam faceta, nie mówiąc już o kimś, kto zadba o rodzinę i będzie prawdziwym wsparciem, a nie nieudolnym patałachem, któremu trzeba wycierać nos i płacić za niego rachunki.

Wzdrygnęłam się na dźwięk interkomu. Odebrałam z niechęcią.

– Sorry, ale przyszedł pan zainteresowany założeniem rachunku – poinformowała mnie sekretarka.

– Świetnie. Proszę skierować go do sali transakcyjnej. O tej porze mamy mały ruch, szybko zostanie obsłużony – zbywałam ją.

– Proponowałam mu to, ale mówi, że albo pani, albo nikt.

– Wygląda na oszołoma albo innego wariata? – Zaniepokoiłam się, bo dość często zdarzały mi się naloty furiatów, niezadowolonych z rzeczywistych zysków z lokaty połączonej z funduszem inwestycyjnym. Może pod niewinnym pretekstem wtargnie tu jakiś zadymiarz i opętany żądzą wyrównania krzywd, wyciągnie z kieszeni małogabarytowy pistolet maszynowy, by dokonać prywatnej egzekucji? Takie scenariusze raz po raz jawiły się w mojej głowie.

– Raczej nie – zaprzeczyła sekretarka szeptem. – Ponoć sama mu pani obiecała, że bez wahania może się do pani zwrócić.

– Dobrze, niech wejdzie – westchnęłam zrezygnowana. Masz za swoje, pomyślałam. Na lewo i prawo rozdajesz wizytówki w nadziei na złapanie kolejnego klienta...

Znudzona patrzyłam, jak drzwi się otwierają. I nagle zaparło mi dech.

To był on. Facet ze szkolenia. Wszedł do mojego gabinetu zdecydowanym, energicznym krokiem i stanął przed biurkiem. W brązowej, rozpiętej kurtce puchowej, spod której wyłaniał się beżowy wełniany golf, wydawał mi się obłudnie przystojny. Nie przywitał się, nie odezwał słowem, tylko po prostu wpatrywał się we mnie zuchwale fascynującymi akwamarynowymi oczami zza zwichrzonej grzywki w kolorze neski z mlekiem. Emanował pozytywną energią, ale przede wszystkim silnym ego, może z nutką zarozumiałstwa. I przekonaniem, że nie musi udowadniać swojej atrakcyjności.

Serce podskoczyło mi do gardła. Kretynko, on po prostu przyszedł założyć rachunek, przywoływałam się do porządku. Opanuj się, bo zaraz ochrona wezwie pogotowie psychiatryczne. Może akurat ma dyżur twój kuzyn. Spójrzy na ciebie jak na opętaną i kiwając głową ze zrozumieniem, stwierdzi: „Można się było tego po tobie spodziewać”.

Wskazałam fotel naprzeciwko. Wciąż milcząc, powoli zdjął kurtkę, nonszalancko rzucił ją na oparcie i usiadłszy, założył nogę na nogę. Chłonąc każdy jego ruch, starałam się przyjąć służbową postawę. Cisza, o dziwo, wcale nie ciążyła – jak pomiędzy przyjaciółmi albo starym dobrym małżeństwem – ale musiałam ją przerwać, w końcu byłam w pracy.

– Chce pan u nas założyć rachunek, tak? – Starałam się, by zabrzmiało to konwencjonalnie, ale usłyszałam ciepły, melodyjny, nieznan mi tembr własnego głosu. Do jasnej cholery, nie zachowuj się jak jakaś pieprzona zalotnica!

– Szczerze? – Miał niski głos z charakterystyczną chrypką. Dobrze, że siedziałam, bo łydki mi zmiękły z wrażenia. Taka barwa głosu zawsze mnie kręciła. – Naprawdę szczerze?

– Oczywiście – zapewniłam, ale w głowie zawyła mi syrena alarmowa. To może być kolejny przeciętny frajer albo nachalny niewypłacalny typ, który chce mnie naciągnąć na kredyt wysokiego ryzyka, by pohulać na Malediwach. Potem nie spłaci. Cholera jasna, nie daj się omamić, musisz być asertywna!

– Przyszedłem... – oderwał się od oparcia fotela i z zaróżowionymi policzkami nachylił w moją stronę – ...przyszedłem... – Bawił się mną. Świadomie trzymał w napięciu, czuł się swobodnie, nawet za bardzo, i to mnie deprymowało.

– Tak naprawdę chce pan wziąć kredyt, prawda? – Postanowiłam go trochę zgasić. Nie patrząc mu w oczy, zaczęłam bezsensownie przesuwając przedmioty na biurku. Nabierałam pewności, że pod tymi niezwykłymi oczami kryje się pospolity bajerant pasożytujący na kobietach. Pewnie myśli, że i ze mną pójdzie mu jak z płatka. Myli się! – Czy mam rację? – Tym razem mój głos zabrzmiał pewniej. Prawie profesjonalnie.

– Nie.

– Proszę przejść do konkretów, bo za chwilę kończę pracę. – Zerknęłam na niego. Wciąż wpatrywał się we mnie magnetyzująco.

– Po prostu chciałem panią zobaczyć – odparł i lekko się uśmiechnął, eksponując dołeczki w policzkach, co jeszcze bardziej dodawało mu uroku. Z wrażenia zaschło mi w gardle. W dole brzucha poczułam ciepło, które powoli ogarniało całe moje ciało. Bezwiednie obracałam w dłoniach długopis z logo naszego banku, podczas gdy on przyglądał mi się z ciekawością. – Blanka...

Spiorunowałam go wzrokiem. Spoufalanie się z bankowym klientem przy pierwszej rozmowie jest zakazane jak lalka Barbie w Iranie.

– Tykać to pan może razem z zegarem pod ratuszem – wyrzuciłam z siebie z impetem karabinu maszynowego. – Nie przypominam sobie, żebyśmy przepili brudzia. Myśli pan, że wystarczy na mnie pstryknąć palcami i...

– Blanka – przerwał mi ze śmiechem – nie zachowuj się jak najeżona kotka. Nie zamierzam brać u ciebie kredytu. Musiałbym chyba ze schodów spaść i niedomagać na głowę, żeby się dać okantować na takie lichwiarskie odsetki. Wiem, że mnie pamiętasz. Jestem Marcel. A propos brudzia, wprawdzie będzie to keczup po frytkach, ale chodźmy się napić grzańca na rynek. Z tym rachunkiem to była czysta ściema. Nie bój się, nie jestem żadnym oszołomem. To jak? Zgoda?

Gdy wyszliśmy z biurowca, otuliłam głowę kapturem płaszcza, obszytym futerkiem. Pomimo kilkustopniowego mrozu było mi przyjemnie ciepło. Od rynku dzieliło nas zaledwie kilka kroków. Przedświąteczny jarmark trwał w najlepsze. Wokół pomnika legendarnego założyciela miasta stało mnóstwo straganów – komercja w pełnej krasie. Zewsząd rozbrzmiewały kolędy, a my przechadzaliśmy się wśród sprzedawców oferujących drewniane figurki reniferów, czapeczki elfów, świecące setkami barw diodowe lampki, zestawy pachnących świeczek, śnieg w sprayu i wiele innych kiczowatych przedmiotów, z nielicznymi rękodzielniczymi wyjątkami. W końcu usiedliśmy przy jednym ze stolików wystawionych na zewnątrz kawiarni Fanaberia. Z założenia był to ogródek letni, ale szefostwo zadbało o komfort klientów także przy ujemnych temperaturach, ustawiając na środku koksownik. Każdy z gości dostawał też polarowy pled. Śmiejąc się, piliśmy z przezroczystych szklanek z uszkiem aromatyczne grzane wino i zagryzaliśmy je korzennymi pierniczkami, polanymi kolorowym lukrem. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów czułam się najzwyczajniej w świecie szczęśliwa.

– Blanka... – Marcel pochylił się do mnie i musnął opuszkami palców moją dłoń. – Od tamtego dnia w domu kultury mam w mózgu demolkę. Siedziałem tam, znudzony jak poseł na obradach sejmku, ale gdy weszłaś na podium, wreszcie coś zaczęło się dziać, a jak powiedziałaś, że masz na imię Blanka, byłem ugotowany. W swoim życiu poznałem wiele kobiet... Rozsądek zabraniał mi przyjść dziś do twojego banku, ale serce aż się rwało.

– A dlaczego rozum cię powstrzymywał? – zapytałam nieufnie i już

chciałam cofnąć dłoń, ale on ujął ją mocniej. – Jesteś żonaty?

– Nie. Nigdy nie byłem.

– Gej?

– Wykluczone. Nie wyobrażam sobie homoślubu, a moje fantazje seksualne krążą wyłącznie wokół kobiet, a ostatnio tylko wokół ciebie.

– Nie słódź mi tu i nie kręć jak prostytutka tyłkiem. – Jego słowa sprawiły mi przyjemność, ale postanowiłam być nieugięta. – A więc proboszcz w sutannie? – dociekałam.

– Teoretycznie chciałbym zostać biskupem, gdyby zniesli celibat. Blanka – ścisnął mocniej moją dłoń – cieszymy się chwilą. I przyznaj, że wyłowiłaś mnie spośród tłumu zebranych.

Poczułam żar na policzkach. Był inny od wszystkich swoich poprzedników, którzy zazwyczaj chowali karty pod stołem. Pewny siebie, mądry, trochę hardy. Z jednej strony wytrącało mnie to z równowagi, z drugiej – magnetyzowało. Przy takim facecie kobieta nie musi być silna.

– Jesteś pusty jak portfel mojego sąsiada – skomentowałam oględnie.

– Czyli mam rację? Ja, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem już, że odtąd każda noc bez ciebie będzie bezsenna.

Speszyłam się. Sprawy pędziły lotem błyskawicy. Musiałam przyhamować.

– Spójrz! – zawołałam, wskazując w stronę pomnika, gdzie ustawiono prowizoryczną scenę z afiszem „Talenty z Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego na start!”. Na scenie dzieci – stremowane, ubrane w bibułowe stroje i trzęsące się z zimna jak kolorowe żelki – przedstawiały jasełka. Nagłośnienie było fatalne, występ zagłuszały kolędy i słodkie motywy ze świątecznych filmów rodzinnych. Na dzieciaki nikt nie zwracał uwagi. Na domiar złego wiał silny wiatr i prószył śnieg. Nam to nie przeszkadzało. Z góry osłaniała nas markiza, z boków wysokie iglaki w donicach. Poza tym byliśmy otuleni kocami i rozgrzani koksownikiem i winem. – Może pomysł dobry, ale pora nie ta. I organizacja do bani. Na szczęście za chwilę koniec, królowie już składają dary.

Marcel spojrzał na scenę z zainteresowaniem i wybuchnął śmiechem.

– Kiedyś, jeszcze w podstawówce, byłem Baltazarem – powiedział. – Występowaliśmy w sali gimnastycznej, widownia wypełniona uczniami i rodzicami, a ja zaliczyłem wpadkę. W stresie tak mocno ścisnąłem tekturową koronę pomalowaną na złoto, że puścił klej i obok żłóbka ułożyłem jej prekursorską wersję, czyli całkowicie płaską. Pełna kompromitacja! Myślałem, że zostanę wygwizdany, ale nikt tego nie zauważył! – Zaśmiał się, a potem przywołał kelnera, ubranego w kozuchową kamizelkę i futrzaną czapkę, i polecił: – Proszę poczęstować gorącą czekoladą tych młodych artystów i ich opiekunów, a należność dopisać do mojego rachunku. I oczywiście pod żadnym pozorem nie ujawniać sponsora.

Miło, pomyślałam zaskoczona i spojrzałam na scenę. Na oko, łącznie z ustawionym w tle chórem, występowało tam około siedemdziesięciorga dzieciaków. Do tego wychowawcy, razem minimum osiemdziesiąt osób.

– Oczywiście. – Wyraźnie uradowany kelner chuchnął w dłonie. – Żal mi tych dzieciaków. To bezlitosne ciągnąć je tu w taką pogodę. Zamarzną na kość. A dla państwa coś jeszcze?

– Na co masz ochotę? – Marcel zwrócił się do mnie. Jego oczy lśniły w blasku palącego się obok nas lampionu.

– Na powtórkę tego, co było, czyli grzaniec i pierniki.

– Dla mnie to samo, co dla pani. – Uśmiechnął się do kelnera. – Zawsze to samo.

Popijając następną kolejkę gorącego wina, obserwowaliśmy, jak kelner, z wysoko uniesioną tacą wypełnioną jednorazowymi plastikowymi kubkami z gorącą czekoladą ozdobioną bitą śmietaną, kilka razy kursuje w stronę sceny.

Po jakimś czasie kramarze zaczęli związać swoje interesy, cichy kolędy i świąteczne przeboje, pustoszały stoliki. W końcu kelner podszedł do nas z rachunkiem w etui. Marcel wyciągnął paragon. Nadgryzłam ostatni pierniczek i o mało się nie zakrztusiłam, obserwując, jak gorączkowo przeszukuje kieszenie kurtki. Cholerne déjà vu! Po kim, jak po kim, ale po nim bym się tego nie spodziewała.

– Zmieniłem dziś kurtkę na cieplejszą... – tłumaczył się kelnerowi, wciąż penetrując kieszenie, a ja zerknęłam na przeszklone drzwi kawiarni z naklejką: „U nas zapłacisz kartą...”. Wpieniona na maksa, zacisnęłam szczęki i sięgnęłam po torebkę, myśląc o tym, że zaraz po zapłaceniu rachunku za osiemdziesiąt kubków gorącej czekolady uduszę Marcela sznurem ledowych lampek, a dla wzmocnienia efektu rozbiję mu na głowie koksownik.

– Poproszę o terminal, zapłacę kartą – zwróciłam się do kelnera, omijając wzrokiem mojego towarzysza, ale wtedy usłyszałam jego oburzony głos:

– Czyś ty z budki spadła? Czy może mamusia kąpała cię w ukropie? Wiem, trochę to trwało, akurat dzisiaj włożyłem portfel do spodni. Sponsorki nie potrzebuję! – Spojrzałam na niego. Był jak czarna chmura, która lada moment zacznie bić gradem. – Dziękuję, reszty nie trzeba. – Podał kelnerowi wypełnione banknotami etui. Zaczekał, aż oddali się na tyle, by nas nie słyszał, i odezwał się do mnie, wciąż wściekły: – Słuchaj, Blanka, nie jestem pchlarzem oczekującym, że kobieta ureguluje za mnie rachunek. Zawsze przed wyjściem z domu trzy razy sprawdzam, czy mam portfel. I zapamiętaj, jestem człowiekiem poważnym i honorowym, a ty chciałaś ze mnie zrobić...

– Och, przestań gardłować – próbowałam go uspokoić. – Zrozum, w życiu miałam do czynienia z różnymi świrami. A przecież ciebie właściwie nie znam...

– Ja jestem inny. Zapamiętaj to sobie.

– Dobrze, dobrze. – Chwyciłam go za rękę i trochę się udobruchałam. – Chodźmy już.

– Czy mogę odprowadzić cię do domu? – zapytał.

– Jasne, to niedaleko. Mieszkam na Koszmaruku... to znaczy na Słonecznym. Po drodze opowiesz mi, czego i w której szkole uczysz.

– W szkole? – zapytał zaskoczony. – Skąd taki pomysł?

– No przecież na tym szkoleniu w domu kultury byli nauczyciele. Przynajmniej w większości. Nie jesteś belfrem? A więc inspektorem skarbówki? – Tylko tego brakowało, pomyślałam, wybiegając w przyszłość. Nikt nie będzie nas do siebie zapraszał w obawie, że Marcel chce wywęszyć nieopodatkowane zarobki. Taka Julia na przykład daje w swoim prywatnym gabinecie paragony raczej losowo. W zeznaniach podatkowych wykazywane przez nią dochody wskazują na stan „ledwo przędzie”. Albo mój tato – w jego głowie od razu zapaliłaby się czerwona kontrolka. Gdyby nie ukrywał części zysków, musiałby podnieść ceny i klienci uciekliby do konkurencji...

– Nie, od nich akurat wolę się trzymać z daleka – zapewnił Marcel wyraźnie rozbawiony. – Sam siebie zatrudniam. Prowadzę jednoosobową działalność. Taką małą firemkę. Zaprosili mnie na to szkolenie, żebym opowiedział o swojej działalności. Pośredniczę w handlu liniami produkcyjnymi, urządzeniami i maszynami.

– Wychodzisz na tym jakoś? – zapytałam z czystej babskiej ciekawości.

– Tak, można tak powiedzieć.

– To tutaj – powiedziałam, zatrzymując się przy wejściu do klatki.

– Szkoda. – Marcel nagle spowaźniał.

– Szkoda?

– Szkoda, że to tak blisko – wyszeptał, wyciągając zza pazuchy duże piernikowe serce, owinięte w przezroczysty papier. – To dla ciebie. Kupiłem konspiracyjnie, gdy przymierzałaś te czerwone rękawiczki.

– Dzięki. – Tupocząc nogami, wpatrywałam się w zielononiebieskie oczy. – Wieczór jeszcze się nie kończy. Wejdiesz? – Byłam pewna, że przyjmie propozycję z entuzjazmem, a tymczasem między nami zapadła długa chwila milczenia.

– Nie – powiedział w końcu cicho, ale stanowczo. Jak głuchoniemy odgadłam jego odpowiedź z ruchu ust. Zagryzłam wargę. Aż do bólu. Broda niebezpiecznie mi się zatrzęsała. Nie, nie pokazałam, jak bardzo mi na nim zależy. Uśmiechnęłam się kwaśno, odwróciłam na pięcie i podbiegłam w stronę drzwi. Szukając w torebce kluczy, wciąż miałam nadzieję, że go jednak nie tracę, że czuje to samo co ja. Grałam na zwłokę. W końcu nadzieja przerodziła się w pewność, bo usłyszałam za sobą odgłos kroków po skrzypiącym śniegu zbliżających się w moim kierunku. Świat znowu pojaśniał. Podekscytowana zrobiłam gwałtowny zwrot

w tył. Sąsiad z drugiego piętra, czkając i zataczając się, zbliżał się do mnie z krzywo przyczepionymi do głowy rogami renifera. Oburącz, jak największy skarb, trzymał prawie opróżnioną półlitrówkę. Spojrzałam za niego. Miejsce, gdzie przed chwilą stał Marcel, było już puste.

– Sąsiadko – zabełkotał. – Dzisiaj mikołajki. Napije się pani ze mną?

– Może innym razem – zapewniłam. Wepchnęłam go do windy, a sama schodami pobiegłam do góry. Z okien każdego piętra spoglądałam w dół w nadziei, że wrócił. Za każdym razem doznawałam zawodu.

Weszłam do mieszkania i zaraz w proggu zsunęłam z siebie płaszcz. Biała mgielka śniegu, która jeszcze przed chwilą pokrywała rdzawe futerko przy kapturze i ramiona, w wyniku zetknięcia się z ciepłym powietrzem błyskawicznie straciła swój czar. Futerko wyglądało jak dopiero co wyjęte z wody, a na płaszczu pozostały ciemniejsze plamy. Zrzuciłam botki i z piernikowym sercem stanęłam przed lustrem. Co ze mną jest nie tak? Przyjrzałam się uważniej. Przecież wcale nie jest tak źle! Przekraczające linię ramion blond włosy z platynowymi refleksami spięte w ogon z tyłu głowy. Wycieniowana grzywka zaczesana na bok. Wprawdzie lepsze są rozpuszczone, ale na taką fryzurę pozwalałam sobie tylko w weekendy. Na twarzy zaledwie dwa wypryski i jedno pęknięte naczynko, ale i tak ich nie widać, bo zakamuflowałam je korektorem i podkładem. Prosty, przypudrowany nos, wymodelowane różem policzki. Brwi wyregulowałam zaledwie wczoraj. Naprawdę nie jest źle. A więc co? A może... może przegięłam z tym zaproszeniem i on myśli, że jestem z gatunku puszczałskich, które jeszcze w windzie ściągają majtki? Albo jeszcze lepiej, zatrzymują ją pomiędzy piętrami i zaczyna się zabawa rodem z pornosów?

Idiotka ze mnie do potęgi entej! Z furią kopnęłam w stojące mi na drodze kozaki, przeszłam do pokoju i opadłam na sofę. A może wszystko da się wytłumaczyć? Tylko jak? Nie znam jego nazwiska ani numeru telefonu. Ależ mam wybitny talent do przepłaszania facetów!

Powodów, dla których Marcel nie przyjął mojego zaproszenia, wymyśliłam w ciągu kolejnych dni od groma. Analizowałam wieczór sekunda po sekundzie, tak jakbym dzieliła włos na czworo. Poza zwykłym spłoszeniem stawiałam na rozchwianie emocjonalne, skłonność do strojenia fochów, a przede wszystkim kłamstwo, bo tak naprawdę jest zajęty. A jednak wciąż tliła się we mnie nadzieja, że to tylko jakieś męskie zagranie i lada moment Marcel czymś mnie zaskoczy. Dlatego codziennie robiłam staranniejszy makijaż, kiedy sekretarka zapowiadała nieumówionego gościa, przechodził mnie dreszczyk ekscytacji, a wieczorami zdarzało mi się wyglądać przez okno i sprawdzać, czy nie wyczekuje pod klatką. Wszystko to bezskutecznie. W końcu dałam sobie spokój, wnioskując, że

przekonanie o chemii krążącej między nami to tylko moje życzeniowe myślenie, warte tyle co bańka mydlana, i nie mogę się go trzymać jak alkoholik butelki czystej. Trzeba zejść z obłoków, szczególnie że zbliżało się Boże Narodzenie.

Dzień przed Wigilią, którą jak co roku miałam spędzić u rodziców, po powrocie z pracy przejrzałam blogi kulinarne, a potem na wiele godzin zamieniłam swoją kuchnię w domową cukierenkę. Zanim położyłam się spać, niemal wpadłam w samouwielbienie, podziwiając efekty mojego trudu: piernikową chatkę, muffiny w kształcie choinek, ciasteczka korzenne i cynamonowe. Wszystko to starannie zapakowałam w celofan i przewiązałam czerwonymi oraz złotymi wstążeczkami. Na szczęście w tym roku Wigilia przypadła w sobotę, więc nie musiałam iść do pracy.

Nie było jeszcze dziesiątej, gdy ubrana w dzinsy i dresową bluzę, z zapakowaną w foliowy pokrowiec czerwoną klasyczną sukienką o długości włoskiej, czyli na trzy palce przed kolano, i z dekoltem w łódkę, narzuciłam na siebie puchową kurtkę. Obładowana torbami, poszłam do samochodu i ruszyłam do mojego domu rodzinnego, od którego dzieliło mnie zaledwie dwanaście kilometrów.

Po kwadransie byłam na miejscu. Drzwi otworzył mi tato, spocony jakby właśnie zszedł z ringu. Na zielonej rozciągniętej koszulce pod pachami i w okolicach torsu odznaczały się ciemniejsze plamy. Przyłożył palec do ust.

– Wchodź – szepnął i przytulił mnie mocno. – Jestem ze wszystkim w lesie. Przepraszam...

– Przestań, tato, damy radę. – Poglądziłam go czule po gładko ogolonym policzku.

– Wczoraj stały klient zadzwonił przed zamknięciem i powiedział, że coś mu rzezi w nissanie przy hamowaniu, a przed nim długa droga na święta do teściowej. Co miałem robić? Powiedziałem, żeby przywiózł auto do warsztatu. Skończyłem po północy. Okazało się, że poduszki zawieszenia układu... – tłumaczył gorączkowym szeptem.

– Tato, spokojnie – ucięłam, wspinając się na palce i jeszcze raz go całując. – Nie przejmuj się.

Miałam rację, przyjeżdżając wcześniej. Scenariusz, jak co roku, był niezmienny. Upewniłam się, że drzwi sypialni, za którymi spała mama, są szczelnie zamknięte, i ruszyłam do kuchni. Rozejrzałam się. Wszystko było w proszku. Tata wpatrywał się we mnie przepraszająco. Przytuliłam go, po czym zabraliśmy się do roboty. Stanowiliśmy w kuchni zgrany zespół. Podczas gdy ja lepiłam uszka, on doprawiał barszcz i patroszył karpia. Potem przygotowywał nadzienie do pierogów z kapusty kiszanej, suszonych grzybków i cebulki, a ja przyrządzałam sałatkę ze śledzi, kwaskowatych jabłek, jajek, kiszonych ogórków i majonezu. Gdy skończyłam, zabrałam się za kutię, a tata, mocnymi od ciężkiej pracy dłońmi, wyrabiał ciasto pierogowe. Wszystko przy dźwiękach cichutko grającego radia, nadającego kolędy oraz piosenki o miłości i pojednaniu. Pomimo że roboty było huk, cały ten rozgardiasz sprawiał mi przyjemność. Mimowolnie pomyślałam o wszystkich moich dyplomach, certyfikatach i wyróżnieniach, przyrównując je do atmosfery panującej w kuchni. Ich wartość z każdą minutą malała. Czy może być

coś cenniejszego niż bliskość drugiego człowieka? Czy pogoń za karierą może być ważniejsza niż zaufanie, zrozumienie, dawanie i otrzymywanie ciepłych, zwykłych i bezpretensjonalnych gestów? Ukradkiem spojrzałam na siwe skronie taty, zwiotczałe, pokryte licznymi bruzdami policzki i zalała mnie nagła fala czułości i przerażenia. Co będzie, jeżeli taty kiedyś zabraknie? Jest jedyną naprawdę bliską mi osobą na świecie. Nigdy o tym nie mówimy, ale wiem, że akceptuje mnie bezwarunkowo i pragnie mojego szczęścia. Bez niego będę całkiem sama. Potajemnie otarłam kilka bezwiednie spływających po policzku łez. Ech, życie...

– Córku, wszystko w porządku? – Tata odłożył ciasto uformowane w kulę, przykrył je ściereczką i opłukując pokryte mąką dłonie, wpatrywał się we mnie zaniepokojony. – Tęsknisz za Iwonem?

– Już nie – odpowiedziałam, zapamiętałe siekając suszone figi. – Tak naprawdę, tato, nie czuję się spełniona, pomimo tego, co osiągnęłam zawodowo. Prawie wszystkie moje koleżanki pozakładały rodziny, wychowują dzieci, mają dla kogo gotować rosół, a ja...

– Wszystko się ułoży, nie płacz. – Przyciągnął mnie mocno do piersi. Wsłuchując się w miarowe bicie jego serca, poczułam ukojenie i zarazem pewność, że jedyne, czego mi w życiu brakuje, to zwykła, prosta, codzienna bliskość drugiego człowieka.

Mama wstała, gdy wkładałam pod śnieżnobiały obrus wigilijne sianko, a tata dekorował choinkę kolorowymi bombkami w kształcie serduszek i aniołków. Stała przed nami w pomarańczowo-czarnym kimonie, z wyhaftowanym na piersiach smokiem, ziewając i próbując okiełznać rozczochrane włosy, ufarbowane na platynowy blond.

– Wesołych świąt – wymamrotała.

– Wzajemnie, mamo.

Podeszłam do niej. Dawno nie widziałam jej bez makijażu. Wyglądała kiepsko. Błada, z siecią pajęczków pod cienką jak pergamin cerą, małymi zmarszczkami w kącikach ust i ciemnymi jak podkówki cieniami pod oczami. Ale rysy wciąż miała regularne. Wiedziałam, że za pół godziny wróci z łazienki odmieniona. Uczesana, umalowana i pięknie ubrana – jak aktorka przed premierowym spektaklem. Znowu poczułam, jak wzbiera we mnie czułość. To przecież moja mama, a dzisiaj dzień pojednania. Zapomnijmy o biżuterii, niesprawiedliwie oddanej Iwonie, o toksycznym wychowaniu, o grach edukacyjnych, które dostawałam w prezencie zamiast kompletów małej modnisi, o... Wyciągnęłam ręce, żeby ją objąć i ucałować, ale ona zrobiła unik jak bokser zagrożony ciężką gardą. Ręce mi opadły. Odwróciłam się i starając się przywołać do porządku drżącą brodę, zaczęłam wkładać czerwone świece w naprędcę zrobiony przeze mnie stroik ze świerkowych gałązek.

– Och, jak mnie męczy ten cały świąteczny rozgardiasz... – Mama ziewnęła

przeciągle i obojętnie spojrziała na moje słodkości, które ułożyłam na paterze. – Muszę się zabrać za lepienie uszek – dodała.

– Uszka są gotowe – usłyszałam za sobą głos taty. – Blanka się nimi zajęła.

– I po co? – zapytała matka głosem pełnym pretensji. – W ubiegłym roku też zrobiła takie niby-uszka, a wyszły uszy jak u słonia. Nawet Iwona powiedziała, że były za duże...

– Mamo – odwróciłam się do niej, starając się opanować – wykrawałam kóleczka kieliszkiem do likieru. Ma średnicę jak naparstek. Wyszło dwieście czternaście sztuk. Nawet gdybyś wycinała kółka szklanką, i tak byś nie zdążyła. – Spojrzałam na zegar ścienny. – Jest już po piętnastej...

– Żartujesz? – Wydawała się szczerze zaskoczona. – Dlaczego mnie nie obudziliście?

– Bo spałaś jak niedźwiedź zimą. Jak co roku w Wigilię.

– Blanka, ty nie rozumiesz, że jestem przemęczona? Gdybyś miała taką pracę jak ja, a do tego moje lata... – Patrzyła na mnie z wyrzutem.

– Tak, mamo, oczywiście. – Kiwałam głową w geście zrozumienia. – Na którą przyjdzie Iwona?

– Właśnie! Na szesnastą! Mam mało czasu! – Odwróciła się i szurając papciami, podążyła w stronę łazienki.

Spojrzeliśmy na siebie z tatą porozumiewawczo i odetchnęliśmy z ulgą, że możemy kontynuować przygotowania bez komentatorki.

Pomimo że po zapaleniu świec i lampek na choince w domu zrobiło się świątecznie, ja nie czułam żadnej magii. Sięgnęłam do torebki, żeby wyłączyć komórki. Na ekranie służbowej były dwa nieodebrane połączenia. Oba z jednego, nieznanego mi numeru. Co jest? Patrzyłam niechętnie w ekran, zastanawiając się, co zrobić. Może któryś z bubków w centrali zmienił numer i chce skonsultować ze mną strategię sprzedaży kredytu wekslowego na przyszły rok? W tym momencie usłyszałam natarczywy dzwonek u drzwi. Wsunęłam aparat z powrotem do torebki i wstałam z ociąganiem, by powitać gości. Na szczęście mama mnie ubiegła.

Beznamiętnie patrzyłam, jak pełna euforii, wyszykowana jak spod igły, obściskuje się z Iwoną, a potem przejmuje z rąk zięcia wnuka, zważając, żeby nie zburzył jej wytapirowanej fryzury ani nie starł makijażu w stylu Kleopatry. Już po chwili z wyraźną ulgą przekazała chłopca ojcu. Benek podał mamie zawiniętą w przezroczysty papier struclę makową, a Iwona ze śmiechem uwolniła się z rozkloszowanego futerka z białych norek i podała mi okrycie jak jakiejś szatniarce.

– Na pewno pyszna! – Mama entuzjastycznie wpatrywała się w struclę.

– To się okaże. Kupiliśmy ją przed chwilą w sklepie na dole. Wszystkie ciasta przecenili o pięćdziesiąt procent – poinformował mój szwagier z taką satysfakcją, jakby właśnie okazał kupił maybacha.

Iwona lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Nie piekę, bo nie mam czasu – rzuciła beztrąsko.

– Nie szkodzi. – Mama przytuliła ją czule. – Nie przejmuj się, Blanka też coś tam kupiła.

– Nie kupiłam, tylko wczoraj upiekłam – sprostowałam oschle.

– Nie czepiaj się. – Rodzicielka spojrzała na mnie z wyrzutem. – Ty możesz, masz czas, a Iwonka przecież jest matką. Nie psuj świąt.

– Masz jeszcze tę nianię i panią od sprzątanania? – zwróciłam się do Iwony z uszczypliwym uśmiechem.

– Jasne! A jak sobie wyobrażasz?

– Dobra, dość gadania. Dzielmy się opłatkiem i miłością... – Mama z oczami zaszkłonymi nagłym wzruszeniem podeszła do młodszej córeczki.

Wigilię przesiedziałam jak na szpilkach. Zmieniałam tatę w opiekowaniu się Wiciem, który dla swoich rodziców i babci jakby nie istniał. Przy okazji dorobiłam się dwóch plam na sukience i zostałam pozbawiona kilku pasemek włosów. Co chwila zerkałam na puste nakrycie przy stole. W pewnym momencie wydawało mi się, że widzę przy nim uśmiechającą się do mnie ciocię Jusię, z akwamarynem na serdecznym palcu. Ogarnęło mnie niezwykle ciepło, ale zaraz jej postać się rozplynęła.

Bez emocji słuchałam wywodów mojego szwagra o tym, że pełne i proste uzębienie ułatwia osiągnięcie sukcesów w każdej dziedzinie życia. Iwona użalała się nad trudami macierzyństwa i stękała, że niania na dwanaście godzin dziennie to stanowczo za mało. Mama utyskiwała na wykańczającą psychicznie pracę na stanowisku doradcy smaku lodów sorbetowych. Już drży na myśl, że od marca znów musi tam wrócić i aż do jesieni będzie zasuwała jak koń zaprzęgnięty do pługa. No i oczywiście jak zwykle, na przemian z Iwoną, jakby były krytykami kulinarnymi, rzucały uwagi na temat zbyt grubo posiekanej cebuli w pierogowym farszu, mało chrupiącej panierki w smażonym karpniu i wątpliwej klarowności barszczu. Jest Wigilia, nie dam się wyprowadzić z równowagi, powtarzałam sobie w myślach, ale z drugiej strony wciąż przypominałam sobie, że jestem singielką i jeżeli to się nie zmieni, każde święta do końca życia będę spędzała w taki sam sposób.

Przy ciastach tradycyjnie obdarowywaliśmy się prezentami. Iwona wręczyła mi i mamie kalendarze ścienne reklamujące gabinet ortodontyczny Benka. Na każdej kartce były dwa zdjęcia. Styczeń, przykład pierwszy, zdjęcie uzębienia przed leczeniem i po leczeniu, luty, przykład drugi... Z udawanym zainteresowaniem przerzucałam kolejne strony, z całych sił starając się powstrzymać parsknięcie. Następnie mama, z rozbijającym uśmiechem, obdarowała mnie zawiniętym w błyszczący zielony papier i owiniętym mnóstwem wstążek kartonikiem. Zaintrygowana rozerwałam opakowanie i wyciągnęłam

z niego kubek do herbaty z napisem „BOLUXUS – producent najlepszych sprzęgół samochodowych”. Wysiliła się, nie ma co. Wzięła z warsztatu samochodowego taty jeden z wielu gadżetów, którymi obdarowują go przedstawiciele handlowi. Kątem oka obserwowałam, jak Iwona i Benek rozpakowują swój wspólny prezent: ogromną, posrebrzaną secesyjną paterę z motywami kwiatowymi, a potem wyciągają plik banknotów z koperty opisanej „Dla Witusia”.

Dostaniecie za swoje! Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! Za rok sprezentuję wam kalendarze z logo Elitumluxu, odgrażałam się w myślach, choć wiedziałam, że nie będę konsekwentna. Spłonęłabym ze wstydu.

Wstałam z postanowieniem, że już nie wrócę za stół. Z torebki kolejno wyciągałam przywiezione przeze mnie prezenty. Tata dostał karnet na dwugodzinną jazdę ferrari po torze wyścigowym, mama kupon na całodniowy pobyt w SPA wraz z kompletem zabiegów, a Iwona, Benek i Wituś voucher na profesjonalną rodzinną sesję fotograficzną pod opieką stylistów.

Gdy zegnałam ich nienachalnymi pocałunkami w policzek, nikt poza tatą nie oponował. Tylko on odprowadził mnie do drzwi. Przytulił mnie mocno.

– Przepraszam – szepnął.

Pogładziłam go czule po przerzedzonej płowoszarej czuprynie i z ulgą opuściłam rodzinny dom. Jeszcze poprzedniego wieczoru w głębi serca liczyłam na to, że zaproponują, abym spędziła z nimi dwa kolejne świąteczne dni. Łza zakręciła mi się w oku, gdy schodząc po schodach, słyszałam rozlegające się u sąsiadów kolędowanie, śmiechy i rodzinne przekomarzanki.

Wracałam do siebie opustoszałymi ulicami miasta. Nie było jeszcze dwudziestej i w niektórych domach kolacja dopiero się zaczynała. Gdy wysiadłam z auta, chroniąc głowę pod kapturem kurtki, pierwsze kroki skierowałam do kontenerów na śmieci. Do kosza z makulaturą wpadł kalendarz. Nie zamierzałam przez kolejne dwanaście miesięcy codziennie patrzeć na zdjęcia wyszczerzonych zębów. Do kontenera z odpadami mieszanymi wrzuciłam ceramiczny kubek. Od razu zrobiło mi się nieco lżej na sercu – dobrowolnie pozbyłam się symboli rodzinnej porażki. Po raz pierwszy w życiu poczułam coś w rodzaju niechęci do taty. Gdyby był facetem silnym i pewnym siebie, który potrafi postawić na swoim, nie przyzwalałby mamie na takie numery. Odkąd pamiętam, Iwonka była na pierwszym planie, a ja zawsze w cieniu. Ode mnie matka wymagała, jej odpuszczała. Ja musiałam być silna, a ją wspierała. Trudno, pomyślałam, nie potrzebuję was. Sama sobie poradzę. Już na studiach byłam prawie samodzielna finansowo. Musiałam się tak zorganizować, by poza zakuwaniem i imprezowaniem znaleźć czas na udzielanie gimnazjalistom korepetycji. Godzinami tłukłam im do głów ambitne zagadnienia typu: jak obliczyć procent z danej liczby albo pierwiastek drugiego stopnia. Robiłam też wszystko, co możliwe, żeby naprawić

kulejące relacje z mamą. Chwilowo udawało mi się wywołać na jej twarzy uśmiech zadowolenia, gdy zdobywałam kolejny dyplom albo wygrywałam olimpiadę. Ale już na drugi dzień chorowała na zanik pamięci.

Weszłam do pustego mieszkania. Przez ostatnie dwa lata, kiedy byłam z Iwonem, każde z nas spędzało wigilijny wieczór u swoich rodziców, ale późnym wieczorem spotykaliśmy się u mnie i byliśmy razem przez dwa świąteczne dni. Zrzuciłam płaszcz i poszłam prosto do kuchni. Część ciasteczek, tych mniej udanych, zostawiłam sobie. Usiadłam na taborecie i zjadłam kilka, popijając mlekiem bezpośrednio z kartonu. Spojrzałam na dwie plamy na sukience – pamiątkę po bawieniu Witusia. Nie, nie dam ich do specjalistycznego wywabienia ani nie będę próbowała zrobić tego domowym sposobem. Mam dość tej sukienki i wszystkiego, co jest związane z dzisiejszym dniem. Szarpiąc się z zamkiem błyskawicznym, uwolniłam się z niej i wrzuciłam do śmieci. Z ulgą wskoczyłam w domowy, sprany dres z wyhaftowanym na piersi śpiącym kotem. Usiadłam przed telewizorem i przeleciałam po kanałach. No tak, tradycyjnie *Kevin sam w domu*. Odpada. Koncert symfoniczny. Też nie. Dietetyk mówi, jak radzić sobie z niestrawnością. Do kitu. Wigilijna wieczerza na Kurpiach. Do bani. Nerwowo przejrzałam wszystkie inne programy, ale kompletnie nic mnie nie zainteresowało. Przez dłuższą chwilę zatrzymałam się przy reportażu z Paryża, w którym mówiono o szale przedświątecznych zakupów w najdroższych butikach. Dziewczyny z całego świata, na pozór takie jak ja, stukając obcasami po granitowych posadzkach, z wypiekami na twarzach krążyły wśród półek i ekspozycji, starając się upolować coś wyjątkowo oryginalnego i wreszcie uwolnić choćby kilka tysięcy euro z jednej z pliku platynowych kart kredytowych. No tak, ich nie obchodzą skonsolidowane wskaźniki kwartalne, emisje transzy bankowych papierów wartościowych ani tym bardziej jakość portfela kredytowego. Nie gryzą ich wyrzuty sumienia, że muszą wyciskać z pracownika wszystko, co się da, zachęcać awansami, premiami, ale też niestety dyscyplinować naganami i grozić zwolnieniem, a potem odchorowywać to wszystko zgagą, gryzącą jak kwas solny. Ech, gdyby pracowały, zawahałyby się choć przez chwilę, zanim sięgnęłyby do portfela. Upolowały nadzianych facetów i żyją beztrąsko, a ja przeżywam porażkę za porażką.

Wyłączyłam telewizor i zaczęłam śpiewać pod nosem kolędy, ale brzmiały jakoś głupio – jak echo odbijały się od ścian pokoju, potęgując tylko moją samotność. Już po chwili zrozumiałam, że kolęd nie powinno się śpiewać solo. Są rodzinne, tak samo jak Boże Narodzenie. Czułam, że skronie zaczynają mi pulsować i zaraz dopadnie mnie ból głowy. Sięgnęłam do torebki po tabletki przeciwbólowe. Przy okazji wyciągnęłam komórki. Przypomniałam sobie o połączeniach z nieznanego numeru. Podświetliłam ekran i przeczytałam komunikat: „7 nieodebranych połączeń”. Znowu ten sam numer. Ostatnia próba

połączenia miała miejsce przed kwadransem. Ktoś próbuje się z kimś połączyć, ale permanentnie myli numer? Może potrzebuje pomocy? Zatrzasnął się w mieszkaniu? Utknął w zaspie? Ma stan przedzawałowy? Na wszelki wypadek natychmiast oddzwoniłam.

– Wreszcie... – Mężczyzna po drugiej stronie odsapnął.
– Czy potrzebuje pan pomocy? – zapytałam rzeczowo.
– Owszem. – Miałam wrażenie, że głos drży.
– Dobrze, postaram się pomóc – powiedziałam tonem szefa sztabu antykryzysowego. – Czy pan gdzieś utknął?

– Tak...

– Gdzie?

– W domu rodziców.

– Ile pan ma lat? – Zadałam to pytanie zupełnie odruchowo.

– Trzydzieści sześć.

– Czy jest pan sam?

– Nie. Jest tu jeszcze kilka osób. – Głos znowu zadrżał, ale tym razem wyczułam, że mój rozmówca powstrzymuje śmiech.

– Czyli stroi sobie pan głupie żarty – stwierdziłam, odprężając się. Zaraz jednak poczułam, że wzbiera we mnie złość. Ale dałam się nabrać! To jakiś smarkacz udający dorosłego, pijak albo ćpun. Dowcipkuje sobie, dzwoniąc na losowo wybrany numer. Takich idiotów są tysiące. Udają klienta pogotowia seksualnego albo dziecko porwane przez pedofila. – Posłuchaj – wycedziłam – jeżeli myślisz, że jesteś *cool*, bo się najarałeś, to się mylisz, złamasie! – Jak to dobrze, że nauka języków przychodzi mi tak łatwo, pomyślałam, a pod moim blokiem od wczesnej wiosny do późnej jesieni wysiadują blokery. – Czaisz? – zapytałam, wylewając z siebie cały gniew. Jest Wigilia, a ja muszę dyscyplinować jakiegoś gówniarza! Nie, nie będę dla niego miła.

– Czaję, Blanka – potwierdził rozbawiony głos, a zaraz potem usłyszałam salwę dźwięcznego i szczerego śmiechu. Zamurowało mnie. Moje szare komórki, uśpione świątecznym lenistwem, ruszyły do intensywnej pracy. Cholera, kogo nazwałam najaranym złamasem? Niewidzialna obroża ścisnęła mi gardło, a cienka strużka potu popłynęła po plecach. Przymknęłam oczy, wychodząc z idiotycznego założenia, że jeżeli nie będę widzieć, to też nie będę czuć, ale pod moimi powiekami zaczął się przesuwać szereg znajomych postaci. W końcu mój szósty zmysł wytypował spośród nich Hipolita, niedawno ściągniętego przez łowców głów od konkurencji wiceprzewodniczącego rady nadzorczej. Na ostatnim spędzie dyrektorów oddziałów dostałam od niego wyróżnienie, a potem, przy cateringowej kawie, przeszliśmy na „ty”. Ale to nie powód, żeby wyzywać go w Wigilię! Łydki zaczęły mi drzeć ze zdenerwowania. – Przepraszam za złamasa... – powiedziałam słabo – ale ten żart z uwięzieniem...

– Blanka, daj spokój. To nie był żart. Ja naprawdę jestem uwięziony. A ty w ogóle wiesz, z kim rozmawiasz?

– Z... – Nie, Hipolit nie brnąłby w idiotyczne żarty. Ma profesurę, wykłada za oceanem.

– Z Marcelem – rzucił wesoło, a potem zapanowała pełna napięcia cisza. Co jest? Przecież już spisałam go na straty. Facet nie dawał znaku życia od ponad dwóch tygodni. Może jest pijany, a może jednak mu się odmieniło? Przez głowę przetoczyła mi się lawina pytań, podczas gdy on kontynuował: – Po swoim występie w domu kultury zostawiłaś na stole prelegenta plik wizytówek. Jedną zabrałam. No i dzisiaj pozwoliłem sobie zadzwonić.

– Piłeś? – zapytałam podejrzliwie.

– Tak. Oczywiście. Smażonego karpia tradycyjnie popijamy kieliszkiem białego wina. Ale biorąc pod uwagę, że minęły już ze trzy godziny, procenty zdążyły zrejterować.

– Wierzę – zapewniłam, chociaż w dalszym ciągu byłam podejrzliwa. Coś mi w tym wszystkim nie grało. – Mówiłeś, że potrzebujesz pomocy, bo utknąłeś...

– Tak, od momentu zablýśnięcia pierwszej gwiazdki jestem uwięziony w rodzinnym domu na przedmieściach. Gdy w końcu oddzwoniłaś, z ulgą wymknąłem się do sąsiedniego pokoju, bo mam już po dziurki w nosie rodzinnej atmosferki. Myślę, że to przyzwoita godzina na wylot. Chyba nie będą mieli do mnie pretensji. Niby najbliżsi, wiesz, rodzice, siostra z rodziną, ale zawsze to samo: mama gderająca, że tak się nagotowała, aż wszystko staje mi w gardle; tata sprzecający się z zięciem o polityczne opcje; wścibska siostra, wypyująca, kiedy w końcu ułożę sobie życie; ganiające dzieciaki...

– Nie jesteś żonaty? – przerwałam jego zwierzenia. Jednocześnie czułam, że serce zakołatało mi w piersi jak uwięziony ptak.

– Blanka, masz sklerozę? – zapytał zdziwiony. – Przecież rozmawialiśmy już na ten temat w Fanaberii. Ale mniejsza o to. Więc dzieciaki, a szczególnie starszy, pięcioletni, syn mojej siostry Mileny co chwilę się rzucał na ziemię i histeryzował, bo zamiast pakietu gier komputerowych z Draculą dostał jedną z Kubą Rozpruwaczem. Drugi przy deserach siedział podejrzanie cicho pod choinką, okazało się, że za pomocą zestawu małego majsterkowicza zabrał się do przycinania cienkich przewodów łączących lampki. Siostra dostała szału, miała pretensje do taty, że nie ustawił drzewka wyżej i tak dalej. Nie będę cię zanudzał. Dzwoniłem tyle razy, bo chciałem cię usłyszeć. – Zmienił ton na cieplejszy. – I złożyć ci życzenia miłych, spokojnych świąt. Jesteś u rodziców?

– Od pół godziny już u siebie. Moje rodzinne Wigilie to gehenna. Odbębniłam obowiązek i tyle.

– Też zaraz się zmywam. Do godziny będę u siebie – stwierdził i dodał z ironią: – Opuścę sobie rodzinne ciepłko.

- Gdzie mieszkasz?
- Przy Kasztanowej.
- Ja przy Topolowej.
- Wiem – powiedział jakby ze smutkiem. – Przecież cię odprowadzałem.

– No tak. A więc dzielą nas tylko rynek, plac targowy i park. – Iskierka nadziei na spotkanie zamieniła się w płonąca pochodnię. – Dwadzieścia minut spacerkiem. – W słuchawce zapadła cisza. Zza ściany, od sąsiadów, dolatywały strzępki pijacko śpiewanych kolęd, ale mimo to usłyszałam głębokie westchnienie. No tak, znowu go spłoszyłam. Tym razem na dobre. – Marcel, nie myśl o mnie źle. Wiem, drugi raz wyszłam z inicjatywą i możesz myśleć, że jestem puszczalska... Owszem, nie jestem staroświecka, ale...

– Blanka, wiem – przerwał mi. – Czuję to. Kiedy cię zobaczyłem, wchodzącą na tamtą salę, doznałem dziwnego uczucia. Zakochałem się w tobie jak licealista. Szaleję, wariuję na twoim punkcie. Nawet nie wiesz, jak często wieczorami siedzę w samochodzie zaparkowanym pod twoim oddziałem, by choć na moment zobaczyć cię wychodzącą z pracy...

– Więc przyjeżdż do mnie. Teraz. – Czulałam, jak szkarłat rozpala mi policzki.

– Nie.

– Jednak jesteś żonaty – stwierdziłam zrezygnowana.

– Nie.

– Nie – powtórzyłam głucho, a potem, nie kryjąc irytacji, rzuciłam: – Nie, to nie. Wesołych świąt!

Cisnęłam aparatem w sąsiedni fotel. Od sąsiadów dobiegały teraz odgłosy awantury, w tle płacz dzieci. Wstałam i kilka razy uderzyłam pięścią w ścianę. Nie pomogło. Zatkaną palcami uszy. Ale i tak słyszałam, jak komórka w rogu fotela niecierpliwie domaga się odebrania. Jeden, drugi, trzeci raz. Nerwowo krążyłam po pokoju. Wzbierała we mnie złość. Jesteś psychicznie zboczony, pomyślałam. Sadystycznie bawisz się w grę: ile razy Blanka da się nabrać, skusić na moje wdzięki. Otóż nie! Koniec! Nie jestem masochistką! Nie jestem spluwaczką!

Podeszłam do fotela, wyłączyłam komórkę i wrzuciłam ją na samo dno torebki. Teraz pewnie śmiejesz się do rozpuku, bo po raz kolejny zadałeś mi ból. Może nawet pijesz teraz piwo z kumplem, z którym wygrałeś zakład o to, że dyrektorka oddziału Elitumluxu jest pospolitą gęsią. Znaczysz dla mnie tyle co ścierka do podłogi. Nie, nie będę płakać... Broda mi zadrzała. Nie wytrzymałam. Usiadłam po turecku na dywanie, zgarnawszy ze stolika świąteczną serwetkę z nadrukiem uśmiechających się aniołków, i wytarłam twarz. Rzewny płacz po chwili zmienił się w cichutkie pochlipywanie. Objęłam rękami ramiona. Jakie to głupie przytulać samą siebie. Ale z braku laku dobry kit. W tym momencie usłyszałam natarczywy dzwonek do drzwi.

Jeszcze tego brakowało! Znowu sąsiadka będzie skomlała o pomoc po

rodzinnej zadymie. Odkąd się tu wprowadziłam, zawsze to samo. Zaledwie przed tygodniem opatrywałam jej otarcia na szyi, bo próbował ją udusić, poiłam herbatką macierzankową na uspokojenie. A nazajutrz wracali z zakupów, objęci jak młodzi zakochani, ze skrzyneczką piwa. Nie, tym razem nie otworzę! Będę głucha i już. Ale natarczywy dzwonek po chwili przerwało uderzenie w drzwi. No to przechodzi ludzkie pojęcie! Wściekła podniosłam się z dywanu. Zanim otworzyłam, spojrzałam w lustro wiszące w przedpokoju. Wyglądałam, jakbym sama wymagała pomocy. Rozmazany tusz utworzył na moich policzkach ciemnoszare strużki, jak u klauna. Resztki grafitowego, roztarte wokół oczu, upodabniały mnie do szopa. Obraz nędzy i rozpaczki. Jestem klaunoszopem. Trudno. Przynajmniej zobaczysz, kobieto, że nie tylko ty masz kłopoty, pomyślałam.

Szarpnęłam za klamkę i z rozmachem otworzyłam drzwi. W progu stał Marcel. Wbiłam wzrok w jego hipnotyzujące oczy, ale natychmiast pohamowałam swoje serce. Nie, nie, nie! Nie nabierzesz mnie!

– Zjeżdżaj! – rzuciłam ostro, piorunując go wzrokiem. Chwyciłam klamkę i zamasyście pchnęłam skrzydło drzwiowe w nadziei, że zatrzasnę mu je przed nosem. Nie udało się. Zdążył zrobić krok w przód i kant metalowych drzwi antywłamaniowych, pokrytych cienką drewnopodobną okładziną, uraził go w ramię.

Gdy biegłam do pokoju, żeby wyciągnąć z torebki telefon i zadzwonić po policję, kątem oka obserwowałam, jak zamyka za sobą drzwi, a potem cicho sycząc i masując kontuzjowane ramię, zbliża się do mnie.

– Zaraz będzie tu policja! – Szarpałam suwak torebki, by wyciągnąć którykolwiek telefon. Ale Marcel był szybszy. Jednym zdecydowanym ruchem pociągnął za rączkę i wyrwał mi ją. – Zależy ci na kasie? Tam są same drobniaki i karty kredytowe! PIN-ów i tak nie znasz! Cóż za pomyłka!

Chwyciłam za oparcie fotela i szurnęłam w jego kierunku. Zawsze to jakaś barykada. Zaczęłam się śmiać. Coraz bardziej histerycznie. Otworzył szerzej oczy i dziwnie uniósł jedną brew. A potem, najspokojniej w świecie, zdjął kurtkę, opuścił ją na dywan, starannie zawiesił moją torebkę na rzeźbionej głowie lwa zdobiącej stojącą w rogu sekretkę, usiadł w fotelu, którym chciałam go staranować, i założył nogę na nogę. Wpatrywał się we mnie, wyraźnie zafrapowany. Sapałam, próbując wyrównać oddech – jak długodystansowa biegaczka na finiszu.

– Leczysz się psychiatrycznie? – zapytał ze stoickim spokojem.

– Nie. – Wciąż dyszałam.

– Ćpałaś?

– Nie. Jak tu wszedłeś?

– Sama mnie wpuściłaś. – Wzruszył ramionami.

– Chodzi mi o to, jak wszedłeś do klatki i skąd wiedziałeś, które mieszkanie?

– Na ławeczce przed blokiem, pomimo mrozu, siedział taki miły pan, więc zapytałem go, czy nie potrzebuje trochę kasy, żeby kupić sobie coś na rozgrzewkę. Nie uwierzysz! Potrzebował!

– Czego chcesz? – Staralam się mówić ostro, ale czułam, że lód w moim sercu, jak pokrywa lodowa Grenlandii, topnieje w zastraszającym tempie, i za chwilę znów będzie otwarte na miłość.

– Chcę powiedzieć, że się w tobie zakochałem – powiedział to tak, jakby obwieszczał, że zostało mu zaledwie kilka dni życia.

– I co, to takie nieszczęście? – zapytałam nieufnie.

– No właśnie.

Prychnęłam.

– Masz nierówno pod kopułą. Gdyby to była prawda, to kipiałby w tobie testosteron, rozpierałaby cię euforia i nie mógłbyś beze mnie żyć jak... jak narkoman bez morfiny. A ty siedzisz smętny – opuściłam ramiona, próbując go naśladować – z miną jak gangster, któremu dopiero co zasądono dożywocie. Więc takie brednie możesz wciskać bałwanowi. Na podwórku jest ich kilka. – Wskazałam w stronę okna zasłoniętego roletą. – Dzisiaj dzieci ulepiły!

– Blanka, usiądź.

– Nie.

– Usiądź, proszę – nalegał.

W powietrzu dało się wyczuć napięcie, zwiastun kluczowego momentu w moim życiu. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach, ale usiadłam.

– Wysłuchaj mnie, proszę, i spróbuj zrozumieć. – Odkaszlnął nerwowo, jakby miał wygłosić wykład w auli uniwersyteckiej. – Pytałaś, czy jestem żonaty. Nie jestem. Ale w lipcu zostanę tatą... – Spojrzał na mnie ponuro spod zwichrzonej grzywki. Powietrze zrobiło się dziwnie gęste. Zastygłam w jednej pozycji, ale poczułam bolesne ukłucie za mostkiem, jakby ktoś dźgnął mnie ostrym narzędziem. Chciałam przybrać minę pokerzysty, ale czułam, że powieka prawego oka zaczyna mi drgać. Mam tak zawsze w ekstremalnie stresowych sytuacjach. Tysiące razy sprawdzałam w lusterku. Jest to niedostrzegalne dla otoczenia. Na szczęście.

– Jesteś niedorozwinięty umysłowo, jeżeli liczysz, że będę tą trzecią. – Przyłożyłam do skroni palec wskazujący i zatoczyłam nim kółko. – Jesteś narcystycznym pokreconym czubkiem! – Wiedziałam, że go obrażam, ale zupełnie mi już nie zależało. – Ożenisz się z rozsądku, bo dziecko musi mieć ojca, a ja mam być kim? Mięciutką i mruczącą maskotką na stres zamiast pigułki uspokajającej? Jeśli na to liczysz, jesteś w błędzie! – Przed oczami, jak przewijany w przyspieszeniu film, stanęły mi wszystkie dotychczasowe randki. Czy jestem

skazana na takich facetów? Nieudacznicy, dusigrosze, lenie, kurwiarze, amatorzy rzepy i zielonej pietruszki... A teraz trafił mi się tatuś! W sumie zawsze to jakaś odmiana. Patrzyłam na niego nastroszona jak koci ogon.

– Blanka, pozwól mi skończyć – odezwał się spokojnie. – Spędziłem z nią tylko jedną noc. Nawet nie można tego nazwać nocą, tylko...

– Numerkiem – weszłam mu w słowo.

Zmarszczył czoło.

– Pod koniec października wyjechałem na weekend w góry – podjął. – Potrzebowałem odreagowania i odrobiny kontaktu z naturą. Wyobraź sobie: mała wieś, zaledwie kilkanaście domów, pensjonacik prowadzony przez matkę i córkę, bo mąż i ojciec zarazem przed laty poszedł w siną dal... Ale mniejsza o to. – Machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – Byłem nastawiony na wędrowki po górach. Przygotowałem się, no wiesz, mapy, latarka, apteczka, dobre buty z karbowaną podeszwą, kurtka, lekki plecak. Dotarłem tam w piątkowy wieczór i stwierdziłem, że właśnie tego było mi trzeba. Gospodyni posadziła mnie na werandzie i nakarmiła kwaśnicą. Wieczór był ciepły, podziwiałem zapierające dech w piersiach widoki w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Zaraz potem padłem w swoim pokoju ze zmęczenia. Rano wstałem, podekscytowany, że zaraz po śniadaniu wyruszę na szlak. Odsunąłem zasłony i oniemiałem. Niebo pokryte było grafitowymi chmurami, zalewającymi wioskę silnym, rześystym deszczem z drobinami śniegu. Śnieg w październiku! Wyobrażasz sobie? – Miałam wrażenie, że zapomniał o meritum rozmowy, i stanowczo nie podzielałam jego ekscytacji. Po chwili jednak znów smętnie opuścił ramiona. – Na żadne wędrowki nie było szans. Pomyślałem, że zostanę. Gospodyni ledwo wiąże koniec z końcem, wszyscy po śniadaniu pouciekali, a jej się przyda kilka złotych...

– Taki altruista, och, ach! – ironicznie wtrąciłam swoje trzy grosze.

Wydawał się niezrażony.

– Zaraz po obiedzie gospodyni poszła do swojego niedomagającego ojca, na drugi koniec wsi. Powiedziała, że wróci w niedzielę rano... – zawiesił się. Patrzył na mnie niepewnie. Wiedziałam, że zbliża się kulminacyjny moment opowieści. – Zostałem sam z Elwirą, jej córką. Nic wielkiego się nie działo aż do wieczora, a potem...

– Zgwałciła cię! – Wyrzuciłam ręce do góry w geście triumfu.

– Nie – mówił coraz bardziej ostrożnie. – Po prostu mnie poniosło. Było zimno, ona przyniosła...

– Dobra, oszczędź mi szczegółów – przerwałam ostro i odwróciłam się bokiem. Zagryzłam wargę, gorączkowo zastanawiając się, czy już, natychmiast wykopać go z mieszkania i z mojego życia.

– Oczywiście. Ale mogę mówić dalej? – zapytał cicho. Spojrzałam na niego z ukosa. Dobra, jeżeli chce mnie dobić, to niech dobija. I tak nie mam nic lepszego

do roboty. Przytaknęłam ruchem głowy. – Wiesz, często się zastanawiam, czy ojciec gałdżiny naprawdę był chory, czy też chciała...

– Daj spokój z psychologią! Skup się na faktach – przerwałam, uderzając otwartą dłonią w blat stolika.

– Dobrze... – Chciał ująć tę dłoń, ale odskoczyłam jak oparzona. – Zapewniam, że to wszystko zdarzyło się, zanim cię pierwszy raz zobaczyłem. Poza tym chcę, żebyś wiedziała, że jestem odpowiedzialny. Uznam to dziecko, będę je finansować, odwiedzać. Ale nie ożenię się z Elwirą. Obie na to liczyły, ona i jej matka, ale nie wyobrażam sobie małżeństwa dla pozoru. Bez miłości.

– Szkoda, że w tamten wieczór o tym nie pomyślałeś – skomentowałam uszczypliwie.

– Blanka... – Zarumienił się, jakbym odkryła jego skrzętnie skrywaną tajemnicę. – Jestem normalnym, zdrowym facetem.

– Oczywiście. – Pokiwałam głową. – I rozdziejczasz wszystkie chętne, tak?

– Po pierwsze, Elwira nie była dziewicą, a po drugie, zapewniała, że nie ma obaw...

– Świetnie! Ja niewinny, ona winna. Czemu dała? Nie powinna. – Zakłopotany milczał, a ja miałam ochotę wstać i porządnie nim potrząsnąć. Jak mógł to zrobić? Jeden weekend w górach przekreślił naszą przyszłość. Myślałam, że jest jedyny, niepowtarzalny, a okazał się jak tysiące innych, myślących genitaliami. Nie dam się złapać na piękne oczy, którymi wabi mnie jak ta owadożerna roślina. Jak jej tam? Rosiczka! Piękna, ale piekielnie podstępna. Niebezpieczna dla naiwnych komarów, muszek, mrówek i wszystkich malutkich żyjątek. Dają się zwieść na słodziutką wydzielinę liści i wpadają w pułapkę, z której już nie wychodzą. Przecież to nie ma sensu. – Czego ode mnie oczekujesz? – zapytałam chłodno.

– Chciałbym, żebyś zaakceptowała ten stan. Nie oszukuję cię. – Podniósł wzrok i ciągnął pewnym, spokojnym głosem, jakby ćwiczył tę kwestię już tysiące razy: – Tam, w domu kultury, gdy cię ujrzałem, rozpałałaś mi krew w żyłach. Nie chciałem komplikować ci życia i przyznam, że przyszedłem wtedy do banku w nadziei, że odnajdę w tobie coś, co mnie ostudzi, i zapomnę o tobie na amen. Myślałem, może jesteś z gatunku wiecznie niezadowolonych, kapryśnych, plastikowych księżniczek albo próżnych pańienek do znudzenia nawijających tylko o siebie, albo że chociaż będziesz siorbała, pijąc grzańca, ale nic z tych rzeczy. Wpadłem jak śliwka w kompot, bo wszystko mi w tobie pasuje. Jesteś niesamowita. Wtedy, przy pożegnaniu, kiedy mnie zaprosiłaś do siebie, zacisnąłem zęby i odmówiłem, bo wciąż byłem konsekwentny. Dzisiaj przy wigilijnej kolacji było niby świątecznie, rodzinnie, ale tak naprawdę do kitu, bo wciąż tęskniłem za tobą. Chciałem cię chociaż usłyszeć, a potem już nie wytrzymałem i przybiegłem

tutaj. Chociaż słabo się znamy, nie widzę już swojej przyszłości bez ciebie. Myślę, że najwyższy czas się ustatkować, pomyśleć o żonie, dzieciach...

– Ależ już pomyślałeś – warknęłam kąśliwie. – Tyle że nie w takiej kolejności.

Skonfundował się, ale nie żałowałam go ani trochę.

– Blanka, wiedz, że zaakceptuję każdą twoją decyzję. – Spojrzał na mnie jak zbity pies. – Więc jak?

– Więc spadaj.

Wstałam, dając mu wyraźny znak, że rozmowa jest skończona. Położyłam dłonie na oparciach fotela i podniósł się powoli. Wyraźnie grał na zwłokę. Potem zgarnął kurtkę z podłogi i zrobił krok w moim kierunku. Cofnęłam się. Bezpieczna odległość została zachowana.

– Gdybyś jednak zmieniła zadanie... – sprawiał wrażenie zgaszonego – ...to...

– Naturalnie. Jakby co, to zadzwonię – ze skwaszoną miną zbywałam go jak kogoś, kogo nie chce się już nigdy w życiu zobaczyć. – A teraz żegnam. Wesołych świąt.

Patrzyłam, jak odwraca się i ciągnąc kurtkę po ziemi, wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Było mi mało. Potrzebowałam jakiegoś akcentu, symbolu finalizującego ten niefortunny związek. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je na oścież. Stał na korytarzu, czekając na windę. Odwrócił się. W jego oczach zauważyłam błysk nadziei. Niedoczekanie! Wzięłam zamach i trzasnęłam drzwiami z hukiem, który odbił się echem po przedpokoju. Potem pobiegłam na balkon. Było zimno jak diabli, więc narzuciłam na głowę kaptur bluzy dresowej i dla rozgrzewki przytupując papciami, obserwowałam, jak znika za wysoką, pokrytą grubą warstwą śniegu zjeżdżalnią na placu zabaw. Wówczas dałabym głowę, że na zawsze wykreśliłam go ze swojego życia.

Usiadłam przed telewizorem. Kevin wciąż próbował sobie poradzić sam w domu.

W pierwszy dzień świąt zbudziłam się przed jedenastą. Ostre promienie słońca wdzierały się do sypialni spod na wpół zsuniętej żaluzji. Odwróciłam się na drugi bok i przymknęłam oczy, mimowolnie powróciły strzępki snu. Jakiś szpital, cuchnący środkiem dezynfekującym. Nagie nogi kobiety w rozkroku. Wokół pełno postaci w białych kitlach z maseczkami na twarzach. Ja – z nożyczkami w rękach. I nagle krzyk nowo narodzonego dziecka. Pochyliłam się i przecinam pępowinę, przypominającą szary żeglarski sznur. Ktoś odbiera dziecko, zadzieram głowę... To Marcel.

Wspomnienie koszmaru przerwał dzwonek do drzwi. Jeżeli to ten

dzieciorób, to go nie wpuszczę i już! – obiecałam sobie, wyskakując z łóżka.

Spojrzałam przez wizjer, ale zobaczyłam tylko wielki kopiec rudych jak u wiewióry włosów. To mi wystarczyło. Za drzwiami stała Julia. Od razu poprawił mi się humor. Z uśmiechem otworzyłam drzwi. Z niedowierzaniem lustrowała mnie od głowy po papię z długiej grzywki w artystycznym nieładzie. Odwróciłam się i spojrzałam w lustro. Stałam jak wryta. Późnym wieczorem, gdy skończyłam oglądać telewizję, poszłam prosto do sypialni. Wciąż miałam na sobie dres z wyhaftowanym kotkiem, a wokół oczu czarne plamy jak u szopa.

– Czemu nie odbierasz telefonu? Dzwoniłam setki razy! – Julia obstukała na wycieraczkę sznurowane buty sięgające do kolan. Była ubrana, jak to Julia, monochromatycznie – we wrzosowy, eksponujący talię, rozkloszowany płaszczyk w stylu lat pięćdziesiątych i fioletowe lakierowane kozaki.

– Wyłączyłam. Dla higieny umysłu – powiedziałam beztrząsco, okręcając Julę. – Dzisiaj jesteś fioletowym krokusem?

– Nie!

– Irysem?

– Nie! – Zmrużyła oczy. Cienie do powiek też miała fioletowe.

– Dojrzała figą prosto z drzewa?

– Jestem leśną jagodą!

– Wyglądasz bosko! – komplementowałam ją z autentycznym zachwytem.

– Czego nie można powiedzieć o tobie – odparowała i natychmiast spoważniała. – Co jest, Blanka? – Pociągnęła mnie do kuchni. Podniosła roletę w oknie i stanęła naprzeciwko, na tyle blisko, że czułam jej oddech i zapach perfum o słodko-kwaskowatym aromacie maliny. No tak, owoce leśne, cały zestaw. Wzięła mnie pod brodę i lekko uniosła moją głowę, po czym koniuszkami palców, milimetr po milimetrze, obmacała oczodoły. Przed oczami błyszczały mi jej paznokcie, pokryte fioletowym, błyszczącym lakierem z drobinkami brokatu.

– Masz szpony jak wampir – skomentowałam, pokornie poddając się oględzinom.

– Zamknij buzię, a w zamian szerzej otwórz oczy. – Naciągała mi powieki na wszystkie strony. – Spójrz w lewo... Okej, a teraz w prawo... Okej. Na szczęście to tylko rozmazany tusz. Już myślałam, że jakiś bokser zrobił z ciebie worek treningowy. – Opuściła ręce. – A teraz zrób mi kawę.

Przesunęła na parapecie doniczkę z kwitnącą szkarłatą gwiazdą betlejemską i usiadła. Machając nogami, spokojnie obserwowała, jak wyciągam z szafki klasyczne, proste filiżanki z porcelitu. Dla niej jak zwykle z napisem „Forever sexy”, a dla mnie – „Have a nice day”, potem dosypuję cukru do białej, pękatej cukiernicy, wyciągam mleko z lodówki.

– Masz zespół niespokojnych nóg? – zapytałam ze śmiechem. – Może tym razem to ja cię zbadam?

– Nie mydl mi oczu. Coś się dzieje i o tym musimy porozmawiać – skwitowała, wciskając opadające kosmyki włosów w coś, co miało przypominać kok, ale było bardziej podobne do kopca siana. Tak czy inaczej, wyglądała ładnie.
– Jakież plany na dzisiaj?

– Nie. – Zażenowana faktem, że najwspanialsze rodzinne święta będę spędzała samotnie, patrzyłam, jak gorąca kawa płynąca z ekspresu powoli wypełnia filiżanki.

– Wspaniale! – Jula wydawała się szczerze ucieszona. Spojrzałam na nią z ukosa. – Jedziemy do moich rodziców – ciągnęła, zerkając na zegar w kształcie słonecznika, przytwierdzony do ściany nad przeszkloną szafką. – Filip poszedł do parku, pobiegać trochę na biegówkach. Spasowałam, bo wiesz, nie znam dnia ani godziny. Ciągle myślę: a może tym razem się udało? Nie mogę się narażać na kontuzje. – Słyszałam, jak z każdym słowem głos więźnie jej w gardle. Znałam ją za dobrze i wiedziałam, że jest bliska płaczu. Miesiąc w miesiąc trzymałam za nią kciuki. Jak dotychczas bez rezultatu. Gdy regularnie, co cztery tygodnie, dostaję od niej krótkiego SMS-a o treści: „Znowu nie”, wiem, jak bardzo cierpi. Co za ironia losu – wzięta ginekolog, słynąca z wysokiej skuteczności leczenia bezpłodności, sama nie może zajść w ciążę.

– Jula... – Podeszłam do niej i przytuliłam mocno. – Święcie wierzę, że wam się uda. Przecież staracie się dopiero... – Zamilkłam, usiłując w myślach skalkulować czas, który upłynął od pewnego piątkowego babskiego wieczoru, kiedy to pełna euforii, przy drugiej butelce słodkiego i gęstego jak syrop wina domowej produkcji dziadka, Jula poinformowała mnie, że odstawia antykoncepcję, bo rozpira ją chęć posiadania malutkiej dzidzi.

– Prawie trzy lata – wyręczyła mnie.

– Prawie. A „prawie” robi zasadniczą różnicę – starałam się nadać swojemu głosowi optymistyczny ton. – Tak jak kredyt – prawie spłacony, a do końca spłacony. To nie to samo. Zgadzasz się? – Uwolniłam ją z uścisku i starłam kilka spływających po jej policzkach łez. – A tak na marginesie – musiałam zmienić temat, bo Jula zwyczajowo zaraz wpadłaby w lament – nie pojedę do twoich rodziców, bo nie wypada. To przecież rodzinne święta...

– Ześwirowałaś chyba! – Jula, już w lepszym nastroju, zeskoczyła z parapetu, założyła opadającą grzywkę za ucho i usiadła przy stole. – Napijmy się wreszcie tej kawy – ponaglała.

Ustawiłam pomiędzy nami puszkę po pralinkach, do której w piątkowy wieczór włożyłam część mniej udanych ciasteczek, i ulokowałam się naprzeciwko przyjaciółki.

– Jula, ja nie należę do rodziny... – próbowałam oponować, chociaż propozycja spędzenia z nimi reszty dnia bardzo mi pasowała. Odkąd wieki temu poznałam Julę na placu zabaw, zazdrościłam jej mamy. Nigdy nie miała pretensji,

że córka ściąga do domu po zmierzchu, oblepiona błotem i zmęczona, ale szczęśliwa. Potem, gdy Julia była w szkole, nie stawiała jej coraz wyżej poprzeczek ani nie zatrzymywała jadłem. Nie traktowała też swojego męża jak popychadła. Zawsze pomagała Julii i stała za nią murem. Myślę, że po prostu czuje się spełniona, jako matka i jako właścicielka prywatnego laboratorium analitycznego, które prowadzi z mężem, i nie ma potrzeby urzeczywistniania swych ambicji kosztem dziecka.

– Nie przyjmuję takich bzdurnych argumentów! – Julia podniosła rękę w geście protestu. – Zresztą – opuściła ramiona i opłótła dłońmi filizankę – moja mama wczoraj dzwoniła do twojej z życzeniami. Przy okazji zapytała ją o świąteczne plany. Twoja powiedziała, że na Wigilię przychodzą dzieci, zięć i wnuk, a w pierwszy dzień świąt są zaproszeni do Iwony na obiad w ścisłym gronie. Poza nimi będą jeszcze rodzice Benka. No i po tej rozmowie moja mama mówi: „Julia, zaprosimy Blanę...” – Urwała, widząc moją minę. Zdębiałam. Wczoraj ani Iwona, ani mama nie piśnieły słowa o świątecznym obiedzie. Widocznie nie mieszczą się w zbiorze „ściste grono”. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy, a szczęki zaciskają się boleśnie. – Myślałam, że wiesz... Przepraszam – wyszeptala smutno Julia. Zaprzeczyłam ruchem głowy. – Dobra – zawołała z nową energią – mamy dwie godziny! Jeżeli chcesz jechać w dresie i bez makijażu, to oczywiście nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, ale jeśli jednak się zdecydujesz...

Opuściłam głowę i spojrzałam na mój powyciągany dresik z niedowierzaniem, jakbym sądziła, że jestem ubrana wyjściowo, a ktoś po kryjomu mnie przebrał. Potem dotknęłam twarzy. Ostatnio robiłam makijaż wczoraj rano. Łzy wysuszyły mi skórę na pieprz.

– Jako przyjaciółka i lekarka muszę cię poinformować, że jeżeli nie będziesz robiła co wieczór demakijażu i zaprzestaniesz oklepywania twarzy, szyi i dekoltu silnymi kremami przeciwzmarszczkowymi, to twoja skóra utraci sprężystość i za dziesięć lat będzie przypominała wysuszoną śliwkę. Lub morelę, jak wolisz. Nie wierzę jednak, że zmieniałś nawyki. Myślę raczej, że wczoraj to i owo się wydarzyło. Mam nosa?

Zrobiłam skwaszoną minę.

– Julia, pamiętasz, jak opowiadałam ci o tym facecie, który wpadł mi w oko na szkoleniu z przedsiębiorczości? – zapytałam.

– Tym o oczach anioła? Mów! Zżera mnie ciekawość! – Julia z podekscytowania aż podskoczyła na krześle.

– Wczoraj go odprawiłam... – westchnęłam z trudem i wmusiłam w ściśnięte gardło łyk kawy. Wiedziałam, że nie odpuści i będę musiała opowiedzieć jej wszystko. Ze szczegółami.

– Moment. – Julia odwróciła się i z wiszącego za nią wieszaka na ręczniki kuchenne oderwała jeden listek. Złożyła go na pół i położyła przed sobą, starannie

wyrównując dłonią. – To na wypadek, gdybym zaczęła płakać – dodała przepraszać.

Odkąd Jula skończyła studia, ze wszystkimi dolegliwościami zwracałam się do niej. Niezależnie od tego, czy był to zespół napięcia przedmiesiączkowego czy katar sienny. Gdy przychodzi do jej gabinetu, zasiada za biurkiem, kładzie przed sobą bloczek z receptami, pochyla się do przodu i obracając w ręce długopis, po prostu słucha. Jak znam Julę, jej mózg pracuje wtedy na najwyższych obrotach. Koduje, analizuje, przetwarza, wyciąga wnioski. Potem wstaje, prosi, żebym się przymknęła, osłuchuje stetoskopem, ugniata palcami węzły chłonne, ostukuje, mierzy ciśnienie i zadaje pytania. A potem szybko – i zawsze bezbłędnie – stawia diagnozę. Na koniec lewą ręką, bazgrołac ukośnie, wypisuje receptę.

Popatrzyłam na leżący na stole kawałek ręcznika, do złudzenia przypominający niewypisaną receptę, i na Julę, obracającą w dłoniach łyżeczkę. Wiedziałam, że mobilizuje teraz wszystkie trybiki swojego mózgu do pracy na maksa. Pełna empatii, wejrzy w labirynty moich uczuć, a potem postawi życiową diagnozę. Jakakolwiek by była. Nawet najbardziej bolesna.

Dolałam ciepłej kawy, do bambusowej miseczki wsypałam całe opakowanie niesolonych pistacji, pomna rad przyjaciółki, że orzechy mają zbawienny wpływ na intelekt, a sól jest niepotrzebna, bo zatrzymuje wodę w organizmie – nogi robią się jak u słonia, a policzki jak u chomika – i zaczęłam moją opowieść o Marcelu. Zaczęłam oczywiście od tego, jak hipnotyzował mnie zielononiebieskimi oczami na szkoleniu z przedsiębiorczości, choć ten wątek Jula już знаła. Niewiarygodne, ale znowu, jak wtedy, z zakamarków mojej pamięci wyłoniła się uśmiechnięta ciotka Jusia, bajająca: „Blanka, tylko anioł może mieć takie oczy”. Poczułam falę pozytywnej energii i błogie ciepło w sercu, ale zaraz się otrząsnęłam i w myślach wytłumaczyłam drogiej cioteczce, że każdemu zdarzają się interpretacyjne pudła.

Gdy podniesionym głosem, z furią opowiadałam o górskiej przygodzie i ciąży Elwiry, Jula spochmurniała i skupiła wzrok na resztkach niedopitej kawy.

– Tylko jedna noc... – szepnęła.

– Jula – chwyciłam jej dłonie – on tak twierdzi. Ale może to tylko pic na wodę, którym chciał mnie złamać?

– Mniejsza o to. – Wysunęła dłonie z moich i ucisnęła palcami kąciki oczu, utrudniając łzom wydostanie się na zewnątrz.

Wiedziałam, że musi mieć chwilę dla siebie. Wstałam i zsunęłam ze stołu prosto do kubła dwie sterty łupinek po pistacjach. Potem wylałam do zlewu resztki kawy i zaparzyłam w ekspresie świeżą.

Dalsza część historii była zbyt ekscytująca, by relacjonować ją na siedząco. Gestykulując i krążąc po malutkiej kuchni, jak elektron wokół jądra, opowiadałam o wczorajszym wieczorze. Gdy skończyłam, oparłam się tyłem o szafkę i niecierpliwie wystukując stopą rytm, oczekiwałam diagnozy.

– Blanka – Julia zmrużyła brązowe oczy jak kocica. Patrzyła na mnie z lekkim uśmieszkiem – po pierwsze, jesteś po prostu zakochana. Nigdy cię takiej nie widziałam, opowiadającej o facecie. Przy Iwonie byłaś jakaś taka... beznamiętna. A teraz pomimo wzburzenia promieniejesz, a nawet zauważyłam, że z emocji drżą ci łydki. Ostatni raz było tak w liceum, kiedy zakochałaś się w tym, no wiesz... – Pstrykała palcami, wytyżając pamięć. – Przypominał mi śledzia w occie...

– Dariuszu – pomogłam jej niechętnie. Wiedziałam, że nie da za wygraną. Chłopak chodził do równoległej klasy. Kochałam się w nim do momentu, gdy odważyłam się go o coś zapytać na korytarzu. Z bliska miał małe, chytruśkie oczka i uśmiechając się, ruszał uszami – tak jak ryba rusza skrzelaми. Tyle że żywa ryba, a nie w marynacie.

– Właśnie. A Marcel? – Julia sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej puderniczkę. – Spójrz na siebie. – Otworzyła ją i skierowała w moją stronę lusterko. – Przypuszczam, że twój wygląd nie zmienił się kardynalnie od wczorajszego wieczoru. Jestem pełna podziwu dla tego faceta, że w napadzie paniki już w progu nie odwrócił się na pięcie i nie zwał w popłochu. Zakochał się, to pewne. Do tego ma klapki na oczach. – Zaśmiała się głośno, a ja zawtórowałam jej, odpychając lusterko. Nie chciałam się dobijać.

– Dobra, dawaj dalej – zachęcałam, już w znacznie lepszym nastroju.

– To jednak nie będzie mi potrzebne. – Julia podała mi listek ręcznika kuchennego. – Moja diagnoza jest krótka: iskrzy między wami i powinniście dać sobie szansę! – Wlepiłam w nią oczy jak cielę w malowane wrota. Myślałam, że nawymyśla mi za małą lotność umysłu i powie, że sama, wywalając go, rzuciłaby coś ostrzejszego, dając upust swojej wściekłości. – Słuchaj – podjęła – przez cały ten czas, gdy opowiadałaś, starałam się wczuć również w sytuację Marcela. Zachował się w stosunku do ciebie fair, co jest ewenementem wśród samczej płci. Możesz myśleć, że się bawił twoim kosztem, ale on bił się z myślami, czy angażując cię w taki układ, zarazem cię nie krzywdzi. Wiesz, facet mający dziecko na boku jest jak nadgryzione jabłko. Smaczne, słodziutkie, soczyste, ale z felerem, bo jednak ktoś już sobie wziął gryza. Gdy dasz się zwieść jego urokowi i zdecydujesz się schrupać je do końca, musisz się liczyć z konsekwencjami. Zawsze będą z tego jakieś kłopoty. Ech... – Julia machnęła ręką – Z jabłkami tak bywa już od pierwszej rajskej jabłonki. Ewa skusiła Adama do zjedzenia jabłuszka i co teraz ma cała ludzkość?

– Przechlapane – odpowiedziałam.

– Właśnie. – Julia nabrała z miseczki garść orzeszków i rozsypała przed sobą na stole. Wydawała się skupiona, jakby układała jakiś wzór. – Blanka, pamiętasz, jak w maju wpadłam do ciebie zaraz po dyżurze? – zapytała, podnosząc głowę. Spochmurniała.

– Często wpadasz po dyżurze. W maju pewnie też byłaś. – Wzruszyłam ramionami.

– To było dokładnie osiemnastego. Wpadłam do ciebie, ale szybko wyszłam, bo nazajutrz miałaś kolejny egzamin z języka migowego. Gdy mi otworzyłaś drzwi, osłupiałam, bo milcząc, przez chwilę układałaś palce w różne kombinacje. Myślałam, że ci odbiło, a ty wytłumaczyłaś mi, że w ten sposób się ze mną witasz. Pamiętasz ten dzień?

– Pamiętam – potwierdziłam, zastanawiając się, czemu odgrzewa stary kotlet. – Palce, całe ręce bolały mnie wtedy jak cholera. To był piątek, a w sobotę o dziesiątej miałam egzamin. Nie miałam czasu, a ty źle się czułaś. Mówiłaś, że masz wrażenie, jakby ktoś ci przyłożył do skroni wiertarkę na wysokich obrotach. Zaaplikowałam ci paracetamol. Siedzieliś tu, obolała, a potem nagle stwierdziłaś, że ci przeszło, i uciekłaś, chociaż chciałam...

– Wyszłam, żeby ci nie przeszkadzać. A wiesz, czego się dowiedziałam tego dnia?

– Masz guza mózgu? – Zaniepokojona wlepiłam wzrok w rdzawą płataninę włosów na głowie Juli.

– Filip mnie zdradził... – wyszeptła. Zgarnęła orzeszki i udając stoicki spokój, zaczęła je przesypywać pomiędzy dłońmi.

Zamarłam. Julia i Filip... Niezbity dowód, że miłość licealna może trwać wiecznie. To ona namówiła go na medycynę, by byli razem. Nauczyciele nie dawali mu wielkich szans, ale Julia naciskała na wspólną naukę. Kiedy Filip nie miał już sił, ona podnosiła go z kolan. Przepytywała z formułek i wzorów, zadawała prace domowe, sprawdzała, korygowała, wyjaśniała. I tak w kółko. Potem ta sama uczelnia, wynajęta kawalerka, wspólne imprezy, oblewanie zdanych sesji, obozy studenckie, praktyki, staże. I oczywiście praca w tym samym szpitalu, tyle że Filip jest internistą. Dwie połówki jabłka. Cholera, znowu to jabłko. Poczulałam bolesne pieczenie w okolicy serca.

– Zdradził mnie z rzekomym ostrym bólem brzucha – zaśmiała się gorzko. – A dokładniej z sekretarką dyrektora centrum fitnessu. Zgłosiła się na pogotowie, a lekarz wysłał ją na internę, gdzie dyżur miał mój mąż. Tak histeryzowała, że podejrzewał ostry brzuch, wiesz, zapalenie pęcherzyka żółciowego albo niedrożność przewodu pokarmowego. Uspokoił ją i zaczął badać. USG w normie, morfologia i inne wyniki też okej, więc skupił się na wywiadzie. W końcu pękła. Rozstała się z facetem i z nerwów rozboleła ją brzuszek. Filip miał spokojny dyżur, więc z braku laku robił za jej psychoterapeutę. Wysłuchał, pocieszył, zrozumiał. Dla spokoju sumienia, jak to nazwał, odwiedził ją po dyżurze w domu. I stało się. W przyływie szczerości doniosła mi o tym ordynatorka chirurgii, która mieszka w tej samej klatce, co ta zdzira. Wtedy, w maju, oboje z Filipem mieliśmy nocne dyżury. Poszłam do niego i przycisnęłam. Przyznał się. Pytałam dlaczego, w czym

ona jest lepsza ode mnie. Odparł, że w niczym. Że po prostu chciał spróbować, jak to jest z inną. „Zawsze z tobą i z tobą, a mnie zżerała ciekawość i musiałem to zrobić. Teraz wiem, że jeszcze bardziej cię kocham”, powiedział.

– A ja wtedy nie miałam dla ciebie czasu... – Spojrzałam na nią przepraszająco.

– Zdarza się. – Julia posłała mi smutny uśmiech. – Nie chciałam zawracać ci głowy. Planowałam, że ci o tym powiem... ale potem mu wybaczyłam i raz na zawsze zakończyłam ten rozdział.

– Wybaczyłaś mu? – upewniałam się, czy dobrze usłyszałam.

– Tak – potwierdziła stanowczo.

– Julia... – Patrzyłam na nią z podziwem, bo kto jak kto, ale ona od zawsze znana była z głoszenia radykalnych poglądów. Pamiętam, jak opowiadała o facecie z diagnostyki obrazowej słynącym z podbojów wśród pielęgniarek. Oświadczyła, że gdyby Filip tak sobie pozwalał, własnoręcznie by go wykastrowała, a potem utopiła w kanale.

– A co miałam zrobić? – Spojrzała na mnie z powagą. – Wiesz, że mamy niespłacone kredyty na dom i samochody. Teściowie mnie lubią, ja lubię ich, moi rodzice Filipa i tak dalej. Pracujemy w jednym szpitalu. Przecież byłaby sensacja. Bałam się tego bałaganu, wiesz, rozprawy, podziały. Dałam sobie czas, a on chodził wokół mnie jak zbity pies. Nie odważył się podejść. Wysyłał SMS-y, maile, zostawiał liściki, przysyłał kwiaty. Ja w tym czasie robiłam test na HIV i odczyn Wassermanna, chociaż zapewniał, że uprawiał bezpieczny seks. Po kilku miesiącach wciąż drżałam na każdy dzwonek domofonu, zastanawiając się, czy przy bramie nie stoi ta szmata – w zaawansowanej ciąży. Nocami nie spałam, wszystko analizowałam, aż któregoś dnia, nad ranem, sama przed sobą się przyznałam, że ja też – spojrzała na mnie uważnie spod długich, umalowanych na brązowo rzęs – od czasu do czasu się zastanawiam, jak by to było z innym. Mówię to tylko tobie, Blanka. Filip nie ma o tym pojęcia. Na taką szczerość nie zamierzam się zdobyć. Byłabym głupia. I widzisz, minęło pół roku, a ja jestem szczęśliwa, że wtedy wylałam sobie na głowę kubel zimnej wody. Co bym zrobiła najlepszego? Rozwaliłabym swój związek. Jasne, nie było łatwo. Powtarzałam sobie, że z tamą to była czysta fizjologia, posłużyła mu ciałem, a on po prostu rozładował napięcie. A takiemu układowi bardzo daleko do miłości. – Julia zrobiła krótką pauzę. – Reasumując, spróbuj też spojrzeć w ten sposób na Marcela. Przecież wtedy nie miał zielonego pojęcia o twoim istnieniu, więc tak naprawdę cię nie zdradził. Skoro mówi, że nie chce z nią być, to znaczy, że jej nie kocha i to była tylko jednorazowa przygoda. A że powiększy populację? Trudno. Widocznie tak miało być. Wiesz, góralki są seksowne, sympatyczne, zdrowe, a w połączeniu z genami Marcela...

– Przestań! – Ze złością tupnęłam kapciem w podłogę, aż zabolęła mnie pięta, bo natychmiast wyobraziłam sobie góralską piękność leżącą na łóżku

w powabnej pozie, jej oczy migoczące w świetle kominka, a za oknem szczyty gór... – Dziecko może być najpiękniejsze, najmądrzejsze i w ogóle cudowne, ale wybaczone, nie jestem aż tak empatyczna, żeby je oglądać. Gdybym była typem podwórkowej kurki – skrzywiłam się z niesmakiem – która się zachwyca dziecięcymi obślinionymi pyszczkami, to może i tak, ale tyle razy ci mówiłam – popatrzyłam na Julę z wyrzutem – że jeśli chodzi o dzieci, jestem w stanie zaakceptować tylko swoje. No i twoje oczywiście – dodałam natychmiast.

– Blanka, a wzięłaś pod uwagę, że to nie ty będziesz wychowywać to dziecko? – Zamurowało mnie. Od wczoraj, myśląc o Marcelu, widziałam go w pakiecie z dzieckiem. Coś jak telefon i internet oferowany przez operatora albo ubezpieczenie OC i AC przez agenta. Wstrzymałam oddech. W głowie czułam wrzawę pracujących na wysokich obrotach trybików. – Posłuchaj. – Julia chrząknęła, szykując się do przemowy. – Life is brutal, niestety. Wiesz, jak to jest w przyrodzie? W przeważającej większości samce ochoczo kopulują, zapładniają, a potem natychmiast tracą zainteresowanie samicą. U ludzi bywa podobnie. Wiesz, ile moich pacjentek, którym po długich staraniach w końcu się udało zająć w ciąży, jest nieszczęśliwych, bo skarżą się, że partnerzy mają je gdzieś? Postawili sobie za punkt honoru powiększenie populacji i zachowanie gatunku. Misja spełniona. A teraz żegnaj, kotku, bo czeka inna. Wszystko, łącznie z wychowaniem i wykarmieniem dziecka, zostaje na głowie rodzicielki. Świat jest tak skonstruowany, że dziecko w pierwszej kolejności należy do matki; ojciec zawsze jest gdzieś w cieniu. Podobnie to nienarodzone dziecko Marcela – przecież ma biologiczną mamcię, co tobie do tego?

– Ale... hmm... – Zastanawiałam się intensywnie. – W zasadzie masz rację. Przecież od górskich widoków dzieli nas prawie czterysta kilometrów.

– Właśnie! – potwierdziła Julia z entuzjazmem, jak katechetka w podstawówce, gdy po długich tłumaczeniach tępy uczeń w końcu zrozumiał, że cudzołóstwo to nie jest sypianie w cudzym łóżku. A potem, spoglądając na zegar, krzyknęła: – Blanka! Mama będzie zła, jak się spóźnimy! Biegiem do łazienki i rób się na bóstwo. No już!

Mama Juli, słynąca z ekstrawagancji, którą przekazała w genach córce, na tegoroczne święta przyozdobiła całe mieszkanie – znajdujące się w szeregówce na ekskluzywnym osiedlu Arkadia – na limonkowo. W tym kolorze były bombki i łańcuchy na choince, obrusy, serwetki, świece, lampiony, cukrowy maczek na piernikach, lakier na paznokciach gospodyni, cienie na jej powiekach, kokardki w grzywkach dwóch suczek rasy yorkshire terrier, krawat gospodarza, a nawet styropianowy renifer w ogródku.

Na moje oko liczba gości znacznie przekraczała trzydziestkę. Panował

ogólny rozgardiasz, ale było swojsko i miło. Siedzący obok mnie wujek Juli, farmaceuta, nałożył sobie na talerz najtłustszy kawałek pieczeni i polał gęstym sosem. Zanim skusił się na pierwszy kęs, wyciągnął z butonierki blister tabletek i wszystkim głośno zaproponował poczęstunek, zapewniając, że unikną dzięki temu dolegliwości wątrobowych. Skusiłam się, podobnie jak kilka innych osób, wiedząc, że mama Juli jest gorącą zwolenniczką dodawania do wszystkiego świeżutkiego maselka. Siedząca po mojej prawej sąsiadka gospodarzy – kobieta o obfitych piersiach i wydatnym brzuszku – skutecznie dopingowała mnie do kosztowania kolejnych potraw, zapewniając, że zaraz po świętach, no, najdalej po sylwestrze, przetestuje superdieta o obiecującej nazwie „Cud bikini”.

Po obiedzie dziadek Juli zasiadł do pianina. Jedną ręką niewprawnie grał kolędy, a my z Julą i jej mamą sprzątałyśmy talerze, sztuczce i półmiski i podawałyśmy struclę makową, piernik z bakaliami, kawę i słodkie jak ulepek, ale mocne nalewki autorstwa gospodarza. Co odważniejsi goście, nie zważając, że głosy nie te, niemiłosiernie fałszując, co absolutnie nikogo nie raziło, śpiewali w rytm tonów nadawanych przez dziadka. Większość nie знаła całych tekstów, ja również, więc niektóre zwrotki zamienialiśmy na mormorando, ale i tak było fajnie. Znowu pozazdrościłam Juli rodziny.

I gdy popijałam likier z pigwy i miodu, śmiejąc się wraz z innymi, w mojej głowie klarował się plan – z każdym kolejnym wypitym kieliszkiem coraz bardziej precyzyjny.

Gdy obudziłam się drugiego dnia świąt, ogarnął mnie niepohamowany optymizm. Wciąż czując w ustach aromat pigwowej nalewki, pomimo kilkunastostopniowego mrozu za oknem, wzięłam chłodny prysznic i umyłam włosy miętowym szamponem. Gotowa do stawienia czoła nowym wyzwaniom, w turbanie z ręcznika, otulona płaszczem kąpielowym, puściłam płytę z gorącymi rytmami i zaparzyłam kawę. Gdy jednak z parującym kubkiem usiadłam w fotelu i sięgnęłam po telefon, mój entuzjazm niespodziewanie zredukował się o połowę. Zaczęły mnie nachodzić wątpliwości, czy na pewno plan opracowany poprzedniego wieczoru jest trafiony. Czy warto się angażować w ten dziwaczny, trójkątny układ? Bijąc się z myślami, długo obracałam w rękach aparat. W końcu zebrałam się na odwagę i postanowiłam zaryzykować. Byłam przekonana, że chemia krążąca pomiędzy mną a Marcelem ma charakter niepowtarzalny i jeśli zrezygnuję z podjęcia próby, mogę sobie tego nigdy nie wybaczyć. Poza tym w decyzji utwierdziła mnie Julia – to dziecko ma przecież biologiczną mamcię. I co mi do tego?

Teraz albo nigdy, pomyślałam i wybrałam numer.

– Wesołych świąt – zaczęłam niepewnie.

– Również... – odparł, wyraźnie zaskoczony.
– Masz jakieś plany na dzisiaj?
– Nie. W zasadzie mogę pojechać do rodziców i spędzić u nich kolejny miły świąteczny dzień, ale szczerze mówiąc, nie mam na to ochoty. Zresztą nawet nie zauważą mojej nieobecności. A ty? – zapytał z troską.

– Identycznie – odpowiedziałam smutno.

– Więc może...?

– Tak, może. Jeżeli najpierw coś uzgodnimy. Chodzi o twoje nienarodzone dziecko – zapowiedziałam z powagą. Po drugiej stronie usłyszałam głośne westchnienie. Wiedziałam, że nadchodzi kluczowy moment, który zaważy na być albo nie być naszego związku. Nerwowo przełknęłam ślinę i upiłam łyk kawy. A potem podjęłam: – Marcel, możemy się spotykać, ale ustalmy zasady. Najważniejsza z nich jest taka, że dziecko twoje i Elwiry to nie moja bajka, nie chcę mieć w tym układzie żadnego udziału. Oczywiście zgadzam się, żebyśłożył na jego utrzymanie. – Chciałam dodać: „przecierpię, że naszym wspólnym kosztem”, ale dałam sobie spokój. – Nie mam też nic przeciwko waszym bezpośrednim i telefonicznym kontaktom, ale stawiam jasne warunki. Nie życzę sobie znać jego daty narodzin, płci, imienia i stanu zdrowia – mówiłam pewnie i zdecydowanie. – Nie mam ochoty widywać go, słuchać o jego doskonałych umiejętnościach w stawianiu pierwszych kroków ani o sukcesach w przedszkolnych przedstawieniach. Dla mnie to dziecko ma nie istnieć. Ale podkreślam, akceptuję fakt, że będziesz ojcem. Wprawdzie takim na odległość, ale zawsze. Idziesz na ten układ?

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Wydawało mi się, że trwa w nieskończoność. Serce zatrzepotało mi z niepokoju.

– Tak – odparł wreszcie. – Skoro tak musi być. Miałem wprawdzie nadzieję, że może...

– Innej możliwości nie widzę – przerwałam asertywnie, starając się nie myśleć o przygnębieniu, które wyczułam w jego głosie.

– Dobrze, że chociaż akceptujesz fakty.

– Ja również jestem z tego dumna. To co? Przygotuję jakieś jedzonko i wpadniesz koło czternastej?

– Mam czekać jeszcze cztery godziny? Chcesz mnie dobić? – zapytał z udawanym smutkiem, ale zaraz się roześmiał.

– Dopiero co wzięłam prysznic. Jestem jeszcze w szlafroku i mam mokre włosy!

– Takiej cię jeszcze nie widziałem. Tym bardziej muszę zdążyć, zanim wyschniesz – odparł zmysłowo z tą charakterystyczną chrypką, która tak mnie kręciła.

– Marcel – udawałam, że tego nie słyszałam – ja nawet nie znam twojego

nazwiska.

– Tuszyński. Jeszcze coś? Może numer buta?

– Wiesz, że masz oczy jak akwamaryny?

Godzinę później stawiałam na kuchennym stole świąteczny posiłek z nadzieją, że powiedzenie „przez żołądek do serca” wymyślone zostało przez impotentą, który swoją ułomność kompensuje obsesją na punkcie jedzenia. Marcel, odwrócony do mnie tyłem, wyciągał na parapet zawartość papierowej torby, którą przyniósł ze sobą.

– Zaraz pogadamy – odparł. – Powiedz mi tylko: drób, dziczyzna, wołowina czy wieprzowina?

– Co proszę?

– Nie wiem, które wino otworzyć. Nie ma uniwersalnego...

– Dzisiaj przepiórki. Faszzerowane. Do tego rukola z winegretem i jedwabiste purée ziemniaczane.

– Super – skomentował z zachwytem, wciąż odwrócony ode mnie. Zapamiętałe czytał etykiety na butelkach. – Mam! Różowe z aromatem cynamonu i moreli dojrzewających w pełnym słońcu. Będzie w sam raz! Możesz mi podać otwieracz?

Po chwili, zadowolony, podsunął mi pod nos szyjkę otwartej butelki. Powąchałam. Pachniało cudnie, ale zrobiło mi się tak głupio, że miałam ochotę się zapaść pod linoleum udające parkiet, gdy Marcel kątem oka lustrował zawartość półmiska i miseczek ustawionych na stole. Nie było tam niczego poza sadzonymi jajami, kilkoma plasterkami szynki, tuńczykiem z puszki, makaronem w kształcie świderków, ugotowanym al dente, korniszonami, keczupem, musztardą i zielonym groszkiem z konserwy.

– Hmm... – Pociągał nosem. – Pachnie bosko. Czym faszerowałaś dzikie ptaki?

Od razu mi ulżyło. Punkt dla niego. Lubię facetów, którzy gładko wchodzą w takie gierki.

– Truflami duszonymi na świeżym maselku. W tej kompozycji smakują najlepiej. – Odzyskałam animusz.

– Masz rację. Chociaż... – zrobił zafrasowaną minę – ach, już wiem! Nadziane gęsią wątróbką też są pyszne. W drodze rewanżu przygotuję takie na przyszłą sobotę. Dasz się skusić? – W mojej miniaturowej kuchni wystarczył tylko krok, by zbliżył się do mnie tak, że czułam jego wodę toaletową – z dominującym aromatem lawendy, szaławii i drzewa sandałowego. Czysta męska klasyka, dobry styl.

Delikatnie chwycił mnie pod brodę i podniósł głowę, zmuszając, bym

spojrzała mu w oczy.

– Marcel, sorry za to menu... – powiedziałam ze skruchą. – Nie spodziewałam się gości.

– Cii. – Przyłożył mi palec do ust. – To naprawdę drobiazg. Najważniejsze, że dałaś mi szansę. – Wierchem dłoni muskał moje policzki. – Blanka, zakochałem się w tobie, choć prawie cię nie znam. – Uległam chwili, jego głębokiemu głosowi z charakterystyczną chrypką. Łasiłam się do tej dłoni jak kotka łaknąca pieszczot. Potem poczułam na szyi subtelnie drażniące igielki zarostu. – Zakochałem się. Dziwne, ale prawdziwe – mruczał mi do ucha.

Kupił mnie. Kupił mnie na dobre. Takiemu facetowi nie można się oprzeć. Nie ma się co dziwić tej góralce... No, jak jej tam? Ach, Elwira.

– Obiad nam stygnie – zdołałam jeszcze powiedzieć.

– Ale ja się rozgrzewam, wręcz płonę...

Wiadomo – są w życiu rzeczy ważne i ważniejsze.

Kiedy wreszcie zamierzaliśmy zasiąść do naszego pierwszego wspólnego posiłku, makaronowe świderki zdążyły zeschnąć się do tego stopnia, że można by je wkręcić do wiertarki i wiercić nimi dziury w betonie. Zamierzałam nalać wody do garnka, by ją zagotować i we wrzątku, starym, sprawdzonym sposobem, reaktywować makaron, kiedy Marcel, sięgając po telefon, stanowczo zaoponował:

– Daj spokój. Jeszcze mnie nie znasz, ale oświadczam ci, że jestem mistrzem w rozwiązywaniu najbardziej skomplikowanych sytuacji najprostszymi sposobami. Jeszcze ci udowodnię, że idąc przez życie przy moim boku, każdą noc prześpisz spokojnie. Będę złotą rybką spełniającą wszystkie twoje zachcianki.

Popatrzyłam na niego z pobłażliwym uśmiechem. Nie podejrzewałam u niego mitomanii. Oczywiście, faceci, zwłaszcza na początku znajomości, mają niepohamowaną skłonność do opowiadania farmazonów, by dodać sobie splendoru, ale z doświadczenia wiedziałam, że facet, na jakiego kreował się teraz Marcel, po prostu nie istnieje. No, może tylko w filmach o Bondzie, w harlequinach albo w naiwnych dziewczęcych marzeniach. On jednak powiedział to całkowicie poważnie, przeszukując internet.

Po chwili udało mu się zlokalizować czynny świąteczny catering i po konsultacji ze mną zamówił ruskie pierogi, łososia w galarecie i piernik przekładany masą marcepanową.

– Czy dobrze pamiętam, że mówiłaś coś o moich oczach? – zapytał, gdy w oczekiwaniu na dostawę siedzieliśmy, wtuleni w siebie, na kanapie, pijąc różowe wino.

– Tak, właśnie! – Uwolniłam się z uścisku i skupiłam wzrok na jego tęczęwkach. W promieniach słońca wpadających przez firankę wydały mi się jeszcze bardziej niezwykle, jak u hipnotyzera, któremu pacjent nie jest w stanie się oprzeć, traci władzę nad swoim ciałem i umysłem. – Masz oczy jak

zielononiebieskie akwamaryny.

– Zabawna jesteś. – Nachylił się i pocałował mnie w usta. – Blanka, moje oczy są szare. Po prostu. Co nie znaczy, że moje życie też jest w takim kolorze, szczególnie – spojrzał na zegarek – od jakiejś godziny.

– Nieprawda – zaprzeczyłam zdecydowanie. – Masz ten sam kolor oczu co akwamaryn w pierścionku cioci Jusi!

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał, przyciągając mnie do siebie.

– Ciotka bajala, że jeżeli spotkam kogoś o takich oczach, to będzie anioł. – Nagle zrobiło mi się smutno. Zatęskniłam za nią i pierścionkiem, który Iwona bezdusznie oddała do lombardu.

– Może więc odwiedzimy ciotkę i zrobimy komisyjne porównanie?

– Ciocia nie żyje. Biżuterię po niej moja siostra opchnęła wśród znajomych, a ten pierścionek zastawiła w lombardzie. Razem z mamą urządziła mnie na cacy, choć miałyśmy być obdzielone po równo. To był mój ulubiony pierścionek. Wiesz, taki starodawny. Niby zwykła błyskotka, ale ten podłużny akwamaryn i brylanciki wokół niego... – tłumaczyłam rozemocjonowana.

– Do którego lombardu go oddała? – Marcel dziwnie zmarszczył czoło, jakby wysilając pamięć.

– Przy Platynowej – odparłam. – Ale już go sprzedali. Sprawdziłam. Ktoś mnie ubiegł...

– Szkoda – skwitował z żalem, pocałował mnie na pocieszenie i wstał, bo właśnie rozbrzmiał dźwięk domofonu.

Łosoś w galarecie, choć wyglądał pysznie, był po prostu nieświeży, więc go odstawiliśmy; pierogi – owszem, niczego sobie, dlatego potraktowaliśmy je jako główny posiłek, ale piernik w towarzystwie białej kawy na deser okazał się genialny. Objedzeni okrutnie, poskromiliśmy chęć na dalsze leniuchowanie na kanapie i zaopatrzeni w cateringowy pojemnik z rybą w galarecie, tuńczykiem z puszki i sadzonymi jajkami, poszliśmy na spacer. Przy okazji postanowiliśmy poczęstować świątecznym posiłkiem bezdomne koty.

– Wiesz, Blanka, gdybym miał dom, zaadoptowałbym chociaż dwa – stwierdził Marcel, drapiąc za uchem rudzielca z wyszarpaną sierścią na grzbiecie. Piwniczne koty zwykle są nieufne, bo pamiętają krzywdy wyrządzone im przez ludzi, i obawiałam się, że kocur go ugryzie albo podrapie, ale zwierzak tylko się łąsił. – W suterenie kamienicy, w której mieszkam, rezyduje kilka takich biedaków – ciągnął. – Kupuję puszki i je dokarmiam.

Znowu punkt dla ciebie, pomyślałam, obserwując tę chwytną za serce scenę. Mówią, że człowieka poznaje się po tym, jak traktuje zwierzęta – i odwrotnie, gdyż one też instynktownie wyczuwają dobre albo złe fluidy.

W pewnej chwili spektakl został brutalnie przerwany – kociak czmychnął, bo z sąsiedniej klatki wybiegł nastolatek z wściekle ujadającym owczarkiem

niemieckim.

Popołudnie było bezchmurne i bezwietrzne. Postanowiliśmy nie wracać jeszcze do domu, pomimo kilkunastostopniowego mrozu. Oprócz nas wiele osób, szczególnie małżeństw z dziećmi, wybrało się na przechadzkę po świątecznym obżarstwie. Szliśmy głównym deptakiem, potem mostem, a Marcel zbierał kolejne punkty. Za to, że w przeciwieństwie do jego poprzedników nie pytał, ile zarabiam, nie interesowały go moje poprzednie związki, nie opowiadał podkoloryzowanych historyjek o swoich byłych, nie porównywał mnie z matką, nie szukał we mnie opiekunki, nie zanudzał o meczach, nie narzekał na dziurawy chodnik, nie nadymał się, za to patrzył na mnie z takim błyskiem w oczach, że czułam się seksowna i pożądana. W dodatku emanowało z niego coś, co nazwałabym siłą psychiczną. Taki facet wprawdzie nie pozwoli sobą kierować, ale też nie załamie się w obliczu trudności. Można się schować w jego ramionach i czuć się bezpiecznie.

W kolejną sobotę, około osiemnastej, stanęłam przed solidnymi dębowymi drzwiami kamienicy przy ulicy Kasztanowej na starówce. Nacisnęłam przycisk domofonu. Prawie natychmiast usłyszałam charakterystyczny brzęczek i weszłam na klatkę. Światło zapaliło się automatycznie. W nozdrza uderzył mnie zachęcający zapach mięsa pieczonego z rozmarynem, szałwią i czerwonym winem. Wiedziałam, że Marcel mieszka na pierwszym piętrze, pod szóstką, ale wystarczyło, że podążyłam za aromatem.

Czekał na mnie w progu.

– Zawyżasz poziom – stwierdziłam z uznaniem, kiedy kilkanaście minut później zasiedliśmy przy małym okrągłym stole w salonie i przełknęłam pierwszy kęs faszerowanej przepiórki. – To wkurzające, bo zaniża moją samoocenę.

– Od samego rana bardzo się starałem – odparł, mrużąc oczy. – Primo: posprzątałem. Secundo: gotowałem z nosem w laptopie, według przepisu, w którym wszystko jest dokładnie pokazane, krok po kroku. Jak dla idioty. Wysiliłem się dla ciebie. Chcę, byś wiedziała, że jesteś pierwszą i ostatnią kobietą, którą tu przyjmuję. – Popatrzył na mnie znacząco spod zwichrzonej grzywki, a mi zrobiło się miło. – Chcę wybudować dom, mam na to środki, tyle że dla jednej osoby to nie ma sensu. Dlatego na razie wynajmuję to dwupokojowe mieszkanie. I tak jestem w nim tylko gościem. Wczoraj wróciłem z Baku. Lot z przesiadką w Moskwie. Niby fajnie, ale miałem przymusową dziewięciogodzinną przerwę w podróży. Nuda, nuda i jeszcze raz nuda. Sporo sklepów, kilka bezcłowych, wszędzie palą, nawet w miejscach zabronionych, w restauracjach drogie, ale smaczne jedzenie. Przerabiałem to wszystko już kilkakrotnie, choć tym razem było nieco inaczej, bo zastanawiałem się, co ci kupić w prezencie.

Wstał i podszedł do nierozpakowanej torby podróżnej, opartej o narożną

przeszkloną szafkę, która wprost pękała w szwach od magazynów motoryzacyjnych. Chwilę szarpał się z zamkiem, zanurkował dłonią we wnętrzu, po czym wyjął kilka małych puszek i położył je na podłodze.

– To ikra, czyli kawior – wyjaśnił, dalej niecierpliwie szperając w torbie. – O, mam!

Wyciągnął jakieś zawiniątko, szybko schował za plecy, podszedł i kucnął przede mną.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba. – Wręczył mi pakunek. W napięciu patrzył, jak rozrywam błyszczący papier i wyjmuję błękitną, lekką i puszystą dzianinę utkaną z cieniutkich jak pajęczynka włókien. Gdy przyłożyłam ją do twarzy, ogarnęło mnie przyjemne ciepło. – To szal orenburski. Z jedwabiu i kaszmirowej przędzy uralskich kóz. Ręczna robota – wyjaśnił, oplatając szal wokół mojej szyi. – Wyglądasz jak anioł... – wyszeptał, patrząc na mnie z zachwytem. – Te jasne długie włosy i ten błękit...

– A ty masz oczy anioła – odparłam. – Takie zielononiebieskie akwamaryny zamiast tęczówek mają tylko istoty nie z tej ziemi – przekomarzałam się z nim.

– Przestań – roześmiał się. – Już ci mówiłem, że mam szare oczy. Tylko ty twierdzisz, że jest inaczej.

Wstał i dołał nam wina.

– A jak ci minął tydzień beze mnie? – zapytał, ciągle się uśmiechając. W policzkach zrobiły mu się dołeczki, a w oczach odbijały się płomienie świec.

– Jak mi minął tydzień? – powtórzyłam i wzruszyłam ramionami. – Nic nowego. Szara proza życia. – Westchnęłam ciężko. – Standardowo, jak to po świętach, musiałam przypominać pracownikom, po co przyszli do pracy. Wszystko rozumiem, leniuchowanie, obżarstwo, rodzinne biby, ale musiałam sprowadzić ich z chmurek na ziemię, zresztą podobnie jak siebie samą. – Spojrzałam na niego wymownie. – Chciałabym dać im jeszcze choć jeden dzień laby, ale weszliby mi na głowę. Wiesz, jak było dwa lata temu, po moich pierwszych dyrektorskich świętach? Połowa oddziału myślała tak: przyszła młoda, głupia, to ją wystrychniemy na dudka. Postanowili przedłużyć sobie nieróbstwo i poszli na chorobowe. W oddziale zrobił się cyrk. Trudno mi było zorganizować pracę. Kolejki do obsługi wiły się aż do drzwi, klienci się denerwowali, co chwilę ktoś przychodził i robił mi awanturę. W końcu wzięłam się na sposób – zrobiłam prostą analizę, kto miał ile dni chorobowego. I proporcjonalnie, jak najsprawiedliwiej, podzieliłam premię. Ci, którzy dezorganizują swoim chorobowym pracę oddziału, nie dostali jej wcale albo dostali bardzo symboliczną. Zaoszczędzoną tym sposobem pulę rozdzieliłam pomiędzy pozostałych. Byli przyzwyczajeni, że zawsze dostają po równo, więc zaczęły się szloch i wrogie spojrzenia. Po Wielkanocy zwolnień było mniej, ale przezornie powtórzyłam swój fortel. Teraz już nie biorą zwolnień, za to wykazują tendencję do ukrywania się w kątku, by tam

przeczekać do końca zmiany. A na to ani oni, ani ja nie możemy sobie pozwolić.

– Wybacz, Blanka, ale nie wyobrażam sobie ciebie ustawiającej kogoś do pionu. Wyglądasz na świętą. I jeszcze ten błękit. – Wskazał na szal, który wciąż oplatał moją szyję i głowę. – Jest jak aureola. – Pokręcił głową z niedowierzaniem i usiadł naprzeciwko.

– Marcel, czy ty się z choinki urwałeś? – odparowałam. – Sam prowadzisz interesy i wiesz, jak jest. Życie to dżungla. Trzeba walczyć o przetrwanie, być sprytnym i szybkim, bo inaczej rozszarpią cię na strzępy i zostaniesz pożywką dla innych. Osobniki o miękkim sercu są eliminowane, żywią się przecenionym, twardym jak skała chlebem i nie stać ich na zapłacenie rachunku za prąd. Chciałabym być aniołem, ale kto wtedy płaciłby za mój czynsz i płatki śniadaniowe?

– To prawda. – Wodził palcem po brzegu kieliszka, wydawał się nieobecny. – Ja też prowadzę interesy. Ale nie zgadzam się z tobą, że życie tak wygląda. W biznesie ważne jest zaufanie do kontrahentów.

– Tere-fere! Przestań gadać farmazony. – Byłam coraz bardziej podminowana. – Zaufanie? Owszem, jak najbardziej, ale tylko do siebie! Trzeba samemu sobie wyznaczać cele, stawiać twarde zasady, wystrzegać się błędów, bo zostaniesz zerem bez grosza przy duszy. I nie ściemniaj, że robisz inaczej.

– Właśnie że robię. Owszem, spisuję jakieś umowy, ale nie wielostronicowe, nie tworzę zbędnych paragrafów i tego wszystkiego, na czym opierają się inni formalisci. Zawsze zaczynam od spotkania w restauracji przy dobrym posiłku i drinku. Albo dochodzimy do wstępnego porozumienia, albo nie, ale zawsze rozstajemy się pokojowo i jeszcze nie zdarzyło mi się, żeby ktoś wystrychnął mnie na dudka. Wręcz przeciwnie – zamykamy przyjaźnie, a wtedy robienie interesów to już czysta przyjemność.

– To, o czym mówisz, to jakaś utopia! – skwitowałam.

– Nie. Takie są realia mojej pracy – stwierdził stanowczo.

– Nie rób z siebie świętego! Filantropką, przytulającą wszystkich, łącznie z chomikami i kotami całego świata, mogłabym być, gdyby manna mi leciała z nieba i nie musiałabym walczyć, by się utrzymać na stanowisku. Owszem, są babki, takie szczęściary, które o dżungli życia nie mają pojęcia, bo mają facetów robiących dużą kasę i nie obchodzi ich kompletnie nic – postanowiłam przedłożyć mu swoją teorię. – Forsa nie kojarzy im się z zarabianiem, ale z bankomatem. Podchodzą, wbijają PIN i mają.

– Jasne, ale nie można być aż tak twardym, wręcz... – zawahał się.

– Wrednym? To chciałeś powiedzieć? Prawda, nie można, ale trzeba być konsekwentnym. A teraz już przestań, bo się pokłócimy. – Zdjęłam z głowy i ramion szal, żeby przestał mu się kojarzyć z aureolą. – Nie krytykuj tylko więcej mojego sposobu na przetrwanie w twardych realiach współczesnego rynku. Muszę

sama o siebie zadbać i już! Myślisz, że taka praca to moja pasja? Że od czasu do czasu nie gryzą mnie wyrzuty sumienia, bo co rusz centrala wprowadza produkt z tak głęboko ukrytymi kosztami, że nawet prawnikom co sprytniejszych klientów trudno je wyłapać? Płacę za to szczerkościskiem i zgagą.

– Dobrze, już dobrze. Rzeczywiście lepiej zmienmy temat – próbował mnie udobruchać. – Wiesz, że oryginalny szal orenburski przechodzi przez obrączkę? Z pozoru wydaje się to niemożliwe, bo jest tak puchaty. Spróbujemy?

– Nie mam obrączki – odparłam naburmuszona.

– Ale masz pierścioneł. Zresztą bardzo ładny.

– Sama sobie kupiłam – rzuciłam zaczepnie. Nie przyznałam się, że inny pierścioneł kupił mi Iwo – w budce przy molo w Sopocie. Obrączka ze stopu metali w kolorze srebra z przyczepioną na klej bałtycką muszelką. Wytrwałam w nim kilka godzin. Metal zabarwił mi palec na szaro. Plama wyglądała jak siniak.

– Zdejmij na chwilę – poprosił. – Sprawdzimy...

Rzeczywiście, choć wydawało się to niemożliwe, mięciutka błękitna materia bez trudu przeszła przez złote kółeczko.

– Niewiarygodne! – zawołałam zdumiona i już prawie zapomniałam o naszej sprzeczce, ale jedna sprawa wciąż nie dawała mi spokoju. – Marcel, pozwól, że na chwilę wrócę jeszcze do tematu życiowej dżungli. Czy przypadkiem nie jest tak, że ty nie masz pojęcia o realiach życiowych, bo na przykład odziedziczyłeś majątek po ciotce w Stanach i jesteś zwykłym rentierem? – zapytałam podejrzliwie.

– Nie, Blanka. Naprawdę zarabiam na życie tak, jak powiedziałem. Jeżdżę po świecie, najczęściej po krajach Zachodu, kupuję używane i amortyzowane linie produkcyjne, maszyny i urządzenia, a potem z zyskiem sprzedaję je na Wschodzie. Nic wielkiego, więc nie pytaj mnie o szczegóły. Jeżeli chodzi o wykształcenie, to skończyłem handel zagraniczny i rusycystykę. Równolegle studiowałem oba te kierunki. Myślałem, że z podwójnym dyplomem magistra podbiję świat. Dość szybko życie sprowadziło mnie do parteru. Wylądowałem w firmie eksportującej cebulę i jabłka. Wytrwałem w niej pięć lat. Codzienna nuda, rutyna, praca przy biurku, kilka telefonów dziennie, formularze celne, kawka, imieniny szefa, narzekanie na zarobki – to wszystko zaczęło mnie nużyć. Postanowiłem sam dla siebie być sterem...

– ...żeglarzem, okrętem – dokończyłam za niego.

– Właśnie. Słowem: pracować na swoim. Miałem pomysł, ale za mały kapitał, by zainwestować. Pożyczyłem więc od sąsiada na lichwiarski procent dziesięć tysięcy dolarów. Za pół roku oddałem dwanaście, ale i tak jestem mu wdzięczny. Gdyby nie on... – Zamyślił się na moment, ale zaraz ożywił. – Byłem w kilku bankach i wszystkie odmówiły mi kredytu. A ty, jako dyrektorka oddziału, wyskoczyłabyś dla mnie z kasy?

– Pytasz, czy udzieliłabym ci kredytu?

– Właśnie.
– Tylko w przypadku solidnego zabezpieczenia – odparłam rzeczowo, upijając łyk wina.
– Czyli?
– Hmm... – Zapatrzyłam się w sufit. – Co najmniej dwukrotnego zabezpieczenia finansowego i solidnego biznesplanu.
– A gdybym miał tylko biznesplan? W miarę mi się udało, jakoś ciągnę ten interes – tłumaczył rozgorączkowany. – Spłacałbym odsetki terminowo...
– Na jakim ty świecie żyjesz? – przerwałam mu. – Mam procedury, nie mogę szastać pieniędzmi akcjonariuszy, bo mnie z roboty wyleją. Marcel, rozumiesz, jak mi nieraz ciężko? Przychodzą potencjalni klienci ze świetnymi pomysłami, a ja muszę ich odsyłać z kwitkiem. Obawiam się, że podzielilibyś ich los.
– A czy wiesz, do czego zobowiązuje twoje imię? – zapytał niespodziewanie, wpatrując się we mnie z rozżaleniem, i zanim zdążyłam otworzyć usta, podjął: – Sprawdziłem w księdze imion. Blanka to kobieta pełna pogodnego światła. Przepelniona ciepłymi uczuciami, empatyczna, o gołębiim sercu, czystym jak kryształ. Poza tym piękna i powabna. – Otaksował mnie i mruknął: – No, akurat te dwie ostatnie cechy są trafne.
– Posłuchaj, mój drogi! – Miałam już tego dość. Skrzyżowałam ramiona, oparłam je o stół i pochyliłam się w jego kierunku. – Gołębie serce można mieć, kiedy nie trzeba harować na swoją pozycję i utrzymanie. A ja muszę być taka, jaka jestem, bo inaczej mnie wyleją. Dziękuję za kolację. – Z hukiem odłożyłam sztućce na talerz i wstałam. – Było miło, szkoda, że się skończyło! Niepotrzebnie się fatygowaleś.
Rozeźlona zerwałam wiszący w przedpokoju płaszcz i wybiegłam z mieszkania.

Zapięłam się po samą szyję, narzuciłam kaptur na głowę i żwawym marszem ruszyłam w kierunku domu. Przechodząc przez park, mocniej ściągnęłam troczkami kaptur w nadziei, że wygłuszę w ten sposób piski dzieci zjeżdżających na sankach ze sztucznie usypanej górkę. Pomogło tylko trochę. Po lewej stronie grupka małych dzieci ze śmiechem rzucała się śnieżkami. Niespodziewanie podbiegła do mnie dziewczynka ubrana w kombinezon ze sztucznego różowego futerka i rzuciła mi śniegiem prosto w twarz. Niestety – celnie. Zmrożona, twarda kula rozprysła się na drobinki. Instynktownie zacisnęłam powieki, ale i tak na chwilę świat wokół mnie się zamazał. Szybkimi ruchami starałam się zgarnąć śnieg z policzków i czoła.

– Ty gówniaro! – wrzasnęłam za uciekającą dziewczynką.

– Głupia kwoko, park należy do nas, staruszkom wstęp wzbroniony! – usłyszałam w odpowiedzi. Zaraz potem rozległa się salwa śmiechu.

Zagotowało się we mnie. Jak ja nie cierpię cudzych dzieci!

Przyspieszyłam kroku, marząc tylko o tym, by być już w domu. Nie było łatwo, szczególnie że założyłam krótkie botki na wysokich obcasach, a chodniki pokryte były grubą warstwą świeżego śniegu. W niektórych miejscach wyczuwałam oblodzenia. Służby drogowe chyba ucięły sobie zimową drzemkę i – podobnie jak niedźwiedzie – zbudzą się dopiero wiosną.

Na chwilę przystanęłam przed oświetloną jaskrawym światłem witryną sklepu z modą ślubną. Manekin, do złudzenia przypominający żywą dziewczynę, był ubrany w jedwabną, udrapowaną na fiszbinach białą suknię z długim trenem, przepasaną w talii szeroką srebrną szarfą. Plastikową twarz do połowy zakrywał koronkowy welon, upięty nad sztucznym koczkiem. Tuż obok, jak do pocałunku, pochylał się manekin faceta – biała koszula, złota muszka, czarny smoking. Młodzi ludzie, zatraceni w sobie bez pamięci... Co za bzdury! Taka miłość się nie zdarza, a nawet jeśli, to szybko wygasa. Ruszyłam, rzucając przez ramię ostrzeżenie:

– Ten garnitur przyda ci się na pogrzeb.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się jakaś restauracja. Słabo znałam ten zaułek, ale byłam pewna, że ostatnio w tym lokalu mieściła się siedziba firmy kurierskiej. Przystanęłam zaintrygowana. Nad szyldem „We dwoje” umocowano tablicę, podświetloną pulsującymi na czerwono diodami. Informacja poniżej głosiła: „Specjalizujemy się w organizacji przyjęć weselnych w rozsądnych cenach. Menu ustalamy...”. Darowałam sobie dalszą lekturę. Przyspieszyłam i następne kilkadziesiąt metrów maszerowałam, kuśtykając po nierównym od zlodowaceń chodniku. Starłam się patrzeć tylko pod nogi, ale w końcu musiałam się rozejrzeć i ustalić swoją pozycję. Minęłam sklep obuwniczy, okej, tragedii nie ma. Zaraz potem przeszłam obok agencji pocztowej. Coraz lepiej, dodawałam sobie otuchy. I wtedy klops – Cudny brzusio – moda dla przyszłej mamusi; na wystawie kilka brzuchatych manekinów. Czy nawet handlowcy się na mnie uwzięli? Na szczęście zaraz był dworzec kolejowy, a obok niego postój taksówek. Wybawienie! Chociaż do domu miałam góra kwadrans, postanowiłam skorzystać z taryfy. Tyle że żadnej akurat nie było. Dłuższą chwilę przytupywałam z zimna, dziurawiąc obcasami lód, zanim w końcu podjechał zielony mercedes.

W środku śmierdziało miętusami i papierosowym dymem. Taksówkarz, w wełnianej czapce uszatce, usłyszawszy adres, popatrzył na mnie przeciągle. Zaraz jednak się odwrócił, głośno włączył jakiś rap i pojechał – w przeciwnym kierunku. Ty chamie, pomyślałam. Uważasz, że jestem przyjezdna, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie bierze taksówki na tak krótką trasę?

Z miną mówiącą: „ja tu rządę”, rytmicznie kołysząc głową, wtórował pseudoartyście. Najwyraźniej piosenka była mu dobrze znana. Co drugie słowo

było niecenzuralne. Wyłączyłam zmysł słuchu i wygodnie zagłębiona na tylnym siedzeniu, patrzyłam przez okno. Wiózł mnie po mało znanych mi peryferiach. Mijały jakieś hurtownie, schronisko dla zwierząt, oczyszczalnię ścieków, z dala świeciły natrętne neony centrum handlowego, za nimi widziałam jakieś pola, ruiny... Potem obwodnicą wrócił na przedmieścia i jak w labiryncie zaczął kluczyć po wąskich uliczkach osiedla wybudowanego we wczesnych latach sześćdziesiątych. Ta wycieczka zaczynała mi się nawet podobać. Zawsze jakaś odmiana.

– Doskonale pan jeździ! – Nachyliłam się i rzuciłam mu komplementem prosto w ucho.

– Co? – Podciągnął uszatkę.

– Jest pan świetnym kierowcą. Jak Hołowczyc!

– Trochę się już jeździ po tym świecie. Ja też mogłem zostać rajdowcem.

– Ależ oczywiście – potwierdziłam skwapliwie.

W lusterku wstecznym widziałam, że się rozpromienił.

– Tyle że człowiek kiedyś był głupi.

I głupi pozostał – chciałam skomentować, ale ugryzłam się w język. Życie i konieczność radzenia sobie samej w każdej sytuacji dały mi niezłe w kość. Jeśli wyczuwałam, że ktoś chce mnie zrobić w balona, w odwecie potrafiłam udawać nierozgarniętą, uśpić czujność przeciwnika, z dobrotliwym uśmiechem go dowartościować, a potem uderzyć. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

– Dobrze zna pan miasto? – zapytałam niewinnie.

– Ach, urodziłem się tutaj. Znam każdy zakątek jak własną kieszeń. – Rozluźnił się. Trzymał teraz kierownicę trzema palcami lewej ręki, a prawą manipulował przy radiu. Na drogę zerkał tylko mimochodem. Pełen szpan! W końcu zwolnił i zatrzymaliśmy się przed moją klatką. Spojrzałam na taksometr. Sto sześćdziesiąt dziewięć złotych.

– No, jesteśmy na miejscu. – Odwrócił się do mnie. Miał minę zwycięzcy rajdu Paryż–Dakar. Zmęczony, ale szczęśliwy. – Licznik to licznik, pokazuje grosze, ale sama pani widzi, jakie są warunki. Gołoledź, słaba widoczność, znoszące boczne wiatry, bryczka więcej pali... Ech, niech stracę. – W skupieniu zmarszczył brwi. – Da pani dwie stówy i będziemy kwita.

– Naprawdę serdecznie panu dziękuję za miłą przejażdżkę. – Powoli wyciągnęłam z torebki portfel i rozłożyłam go pod lampką.

– Po to tu jestem – stwierdził usłużnie i przełknął ślinę. Jabłko Adama uwydatniło się na jego żylastej szyi. Wyciągnął dłoń w moją stronę, oczekując na zapłatę.

– Mam jeszcze pytanie.

– Tak?

– Na komisariat jedziemy od razu czy chce pan mieć chwilę na zebranie

myśli? – zapytałam, ciągle z uśmiechem grzebiąc w przegródce z drobniakami. W końcu odwróciłam portfel i wysypałam całą zawartość na dłoń taksjarza. Było tego ze trzy dychy. I tak więcej, niż należałoby się za kurs, gdyby pojechał uczciwie. – To jak?

– Nie rozumiem, o czym pani mówi! – Udawał oburzonego. Bezskutecznie próbował ukryć zdenerwowanie. Zaczął dyszeć. Wolną ręką zrzucił z głowy uszatkę. Przetłuszczone i posklejane potem włosy cuchnęły mieszanką zgnilej cebuli i octu.

– Myślisz, że taki z ciebie spryciarz? Uważasz, że samotne kobiety można do woli zapędzać w kozie róg? Robić z nich idiotki? Bezmózgowce? To się mylisz – zapewniłam słodziutko. – A teraz zawracamy i jedziemy na komisariat. Gratisowo. Po pierwsze, masz tu zamontowany gadzecik do nabijania kilometrów. – Szłam na całość. Nie wiedziałam, czy to prawda, ale facet wyraźnie pobladł. – Poza tym tak się składa, że ja również mieszkam tu od urodzenia, a ty, cwaniaczku, bujałeś się ze mną po mieście bez ładu i składu, wychodząc z założenia, że jestem tu pierwszy raz. Na moje oko dwudziestokrotnie przedłużyłeś trasę. Wiesz, jak to się nazywa w języku prawniczym?

– Ale ja myślałem... – Zamilkł, bezskutecznie szukając wytłumaczenia.

– Myślałeś, że trafiłeś na kretynekę. Ale pozwól, że odpowiem na swoje pytanie, bo sam najwyraźniej nie potrafisz. W języku prawniczym nazywa się to niekorzystnym rozporządzeniem mieniem klienta. – Złożyłam portfel i wrzuciłam go do torebki. – Za to mogą cię nawet zapuszkować. No, zawracaj wreszcie – ponagliłam go zniecierpliwiona.

– A nie dałoby się jakoś... – Zdenerwowany, przez chwilę drapał się w głowę, a potem wytarł spływający z czoła pot.

– Zrobmy tak. – Patrzyłam na niego jak na skazańca stojącego pod szubienicą. Mogłam darować mu życie, ale nie musiałam. – Wymontujesz ten nabijacz kilometrów. Zgoda?

– Zgoda – przytaknął skwapliwie, a na jego twarzy pojawił się cień chytrego uśmiechu.

– W dalszym ciągu myślisz, że jestem idiotką? Nie, kanciarzu. Nawet gdybyś mi przysięgał na kolanach, nie uwierzę w ani jedno twoje słowo. Mam układy w przestępstwach gospodarczych. – Oczywiście nie miałam, a nawet gdyby, to i tak nie chciałoby mi się tym zawracać głowy. – Zgłoszę numer twojej taksówki, a oni od czasu do czasu podrzucą ci tajemniczego klienta. I jakby co... – Podniosłam dłoń do szyi i zrobiłam szybki poziomy ruch.

– Tak – potwierdził, dysząc nerwowo. Wyglądał, jakby ktoś go podduśił. Jego żylasta szyja zabarwiła się na bordowo. W tym momencie przypomniałam sobie Marcela mówiącego o zaufaniu w biznesie i pokojowym załatwianiu spraw. Nie ma takiej opcji. Nie da się beztrosko usiąść na fotelu i popijając drinka

z parasolką, walczyć o swoje. Życie ma barwę szarą, czasami nawet czarną, ale na pewno nie różową. Może miałam bez szemrania zapłacić za kurs i udawać, że jestem słabo kapująca? W pracy, tak jak w życiu, trzeba być konsekwentnym, przebiegłym, czujnym, przygotowanym na odbieranie ciosów. Szczególnie samotna kobieta musi mieć oczy dookoła głowy.

– Miłego wieczoru. – Uśmiechnęłam się rozbrajająco na pożegnanie.

Wysiadając z taksówki, byłam wdzięczna losowi za to zdarzenie. Odreagowałam kłótnię z Marcelem, wyzywając się, zresztą całkiem słusznie, na pospolitym oszuście. Nie ma sensu kumulować destrukcyjnych emocji, bo zaprowadzą prostą drogą do wariackowa. Nieraz zastanawiałam się, jak moi pracownicy radzą sobie ze stresem. Wydzierają się na dzieci? Zajeżdżają innym drogę? Rozbijają wazy z miśnieńskiej porcelany? Nie miałam pojęcia i dla własnej higieny psychicznej wolałam nie wgłębiać się w to zagadnienie.

Ruszyłam w stronę wejścia do klatki. Dopiero teraz zauważyłam, że przed drzwiami w tę i we w tę nerwowo przechadza się Marcel.

– Blanka! – Dostrzegł mnie i podbiegł, ucieszony jak piłkarz czwartoligowego klubu, któremu udało się wejść do reprezentacji narodowej. – Jesteś! W końcu jesteś! – mówił jak w gorączce. – Wyszłaś, a ja za kilka minut wybiegłem za tobą, szukałem cię po całym mieście, potem przybiegłem tutaj. Przykro mi, że przeze mnie płakałaś. Wiem, to moja...

– Płakałam? – zdumiona przerwałam jego słowotok. – Co ci przyszło do głowy? Piłeś napar z korzenia szaleju czy co?

– Nie wstydz się swoich uczuć. Masz pod oczami takie czarne kleksy... Mama miała takie same na pogrzebie dziadka. Zapomniałaś tego. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął szal orenburski i po raz drugi tego dnia owinał mi go wokół głowy. – Wyglądasz jak anioł. Pomimo tych zacieków pod oczami jesteś piękna. – Przyciągnął mnie do siebie i objął z całych sił.

Cholera, pomyślałam, to przez tę wredną gówniarę, która w parku rzuciła we mnie śnieżką. Od dzisiaj używam tylko wodoodpornych kosmetyków, przyrzekłam sobie w duchu, podczas gdy on obcałowywał mnie wśród wirujących płatków śniegu.

Była połowa marca. W sobotni rano siedziałam po turecku na dywanie i bezpośrednio ze słoika wyjadałam palcem krem z kasztanów, który Marcel przywiózł z Tuluzy. Pyszny, jedwabisty, po prostu poezja. On siedział tuż obok, w tej samej pozycji. Tyle że zamiast słoika miał przed sobą laptop. Właśnie sprawdzał aktualne kursy walut.

– Marcel – pochyliłam się i podrapałam go w kolano – zrób sobie chwilę przerwy. Muszę ci coś powiedzieć.

– Uhm? – Podniósł na mnie pytający wzrok.

– Proszę, nie obdarowuj mnie łakociami. – Z każdej podróży przywoził mi coś słodkiego. Z Damaszku – galaretki z pistacjami i orzeszkami, obtoczone w kokosie. Z Lizbony – tłuste chrupiące ciasteczka nadziewane budyniem. Z Palermo – marcepanowe serduszka pokryte gorzką czekoladą. A ja potrafiłam zjeść to wszystko prawie natychmiast. Potem leczyłam się nalewkami wspomagającymi układ trawienny. Skutek był taki, że w dwóch spodnicach musiałam przesyć guziki. A jeszcze pod koniec ubiegłego roku był w nich duży luz.

– Bo?

– Bo będę jak szafa czterodrzwiowa.

– Raczej jak serwis na dwadzieścia cztery osoby.

– No, do tego to mi jeszcze brakuje!

– Może odrobinę. Wyglądasz jak serwis trochę zdekompletowany... No, powiedzmy, że brakuje mu jednego spodka.

– Co powiedziałaś? – Podniosłam słoik i zamarłam, jakbym chciała nim rzucić.

– Powiedziałem, że jesteś za chuda i muszę cię jeszcze podkarmić. – Odłożył laptop i przysunął się bliżej. Potem odebrał mi słoik i położył obok komputera. – Chodź tu do mnie... Tak bardzo się stęskniłem. – Pocałował mnie w szyję, w głowę, w usta... Bez oporu poddawałam się jego czułości. – Blanka, nie mogłem się doczekać tej chwili...

Zabrzęczała jego komórka. Udawaliśmy, że nie słyszemy. Na szczęście za chwilę zamilkła, a ja objęłam Marcela mocno, najmocniej jak umiałam. Niestety, komórka rozdzwoniła się powtórnie. Zrezygnowana opuściłam ręce.

– Wywal ją przez okno albo chociaż wyłącz – zażądałam. Facetom jednak niekiedy szwankuje intelekt, szczególnie w zakresie przewidywalności. Przecież wiadomo było, jak się skończy nasze wspólne przesiadywanie na dywanie. Tak jak zwykle. Dlatego ja przezornie wyłączyłam swoje komórki, a w stacjonarnym wyciszyłam głośność.

Wpatrywałam się z politowaniem w Marcela, gdy się podnosił. Chwilę trwało, zanim znalazł komórkę. Wałała się pomiędzy gazetami obok fotela. Podniósł ją, wtedy zadzwoniła po raz trzeci.

– Nie odbieraj. Odrzuć rozmowę! – zachęcałam, rozwiązując splątane gumką włosy. Wiedziałam, że go to kręci. Staralam się mieć przy nim zawsze rozpuszczone włosy, ale jeszcze przed kwadransiem byłam w kuchni. Marcel przyjechał nad ranem prosto z lotniska. Dosłownie leciał z nóg, bo lot był opóźniony. Zdołał tylko napić się herbaty i padł. Zbudziliśmy się przed godziną, zjedliśmy śniadanie, on poszedł pod prysznic, potem do auta po bagaże, a ja w tym czasie wstępnie przygotowałam obiad. Szczawiową, surówkę z kiszzonej kapusty

i eskalopki z indyka. Pozostało tylko wrzucić jaja do zupy, obrać i ugotować ziemniaki. To zajmie chwilę. Obserwowałam, jak stojąc do mnie tyłem, czeka, aż komórka umilknie. – A teraz ją wyłącz – wabiłam go. – Przecież nie ma ważniejszej rzeczy w całej galaktyce niż ja. No, chodź tu wreszcie...

Odwrócił się. Jeszcze przed chwilą wyglądał jak okaz zdrowia, a teraz jego policzki miały kolor ściany. Zdezorientowana wpatrywałam się w niego, próbując cokolwiek wyczytać z jego twarzy.

– Blanka... – Chrząknął zakłopotany. – Ja powinienem...

– Oddzwonić?

– Tak, może jeszcze nie w tej chwili, ale...

– To dzwoń, byle szybko. – Wzruszyłam ramionami. – Jeżeli naprawdę musisz.

– To ja pójde gdzieś, gdzie...

Rozejrzał się bezradnie. W pierwszej chwili nie zrozumiałam. Przecież przy mnie inicjował i odbierał dziesiątki rozmów. Rozmawiał z kontrahentami, rodzicami, siostrą, przyjaciółmi, telemarketerami. Krótko, na temat, zawsze swobodnie. Często w obcych językach. Z wyjątkiem rosyjskiego znałam wszystkie, którymi się posługiwał. I w tym momencie mnie olśniło. Elwira. To mogła być tylko ona.

Zerwałam się z miejsca jak kibic na trybunach, gdy sekundę przed końcem meczu pada decydujący gol.

– Rozmawiaj tutaj – powiedziałam cicho i na nowo związałam włosy. Udałam nonszalancję. Dotychczas byłam przekonana, że opanowałam tę umiejętność do perfekcji, teraz jednak miałam wątpliwości.

Szybkim krokiem, nie patrząc na niego, wyszłam do kuchni.

Moje mieszkanie było małe i bardzo akustyczne. Nawet w najdalszym kącie nie dało się rozmawiać dyskretnie. Awantury, tupanie, bieganie, szczekanie psa czy płacz dzieci u sąsiadów to stały dodatek do codzienności mieszkańców bloku.

Czułam, jak wszystko się we mnie gotuje. Jakim prawem ona do niego dzwoni, i to w takim momencie? W kuchni łyknęłam ziołową tabletkę uspokajającą, mając nadzieję, że pomoże ostudzić nerwy. Potem z impetem nacisnęłam przycisk wentylatora pod okapem i nastawiłam go na najwyższe obroty. Niewiele pomogło, więc wysunęłam szufladę ze sztućcami i wyrzuciłam jej zawartość na blat, a potem, starając się robić jak najwięcej hałasu, zaczęłam wrzucać łyżki, widelce i noże do poszczególnych przegródek. Może i dałabym radę zagłuszyć słowa Marcela, gdyby nie fakt, że skrzydło drzwiowe, które powinno dzielić kuchnię od przedpokoju, dawno temu, jeszcze przy pomocy Iwona, wyniosłam do piwnicy, by ułatwić otwieranie jednej z szafek. Wtedy wydawało mi się, że mieszkanie zyskało na funkcjonalności – teraz uznałam to za chybiony pomysł. Chcąc nie chcąc, słyszałam strzępki przytłumionych słów:

– Przecież zrobiłem przelew. Dostałaś? Rozumiem... Tak, jeszcze dzisiaj. Witaminy... Dobrze się odżywiaj. Tak, wiem, jak funkcjonuje nasza służba zdrowia. Prywatny lekarz... Mam nadzieję, że dobry. Nie żałuj sobie... Tak jak mówiłem, jeszcze dzisiaj. Nawet zaraz... Proszę, dbaj... kupuj... Do zobaczenia lub usłyszenia...

Po chwili w pokoju zapadła cisza. Ale zaraz komórka Marcela dała sygnał, że przyszedł SMS. Wiedziałam, że to jednorazowe hasło z banku potrzebne do potwierdzenia przelewu.

Wciąż rzucałam sztuczkami i żałowałam, że nie mogłam na te kilka minut ogłuchnąć. W pewnym momencie stanął za mną Marcel. Mocno chwycił moją prawą dłoń, uniesioną w zamachu, uniemożliwiając mi następny rzut nożem do celu. Miał taką siłę, jakby obezwładniał napastnika. Poddałam się. Chciało mi się płakać, ale przywoływałam się do porządku. Zostaw to na później, kiedy będziesz sama, a teraz weź się, do cholery, w garść! – powtarzałam sobie.

– Blanka... – Odwrócił mnie do siebie. Patrzył na mnie, próbując czytać z mojej twarzy. Potem delikatnie pocałował mnie w policzek. Usta miał gorące i suche, ale mi dawno minęła ochota na amory. Musiał to wyczuć. Przygaszony, ciężko wzdychając, usiadł na krześle. Przypominał pacjenta, który czeka na wyniki badań, chociaż z góry wiadomo, że będą złe. Koniuszkami palców masował skronie. Wyczułam, że chce scedować na mnie swoje bolączki i dzięki temu poczuć się lepiej, ale ani mi się śniło zostać powiernicą wampira energetycznego.

– Pozałatwiałeś wszystko? – zapytałam jak gdyby nigdy nic.

– Blanka – opuścił dłonie – powiedz, ile kosztują witaminy dla ciężarnych?

– Od tego zaczniesz, a potem będziesz się mnie radził w sprawie wyboru śpioszków i śliniaczków? Naprawdę mnie to nie interesuje, Marcel – wyartykułowałam dosadnie. – Gdyby w mojej macicy rozwijał się nasz potomek, to owszem, ale wybaczyć, narządy rozrodcze innych kobiet nie leżą w obszarze moich zainteresowań.

– Przepraszam. – Wstał, podszedł do mnie i splótł swoje palce z moimi. – Wiem, pamiętam, obiecywałem, przepraszam...

– Dobrze już. – Wtuliłam twarz w jego sweter. Naprawdę miałam ochotę się rozplakać. Najgorsze, że on chyba też. – Skończmy obiad – powiedziałam cichutko, chłonąc doskonale mi już znany zapach jego wody toaletowej.

– Co to znaczy „skończmy”? – zapytał zdziwiony.

– Ty obierzesz kilka ziemniaków, a ja podgrzeję zupę, nakryję...

– Ależ ja w życiu nie skalpowałem kartofli – roześmiał się.

– Nie ściemniaj! Skoro potrafisz przyrządzić nadziewane wątróbką przepiórki, to...

– Blanuś, ty naprawdę łyknęłaś ten bajer? – zapytał z niedowierzaniem.

– Oszukałeś mnie? – zapytałam szeptem, wciąż wtulona w jego tors. – Jak

mogłeś?

– Kochanie, wybacz... – Całował moją szyję. – Nie mam pojęcia, jak z gołego, surowego ptaka zrobić coś zjadliwego. Chciałem ci zaimponować. – Wciąż wodził ustami po mojej szyi, a we mnie topniały ostatnie lody. – Zadałem sobie bardzo, bardzo dużo wysiłku. W całym mieście szukałem knajpy, która przyjmie takie zamówienie. W końcu znalazłem. Przywieźli mi gotowe, gorące i świeżutkie, tuż przed twoim przyjściem. Wystarczyło podnieść pokrywkę i trochę podgrzać. Musisz przyznać, że zapach był smakowity.

– Uhm – potwierdziłam.

– Ale ty pachniesz lepiej niż wszystkie nadziewane przepiórki świata razem wzięte.

– Ale porównanie! – roześmiałam się.

– Blanuś, pachniesz nieziemsko... – wymruczał. – Mam ochotę cię schrupać, tu i teraz. A potem oskalpujesz te ziemniaczki.

Odsunęłam go, wracając do rzeczywistości.

– Wszystkie dziewczyny łapiesz na takie sztuczki? – zapytałam surowo.

– Nie, Blanuś. Ty jesteś jedyna. Przysięgam. – Ujął moją dłoń i pocałował. – A jeżeli chodzi o sprawy kuchenne, to wybacz, ale naprawdę się do tego nie nadaję. Z kolei ty wydajesz się do tego stworzona.

Hipnotyzował mnie tymi zielononiebieskimi, błyszczącymi jak skarby tęczęwkami. Takim oczom nie było szans się oprzeć. I na co się zdały te wszystkie kursy asertywności? – pomyślałam, zarzucając mu rękę na szyję.

– Blanka, nie wydaje ci się, że nasze rodziny powinny się poznać? – zapytał Marcel, podnosząc głowę znad gazety.

W niedzielny wieczór siedział rozparty wygodnie w fotelu i przeglądał wyniki testów kasków narciarskich i snowboardowych.

Stałam tuż obok, przy desce do prasowania, i przygotowywałam zestawy ubrań do pracy na cały następny tydzień. Właśnie spryskiwałam wodą białe bluzki, żeby ułatwić sobie pracę. Marcel nie planował w najbliższych dniach żadnego wyjazdu, więc mógł się oddawać zbijaniu bąków. No cóż, pomyślałam, ja nie mogę sobie na to pozwolić. On sobie opracowuje swój grafik – tu pojedzie, tam pogada... A mnie w każdą sobotę rano dopadał stres, który w niedzielny wieczór osiągał prawdziwe apogeum. Moja głowa już dawała wyraźne sygnały protestu w postaci bólu nasilającego się w skroniach.

– Co powiedziałaś? – Wolałam się upewnić, czy dobrze zrozumiałam. Odłożyłam spryskiwacz i rozmasowałam obolały kark.

– Myślę, że najwyższy czas, by nasze rodziny się poznały. No wiesz, rodzice i rodzeństwo...

– Nie wiem po co, ale skoro tak chcesz. Jak to widzisz?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Cóż, ani twoje, ani moje mieszkanie nie nadaje się na takie spędy, więc proponuję małe przyjęcie w restauracji. Oczywiście ja zapraszam i ja płacę. Jutro się zastanowię nad jakąś knajpką i zrobię rezerwację. – Spojrzał na mnie zaniepokojony, zmrużył oczy i wstał. – Blanuś, usiądź na moim miejscu, zrobię ci masaż. – Pociągnął mnie za rękę i usadowił w fotelu. – Jesteś cała spięta. Powiesz mi dlaczego?

Westchnęłam ciężko.

– Jutro poniedziałek. Nieuchronnie nadchodzi zaraz po niedzieli – skwitowałam zrezygowana.

– No i co? Jutro poniedziałek, pojutrze wtorek, jakie to ma znaczenie? – zapytał lekko.

– Muszę iść do pracy.

– Ale to dopiero jutro. A przecież niedziela jeszcze się nie skończyła. Wyluzuj. – Położył ciepłe dłonie na moich niemiłosiernie spiętych barkach i szepnął kojąco: – Nie myśl o tym. Zaraz się odprężysz, wzrośnie ci poziom endorfin...

– Jak ja nienawidzę banków – mruknęłam pod nosem, ale poddałam się jego dłoniom.

Na rodzinne spotkanie Marcel wybrał Romantyczną, tę samą restaurację, w której kiedyś umówiłam się z Rolandem – skrajnym sknerą zamawiającym mineralną i dwie szklanki.

Goście zaproszeni byli na dziewiętnastą, ale my pojawiliśmy się w lokalu kwadrans wcześniej.

– Marcel, czy twoja rodzina wie? – zapytałam, dopóki jeszcze byliśmy sami.

– Tak, wiedzą, że mają przyjść na dzie... – Spiorunowałam go wzrokiem. Zrozumiał w mig. – Tak, wiedzą, że w lipcu ma się urodzić...

– Dobrze, nie kończ – powiedziałam chłodno. – Chociaż jeszcze jedno: czy są świadomi, że ona i ja... – wywróciłam oczami i westchnęłam ciężko – to dwie różne osoby?

– Tak – odparł stanowczo. – Moja rodzina nie podejmie tego tematu. Nie martw się.

– Dobrze. Idź sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane, a ja poprawię włosy i makijaż.

Tak jak wtedy, przed randką z Rolandem, stanęłam przed dużym owalnym lustrem zawieszonym w holu. Specjalnie na tę okazję kupiłam sobie prostą sukienkę w kolorze cappuccino z miękkiej, lekko elastycznej koronki podszytej

atłasem. Dopasowałam do niej klasyczne czekoladowe czółenka i małą skórzaną torebkę. Nie wiedziałam, czego się spodziewać po rodzinie Marcela, postawiłam na klasykę. Jedyłą ekstrawagancją, na jaką sobie pozwoliłam, była atłasowa opaska, podtrzymująca moje włosy, ujarzmione za pomocą prostownicy. Właśnie wsuwałam pod nią kilka niesfornych kosmyków, kiedy usłyszałam podniesione, egzaltowane głosy należące do obu płci:

– A Marcela jeszcze nie ma. Nie musiałeś mnie tak poganiać – utyskiwała kobieta.

Nastawiłam uszu, zajmując się kolejnymi, niewidzialnymi już pasemkami.

– Skąd wiesz? – zapytał mężczyzna.

– Nie ma jego auta.

Na kolację z winem przyjeżdża się taksówką, pomyślałam zgrzyliwie.

– Trudno, zaczekamy – kontynuował damski głos. – Jestem tej jego nowej bardzo ciekawa. Wczoraj zasięgnęłam języka, koleżanka mojej sąsiadki pracuje w tym oddziale, i wiecie co? – Kobieta nawet nie siliła się na konspirację. Wstrzymałam oddech, żeby nie uronić ani jednej głoski. – Ona tam dyktuje. Już prawie dwa lata, i wszyscy mówią, że jest...

– Dzień dobry, mamó. – Głos Marcela przerwał wywód w najciekawszym momencie.

Wypuściłam powietrze. Szkoda. Miałam nadzieję, że usłyszę coś miłego. W końcu za podźwignięcie tego oddziału należał mi się medal.

Serce zabiło mi mocniej. Wpadało się odwrócić. Niby nie mam problemu z komunikacją z obcymi, ale jednak... Wiedziałam, że rodzice Marcela zbliżają się do siedemdziesiątki. Są już na emeryturze. On pracował kiedyś jako majster na budowie, a ona była księgową w zakładzie wodociągowym. Marcel był ich pierworodnym. Kiedy miał jedenaście lat, a rodzice byli przekonani, że na zawsze uwolnili się od pieluch, przecieranych zupek i kaszek, „zdarzył się cud”, jak zwykła to nazywać mama Marcela. W pierwszy dzień kalendarzowej wiosny urodziła się Milena. Pomimo obaw związanych z wiekiem rodzicielki maleństwo było zdrowe, uzyskało dziewięć z dziesięciu możliwych punktów w skali Apgar. Oczy rodziny zwróciły się na małą księżniczkę, a tym samym Marcel zszedł na drugi plan. Zaraz po urlopie macierzyńskim matka zmniejszyła wymiar pracy o połowę, by mieć więcej czasu dla córeczki. A Milena rosła i wchodziła wszystkim na głowę. W dniu, w którym Marcel stał się pełnoletni, musiał przyrzec matce, że w razie czego zaopiekuje się siostrzyczką. Od tego dnia zaczął bardziej gorliwie prosić niebiosa o zdrowko dla rodziców, a księżniczce ustępował we wszystkim, by tylko nie narażać się na pęknięcie bębenków usznych w czasie jej kolejnego ataku spazmów. Milena okazała się jeszcze lepsza niż moja siostra, chlubiąca się tytułem licencjata kulturoznawstwa stosowanego, bowiem rzuciła studia pielęgniarские już na samym starcie. Po drugim wykładzie z anatomii

stwierdziła, że nie ma sensu podejmować aż takiego wyzwania, żeby przez całe życie zakładać cewniki. Postanowiła zrobić sobie rok przerwy na przemyślenia, kim chciałyby zostać, żeby się życiowo spełnić. Decyzji nie podjęła, bo poznała Michała, właściciela lokalu serwującego gyros. Po kilku miesiącach zaszła w ciążę. Z mężem dorobili się dwóch synów, a wszystko ponad to sfinansowali rodzice z obu stron. Michał wprawdzie dalej prowadzi lokal z gyrosem i pewnie mogłoby zapewnić rodzinie godziwy byt, ale dlaczego ma się wysilać, skoro są emerytury, a gdy ich zabraknie, to pojawią się spadki?

Wczoraj przy kolacji Marcel opowiadał mi o tym wszystkim ze wzburzeniem. „Łapczywe sępy! Rzucają się na emerytury jak ptaki na padlinę! Mama co miesiąc dzwoni i narzeka na pustkę w portfelu. Za każdym razem obiecuję sobie: basta! Nie będę utrzymywać tych nierobów, ale po chwili serce mi mięknie. I robię przelew albo zawożę kilka stówek”. Musiałam go uspokajać. Potem stwierdziliśmy, że łączy nas syndrom najstarszego dziecka w rodzinie. Później, już na luzie, podczas wieczornego spaceru po parku, ustaliliśmy cechy charakterystyczne owej przypadłości. Po pierwsze: jesteśmy już zasufladkowani na podrzędnej pozycji. Po drugie: to od nas się oczekuje i wymaga. Po trzecie: naprawdę musimy stawać na głowie, żeby zaskarbić sobie choć trochę uwagi. Po czwarte: to my musieliśmy za te smarkule odrabiać zadania domowe. Po piąte: to my musieliśmy im ustępować, bo starsi to niby mądrzejsi. Po szóste: to my byliśmy krytykowani, a nie wychwalani... Skończyliśmy na punkcie pięćdziesiątym drugim, który był jednocześnie podsumowaniem wszystkich poprzednich i brzmiał: ogólnie bycie najstarszym dzieckiem w rodzinie jest do bani. Potem zaczęliśmy się śmiać, bo doszliśmy do wniosku, że nakręcanie się i tak nic nie da. Wszak nasze matki nie urodzą nam już starszego rodzeństwa.

Wzięłam głęboki wdech i powoli wypuściłam powietrze nosem. Następnie odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z matką i z siostrą Marcela. Obie ufarbowały się na płomienną czerwień. Wyglądały jak ta sama osoba z rodzinnego albumu – tyle że jedno zdjęcie było zrobione czterdzieści lat wcześniej. Ten sam wzrost, podobne kolorowe sukienki i to złoto... Aż kapąło. Chyba zawiesiły na sobie wszystko, co znalazły w rodzinnej szkatułce. Jak indyjskie panny młode albo narzeczone prowincjonalnych mafiozów. Patrzyłam raz na jedną, raz na drugą, żeby znaleźć różnice. Udało mi się. Starsza miała powieki pomalowane na jaskrawy fiolet, a młodsza – na perłową zieleń. Trochę kiczowato, stwierdziłam, ale uśmiechnęłam się przyjaźnie. Już chciałam zrobić krok w ich kierunku, jednak mnie ubiegły i zaczęły wylewnie witać. Zerknęłam na Marcela. Stał z boku i przyglądał się tej scenie z dziwnym uśmieszkiem. A może to nie był uśmiech? Mniejsza o to. Wreszcie ode mnie odstały, a zza ich pleców wyłonił się ojciec i szwagier Marcela. Ojciec był raczej kruchej budowy – starszy pan, prawie całkowicie łysy. Podaliśmy sobie ręce. Wbrew moim oczekiwaniom uścisk miał

mocny i zdecydowany. Mimochodem spojrzałam na buty jego żony. Pozwoliła sobie na dość wysoki obcas, choć nawet w balerinkach przewyższałaby męża. Szwagier Marcela, chudy i wysoki, ubrany w jasny garnitur, miał na nosie lustrzane okulary, doskonale do narciarstwa zjazdowego albo przeprowadzania eksperymentów psychologicznych. Podeszedł do mnie na samym końcu, zdjął je zblazowanym ruchem artysty scenicznego, podał mi rękę i puścił do mnie oko. Wyglądał jak przybysz z innej planety.

Kelner (na szczęście nie ten, który ostatnio serwował wodę, bo chyba spłonęłabym ze wstydu) poprowadził nas do stołu przygotowanego w centralnej części lokalu. Nerwowo spojrzałam na zegarek. Kwadrans po dziewiętnastej. Mojej rodziny oczywiście nie ma. Ale obciach! Zawsze to samo! Posłałam wszystkim przepaszający uśmiech i szybkim krokiem wyszłam przed lokal. Stojąc u szczytu kilku schodków, rozglądałam się rozpaczliwie w nadziei, że zaraz się pojawią na horyzoncie. Sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer do mamy. Odrzuciła połączenie. Potem zadzwoniłam do Iwony. To samo. Znam je i znam życie. To znaczy, że są w drodze i nie mają zamiaru tłumaczyć mi się ze spóźnienia. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do gości.

– Przepraszam, ale ważne sprawy... Zaraz będą – zapewniłam z uśmiechem, chociaż nikt poza Marcelem na mnie nie patrzył.

Jego rodzina z wyiekami studiowała menu. Myślę, że mieli w nosie, czy ktoś jeszcze do nich dołączy. Opadłam na fotel obok Marcela. Wiedział, że jestem poruszona. Ujął moją dłoń i pogładził uspokajająco. Spojrzałam w kierunku wejścia. Są! Wreszcie...

Iwona ubrana była w obcisłą, krwistoczerwoną streczową minisukienkę. Jeżeli to coś można było nazwać sukienką, bo były to raczej dwa kawałki materiału połączone po bokach siateczką. Nie trzeba było nawet uruchamiać wyobraźni. Widać było każdy wałeczek i oczywiście fason oraz kolor majtek. Coś mi to przypominało... Gołe nogi i czerwono-złote sandały z błyszczącego plastiku dopełniały całości. Moja siostra wyglądała jak tancerka go-go, brakowało tylko rury! Szła w naszym kierunku przekonana, że wzbudza pożądanie facetów, ale wszyscy patrzyli na nią raczej ze współczuciem. Poczułam, że płoną mi policzki.

Wstałam, by ich powitać. Pozostali również podnieśli się ze swoich miejsc. Iwona obróciła się w kółko. Obcisły skrawek materiału jeszcze bardziej się podniósł, odkrywając pokryte cellulitem pośladki.

– Blanka, czyż to nie cudowne, że ciąża i poród nie zrujnowały mojej figury? – zaśmiała się. A mnie olśniło. Tę samą sukienkę założyła na swój wieczór paniński. Byłam tam tylko chwilę, bo nazajutrz miałam zajęcia na studiach podyplomowych. Zresztą, Iwona i jej w sztok upite koleżanki... Szkoda gadać. Ulotniłam się, gdy rzuciły się na tort ze sterczącym centralnie lukrowym penisem. Każda z nich chciała go dopaść. Wiem, że potem miał być jeszcze kwartet

striptizerów. Wszystkie miały z nimi tańczyć, a główną rolę grała Iwona w gorsecie policjantki.

– Tak, tak, cudowne... – zapewniłam.

Stałam za nią, dyskretnie obciągnęłam dół jej sukienki i dopiero wtedy dokonałam prezentacji. Na szczęście mama, tata i Benek trafniej dobrali garderobę.

Uzgodniliśmy wcześniej z Marcelem, że optymalne będzie zamawianie dań z karty, więc goście dostali menu oprawione w sztywną, złotą tkaninę.

– Co jest? Dlaczego tu nie ma cen? – Benek, wzburzony, postukiwał palcem w spis dań, jakby odkrył rażący błąd ortograficzny.

– Bo jesteśmy gośćmi Marcela. Tylko on ma kartę z cenami – uspokoiłam go z uśmiechem. – Zamów to, na co masz ochotę.

– W takim razie wymiana – zarządził mój szwagier, po czym bezceremonialnie wyciągnął menu z ręki Marcela i wcisnął mu swoje.

Marcel wpatrywał się w niego oniemiały. Ja, rzecz jasna, od początku wiedziałam, o co chodzi. Szwagier, jak to on, chciał wyciągnąć jak najwięcej – zamówić coś najdroższego. Sam w życiu nie zaprosiłby nas do takiej restauracji. Na ostatnich swoich imieninach nalał wszystkim po małym kieliszku wiśniówki, po czym schował butelkę do barku. Sączyliśmy nalewkę oszczędnie, jakby to był armeński trzydziestoletni koniak. Po godzinie Benek wyciągnął butelkę i nalał drugą – ostatnią – kolejkę, oznajmiając, że to jego patent, żeby się nie upić. Szkoda, że zapomniał o nim, gdy gościł na rocznicy ślubu moich rodziców. Wtedy schlał się do nieprzytomności. Nie nadawał się do przetransportowania do domu. Spędził resztę wieczoru i całą noc na kanapie, na przemian czkając i chrapiąc. Znowu zrobiło mi się wstyd.

Już na starcie czułam, że ta kolacja była chybionym pomysłem. Ukradkiem obserwowałam, jak Iwona, po zjedzonej zupie, ostentacyjnie wyciąga puderniczkę i poprawia makijaż, ojciec Marcela równie bezceremonialnie ziewa, demonstrując braki w uzębieniu, Benek pstryka palcem na kelnera, moja mama skarży się na stresującą pracę, przeżuując kawałek rumsztyku, mama Marcela popija sok, traktując go jak płyn do płukania ust, a Michał, wciąż w lustrzankach, soli grillowaną pierś dzikiej kaczki przed skosztowaniem. Przy tym wszystkim tata Marcela spiera się z moim, czy lepszy jest stary mercedes czy nowy ford, a szwagrowie wciskają swoje trzy grosze. W pewnym momencie wywody przerwał głos Iwony:

– Słuchajcie, słuchajcie! – Zaczęła wymachiwać rękami. – Wiecie, do jakiego wniosku doszliśmy dzisiaj z Benkiem przy śniadaniu? Blanka – spojrzała na mnie rozbawiona – to dotyczy przede wszystkim ciebie i naszego Witusia. Dobrze, że wzięliśmy cię na chrzestną!

– Bo? – zapytałam niepewnie.

– Bo nie masz swoich dzieci i wszystko, czego się dorobisz, wypada

przepisać w spadku chrześniakowi. Więc, siostrzyczko moja, pracuj dalej w pocie czoła!

Poczułam się tak, jakby uderzyła mnie w twarz rękawicą bokerską. Zmobilizowałam się jednak i przywołałam na twarz służbowy uśmiech. Spokój, tylko spokój może cię uratować, powtarzałam sobie. Może cię ugodzić jeszcze milion razy, ale ty wyjdiesz z tej pieprzonej kolacji z podniesioną głową. Jesteś panią sytuacji. Pomimo silnej autosugestii szklanka z mineralką, którą trzymałam w prawej ręce, lekko zadrżała. Udając opanowanie, odstawiłam ją obok serwetki, a rękę opuściłam na udo.

Mama i Benek zawtórowali Iwonie. Ta trójka świetnie się bawiła. Pozostali przyglądali mi się ukradkiem. Sytuacja stała się niezręczna. Na szczęście podszedł kelner i zrobił trochę zamieszania, zbierając talerze, sztucce, przyprawy i koszyczek z pieczywem. Szkoda, że muszę jeszcze przetrwać deser, pomyślałam ze smutkiem. Nie jesteście warci tego przyjęcia. Najnormalniej w świecie było mi wstyd przed Marcelem. Trudno, chciał poznać moją rodzinę, to ją poznał – w całej okazałości. Po raz kolejny miałam żal do taty. Skupił wzrok na kryształowym, pękatym dzbanku z wodą z takim zainteresowaniem, jakby pływała w nim złota rybka.

– Iwona – starałam się mówić spokojnie – przypominam ci, że skończyłam dopiero trzydzieści jeden lat. Jeszcze mam czas. Wiesz, dlaczego się wstrzymuję? – Tym razem zaśmiałam się szczerze, bo spodobał mi się naprędce wymyślony argument. – Naukowcy udowodnili prostą zależność: im starsza matka, tym wyższe IQ dziecka. Ponadto wychodzę z egoistycznego założenia, że hormony ciążowe w późnym wieku odmładzają.

– Święta prawda! – entuzjastycznie potwierdziła matka Marcela. – To widać po mnie i Milence. To takie mądre dziec-ko, tyle że w szkole nauczyciele się na nią uwzięli. Mogła być profesorką, ach, kim tylko chciała, ale który pedagog z bożej łaski chce mieć ucznia mądrzejszego niż on? Chodziłam na wywiadówki...

– Czas na słodkości. – Marcel przerwał wywód ostrym, nieznanym mi dotychczas tonem. Zdziwiona spojrzałam na niego. Zwiesił głowę nad kartą deserów. To trwało tylko chwilę, ale zrozumiałam, że wstydzi się za swoją rodzinę, tak jak ja za moją. Jedni warci drugich.

– Tak, właśnie! – Starałam się go wspierać. – Niech każdy wybierze, na co ma ochotę!

– Polecam lody „Con Amore”, specjalność zakładu – zasugerował Marcel.

– To najwyższa półka w tej knajpie czy chcesz nam wcisnąć jakąś chałę? – zarechotał Benek. Znów wyciągnął menu z cenami z rąk Marcela i wlepił w nie wzrok.

– Con amore, con amore... – Michał zdjął wreszcie lustrzanki i przecierając plastikowe szkiełka papierową serwetką, powtarzał te słowa, jakby coś sobie

przypominał. – No, tfu, to znaczy... Mam to na końcu języka...

– Z miłością – wyręczyłam go.

– Z ust mi to wyjęłaś! – Popatrzył na mnie z podziwem i znów puścił oko.

Debil.

– Podjąłeś decyzję? – Marcel nachylił się z drwiącym uśmiechem w kierunku Benka.

– Tak – odparł mój szwagier, zamykając menu. – Lody „Con Amore”. Dla wszystkich *of course*.

– Marcel, ja dziękuję za deser, nie zdołam już nic przełknąć – westchnęłam. – Pozostanę przy espresso.

– Jesteś pewna? – zapytał, z czułością gładząc mnie po rękę.

– Tak – odparłam, z zainteresowaniem śledząc filigranową, młodziutką kelnerkę, która z trudem taszczyła przed sobą kosz pełen pąsowych róż. Z ulgą postawiła go na stoliku obok. Zanim odeszła do swoich obowiązków, przez długą chwilę przypatrywała im się z zachwytem. Na moje oko w koszu misternie ułożonych było dwieście, a może więcej pięknie kwitnących kwiatów, poprzeplatanych zielonym, subtelnym przybraniem. Dochodził mnie ich słodki zapach, który jak świat światem symbolizuje gorącą miłość. Poczulałam ukłucie zazdrości. Na pewno znalazły się tam nieprzypadkowo. Zaraz przyjdzie jakaś zakochana para, a facet zadał sobie trud, żeby zaskoczyć swoją partnerkę. Ukradkiem spojrzałam na Marcela. Owszem, przyniósł mi kilka razy kwiaty. Niby piękne, ale przy tym koszu miały się tak, jak złotówka do miliona dolarów. Nie dalej jak w ubiegłą sobotę wręczył mi na przykład wiązanek żonkili i tulipanów. Bukieciak nie był zły, ale nie zawierał żadnego czerwonego akcentu. Nawet wstążeczki. Zrobiło mi się smutno. Nie dość, że dałam się namówić na ten spęd w restauracji, to jeszcze zrozumiałam, że nie mam co liczyć na sentymentalne gesty z jego strony. Cóż, inne mają większe szczęście...

Ze złością odwróciłam głowę w drugą stronę, poprzysięgając sobie w duchu, że już nie spojrzę na róże. Na szczęście miałam sposobność skupić uwagę na dziwnym trio, które właśnie weszło do restauracji. Wyglądali jak bohaterowie filmu. Dwie młode Cyganki w czerwonych, falbaniastych, połyskujących brokatem sukniach, które przy każdym ruchu efektownie się rozwijały i falowały, i mężczyzna – również Rom – w czarnych spodniach i szkarłatnej, zdobionej cekinami koszuli. Wnosili na salę mandolinę, skrzypce i akordeon. Podbiegła do nich kelnerka i gestem wskazała na ustawiony tuż za nami podest, przykryty atlasem w kolorze rubinu. Przyglądałam się, jak przeciągają kable, ustawiają krzesło dla akordeonisty, robią próby mikrofonu, szeptem coś uzgadniają. A potem przyciemniono światła, reflektory skierowano na zespół i rozbrzmiała muzyka. Najpierw wolna, ale z tak przejmującą, melancholijną partią skrzypiec, że przeszedł mnie dreszcz. Zaraz potem dołączyły akordeon i mandolina. Skrzypaczka opuściła

instrument i zaczęła śpiewać. Wszyscy goście, oniemiała, zwrócili się w ich stronę. Nawet Iwona przerwała swój wywód na temat ponadczasowości butów na koturnie. Solistka śpiewała o miłości – rzewnie, z głębi duszy. Atmosfera stawała się coraz bardziej niesamowita. Moja mama oparła głowę na ramieniu taty. W ognikach ustawionych na środku stołu świec widziałam jej twarz, błyszczącą od łez. Wyglądała tak, jakby powróciły jakieś wspomnienia, może dawna miłość? Piosenka się skończyła i zabrzmiała burza oklasków. Wszyscy oczekiwali ciągu dalszego. Tymczasem piękna Cyganka, o niezwykle delikatnych rysach, stała z podniesionym mikrofonem, ale milczała. Do naszego stolika podeszli dwaj kelnerzy. Jeden, na uniesionej nad głowę tacy, niósł pucharki z kolorowymi gałkami lodów, ułożonymi wśród egzotycznych owoców i wafelków w kształcie serca; drugi miał przed sobą okrągłą tacę z kopułą z błyszczącej stali. Położył tajemnicze naczynie przede mną. Kopuła była słusznego rozmiarów. Mogła kryć gęś, a może nawet indyka...

– To pomyłka – poinformowałam go uprzejmie. – Ja niczego nie zamawiałam.

– Pani nie. Ale ten pan zamawiał – odparł usłużnie kelner i bezszelestnie się wycofał.

– Marcel, przecież ci mówiłam... – zaczęłam głosem pełnym pretensji. – Nie jestem już w stanie...

– Cii. – Przysłonił mi usta dłonią. – Niczego nie musisz jeść, wręcz nie powinnaś – szepnął.

Wstał, zapiął wszystkie guziki marynarki i poprawił krawat. A potem podniósł rękę, dając komuś jakiś znak. W tym momencie wszystkie boczne światła zgasły, a reflektory skierowano na nas. Przez chwilę czułam się oszołomiona i oślepią. Marcel odwrócił się, zdjął z sąsiedniego stolika kosz szkarłatnych róż, ten sam, który przed chwilą tak mnie oczarował, i postawił go przede mną. Patrzyłam na niego zdezorientowana, czując, jak łomocze mi serce.

– Proszę państwa, ten wieczór jest wyjątkowy – usłyszałam dźwięczny głos Cyganki, z charakterystycznym śpiewnym akcentem. – Nie tylko cygańska miłość ma siłę. W swoich sidłach trzyma dwa inne serca! – Szeleszcząc falbaniastą spódnicą, podeszła do Marcela i podała mu mikrofon.

Nastała cisza niemal absolutna. Próbowałam wydedukować, co tu się dzieje. Moim atutem zawsze była umiejętność szybkiego i skutecznego wyciągania wniosków, panowania nad sytuacją i racjonalnego myślenia w stresie, nawet pod presją. W tej chwili jednak w głowie miałam kompletną pustkę.

– Blanuś... – Marcel ukląkł przede mną na jedno kolano. Jego słowa, wypowiedane do mikrofonu, było słycać w najdalszym końcu sali. Głos lekko mu drżał, a w świetle reflektorów jego oczy błyskały zielononiebieskimi ognikami. – W momencie, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem, zrozumiałem, że staniesz się dla

mnie całym światem. Przyjmij te kwiaty w dowód mojej miłości. Chcę spędzić z tobą każdy następny dzień mojego życia, niezależnie od tego, czy dobry, czy zły. Blanko Borek, czy zostaniesz moją żoną?

Głęboko wciągnęłam powietrze i nie byłam w stanie go wypuścić. Zatkano mnie. Jeszcze kilka minut wcześniej uznałam ten wieczór za stracony. Żałowałam, że poparłam pomysł poznania naszych rodzin. Z zazdrością zerkałam na róże, przekonana, że dostanie je inna szczęściara. A teraz... Przełknęłam narastającą w gardle gulę. Wypuściłam powietrze. Czułam się wyjątkowo. Jak celebrytka w świetle fleszów. Goście z sąsiednich stolików wstali i otoczyli nas kręgiem. Błyskały lampy w aparatach telefonów komórkowych. Kobiety robiły zdjęcia, żeby potem przez lata wypominać mężom, że ich oświadczyzny były prozaiczne. Marcel przysunął mikrofon do moich ust.

– Naturalnie... – wyszeptałam. Czułam, jak lzy wzruszenia napływają mi do oczu.

– Naturalnie co? – zapytał, pełen napięcia.

– Naturalnie tak. – Próbowałam się nie rozplakać na dobre.

Wokół nas rozległy się brawa.

Marcel wciąż klęczał i na wzór dziennikarza przeprowadzającego wywiad przystawiał mikrofon raz mnie, raz sobie.

– Czy będziesz matką moich dzieci? – pytał dalej tym samym tonem. Momentalnie się zjeżyłam. Poczułam napięcie wszystkich mięśni. Powiedział „moich”, czyli jego? Chyba na głowę upadł! Może oprócz dzieciaka, którego urodzi mu góralka, ma już na boku całą gromadkę i zorganizował tę komedię tylko po to, żeby wrobić mnie w matkowanie? – Blanuś – chrząknął znacząco – mam na myśli nasze dzieci – wyartykułował wyraźnie, studząc tym sposobem moje rozgorączkowanie. Kamień spadł mi z serca.

– Tak – odparłam.

Znowu burza oklasków. A wśród nich udręczony głos Iwony:

– Boli mnie brzuch... – Spojrzałam w jej stronę, ale silny, oślepiający reflektor uniemożliwił mi dostrzeżenie jej twarzy. – Chodźmy stąd, chyba mam kolkę... – jęczała.

– Przestań – skarcił ją Benek. – Chyba podadzą jeszcze szampana. Zresztą przez to zamieszanie nie dojadłem lodów. Nie histeryzuj!

Przez moment spanikowałam. Moja siostra zwija się z bólu, a dla tego dusigrosza ważniejsze są lody. Ale zaraz przywołałam się do porządku. Takie numery były mi doskonale znane. Poranne kolki, gdy nie nauczyła się wiersza. Standardowo przed świętami, gdy myło się okna. Zawsze wtedy, gdy coś jej nie pasowało. A tym razem – pokrzyżowanie jej planów. Moja twierdząca odpowiedź znacznie zmniejszyła prawdopodobieństwo przejęcia przez jej syna spadku po chrzestnej. No cóż, *c'est la vie...*

– Blanuś, jeszcze jedno. – Marcel nie zwracał na nich uwagi. – Przysięgam, że zapewnię godziwy byt rodzinie, i moim marzeniem jest, byś rzuciła pracę. Czy je spełnisz?

Zawirowało mi w głowie. Żegnajcie wykresy, plany sprzedażowe, uprzejmie donoszący, naciski z centrali, biznesowe aseksualne kostiumy i wszelkie inne stresory! A więc to nie tylko inne mają szczęście. Moje marzenia to nie mrzonki, to rzeczywistość! – w pierwszym odruchu chciałam to wykrzyknąć na całą salę, ale zaraz ogarnęła mnie wątpliwość. Czy Marcel nie przecenia swoich możliwości w zarobkowaniu? Wszak nie pracuję za słońną wodę. Zauważył moje wahanie, bo podjął:

– Blanuś, w obecności wszystkich tu zgromadzonych ślubuję, że przy moim boku niczego ci nie zabraknie. Będę nie tylko ziemskim uosobieniem twojego Anioła Stróża, ale skarbcem, z którego dóbr materialnych będziesz mogła czerpać do woli. Więc pytam ponownie: czy rzucisz pracę?

– Tak – odparłam, choć wciąż nie byłam do tego stuprocentowo przekonana. Okoliczności jednak nie pozwalały na sceptycyzm.

– Jeszcze coś. – Marcel podniósł się z pozycji klęczącej i spojrzał na błyszczącą kopułę, którą nakryta była taca. Uchwycił nasadę, ale nie podniósł jej od razu, potęgując napięcie, niczym sztukmistrz czekający, aż cała widownia skupi na nim wzrok.

– Nie jestem w stanie... – Chciałam dodać coś w rodzaju: „zjeść kaczki czy indyka”, ale w tym momencie kopuła powędrowała w górę, a ja zamarłam.

Na tacy, otoczony błękitnym tiulem i pięknie wyeksponowany, leżał złoty pierścionek. Pierścionek z podłużnym akwamarynem otoczonym mnóstwem błyszczących diamentów. Pierścionek cioci Jusi...

– Kochana moja, wypatrzyłem ten pierścionek w lombardzie, jeszcze zanim cię poznałem. Leżał, zakurzony, pomiędzy posrebrzaną broszką w kształcie skrzypiec a zegarkiem z hipoalergicznego tworzywa. Wtedy coś mnie tknęło, po prostu musiałem go kupić. Na szczęście nikt się na nim wcześniej nie poznał. Postanowiłem, że wręcę go kobiecie swojego życia.

Serce waliło mi jak oszałałe; miałam wrażenie, że za chwilę odmówi posłuszeństwa. Marcel wziął pierścionek z tacy, znów przede mną ukląkł, ujął moją prawą dłoń i ostrożnie wsunął mi go na serdeczny palec. Podniosłam dłoń, demonstrując cacko. Wtedy usłyszałam prychnięcie Iwony – doskonale mi znane, charakterystyczne, lekceważące. Ale nie zważałam na to, bo byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie.

W końcu, ku mojej uldze, obsługa lokalu skierowała reflektory ponownie na cygański tercet. Część gości wróciła do swoich stolików, ale większość wraz z nami poszła na parkiet. Ruszyliśmy w tany przy chwytających za serce piosenkach – lirycznych, mówiących o miłości i tęsknocie za taborem, oraz

ognistych, wychwalających wolność.

To był magiczny, najpiękniejszy wieczór w moim życiu. Nikt nigdy nie przygotował dla mnie takiej niespodzianki. Podczas nostalgicznego romskiego romansu wtuliłam się mocno w ramię Marcela. Czułam się spełniona i bezpieczna. Wpatrywałam się w ciociny pierścionek i chciało mi się płakać ze wzruszenia i radości. Oto bowiem los zatoczył krąg.

Dobrze po północy Cygan, pobrzękując wszytymi w rozkloszowane rękawy koszuli metalowymi kóleczkami, zapowiedział ostatni taniec. Pochwalił się, że to najnowszy przebój nadawany przez wszystkie rozgłośnie radiowe. Potem zaczął grać, a Cyganki pięknymi, wysokimi głosami zaśpiewały piosenkę. Zapamiętałam każde słowo jej refrenu:

*Nie świętuj, gdy piękny sen staje się jawą,
Bo przyszłość może okazać się łzawa,
Uludy, fantazje odrzuć w kąt,
Wróć z nieba na ziemię, bo zrobisz życiowy błąd.*

Po tym ostatnim tańcu, gdy już zamówiliśmy taksówkę, podeszliśmy do romskiego zespołu podziękować za spektakularny występ. Skrzypaczka, uśmiechając się, uważnie przypatrywała mi się spod kruczoczarnych rzęs. Speszyłam się i odwróciłam wzrok, ale ona zwróciła się do mnie zachęcająco:

– Daj lewą dłoń, tę od serca. Przyszłość ci odsłonię i grosza nie wezmę. – Niechętnie wysunęłam rękę. Nie wierzyłam we wróżby i kabały, nigdy nawet nie czytałam horoskopów. Ale tym razem postanowiłam potraktować to jako ciąg dalszy dobrej zabawy. Wpatrywała się w moją dłoń zaledwie kilka sekund. Potem wypuściła ją, jakby parzyła. – To cygański żart był. Wróżyć nie umiem – powiedziała, charakterystycznie zaciągając. – Czas zbierać graty. – Odwróciła się i skupiła na zwijaniu kabli. Nie spojrzała już w moją stronę. Poczułam dziwny niepokój, szczególnie że Cygan z kamiennym wyrazem twarzy przeszywał mnie wzrokiem. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale zaraz odrzuciłam to uczucie. Dotykając pierścionka cioci, pomyślałam, że przecież to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Ziściły się moje marzenia.

W niedzielę leniuchowaliśmy w sypialni do samego południa. Wsparci na poduszkach, popijając kremowe cappuccino, wyznaczaliśmy datę ślubu – na ostatnią sobotę maja. Co chwilę zerkałam na ustawiony na stoliku kosz ze szkarłatnoczerwonymi różami. Wciąż były świeże. Przeciągnęłam się jak kotka, odłożyłam puste filiżanki i każde z nas wzięło na kolana swój laptop. Marcel jak zwykle chciał sprawdzić aktualne kursy walut, a ja poprzeglądać strony z poradami ślubnymi.

Właśnie buszowałam na stronie z fryzurami i zastanawiałam się, czy pójść

do ślubu w rozpuszczonych włosach czy w wysoko upiętym koku z powplatanymi miniaturowymi różyczkami, kiedy z ciekawości zerknęłam na ekran Marcela. Byłam prawie pewna, że sprawdził już kursy, a teraz, podobnie jak ja, podekscytowany szykuje się do najpiękniejszego dnia w naszym życiu. Już otwierałam usta, by powiedzieć, że bukiet powinien być dobrany do kreacji, a nie odwrotnie, ale momentalnie je zamknęłam. Duży migający napis na górze ekranu krzychał: „107 rad dla przyszłego taty, czyli jak bez stresu przystosować się do nowej rzeczywistości!”. Akurat był przy radzie siedemnastej: „Jak najczęściej rozmawiaj z maluchem”. Tuż obok umieszczono zdjęcie pełnego kobiecego brzucha i twarz mężczyzny szepczącego doń na wysokości pępka. Mój narzeczony przewinął tekst i przeszedł do rady osiemnastej: „Niektóre kobiety mają w ciąży większą ochotę na seks. Daj im to!”.

Jeszcze tego brakowało! Za kilka tygodni nasz ślub, a on jest przy mnie tylko ciałem. Zacisnęłam powieki, żeby nie ulec pokusie dalszego podglądania. Gorączkowo analizowałam sytuację. No tak, niewątpliwie jestem zazdrosna. Uchyliłam powieki i spróbowałam skupić wzrok na różach i wspomnieniach wczorajszego wieczoru, ale rezultat był marny. I nagle wpadł mi do głowy pomysł. Zaraz zawalczę o swoją pozycję!

Przypomniałam sobie o perfumach z feromonami, świeczce w kształcie kobiety i mężczyzny, splecionych w miłosnym uścisku, i komplecie seksownej bielizny z czerwonej koronki, które dostałam od Juli na imieniny. „Te trzy rzeczy gwarantują, że żaden facet ci się nie oprze. Będzie skomlał u twoich stóp, a ty zrobisz z nim, co zechcesz. Perfumy to czysta chemia miłości. Tajna broń! Każda babka powinna mieć taki zestaw, by okręcić faceta wokół palca. To takie seksualne SOS”, przekonywała mnie wtedy, już lekko nabzdryngolona. Przyszła na imprezę po dwudniowym dyżurze i wystarczyły jej trzy lampki wina, by chwiać się jak cherlawa sosenka na wietrze i gadać nie całkiem do rzeczy.

Cichutko wstałam, udając, że niczego nie podejrzalam, i przemknęłam do łazienki. Nerwowo wysuwałam szuflady szafki pod umywalką, aż wreszcie znalazłam, czego szukałam. Lotem błyskawicy przebrałam się w komplecik w kolorze miłości i spryskałam perfumami. Jak na mój gust pachniały zbyt słodko, trochę jak budyń waniliowy, ale cel uświęca środki. Przeczesałam szczotką włosy, zapaliłam świecę i spojrzałam za okno. Oślepiło mnie jaskrawe kwietniowe słońce. To nic. I z tym sobie poradzę.

Weszłam do sypialni. Marcel, skupiony na czytaniu, nawet nie podniósł głowy. Zamknęłam drzwi, ustawiłam świecę na parapecie i spuściłam roletę, tak że została tylko mała szparka. Od razu zapanował półmrok. Zrobiło się nastrojowo i romantycznie. Zaraz się przekonam, czy specjaliści od feng shui mają rację.

Spojrzałam na mojego narzeczonego. Zdziwiony odłożył laptop. Roziskrzona źrenice rozszerzały mu się do granic możliwości. Stałam przed

łóżkiem, patrząc mu prosto w oczy, i zaczęłam się poruszać. Czułam się pewnie, jak świadoma swoich wdzięków tancerka erotyczna. Nigdy dotąd tego nie robiłam. Do dzisiaj się zastanawiam, czy górę wzięła determinacja w odciągnięciu go od czytania i skupieniu uwagi tylko na mnie, czy może te feromony to coś więcej niż komercyjny bajer. Wystarczyło kilka kuszących wygibasów i już wiedziałam, że teraz liczę się tylko ja.

– Blanuś, chodź do mnie, kochana... – poprosił gardłowym głosem. – Takiej cię jeszcze nie widziałem...

Gdy jakiś czas później w kuchni smażyłam filety z pstrąga, a on zastanawiał się nad doborem wina do obiadu, poczułam moralnego kaca. Z jednej strony zatriumfowałam, skupiając jego uwagę na sobie, ale z drugiej – doskonale zdawałam sobie sprawę, że było to szczeniackie zagranie, podyktowane pobudkami niższego rzędu, do których niewątpliwie zalicza się zazdrość. A podkategorią jest zazdrość o dziecko. A już dnem wszystkiego – wrogość do dziecka nienarodzonego.

Nazajutrz, zaraz po przyjściu do pracy, zadzwoniłam do Kamila.

– Zwalniam się – powiedziałam na jednym tchu. I od razu poczułam się, jakbym stanęła u bram rajskiego ogrodu. Odpowiedziała mi cisza. – Kamil, jesteś tam?

– Jestem, jestem – zapewniał, jak zwykle sepleniąc. – Tyle że rozkminiam, o co ci chodzi. A, wiem! Znowu cię upolowali!

– Nie – zaśmiałam się. Doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Średnio co kilka miesięcy jestem nagabywana przez headhuntera, czyli łowcę głów, zatrudnionego przez któryś z konkurencyjnych banków, który chce mnie do siebie zwabić. Nie oczekują nawet, by przedstawić im swoje CV, dyplomy, certyfikaty, uprawnienia i referencje. Nie zapraszają na wstępne rozmowy, nie chcą przeprowadzać testów psychologicznych ani kompetencyjnych. To wszystko zdobyli już własnymi sposobami. Po prostu chcą mnie zatrudnić. Natychmiast. Najlepiej od jutra. Składają mi propozycje, ich zdaniem, nie do odrzucenia. Kuszą wyższymi zarobkami, pakietami bezpłatnej opieki medycznej i samochodami służbowymi. Słodzą, że gwarantują większe możliwości rozwoju zawodowego i pełne pole do popisu. Dwa razy naprawdę chciałam odejść, ale Elitumlux zatrzymywał mnie podwyżką pensji. Zresztą, lepsze oswojone zło niż nieznanne. Jaką mam gwarancję, że w innym banku miałabym z górki?

– Ściemniasz – stwierdził podejrzliwie.

– Nie! – zaprzeczyłam rozpromieniona. – Wychodzę za mąż!

– To tym bardziej potrzebujesz kasy – zaczął tłumaczyć. – Jeżeli zesłaś się z tym nieudacznikiem, który nie ma pojęcia o kredytowych instrumentach pochodnych, to będziesz zmuszona zarabiać podwójnie. Mówiłem ci, Blanka, tyle razy tłumaczyłem, że najlepszym kandydatem na męża dla ciebie jest bankier. Znam takiego...

– Nie żołądkuj się, Kamil. Iwona zaliczam do przedstawicieli epoki archaicznej i gdyby nie ty, nawet bym sobie o nim nie przypomniała.

– Dobra, dawaj. Jak się będziesz teraz nazywała?

– Tuszyńska.

Chwila ciszy. A potem:

– Wychodzisz za mąż za Tuszyńskiego? – Wyczułam w jego głosie wyraźne niedowierzanie. – Za tego Tuszyńskiego?

– Nie wiem, jakiego tego Tuszyńskiego masz na myśli, ale ja wychodzę za Marcela.

Znowu cisza. Poczułam się dziwnie. Kamil zdawał się wiedzieć coś o moim narzeczonym. A może... Z niepokoju wstrzymałam oddech. Czy Marcel ma drugie, nieznanne mi oblicze? Przecież nie wiem o nim nic poza tym, co sam mi powiedział. Och, stara i głupia, pomyślałam. Powinnam wynająć detektywa wyspecjalizowanego w badaniu przeszłości przyszłego męża. Za kilkanaście stówek dostałabym wszystko czarno na białym. Tak jak konkurencyjne banki dostają od łowców głów info o mnie. Na pewno nie jest święty, ulega chwilom, tak jak tam, w górach. Czemu jeszcze nie może się oprzeć? Możliwe, że prawda byłaby dla mnie bolesna i szokująca. Czy to przypadkiem nie malwersant, za którym rozesłano listy gończe? Nieobliczalny uciekinier z psychiatrycznego oddziału zamkniętego? Przestępca poszukiwany na podstawie europejskiego nakazu aresztowania, którego twarz jest pokazywana w każdych telewizyjnych wiadomościach? Agresywny facet z toplisty poszukiwanych przez policjantów, którzy marzą, by wreszcie go zapuszkować? A ja uświadomienie sobie, że takie rzeczy mogą się przydarzyć każdemu, lecz nie mnie. Poczułam się jak ptak zamknięty w klatce. Ale przecież wejście wciąż jest uchylone i istnieje szansa na oswobodzenie. Już otwierałam usta, by odszczekać wypowiedziane na wstępie słowa i obrócić wszystko w żart, gdy usłyszałam:

– Blanka, postawiłaś mnie pod ścianą. Wiem, że żaden argument cię nie zatrzyma.

Kamil był wyraźnie zrezygnowany.

– Znasz Marcela? – zapytałam skołowana, ale też nieco uspokojona.

– Wiem o nim co nieco. Jakies dwa lata temu był na moim celowniku, ale nie dał się ustrzelić – odparł rozgoryczony.

– Możesz się wyrażać precyzyjniej?

– Gonilem za nim, żeby został naszym VIP-klientem. Kusilem

negocjowanymi stawkami oprocentowania depozytów, osobistym doradcą inwestycyjnym, którym oczywiście miałem być ja – roześmiał się gorzko – obsługą bez kolejki w specjalnym biurze, stałym miejscem na bankowym parkingu, wiesz, tymi wszystkimi innymi ómojami-bojami, którymi mamimy krezusów. Ale Tuszyński nie dał się ustrzelić. Szkoda, bo jeden taki wystarczy za kilkudziesięciu przeciętniaków. O jego nosie do interesów krążą legendy. Dużo mamony w krótkim czasie. No, Blanka, wypada mi tylko pogratulować, ale przyznaję, niezły galimatias nam robisz. Jak my bez ciebie przetrwamy? Miałem nadzieję, że zostaniesz starą panną i nigdy nie wypuścimy cię z rąk, a ty...

Kamil nadawał jeszcze przez dłuższą chwilę, ale ja nie byłam w stanie słuchać. Jak zahipnotyzowana, szeroko otwartymi oczami wpatrywałam się w zdjęcie Marcela, które kilka tygodni temu włożyłam w ramkę i ustawiłam na biurku. Jakbym widziała je pierwszy raz. Trochę jak zaczarowane, fascynujące, kolorowe światła zorzy polarnej, które podziwiałam kilka lat temu na urlopie w Norwegii. Razem z Julą, ubrane w puchowe kurtki eskimoski, futrzane czapy i opatulone kocami, wpatrywałyśmy się w niebo w oczekiwaniu. I nagle, gdy już prawie się poddałyśmy, niespodziewanie niebo rozbłysło feerią barw. Oniemiałe z nadmiaru wrażeń, chłonęłyśmy ten niezwykle spektakl wszystkimi zmysłami.

Przysunęłam zdjęcie bliżej i przypomniła mi się poranna rozmowa z Marcelem. Podwoził mnie do pracy w drodze na lotnisko, a potem wylatywał do Araratu. „Z tą pracą mówiłeś na poważnie? Naprawdę mam złożyć wypowiedzenie?”, upewniałam się, pudrując nos. „Przecież się zgodziłaś”, śmiał się, szukając w radiu jakiejś częstotliwości. „Ale czy damy radę finansowo? Wiesz, ja nawet niezłe zarabiam, więc...” „Wiem, wiem, ale i bez tej fortuny sobie poradzimy. Praca w banku nie jest twoim żywiołem. Przyjmijmy tradycyjny model małżeństwa. Zarabianie pozostaw mnie. Mówiłem ci już, że jestem twoją złotą rybką. Spełnię absolutnie wszystkie twoje marzenia. Nie zamartwiaj się na wyrost. Najwyżej zaciśniemy pasa. Nie będziemy jadałi przepiórek, tylko ugotujesz kluseczki! Takie jak wczoraj”, stwierdził rozbawiony, zajeżdżając na chodnik prawie pod samo wejście do banku. Szybko wysiadłam, bo w tym miejscu jest absolutny zakaz zatrzymywania się, a po drugiej stronie ulicy zauważyłam strażnika miejskiego. Na szczęście przejeżdżający tramwaj uniemożliwił mu dotarcie do nas na czas...

- Blanka, jesteś tam? – Kamil wyrwał mnie z zamyślenia.
- Uhm – mruknęłam.
- Nieszczercze ci gratuluję, bo wolałbym, żebyś po prostu kupiła sobie kota i została... Jak się to teraz modnie nazywa?
- Singielką – podsunęłam.
- Właśnie.

Ostatni dzień kwietnia był zarazem ostatnim dniem mojej pracy. Rano, gdy tylko odpędziłam od siebie resztki snu, uświadomiłam sobie, że za około dwanaście godzin będę niewątpliwie jedną z najszczęśliwszych osób na świecie. Przeprowadzę się do raju na ziemi. Będę miała czas na realizowanie marzeń, wysypianie się do woli, czytanie romansów, oglądanie teleturniejów, pieczenie ciasta ze śliwkami, chodzenie do kosmetyczki i robienie wszystkiego, co robią żony zaradnych finansowo facetów. Znalazłam silne męskie ramię, na którym będę mogła się zawsze wesprzeć i wreszcie będę na czyimś utrzymaniu. Ziewnęłam zadowolona. Potem szybko zaparzyłam kawę i z kubkiem w ręce wyjrzałam za okno. Natychmiast się wzdygnęłam. Niebo zasłonięte było nisko wiszącymi ciemnoszarymi, a w niektórych miejscach czarnymi chmurami. Ich kłębiasta podstawa zasłaniała wierzchołki wieżowców. Wyglądały jak zastygłe, zatrzymane na stop-klatce. I nagle zapłakały rześnistym deszczem. Natychmiast poczułam się fatalnie, wręcz depresyjnie. Miałam wrażenie, że pogoda zrobiła mi na złość. Tak jakby zmuszała mnie, bym też zalała się łzami. Jakby był ku temu jakiś powód. Od dziecka jestem wrażliwa na kaprysy aury, szczególnie na niskie ciśnienie i małą ilość światła. O nie – pomyślałam – tak łatwo się nie poddam! Zsunęłam rolety, pozapalałam wszystkie światła i puściłam na cały regulator meksykańskie rytmy, ale niewiele to pomogło.

W pracy, w klimatyzowanych pomieszczeniach i przy zasłoniętych oknach, pogoda na szczęście w żadnym stopniu nie wpływała na moje samopoczucie. Zresztą z samego rana sekretarka wprowadziła do mojego gabinetu posłańca poczty kwiatowej. Widziałam tylko jego nogi, bo miał przed sobą gigantyczną wiązanek fioletowych irysów z powplatanymi pomiędzy nie białymi jastrunami. Przeczytałam dołączony karnecek:

„Droga Blanco,
z Tobą niemożliwe stało się możliwe. Byłaś w naszym banku pierwsza jak litera „a” w alfabecie. Bez niej abecadło to bubel. A jak bez Ciebie ma działać nasz bank? Będziemy tęsknić i zawsze z wdzięcznością wspominać.

Dziękujemy za wszystko!

Jacek i Gerard”.

Wpatrywałam się w pięknie wykaligrafowane litery i zrobiło mi się po prostu miło. Jacek jest przewodniczącym rady nadzorczej, a Gerard – prezesem zarządu. I nagle, niespodziewanie, posmutniałam. Zostawiam oddział, który nie tylko wyprowadziłam na prostą, ale wbrew wszystkim znakom na niebie i ziemi sprawiłam, że stał się pod wieloma względami najlepszy. Wszystko to kosztem mojej ciężkiej pracy, weekendowych przemyśleń, opracowywania strategii. Na szczęście, co podobno rzadko się zdarza, zostało to docenione. Czułam napływające do oczu łzy, ale szybko je przepędziłam. Przecież to ma być jeden

z najpiękniejszych dni w moim życiu!

Potem, gdy robiłam zwyczajowy obchód po oddziale, kolejno podchodziłam do pracowników i dziękowałam im za współpracę. Każdemu starałam się powiedzieć coś miłego, nieszablonowego i spersonalizowanego. Wiem, nieraz z ciężkim sercem wyciskałam z nich wszystkie soki, ale nie traktowałam ich jak robotów do wypracowywania bankowych zysków, choć do tego zostałam powołana i za to mi płacili. Wszystkim pomagałam, wysyłałam na szkolenia, a w razie osobistych problemów, folgowałam w miarę możliwości. Miałam nadzieję na jakieś przychylne gesty, ale oni milczeli jak zakłeci. Wydawali się zmieszani i wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia albo wpatrywali się w podłogę, pewnie marząc o tym, bym wreszcie skończyła. Wróciłam więc do gabinetu, bo właśnie z cukierni przywieźli zamówione torty – marcepanowy, truflowy i czekoladowy. Sekretarka pokroiła je na porcje i wraz z kawą roznosiła na stanowiska pracy. Innej możliwości świętowania nie było. Nie mogłam sobie pozwolić na chociaż półgodzinne zamknięcie oddziału.

O osiemnastej sprawdziłam jeszcze raz, czy wszystkie szafki i szuflady są opróżnione z moich prywatnych rzeczy. Na biurku stał karton po papierze do drukarki, a w nim rzeczy do zabrania: dwie pary zapasowych rajstop, czółenka na niskim słupku, wygodne jak papcie, które zakładałam w ekstremalnych sytuacjach, gdy nogi naprawdę odmawiały mi posłuszeństwa, zdjęcie Marcela oprawione w ramkę, jabłko, którego nie zjadłam na śniadanie, pudełko sypkiego pudru z pędzlem, kilka błyszczków i konturówka.

Po raz ostatni usiadłam na dyrektorskim fotelu, oparłam się wygodnie i włączyłam funkcję bujania. Powtarzałam sobie w myślach, co im powiem. Obmyślałam to przez cały poprzedni wieczór i połowę bezsennej nocy. Spojrzałam na ekran monitoringu. Gasły światła, a ja nastawiłam uszu, ale nie dochodziły mnie żadne odgłosy uzgodnień, żadne konspiracyjne szepty. Nic. Tylko nieznośna cisza. Zaniepokojona nachyliłam się do monitora. Wszędzie było już pusto. Przełączyłam system na podgląd z kamery pokazującej wyjście dla pracowników. Kilku ostatnich, w panice, jakby za chwilę miało nastąpić trzęsienie ziemi i ogłoszono ewakuację, opuszczało budynek.

W tym momencie usłyszałam pukanie do drzwi i ujrzałam głowę sekretarki. Tylko głowę, ale to mi wystarczyło, by się zgotować. Widziałam ją zaledwie pół godziny temu, ale zdążyła w tym czasie zrobić we włosach pomarańczowe pasemka za pomocą bibuły i całość spryskać lakierem, stawiając wysoko na sztorc. Jak nic – afrykański dudek wzbijający się do lotu.

– Czy mogę już iść do domu? – zapytała, ostentacyjnie żując gumę. Robiła mi na złość świadoma, że nie jestem już władna, by zwrócić jej uwagę, nie mówiąc o wyciągnięciu konsekwencji.

– Tak – odparłam i w tym momencie zrodziła się we mnie nadzieja, że może

choć ona powie coś na pożegnanie. Przecież byłyśmy ze sobą najbliżej. Wiele razy mogłam ją po prostu wylać. Z małym sukcesem starałam się uczyć ją profesjonalizmu nie tylko w piłowaniu paznokci.

Ale ona tylko rzuciła „do widzenia”, uśmiechnęła się i zamknęła za sobą drzwi.

– Jesteś taka jak pozostali! – nie wytrzymałam i krzyknęłam za nią, a potem wylałam z siebie cały stek wyzwisk, wszystkie żale, które leżały mi na sercu, całą irytację i niespełnione nadzieje na zwykłe grzecznościowe „dziękuję”, choć wiedziałam, że i tak z wyciszonego gabinetu to do niej nie dotrze. Poniosło mnie. Nie wiem, ile to trwało, w każdym razie nieco ukoilo moje nerwy. Fantastycznie, że kończę z nimi raz na zawsze, pomyślałam.

Wstałam, jakbym dostała potężny zastrzyk energii. Pełna werwy wzięłam torebkę i bukiet kwiatów, który dostałam rano, a pod pachę włożyłam karton z moimi rzeczami i nie oglądając się, bez sentymentów opuściłam budynek. Gdy rano do niego wchodziłam, niebo zasłaniały kłębiaste, czarne chmury i padał rzęsisty deszcz – teraz przywitał mnie pogodny i ciepły wczesnowiosenny wieczór. Poczułam się cudownie – jak więzień, który po latach odsiadki wychodzi na wolność i wreszcie może spojrzeć w niebo.

Dziarsko pomaszero wałam w kierunku mojej hondy. O tej porze była jedynym autem na parkingu. Bagaż, który niosłam, był jak balast, karton wysuwał mi się spod pachy, popychany przy każdym kroku przez torebkę zwisającą z ramienia, a drugą dłonią ledwie obejmowałam wiązanek kwiatów. Marzyłam, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu. Fioletowy lakier metalik ładnie błyszczał w słońcu, wręcz mnie oślepił. Położyłam wszystko na tylnej klapie i sięgnęłam do torebki po klucze. Wtedy zamarłam. Na lakierze z lewego boku dostrzegłam wzorek przypominający sinusoidę, zakreślony zamazyście od przodu po sam tył. Wzorek układał się w jedno słowo: „suka”. Pośliniłam palec i próbowałam zetrzeć kawałek, przekonana, że to tylko ślad jasnego markera. Pod skórą poczułam jednak wgłębienie – ślad potraktowania lakieru czymś ostrym, najprawdopodobniej gwoździem. Czulałam, jak żyły na mojej szyi nabrzmiewają. Miałam ochotę wrzeszczeć. Przed oczami stanęła mi twarz taty, którego nakłaniałam, żeby polakierował mi auto właśnie na metalik. Odradzał mi z całego serca: „Blanka, metalik ma poważny feler, nie da się na nim domalować ubytków. W razie czego bez szpachli i lakierki się nie obejdziesz”. Ale ja, śmiejąc się, trwałałam przy swoim: „Tato, żadne ubytki mi nie grożą. Za kierownicą przecież jestem starą wygą. Zbyt dobrze jeżdżę, żeby coś mi się zdarzyło”.

Nie, nie mogłam odstawić hondy do warsztatu taty. Spłonęłabym ze wstydu. Byłam świadoma tego, że na parking mają wstęp wyłącznie pracownicy banku. Gotując się z wściekłości i wyrzucając pod nosem kolejny stek wyzwisk, wrzuciłam karton i bukiet do bagażnika, wsiadłam za kierownicę, przekręciłam

kluczyk w stacyjce i z całych sił nacisnęłam pedał gazu. Silnik zawył, opony zapiszczały, a ja poprzysięgłam sobie, że moja noga nigdy więcej nie postanie w tym miejscu. Przez chwilę pożałowałam, że rano nie wzięłam parasola i nie poszłam do pracy pieszo, ale nagle uświadomiłam sobie, że przecież specjalnie wzięłam auto, by w drodze powrotnej zrobić zakupy. Przecież w nocy wraca Marcel, po prawie tygodniowym pobycie w Kopenhadze, a lodówka świeci pustkami. Na samą myśl o nim poczułam, że nerwy mnie opuszczają. O niebo spokojniejsza, zatrzymałam się przy placu Kopernika, gdzie na parterze biurowca mieścił się mały kompleks handlowy – kilka sklepów, agencja pocztowa, fryzjer, pralnia chemiczna, magiel i pub pod szyldem „Tylko dla Zuchwałych”. Zaparkowałam pod parkanem i z koszem piknikowym, pełniącym rolę torby na zakupy, weszłam do moich ulubionych samoobsługowych minidelikatesów. Tylko tam można kupić ekologiczny olej kokosowy, kilkanaście gatunków ziarnistych kaw na wagę, które gratisowo właściciel albo pracująca z nim żona mebli na oczach klienta. Właściciele mieli niezłe głowy do interesów, bo prowadzili też sąsiadujący ze sklepem pub.

Weszłam, układając w myślach listę zakupów. W progu przywitała mnie szefowa, poprawiająca ekspozycję anyżu gwiazdzistego na półce z przyprawami świata. Wpadałam tu co jakiś czas, więc traktowała mnie jak skarb, o który trzeba dbać, żeby go nie stracić.

– Pani dzisiaj sama? – zagadnęłam grzecznościowo, sięgając po mus z pigwy.

– I tak, i nie – odpowiedziała. – Mąż jest w pubie, obsługuje zamkniętą imprezę. Prawie trzydzieści osób z banku przy rynku zarezerwowało lokal na wyłączność. Przyszli pół godziny temu. Babki w kostiumach, faceci w garniturach. Pomyślałby kto, że wyższe sfery, a niektórzy już zdążyli się doprawić na umór. Świętują, bo ponoć odeszła ich szefowa. Mówią, że wyjątkowa suka. I co im się dziwić?

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy, a ręce i nogi ogarnia bezwład.

– Mamy też pyszny sok z dzikiej borówki. – Słyszałam jej zachęcający głos. Z każdym słowem brzmiał jednak coraz bardziej odlegle, jakby zza ściany. Przed moimi oczami zawirowały czarne mroczki. Czułam, że zaraz upadnę. Wysunęłam rękę i jak niewidoma szukająca podparcia chwyciłam się błyszczącej rury utrzymującej półki. Z całych sił starałam się rozluźnić, oddychając głęboko.

– Źle się pani czuje? – Pomimo słusznej tuszy kobieta podbiegła do mnie zaniepokojona. Jej twarz, będąca w moich oczach bezkształtną plamą, stawała się coraz bardziej wyraźna. Na szczęście, bo zrobiłabym cyrk.

– W porządku – uspokajałam ją, usiłując nadać swojemu głosowi wiarygodny ton. – Jestem tylko trochę przemęczona i tyle. Proszę mnie skasować, pojedę do domu i odpocznę.

- Może poproszę męża, żeby panią podwiózł?
- Nie, to tylko chwilowe, nieraz się tak zdarza...

Gdy wyszłam, było już prawie ciemno. Powłócząc nogami, dotarłam do auta i opadłam na fotel. Potem długo i z niedowierzaniem wpatrywałam się w okna pubu, oświetlone lampkami ledowymi, co chwilę zmieniającymi barwę z fioletowej na żółtą. Widziałam ich wszystkich jak na dłoni. Mój cały – jak mi się wydawało – zgrany, starannie wyszkolony, kompetentny i lojalny zespół był już na dużej bani. Przypominali pseudokibiców świętujących w parku wygrany mecz prowincjonalnej drużyny piłkarskiej. W pewnej chwili wszyscy wstali, choć niektórym trudno było utrzymać się w pionie, i z wykrzywionymi pijackimi uśmiechami zaczęli się stukać kieliszkami. Potem wypili do dna i z ulgą wrócili do pozycji siedzącej. Za kilka minut sytuacja się powtórzyła. Moja sekretarka, z twarzą oblaną szkarłatem, wyraźnie coś wykrzykując, wplątywała we włosy sztuczne kwiaty wyjęte z wazonu, a Jarek, ten od kredytów mieszkaniowych, wskoczył na krzesło, zdjął marynarkę i kręcił nią ponad głową jak kowboj lassem w westernach. Impreza na cztery fajerki.

Ciekawe, jak jutro będziecie pracować, zwróciłam się do nich w myślach. Bankowcy cuchnący browarem, zięjący oparami wody i piwa. Niewyspani, z czerwonymi oczami. Roześmiałam się gorzko. Tacy z was spryciarze, że połowa weźmie zwolnienie lekarskie, a pozostali urlop na żądanie. Na szczęście mnie już to nie dotyczy. Moja noga w tym banku nie postanie. Nie chcę was znać!

Postanowiłam jak najszybciej stamtąd uciec i przestać o nich myśleć. Włączyłam na cały regulator radio, ale w mojej głowie wciąż huczały słowa: „Świętują, bo ponoć odeszła ich szefowa. Mówią, że wyjątkowa suka. I co im się dziwić?”.

– Jesteś puknięta, i to zdrowo! – Jula skrzywiła twarz w wyrazie dezaprobaty, gdy kilka dni przed ślubem wpadła do mnie przed nocnym dyżurem, by zapytać, czy nie potrzebuję pomocy w przygotowaniach do uroczystości.

Okręcałam się przed nią w sukni ślubnej, pewna zachwyków, ochów i achów. Kupiłam suknię w salonie paryskiej mody. Była po prostu cudna. Śnieżnobiała, delikatna i zwiewna. Gorsecik z pięknej koronki, zdobionej turkusowymi koralikami i cekinami, w talii szarfa w tym samym kolorze, od pasa kilka warstw cieniutkiego batystu uformowanego w kształt trapezu. A do kompletu czółenka. Turkusowe. Z wężowej delikatnej skórki. We włosach – przyczepiony prowizorycznie na czas występu przed przyjaciółką – sięgający pasa i wirujący przy każdym ruchu tiulowy welon.

– Bo? – Zatrzymałam się jak wryta i spojrzałam na przyjaciółkę z niepokojem.

– Bo czy dobrze słyszałam, że wybierałaś ją z Marcelem?

– Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Nie masz zapchanych woskowiną uszu i upośledzonego słuchu jak ja, gdy jeszcze pracowałam w kancelarii. Pamiętasz, jak namawiałaś mnie, żebym poszła do laryngologa, ale ja się uparłam i to ty mi je czyściłaś? Protestowałaś, bo to nie twoja specjalizacja, ale dałaś radę...

– Blanka, przestań. – Stuknęła otwartą dłońią w blat stołu, by powstrzymać mój słowotok. – Igrasz z losem. Sukni ślubnej nie wybiera się z narzeczonym! – podniosła głos. – Ma cię w niej zobaczyć po raz pierwszy dopiero na uroczystości, totalnie zaskoczony i zachwycony.

– Jak go znam, to zaraz po wyjściu z salonu zapomniał, jak ona wygląda. To typowy facet. I tak szczena mu opadnie na mój widok. – Uspokojona machnęłam lekceważąco ręką. – Tak jak mój tata. Cierpi na całkowity zanik pamięci, jeżeli chodzi o daty rocznicy ślubu albo urodzin mamy. Myślę, że po latach przestało jej to już działać na nerwy. Ja na amnezję mojego męża nastawiłam się już zawczasu.

– Tak, masz rację. Mojego Filipa wysyłam do sklepiku po ocet i ziemniaki. Przynosi tylko ocet, bo o ziemniakach zapomina, i dyla drugi raz. Ale to są drobnostki. Podstawowa zasada jest taka, że przyszły mąż widzi suknię ślubną dopiero w dniu ceremonii. Niezależnie od tego, czy ma pamięć fotograficzną, czy nie. To po prostu przynosi pecha.

– Od kiedy wierzysz w zabobony? – zaśmiałam się, gładząc z zachwytem utkany koralikami gorset.

– Blanka, nie dość, że bierzesz ślub w maju...

– Przecież maj jest piękny! – przerwałam jej. – To miesiąc stworzony dla zakochanych. Pachnie flirtami i namiętnością.

– Puknij się w głowę. Może szare komórki ci się przestawią na normalne tryby. Jesteś jak turystka wybierająca się na wspinaczkę górską w japonkach. Kusisz los. Ślub bierze się w miesiącu z literą „r”. Mogłaś poczekać do czerwca.

– Nie rozśmieszaj mnie. Wciskasz mi jakieś zabobony. Wierzysz też w bajeczki o rozbitych lustrach i siedmioletnim nieszczęściu? – Ciągłe roześmiana, oczekiwałam na jej gorliwe zaprzeczenie, ale Jula milczała. – Czyżbyś była jedną z tych naiwnych, które nabijają kasę wróżbitom i kabalarzom? – drażyłam, wpatrując się w jej spąsowiałe z zażenowania policzki.

– Blanka, sama już nie wiem... – wydusiła. – Ostatnio doszłam do wniosku, że nie zachodzę w ciążę, bo w dniu ślubu nie założyłam nic niebieskiego, a to podobno gwarantuje potomstwo i wierność męża. Jakby tego było mało, zaraz po ślubie coś mnie podkusiło i wstąpiłam do sklepu Trendy Niemowlę. Kupiłam całą wyprawkę dla malucha, łącznie z gąbkami do kąpieli i chusteczkami nawilżającymi do pielęgnacji pupy. I jak na tym wyszłam? – Jej oczy, jak zwykle, gdy poruszała ten temat, wypełniły się łzami. – Ubranka już dawno przestały być w modzie, gąbki zmurszały, a chusteczki się przeterminowały.

– Jula... – Usiadłam naprzeciw niej i mówiłam najłagodniej, jak mogłam, starając się sama nie rozplakać. Wprawdzie nie rozumiałam do końca jej bólu, bo wydawało mi się, że ja taki stan rzeczy przyjąłabym ze spokojem, ale bardzo pragnęłam jej szczęścia. – Wyrzuć z głowy takie śmieci. Udowodnię ci, że tego typu myślenie to ciemnogród. Zrobię wszystko na odwrót, a i tak będę szczęśliwa. Zobaczysz. Babka w salonie nie wierzyła, że Marcel to mój przyszły mąż. Myślała, że brat. Potem w przymierzalni, gdy byłyśmy same, dopasowując mi długość ramiączek, szeptem recytowała długą listę porad. Wiesz, że mam założyć coś pożyczonego, bo to ma niby gwarantować przyjazne relacje z teściami, nikomu nie pokazywać sukni przed ślubem, bo spadnie na mnie nieszczęście... A ty właśnie mnie oglądasz. I co? Niebo się rozstąpiło i poleciały gromy? Bzdury! A najlepsze jest to, że mam włożyć sobie do buta pieniądze, wtedy nie zabraknie mi kasy! No to już przerosło ludzkie pojęcie! Spójrz na życie realnie, Jula. Jaki związek ze stanem konta bankowego ma uciskająca cię w duży palec moneta? Jako finansistka odpowiem ci jednym słowem: żaden! Więc oświadczam teraz uroczyście, że nie zastosuję się do żadnej z tych wskazówek i będę chodzącym dowodem na to, że to pospolite pierdoły.

– Blanka, nie ryzykuj, może jednak... tak na wszelki wypadek... – prosiła Jula, układając dłonie jak do modlitwy.

– Nie! – stwierdziłam kategorycznie. – Nie przekonasz mnie. A tak na marginesie, mówiłam ci, jakiego newsa przekazał mi Kamil o Marcelu?

Oczywiście mój przyszły mąż nie wie, że ja wiem... – Jula momentalnie, tak jak to robi w swoim gabinecie, poprawiła się na krześle i zamieniła się w słuch. Patrzyła uważnie spod wystrzępionej rudej grzywki. – Podobno Marcel jest dość forsiasty i ma niesamowitego niucha do interesów – powiedziałam konspiracyjnie, chociaż nikt nie miał szans nas usłyszeć.

– Świetnie, ale dawaj tego newsa.

– To mało? – zapytałam zdziwiona.

– To wie każdy – skwitowała i ziewnęła dyskretnie. – Nie rób z siebie świętej i nie udawaj, że nie miałaś pojęcia.

– Przysięgam!

– Wszyscy o tym wiedzą. Twoja mama dzwoniła do mojej i ubolewała nad Iwoną, że aż tak dobrze nie trafiła. Ordynator z wewnętrznego, gdy mówiłam, że jestem zaproszona na wasz ślub, powiedział, że chodził z Marcelem do równoległej klasy w podstawówce i podziwia go za dorobienie się w łącie amerykańskim stylu. Wiesz, od pucybuta do miliardera. Ten pucybut to taka przenośnia – dodała pospiesznie. – Żebyś nie brała tego w sensie dosłownym. Połowa miasta wie, kto to jest Marcel Tuszyński, a ty jakbyś z choinki się urwała. Tabuny dziewczyn miały go na celowniku, marząc o spokojnym finansowo życiu u boku takiego przystojniaka, a ty go upolowałaś. Oj, Blanka, jeszcze raz ci gratuluję, a teraz, sorki, muszę spadać, bo się spóźnię na dyżur. – Jula spojrzała na zegar, pocałowała mnie przelotem w policzek i już jej nie było.

Następne dni upływały mi na miłych przygotowaniach do ślubu. Zegar biologiczny wprawdzie dawał o sobie znać i jakiś wewnętrzny głos budził mnie jak zwykle przed szóstą, ale zaraz uzmysławiałam sobie, że czasy dyrektorowania, szczękościsku, drgającej powieki i zgagi na tle nerwowym minęły bezpowrotnie. Przewracałam się więc na drugi bok, otulałam kołdrą po same uszy i spałam do woli. Potem, już całkiem zrelaksowana, pijąc poranną kawę i niespiesznie robiąc makijaż, odhaczałam w terminarzu załatwione sprawy. Punkt pierwszy: zabieg w studiu urody na twarz, ramiona, dłonie i dekolt, by zregenerować skórę po zimie i przesiadywaniu od rana do nocy w klimatyzowanym, sztucznie oświetlanym gabinecie. Punkt drugi: konsultacja w salonie wizażu, gdzie kosmetyczka zrobiła mi próbny makijaż; postawiła na delikatne róże, błękity i brązowy tusz do rzęs z błyszczącymi drobinkami, a następnie przekazała mnie w ręce stylistki fryzur. Ta, po obejrzeniu sukni i welonu, zawyrokowała, że w rozpuszczonych naturalnych blond włosach, sięgających prawie do połowy pleców, będę wyglądała świeżo i oryginalnie wśród panien młodych z koczками, tak mocno spryskanymi lakierami do włosów, że przypominały sztuczne, plastikowe konstrukcje albo dopinki dostarczone przez garderobianą z teatru. Zaaprobowalam pomysł i siedząc na fotelu

z filiżanką latte, obserwowałam, jak entuzjastycznie szczotkuje mi włosy, cieniuje końcówki, a potem za pomocą okrągłej szczotki delikatnie zawija je do wewnątrz i wieńczy dzieło, upinając welon specjalnymi wsuwkami. Efekt był wart zachodu. Wyglądałam jak z okładki katalogu mody ślubnej.

Marcel sporadycznie uczestniczył w przygotowaniach. Ciągle się z kimś spotykał, prowadził rozmowy, wyjeżdżał, ale udało mu się tak wygospodarować czas, że razem wybieraliśmy lokal. Sugerowałam Romantyczną – piękny wystrój, miła obsługa, niezłe jedzenie i ceny przyzwoite jak na ten standard – ale on zaśmiał się tylko jak ze świetnego żartu. „Zwariowałaś? Blanuś, tam już były nasze zaręczyny, wystarczy. To musi być coś tak wystrzałowego, że wszystkim szczęki opadną i zapamiętają ten dzień do końca życia. Będą o nim opowiadać wnukom, prawnukom, a oni swoim potomkom. Pokrywam koszty, a z ciebie wychodzi dusza dusigrosza!” Tak naprawdę nie rozumiałam, po co szastać pieniędzmi. I tak wszyscy się spiją i większości film się urwie najpóźniej przed oczepinami, niezależnie od tego, czy wybierzemy drogą restaurację czy remizę strażacką. Ale Marcel tym bardziej się uparł. „Właśnie! Jak potem będą wracać do domów, tacy niedomagający? Muszą się wypaść lub chociażby zdrzemnąć. Zrobimy wesele z noclegiem i wyżywieniem przez cały następny dzień. Kaca trzeba jakoś wyleczyć!”

Ja swoje, on swoje. W końcu uległam, bo przecież on płacił. Wybór padł na hotel Exclusive, który wynajęliśmy na wyłączność na dwa dni. Jak stwierdziła dyrekcja, to ewenement w ich historii. Wszyscy goście mieli przydzielone pokoje, na drugi dzień wyżywienie łącznie z kolacją i nieograniczony dostęp do strefy SPA. Zaproponowali nam tort w kształcie dwóch złączonych serc, z napisem: „Blanka i Marcel – na zawsze”, złożony z kilku warstw delikatnego jak puszek biszkoptu, przełożonego bitą śmietaną i owocami, przybrany marcepanowymi różyczkami. Na zaproszeniach zaznaczyliśmy, żeby nie obdarowywać nas ani prezentami, ani kwiatami, a przeznaczone na ten cel środki przekazać na dowolne cele charytatywne. Marcel samodzielnie załatwił tylko limuzynę do ślubu – białego, stylizowanego na epokę retro lincolna, udekorowanego świeżymi kwiatami, takimi samymi jak te w mojej wiązance oraz w dekoracji kościoła, stołów i naszego apartamentu. U złotnika zamówił ręcznie robione obrączki z białego złota, bo jakiś składnik żółtego go uczula, a raz założonej obrączki nie miał zamiaru nigdy ściągnąć. Po wewnętrznej stronie złotnik wygrawerował nasze imiona i datę ślubu. Moja obrączka była dodatkowo zdobiona brylancikami. Marcela prosta, typowo męska.

Gdy zamawiałam sesję zdjęciową, uparłam się, że zdjęcia mają być wyłącznie w sepia. Fotograf patrzył na mnie zdziwiony, a potem stwierdził, że owszem, tak, ale tylko kilka. Przyznał, że niewątpliwie mają swój urok, jednak same w sobie są smutne, a wesele to przecież szczęśliwy dzień, więc reszta zdjęć

koniecznie powinna być kolorowa. Ja jednak postawiłam na swoim. Sepia i koniec. Tak inaczej, ponadczasowo i prowokująco. Życie i tak będę miała kolorowe, zapewniałam ze śmiechem, ale fotograf, patrząc mi głęboko w oczy, poprosił o przemyślenie sprawy.

Na dwa dni przed ślubem z przerażeniem uzmysłowiłam sobie, że jednak nie wszystko mam dopięte na ostatni guzik. Kompletnie zapomniałam o kwiatach. Marcel był akurat w Genewie i nie mogłam na niego liczyć, więc sama wybrałam się do salonu florystyki ślubnej. Miałam już wybrany w internecie wzór wiązanki i dekorację – wszystko na bazie kalii. Właścicielka, starsza zadbana pani z obcięzonymi na boba brązowymi krótkimi włosami, ubrana w kremowy, gustowny kostiumik, skrzywiła twarz w grymasie.

– Na pani ślub? – upewniła się.

– Tak – odparłam rozkojarzona, bo właśnie sobie przypominałam o popołudniowej sesji w solarium.

– Pani bierze ślub z kobietą?

– Nie, z facetem! – Patrzyłam na nią z politowaniem jak na bełkoczącego pijaka. Nic jednak nie wskazywało na to, że jest na gazie. Stała stabilnie.

– Ostatnio jedna pani kupowała wiązanke dla swojej partnerki na ślub nieformalny, teraz to się nazywa ślub humanistyczny, nieuznawany przez polskie prawo. Odbył się na paradzie lesbijek.

– A czy zachowuję się tak, jakbym miała skłonności? – zapytałam szczerze zaciekawiona. Nigdy nie wiadomo, jaki gest zostanie odmiennie zinterpretowany przez rozmówcę. Zupełnie nie pociągały mnie kobiety, jednak pamiętam, jak jedna z moich koleżanek, jeszcze w gimnazjum, zakochała się na zabój w nauczycielce polskiego. Współczułam jej, gdy bliska płaczu patrzyła, jak zaraz po lekcjach obiekt jej westchnień wsiada do samochodu swojego narzeczonego. Szanowałam jej uczucia, chociaż osobiście preferowałam nauczyciela matmy. Uważałam go za największego przystojniaka w szkole. Ale miłość, jak to miłość, chodzi swoimi ścieżkami.

– W żadnym wypadku panna młoda nie kupuje sobie sama kwiatów – zagrzmiała florystka. – Proponuję, by narzeczoney sam się do mnie pofatygował. Poradzę mu i szybko załatwimy...

– Narzeczoney nie może się pofatygować, jest w delegacji – przerwałam jej.

– Zresztą nie potrzebuję porady, bo przyszłam z gotowcem. Wszystko, czyli wiązanke, przybranie sali, samochodu i kościoła ma być z kalii.

– Z kalii? – Kobieta chwyciła się za serce, jakby groził jej rozległy zawał.

– Przecież są piękne. Czysta klasyka i elegancja – przekonywałam zaskoczona jej reakcją.

– A czy chce pani mieć życie usłane różami?

– Oczywiście, że chcę! Ale to nie gatunek kwiatka o tym zadecyduje.

– Kalie to kwiaty pogrzebowe. Już trochę żyję na tym świecie i powiem pani, że w czasach, gdy ja brałam ślub, nikomu nie przyszłoby do głowy używać kalii, podobnie jak chryzantem, do czegoś innego poza wiązkami i wieńcami żałobnymi. Proszę spojrzeć – przewracała kartki katalogu – jeżeli nie róże, to może konwalie? Są cudne. I teraz jest na nie sezon. Pachną zniewalająco. Albo eustomy, gerbery, frezje, miniaturowe goździki, hiacynty... Wybór olbrzymi. No to co? – zapytała, pewna, że mnie przekonała.

– No to kalie. Do butonierki mojego narzeczonego również.

Patrzyła oniemiała. Chciało mi się śmiać. Zabobonna starsza kobieta zatrzymała się w rozwoju i zapomniała, że czas pędzi naprzód. To, co było, już nie jest. Pochyliła się w moją stronę. Jej oczy, jak u czarownicy przepowiadającej przyszłość, były ciemne i otoczone kruczoczną konturówką. Poczulałam dziwny niepokój, gdy szepnęła:

– Tylko raz w życiu robiłam kompozycję z kalii. Na pogrzeb mojego męża. Na niestrzeżonym przejeździe kolejowym wjechał prosto pod pociąg. Siła uderzenia zepchnęła auto do rowu. Nie miał szans na przeżycie. Wtedy też dałam mu... też miał... – zająknęła się, bliska płaczu – kalię w butonierce.

– Bardzo pani współczuję – odparłam. – Kiedy to było?

– W sierpniu minie dwanaście lat... No więc jaka jest pani decyzja? Jakie kwiaty?

– Kalie.

W sobotni rano zbudziłam się około siódmej. Już miałam się przewrócić na drugi bok i ponownie zapaść w sen, kiedy uświadomiłam sobie, że przecież dzisiaj wypowiadam sakramentalne „tak”! W samo południe. W ślicznym drewnianym kościółku, otoczonym starymi dębami, na terenie skansenu za miastem. Spojrzałam z czułością na śpiącego obok Marcela. Zaczynamy najpiękniejszą podróż naszego życia i już nic nas nie rozdzieli. Jak mogłam bez ciebie żyć? Jak funkcjonowałam? Jak to dobrze, że cię spotkałam...

Poprzedniego wieczoru wrócił bardzo zmęczony. Miał międzylądowanie w Londynie. Była mgła, samolot nie mógł wystartować i Marcel kilka godzin spędził beczynnym, w nerwach, na lotnisku. Delikatnie, jak najciszej, wysunęłam się spod kołdry i poszłam do kuchni. Po pierwsze, spokój i opanowanie. Wszystko jest pod kontrolą. O wpół do dziewiątej przychodzi wizażystka w asyście makijażystki i fryzjerki. Trzy godziny im wystarczą. Pół godziny przed ceremonią podjeżdża limuzyna...

Włączyłam ekspres, zabulgotał i za chwilę kuchnia wypełniła się cudownym aromatem kawy. Jak to dobrze trzymać czas w ryzach. Nauczyłam się tego podczas dyrektorowania w banku. A jednak – nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Pomimo że zakończyłam pracę dopiero trzy tygodnie temu, ten okres mojego życia wydawał mi się tak odległy, jakby był z innej epoki.

Wyciągałam z lodówki skondensowane mleko, gdy tuż za drzwiami wejściowymi rozległ się hałas, a potem dziwny odgłos – jakby na lastrykową podłogę korytarza runęła potężna tafla szkła. Pobiegłam do drzwi i otworzyłam je na oścież. Ujrzałam sąsiadów z mieszkania po lewej. On we flanelowej pizamie w żółto-niebieską kratkę, ze spodniami sięgającymi tuż nad kolana, eksponującymi owłosione łydki. Ona – w różowej, prześwitującej koszuli nocnej do samej ziemi. Wyglądałyby tak samo, gdyby była naga. Oboje skacowali, cuchnący wczorajszym piwem, z podpuchniętymi, przekrwionymi oczami, za to szczerze, od ucha do ucha, uśmiechnięci. Ale nie sąsiedzi byli tu najważniejsi. Tuż przed moim progiem piętrzył się pokaźny stos rozbitej porcelany i szkła. Niektóre odłamki siłą impetu trafiły nawet w odległe zakątki korytarza. Patrzyłam na nich rozeźlona. Naprawdę miałam ich po dziurki w nosie. Podobnie jak całego tego obskurnego bloku. Jak to dobrze, myślałam, że już wkrótce będziecie należeć do przeszłości, że już nie będę musiała oddychać tym samym, przesiąkniętym oparami taniego alkoholu powietrzem.

– Trzaskamy! – wykrzyknęli rozentuzjasmowani, uwidaczniając braki w uzębieniu. Gdyby kasę przeznaczoną na alkohol zostawili u dentysty, mogliby się chwalić najpiękniejszymi implantami w mieście. Szybko podniosłam palec do ust, żeby ich uciszyć. Nie chciałam zbudzić innych sąsiadów – ani Marcela.

– To widzę – szeptałam, otulając się szczerzej szlafrokiem. – A teraz posprzątajcie ten bałagan.

– My? – Patrzyli na mnie, jakbym z drzewa spadła. – To pani jest panną młodą, a to na szczęście na nowej drodze życia. – Pokazali na stertę skorup po zdekompletowanych talerzach. – To pani musi to posprzątać. Zgodnie z tradycją. Wszystkiego najlepszego.

– Dobra – skwitowałam, zła, bo zaburzyli mi porządek dnia. – Dziękuję za życzenia. Ogarnę to jakoś.

Odwróciłam się i poszłam po wiadro, zmiotkę i szufelkę. Gdy wróciłam, ciągle stali w tych samych miejscach – jak wmurowani. Spokojnie obserwowali, jak kucam i z szybkością pershinga przemierzam się po korytarzu, zgarniając odłamki. W pewnym momencie syknęłam i na podłogę zaczęła kapać krew. Mały odłamek szklanki rozciął opuszkę serdecznego palca mojej prawej dłoni. Prowizorycznie okręciłam palec chusteczką higieniczną wyciągniętą z kieszeni i kontynuowałam. Zajęło mi to kilkanaście minut. W końcu wyprostowałam się, przynosząc ulgę kręgosłupowi. Już chciałam wejść do mieszkania i zamknąć im przed nosem drzwi, gdy sąsiad chwycił mnie za rękę swoją żylastą, suchą dłonią.

– Szefowa, mamy powtórzyć? – zapytał z uśmiechem łotrzyka.

– Nie! – zawołałam wystraszona. – Tylko nie to! – Wpatrywałam się w nich,

chcąc wyczytać z zapijaczonych twarzy ich intencje.

Sąsiadka mnie ubiegła.

– Sucho w gardle od tych życzeń – wycharczała teatralnym głosem.

Spojrzałam na nich, tym razem z politowaniem, bo w końcu zrozumiałam. Że też nie wpadłam na to wcześniej. Posprzątałyby za mnie i obyłyby się bez kłopotu. Wróciłam do mieszkania i z kuchennej szafki przepakowałam do reklamówki wszystko, co miało procenty: półsłodki tokaj, litrowy burbon, kupiony przez Marcela w strefie bezcłowej na lotnisku, i napoczętą butelkę białego rumu. Uśmiechali się, gdy trzymając za dno, niosłam charakterystycznie pobrzękującą torbę.

Oboje z ciekawością zajrzeli do środka.

– A czysta? Piwo? – zapytał sąsiad, nie kryjąc zdziwienia.

Pokręciłam głową.

Odeszli, nieco zawiedzeni, poszeptując między sobą.

Chusteczka na serdecznym palcu prawej dłoni zdążyła przesiąknąć. Zły początek, skwitowałam w myślach. Ale się nie dam. Dalej wszystko już pójdzie jak z płatka! To mój najwspanialszy dzień w życiu i nic mi go nie zepsuje! I najważniejsze, cieszyłam się, opatrując w kuchni palec, zaraz po podróży poślubnej wyprowadzam się z tych slumsów. Nie trawiłam swoich sąsiadów, tych wścibskich, żalonych, zapijaczonych gęb! Ci z góry w ubiegłym roku zalali mi łazienkę, bo nie umieli okiełznać zepsutej baterii w wannie. Ci z dołu potrafią urządzać zakrapiane imprezy przy disco polo do białego rana. Ci z lewej to pijacy, od których trudno się opędzić, jak od wrednej, dokuczliwej muchy, a ci z prawej zatruwają mi życie kłótniami i odgłosami bójek. Do tego ich dzieci! Wszędzie pełno tych złośliwych, wrzeszczących i ząbkujących stworków, ich wózeczków i rowerków, które trudno ominąć!

Ale gdy tylko wrócimy z Krymu, spece od przeprowadzek zapakują moje rzeczy i przewiozą je do dwustumetrowego apartamentu, który wynajęliśmy w śródmieściu na czas wybudowania domu. Śliczny, doskonale wyciszony – i w sąsiedztwie parku. W salonie połączonym z jadalnią dębowy parkiet, w pozostałych pokojach lakierowana deska bambusowa, parapety z białego marmuru, w łazience włoska glazura, stylizowana kuchnia z jesionowego drewna, klimatyzacja, dwa podziemne miejsca parkingowe, monitoring, całodobowa ochrona. I najważniejsze – teren zamknięty. Mam nadzieję, że sąsiadom nie wpadnie do głowy wpaść tam do mnie na pogaduszki. Czynsz oczywiście horrendalnie wysoki, ale media wliczone. Gdy właścicielka podała kwotę za wynajem, poprosiłam, żeby na chwilę zostawiła nas samych. Zaczęłam namawiać Marcela, żebyśmy jednak poszukali czegoś skromniejszego, a przede wszystkim tańszego. „Nawet moja dyrektorska pensja, znacznie przekraczająca średnią krajową, nie wystarczyłaby na ten czynsz! A co do garnka włożyć?”

gorączkowałam się. Ale on tylko machnął ręką i rzucił: „Znowu odzywa się w tobie dusigrosz. Nie przesadzaj! I przestań mówić o twoich zarobkach, bo nijak się mają do naszych potrzeb. Są na świecie inne kryteria i ludzie, których stać na zbytki. My zaliczamy się do takich właśnie ludzi”. Ku uciesze właścicielki bez jakichkolwiek negocjacji zgodził się na zaproponowaną przez nią wysokość odstępnego. Jakby chodziło o kupno bagietki. Stałam na środku przestronnego salonu, zaszokowana otaczającą mnie kubaturą, i zadawałam sobie pytanie, jak zdołałam dotychczas przetrwać bez Marcela. Do rocznego odstępnego niewiele trzeba by dołożyć, żeby kupić mieszkanie podobne do mojego.

Dolałam sobie gorącej kawy i popijałam ją podekscytowana. Jeszcze trochę i raz na zawsze pożegnam się z tym tandetnym, ohydnyim blokiem z betonowej płyty, z piszczącą huśtawką na obskurnym podwórku, z nieszczelnymi oknami, podłogą z lastryko i ponurym widokiem na osiedlowy parking. Jeszcze trochę...

W drewnianym kościółku panowały błogi półmrok i chłód, podczas gdy na zewnątrz grzało późnomajowe słońce. Było dość duszno, jak przed burzą, ale prawie bezchmurne niebo nie zapowiadało deszczu. Uśmiechnęłam się do siebie. Według ślubnych przesądów, o których naczytałam się w sieci, dobra pogoda zwiastuje udany związek. Dla mnie oczywiście taka współzależność to bujda na resorach.

Stałam w bocznej kruchcie kościoła w towarzystwie zdenerwowanego do granic możliwości taty. Co chwila sięgał do kieszeni, wyciągał chusteczkę i wycierał spocone skronie i czoło. Wiedziałam, że dla niego ten poniekąd publiczny występ to wielkie przeżycie. Dla mnie po tylu latach pracy w banku i po szeregu szkoleń to właściwie normalka. Niezauważona dla innych, miałam dość dobre pole widzenia i z ciekawością zerkałam, co się dzieje w środku. Kilkadziesiąt zapalonych świec migotało, rzucając romantyczne, niezwykle światło na ołtarz, zdobiące go aniołki, wyrzeźbione w alabastrze, i olejne malowidło z trójkątnym Okiem Opatrzności Bożej. Na dłużej skupiałam wzrok na Marcelu. Stał dostojnie przed ołtarzem, obok klęczników, w klasycznym popielatym garniturze i z kalia w butonierce. Oczekiwaliśmy na przyście księdza, słuchając *Ave Maria* Schuberta, granego na organach w towarzystwie klarnetu. Mały kościółek mieszczący około stu pięćdziesięciu osób był wypełniony po brzegi. Zaprosiliśmy tylko siedemdziesięcioro dwoje gości, a reszta wzięła się nie wiadomo skąd. Gdy podjeżdżaliśmy pod główne wejście, zauważyłam wóz reporterski telewizji lokalnej, a tuż obok samochód oklejony logo gazety »Echo Miasta« – Gorące relacje, szokujące sensacje, tylko dla was!”. No tak, był to pierwszy ślub w tym kościółku od kilkunastu lat, bo konserwator zabytków zabronił tego typu uroczystości w obawie o zniszczenia, ale Marcel przekazał stosowną darowiznę na

skansen i zrobiono dla nas wyjątek.

Wreszcie uroczyście zabręczały dzwonki. Wszyscy wstali, gdy pojawił się proboszcz w asyście dwóch wikariuszy. Oczy gości zwróciły się w naszą stronę. Słysząc było szepty, mama Marcela wycierała łzy, a ja miałam nadzieję, że są to łzy wzruszenia i szczęścia. Rozpoczęła się ceremonia, mająca nadać naszemu związkowi status sakramentu. Tata pospiesznie schował do kieszeni chusteczkę.

– Która? – zapytał półszepem.

– Lewa... – starałam się nie brzmieć karcąco, ale mówiłam mu to kilkakrotnie, a jego nieumiejętność działania w sytuacjach stresowych naprawdę mnie irytowała. Do tego to zdziwienie w oczach, gdy na mnie spojrzał. – No, lewa. Ta od serca – dodałam, a on pokiwał głową i uśmiechnął się, wreszcie uspokojony.

Tak naprawdę we wszystkich poradnikach pisali, że koniecznie prawa, ale w dniu naszego ślubu postanowiłam wszystko zrobić na odwrót. Suknię wybierałam z Marcelem, widział mnie w niej wiele razy, nawet dzisiaj pomagał mi zasunąć suwak na plecach. Biorę ślub w ponoć najgorszym na tę okazję miesiącu. Wybrałam na świadkową Julę, a Marcel swoją siostrę – podobno damski duet świadków to gwarantowany pech. Nie miałam na sobie nic pożyczonego, nie miałam monety w bucie ani okruszka chleba zaszytego w szwie sukni, co miałyby zwiastować pomyślność finansową. Świadomie nie dostosowałam się do żadnej z przekazywanych z pokolenia na pokolenie rad przeznaczonych dla zwolenników pukania w niemalowane.

– Dobra, tato, wysuwamy lewe nogi i ruszamy na trzy. Raz, dwa, trzy...

Przy dźwiękach marsza Mendelssohna ruszyliśmy po zasypanej białymi kwiatami kamiennej podłodze pod ołtarz, gdzie wpatrujący się we mnie roziskrzonymi oczami Marcel miał symbolicznie przejąć nade mną opiekę. Usłyszałam szmer podziwu i zazdrości. Wiedziałam, że wyglądam dobrze. Przez prawie trzy godziny stylistka, makijażystka i fryzjerka zrobiły swoje. Do tego ta paryska suknia...

Rozpoczęła się ceremonia według ściśle zaplanowanego scenariusza.

– Najmilsi, zebraliśmy się dzisiaj – zaczął proboszcz, ubrany w białe szaty ze złotymi ornamentami, zwracając się przez mikrofon do zgromadzonych – w tę piękną majową sobotę wokół Blanki i Marcela, którzy pragną zawrzeć sakramentalny związek małżeński. W tym ważnym dla nich momencie życia otoczmy ich swoją miłością i modlitwą...

Stałam przed ołtarzem i czułam się jak księżniczka we własnej bajce. Władczyni swego losu. Moje marzenia stawały się rzeczywistością. Precz z monotonią, wstawaniem bladym świtem, użeraniem się w pracy do wieczora. Spojrzałam na Marcela i odetchnęłam z ulgą. Oto mój prywatny książe.

Atmosfera w świątyni była niesamowita, wręcz baśniowa. Ostre promienie słońca wpadały do wnętrza przez przepiękne, barwne witraże przedstawiające

skrzydlate serafiny i cherubiny. Błyskały flesze. Do tego piękna muzyka płynąca z organów i klarnetu. Przeszły mnie ciarki. Było jednak coś, co nie pozwalało mi do końca cieszyć się chwilą, co rozpraszało mnie i raz po raz, jak wahadełko hipnotyzera, przyciągało mój wzrok. Tuż za ołtarzem rozpościerało się stare olejne malowidło z trójkątnym Okiem Opatrzności Bożej. Nieco zakurzone, farba zdążyła już spękać, w niektórych miejscach była starta lub wykruszona, ale główny motyw był doskonale widoczny. Oko zamknięte w trójkącie, na zewnątrz którego rozchodzi się kilkadziesiąt złotych promieni. Czułam, że patrzy tylko na mnie, jakby chciało mi powiedzieć, że to nie ja kieruję biegiem zdarzeń, ale jakaś wyższa siła, przekraczająca ludzkie pojęcie. Miałam wrażenie, że zaraz z obrazu wyłoni się palec i pokiwa mi karcąco. Staralam się nie patrzeć w tamtą stronę, ale malowidło, czarując tajemniczością, działało jak lep.

Wreszcie nadszedł punkt kulminacyjny, czyli przysięga małżeńska. Wszyscy podnieśli się z miejsc, zapanowała uroczysta cisza. Ja i Marcel stanęliśmy naprzeciw siebie. Zerknęłam na pierścionek zaręczynowy. Tak, miałam rację, akwamaryn i jego oczy miały identyczny kolor i blask. Z wrażenia zaschło mi w gardle. Chrząknęłam. Emocje sięgały zenitu.

Proboszcz poprosił, żebyśmy podali sobie prawe dłonie. Moja trochę drżała, ale Marcel chwycił ją mocno, jak od dawna poszukiwany skarb. Uspokoiliam się. Proboszcz oplótł nasz uścisk stulą.

– Ja, Marcel, biorę sobie ciebie, Blanko, za żonę... – Słowa Marcela powtarzane za proboszczem brzmiały pewnie i doniośle. Moją uwagę przykuła kalia w butonierce. Wydała mi się większa niż przedtem. Poluzowała się i przechyliła, jakby chciała opuścić swoje miejsce – jak nieproszony gość, który uświadomił sobie, że jego obecność w gronie stanowi faux pas. Szybko odrzuciłam tę myśl, bo przyszła kolej na mnie.

– Ja, Blanka... – Doskonale znając wagę każdego wypowiedzanego słowa, pewnie, bez zająknięcia i pomyłki wygłosiłam swój tekst.

– Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. Małżeństwo przez was zawarte ja powagą Kościoła potwierdzam i błogosławię. – Ksiądz nakreślił znak krzyża nad naszymi splątanymi stulą dłońmi. Już miałam odetchnąć z ulgą, gdy nagle wszystkie kandelabry zamigotały, jakby za chwilę miała nastąpić przerwa w dostawie prądu. Na ułamki sekund wewnątrz świątyni rozświetliły błyskawice. Wzdrygnęłam się od potężnego grzmotu. Drewniana konstrukcja kościółka zachwiała się w posadach, jakby lada moment miała runąć. Pociemniało, witraże wyglądały jak zasłonięte granatową kotarą. Usłyszeliśmy dudnienie deszczu o gontowy dach. Wszyscy struchleli, oczekując na ciąg dalszy. Ale zaraz wszystko ucichło.

Proboszcz rozglądał się, kurczowo trzymając mikrofon, ale do wnętrza znów zawitało światło. Wszystko wróciło do normy. Ot, taka anomalia pogodowa. Coś

jak majowy śnieg. Zdarza się.

– A teraz nastąpi pobłogosławienie obrączek – powiedział ksiądz z namaszczeniem i stanął nad jedwabną poduszeczką z naszymi ręcznie wyhaftowanymi imionami i datą ślubu. Siostra Marcela wyciągnęła szyję z ciekawością. Kątem oka zauważyłam, że dziwnie wydyma usta.

Kamerzyści przysunęli się, jak najbliżej mogli, błyskały flesze aparatów. Tatusiowie wzięli dzieci na ręce, żeby ułatwić im oglądanie. Wszyscy patrzyli tylko na nas.

– Żono, przyjmij tę obrączkę... – Wsuwając mi obrączkę na serdeczny palec prawej ręki, Marcel poczuł opór, a ja jęknęłam z bólu. Część palca wciąż miałam opatrzoną przezroczystym plastrem po moim porannym wypadku. Trudno, wysunęłam lewą rękę. Marcel zerknął na mnie zdziwiony.

– Ta od serca – szepnęłam, przypominając sobie naszą obietnicę, że raz założonych obrączek już nie zdejmujemy. Na lewej dłoni jak u wdowy, pomyślałam, ale zaraz odgoniłam tę myśl, bo zewsząd rozległy się gromkie brawa. Nasze małżeństwo zostało zawarte.

Gdy wyszliśmy z kościoła, słońce już tak nie paliło, a powietrze było czyste, rześkie, pachniało ozonem. Poczułam napływ świeżej energii. Byłam przekonana, że od teraz będzie mnie spotykać wszystko, co najlepsze. Goście, ustawieni w długiej kolejce, składali nam życzenia, a ja mimowolnie zerkałam w niebo w poszukiwaniu tęczy. Ale magicznego mostu wiodącego wprost do cudownej krainy baśni, w który wierzyłam, będąc dzieckiem, nie było.

Zaraz po przyjeździe do hotelowej restauracji powitano nas z wielką pompą chlebem i solą. W sumie wszystko szło świetnie. Cieszyłam się obecnością rodziny – bliższej i dalszej – i możliwością poznania krewnych Marcela. Lokal był naprawdę elegancki, nienaganna obsługa co chwila podawała smakowite, wyszukane dania. Rozbawieni i szczęśliwi tańczyliśmy do utraty tchu. Przymknęłam oko na to, że Iwona przyszła ubrana na biało – „na rusałkę”, jak to określiła. Na szczęście nikomu nie udało się przebić mojej paryskiej sukni.

Jazda zaczęła się po deserach, kiedy podano mocniejsze alkohole. Benek wyszedł na środek parkietu – bez marynarki, w rozpiętej koszuli, z mikrofonem w ręce – i bełkotliwym głosem zaczął zapraszać wszystkich do swojego gabinetu i demonstrować użębienie na dowód, że zna się na rzeczy. Zapomniał niestety, że przed chwilą jadł lody jagodowe i w szczelinach między zębami wciąż miał fioletowe drobinki owoców. Z bordową, błyszczącą twarzą i zabarwionym użębieniem przypominał filmowego Draculę. Marcel delikatnie, ale stanowczo zaprowadził go na miejsce. Benek opadł na fotel, po czym zgarnął ze stołu ledwo napoczętą butelkę francuskiego koniaku i wsunął ją do torebki Iwony.

Następnie popis dał zbliżający się do siedemdziesiątki stryjek. Chwiejąc się, siłą zaciągnął na parkiet młodzietką kelnerkę i niczym lew parkietu zaczął ją okręcać wokół siebie. Niestety, nie utrzymał równowagi, potknął się i przewrócił razem z partnerką, przyduszając ją swoim ciężarem. Rzuciliśmy się na pomoc – biedna dziewczyna wstała, rozmasowując kość ogonową.

Przed północą, kiedy zwoływaliśmy wszystkich gości na oczepiny, część z nich, w daleko posuniętym stanie nieważkości, spała na skórzanych kanapach w hotelowym holu, a Benek, podtrzymywany przez mojego tatę, wymiotował wprost do eleganckiej, błyszczącej popielnicy. Obiecałam sobie jednak, że nic nie zburzy mojego szczęścia, bo miałam przy sobie faceta, na którego czekałam przez trzydzieści jeden lat.

Tuż nad ranem cygańskie trio, które poza dwoma innymi zespołami zapewniało oprawę muzyczną naszej uroczystości, zaśpiewało ostatnią piosenkę tej nocy, a my, przytuleni do siebie, kołysząc się w jej rytm, cichutko nuciliśmy:

Nie świętuj, gdy piękny sen staje się jawą,

Bo przyszłość może okazać się łzawa,

Uludy, fantazje odrzuć w kąt,

Wróć z nieba na ziemię, bo zrobisz życiowy błąd.

Bładym świtem goście udali się do opłaconych przez nas pokoi. Większość pań, by dać ulgę zmęczonym nogom, szła boso, trzymając w rękach szpilki. Panowie dzierżyli drinki w wysokich szklankach, w razie gdyby zaschło im w gardle.

Ja i Marcel podeszliśmy do romskiego tercetu, by im podziękować. Cyganka – ta sama, która podczas zaręczyn chciała mi wróżyć – znów unikała mojego wzroku, skupiając się na zwijaniu długich kabli aparatury nagłaśniającej. Wzruszyłam ramionami i mocniej wsparłam się na silnym ramieniu mojego męża.

W apartamencie dla nowożeńców, wyposażonym w wielkie, wygodne łóżce, zaślane białą atlasową pościelą i obsypane płatkami szkarłatnych róż, nie zmrużyliśmy oka. Napawaliśmy się swoją bliskością, popijając zmrożonego szampana i zagryzając truskawkami oblanymi mleczną czekoladą.

Przed dziewiątą, kiedy wszyscy jeszcze spali, regenerując siły przed wznowieniem zabawy – już bez naszego udziału – taksówką pojechaliśmy na lotnisko, by po prawie pięciu godzinach lotu, z międzylądowaniem w Wiedniu, wylądować w Odessie.

Zaopatrzona w specjalny kapok, pływałam w odeskim basenie w towarzystwie dwóch delfinów, które popisywały się swoimi zdolnościami akrobatycznymi, wyskakując ponad powierzchnię wody i kręcąc piruety na podobieństwo primabaleriny. Zdarzało się, że któryś delikatnie mnie musnął –

wtedy wpatrywał się we mnie brązowymi, pełnymi empatii oczami, jakby upewniał się, czy wszystko w porządku. Byłam spokojna i szczęśliwa. Mój pobyt w delfinarium to oczywiście sprawka Marcela. Wykupił mi półgodzinne seanse na dziesięć kolejnych dni. Swoimi sposobami załatwił, że basen i delfiny były tylko dla mnie. I trafił w dziesiątkę. „Delfiny są niezwykle, przekonasz się. To inteligentne, towarzyskie i wrażliwe ssaki. Mają zbawienny wpływ na system nerwowy. Pływałem z nimi już szereg razy. Teraz kolej na ciebie. Musisz odpocząć po tym, co było, i nabrać sił przed tym, co będzie”, argumentował, gdy w restauracji na bulwarze w otoczeniu gości z Niemiec i Rosji zajadaliśmy się ukraińskim żurkiem z chrzanem. Polaków jak na lekarstwo. Jedni się boją, drudzy preferują inne kierunki, gdzie za mniejsze pieniądze otrzymują wyższy standard.

Miał rację. Pływanie z delfinami było niezwykłym przeżyciem, które pozwoliło mi się odciąć od traumatycznych doświadczeń związanych z pracą i z wydarzeniami na weselu.

– Jestem szczęśliwa – powiedziałam do Marcela, robiącego mi sesję zdjęciową. Opierałam się przedramionami o kamienne obrzeże basenu, a delfiny muskały moją twarz mokrymi, delikatnymi nosami.

– To ja jestem szczęśliwy, że mogłem ci dać to szczęście. – Śmiejąc się, pstrykał kolejne zdjęcia, chcąc zachować te niepowtarzalne chwile.

Dni naszej podróży poślubnej mijały miło i nieubłaganie szybko. Dwa tygodnie to stanowczo za mało na Krym, chociaż wystarczyło, bym poznała cyrylicę. W hotelu, owszem, znali angielski, ale w mniejszych, kameralnych knajpkach, które uwielbialiśmy, gdyby nie Marcel, musiałabym wybierać posiłki na chybił trafił. Tak jak pewne wygłodzone całodziennym zwiedzaniem młode niemieckie małżeństwo. W porze obiadu wszyscy raczyli się ukraińskimi specjałami, a oni patrzyli niewidzącym wzrokiem w kartę dań. W końcu zdesperowany chłopak wskazał palcem jakąś potrawę. Niezłe znam niemiecki, więc jednym uchem przysłuchiwałam się rozmowie. Chłopak miał nadzieję, że przyniosą im karkówkę w sosie grzybowym, a dziewczyna, której od piekącego słońca płatami schodziła z nosa skóra – że zje rybę, najlepiej pstrąga w migdałach albo halibuta z koperkiem. Młody ciemnowłosy kelner w błękitnej koszuli zjawił się dosłownie za chwilę, postawił przed nimi dwa pucharki – w każdym po trzy gałki kolorowych lodów z polewą i owocami – przygryzł wargi, żeby nie parsknąć śmiechem, i już go nie było. Musieliśmy wkroczyć do akcji. Zaprosiliśmy ich do naszego stolika, zamówiliśmy porządne obiadowe dania, a na popitkę potem kwas chlebowy. Spędziliśmy z nimi kilka miłych godzin.

Nie zwiedzaliśmy zbyt dużo, wychodząc z założenia, że czas spędzony razem jest bezcenny, a wszystkie oblegane przez turystów zabytki przyjedziemy obejrzeć na pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Wtedy będziemy podążali za przewodnikiem, podziwiali i słuchali historycznych ciekawostek. Teraz jednak

woleliśmy siebie i niespieszne spacerować po urokliwych uliczkach, ocienionych pachnącymi kasztanowcami i akacjami. Podziwialiśmy białe domy oplecione pnąciami winorośli, kolorowe secesyjne kamienice, z pięknymi, kutymi w żelazie misternymi balkonikami i rezydencje dawnej arystokracji, zdobione płaskorzeźbami. Pod wieczór spacerowaliśmy na bosaka brzegiem Morza Czarnego, podziwiając cudowne zachody słońca, wdychając zapach morskiej piany, mokrego piasku i wodorostów. Ubrana w jedwabną sukienkę i kapelusz, wyobrażałam sobie, że podążam tą samą trasą, którą przed laty spacerowali Puszczyński, Słowacki, Mendelejew czy Mickiewicz.

W przeddzień wyjazdu przechadzaliśmy się deptakiem, zaglądając do galerii i sklepików w poszukiwaniu upominków dla rodziny. Pomna prezentów otrzymanych w wigilijny wieczór i obietnicy, że odpłacę im pięknym za nadobne, mogłam w odwecie odwdziżyć się co najwyżej małymi torebkami cukru niewykorzystanego w hotelowej kawiarni albo gratisowymi hotelowymi mydełkami o zapachu róży, ale nie miałam sumienia. Skończyło się na zakupie kilku butelek szampana i nalewki żurawinowej, sznurów autorskiej biżuterii z naturalnych kamieni, grafiki z panoramą Jaskółczego Gniazda, akwareli z widokiem opery w Odessie i egzotycznych przypraw, zapakowanych w ozdobne kartoniki.

W końcu, trochę zmęczeni, usiedliśmy przy stoliku ustawionym na zewnątrz kawiarni, na fotelach z giętego drewna, z wygodnymi poduchami, by dodać sobie energii gorącą czekoladą i miodowym ciastem polanym waniliowo-wiśniowym syropem. Było tak pysznie i miło, że nie chciało mi się wstawać. Jakby tego było mało, tuż obok stanął przysadzisty, ładnie umięśniony chłopak, ubrany na ludowo – w czarne spodnie i białą bluzę, haftowaną w czerwone kwiaty – i zaczął brzdękać na mandolinie znane ukraińskie standardy. Upewniłam się, że w filiżance nie ma już ani łyka czekoladowej słodkości, a na talerzu ani okruszka ciasta, gdy kątem oka dostrzegłam, że goście po naszej prawej stronie delectują się torcikiem orzechowym, zdobionym bitą śmietaną. Byłam już nieprzyzwoicie przesłodzona, ale Marcel dostrzegł moje tęskne spojrzenie i ze śmiechem przywołał kelnera, czekającego na każde skinienie. Gdy za momencik mieliśmy na talerzykach swoje porcje tortu, instynktownie dotknęłam brzucha. Czyżby wałeczek? Oczywiście namacalny efekt zajadania się specjałami przywożonymi przez Marcela z najróżniejszych zakątków świata i kosztowania bez umiaru ukraińskich specjałów. Mój gest nie uszedł uwadze Marcela.

– Czyżby już? – zapytał, udając zaskoczenie i bezceremonialnie wskazując na mój brzuch.

– Tak, już. Już utuczyłeś mnie na tyle, że tylko jakaś dieta cud jest w stanie mnie uratować – odpowiedziałam, udając wściekłość.

– Ach, więc nie o to chodzi... – powiedział zawiedziony, a ja momentalnie

się zreflektowałam, co ma na myśli.

– Marcel, nie wywieraj na mnie presji. Kto jak kto, ale ja wiem, co to jest antykoncepcja, chociaż, jak się okazuje, w dwudziestym pierwszym wieku nadal są osoby, które spały na lekcjach biologii w podstawówce i teraz ponoszą tego konsekwencje. Nasze dziećko będzie zaplanowane. Na razie mamy inne rzeczy na głowie. Musimy wybudować dom, urządzić się, a potem przyjdzie pora. Zresztą nie masz się o co zamartwiać – ciągnęłam sarkastycznie. – Twoje geny przetrwają. Już o to zadbałeś. Taki jesteś przezorny, widzisz. Swoje dla ludzkości już zrobiłeś, a ja...

– Dobrze, Blanka... – Spoważniał. Jego oczy były teraz jak fale Morza Czarnego po zachodzie słońca. – Skończmy. Nie mam zamiaru po raz setny tego wysłuchiwać. Umówmy się, że to ty zdecydujesz, czy i kiedy będziemy mieli dziecko. A to, co się stało, już się nie odstanie. – Zezłoszczony wstał od stolika.

Szliśmy w milczeniu nieznanymi mi uliczkami. Tak oto skończyła się nasza pierwsza małżeńska sprzeczka. Zastanawiałam się, kto pierwszy wyciągnie rękę na zgodę. Fakt – sama zaczęłam, bo choć staram się wypierać ze świadomości ten fakt, raz po raz mi się przypomina, że za dwa miesiące mój mąż zostanie tatą.

Trzymaliśmy dystans jak dwoje wrogo nastawionych do siebie ludzi. Ja, z głową zwróconą w prawo, pozorowałam zainteresowanie barwnymi witrynami sklepów, on robił to samo, tyle że z głową odwróconą w przeciwnym kierunku. W końcu nie wytrzymałam. Musnęłam jego dłoń, a on natychmiast chwycił mnie za rękę. Udawaliśmy, że nic się nie stało, ale gdzieś w zakamarki mojej duszy wgryzało się przeczucie, że już za kilka tygodni wszystko się zmieni.

Dzień po powrocie z podróży poślubnej siedzieliśmy przy stole na zadaszonym tarasie naszego wynajmowanego apartamentu, ubrani tylko w szlafroki. Ewentualni podpatrywacze nie mieli szans na atrakcje, bo od sąsiadów oddzielały nas ścianki gęsto oplecione kwitącymi pnączami wiciokrzewu i fioletowej wisterii. Wokół nas stało kilka donic z pachnącą lawendą i goździkami pierzastymi. Dochodziło południe, ale wstaliśmy dopiero przed jedenastą. Zaserwowałam pierwsze śniadanie w naszym apartamencie. Zadałam sobie sporo trudu, wykrawając z kromek chleba tostowego serca i przygotowując na nich gorące kanapki. Marcel bawił się, rysując wokół nich obwódki z krwistoczerwonego keczupu. Nazajutrz leciał na tydzień do Moskwy, a ja zastanawiałam się, jak zapelnę czas podczas jego nieobecności. Spece od przeprowadzek zdążyli już przywieźć nasze rzeczy. Niewiele było nam potrzeba, zaledwie ubrania, książki, kosmetyki, a w moim przypadku jeszcze nieco porcelany. Resztę bez żalu zostawiłam. Podobnie jak sąsiadów i cały obrzydły blok.

– Marcel, co zrobimy z moim mieszkaniem? Masz jakiś pomysł? – zapytałam, przegryzając chrupiącą grzanekę.

– Wysadzimy w powietrze. Tak, jak pewien gość chciał potraktować budynek sejmu – odparował, śmiejąc się do rozpuku.

– Wariat jesteś. Pytałam poważnie.

– Kochanie, zrobimy z twoim mieszkaniem to, co tylko uważasz za słuszne. Naprawdę. Przecież to twoje mieszkanie. A o finanse na budowę domu się nie martw. Są i nie musisz zwracać sobie tym głowy. – Popatrzyłam na niego przeciągle. Wciąż korciło mnie, żeby zapytać o stan jego konta, ale było mi niezręcznie.

– Tak sobie pomyślałam – podjęłam po chwili – że nie warto go sprzedawać. Mamy recesję rynkową, wartość mieszkania spadła o kilkanaście procent. Teraz jest dobry czas na kupno, a nie na sprzedaż. Więc może zaczekamy na lepsze czasy? Zresztą, jak robiłam śniadanie, to dzwoniła mama i opowiadała o Funflu, synu jej koleżanki, Monisi. Funfel ma dziewczynę i chce, by się do nich wprowadziła, a pani Monisia broni się rękami i nogami. Nie pasuje jej taki układ, poza tym marzy, by synalek wyfrunął z domu. Problem w tym, że Funfel nie ma kasy na kupno mieszkania, więc mogłabym im podnająć.

– Za kasę? – zapytał, podnosząc brew.

– A za co?

– Jeżeli nie mają kasy, to użycz im za friko. Niech się sobą nacieszą. – Puścił do mnie oko. – Tak samo jak my. Chociażby dzisiaj rano...

– A więc zrobiłbyś im prezent? Ty, bo ja jestem wyłącznie nieczynną zawodowo żoną swojego męża. Chcesz opłacać im czynsz?

– Przestań, Blanka, skupiasz się na szczegółach, a przecież to jakieś grosze. Zróbmy coś dla innych. Jak się dorobią, kupią własne cztery kąty, a potem sprzedasz ten swój apartament. Jeżeli zechcesz, oczywiście. W końcu recesja minie.

Miałam zamęt w głowie. Jakim cudem ten facet, łamiąc wszystkie podstawy racjonalnego i ekonomicznego myślenia, mógł się dorobić? Wszyscy znani mi ludzie, którzy postępowali w taki sposób, zostali już dawno zlicytowani. Żyłam w przekonaniu, że trzeba twardo stąpać po ziemi, a kapitał, również ten ulokowany w nieruchomościach, ma przynosić zyski. Jak można szastać na lewo i prawo uciętym groszem? Zachowuje się, jakby odziedziczył majątek, a nie zaczynał od lichwiarskiej pożyczki. Cholera, czy mój mąż jest ewenementem wśród przedsiębiorców? Wyjątkiem potwierdzającym regułę? Czyżby rzeczywiście miał aż takiego niucha do interesów i zawsze trafiał w dziesiątkę?

– Posłuchaj, Funfel to pospolity nierób. Rozumiesz? Cierpiący na dość powszechną chorobę, zwaną alergią na pracę.

– I tacy są na świecie. W końcu może się zmobilizuje – stwierdził mój mąż

lekkim tonem, wystawiając twarz do słońca.

– Dobrze, niech ci będzie – zgodziłam się, aczkolwiek niechętnie, bo nie znoszę leni. Pani Monisia, gdy zostałam singielką, próbowała mnie wyswatać z Funflem, że niby taki przystojniak z niego nieziemski. Szkoda, że nie ma innych atutów. Zaharowywałam się w banku, żeby miał na popołudniowe piwko i mógł mydlić mi oczy, że w czasie, gdy ja byłam w pracy, on stał w pośredniaku w długiej kolejce. – Ale media będą płacić sami – zastrzegłam.

– Za gaz, na którym ugotują zupkę, i prąd, którym oświetlą tę wielką hacjendę? – ironizował. – Proszę, nie bądź drobiazgowa.

– Zgoda – westchnęłam. – Zadzwoń jutro do mamy. Ucieszy się. – W gruncie rzeczy nie miałam tu nic do gadania. To Marcel był finansowym filarem naszej rodziny.

– Właśnie, wywołanie uśmiechu na buzi twojej zawsze niezadowolonej mamusi jest warte każdych pieniędzy – odparł. – A tak z innej beczki, przyjrzałem się ostatnio twojej hondzie. Od strony kierowcy na całej długości ma jakieś dziwne przebarwienia lakieru. Poprzedni właściciel pewnie nieźle ją poharatał, a potem oddał w ręce domorosłego magika. – Czuję, że twarz mi płonie. Nie przyznałam się Marcelowi, że to pożegnalny prezent od moich, pożal się Boże, współpracowników. Aby jak najszybciej pozbyć się rysy, poszukałam lakiernika, który był w stanie wykonać zlecenie na cito. U innych były zbyt odległe terminy. Trudno się dziwić, robotę odwalił byle jak. – Zauważyłaś to? – zapytał.

– Tak – rzuciłam, udając wielkie zainteresowanie zakręcaniem keczupu.

– Możemy ją opchnąć i kupić ci coś przyzwoitego.

– Nie, tylko nie to! – sprzeciwiłam się kategorycznie. – Moja honda jest wprawdzie stara, ale superowa. Kupiłam ją od właściciela firmy tuningowej. Ma obniżone zawieszenie i mocne kopyto, trzyma się drogi jak przyklejona. Nie i koniec!

– Dobrze, już dobrze. – Marcel uniósł ręce, poddając się. – Widzę, że kobiety nie można uszczęśliwiać na siłę.

Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że decyzje podjęte podczas chrupania tostów w kształcie serduszka i popijania kawy ze śmietanką będą miały tak zbawienny wpływ na moje dalsze życie.

Nazajutrz Marcel wyjechał do Moskwy, a ja zaprosiłam na wieczór Julę, a także Magdę i Martę, koleżanki z czasów liceum, na coś w rodzaju babskiej parapetówki. Apartament wprawdzie wynajęty, ale co to szkodzi. Z Julą, wiadomo, traktowałyśmy się bardziej jak siostry i spotykałyśmy się w miarę regularnie, ale dla pozostałych dziewczyn rzadko miałam czas. Kiedyś w weekendy absorbował mnie Iwo, a także plany sprzedażowe, a w tygodniu wracałam do domu tak późno,

że gdy tylko coś zjadłam, przygotowałam ciuchy na następny dzień i wzięłam prysznic, od razu padałam do łóżka. Gryzły mnie wyrzuty sumienia, że to z mojej winy kontakty są tak sporadyczne. Poza tym, że odwiozłam Marcela na lotnisko, niewiele miałam do roboty. Wszystkie rzeczy przewiezione z naszych mieszkań były już poukładane – z wyjątkiem sterty kostiumów i kilkunastu białych koszul, leżącej na środku podłogi w garderobie. Coś trzeba z tym zrobić – jak znam moje przyjaciółki, to zajrzą w każdy kąt niczym psy stróżujące. Gdy układałam w garderobie rzeczy Marcela, część z nich, moim zdaniem niekompatybilnych z zielononiebieskimi oczami i jasnobrązowymi włosami, postanowiłam oddać do instytucji charytatywnej. Podobnie jak część moich ciuchów – nietrafionych, często kupionych w pośpiechu; niektóre miały jeszcze metki. Już miałam dorzucić do worka moje stroje służbowe, ale w ostatniej chwili przywołałam się do rzeczywistości. Po co garderoba bankierki jakiejś bezrobotnej, biednej kobiecie, samotnie wychowującej kilkoro dzieci i żyjącej na łasce opieki społecznej? Nie założy kostiumu, gdy trafi jej się fucha w postaci przedświątecznego mycia okien albo wypielenia ogródka. Usiadłam po turecku na podłodze i zaczęłam dumać. Miałam przed sobą nieodłącznych towarzyszy mojej zawodowej aktywności. Sięgnęłam po pierwszy zakiet, przybliżyłam do twarzy i powąchałam, ale zaraz odwróciłam głowę ze wstrętem, bo powróciły wspomnienia. Obrzydlistwo. Dotychczas wydawało mi się, że pachną, ale teraz miałam wrażenie, że cuchną klasycznymi, eleganckimi perfumami, których niezmiennie używałam przez wszystkie te lata. Ten zapach, który z założenia miał być dopełnieniem wizerunku osoby godnej zaufania, budzić respekt, szacunek i trzymać ludzi na dystans, już na zawsze będzie mi się kojarzył ze stresem. Zero zmysłowości, polotu i kokieterii. Odrzuciłam zakiet i otaksowałam stos ciuchów. Majątek ukryty w szmatkach, które już nigdy nie będą mi potrzebne. Same luksusowe marki, traktowałam je jako inwestycję w siebie. Szkoda wyrzucić, bez sensu przechowywać. Westchnęłam ciężko. Nie miałam czasu na dalsze dywagacje – musiałam przygotować przyjęcie.

Zgarnęłam ubrania i wcisnęłam je w najgłębszy kąt garderoby. I natychmiast o nich zapomniałam.

Siedziałyśmy w czwórkę w jadalni urządzonej w beżowo-złotej kolorystyce. Trochę kiczowato, jak u nowobogackich, którzy wprawdzie mają kasę, ale gustu jak na lekarstwo, pomyślałam, gdy po przeprowadzce uważniej przyjrzałam się temu wnętrzu. Jakbyśmy chcieli z Marcelem pokazać, na co nas stać. Ale cóż, to gust właścicielki, a nie mój, pocieszałam się. Na moich koleżankach jednak cały apartament zrobił piorunujące wrażenie. Każda z nich zdążyła już opowiedzieć, co się dzieje w jej życiu. Najpierw Jula, z oczami pełnymi łez, relacjonowała, jak wczoraj podczas dyżuru popłakała się w ubikacji, a potem pobiegła do szpitalnego

kiosku po paczuszkę tamponów. Po kolei wstawaliśmy, by ją przytulić i pocieszyć. Marta, farmaceutka i singielka, narzekała, że nie ma gdzie poznać normalnego, zdrowego faceta. Całe jej życie to apteka – z wyłącznie żeńskim personelem – a klienci, wzdychała ciężko, na pierwszy rzut oka niby facet jak marzenie, ale gdy spojrzy na receptę, wszystko ma jak na dłoni. Traci zainteresowanie w przypadku przewlekłego zapalenia gruczołu sterczowego, w pełni świadoma działań ubocznych zażywania przepisanych tabletek, czyli prawie zerowej ochoty na bara-bara. Albo taka wczesna andropauza – związana z niskim poziomem testosteronu, czyli męskiego hormonu płodności – ona też oznacza potencjalnie wysokie kłopoty z bara-bara. A maść na opryszczkę narządów płciowych? Przecież taki facet podczas bara-bara może zarazić! Każda z nas wiedziała, że Marta koloryzuje, by rozpedzić smutek po wysłuchaniu historii Juli. I udało jej się. Komponowałyśmy kolorowe drinki i co chwila wybuchałyśmy tak głośnym śmiechem, że żyrandol nad naszymi głowami pobrzękiwał złotymi detalami. Potem swoją historię opowiedziała Magda, pracująca jako kustosz w muzeum silników spalinowych. Wyszła za mąż zaraz po studiach i od tego czasu wraz z mężem, pracującym z nią na stanowisku przewodnika wycieczek, ciułała każdy grosz. Dopiero co udało im się łączyć na dwupokojowe mieszkanie, posiłkując się kredytem na lat trzydzieści. Z ulgą wyprowadzili się od teściów i bardzo intensywnie oddają się swobodnemu bara-bara, żeby powiększyć rodzinę. Ale to nie był temat wiodący jej opowieści. Tematem wiodącym była teściowa Magdy.

– Mieszkamy na swoim już dwa tygodnie, a ja pewnej nocy budzę się z krzykiem, bo śni mi się koszmar, że wprowadzamy się z powrotem. Ojej! – wykrzykiwała, a my śmiałyśmy się do rozpuku, bo tak naprawdę wszystkie wiedziałyśmy, że matka Henia to całkiem fajna i zgodna kobitka, która zresztą sama odetchnęła z ulgą, gdy Madzia się od niej wyprowadziła.

W końcu przyszła kolej na mnie.

– Nadawaj, Blanka. Jak jest? – ponaglała Marta z wypiekami na twarzy. Z podekscytowania wierciła się, jakby cierpiała na nadpobudliwość ruchową.

– Jak jest? – Zamyśliłam się, szukając odpowiednich słów. – Już wiem! – Zadowolona klasnęłam w dłonie. – Jest tak, jakby ktoś ze starego kufra wyciągnął zakurzoną, szaroburą kolorowankę, a potem za pomocą soczystych kredek nadał jej nowy, cudowny wygląd.

– Wow! – zawołały prawie równocześnie. Wszystkie wpatrywały się we mnie z zachwytem. Wiedziałam, że dobrze mi życzą. Oczka miały już bardzo szkliste. Kończyłyśmy czwartą butelkę wina. Na szczęście zdążyłam przygotować kilka rodzajów zakąsek, żeby stworzyć w organizmie barierę przeciwko błyskawicznemu upiciu. Pobawiłam się w kuchni jak nigdy, bo czasu wolnego miałam aż nadto, więc zagryzałyśmy wino krążkami cebulowymi w cieście piwnym, pasztecikami z nadzieniem bakłażanowym, roladkami z ciasta

francuskiego ze szpinakiem, pomidorkami koktajlowymi zapiekanyymi z parmezanem i bagietką z czosnkowym masłem.

– No przestańcie! – Zamachałam im przed twarzami, żeby sprowadzić je na ziemię. Głupio mi się zrobiło, że użyłam tak górnolotnych słów. Jeszcze sobie pomyślałam, że mi odbiło i zrobiłam się pusta. Jula napełniała kieliszki, a w tym czasie Martusia chwyciła mnie za rękę.

– Pokaż, pokaż! Jeszcze nie widziałam z bliska twojej obrączki! – Mogłabym pomyśleć, że zzieleniała z zachwytu, ale wolę przyjąć, że raczej zaczęła przekraczać dawkę progową alkoholu w organizmie. – Zdążyliśmy już pooddychać twoim powietrzem – powiodła wzrokiem po salonie – a teraz daj mi przymierzyć to cacko.

Zawahałam się. Wprawdzie obiecaliśmy sobie z Marcelem, że raz założonych obrączek nie zdejmujemy do końca życia, ale z drugiej strony to przecież moja przyjaciółka. W dodatku singielka. Niech się nacieszy. Nie zważając na piorunujące spojrzenie Juli, która wierzy we wszystkie przesady ślubne, łącznie z tym, że dawanie komukolwiek obrączek do przymierzenia przynosi nieszczęście, zsunęłam ją z serdecznego palca lewej ręki...

Zbudziłam się z potwornym kacem rozsadzającym głowę. Nie otwierając oczu, namacałam na szafce nocnej komórkę. Uchyliłam powiekę i spojrzałam na wyświetlacz. Dochodziła dziesiąta. Powierciłam się trochę, szukając dogodnej pozycji, by powoli dojść do siebie. Wróciły wspomnienia poprzedniego, babskiego wieczoru. Wszystkie byłyśmy już nieźle podcięte. Na koniec żadnej nie chciało się pójść po lód i soki do drinków, więc doprawiliśmy się ciepłą, czystą wódką. Jak to dobrze, że jest weekend i nie trzeba iść do pracy, przyszło mi do głowy, ale zaraz doszło do mnie, że myślę starymi, nieaktualnymi schematami, bo po pierwsze, był wtorek, a po drugie, nie pracuję – jestem jedną z tych szczęściar, które mogą sobie na to pozwolić, które nie muszą oszczędzać i spowiadać się małżonkowi z każdego wydanego grosza.

Kilka dni temu, gdy siedzieliśmy z Marcelem na tarasie, popijając popołudniową kawę, w pewnym momencie on pacnął się w czoło, jakby przypomniał sobie coś ważnego.

– Blanka, byłbym zapomniał! Musimy załatwić sprawy w banku.

Zjeżyłam się. Powoli odłożyłam filizankę na spodek, starając się jej nie upuścić, bo czułam, jak z nerwów zaczynam się trząść. Sprawy bankowe skojarzyły mi się jednoznacznie, czyli z wzięciem małżeńskiego kredytu. Błogi nastrój niezmaconego leniwego popołudnia we dwoje prysnął jak bańka mydlana. Wyprostowałam się na fotelu, przyjmując dobrze mi znaną, służbową pozę, i popatrzyłam chłodno na mojego męża.

– Marcel – zaczęłam wkurzona i zerwałam się z krzesła – nie przypuszczałam, że jesteś jednym z tych facetów żyjących ponad stan i szastających kasą na lewo i prawo, a tak naprawdę wożących się na kredytach. Znam takich biznesmenów z bożej łaski aż za dobrze. Drogie bryczki, luksusowa biżuteria, spełnianie wszystkich zachcianek, bo nie ma się dość silnej woli, żeby sobie czegoś odmówić, a tak naprawdę na koncie zionie czarna dziura. Jeden kredyt goni drugi i tym sposobem zaciskają sobie stryczek na szyi. Czy wynajęcie tak potwornie drogiego apartamentu, nawet bez zadania sobie trudu negocjacji czynszu, tylko po to, by zrobić popis przede mną i przed właścicielką, było mądre? Ech, dopiero teraz przejrzałam na oczy... Przecież ty nie masz nawet własnej kawalerki. Cały czas mieszkałeś w wynajętym mieszkanku. Owszem, masz infiniti, ale głowę daję, że w leasingu albo kredycie i... – Zamilkłam, bo kontynuowanie lamentu przypominało rzucanie grochem o ścianę. Marcel nic sobie z tego nie robił.

Sięgając po kolejne orzechowe ciasteczko, patrzył na mnie drwiąco. Potem spokojnie, z uśmiezkiem zabłąkanym pod nosem, odezwał się:

– Blanka, jestem pełen podziwu dla twojej kobiecej intuicji. Naprawdę. Ale lepiej nie szastaj głową na lewo i na prawo, bo nie jesteś smoczyką, a tylko smoczycom w bajkach wyrasta nowa. Dzielny rycerz jednym machnięciem miecza robi ciach – przeciął powietrze energicznym ruchem – i głowy nie ma, a za chwilę wyrasta nowa. Pierwsze słyszę, żeby ta reguła dotyczyła również kobiet. A teraz dopij kawkę i pojedziemy do banku. Muszę upoważnić cię do kont i wyrobić ci ten mały plastikowy kartonik w kolorze złota, albo najlepiej platyny, o nazwie Visa albo MasterCard. Wybór zostawiam tobie. No, kochanie – wstał i przeciągnął się – załatwimy to i będzie z głowy. Z głowy – powtórzył ze śmiechem – a nie bez głowy. Wiem, że masz głęboką awersję do banków, ale pójdziesz tam ze mną tylko ten jeden, jedyny raz i już więcej nie będziesz musiała tego robić. Przrzekam.

Poczułam się jak idiotka. Trafił mi się najbardziej troskliwy, przystojny, nadziany i zakochany facet na świecie, a ja jak zawsze dopatrywałam się drugiego dna, zamiast po prostu bezgranicznie mu zaufać. W tym momencie postanowiłam nie szukać na siłę problemów i po prostu żyć, wsparta na mocnym ramieniu Marcela.

Godzinę później stanęłam przed nowoczesnym biurowcem banku konkurującego z Elitumluxem. Infiniti zaparkowaliśmy w podziemnym garażu na miejscu przeznaczonym dla właścicieli platynowych kart. „Moja karta świadczy o mnie, moim prestiżu i stanie konta”, „Platyna to najwyższa półka” – codziennie w salach transakcyjnych wciska się takie bujdy klientom. Ale tak patrzą tylko snobi, bo przecież karta jak karta, tyle że opakowanie ładniejsze. Po co komu pakiet bonusów, które i tak są niepotrzebne i nigdy z nich nie skorzysta?

Rozsunęły się przed nami automatyczne przeszklone drzwi, a ja zebrałam

wszystkie siły, żeby wejść do środka. Lata pracy w Elitumluxie, gdzie musiałam manipulować klientami i często działać wbrew własnemu sumieniu, zrobiły swoje. Miałam silną niechęć do tych instytucji. Czułam, że po plecach przechodzą mnie ciarki. Tylko raz, jeszcze ten jeden raz, powtarzałam sobie w duchu i już miałam przekroczyć próg, gdy Marcel ujął mnie pod łokieć i poprowadził w stronę bocznego wejścia. „Tylko dla VIP-ów”, głosił dyskretny napis w kolorze złota.

Ochroniarz, stojący jak posąg – z założonymi ramionami, na widok Marcela się rozpromienił, usłużnie skłonił, a potem poprowadził nas do pomieszczenia, które z powodzeniem mogło udawać salonik dla gości w ekskluzywnym domu. W przeciwieństwie do wystroju biurowca urządzonego był w stylu barokowym. Na środku ustawiono stół z błyszczącym blatem, wokół kilka tapicerowanych foteli na giętych nogach, a pod ścianą – witrynę z bogatymi ażurowymi rzeźbami. Jedynymi nowoczesnymi elementami były laptop, drukarka i przybornik na pióra i długopisy.

Marcel podsunął mi fotel, a sam usiadł obok. Nie zdążyliśmy nic powiedzieć, bo w progu stanęła dziewczyna, na moje oko przed trzydziestką, ubrana w czarny kostium ze spódnicą ciut przed kolanko i białą koszulę. Zgodnie z biznesowym dress code'em miała dyskretny makijaż, a brązowe włosy ciasno i gładko upięte z tyłu głowy.

– Dzień dobry. – Wyraźnie onieśmielona moją obecnością, spojrzała pytająco na Marcela.

– To moja żona, przed miesiącem poślubiona – zażartował, a ona gwałtownie spąsowiała. W jej wzroku zauważyłam przelotny błysk nienawiści.

– Gratuluję. Dla pana, panie Marcelu, jak zwykle sok grejpfrutowy, a dla pani? – zapytała, siląc się na swobodę. Marcel niczego nie zauważył, ale ja czułam, że trudno jej trzymać nerwy na wodzy. Właśnie straciła ostatnią nadzieję.

– A ja dziękuję – odpowiedziałam.

– To ja też dziękuję – powiedział mój mąż. – Załatwimy, co trzeba, i zmykamy.

Kobieta zacisnęła usta i usiadła naprzeciwko nas. Zbyt nisko pochylona nad klawiaturą, zaczęła przepisywać moje dane z dowodu osobistego do systemu. W pewnym momencie miałam wrażenie, że broda jej zadrżała. Trudno, pomyślałam, dzisiaj i przez następne dni będziesz chodzić jak struta, może nawet sobie popłaczesz, ale to twój problem i sama musisz mu zaradzić. By zająć myśli czymś innym, rozejrzałam się po pokoju. Znałam od podszewki te marketingowe sztuczki z Elitumluxu. Tam też wiele oddziałów wyposażono w specjalne pomieszczenia dla VIP-ów. Pełna dyskrecja, ręcznie robione meble, klimatyzacja, puszysty dywan, doskonałe wyciszenie, stylizowane oświetlenie, kwiaty w doniczkach. Po prostu enklawa luksusu w gwarnym, chłodnym biurowcu. Do tego osobisty doradca inwestycyjny, kawa, herbata, soki do woli. Uczucie, że

jest się ponadprzeciętnym, a już na pewno lepszym od patentów stojących w kolejkach przed okienkami. Ale jeśli się przyjrzeć temu chłodnym okiem byłego bankiera, gra jest niewarta świeczki, bo taki zwykły śmiertelnik zwany VIP-em i tak słono za to wszystko płaci. To wyłącznie bufonada. A ta dziewczyna? Ma być osobistym doradcą inwestycyjnym Marcela? Kpiny! W każdym momencie mogłabym jej udowodnić, że nie jest żadną ekspertką i na inwestycjach zna się jak kot na pomarańczach.

Jeszcze w aucie, gdy jechaliśmy do banku, zaproponowałam Marcelowi, że sama poprowadzę mu sprawy bankowe i firmową księgowość. Zapewniałam, że zrobię to, jak należy. Wybiorę najlepszą formę rozliczania się ze skarbowką, prześwietlę oferty wszystkich banków – oczywiście poza Elitumluxem, bo nie chcę mieć z nimi do czynienia. Wiem, gdzie wyniuchać dodatkowe, ukryte dla niewtajemniczonych opłaty i wszelkie prowizje. Opracuję strategię inwestowania, która przyniesie wymierne korzyści. Ale on tylko machnął ręką i powiedział: „Kochanie, daj spokój. Po co ci stesy? Gra nie jest warta świeczki, bo kokosów i tak nie zaoszczędzisz. Wszystko hulało, hula i hulać będzie. O nic się nie martw. Jesteś supermądra i przebojowa, i bardzo kochana, ale to facet ma dbać o byt i zaspokajać zachcianki finansowe żony. I nie tylko te finansowe”, znacząco do mnie mrugnął i dodał: „A jeśli masz za dużo wolnego czasu, to może pora, żebyś zaczęła szukać działki pod budowę naszego domu i nawiązała kontakt z architektem, który go zaprojektuje na naszą miarę. Możesz też zająć się wolontariatem albo podjąć decyzję o połączeniu naszych genów. Jeśli ci przyjdzie ochota, możesz nawet robić mi awantury, że kasy na koncicie za mało. Ale trzymaj się z daleka od moich interesów”.

Kilka dni później, kiedy Marcel pojechał do urzędu celnego załatwiać jakieś swoje sprawy, siedziałam przed laptopem i szukałam inspiracji do wolontariatu. Rzeczywiście, wcześniej marzyłam o tym, żeby nic nie robić, porządnie się wyspać, siedzieć w domu, ale ta sytuacja zaczęła mi doskwierać. U kosmetyczki byłam przed tygodniem. Wystarczy. Włosy nie wołały o podcięcie, modelowanie czy farbowanie. Apartament był posprzątanym, obiad czekał w lodówce od wczoraj, bo Marcel wrócił tak bardzo zmęczony, że nie miał siły na nic. Zrzucił spodnie na środku przedpokoju i nawet nie przebrał się w piżamę, tylko pocałował mnie na dobranoc i poszedł spać. Nie miałam ochoty jeść sama, położyłam się więc na kanapie i włączyłam kablówkę. Niestety, wszystkie filmy już dawno obejrzałam – ciągle to samo, te same twarze. Nawet na kanałach przyrodniczych powtarzali reportaże o ryzyku wyginięcia amerykańskich bizonów preriowych i o behawioralnych dewiacjach ary hiacyntowej. Czytanie babskich gazet – z artykułami i radami powielanymi bez końca – też zaczęło mnie nużyć. Bo ileż

można czytać o depilowaniu okolic bikini przed wyjściem na plażę albo o dwudziestu dwóch przepisach na pyszną domową kartoflankę? Czułam się jak na zbyt długim urlopie i podejrzewałam, że grozi mi psychiczny marazm.

Wyszukałam kilka działek pod budowę domu i przygotowałam architektowi listę naszych oczekiwań, ale chciałam je skonsultować z Marcelem. Tkwiłam więc w martwym punkcie. Wiedziałam, że w najbliższym tygodniu nie ruszę z niczym, bo wyjeżdża do Taszkientu uruchomić sprzedaną tam linię do produkcji mleka w proszku. Nawet z kupnem psa musiałam poczekać do przeprowadzki, bo właścicielka apartamentu nie akceptuje zwierząt – za to, niestety, uwielbia dzieci. Swoją drogą, byłam przekonana, że raz na zawsze będę miała spokój z dziecięcymi spazmami na klatce schodowej, ale przed kilkoma dniami dotychczas pusty apartament obok naszego zajęło małżeństwo po czterdziestce z długo wyczekiwany szczęściem w postaci bliźniaków. Przyszli się przedstawić. Każde z nich z dumą trzymało w objęciach kilkumiesięczne bobo, ubrane na różowo. Wypadało mi poudawać zachwyt, więc zaproponowałam im kawę, na co chętnie przystali. Już mieli siadać, gdy coś zacuchnęło. Facet z nadzieją przybliżył nos do niemowlęcej pupy i radośnie krzyknął: „Wreszcie!”. Potem mnie przepaszali, że nie mogą skorzystać z poczęstunku, ale trafiło się wielkie wydarzenie w postaci kupy, na którą czekali od dwóch dni. Od momentu, kiedy się wprowadzili, unikałam wychodzenia na taras, bo przyjęli zwyczaj przesiadywania na swoim – oczywiście z potomstwem. Dochodziły stamtąd albo spazmy, albo idiotyczne piosenki śpiewane solo lub w duecie, mające na celu uciszyć niemowlęta. Zadanie praktycznie niewykonalne w przypadku bliźniaków, bo wyło albo jedno, albo drugie, albo oboje naraz.

Wróciłam do przeglądania stron z ofertami dla wolontariuszy z najbliższej okolicy. „Świetlica środowiskowa Berbec szuka wolontariuszy do organizacji pląsów i gier zręcznościowych”. Westchnęłam i przeszłam do kolejnych anonsów. „Fundacja Kwestia Natury nawiąże kontakt z wolontariuszami chcącymi zbierać podpisy przeciwko metodzie in vitro”; „Dom Małego Dziecka Cudeńko oczekuje na wolontariuszy chcących pomagać naszym podopiecznym z wysokim poziomem stresu”. Dzieci, wszędzie czyjeś dzieci, zdenerwowałam się. Czy naprawdę cały świat się kręci wokół nich? Miałabym przy nich skakać? Zachwycać się ładnie zjedzonym budyniem na podwieczorek? Albo nabazgroloną chatką na karteczkę? Albo pierwszym zrobionym do nocnika siusiu? Albo trzymając je za ręce, kręcić się w kółko i śpiewać o misiu pysiu? Nie, to nie dla mnie. Wystarczy, że w lipcu mój mąż zostanie tatą. Wprawdzie temat, zgodnie z umową, nie jest poruszany, ale codziennie dzieje się jakieś niewypowiedziane „coś”, co mi o tym przypomina. Na przykład ostatnio – na niedzielny wieczór zaplanowaliśmy pójście do kina, ale byliśmy tak rozleniwieni, że skończyło się na domowym seansie. Podzieliliśmy się pracą. Marcel miał wyszukać coś fajnego z klasyki kinematografii, a ja

przygotować coś pysznego i niezdrowego. Obiecaliśmy udawać, że jesteśmy na pierwszej randce. Ekspresowo uprażyłam w garnku maślano-karmelowy popcorn. Założyłam białą minisukienkę w żółte grochy, rozkloszowaną od pasa, z żółtą haleczką z tiulu. Przewiązałam się złotą szarfą, a podkrecone na lokówce włosy lekko utapirowałam i spryskałam lakierem. Wyglądałam jak w hollywoodzkiej produkcji z lat pięćdziesiątych. Pękając z dumy, stanęłam przed moim mężem okupującym kanapę i przyjęłam pozę jak w czarno-białych reklamach. Przed sobą trzymałam dużą miche pachnącej, jeszcze ciepłej prażonej kukurydzy.

– I jak? – zapytałam.

Siedział wygodnie ze szklanką piwa w dłoni i pożądliwie taksował mnie wzrokiem.

– Mniam, Blanuś... Jesteś tak apetyczna, że gdybym był kanibalem, bez zastanowienia bym cię schrupał. Chodź, kochanie – wyciągnął do mnie ręce – żołądek zadowolę tym, co tak bajecznie pachnie, a zmysły tobą. – Postawiłam miskę na stoliku i usiadłam tak blisko niego, jak tylko to było możliwe. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem szczęśliwy, że cię mam, że zgodziłaś się zostać moją żoną – szeptał, a ja wtuliłam się w zagłębienie jego szyi, przymknęłam oczy i pomrukiwałam jak kotka. – Stęskniłem się za tobą, gdy byłaś w kuchni – zapewniał ponętnie.

– Właśnie, mam nadzieję, że w tym czasie coś z siebie dałeś – zaśmiałam się.

– Bez obaw, kochanie. Zaraz zapomnisz o całym świecie.

– Coś klasycznego? – upewniałam się.

– Klasyka klasyki – szepnął i objął mnie mocniej. Zrobiło się błogo.

Przygotowałam się na jakiś modelowy wyciskacz łez. Coś o miłości. Spełnionej lub nie, to akurat nie miało znaczenia. Potencjalnych tytułów było zatrzęsienie: *Titanic*, *Casablanka*, *Przeminęło z wiatrem*, *Ja cię kocham, a ty śpisz*, *Love Story*. Byle nie *Komando*, *Matrix* czy inne *Wejście smoka*. Podekscytowana sięgnęłam po garść popcornu, a Marcel włączył odtwarzanie. Wystarczyło kilka sekund czołówki, żebym straciła humor. Miałam ochotę wstać i ze złości wywalić mu tę kukurydzę na głowę. Znałam ten film aż za dobrze. Kiedyś, jeszcze w liceum, zrobiliśmy sobie z Julą pizama party. To ona wybrała film. Już wtedy planowała dorosłe życie z gromadką dzieci. Nie byłam zachwycona, ale jakoś ścierpiałam. Ale teraz nie byłam w stanie – biorąc pod uwagę nowe okoliczności – chociaż rzeczywiście *I kto to mówi?* to klasyka.

Zacisnęłam szczęki, pozostając w ramionach męża, zupełnie nieświadomego mojego stanu psychicznego. Znowu przymknęłam oczy, ale że nie miałam zatyczek w uszach, chcąc nie chcąc, musiałam słuchać głosu narratora obserwującego świat oczami embriona, noworodka, a potem niemowlęcia. Marcel bawił się świetnie. Nabierał pełne garści popcornu i co chwila zanosił się śmiechem...

Wzdrygnęłam się na wspomnienie tego wieczoru. Dzieci, nawet te na ekranie, potrafią wszystko zepsuć, podsumowałam, wracając do szukania inspiracji wolontariatu. Zastanawiałam się, w czym tak naprawdę jestem dobra. I nagle wpadł mi do głowy genialny pomysł. Stworzę stronę, poprzez którą będę udzielała porad bankowych, inwestycyjnych i finansowych – ukierunkuję się zwłaszcza na pomoc kredytową. Zostanę całkowicie niezależnym doradcą, i to absolutnie pro publico bono, komunikując się wyłącznie przez internet. Ten, kto mi zaufa, nie zostanie wpuszczony w maliny przez żadną uśmiechniętą bankierkę, siedzącą po drugiej stronie biurka. Wybiorę najkorzystniejsze oferty i czarno na białym udowodnię ich atrakcyjność, w końcu potrafię czytać umowy pełne kruczków, pisane bankowo-prawnym bełkotem. Znam wszystkie sprawdzone fortele i metody marketingowe i nikt mnie nie oszuka. Zaoszczędzę innym pieniędzy, czasu i nerwów. Wreszcie będę działać zgodnie ze swoim sumieniem! Wreszcie będę sobą!

– Marcel, ustalmy w końcu, czego oczekujemy od architekta – powiedziałam, ziewając przeciągle. Przed chwilą się przebudziłam, a on siedział już, oparty o tapicerowane wezgłowie, z laptopem na specjalnym małym stolyczku. Pracował pewnie od bladego świtu.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął, ale wiedziałam, że myślami był bardzo daleko. Lubiłam na niego patrzeć. Trochę już zdążyłam się przyzwyczaić do tego, że nie dopuszcza mnie do swojego świata zawodowego, nie konsultuje ze mną żadnych przedsięwzięć ani pomysłów, a przecież tak bardzo chciałam go wspierać. Kilka razy próbowałam porozmawiać z nim na ten temat, ale on uparcie obstawał przy swoim.

– Kochanie, co mówiłaś? – zapytał z roztargnieniem, na nowo wpatrując się w monitor.

– Marcel, wiem, że ci przeszkadzam, pewnie robisz jakąś trudną wycenę albo pracujesz nad inną skomplikowaną sprawą, ale poświęć mi chociaż chwilę. Hej! – Przynęłam się bliżej i zamachałam mu przed oczami jak ratownik medyczny ofierze wypadku. Poskutkowało. Wreszcie popatrzył na mnie trzeźwym wzrokiem.

– Blanuś, jesteś moim miliardem dolarów, numerem jeden w całej galaktyce, bardzo cię kocham i cieszę się, że budzę się przy tobie – zapewniał. – Przyglądałem ci się dzisiaj śpiącej. Wyglądałaś jak anioł w objęciach Morfeusza, nawet chciałem ci zrobić zdjęcie. Ale musisz zrozumieć, że kiedy pracuję, potrzebuję koncentracji. Mam więc nadzieję, że jeśli mi przerywasz, to masz jakąś ważną sprawę.

Wzięłam głęboki oddech. Pojęcie „ważna sprawa” jest mocno względne. Tak

samo jak na przykład „satisfakcjonujące wyniki sprzedażowe”. Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie nie tak jeszcze odległych czasów, gdzie punkt widzenia zależał od punktu siedzenia. Jak na mój gust pracownicy zawsze dawali z siebie za mało, ale oni uważali, że wypruwają sobie żyły. Nie byłam pewna, jak Marcel potraktuje to nagłe oderwanie go od pracy. Mnie osobiście takie wybicie z rytmu zawsze wyprowadzało z równowagi. Trudno mi potem wrócić do wątku, a nierzadko wszystko muszę zaczynać od nowa.

– Na szesnastą umówiłam się z architektem, takim uznanym – tłumaczyłam, starając się odgadnąć, czy uznał to za dostatecznie ważną sprawę. Wprawdzie patrzył na mnie, ale wiedziałam, że tylko połowicznie skupia uwagę na moich słowach. – Ma swoją pracownię, zdobył mnóstwo prestiżowych nagród, ma fenomenalne referencje, doskonale wsłuchuje się w potrzeby klienta, nie wciska mu swojego widzimisień, potrafi...

– Słowem: trafiłaś w dziesiątkę – przerwał mi, trochę zniecierpliwiony. – Brawo! Jeden problem z głowy – podsumował i z powrotem wsadzi nos w monitor.

– Marcel – pogładziłam stopą jego owłosioną łydkę – poświęć mi tylko kilka minut swojego cennego czasu. Musimy wiedzieć, czego chcemy. Nie mogę się spotkać z facetem i dukać jak jedynkowy uczeń nadrabiający ignorancję miną. Muszę sprecyzować, czego chcemy...

– Chcemy niebanalnego, komfortowego domu. Szczegóły ustal sama, dobrze? – Pochylił się nade mną i pocałował przelotnie.

– Posłuchaj, co wymyśliłam. – Ułożyłam się wygodnie na plecach i zaczęłam opisywać dom moich marzeń: – Zbudujemy go na wzgórzu, na obrzeżach miasta, z pięknymi widokami z każdej strony, przynajmniej z jednej otwarty na las. Piękny ogródek od strony wejścia, z tyłu niewielki sad i mały warzywnik...

– Uhm. – Usłyszałam aprobatę, ale w tej chwili już niezbyt mnie to obchodziło, bo wizja domu stawała się coraz wyraźniejsza.

– Wszędzie cisza i spokój. Białe elewacje, czerwona dachówka, trochę rustykalny styl. Kuchnia połączona z jadalnią, drewniane, jesionowe podłogi, nasza sypialnia na poddaszu z wyjściem na balkonik, z którego moglibyśmy podziwiać widoki. Niewielki metraż, bo zamierzam wszystko sama...

– Co powiedziałaś? – przerwał mi, tym razem z żywym zainteresowaniem.

– Nie chcę w domu żadnej sprzątaczkę, gospodyni czy innej ciekawskiej baby, pozorującej pracę.

– Blanuś, to już naprawdę twoja sprawa, ale czy dobrze zrozumiałem, że dom ma być mały?

– Tak. Po co nam ganiać się po piętrach i pokojach?

– A goście?

– Zwariowałeś? Jacy goście? Przecież rodzinę i przyjaciół mamy na miejscu,

nie będą u nas nocować. A po co płacić za niewykorzystywane pokoje? Przecież to podatek od nieruchomości, koszty ogrzewania, remontów, bo chociaż nieużywane, to i tak się psuje... – Przerwałam, bo nie podejmował dyskusji. Zmarszczył czoło. Wyglądał jak czarna chmura, z której lada moment posypie się grad.

Patrzyłam na niego skołowaciała, aż w końcu w mojej głowie zabrzączał dzwonek alarmu i dotarło do mnie, że Marcel myśli o przyjmowaniu u nas swojej nieślubnej latorośli. A przecież nie taka była umowa! Jednym zamaszystym ruchem zrzuciłam kołdrę na podłogę, przy okazji strącając plik babskich gazet z nocnego stolika. Nie miałam ochoty tego zbierać. W biegu chwyciłam szlafrok i wybiegłam na taras.

Miałam nadzieję, że za mną zawoła albo zaraz przybiegnie. Krążyłam wokół donic pełnych kwitnących kwiatów. Ich słodki zapach zaczynał mnie mdlić. Oddychałam miarowo i rytmicznie, starając się zapanować nad nerwami, ale i tak czułam, że zaczyna mi drgać powieka. Kuśtykając, przytrzymałam kącik oka, żeby uspokoić dygoczący mięsień. Nie zdarzyło mi się to od czasów pracy w banku. Kurczę, myślałam, że raz na zawsze pożegnałam się ze stresem. W tym momencie usłyszałam niemowłęce piski i fałszującą do granic możliwości sąsiadkę, która pełną piersią zaintonowała coś, co w jej mniemaniu pewnie miało przypominać kołysankę. Dla mnie brzmiało to jak wycie wilczycy do księżyca w pełni. Wściekła wróciłam do mieszkania, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Dzieci, wszędzie dzieci...

Idąc przez przedpokój, zerknęłam w stronę sypialni. Marcel siedział, tak jak go zostawiłam, i jak gdyby nigdy nic stukał w klawiaturę. Ostentacyjnie odwróciłam głowę, ale uświadomiłam sobie, że nie dostrzegł tego gestu.

Już naciskałam klamkę drzwi łazienki, ale z impetem zawróciłam, wtargnęłam do sypialni i stanęłam na środku.

– Wiesz, jaka zasada wywodzi się z prawa rzymskiego? – zaczęłam zaczepnie, ciągle naciskając kącik oka. Podniósł głowę zdziwiony. – *Pacta sunt servanda*, czyli umów należy dotrzymywać!

– Właśnie! – Pstryknął palcami. – Umówiliśmy się, że trzymam się z dala od kuchni. Zjadłbym coś, a przynajmniej napiłbym się kawy. Chociaż... – odstawił stolik z laptopem na moją stronę łóżka – ...wyglądasz teraz tak seksownie... Gdybyś tylko przestała wydłubywać sobie oko, zrzuciła ten szlafrok, puściła jakąś zmysłową muzykę i zatańczyła dla mnie tak jak wtedy... – westchnął. – Byłbym w siódmym niebie. Najlepsze było, jak...

– Co? – przerwałam mu rozwścieczona. – Co?! – Drżenie powieki się nasiliło. – Umów należy dotrzymywać! – podniosłam głos, czując, że lada moment ochrypnę. – Zawarliśmy kontrakt, Marcel! Obiecałeś, że nie będę miała nic wspólnego z pokłosem twojej namiętnej górskiej nocy! Zaufałam ci! A ty? W jakiej stawiasz mnie sytuacji? – Zsunęłam z nóg kapcie i rzuciłam w niego,

jeden po drugim. Zrobił unik. Oba odbiły się od ściany wytapetowanej w idiotyczny deseń złotych serduszek.

– Ostro! – zawołał ze śmiechem, dolewając oliwy do ognia. Rozglądałam się, czym jeszcze w niego cisnąć, by choć trochę sobie ulżyć. – Takiej cię nie znałem. Pokazujesz nowe oblicze. Ale nawet mi to pasuje. Wszystko zaakceptuję, kochanie, byle nie obrozę na szyję. – Dalej się śmiał, a ja już wyciągałam z kontaktu stojącą lampę z abażurem z białych szkiełek mających imitować kryształy. Kolejny kicz, pomyślałam. Im dłużej tu mieszkam, tym więcej odkrywam bezguścia. Nie zdążyłam przejść do ataku, bo Marcel już był za mną. Chwycił mnie za nadgarstki, a potem wykręcił ręce do tyłu, ścisnął w jednej dłoni, a drugą ręką przyciągnął mnie do siebie. Próbowałam się szamotać i wyswobodzić, ale nie miałam szans, był silniejszy. Dysząc, czekałam na ciąg dalszy. – Blanuś... – usłyszałam tuż przy uchu. Mówił spokojnie, ale bardzo dobitnie. – Nie zachowuj się jak ryba w sieci i zapamiętaj, że ja zawsze dotrzymuję obietnic. Taki już jestem. Dopiero przed chwilą do mnie dotarło, co miałaś na myśli. I wyobraź sobie, że coś całkiem innego niż ja. Nie wpadaj w paranoję. Pomyślałem, że jeśli zorganizujesz u nas babskie party i trochę wypijecie, to czy nie lepiej będzie, gdy Jula pójdzie sobie do gościnnej sypialni i spokojnie się prześpi? Zresztą nie tylko ona, ale też te dwie... No wiesz, ta, która ma brwi, jakby cały czas była zdziwiona...

Zrobiło mi się głupio. Czułam, że napięte i gotowe do walki mięśnie miękną.

– Madzia – wyszeptałam zakłopotana. – Brwi ma takie, bo używa za dużo henny, ale i tak jest kochana. A druga to Marta i nie szukaj w jej wyglądzie...

– Nie zamierzam rozmawiać o twoich koleżankach – przerwał mi. – Wprawdzie jestem głodny jak syberyjski wilk, ale preferuję deser przed śniadaniem. Tak ładnie pachniesz i twój temperament tak mnie kręci...

Zwolnił uścisk, niepewny mojej reakcji, ale byłam już spokojna. Odwróciłam się w jego stronę i zarzuciłam mu ręce na szyję, a on przyciągnął mnie do siebie. Poczułam, jak do każdej cząsteczki mojego ciała dociera fala namiętności. Już prawie traciłam kontakt ze światem realnym, ale jedna kwestia wciąż nie dawała mi spokoju.

– Marcel, czy naprawdę kręci cię masochistyczny seks?

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo – szepnął, całując mnie za uchem. – To był mój sekret, ale teraz, gdy już jesteśmy małżeństwem, wreszcie nie muszę się z tym kryć. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie, oczywiście poza kilkudziesięcioma paniami zatrudnionymi w agencjach towarzyskich. – Przycisnął mnie mocniej, a ja czułam, jak każdy mięsień mojego ciała na nowo boleśnie się napręża, a serce bije jak oszalałe. – Wiesz, co tam przeżywałam? Istne odloty! Zawsze zatrudniałem kilka jednocześnie i nie mogłem się doczekać, kiedy przykują mnie kajdankami do łóżka, zakneblują, staną nade mną z pejciami... – westchnął z rozkoszą. – Chciałabyś mi sprawić taką przyjemność?

– Ty zboku! Psycholu jeden! – wrzasnęłam, po czym opuściłam ręce, wygięłam się w tył i spróbowałam go odepchnąć. On jednak wzmocnił uścisk i zaczął się głośno śmiać.

– Blanuś, a ty znów dałaś się nabrać! Kochanie, to był taki mały teścik. Po prostu kiedy rzucałaś we mnie kapciami, przez myśl mi przeszło, że kręci cię sadyzm, a ja nie chciałbym być ofiarą wbrew swojej woli, więc jeżeli masz takie preferencje, to ogranicz je do sfery fantazji...

– Jesteś pomyłony i brak ci piątej kleпки! Wkurzyłeś mnie i tyle! – Znowu zarzuciłam mu ręce na szyję. – Kocham cię, ale uważaj, ze mną nie ma żartów! Kiedyś chwycę za coś cięższego, na przykład tasak do mięsa albo ten mosiężny posążek konia, który dostałeś...

Pomysłów miałam jeszcze wiele, ale żadnych szans na kontynuowanie słowotoku. Nastąpiła pora przedśniadaniowego deseru.

Dochodziła szesnasta. Marcela nie było, a ja od samego rana zajmowałam się domem. Przez kilka ostatnich dni nie miałam na to czasu, jeździłam po okolicy, oglądając działki budowlane na sprzedaż. Najpierw te, które można kupić bezpośrednio. Wyszperałam w necie i w gazetach kilkanaście ofert spełniających moje oczekiwania. Dzwoniłam, jeździłam, ale wciąż bez skutku. Niby w dobie kryzysu ofert całe mnóstwo, przedstawianych atutów jeszcze więcej, ale nigdzie nie odnalazłam naszego miejsca na ziemi. Potem sięgnęłam po oferty biur nieruchomości – niechętnie, bo przecież nie są to instytucje charytatywne i za swoje pośrednictwo muszą otrzymać prowizję, a poza tym ich agenci są mistrzami manipulacji. Doświadczona w sztuczkiach bankierów, puszczałam mimo uszu zalety wszystkich niebywałych okazji zakupu gruntów, które próbowali mi wcisnąć elegancko ubrani panowie ze służbowymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy. W końcu, gdy już prawie traciłam nadzieję, wpadła mi w oko parcela, która wprawdzie miała nie do końca uregulowaną sytuację prawną, jednak spadkobiercy wystawili ją na sprzedaż, gwarantując, że do roku będzie „czysta”. Teraz, podekscytowana, czekałam tylko na sposobność, żeby pojechać tam z Marcelem i wszystko mu pokazać. Przez tych kilka dni w domu narobiło się sporo zaległości, postanowiłam więc zakasać rękawy. Marcel wyjechał tuż po siódmej, a ja byłam już na nogach. Uprasowałam wszystkie jego koszule, podlałam kwiaty na tarasie, przebrałam pościel, zrobiłam kilkanaście weków kiszonych ogórków, które tak uwielbiał, poodkurzałam cały dom, starłam kurze, upiekłam ciasto, wypucowałam okno w salonie i przygotowałam zapiekankę z makaronu, wędzonego kurczaka i grillowanych warzyw. Właśnie klęczałam przed kuchenką i za pomocą ostrej gąbki i jakiegoś przereklamowanego mleczka starałam się przywrócić ją do porządku. Przed kwadransem wyciągnęłam z piekarnika ciasto czekoladowe

z jabłkami. Robiłam je po raz pierwszy i źle oszacowałam wielkość blaszki. Rosło, rosło, aż nadmiar się przelał i przypalił na dnie. Murzynek stygł, a ja szorowałam zaciekłe, obiecując sobie, że jak tylko skończę, wezmę aromatyczną kąpiel, przebiorę się i zrobię makijaż.

Niestety, w tym momencie usłyszałam dzwonek telefonu łączącego mnie z dyżurką ochrony apartamentowca. Jest strzeżony i monitorowany przez całą dobę. Za słone pieniądze, rzecz jasna. Wytarłam spocone czoło i podeszłam do słuchawki przywieszanej przy drzwiach wejściowych. Listonosz z poleconym czy co? Ręce mi opadły, a nogi się ugięły. Gorzej być nie mogło. Mama i Iwona! Mogły mnie chociaż uprzedzić...

Otworzyłam drzwi na oścież i pobiegłam do łazienki. Czasu dla zawodnika niewiele. Zaledwie trzy, cztery minuty, zanim tu dotrą. Spojrzałam w lustro. Włosy zebrane na łapu-capu na czubku głowy recepturką, którą wcześniej był związany pęk kopru, workowaty i sprany – dlatego idealny do prac domowych – T-shirt z napisem „Królowa piaskownicy”, odpryski lakieru na paznokciach (mleczko uszkodziło emalię, choć nie za bardzo poradziło sobie z piekarnikiem), błyszcząca cera, zero makijażu... Gdyby mnie wyposażyc w miotłę, mogłabym zagrać w przedszkolnym przedstawieniu jako Baba-Jaga. Zdażyłam tylko ściągnąć gumkę, przeczesać włosy, które i tak wyglądały, jakby od wieków nie miały kontaktu z szamponem, więc chcąc nadać im puszystość, puściłam na nie strumień zimnego powietrza z suszarki. Potem zatuszowałam korektorem pryszcz na brodzie, przypudrowałam czoło i spryskałam się pod pachami dezodorantem. Sięgnęłam po tusz do rzęs, ale akurat usłyszałam nadchodzących gości. Kurczę, nie znasz dnia ani godziny. Od dzisiaj będzie inaczej, obiecywałam sobie. To, że jestem w domu i nie spodziewam się nikogo, nie znaczy, że nie muszę trzymać fasonu.

Weszły do przedpokoju, rozglądając się z ciekawością. Na ich widok poczułam się jak ostatni kocmołuch. Obie w kolorowych letnich sukienkach i sandałkach na szpilkach. Puszyste, lśniące włosy, nienaganny makijaż i manikiur, uśmiechnięte i pełne energii. Z uznaniem przejrzały się w lustrze. Potem spojrzwały na mnie. Iwona uśmiechnęła się z jaszczurowatą satysfakcją i jeszcze wyżej zadarła nos.

Pokroiłam ciasto, zaparzyłam kawę i usiadłyśmy w salonie. Raczyły odwiedzić mnie tutaj po raz pierwszy.

– Jak spędziłaś dzień, córeczko? – zapytała mama, wpatrując się w ciemnobrązowe kropki na moim T-shircie. Gdy włączyłam mikser na najwyższe obroty, drobiniki ciasta wyleciały poza miskę i zabrzygwały nieco tkaninę...

– Miałam dzień dla domu. – Wzruszyłam ramionami, jakby to było oczywiste. – Posprzątałam, zrobiłam kiszeniaki, upiekłam ciasto, przygotowałam obiadokolację, bo Marcel wróci dopiero wieczorem, wyprasowałam...

– Blanka, przestań, nie mogę tego słuchać! – Iwona nakryła dłońmi uszy,

przy okazji demonstrując idealnie umalowane na pudrowy róż paznokcie, ozdobione wzorkami w kwiaty fioletowej i białej fuksji. Perfekcyjnie zgrane z deseniem sukienki. – Zrobiłaś z siebie pospolitą kurę domową!

– Właśnie! – zawtórowała jej skwapliwie mama, dolewając sobie do kawy skondensowanego mleka.

– Popatrz na siebie! – ciągnęła moja siostra. – Czy Marcel ma cię kochać i szanować? Taką? Uważasz, że na to zasługujesz? Jeszcze pół roku temu pracowałaś, dobrze wyglądałaś, robiłaś karierę, byłaś kimś. A teraz dałaś się uziemić!

– Właśnie – potwierdziła jak echo mama. – Po co ci te wszystkie fakultety? Tyle naszych wyrzeczeń...

– Co?! – Z oburzenia aż podskoczyłam na krześle. – Mamo, znowu to samo? Przecież żeby wam ulżyć, już na studiach dorabiałam sobie wbijaniem do głów puściutkim mózdzkom, że nie dzieli się przez zero! Byłabym zapomniała! – Pacnęłam się w czoło. – Jeszcze uczyłam matematyki wyższej, czyli umiejętności mierzenia odległości linijką! A za kształcenie po studiach w całości płaciłam sama. Tak było, prawda? – Wpatrywałam się w jej oczy, oczekując potwierdzenia.

Wytrzymała moje spojrzenie i skrzyżowała ręce na piersiach. Znałam ją. Wiedziałam, że zaraz zacznie wykręcać kota ogonem.

– Coś ty taka nerwowa? Z Marcelem coś nie tak? A może ci odbija od grania domowej kurki? – pytała tonem pełnym pretensji. – Gdakasz, jakby cię ktoś zamknął w kurniku i nie chciał wypuścić albo jakbyś miała znieść strusie jajo! – Miałam wrażenie, że zaraz eksploduję. Obrażała mnie. Gdybym była teraz w moim rodzinnym domu, natychmiast odwróciłabym się na pięcie, wyszła i nieprędko wróciła. Zerknęłam na Iwonę, ale ona, z ironicznym uśmiechem, tylko wachlowała się serwetką. Niepotrzebne demonstracje. Wprawdzie na zewnątrz było gorąco, ale w apartamencie klima działała bez zarzutu. – Powiedz mi, córeńko – podjęła matka – czy w życiu liczą się tylko pieniądze? Ty wszystko sprowadzasz do ile i za co, a ja – westchnęła ciężko i zapatrzyła się w dal – mam na myśli wsparcie i zrozumienie. A tego z naszej strony miałaś, ile dusza zapagnie, czyli poniekąd zdobyłaś wykształcenie naszym kosztem...

– Co takiego?

– Tak – potwierdziła, kiwając głową, jakby oczekiwała współczucia. – Prosiłyśmy cię na przykład, żebyś częściej zajmowała się Witusiem. Jesteś chrestną, a to zobowiązuje. Prawda? – Popatrzyła czule na Iwonę, a ta oczywiście przytaknęła. – Albo ciotka Ewelina. Prosiła, żebyś sprawdziła, czy w salonie dobrze jej policzyli odsetki za samochód, a ty zawsze wyskakiwałaś z tą samą śpiewką, że teraz nie możesz, że dopiero późną nocą, bo niby się uczysz, masz wykłady, egzaminy...

– Tylko nie „niby” – wtrąciłam, ale puściła to mimo uszu.

Marzyłam, żeby już poszły, jednocześnie dziękując Bogu, że w domu nie ma Marcela. Spłonęłabym ze wstydu.

– Albo – matka spojrzała na mnie ze skrajnym wyrzutem – kiedy Iwonka urządzała przyjęcie na roczek Witusia. Wszyscy urabiali sobie ręce po łokcie, a ty przyszłaś na gotowe, bo się niby uczyłaś...

– Nie „niby”. A poza tym – zwróciłam się w stronę siostry – chciałam zauważyć, że miałaś catering i tylko dziesięciu gości...

– Jedenastu. – Iwona podniosła rękę jak wzorowa uczennica wrywająca się do odpowiedzi. – Wituś też się liczy.

– Właśnie! – entuzjastycznie potwierdziła mama. – Poza tym zamiast zabrać jedynego potomka naszego rodu na spacer, ty wolałaś – popatrzyła na mnie uważnie – kopulować z Iwonem. I co ci z tego przyszło? – Z oburzenia zabrakło mi tchu, a ze wstydu, że używa takich słów, poczerwieniałam. – Rodzina to rodzina – podsumowała łagodniej – a Iwo był...

– Dobrze już! Skończmy ten temat. – Byłam wykończona tym kazaniem. One dwie z jednej strony stołu, ja jedyna z drugiej. Poza tym nie miałam ochoty wspominać mojego eks. Od momentu gdy poznałam Marcela, Iwo stał się dla mnie zaledwie mglistym wspomnieniem. Spotkałam go przed kilkoma dniami w salonie meblowym. Przechadzając się wśród łóżek, zastanawiałam się, które wybrać do naszego domu. On sprawdzał sprężystość materacyka w dziecięcym łóżeczku z baldachimem, ugniatając go pięścią. Przytyło mu się nieco. Dorobił się drugiego podbródka i podpuchniętych oczu. W koszuli w czerwone i żółte gwiazdki nie elektryzował już swoim wyglądem, tak jak za „moich” czasów. Testując materacyk, konwersował ze stojącą obok, trzymającą się za krzyż i sapiącą starszą ciężarną. Wzdrygnęłam się. Urodzisz takiego samego nieudacznika jak jego tatuś, przemknęło mi przez głowę. Jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn. Że też tacy są najbardziej płodni... Pomyślałam z żalem o Juli, wciąż walczącej o to, by w końcu jakiś silny plemnik jej męża połączył się z jej dojrzałym jajeczkiem.

Mama czułym gestem pogładziła moją dłoń, wrywając mnie z zamyślenia.

– Córeczko, wiem, co się stało, to się nie odstanie. Rozumiem, robisz rachunek sumienia i musisz się uporać z błędami przeszłości. Ach, moje dziewczyny – westchnęła – córy tych samych rodziców, a tak bardzo różne. – Popatrzyła wzrokiem pełnym matczynego uwielbienia na Iwonę, a potem na mnie, jakby z niechęcią. – Do czego to doszło? Iwonka nie ślęczała nad książkami, a mądrością życiową bije cię na głowę. I urządziła się lepiej niż ty. – Z niesmakiem rozejrzała się wokół, jakbym mieszkała w zagrzybionej i śmierdzącej kocimi szczyznami piwnicy. – Ma olbrzymi dom... Iwonko, ile metrów?

– Prawie sześćset – odparła moja siostra z udawaną skromnością.

– Mamo – przerwałam ostro i wywróciłam oczami, wysyłając wyraźny sygnał, że mam dość tych wywodów. – Przecież ja zawsze byłam, jestem i będę

gorsza od Iwonki. *Status quo*, po prostu. To jest wynajęty apartament i będziemy budować dom, ale nie tak okazały jak Iwony, bo nie robię niczego na pokaz i nie chcę demonstrować światu, że śpię na forsie, należę do elity i zapomniałam o swoich korzeniach! Jeszcze niedawno M-3, a teraz pałac! Mam inny styl. Nasz dom będzie wygodny i uszyty dokładnie na naszą miarę. Dwieście metrów, góra dwieście pięćdziesiąt, wystarczy aż nadto – skwitowałam. – A zresztą nie zamierzam dniami i nocami latać ze szmatą i odkurzaczem, żeby to wszystko ogarnąć, a wieczorem padać na nos ze zmęczenia.

– Blanka, aleś ty głupia. – Iwona spojrzała na mnie jak na dziwoląga. – Nawijasz, jakbyś miała nierówno pod kopułą. Dałaś się facetowi okręcić wokół palca i robi z tobą, co chce. Tańczysz, jak ci zagra. Usidlił cię i zrobił z ciebie domowe popychadło. Popatrz na siebie! – tłumaczyła jak niemądremu dzieciakowi. – Zrobił z ciebie kurkę domową do gotowania i sprzątania. Nie masz w sobie za grosz seksu. Rozumiesz? Uważaj, bo jak tak dalej pójdzie, to znajdzie sobie kogoś na boku.

– I rzuci cię w kąt jak zepsutą zabawkę – dodała mama, sięgając po kolejny kawałek ciasta.

– I będziesz wychodziła z kuchni w przydeptanych papciach tylko po to, by wyfroterować parkiet! – Iwona zaśmiała się, jakby wymyśliła superdowcip.

Nabrałam powietrza, aby w końcu dojść do głosu, choć wiedziałam, że nie będzie łatwo. Dwie na jedną. Jak zwykle.

– Mamo, co dziś ugotowałaś na obiad? – zapytałam ironicznie.

– Jak zwykle mamy obiadową kolację.

– Czyli tak jak u nas. Ale co ugotowałaś? – powtórzyłam z naciskiem.

– Dzisiaj jemy to, co wasz ojciec upichcił wczoraj wieczorem. Zawsze przygotowuje obiad z jednodniowym wyprzedzeniem. A jaką miał wczoraj wenę kulinarną? – Wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia. Ja w końcu postanowiłam zrobić coś dla siebie, czyli małe SPA – maseczka anti-aging na bazie glinki francuskiej i zmiksowanego ogórka. Efekt spektakularny. No nie? – Poglądziła policzki. – Nawet mój szef zauważył. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– A co ugotowałaś przedwczoraj? – drażyłam złośliwie.

Iwona siedziała jak mysz pod miotłą. Wiedziała, do czego zmierzam.

Nie przypominam sobie choćby jednego obiadu przygotowanego przez mamę. Odkąd pamiętam, w domu gotował tata. Starłam się mu pomóc, bo było mi go żal, gdy wykończony po kilkunastogodzinnej pracy w warsztacie stawał przy garnkach. Stąd nauczyłam się gotować. Iwona, podobnie jak matka, omijała kuchnię szerokim łukiem.

– Tata nie dopuszcza mnie do kucharzenia. Po co mam mu odbierać przyjemność?

– Jasne, mamusiu – potwierdziłam zgryźliwie. – Iwonko, a co dziś u ciebie

w karcie dań?

– Ja nie robię z siebie kury domowej – stwierdziła moja siostra lekkim tonem i lekceważąco wydeła usta. – Zachowujesz się, jakbyś żyła w osiemnastym wieku, kiedy nie było mrożonek ani słoikowych gotowców. Teraz są inne czasy, moja droga. Raz na dwa tygodnie jadę do Petronelki. To taka sieć sklepów dyskontowych, gdzie kupisz wszystko, czego dusza zapagnie: pulpety w sosie, bigos, gyros, gołąbki, fasolka po...

– Mniam, już mi ślinka cieknie! – podsumowałam, ale mój prześmiewczy ton nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

– Blanka – wpatrywała się we mnie z litością – to jest naprawdę fantastyczne! Wyciągasz z zamrażalnika, wkładasz do mikrofalówki i *voilà!*

– Sama bym tak robiła, gdyby nie wasz tata, który tak kocha gary – mamusia skwapliwie poparła córusię.

Uśmiechnęłam się wrednie.

– Tylko dlaczego, mamo, gdy Benek je świąteczny obiad przygotowany przez tatę, to mu się uszy trzęsą i cały czas bierze dokładki?

– Bo mu się podlizuje! Nigdy nie wiadomo, kiedy w jego mercu pięknie wał korbowy.

– Siostra, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz – Iwonka zabłysnęła elokwencją. – A ja śpię dobrze. – Przeciągnęła się zadowolona. – U mnie kuchnia jest tylko od parady. Płyty indukcyjnej używałam zaledwie kilka razy. I jestem z tego dumna! Od zarabiania jest Benek, od sprzątania pani Ula, od bawienia Witusia i tarcia mu marchewki pani Bronia, a ja od tego, żeby zawsze być dla męża atrakcyjna, zadbana, pachnąca, pociągająca. – Wyprężyła piersi. – A ty, Blanka, gaśniesz. Gaśniesz w oczach...

– Posłuchajcie – patrzyłam raz na jedną, raz na drugą – nie przekonacie mnie. Biorąc ślub, zawarliśmy z Marcelem nieoficjalny pakt. On ciężko pracuje i na nas zarabia. Ja zajmuję się domem. I każde z nas stara się wypełniać swoje obowiązki jak najlepiej. Tylko tyle i aż tyle. Mój dzisiejszy wygląd nie jest standardem. Po prostu musiałam nadrobić zaległości. Ale wiem, wy jesteście stworzone do wyższych celów niż obieranie ziemniaków. Dla mnie wasze małżeństwa są chore. Myślicie tylko o sobie. Nie macie sumienia czy co? Żyjcie sobie po swojemu, ale mi dajcie spokój.

– Życie zweryfikuje, kto ma rację – westchnęła Iwona. – Nie masz pojęcia, czego naprawdę pragnie mężczyzna. Mam swoje doświadczenie, ale ty oczywiście masz to za nic. Zobaczysz, lada dzień koło twojego pana i władcy zakręci się jakaś wylaszczona małolata i facet zrozumie, że na szarej służącej, lecącej na każde jego skinienie, świat się nie kończy. I cię zostawi. Albo zrobi inaczej – zostanie przy swojej służącej, smarującej mu kanapki pastą jajeczną, a na boku będzie bzykał seksbombę. Byłaś kobietą sukcesu, Blanka, dumą rodziny, a teraz sama się

zdegradowałaś.

Nie ciągnęłam dyskusji. Ja swoje, one swoje. Ale i tak to ja mam rację, skwitowałam w duchu. Podoba mi się moja nowa codzienność i jestem szczęśliwa.

Gdy wreszcie wyszły, szybko posprzątałam brudne nakrycia, przygotowałam stół do obiadokolacji i popędziłam do łazienki. Po godzinie wyszłam zupełnie odmieniona.

– Jak tu cudownie pachnie! – zawołał Marcel, gdy tylko wrócił. – Czuję, że dzisiaj zjemy coś z serem ciągnącym się jak na pizzy!

Podbiegłam do niego i mocno się przytuliłam.

– Blanuś – otoczył mnie ramionami – zapach kolacji jest smakowity, ale ty pachniesz tak, że mam ochotę tu i natychmiast... Co ty na to? Zwyczajowo deser przed obiadem? – szepnął tak zmysłowo, że przez moje ciało przebiegł dreszcz.

– Deser – odparłam. – Zdecydowanie.

Leżeliśmy na miękkiej trawie i zza okularów przeciwsłonecznych obserwowaliśmy białe puszyste obłoki, leniwie przesuwające się po nieskazitelnie czystym niebie. Trwając w stanie bliskim błogostanu, chłoniliśmy zapach rozgrzanych słońcem rumianków, maków i macierzanki i słuchaliśmy niesamowitego koncertu w wykonaniu świerszczy, koników polnych, ptaków, przepływającego nieopodal strumyka i drzew z pobliskiego lasu. Sielankowa okolica, kwintesencja natury. Nie brakowało mi zakurzonej betonowej dżungli, ulicznych korków, smogu, dźwięków klaksonów i gwaru przechodniów. Nasze miejsce na ziemi. Prawie trzydzieści pięć tysięcy metrów kwadratowych. No, jeszcze niezupełnie nasze, bo właściciel musi uporządkować sprawy spadkowe i wpisy w rejestrze gruntów i w księgach wieczystych. Potrwa to góra rok. Potem spiszemy umowę kupna u notariusza. Wcześniej sprawdziłam miejscowy plan zagospodarowania i przywiozłam tu architekta, który opracował projekt naszego wymarzonego domu. Nie miał łatwo, nie dałam się zbyć byle czym. Pogratulował mi ustrzelenia prawdziwego cacka wśród ofert nieruchomości. Wprawdzie cena horrendalna, ale warto. Wspaniała lokalizacja. Załedwie kwadrans samochodem do granic zatłoczonego i gwarne go miasta, a zarazem enklawa nieskazitelnej natury. Z dwóch stron las, więc nikt się nie pobuduje, z trzeciej – szeroki strumyk, a od frontu utwardzona droga dojazdowa ze wszystkimi mediami. Nikt nie będzie nam zaglądał przez okno. Prywatność i intymność gwarantowane. Bez wścibskich sąsiadów, pyskówek, bez darcia się dzieciaków. Tak duża działka daje olbrzymie możliwości, praktycznie zero ograniczeń, entuzjasmował się architekt. Z wypiekami na twarzy, gestykulując i przemierzając teren długimi krokami, radził, jak ustawić dom, by maksymalnie wykorzystać niewątpliwe atuty działki i naturalnego nasłonecznienia. Kuchnia, jadalnia, salon i taras oczywiście od strony

południowej, z widokiem na las. Śmietnik, garaże i pomieszczenia gospodarcze od strony północnej. Potem do pracy zabrał się architekt krajobrazu. Opracował kilka komputerowych wizualizacji. Wybraliśmy tę z dużym tarasem, stanowiącym przedłużenie salonu. Ustawimy na nim stół, krzesła, leżaki i grill. Całość osłonimy winoroślą i pnącymi różami. W ciepłe poranki, wsłuchując się w odgłosy natury, będziemy tam mogli jeść śniadania, a wieczorami, w świetle przenośnych lampionów, urządzać przyjęcia i przechadzać się po ogrodzie ścieżkami znaczoneymi lampami solarnymi. Ma być pięknie o każdej porze roku. Ach, nasze miejsce na ziemi...

– Marcel – szepnęłam – jestem taka szczęśliwa.

Chwycił moją dłoń i splótł palce z moimi. Poczulałam się błogo i bezpiecznie.

– Kocham cię, Blanuś. Kocham cię do szaleństwa. Zawsze razem, nic nie jest w stanie nas rozdzielić. Obiecuję.

W czwartek, już przed piątą, Marcel pojechał obejrzeć jakąś linię do produkcji kostki brukowej. Wypił tylko filiżankę białej kawy i zjadł kilka ciasteczek zbożowych, które upiekłam poprzedniego wieczora. Ubrana w szlafrok, odprowadziłam go do podziemnego garażu. W samochodzie na podpórkach zagłówka przedniego fotela zawiesiłam marynarkę, do specjalnego uchwytu włożyłam termos z gorącą herbatą, a do pojemnika termicznego – kanapki. Spieszył się, więc przytuliliśmy się tylko na moment.

– Jesteś aniołem – szepnął i wsiadł do samochodu.

Pomachałam mu na pożegnanie i zaczekałam, aż zamknie się automatyczna brama. Wracając do mieszkania, uświadomiłam sobie, że dziś mijają dokładnie dwa miesiące od dnia naszego ślubu. Najszczęśliwszy okres mojego życia, podsumowałam w myślach, uśmiechając się do siebie.

Postanowiłam przygotować na wieczór coś wyjątkowego. Przecież życie mija tak szybko, warto celebrować każdą chwilę. Wprawdzie planowałam posiedzieć nad projektem mojej strony internetowej, ale postanowiłam zmienić plany. Wszak taka data już się nie powtórzy.

Upiekłam waniliowe ciasteczka w kształcie serduszek, a potem, za pomocą specjalnej malutkiej szprycy i lukru, ozdobiłam je napisami: „Kocham Cię”, „Zawsze razem”, „Ale z Ciebie ciacho”, „Mam ochotę Cię schrupać”. Zadowolona z efektu, poukładałam ciasteczka na paterze. Wprawdzie odbiegały wizualnie od cudniek wypiekanych przez mistrzów cukierniczych, ale po schrupaniu jednego, na którym napis trochę się rozlał, i tak uznałam je za przepyszne, a przede wszystkim zrobione z miłością. Potem zabrałam się do przygotowywania tarty, by po powrocie Marcela na kilka minut włożyć ją do piekarnika i gorącą podać na stół. Wprawdzie czytałam się w babskich magazynach, że na kolację dla dwojga warto

przygotować danie na bazie afrodyzjaków, ale dałam sobie spokój. Naszych zmysłów nie musi podsycać ani koktajl krewetkowy posypany świeżym lubczykiem, ani koper włoski zapiekany pod beszamelem. Przygotowałam więc tartę z jarmuzem i szpinakiem, włożyłam do lodówki butelkę białego wina i uprzątnęłam mieszkanie.

Zadowolona rozejrzałam się wokół. Wszystko było na tip-top. Czas pozostały do powrotu Marcela postanowiłam przeznaczyć tylko dla siebie. Wprawdzie mogłam sobie zrobić rozluźniającą kąpiel, maseczkę, peeling całego ciała i tak dalej, ale końcówki moich włosów były już nieco przesuszone i połamane, wymagały sprawnej ręki fryzjera. Miałam swoje ulubione niewielkie studio kosmetyczne, a w nim panią Anetkę, wirtuozkę nożyczek, i panią Bogusię, mistrzynię spektakularnych i tanich zabiegów na twarz. Zadzwoiłam. Ucieszyły się, ale tego dnia miały pełne obłożenie, nie były w stanie mnie wcisnąć. Zaczęłam obdzwaniać inne salony – z marnym rezultatem. W końcu się udało, tyle że studio miało podstawowy mankament. Znajdowało się naprzeciwko oddziału Elitumluxu, w którym pracowałam. Wiele razy, kiedy robiłam sobie przerwę w analizowaniu raportów, miałam możliwość obserwowania z okna gabinetu wychodzących z salonu nadzianych babek. Przypatrywałam się im z przekąsem, ale też trochę z zazdrością. Studio miało opinię najbardziej ekskluzywnego salonu w mieście, a dla mnie w tym momencie nie stanowiło to już problemu. Ale to miejsce... Od mojego ostatniego dnia pracy i incydentu z pokierszowaniem lakieru hondy ani razu nie odwiedziłam moich byłych pracowników, co więcej – starałam się nawet nie przejeżdżać tą ulicą, często kosztem nadrobienia kilometrów. Sama myśl o tym budynku wzbudzała we mnie skrajną niechęć. Koniec z tym! Najwyższy czas zmierzyć się z demonem przeszłości! – postanowiłam.

Dzień był nieco pochmurny, ale i tak założyłam okulary przeciwsłoneczne, zakrywające pół twarzy, mając nadzieję, że nawet jeśli spotkam kogoś znajomego, będę nierozpoznawalna. Nie dałam rady zerknąć na biurowiec – ze wzrokiem wbitym w ziemię szybko przemknęłam do salonu.

Wnętrze studia było jak enklawa odcięta od ruchliwej i gwarnej ulicy. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki, a okna poszczególnych gabinetów wychodziły na mały park usytuowany na tyłach budynku. Luksusowa przystań beztroski w sercu miasta. Tu czas płynie wolniej, a z głośników sączy się relaksująca muzyka. Ze sceptycznym uśmiechem oddałam się w ręce fryzjera. Facet przed trzydziestką, z długimi po ramiona włosami, skręconymi trwałą i ufarbowanymi na pomarańczowo, jakoś nie wzbudzał mojego zaufania.

– Tylko podcinamy – zaznaczyłam ze strachem, gdy brał pomiędzy palce pasma moich włosów i oglądał je pod światło. Przy okazji zauważyłam, że na serdecznym palcu prawej dłoni ma wielki złoty sygnet. Jak włoski mafiozo, pomyślałam niechętnie. Ale już po kilku minutach, gdy mył mi włosy, przy okazji

masując głowę, poczułam się sielankowo i zapomniałam, że znajduję się tuż obok stresogenego oddziału Elitumluxu. Gdy fryzjer zdecydowanymi ruchami nożyczek podcinał włosy, nakładał odżywkę, cudownie pachnącą bananami, suszył i w skupieniu modelował, po raz kolejny przekonałam się, że nie można oceniać książki po okładce. Z fotela wstałam bardzo zadowolona i natychmiast oddałam się w ręce kosmetyczki. Położyłam się na tapicerowanym białą, miękką skórą fotelu, zamknęłam oczy, a ona nałożyła mi maskę rozświetlającą, wyregulowała brwi, przedłużyła i zagęściła rzęsy włoskami z futra norek syberyjskich, a na koniec wykonała delikatny letni makijaż. W tym czasie inna specjalistka wtarła w moje paznokcie serum regenerujące i zrobiła mi francuski manikiur. Wszyscy traktowali mnie tak, jakbym była pępkiem świata. Magia pieniędzy, podsumowałam. Smutne, ale prawdziwe.

Gdy wyszłam z salonu, na zewnątrz toczyło się szare życie. W godzinach szczytu, wśród hałasu, po rozgrzanym lipcowym słońcem chodniku przewijał się zmęczony, goniący przed siebie tłum. Ukryta za okularami, pobiegłam do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, wymusiłam pierwszeństwo. Kierowca zielonego opla musiał ostro wyhamować; zdenerwowany wymachiwał w moim kierunku rękami i coś wykrzykiwał. Nie obchodziło mnie to jednak, bo byłam szczęśliwa, że opuszczam tę obrzydłą część miasta.

Podjechałam na targ przy rynku, gdzie starsze panie sprzedają kwiaty ze swoich ogródków przydomowych albo działkowych, pamiątki i najróżniejsze starocie albo dziergane przez siebie na drutach kolorowe papcie, dorabiając tym sposobem do głodowych emerytur i rent. Podeszłam do pierwszej z nich. Z pochyloną głową, jakby się wstydziła, siedziała na składanym turystycznym krzeselku. Widząc mój cień, podniosła wzrok. Zrobiło mi się jej żal. Chciałam zapytać, na co jej zabrakło, ale się powstrzymałam. Nic mi do tego, ale z całą pewnością nie stać jej nawet na opiłowanie paznokci w salonie, z którego właśnie wyszłam. Wokół siebie, bezpośrednio na kostce brukowej, poukładała porcelanowe kubki, haftowane poszewki na poduszki i inne bibeloty, ale moją uwagę przykuły bukietki z pachnącego słońcem groszku – o kwiatach przypominających barwne motyle – powkładane w słoiki po dżemach.

– Ile? – zapytałam, biorąc wiązkę spletaną bawełnianą nicią.

– Już trochę mi się spieszy do domu, bo obiecałam wnuczce racuchów usmażyć, więc dwa pięćdziesiąt – powiedziała kobiecina, wpatrując się we mnie z nadzieją. – Rano były po trzy, ale teraz...

– Ile pani tego zostało? – przerwałam jej. Patrzyła na mnie nierozumiejącym wzrokiem. – Ile pani zostało tych bukietków? – sprecyzowałam. – Biorę wszystkie.

Błysk w jej oku – bezcenny. Poczułam gęsią skórę. Tak niewiele wystarczy, by kogoś uszczęśliwić. Gorączkowo, jakby w obawie, że się rozmyślę,

wyciągała ze słoików bukieciki i liczyła.

– Siedemnaście? – Zaintonowała jak pytanie. Potwierdziłam skinieniem głowy. – Siedemnaście razy dwa pięćdziesiąt to jest... – Zmarszczyła czoło.

– Czterdzieści dwa pięćdziesiąt – błyskawicznie podałam wynik. Mój kalkulator w głowie, pomimo zawodowej beczynności, działał niezawodnie.

Sięgając po portfel, spojrzałam na coś, co przypominało starą książkę w skórzanej oprawce ze złożonymi ornamentami.

– Nigdy nieużywany. – Kobieta zauważyła moje zainteresowanie. – Gdy byłam mała, dostałam od chrzestnej na urodziny.

Sięgnęłam po stary, klasyczny album na fotografie. W środku sztywne kartki, poprzekładane szeleszczącym pergaminem. Kobieta, mrużąc oczy w popołudniowym słońcu, w napięciu wyczekiwała mojej decyzji.

Bingo! – olśniło mnie. Idealny prezent dla Marcela!

Uregulowałam należność, zaokrąglając kwotę w górę, po czym z albumem pod pachą i naręczem pachnącego groszku jak na skrzydłach popędziłam do domu.

Nakryłam stół lnianym obrusem. W pękaty kieliszkach do wina ułożyłam kompozycję z pachnącego groszku, tak by część utworzyła dekoracyjne kaskady. Zachwycona efektem i podekscytowana następnym zadaniem, sięgnęłam po album. Na pierwszej stronie wkleiłam nasze zdjęcie ślubne. Fotograf ujął moment, gdy wychodzimy z drewnianego kościółka, trzymając się za ręce. Szczęśliwi, uśmiechnięci, wpatrzeni w siebie. Wiatr wznosi mój welon, wokół wirują płatki róż, którymi obsypywali nas goście. Niektórzy puszczały w naszym kierunku bańki mydlane. W tle dwa gołębie uwolnione z klatki przez wynajętego kominiarza. Pełnia szczęścia. Niepowtarzalna, cudowna chwila. W tym momencie pożałowałam, że uparłam się na zdjęcia wyłącznie w sepia. Nie widać na nich ani turkusowych akcentów w moim stroju, ani czerwonych płatków róż. Cóż, nie skorzystałam z sugestii fotografa. O czym on jeszcze mówił...? Ach tak, że kolorowe zdjęcia to kolorowe życie. „Chociaż kilka – nalegał – bo wprost prosi się pani o pecha”. Ale ja się uparłam. „Klient nasz pan”, mruknął pod nosem i odpuścił.

Nad zdjęciem napisałam hasło: „My – tak się zaczęło” i datę naszego ślubu. W ten sposób zapoczątkowałam rodzinną kronikę, by na następnych, jeszcze pustych stronach wklejać fotki z innych, ważnych momentów naszego życia. Potem na ozdobnej kartce napisałam odręcznie: „Mój Kochany, dziś mijają dwa miesiące od dnia naszego ślubu. Będziemy celebrować półrocznice, rocznice, dekady, a może nawet półwiecze. A za sto lat również będę z Tobą, nawet w snach, bo jesteś dla mnie najważniejszy. Nic i nikt nas nie rozdzieli. Blanka”. Album wraz z listem zawiętałam w błyszczący czerwony papier i ułożyłam na stole obok

mężowskiego nakrycia.

Spojrzałam na zegar – dochodziła osiemnasta. Marcel mógł wrócić w każdej chwili, więc szybko się przebrałam. Mogłam na tę okazję kupić sobie coś specjalnego, ale po pierwsze, nie byłam przyzwyczajona do zbytków, a po drugie, Marcel i tak nie miał pamięci do garderoby, więc dla niego zawsze – w każdej kreacji – występuję premierowo. Wybrałam długą jedwabną suknię w kolorze czerwonego wina, z rozcięciem z tyłu. Dobrałam do niej srebrne sandały na szpilkach i długie kolczyki z rubinem syntetycznym, które kiedyś spodobały mi się w galerii handlowej. Szukaliśmy z Iwonem prezentu imieninowego dla jego mamy. Kosztowały tyle co pianka do golenia. Zachwycałam się nimi w nadziei, że mi je sprezentuje, bo akurat zbliżały się walentynki. On jednak udawał przymulonego, więc machnęłam ręką i zapłaciłam sama. Kolczyki z powodzeniem imitowały platynową biżuterię z naturalnymi rubinami. Usta umalowałam czerwoną szminką, ale patrząc na swoje odbicie, nabrałam wątpliwości. Taki wampirzy *look* zdecydowanie nie jest w moim stylu. Starłam szminkę i zastąpiłam ją błyszczkiem. Od razu lepiej. Rozpyliłam w powietrzu trochę perfum i szybko weszłam w pachnącą chmurkę. Mikroskopijne kropelki otuliły mnie aromatem.

Gdy już wyglądałam jak bogini, włożyłam do piekarnika podpieczoną tartę, wyciągnęłam z lodówki białe wino, już nieco zbyt schłodzone, odrobinę spuściłam rolety i zapaliłam świece. Włączyłam naszą ulubioną płytę z filmowymi piosenkami o miłości. Z głośników popłynęło pierwsze nagranie – *I Will Always Love You* po mistrzowsku wykonane przez Whitney Houston. Zadowolona usiadłam na kanapie w oczekiwaniu. Nigdy nie przeszkadzałam Marcelowi telefonami czy SMS-ami. Wiem, jakie to wkurzające, gdy nad czymś pracujesz albo prowadzisz ważną rozmowę, a tu ktoś dzwoni i wybija cię z rytmu, a potem musisz wszystko zaczynać od nowa. Podobnie wnerwiająca i cholernie niebezpieczna, nawet przy korzystaniu z zestawu głośnomówiącego, jest rozmowa podczas prowadzenia auta. Nie mówiąc już o jednoczesnym słuchaniu radia i poleceń nawigacji. To zbyt wiele jak na jeden mózg.

Romantyczna muzyka działała na mnie jak kołysanka. Pobudka o świcie i znużenie po całym dniu dały o sobie znać. Moje powieki zrobiły się ciężkie. Podłożyłam pod głowę poduszkę i zasnęłam z błogą świadomością, że lada moment powitam mojego męża.

Zbudziła mnie głucha cisza. Mrużąc oczy, powoli wracałam do rzeczywistości. Mrok rozjaśniały płomyki dogorywających świec, a w całym mieszkaniu czuć było spalenizną. Zerwałam się na równe nogi, zapaliłam światło, pobiegłam do kuchni i otworzyłam piekarnik. Smród buchnął z wnętrza ze stokrotnie większą mocą. Tarta, która miała się tylko dopiec, była tam już...

Spojrzałam na zegarek na drzwiczkach. Prawie sześć godzin! Spaliła się na węgiel. Chwyciłam foremkę rękawicą kuchenną i odwracając głowę od źródła swądu, wyrzuciłam ją na taras. Dochodziła północ. Włączyłam pochłaniacz i pootwierałam okna. Serce waliło mi jak oszalałe. Marcel nie wrócił!

Trzęsąc się jak narkoman na głodzie, chwyciłam za komórkę w nadziei, że chociaż wysłał SMS-a. Niestety, nie dał znaku życia. Gorączkowo wybrałam jego numer. Odebrał po czterech sygnałach, które wydawały mi się wiecznością.

– Blanka... – zaczął, a mi serce podskoczyło z radości.

– Marcel! Tak się martwiłam! Żyjesz! Nic ci się nie stało? O której będziesz? – trajkotałam jak nakręcona. Milczał, ale w tle słyszałam jakieś głosy. Raczej kobiece. Jeden żalący się, bliski płaczu, drugi spokojny, kojący. Nastawiłam uszu, ale nie byłam w stanie rozszyfrować słów. – Gdzie jesteś? – zapytałam, coraz bardziej zaniepokojona. Znowu cisza. – Gdzie jesteś? – powtórzyłam głośniej, choć wiedziałam, że słyszy mnie doskonale.

– W szpitalu – odparł dziwnym, zduszonym głosem. – Zadzwoń, gdy będzie po wszystkim.

– Po wszystkim, czyli po czym? – zapytałam roztrzęsiona. Znowu milczał. Wyobraźnia podsuwała mi obraz mojego męża odurzonego środkami przeciwbólowymi i leżącego na zimnym i sterylnym stole operacyjnym pod silnym halogenowym światłem. Tuż obok, za szklaną ścianą, lekarze myją ręce i przedramiona, a anestezjolog i instrumentariuszki, w wyjąłowionych maskach i jednorazowych fartuchach, cierpliwie czekają na starcie. Zaraz się zacznie. Pociągnęłam nosem. – Miałeś wypadek? Napadli cię i pobili? Będziesz miał operację? Transfuzję krwi? – dopytywałam niecierpliwie.

– Blanka... – wydusił z wysiłkiem. – Elwira rodzi. Zadzwoń, gdy będzie po wszystkim. Muszę tu być. Jestem ojcem.

Wyłączył się, a mi ręce opadły. Nie próbowałam hamować łez. Poczułam się zbyt słaba, by utrzymać się na szpilkach; zrzuciłam je, a potem powoli, wciąż w jedwabnej sukni w kolorze czerwonego wina, biżuterii i makijażu, powłócząc nogami, poszłam do sypialni. Opadłam na łóżko i po same uszy nakryłam się kołdrą. Chciałam się odciąć od świata zewnętrznego, zapaść w sen i znaleźć się w innym wymiarze, ale nie byłam w stanie się odprężyć. Najpierw wyobraźnia zaczęła mi podsuwać obraz sali porodowej – znany z filmów, czyli jedyny, z jakim miałam do czynienia. Elwira, pomimo wysiłku i bólu, wciąż wygląda pięknie. Marcel, wpatrzony w jej oczy, pocieszająco gładzi ją po ręce. Uśmiechnięta położna zapewnia, że lada moment nastąpi cud narodzin, a oni zostaną rodzicami. Coś w tym musi być, skoro Marcel aż tak się zatracił.

Potem zaczęłam sobie tłumaczyć, że poród nie trwa wiecznie. Góra kilkanaście godzin. Marcel wróci do domu. Życie wróci do normy. Przecież Elwira nie jest jego kochanką, a ich dziecko to błąd – konsekwencja jednej głupiej nocy.

Nie zabawia się z nią, tylko czeka na narodziny potomka. To ze mną się ożenił, ze mną spędzi każde święta, wakacje i resztę życia.

Zasnęłam, gdy mrok sypialni rozświetliły pierwsze promienie lipcowego słońca.

Zbudził mnie ostry dźwięk telefonu dyżurki ochrony. W okamgnieniu przypomniałam sobie wszystko, co się wydarzyło poprzedniego wieczora: przygotowałam romantyczną kolację, oczekując na męża, spaliłam tartę, a potem dowiedziałam się o porodzie Elwiry...

Po krótkiej chwili telefon znów się rozdzwonił. Wyskoczyłam z łóżka i popędziłam do przedpokoju. Gdy przelotnie zerknęłam w lustro, zorientowałam się, że wciąż mam na sobie długą jedwabną suknię w kolorze czerwonego wina, biżuterię, a na twarzy resztki makijażu.

– Słucham? – wymamrotałam rozespana.

– Dzień dobry! Miło mi panią słyszeć! – Rozpoznałam ochroniarza. Wąty, siwowłose, przygarbiony, zbliżający się chyba do setki przemiły emeryt. Taki ktoś ma nas chronić, za niego płacimy grubą kasę. Gdyby ktoś pokazał mu scyzoryk, jak wylękniony pies ukryłby się w budce i udawał głuchego i niewidomego. Zastałam go kiedyś drzemiącego na ławeczce przed szlabanem w ciepłym popołudniowym słońcu. Mankamenty nadrabiał jednak uprzejmością i szczerym uśmiechem. – Jest tu pani, która chce do państwa wejść – poinformował mnie pogodnym tonem. – Przedstawiła się jako siostra pana Marcela. O, właśnie wrywa mi słuchawkę...

– Cześć, tu Milena. – Usłyszałam szczebiot. – Wpuścisz mnie?

– Jasne – odparłam bez zachwyty.

Z dwojga złego wolałabym, żeby to Iwona i mama zrobiły mi wizytowy replay. Milena już tu była – z mężem i rodzicami. Kilka tygodni temu zaprosiliśmy ich na obiad-parapetówkę. Nikt poza teściem i Marcelem niczego nie pochwalił, chociaż dałam z siebie wszystko. Szwagierka i teściowa, jak dwie węszące myśliwskie suczki rasy terier, na charakterystycznie ugiętych nogach, przygotowane do ataku, obwąchiwały wszystkie kąty, by tylko znaleźć na mnie jakiegoś haka, skrytykować, potraktować jak zdobycz na polowaniu. Oprócz teścia – przypominającego mi nieco mojego tatę, siedzącego pod maminią miotłą – reszty rodziny męża, pomimo usilnych starań, nie polubiłam. Szwagier to zarozumiały buc uważający się za cud, na który lecą wszystkie laski, a okulary lustrzanki zdjął tylko do deseru. Milena usilnie lansuje się na inteligentkę, a o mały włos nie zakrztusiłam się zupą, gdy stwierdziła, że słonina jest ze słonia, a Indianie z Indii. No i teściowa. Wycalowała mnie na powitanie, udając uszczęśliwioną moim widokiem. Krwiste ślady szminki, które zostawiła na moich policzkach, musiałam potem zmywać w łazience mleczkiem do demakijażu, bo sam płatek kosmetyczny

nie dał rady. W obu było coś odpychającego i fałszywie skromnego. Obie – z rudymi koczkami i w sukienkach jak na wesele cioci Uli – zachowywały się jak amatorki grające w przedstawieniu dla gimnazjalistów na sali gimnastycznej.

Jeszcze raz spojrzałam w lustro. Pod oczami miałam czarne zacieki od tuszu rozmazanego pod wpływem łez. Pośliniłam kciuk i przetrąłam smugi, a potem palcami przeczesalam włosy. Pobiegłam do kuchni i założyłam srebrne sandaalki, które porzuciłam tam poprzedniego wieczora. Przy okazji zauważyłam migoczącą diodę w mojej komórce. SMS wysłany kilka minut po dziewiątej: „Zostałem ojcem. Wróćę po załatwieniu formalności z uznaniem dziecka. Całusy”. Zakręciło mi się w głowie. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Cóż, stało się to, co się stać musiało. Wróciłam do przedpokoju i zamasyście otworzyłam drzwi.

Stała w progu. W krótkiej niebieskiej sukience, obszytej gryzącymi koronkami, przypominającej koszulkę nocną, i w białych sandałach na drewnianym koturnie wyglądała dość tandetnie. Za to na mój widok zareagowała z entuzjazmem.

– Cześć! – Rzuciła mi się na szyję i przez długi czas nie puszczała. Cmoknęłam powietrze za jej uchem. Nie potrafiłam odwzajemnić uścisków i się odblokować, bo zawiewało obłudą. W końcu mnie uwolniła i udając zachwyt, okręciła wokół. Poddawałam się jej bezwolnie, by tylko ta komedia szybciej się skończyła. – Tobie to dobrze! Marcel żyły sobie wypruwa, haruje dniami i nocami, żebyś ty mogła od samego rana nosić balowe kreacje. Ale masz szczęście!

Stałam przed nią jak wryta. Przygryzłam wargę, by się nie odszczeknąć. Gdyby to była Julia, wyżaliłabym się bez hamulców, ale Milena nie była dla mnie partnerką do zwierzeń.

– Tak – potwierdziłam, wykrzywając usta w czymś na kształt uśmiechu. – Czuwa nade mną cała armia aniołów, na czele z Marcelem. Wejdz – zachęcałam bez przekonania. – Czym cię poczęstować?

Milena poszła prosto do salonu, a ja dreptałam za nią, obserwując jej kształty. W poświacie wpadającego przez okno słońca jej sukienka prześwitywała i miałam wszystko jak na dłoni. Łącznie ze stringami.

– Ja tylko na chwilkę, ale kawę zdążę wypić i jeżeli masz coś słodkiego... Och! – Stała jak wryta na widok stołu nakrytego do wczorajszej kolacji. Z głośników wciąż sączyła się muzyka z filmów o miłości, płyta była nastawiona na zapętłone odtwarzanie. – Naprawdę masz się dobrze! Życie jak w bajce! To dzięki temu, że Marcel tyra na was dwoje jak dziki osioł. Codziennie tak macie?

Wkurzyłam się. Nie zamierzałam się tłumaczyć ani bawić w konwenanse.

– Nie. Dzisiaj u nas wielkie święto! – wypaliłam, podnosząc ręce w geście zwycięstwa. – Mój mąż został ojcem! To wszystko z tego powodu. – Wskazałam na stół. Postanowiłam pobawić się w hipokrytkę. Cóż, kto mieczem wojuje, od miecza ginie. – Gdyby każdemu tak jak jemu zależało na podniesieniu kulejącego

w naszym kraju przyrostu naturalnego, nie groziłaby nam katastrofa gospodarcza! – przemawiałam jak na wiecu, ciesząc się z jej zdeorientowanej miny. – Nie stawalibyśmy się krajem emerytów. Dlatego mówię Marcelowi: tak trzymaj, chłopie! – Milena głupkowato wykrzywiła usta, ale było widać, że dała się wywieść w pole. Wiedziałam, że każdy mój gest i każde słowo zaraz po wyjściu z tego domu roześle w świat. – Wiesz co? – Spojrzałam na wciąż zamknięte białe wino, stojące na stole. Teraz już na pewno miało temperaturę pokojową – klima była nastawiona na dwadzieścia dwa stopnie. Ale przypuszczalnie Milena nie miała pojęcia, że podawanie tego gatunku w takiej temperaturze to zwykłe faux pas. Chwyciłam za butelkę z wbitym już korkociągiem i opierając ją o biodro, jednym zdecydowanym ruchem uwolniłam szyjkę. – Proszę. – Wskazałam miejsce przygotowane dla Marcela. – Nie będziemy pić kawy w takie święto! Wypijmy za zdrowie maluszka i świeżo upieczonych szczęśliwych rodziców! – mówiłam jak nakręcona, napełniając kieliszki. Stuknęłam swoim w ten, który podałam Milenie. – Nie martw się, mam jeszcze kilka butelek, dla Marcela też wystarczy. No, kochana, dzieciak się urodził, jestem taka szczęśliwa, bo rodzina większa!

– Tak – potwierdziła z wypiekami na policzkach i duszkiem wypiła połowę zawartości kieliszka. Zmusiłam się do zrobienia tego samego, chociaż pijąc tak ciepły trunek, w dodatku w takich okolicznościach, czułam się, jakbym stosowała uryntoterapię. – I jak? Wszystko w porządku? – zapytała.

– Myślę, że tak. Marcel asystował przy porodzie. Musi mi wszystko opowiedzieć z detalami. Nawet nie wiem, czy to chłopiec, czy dziewczynka. To ma być niespodzianka. Wyobraź sobie – pochyliłam się jak do najlepszej przyjaciółki, której chce się wyznać sekret, a Milena wpatrywała się we mnie w napięciu – gdy Marcel powiedział mi, że Elwira zaczęła rodzić, sama poczułam coś w rodzaju bóli porodowych. Nawet – ściszyłam głos – żałuję, że nie zorganizowaliśmy czegoś w rodzaju porodu rodzinnego. No wiesz, Elwira, Marcel i ja. – Czułam, że procenty zaczynają krążyć w mojej krwi, a ona, oszołomiona, coraz szerzej otwierała oczy. – Wiesz, Jula, ta moja przyjaciółka, chyba pamiętasz ją z wesela... – opróżniłam kieliszek, a że Milena zrobiła to samo, nalałam następną kolejkę – ...jest ginekologiem, świetnym zresztą. Mówi, że obecność bliskich bardzo pomaga kobiecie znieść ból. Mogłabym na przykład zwilżać Elwirze usta, podczas gdy Marcel ocierałby jej pot z czoła. Widzisz, taka ze mnie kapuściana głowa! Że też nie pomyślałam o tym wcześniej. Ale następnym razem wszystko zawczasu zorganizuję – podsumowałam, zadowolona z siebie. Dałabym radę ciągnąć swoją grę w nieskończoność, bo ku mojemu zdziwieniu spodobał mi się ten sposób na odreagowanie stresu, jednak co za dużo, to niezdrowo. Milena mogłaby się zorientować, że ją roluję. – Miło, że wpadłaś – rzuciłam więc, a mój szósty zmysł sugerował, że nie zrobiła tego bezinteresownie.

– Już tak bardzo chciałam cię zobaczyć. – Przekrzywiła głowę w bok

i uśmiechała się obłudnie. Za składanie fałszywych zeznań grozi kara pozbawienia wolności do lat trzech... – Aha, byłabym zapomniała! – Nie udało jej się uniknąć impulsywnego mrugania, które często demaskuje kłamców. – Tu obok, w butiku Afrodyta, jest totalna wyprzedaż. Tłok jak na Krupówkach, mówię ci! Trudno się obrócić! Ale udało mi się złapać czerwone body, śliczniutkie. – Wstała i wodziła po sobie palcem. – Głęboki seksowny dekolt, o taki, wstawka z koronki potąd...

Kiwałałam głową, udając zainteresowanie, i czekałam na moment, kiedy nastąpi uderzenie.

– Niesamowite! – Wkręcałam ją, udając entuzjazm. – Pokaż!

– No właśnie... – Usiadła strapiona. – Zabrakło mi trzystu złotych. Babka zostawiła mi towar pod ladą, do końca dnia mam czas na odbiór, więc gdybyś mogła... – Spojrzała na mnie błagalnie. – Wiesz, nie musiałabym wracać tramwajem do domu, a karty jak nigdy nie zabrałam. Oddam przy okazji.

– Tak, oczywiście. – Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam portfel. Jak żuraw koroniasty Milena wyciągnęła szyję i wlepiła weń pożądlivy wzrok. – Proszę. – Wyciągnęłam w jej kierunku trzy stówki.

– Wiesz co... Była tam jeszcze taka atłasowa dopasowana tuniczka z cekinami, przeceniona o siedemdziesiąt procent, czyli za niecałe dwie stówki... – Podałam jej jeszcze dwa banknoty i ostentacyjnie zamknęłam portfel.

Wyciągnęła mnie na pożegnanie.

– Lepszej bratowej nie można sobie wymarzyć! Jesteś aniołem.

Z ulgą zamknęłam za nią drzwi. Idąc do łazienki, zrzucałam z siebie sandaalki, suknię, biżuterię, a potem, stojąc pod prysznicem, nastawionym zaledwie na dwadzieścia stopni, zmywałam z siebie wspomnienia wczorajszego dnia i chłodziłam zmysły.

Nieco uspokojona poszłam do jadalni i przywróciłam ją do stanu pierwotnego. Zlikwidowałam finezyjne kompozycje z groszku ułożone w kieliszkach do wina i zrobiłam z nich zwykły bukiet, który włożyłam do porcelitowego wazonu i postawiłam w kuchni. Odświeżne nakrycia i świece upchnęłam z powrotem do kredensu. Pozostał tylko album. Długo obracałam go w rękach, zastanawiając się, co z nim począć. W końcu wylądował w kuchennej szufladzie. Wprawdzie ten rejon zarezerwowany był tylko dla mnie, ale na wszelki wypadek przysłoniłam album silikonową formą do babeczek. Wtedy usłyszałam sygnał nadejścia SMS-a. Spojrzałam na wyświetlacz. Numer nieznany. Pełna nadziei, że Marcelowi wylądował się aparat i skorzystał z czyjejś uprzejmości, otworzyłam wiadomość: „Rozdajemy prezenty! Zamów u nas za minimum sto złotych, a nie pobierzemy...”. Cisnęłam aparatem na stół, ale w tym samym momencie się rozdzwonił. Odebrałam. To była Julia.

– Mam doła... – zaczęła płaczliwie, a ja już wiedziałam, o co chodzi. – A tak się starałam... – Teraz już łkała na całego. – Wzięliśmy urlopy na dni

plodne. Oczywiście łykałam kwas foliowy, witaminki, żelazo. Zamknęliśmy się na cztery spusty, wyłączyliśmy telefony, nastrojowa muzyka, pozycje ułatwiające plemnikom szturm na komórkę jajową, po każdym razie przez kwadrans wkładałam pod pupę poduszkę, opierałam nogi o ścianę i robiłam świecę... A dzisiaj najnormalniej w świecie dostałam okres. Niektórym ciężarnym zdarza się płamienie, więc dla pewności zrobiłam test. Oczywiście wyszedł negatywny... Chyba przez to wszystko wyląduję w psychiatryku!

– Julia... – zaczęłam łagodnie, ale przerwała mi:

– Wiem, wiem. Tylko nie mów mi, jak zwykle, że nie powinnam się kochać z kalendarzem w ręce i uprawiać seksu tylko dla przedłużenia gatunku. Blanka, wpadłam na genialny pomysł!

– Adopcja? – zapytałam, mając gorącą nadzieję, że zdecyduje się na ten krok i jej koszmar wreszcie się skończy.

– Nie. – Na szczęście już nie płakała. – Tajemnica? – zapytała konspiracyjnie.

– Tajemnica – zapewniłam. Na wszelki wypadek usiadłam, bo Julia od dzieciństwa znana była ze swoich ekscentrycznych pomysłów.

– Zmiana dawcy plemników – wypaliła jednym tchem. Zamurowało mnie. Wiedziałam, że będzie oczekiwała aprobaty, tyle że z natury byłam przeciwniczką przyprawiania rogów partnerowi. Przypuszczam, że Iwo w końcowym okresie naszego związku nie był mi wierny, ale ja, pomimo wielu okazji, nigdy nie zrobiłam skoku w bok. Do zdrajców mam taki sam stosunek jak dowódca armii, czyli kula w łeb. Ledwo co udało mi się zaakceptować „zdradę” Marcela, choć miała miejsce, jeszcze zanim go poznałam. Poza tym nie mogłabym spojrzeć Filipowi w oczy! To jak gra na dwa fronty. – Wiesz, jakie są statystyki? – Julia drażyła temat. – Dwadzieścia procent facetów wychowuje nie swoje dzieci, nie mając o tym zielonego pojęcia! Dzisiejszy nocny dyżur był spokojny. Poza jedną cesarką nic się nie działo, więc miałam czas na przemyślenia. Po pierwsze, odpłaciłabym Filipowi pięknym za nadobne, po drugie, cel uświęca środki. Kandydatów jest kilku. Taki młody pulmonolog na przykład. Coś w sobie ma i jest podobny do Filipa. Są niemal jak klony, astralne bliźniaki albo przynajmniej bracia. Tyle że mój mąż jest kilka centymetrów wyższy i ma więcej zmarszczek, bo jest starszy. Kto wie? Może mają wspólnego tatusia? Jakiegoś obrotnego listonosza albo dostawcę pizzy – zaśmiała się nerwowo.

– Julia – starałam się brzmieć delikatnie, bo wiedziałam, że jest zdesperowana – odłóż ten pomysł na co najmniej kilka lat. – Jesteśmy równolatkami i przecież czas naszej płodności nie minął. Za wcześnie na zespół paniki zamykających się drzwi. – Nawet o tym nie myśl. Doktorek z pulmonologii to nie ostatnia deska ratunku. Próbuje z mężem – wzięłam głęboki oddech, bo szykowałam się do ataku – i przestań wreszcie patrzeć na facetów jak na byki

reprodukcyjne! Zrozumiałaś? – zapytałam już bardziej stanowczo, chcąc ją ocucić z fantazji.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. A na następnym nudnym nocnym dyżurze zaparz sobie melisę i się zdrzemnij, zamiast wymyślać durnoty. I przyjmij do wiadomości, że życie nie jest sprawiedliwe. Są dziewczyny, które chłają, ćpają, szlajają się i po jednym numerku zachodzą w ciążę. Tak jak Elwira, która nawiasem mówiąc, właśnie urodziła! – Mój głos poszybował w niebezpieczne rewiry. Byłam rozeźlona i nie zamierzałam bawić się w dyplomatkę, szczególnie że w wyobraźni zobaczyłam Elwirę i Marcela pochylonych z miłością nad zawiniątkiem zawierającym jakiegoś pomarszczonego i czerwonego ludzika.

– Blanka, czy ona się narkotyzowała? – zapytała oburzona Jula.

– Na pewno! – wypaliłam autorytatywnie.

– A skąd ta pewność?

– Tak czuję. – Zaczęłam się nerwowo śmiać, bo zrobiło mi się trochę głupio. Wiedziałam, że wszystko, co mówię, wynika ze zwykłej zazdrości. Chciałabym, żeby Marcel od zawsze był tylko mój, tyle że przecież ja też nie zawsze byłam tylko jego. Ot, podwójna moralność. Zrobiło mi się wstyd.

– Blanka, zwariowałaś? – W głosie Juli usłyszałam naganę. – Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że sama jesteś naćpana. Lepiej powiedz, chłopiec czy dziewczynka – dopytywała szczerze zaciekawiona. – Poród naturalny czy cesarka? Jak długo...

– Nie mam pojęcia – ucięłam. – Możesz zapytać Marcela, był przy porodzie, podczas gdy ja czekałam z kolacją, taką uroczystą... – chlipnęłam. – A może on mnie z nią teraz zdradza?

– Blanka, po pierwsze, zapewniam cię, że ani z literatury fachowej, ani z własnego doświadczenia zawodowego nie znam przypadku, by jakaś położnica ze świeżo zszytym krocem albo raną pooperacyjną na podbrzuszu, z przystawionym do piersi dzieckiem miała ochotę na seks. Pomyśl, jakie mieli szczęście. Wyobraź sobie, że tylko dwadzieścia pięć procent par współżyjących w dni płodne ma szansę na spłodzenie dziecka. W liczbie i jakości plemników Marcela musi coś być – rozmarzyła się. – Poza tym to genialny ojciec. Bystrzak, przystojniak, dobrze zbudowany, odpowiednie proporcje, dobre geny i za pierwszym strzela w dziesiątkę! – Była wyraźnie ożywiona, a w moim mózgu zaczęły wyć syreny. Mojej zdesperowanej przyjaciółce lada moment może wpaść do głowy pomysł, żeby na dawcę wybrać Marcela... Wolalam dmuchać na zimne. Jula ma w sobie tyle uroku, że potrafiłaby omamić nawet najbardziej zakochanego faceta. Przymknąć na to oko to jak na całą noc zostawić otwarte ferrari pod obskurnym blokiem, w którym mieszkałam, licząc na to, że rano dalej będzie na miejscu. Musiałam działać już i natychmiast.

– Julka – zaczęłam ostro – stawiam sprawę jasno: odwal się od mojego Marcela, bo przestanę być miłą, nasze drogi się rozejdą, zniszczę ci życie, staniesz się niewidoma, głucha, łysa, niema i sparaliżowana. Rozumiesz? Aha, i jeszcze bezzębna. I nie zamierzam udawać, że mam klapki na oczach!

– Blanka, uspokój się! Chyba nie traktujesz mnie jak zagrożenia? Nie zrobię ci świństwa. Jeszcze na głowę nie upadłam. Wiem, że tobie też jest trudno. Masz prawo czuć złość, to normalne, ale nie piętrz problemów, wyjdź z tej toksycznej aury, którą się otoczyłaś. Marcel zaraz wróci i wszystko znów będzie w normie. Poród masz już za sobą, a przecież dziecko, jak świat światem, należy do matki. Głowa do góry!

Przetrwałam ten dzień, jak mantrę powtarzając słowa Juli: „dziecko, jak świat światem, należy do matki”. Mój telefon wciąż milczał. Wieczorem usiadłam przy komputerze, by odpowiedzieć na maile przesłane mi przez pierwszych zainteresowanych moją stroną internetową, którą nazwałam „Podbramkowa sprawa bankowa. Porady pro publico bono”. Z dnia na dzień korespondencji przybywało. Przeglądając ją, doznałam czegoś w rodzaju ulgi. To pocieszające, że inni mają problemy znacznie większego kalibru. I to nie zawsze z winy banku – nieraz, kierując się chciwością i prymitywnym cwaniactwem, sami zapędzają się w kozi róg. Tak było w przypadku pierwszej prośby o radę. Spryciara na skanie ręcznie wypisanego zaświadczenia o zarobkach z osiedlowego warzywniaka, w którym pracuje na umowie śmieciowej, żyłką wyskrobała przecinek oddzielający złotówki od groszy i wpisała go o cyfrę dalej (wyszło na to, że ma na rękę prawie dziewięć tysięcy miesięcznie), po czym podpisała dokument pod wniosek kredytowy. Zapomniała jednak poprawić kwotę zanotowaną słownie. Pracownik banku, nie w ciemny bity, odkrył oszustwo – poszedł do szefa, a ten zamierza teraz zawiadomić policję. Poradziłam jej, by nazajutrz z samego rana zaczęła okupować biuro dyrektora i po prostu przyznała się do winy. Niech spróbuje przeprosić za swoje zachowanie i odwieść go od zgłoszenia nadużycia organom ścigania. Sprawa nie powinna być bardzo trudna, bo na tym etapie bank nie stracił ani grosza. Poprosiłam o info w sprawie rozwoju sytuacji.

Właśnie zabierałam się do analizowania następnego maila, kiedy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi. Serce zabiło mi mocniej. Wzięłam głęboki oddech i pobiegłam do przedpokoju.

Marcel był wyraźnie zmęczony, cienie pod oczami pogłębiały delikatnie już rysującą się siatkę zmarszczek, ale w jego zielononiebieskich oczach widziałam ekscytację, jakby zaraz miało się zdarzyć coś, co się zdarza raz na milion lat. Szeroko rozwarł ramiona, a kiedy w nie wpadłam, z całych sił mnie przytulił. Odwzajemniłam uścisk. Wszak od kilkudziesięciu godzin tak bardzo pragnęłam

jego bliskości i utwierdzenia się w przekonaniu, że to ja jestem dla niego najważniejsza.

– Kochanie, zawsze w ciebie wierzyłem. Przygotowałaś mi niespodziankę! – mówił jak na turbodoładowaniu.

– Uhm... – potwierdziłam z ociąganiem, bo wprawdzie ugotowałam jego ulubioną zupę, jarzynową z cieciorą, ale to chyba nie był powód do takiej euforii.

– Wiedziałem, że jesteś aniołem! Chodźmy.

Chwycił moją dłoń i niecierpliwie pociągnął w stronę jadalni. Wzruszyłam ramionami. Był to jedyny gest, na jaki mogłam się zdobyć. Stał w progu, spojrzał na stół i spochmurniał. Ramiona mu opadły, twarz poszarzała.

– Zupa jest na kuchence, zaraz ją podgrzeję... – Wiedziałam, że nie tego oczekuje. Zamilkłam, podczas gdy on uwolnił moją dłoń z uścisku. Chrząknął i spojrzał gdzieś w sufit. Zbierał myśli. Wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. W końcu chwycił mój podbródek i uniósł. Patrzyliśmy sobie w oczy. Ze zdenerwowania czułam ucisk w gardle.

– Blanka, po południu dzwoniła mama, Milena powiedziała... – W ułamku sekundy doznałam olśnienia! Wiadomo, jego siostrzyczka uwierzyła w bzdety, że razem z Marcelem będą celebrowała narodziny dzieciaka. Ale żeby on był takim naiwniakiem? Zrobiło mi się go żal i zarzuciłam mu ręce na szyję. Przez cienką bawełnianą koszulę czułam bijące w przyspieszonym tempie serce. Trwaliśmy tak, niepewni swoich reakcji. – Blanka, nie miałem zielonego pojęcia, jak to jest – podjął. Wiedziałam, do czego zmierza. Chce potraktować mnie jak psychoanalityka, wybebeszyć swoje emocje, pochwalić się dzieciakiem. Kochałam go, więc niezaprzeczalnie powinnam go wspierać, szczególnie na życiowych zakrętach, i nie stwarzać pomiędzy nami tematów tabu. Czułam, że lada moment odpuszczę. Przymknęłam oczy i gładziłam go po włosach, jakby był dzieckiem szukającym pocieszenia po kłótni na podwórku. W wyobraźni jednak zobaczyłam przytulną, oświetloną kominkiem góralską izbę, rzeźbione w motyw szarotek wygodne łoże, a w nim... Zaraz potem wyobraziłam sobie siebie i Marcela, a pomiędzy nimi całkowicie mi obcego dzieciaka. Wspólne weekendy, wypadki do kina, wakacje. I siebie – ocierającą gile z nosa i wyczesującą kołtuny z włosów. O, nie! Jak oparzona wyswobodziłam się z uścisku. Sekunda litości mogła wciągnąć mnie w bagno już na zawsze. Niech sami płacą za swoje błędy!

Zamrugał, jakby gwałtownie obudził się z cudownego snu i musiał powrócić do rzeczywistości.

– Pozalałtwiałeś wszystko? – Staralam się zachowywać tak, jakby wyjechał rankiem i dopiero co wrócił. – Zdecydowałeś się na kupno tego urządzenia?

Długo milczał. Było mu ciężko, ale wiedziałam, że jeżeli zrobię wyjątek, dzieciak raz na zawsze wślizgnie się do naszego życia.

– Nie – odpowiedział już całkiem przytomnie. – To rupieć. Poszukam

czegoś innego.

– Jasne – przytaknęłam, pełna zrozumienia. Z tego, co zdążyłam się zorientować, Marcel jako dostawca cieszył się renomą i bardzo dbał o jakość sprzedawanych towarów. Nie wydawał żadnej kasy na reklamę, a nowych klientów pozyskiwał z polecenia.

– Jarzynowa z ciecierzycą. Twoja ulubiona. – Szybko pocałowałam go w policzek, okręciłam się na pięcie i poszłam do kuchni. Został sam. Nie wiem, co robił, bo od strony jadalni nie dobiegał żaden dźwięk.

Wreszcie wszedł. Stał obok kuchenki, podczas gdy ja zbyt energicznie mieszałam zupę. Każde z nas zostało ze swoimi myślami.

– Pożyczyłam twojej siostrze pięćset złotych – powiedziałam tylko po to, żeby przerwać ciszę.

W piątkowy wieczór wracaliśmy z kina. Wprawdzie plakaty zapewniały, że film wbije nas w fotel i zaprze dech w piersiach, ale okazał się zwyczajnie nudny. Kiepska historyjka o sekretarce nieszczęśliwie zakochanej w swoim szefie. Akcja naciągana, zakończenie do bólu przewidywalne. Dzielnie wytrwaliśmy do końca tylko dzięki pięknym ujęciom i genialnej muzyce. Niedosyt postanowiliśmy sobie jakoś zrekompensować i po krótkiej konsultacji weszliśmy do najbliższego lokalu. Był to młodzieżowy, zatłoczony i zadymiony klub z muzyką techno zagłuszającą każde słowo. Gości w naszym wieku traktowało się tam jak pacjentów oddziału geriatrycznego. Uciekliśmy, jeszcze zanim dopiliśmy małe piwo z sokiem, serwowane w plastikowym kubku. Postanowiliśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. Drugi wybór padł na przytulną, klimatyczną knajpkę o nazwie Głęboki Trans. Od progu miałam wrażenie, że czas cofnął się tu o dobre sto lat. Dębowy, błyszczący parkiet, kryształowe kandelabry, srebrno-biała tapeta, grajek przy pianinie, brzdękający melodie ze starych filmów. Gości niewielu, romantycznie – o niebo lepiej niż w poprzednim klubie.

Usiedliśmy przy stoliku i chłoniliśmy atmosferę jak z kultowych lat dwudziestych. Ach, gdybym jeszcze miała na sobie atłasową sukienkę z plisami i frędzlami, a do tego perły na szyi. Oczami wyobraźni widziałam Marcela w białej, wykrochmalonej koszuli, fraku, z cygarem... Głęboko wciągnęłam aromat wołowego bryzolu, zapiekanego pod pierzynką z grzybów leśnych w śmietanowym sosie, który kelner podał nam na podgrzanych talerzach. Ukroiłam kawałek i spróbowałam, stopniowo zapadając w błogostan. Potrawa była pyszna. Spojrzałam na Marcela konsekwentnie zsuwającego borowiki na obrzeże talerza. Ta czynność, jakkolwiek prozaiczna, uświadomiła mi, że znam go już od podszewki. Wiedziałam, że najpierw zje mięso, a potem dodatki. Przez kilka miesięcy naszego małżeństwa posiadałam wiedzę o wszystkich jego wadach.

Zaliczałam do nich na przykład notoryczne zostawianie kluczyków do auta w najdziwniejszych miejscach, a potem szukanie ich razem ze mną na ostatnią chwilę; albo codzienne zachlapywanie lustra w łazience podczas golenia. Do cech neutralnych zaliczam picie wyłącznie zimnej herbaty i wyłącznie gorącej kawy. Oczywiście Marcel ma też mnóstwo pozytywów, przy których negatywy mają nikłe znaczenie. Ta świadomość dawała mi poczucie stabilności. Pewnego rodzaju gwarancji. Jakbym stała na solidnym postumencie, którego nie jest w stanie skruszyć ani upływ czasu, ani żaden żywioł, a tym bardziej człowiek.

Poczułam przypływ czułości i w tej samej chwili rozdzwoniła się komórka Marcela. Co tak późno? Czyżby jakiś kontrahent? Mój mąż wzruszył ramionami, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął telefon. Odebrał, ale że grajek akurat mocniej uderzył w klawisze fortepianu, nie usłyszałam ani słówka. Prowadzenie rozmowy w takich warunkach było raczej niemożliwe. Marcel wstał, zerknął na mnie przepaszająco i z komórką przy uchu ruszył w stronę korytarza.

Odłożyłam sztucce. Nie wypada jeść, gdy współbiednik na moment odchodzi od stołu. To tak podstawowa zasada jak zakaz mlaskania, cmokania, siorbania, chrupkania czy wypluwania pestek z owoców na talerz. Minuty dłużyły się jak wykład o dylematach ekonomii normatywnej. Z żalem wpatrywałam się w stygnący bryzol, pokrywający się ciemniejszą powłoką. Trudno, poproszę kelnera o podgrzanie, pomyślałam – i wtedy zobaczyłam Marcela. Wracał, ale miałam wrażenie, że im bliżej jest mnie, tym wolniej idzie. Tak jak podchodzi się do komisji egzaminacyjnej po wylosowaniu niefortunnych pytań.

W końcu opadł na krzesło, odsunął swój talerz z taką miną, jakby były na nim wijące się robale, i opierając łokcie o stół, ukrył twarz w dłoniach. Jedno było pewne. Coś poszło nie tak. Przypuszczałam, że klient z Azerbejdżanu, o którym raczył mi wspomnieć, zrezygnował z linii produkcyjnej owocowych żelków.

– Marcel... – Delikatnie chwyciłam go za nadgarstki, zmuszając do opuszczenia rąk. – Nie załamuj się. Razem damy radę. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, choćby wszystko szło na opak, to my...

– Naprawdę? – przerwał mi i podniósł na mnie wzrok. Był tak poważny, jakby przed chwilą dowiedział się o chorobie, która do końca życia przykuje go do wózka inwalidzkiego, i oczekiwał deklaracji, że mimo wszystko go nie opuszczę. – Naprawdę? – powtórzył głośniejszym głosem, a ja poczułam, że od stóp po sam czubek głowy przechodzą mnie ciarki.

– Oczywiście – zapewniłam, gładząc uspokajająco jego dłonie, ale gdzieś w głębi duszy poczułam strach przed tym, co zaraz usłyszę. Pierścionek zaręczynowy po cioci Jusi cudownie błyszczał w świetle kandelabrow, a moje serce waliło coraz mocniej. – Co się stało? – dopytywałam, mając nadzieję, że nie słyszy, jak drży mi głos. – Cokolwiek się stanie, pozostanę przy tobie... – Wpatrywał się we mnie przenikliwie tymi swoimi cudownymi oczami, łudzaco

podobnymi do oczka w pierścionku na moim palcu. Wytrzymałam jego spojrzenie. Przecież moje intencje były krystalicznie czyste. – Marcel, tak bardzo cię kocham. Jesteś moim skarbem, moim powietrzem...

– Elwira... – zaczął niepewnie, a moje palce zastygły w bezruchu.

– Marcel – przerwałam mu, wzdrygając się jak oparzona – umawialiśmy się. Nie chcę wysłuchiwać o... – wyteżyłam pamięć i przypomniałam sobie, na co narzekała Iwona po porodzie – ...problemach w gojeniu się krocza, metodach odciągania pokarmu, nocnych pobudkach, tygodniowym braku kupy i zatkanym nosku! – wypaliłam i dodałam z wyrzutem: – Umów należy dotrzymać!

Uznałam sprawę za zakończoną. Niebyłą. Znowu muskałam jego dłonie, jednocześnie szukając wzrokiem kelnera, by poprosić go o podgrzanie bryzoli. Jednak reakcja męża mnie zaniepokoiła. Stanowczo odsunął ręce i wyprostował się na krześle. Powiało arktycznym mrozem.

– Nie zawsze się da – mruknął posepnie. Byłam przekonana, że źle usłyszałam. – Nie zawsze się da, Blanka – powtórzył z naciskiem. – Nastąpiła istotna zmiana okoliczności. Dotrzymanie umowy nie leży w interesie mojego małego potomka.

– Mów do mnie po ludzku. – Słowa z trudem przechodziły przez moje zaciśnięte gardło.

– Elwira nie chce zajmować się dzieckiem. Nazwała je – skwasił się – śmierdzącym kupą niepotrzebnym balastem. Dzwoniła tuż przed wyjazdem na lotnisko. W nocy wylatuje do Sztokholmu.

– Na wakacje? – dopytywałam pełna nadziei. – Czy na dłuższy weekend? Tak jak nasz kilkudniowy wypad do Pragi na degustację piwa w restauracji Szwejka? Pamiętasz? Rozumiem, że po urodzeniu dziecka potrzebuje trochę relaksu, a te kilka dni...

– Na stałe – uciał stanowczo, a ja czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. – Powiedziała mi – objął szklankę z wodą tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie – że w pensjonacie przez kilka tygodni gościli Szweda. Na początku nawet nie zwracała na niego uwagi, ale potem z nudów poflirtowali. Potraktowała to jako przygodę, taki przerywnik w rutynie codzienności, która kręciła się wokół pampersów i szczepień. A teraz nie wyobraża sobie bez niego przyszłości. Wyjeżdża razem z nim. – Przerwał na moment. Grajek brzdękał na fortepianie. Marcel przymknął oczy, jakby znalazł się w innym świecie. A ja musiałam się zmierzyć z brutalną rzeczywistością. Chciałam, by sytuacja się wyklarowała – już, natychmiast. – Blanka, pomożesz mi? – Głos mojego męża zabrzmiał jak cichy, błagalny jęk.

– Jasne – potwierdziłam odruchowo, a Marcelowi z euforii roziskrzyły się oczy. – Zaraz coś wymyślimy. Spokój, tylko spokój może nas uratować. Zaraz opracujemy plan kryzysowy. – Masowałam swoje obolałe z emocji skronie. – Wiem! Najprostsze rozwiązania są najlepsze. Marcel, jak świat światem, dziecko

należy do matki – rozemocjonowana powtórzyłam maksymę zasłyszana od Juli. – Szwecja to piękny kraj. Byłam tam. Nieskażona przyroda, parki narodowe, czyste powietrze, zorze polarne, proekologiczne myślenie – nadawałam jak nakręcona – świetna opieka socjalna. Dziecku będzie tam najlepiej pod słońcem! Po prostu Elwira zabierze je ze sobą...

– Nie zamierza – odparł kategorycznie. – Ma teraz nowe życie i o starym chce zapomnieć.

– Mówiąc precyzyjniej, własne dziecko obchodzi ją tyle co mnie kod pocztowy Bombaju! – skwitowałam wściekła.

Zacisnął wargi.

– Po pierwsze, na wyjazd dziecka musiałbym wyrazić zgodę. Nawet na wydanie paszportu. A żeby to zrobić, musiałbym upaść na głowę! I co dalej? Zaszłyby się z małą w jakiejś szwedzkiej części Laponii, nie podała adresu i karmiła mięsem z renifera.

– A więc to dziewczynka. Tym lepiej. Mięso z renifera jest bardzo pożywne, szczególnie dla dojrzewających panien, które potrzebują energii i budulca. Zawiera całe mnóstwo składników mineralnych, witamin...

– Ty nie jadłaś reniferów i niczego ci nie brakuje – skwitował, nerwowo stukając opuszkami palców o blat.

– Marcel, byłam kiedyś w Laponii. To baśniowa kraina z mnóstwem atrakcji: farmy reniferów, psie zaprzęgi, skutery śnieżne, a przede wszystkim rzut beretem od Finlandii i Rovaniemi, wiesz, wioski Mikołaja... *Jingle bells, jingle bells, jingle all the way...* – zaczęłam podśpiewywać, ignorując narastającą w gardle gulę.

– Blanka, daj spokój. – Marcel lekceważąco machnął ręką. – Elwira złożyła już u prawnika jakieś oświadczenie o rezygnacji z praw do dziecka, by przedstawił je w sądzie jako dowód. Jakby tego było mało, wykonała anonimowy telefon do opieki społecznej, niby jako swoja sąsiadka, i uprzejmie doniosła, że dziecko jest brudne, mokre i głodne. Zaraz przyleciał inspektor na kontrolę. Specjalnie nie zmieniła pampersa od poprzedniego dnia i nie nakarmiła małej. Gdy przyszedł, Elwira piła piwo przed telewizorem. Drzwi do pokoju dziecka były zamknięte...

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Sama mi się pochwaliła swoją przebiegłością. Spisali protokół. Na razie dostała tylko ostrzeżenie czy coś w tym rodzaju.

– Jest przecież jeszcze mama Elwiry. To na pewno kochająca babcia... – Zamilkłam, bo twarz mojego męża jeszcze bardziej spochmurniała.

– Nie tego się po tobie spodziewałem – skwitował, patrząc na mnie z wyrzutem.

– Mogłaby się zaopiekować wnuczką chociaż do czasu, aż Elwira wróci. – Nachyliłam się w jego stronę. – Teraz działa chemia miłości, ale prędzej czy

później różowe okulary, przez które patrzy na tego Szweda, opadną. Ekstaza minie, zateśkni i z podkulonym ogonem wróci do kraju i do córeczki. Przecież dziecko to nie maskotka, którą się porzuca ot tak. Tak będzie, zobaczysz...

– Nie. Nie będzie – skwitował ponuro. – Matka Elwiry włączyła się do naszej rozmowy i oznajmiła, że nie zamierza tracić reszty życia na niańczenie mojego... – głos mu się załamał – bachora. Powiedziała, że dziecko ma oboje rodziców, a Elwira sama sobie go nie zrobiła. Postawiła warunek: albo najpóźniej jutro wieczorem zabieram małą, albo zawiadamia opiekę społeczną. W wyniku takiej interwencji dziecko wyląduje w rodzinie zastępczej. Rozłączyłem się i natychmiast zadzwoniłem do mojego wujka, Jarka. Pamiętasz go? Był na naszym ślubie. – Wujka pamiętałam aż za dobrze. To kuzyn taty Marcela, spec od spraw rozwodowych. Zanim upił się do nieprzytomności, każdemu wciskał wizytówkę swej kancelarii. Sama dostałam jedną, tuż po oczepinach. – Sprawa na szczęście nie jest przegrana – kontynuował, coraz bardziej rozemocjonowany. – Dobrze, że uznałem dziecko i jestem pełnoprawnym opiekunem. Wujek poprowadzi mi tę sprawę. Najprawdopodobniej przejdę badania w ośrodku konsultacyjnym, a potem będę musiał przekonać sąd, że jestem lepszy niż rodzina zastępcza, czyli mam odpowiednie warunki i dam radę się opiekować kruszynką. A przecież jestem lepszy, więc sprawę mamy właściwie wygraną. Gdyby nie to – kręcił głową z niedowierzaniem – mógłbym już nigdy nie zobaczyć mojej córeczki. Dobrze, że miałem dość oleju w głowie, prawda? – Szukał u mnie potwierdzenia, ale ja siedziałam jak sparaliżowana. Gula w moim gardle już niemal mnie dusiła. – Damy radę, Blanuś, nie martw się – mówił łagodnie. – Wiem, nie tak miało być, ale nie mamy innego wyjścia. Posłuchaj – spojrzał z niepokojem na zegarek – zaraz wyjadę i wrócę najpóźniej jutro wieczorem, a ty w tym czasie zorganizujesz przytulny kącik dla kruszynki. Jak myślisz, który z czterech pokoi dla niej przeznaczymy? – Milczałam jak zakłeta. – Sypialnia odpada, moje biuro też, bo muszę mieć trochę spokoju do pracy. Salon też nie jest odpowiedni, przyjdą goście, będzie za głośno. Więc dopóki nie zbudujemy domu, to może twój pokój? Przeniesiesz się z laptopem do mojego biura. Stamtąd też możesz udzielać tych swoich internetowych darmowych porad. Nie pobijemy się przecież. Oczywiście to tylko na jakiś czas, bo w naszym domu już wszystko będzie jak trzeba. A jutro od rana poszalej w sklepach, kup małej ubranka i inne niezbędne rzeczy. Ona jest... gdzieś taka. – Rozłożył dłonie nad blatem, po czym zawahał się na ułamek sekundy i nieco zwiększył dystans. – Już na pewno trochę urosła od ubiegłego tygodnia, dzieci tak szybko...

– Od kiedy? – Usłyszałam swój głuchy głos.

– Od wtorku ubiegłego tygodnia... – Poczzerwieniał.

– Od tego wtorku, który ponoć spędziłeś w Szczecinie? – Zmrużyłam oczy i pacnęłam się dłonią w czoło. – A ja, głupia, odprowadziłam cię bladym świtem

do auta. I kanapeczki ci przygotowałam. Pamiętasz? Przy każdej był liścik, żeby ci było miło, gdy się zatrzymasz na parkingu, by coś przekąsić. I co? Czytałeś, że za tobą tęsknię, zrywając boki z mojej naiwności?

– Nie. To nie tak. – Wydawał się spłoszony moim wybuchem. – To nie tak. Mijałem się z prawdą tylko i wyłącznie, gdy chodziło o małą. Bo zawsze, gdy padał ten temat, ty strzelałaś focha.

– Z przytupem i melodyjką?

– Co proszę?

– Nieważne. – Machnęłam ręką. – Teraz ważne jest to, żebyś sprecyzował, czego ode mnie oczekujesz. Mam jutro włożyć małą do becika, lulać i niuniać, radośnie podśpiewując *Aaa, aaa, kotki dwa?* Na głowę upadłeś? Dobrze wiesz, że zwlekam z urodzeniem własnego dziecka! – powiedziałam z naciskiem. – Na dzień dzisiejszy naprawdę nie rozpiera mnie instynkt macierzyński! Myślisz, że ona mnie zachwyci i zwariuje na jej punkcie?

– Ale kruszynka jest naprawdę słodka i kochana. Ma takie śliczne dołeczki w policzkach...

– Nie interesuje mnie to. Każde niemowlę jest takie. Wituś Iwony też taki był – w opinii wszystkich oprócz mnie. Dla mnie był po prostu pomarszczoną, łysą jak kolano miniaturką stulatka. A teraz? Ma niespełna trzy lata. Ostatnio, gdy ich odwiedziłam, przyniosłam mu czekoladę. W podzięcie wyeksponował środkowy palec i wykrzyczał, że jestem dumna, bo jada tylko nadziewane. A Iwona jeszcze się zachwycała, że potrafi tak dobitnie wyrażać swoje uczucia. Nie mówię już o Iwanie IV Groźnym, krwawej hrabinie Elżbiecie Batory czy Kubie Rozpruwaczu. Wszyscy oni w okresie niemowlęctwa byli bezbronni i w oczach matek – najurodziwsi pod słońcem. Dlatego wybaczone, ale nie zamierzam piąć z zachwyty nad waszym dzieciakiem. To nie moja sprawa!

– Nieprawda, teraz jest już twoja... nasza, bo jesteś moją żoną... – Siedział wyprostowany i poblady. Ja czułam, że z emocji płoną mi policzki.

– Pic na wodę! – warknęłam. – To sprawa wyłącznie twoja i Elwiry! Skoro nie wiecie, co to antykoncepcja, wypijcie nawarzone przez siebie piwko! Smacznego! To draństwo, że chcesz wydać wyrok ograniczający moją wolność. Zamknąć mnie za kratkami na dwadzieścia pięć lat, do czasu, aż twój dzieciak skończy studia, albo i dłużej, bo wielu siedzi na garnuszku starych, jak długo się da. Wiesz co? – Podniosłam się i oparłam ręce o stół. Udawałam, że nie widzę gapiącego się na nas kelnera. – Uważam tę bezsensowną dyskusję za zakończoną. Poradzę sobie bez ciebie i bez twojej kruszynki!

Chciałam bardziej ekspresyjnie wyładować kipiącą we mnie złość. Rzucić w niego wyschniętym już, ledwo tkniętym bryzolem, pokazać mu środkowy palec, obrzucić obelgami. Cokolwiek, byle tylko mi ulżyło. Ale na szczęście ostatkiem sił się powstrzymałam, chociaż nigdy jeszcze nie byłam tak wyprowadzona

z równowagi. Zdmuchnęłam grzywkę, która opadła mi na oczy, i odwróciłam się na pięcie.

Wtedy jeszcze miałam nikłą nadzieję, że będzie próbował mnie zatrzymać, przytulić, pocieszyć, znaleźć jakieś inne rozwiązanie tej sytuacji. Ale usłyszałam za sobą tylko:

– A my bez ciebie.

Spojrzałam przez ramię. Siedział wciąż w tej samej pozycji, patrzył na mnie obojętnie. Jego twarz przypominała kamienny posąg, w którym nie ma ani iskierki życia. Wzdrygnęłam się. Pomiędzy nami wyrosła fosa nie do przebycia, zabezpieczona gęstymi zasiekami z kolczastego drutu.

Mocno pchnęłam drzwi restauracji w nadziei, że głośno za mną trzasną. Niestety, to też mi się nie udało.

Ku własnemu zdziwieniu nie rozplakałam się, chociaż o tej porze na ulicy i tak nikt by tego nie zauważył. Dochodziła dwudziesta trzecia, marzyłam o tym, by jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu. Poszłam na skróty – przez wąskie zaniedbane uliczki wśród starych opuszczonych magazynów i lizajowatych domów z sypiącym się gzymsem. Moje kroki odbijały się echem po pustej ulicy.

Czułam się jak w potrzasku. Z jednej strony z wielkim hukiem opuściłam kurtynę na moje życie sprzed ślubu. Rzuciłam znieawidzone stanowisko, chociaż dawało mi prestiż i finansową stabilizację. Zostawiłam okropne, ale własne mieszkanie. Z drugiej strony przyszłość jawiła mi się jako wielka czarna dziura... Ech, Jula, dziecko nie zawsze należy do matki. Obie o tym wiemy. Już w starszakach uczą o australijskim emu, dużym nielocie, przypominającym mokrego i wyświechtanego mopa. Samiec emu zaraz po wykluciu się małych dymisjonuje samicę, a sam chucha i dmucha na młode przez pół roku, aż się usamodzielnia. Takich przykładów jest w przyrodzie całe mnóstwo. Widocznie uległam chwilowej amnezji. Cóż, sama sobie jestem winna.

Nagle poczułam, jak zaciskają mi się szczęki. Muszę wziąć się w garść. Całe życie sama sobie radziłam, zawsze byłam silna. Teraz też muszę pójść własną ścieżką. Ech, Marcel, ty pierwiastku zera do kwadratu, narobiłeś mi tylko bałaganu w życiu. Ale poradzę sobie, stwierdziłam, z niepokojem obserwując trzech osobników, którzy jeszcze przed chwilą stali w bramie po przeciwnej stronie ulicy, a teraz wolno, z rękami w kieszeniach, w kapturach zakrywających twarze, zbliżali się w moją stronę.

– Sprawdźmy, ile dupa ma kasy – usłyszałam głos jednego. Pozostali odpowiedzieli rechotem. Drgnęłam ze strachu. Szybko spróbowałam ocenić swoje możliwości obrony – niestety były żadne. Staralam się więc zapamiętać jak najwięcej charakteryzujących ich szczegółów. Czarne kurtki, białe adidasy, bure,

powyciągane spodnie z krokiem w kolanach, dość wysocy. Tylko tyle. Kolor włosów, oczu, stan uzębienia, przypuszczalny wiek, zarost? Nie miałam pojęcia. Wszystko kryło się pod kapturami, poza tym było ciemno. Poprzysięgłam sobie w myślach, że jeśli przeżyję, urządzę manifestację postulującą zakaz zakrywania twarzy na ulicach. Jak te w Belgii albo we Francji. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, że powinnam się wydzierać, uciekać, próbować zaalarmować policję, wyciągnąć z torebki dezodorant w sprayu i użyć go jak gazu pieprzowego. Ech, że też nie wzięłam taksówki.

Stałam hardo pod jedynym na ulicy neonem, fioletowym błyskiem zachęcającym do wzięcia „chwilówki od ręki”. To umożliwiło nam wzajemną obserwację. Zatrzymali się naprzeciwko mnie. Widziałam tylko ich oczy – odbijające fioletowe światło neonu. Przypominały ślepiea lampartów gotowych do ataku. Tak łatwo się nie poddam, przyrzekłam sobie. Mimowolnie mocniej zacisnęłam szczęki, poczułam, jak moje ciało wypełnia siła i chęć walki. Wtedy ten, który był w środku, jak przypuszczam – prowodyr, mruknął coś do pozostałych i nieoczekiwanie się rozstąpili, otwierając mi drogę ucieczki. Patrzyłam na nich z niedowierzaniem. Byłam pewna, że to jakiś fortel – zrównam się z nimi, a wtedy oni zaatakują. Ale niczego nie dałam po sobie znać.

– Dziękuję – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam.

Milczeli.

Pewnym krokiem ruszyłam przed siebie. Minęłam ich i wyprzedziłam. Zyskiwałam coraz większy dystans, gdy któryś z nich zawołał:

– Proszę pani! – Stałam i odwróciłam się. Obserwowali mnie, w dalszym ciągu skrywając twarze pod kapturami. – Czy coś się stało? Potrzebuje pani pomocy?

– Nie, dziękuję! – odkrzyknęłam i pomachałam im na pożegnanie, wdzięczna, że oszczędzili mi tej nocy dodatkowych wrażeń.

Gdy w końcu bezpieczna weszłam do mieszkania, oparłam się o drzwi i mimowolnie spojrzałam w lustro. Ledwo się poznałam. Mina zacięta jak u zawodniczki, która w opinii kibiców z góry sklasyfikowana jest jako przegrana, ale stojąc w blasku reflektorów na środku stadionu jest pewna, że pobije rekord świata.

– Poradzisz sobie, jak zawsze – powiedziałam do siebie.

Potem z impetem wyciągnęłam z garderoby szeleszczący pakunek. Rozerwałam go, pomagając sobie zębami, i wypakowałam trzyczęściowy strój do fitnessu, uszyty z mieszanki bawełny z lycrą. Do kompletu były sportowe buty z amortyzacją.

Zaczęło się przedwczoraj, w porze obiadowej. Najpierw niewinnie – od przystawki w postaci domowych chipsów selerowych, poprzez klopsiki gotowane na parze ze świeżymi pomidorami, a skończyło na lodach brzoskwinowych

z pełnotłustą bitą śmietaną, popijanych słodkim porto. Obzarci okrutnie stwierdziliśmy, że jak tak dalej pójdzie, to nie będziemy mogli się kąpać w wannie, bo zabraknie miejsca na wodę. Trapieni wyrzutami sumienia, chcąc spalić choć część kalorii, poszliśmy spacerkiem do najbliższego sklepu sportowego, zrobiliśmy porządne zakupy i obiecaliśmy sobie, że od przyszłego tygodnia będziemy regularnie korzystać z całodobowej siłowni w naszym apartamentowcu. Przecież wystarczy zjechać windą do piwnicy.

Ubranie zmieniłam jeszcze w przedpokoju. Zabezpieczyłam włosy opaską, wzięłam z kuchni butelkę mineralki i już za kilka minut byłam na sali treningowej. Myślałam, że będę sama – był przecież środek nocy, ale w rogu jakiś zapaleniec ociekający potem wyciskał ciężary.

Podeszłam prosto do czerwonego worka treningowego. Jego kolor zadziałał na mnie jak płachta na byka. Rozsierdzona uderzałam na oślep gołymi pięściami, wylewając z siebie stek przekleństw.

– Proszę pani! – usłyszałam w pewnym momencie. Zapaleniec, który jeszcze przed chwilą ćwiczył w kącie, przekrzykując mnie, zatrzymał mój worek. Ręcznikiem przewieszonym na szyi wycierał pot z czoła. – Proszę. – Podał mi rękawice bokserskie. – Gołymi rękami robi sobie pani krzywdę – tłumaczył, podczas gdy niewprawnie próbowałam je założyć. Pomógł mi i ścisnął nadgarstki zapięciem na rzepy. – Za duże, ale lepszy rydz jak nic – skwitował, po czym zapytał życzliwie: – Jakieś problemy?

– Tak, małżeńskie – roześmiałam się nerwowo.

– Witam w klubie. A już myślałem, że w naszym penthousie tylko ja je mam. – Pokiwał głową. – Rękawice może pani zatrzymać. Ja etap worka mam już za sobą. Teraz działa na mnie siłówka. A swoją drogą, jestem Bogumił, spod dwójki. Ostatnio się nie przedstawiłem.

– A ja Blanka, spod siódemki.

– Jasne!

– Powodzenia, Bogumił!

Myślałam, że tej nocy nie zmruję oka. Ale gdy tylko przytuliłam się do miękkiej poduszki z poszewką zdobioną monogramami naszych imion, zasnęłam głębokim, spokojnym snem.

Zbudziłam się przed dziesiątą. Przeciągnęłam się leniwie i odruchowo pogładziłam miejsce obok siebie. Jest cudnie, uznałam, powoli wracając do rzeczywistości. Jest sobota, zaraz przygotuję śniadanie, potem pójdziemy na wystawę psów, poszwendamy się, uzgodnimy, jakiej rasy szczeniaczka kupimy, gdy już będziemy mieli własny dom. Małe pieski są takie słodziutkie! A może weźmiemy jakiegoś kundelka ze schroniska, podrzuconego tam przez podłych,

nieodpowiedzialnych ludzi. Może nawet takiego, którego trzeba będzie karmić strzykawką, bezbronno...

Psiakość! Gwałtownie usiadłam na łóżku i przetarłam sklezione snem oczy. Mogę sobie wybić z głowy te mrzonki. Rozgoryczona spojrzałam na puste miejsce obok mnie. Czułam wzbierającą we mnie złość. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do kuchni. Napiłam się zimnego mleka, bezpośrednio z butelki, założyłam strój do fitnessu i zjechałam windą na sam dół.

Tym razem sala treningowa była pusta, więc mogłam pozwolić sobie na więcej. Wściekłym uderzeniem w worek towarzyszyły spontaniczne efekty akustyczne. Szło mi zdecydowanie lepiej niż poprzedniego wieczora.

Potem, już w mieszkaniu, stojąc w strumieniu niemal zimnej wody pod prysznicem, stwierdziłam, że nie tylko trening czyni mistrza, ale również silna motywacja. Jak tak dalej pójdzie, to zostanę fitnessowym guru – przynajmniej w naszej siłowni. A tymczasem spokój, tylko spokój może mnie uratować.

Postanowiłam – w miarę możliwości bez paniki – poczekać na rozwój wydarzeń. Zaraz po śniadaniu podwyższyłam temperaturę w mieszkaniu o dwa stopnie i zaopatrzona w odpowiednie akcesoria, czyli czajnik z kawą, kubek z napisem „Happy forever”, miseczkę z mieszanką migdałów i suszonej żurawiny oraz książkę, wygodnie usiadłam w fotelu. Musiałam się odciąć od rozmyślań o przyszłości. Tak naprawdę nie wierzyłam w to, że Elwira – przy takim wsparciu ze strony Marcela, o jakim innym samotnym matkom nawet się nie śniło – jest w stanie zostawić dziecko. Nie musi się przecież zamartwiać wysokością opłat za przedszkole albo ceną aparatu ortodontycznego. Wręcz przeciwnie – może stuprocentowo liczyć na ojca dziec-ka, o czym chyba przekonała się już w czasie ciąży. Przecież wysyłał jej pieniądze na witaminy, wyprawkę i inne zachcianki, asystował przy porodzie, uznał dziecko, a potem je odwiedzał. Zostawienie małej można by porównać do pozbycia się dojrzałej krowy. Coraz mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że Marcel wkrótce wróci do domu – sam, a ja porozmawiam z nim spokojnie i pójdę na ustępstwa. Niech już sobie do nich jeździ, kiedy chce, niech mi nawet nawija o gaworzeniu, raczkowaniu, opuchniętych dziąsłkach i samodzielnym trzymaniu butelki, żeby tylko było między nami jak dawniej.

Zachwycona własną wielkodusznością, otworzyłam *Annę Kareninę* na stronie zaznaczonej zapasowym, nieużyтым zaproszeniem na nasz ślub, które traktowałam jako zakładkę. Po wyrzuceniu w kąć babskich gazet wzięłam się za rosyjską klasykę. Po Bułhakowie i Dostojewskim przyszła kolej na Tołstoja. Popijając kawę i zagryzając bakalią, zagłębiłam się w lekturze, okrzykniętej romansesem wszech czasów. Jeszcze poprzedniego dnia po obiedzie czytałam o rodzącej się miłości Anny do Wrońskiego i ich rozwijającym się romansie; Marcel siedział w swoim biurze i załatwiał jakieś sprawy przez telefon. Nic nie zwiastowało małżeńskiej katastrofy. Teraz byłam w zgoła odmiennym nastroju i po

przeczytaniu kolejnych kilkudziesięciu stron wkurzyłam się. Sprawy zaczęły się komplikować, a tytułowa bohaterka miała wszystko stracić. Zamknęłam książkę z trzaskiem.

Popelniasz błąd, a wybujałe libido przysłania ci cały świat! Dziewczyno, zrujnujesz sobie i innym życie! – chciałam wykrzyknąć. Tak samo jak Marcel swoją przygodą erotyczną w góralskim pensjonacie! To czyste szaleństwo wybierać tak zgubne obiekty zainteresowań!

Poszłam do kuchni i wyciągnęłam z szafki zamknięty jeszcze karton z nowym tosterem. Poprzedni się zepsuł, więc kupiłam nowy. Czekał, aż przyjdzie nam ochota na gorące kanapki. Niecierpliwie rozrywałam tekturę i taśmy ochronne, niepewna, czy znajdę w środku pożądaną pociechę. Jest! Folia bąbelkowa! Odetchnęłam.

Stałam przy oknie. Obserwowałam, jak wielobarwne liście wolno spadają z drzew, tworząc pierzasty, szeleszczący dywan. Z zapalem dziurawiłam napełnione powietrzem pęcherzyki. Pstryk, pyk, pstryk, pyk... Liście, folia, liście, folia, regularnie, cudnie. Muszę sobie kupić całą wielką rolkę. Od razu lepiej.

Po chwili moje serce załomotało. W monotonnym krajobrazie zauważyłam srebrne infiniti stojące przed podnoszącym się szlabanem przy stróżówce naszego apartamentowca. Wysiłłam wzrok. Tak, za kierownicą na pewno siedział Marcel. Ale obok? Jakaś kobieta?

Jeszcze kilka minut i sytuacja się wyklaruje – oczywiście na moją korzyść. Nie zostawia się kury znoszącej złote jaja, pocieszałam się, w dalszym ciągu drżącymi jak u alkoholika palcami miętolać folię. Ten tajemniczy pasażer to na pewno jedna z sąsiadek, którą Marcel spotkał po drodze i z uprzejmości podwozi. Spokój, tylko spokój, cokolwiek się stanie, powtarzałam sobie. W tym momencie dotarło do mnie, że z płachtą folii i rozpalonymi policzkami wyglądam jak uciekinierka z psychiatryka. Migiem wrzuciłam folię do swojego pokoju, sprzątnęłam termos i kubek i pobiegłam do przedpokoju. Niech będzie, co ma być, byle szybko.

Otworzyłam drzwi na oścież – w samą porę, bo winda właśnie się zatrzymała na naszym piętrze. Odetchnęłam z ulgą, widząc Marcela niosącego zakupy. Niepotrzebnie pisałam czarne scenariusze. Uśmiechnęłam się z satysfakcją i zrobiłam kilka kroków w jego stronę. Niestety, nie podzielił mojego entuzjazmu, nawet na mnie nie spojrzął – ominął mnie zręcznie i bezkolizyjnie, jakbym była pachołkiem zabezpieczającym uszkodzony chodnik.

– Marcel... – W ostatniej chwili chwyciłam go za rękaw koszuli, ale uwolnił się jednym zdecydowanym szarpnięciem i poszedł prosto do swojego biura. Wrzucił do środka pakunki, zatrasnął drzwi, po czym, cały czas ustawiając się do mnie plecami, jak celebryta pod ostrzałem obiektywu natrętnego paparazzi, wyszedł z mieszkania.

Stałam na środku przedpokoju i czułam się zupełnie zdezorientowana, jakbym dopiero co zeszła z wirującej karuzeli. Próbowałam się skupić, pocierając skronie. Co jest grane? Na odpowiedź nie musiałam długo czekać, bo znów usłyszałam zatrzymującą się windę i dwa głosy – Marcela i jakiejś kobiety. Barykada! – to pierwsza myśl, jaka przysłała mi do głowy. Przesunąć szafę do drzwi i udaremnić im wejście. Nonsens... Po pierwsze, nie było na to czasu, a po drugie, mebel był na stałe wbudowany we wnękę. Trudno. Niech będzie, co ma być.

Najpierw, stukając w marmurową podłogę metalowymi flekami botków, pewnym krokiem do przedpokoju weszła kobieta. Emanowała pewnością siebie. W przyziemnym świetle trudno mi było określić jej wiek. Dopasowany trenaż w biało-czarne pasy zebry, długie, proste, tlenione włosy z przedziałką na środku, opadające na policzki i zasłaniające twarz – mogła być zarówno nastolatką, jak i starszą panią. W prawej ręce trzymała wiklinowy koszyk, jakby wybierała się na piknik albo niosła szczeniaka do weterynarza.

Zapaliłam górne światła, na co dzień praktycznie nieużywane. Zawsze sądziłam, że elektryk przesadził z liczbą lamp w przedpokoju. A jednak spryciarz pomyślał o sytuacjach ekstremalnych. Poczulałam, jak kilka kubków kawy wypitej tego dnia gwałtownie podchodzi mi do gardła. Zgaga, znowu zgaga na tle nerwowym. Nie miałam jej od czasu dyrektorowania w banku. Lepiej było wypić macierzankę albo melisę. Mama pije je od wieków i nic nie jest w stanie jej ruszyć.

Zrobiło się jasno jak na sali operacyjnej. Kobieta założyła opadające kosmyki włosów za uszy i wreszcie ujrzałam ją w całej krasie. Mogła mieć około pięćdziesięciu lat. Jej twarz – mówiąc delikatnie – nie nadawała się na okładkę „Vogue’a”. Grubą warstwą fluidu próbowała ująć sobie lat – bezskutecznie, bo efekt okazał się odwrotny do zamierzonego. Podkład obciążył skórę, wszedł w bruzdy i tylko uwidoczniał zmarszczki. Metaliczne grafitowe cienie do powiek i błyszcząca rubinowa pomadka, którą wyjechała poza linię ust, z założenia miały dodać zmysłowości, ale zadziały karykaturalnie. I te zaczerwienione oczy... Może to efekt nieprzespanej nocy? Mniejsza o to. Dzidzia-piernik, pomyślałam.

Za kobietą stał Marcel. Lekko posapywał. Przypominał pracownika firmy przeprowadzkowej. Przez ramię przewiesił gigantyczną torbę, w lewej ręce targał walizę, która lata świetności miała już dawno za sobą, a w prawej wielkiego, szarzielonego pluszaka, przypominającego uśmiechniętego osła.

Nagle w piknikowym koszyku coś się poruszyło. Zerknęłam do środka, udając chłodną obojętność. W fioletowym śpiworku z aplikacją kolorowego motyla leżało dziecko. Pół jego twarzy zakrywał smoczek w kształcie serduszka, a drugą połowę – czapeczka. Pomiędzy nimi zdołałam zauważyć oczy – zdezorientowane, z opuchniętymi powiekami, zmrużone pod wpływem ostrego światła. Nie ma się kim zachwycać, podsumowałam. Tak naprawdę nie byłam w stanie strawić tej

małej. Jako żywy dowód zdrady, której dopuścił się Marcel przed naszym poznaniem, była dla mnie wręcz odpychająca. Zresztą, doszłam do wniosku, nie warto się skupiać na dziecku, którego w życiu nie tknę nawet palcem, bo ma jedną podstawową wadę: nie jest moje. Nikt mnie do tego nie zmusi. W tej chwili zdecydowanie ważniejsze jest dla mnie moje małżeństwo, a raczej to, co z niego zostało. Chociaż pewnie może je uratować już tylko cud.

– Zakładasz harem? – zwróciłam się do Marcela. – Żona jest – wskazałam na siebie, a potem na kobietę – nałożnica również. No i oczywiście ty, jako pan i władca. Trochę skromnie, ale z czasem, kto wie...

– Jeszcze wczoraj byłabyś w nim moją faworytą. Ale co było, to nie jest – odgryzł się.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. – Spojrzałam na kobietę, wykrzywiając usta w uśmiechu zołzy. – Blanka Tuszyńska, żona tego pana.

– Jeszcze żona – podkreślił. Zignorowałam go, chociaż miałam ochotę rzucić w niego mosiężną figurką jelenia, która stała na półce tuż obok. – Zresztą – ziewnął demonstracyjnie – zaspokoję twoją ciekawość. To jest pani Zyta, dyplomowana pielęgniarzka, która zajmie się moim skarbem. Twojej łaski nie potrzebuję. A teraz nie tarasuj nam drogi, chcemy wejść. Zaraz dostarczą ze sklepu łóżeczko i pozostały ekwipunek. Poza tym już mnie nudzi ta konwersacja... – Znowu ziewnął przeciągle.

– Ależ proszę, jeszcze mężu – sarknęłam. – Ale mnie do swojej piaskownicy nie zapraszajcie. Nie będę z wami lepila babeczek!

– Nie pochlebiaj sobie. Wiesz, ile dla mnie znaczysz od wczoraj? Tyle co zeszłoroczny śnieg, którego zresztą nie było, bo zima była wyjątkowo ciepła.

Kątem oka zauważyłam, że Zyta uśmiechnęła się drwiąco. Wyraźnie miała frajdę z uczestnictwa w tej scenie. Teraz jednak wolałam się skupić na Marcelu.

– Wiesz co? – Gdy podniosłam głos, w popłochu zamknął drzwi na korytarz. – Jesteś zerem! Ostatnią łajzą! A przyrzeczenia znaczą dla ciebie tyle co szóste przykazanie dla dziwki!

Marcel ominął kobietę i stanął ze mną twarzą w twarz. Poczzerwieniał, szczęka mu drgała ze wściekłości. Myślałam, że mnie uderzy, udusi, rozerwie na strzępy albo chociaż mną potrząśnie. A więc topory wojenne zostały wykopane, przemknęło mi przez głowę. Nie ma już szans na fajkę pokoju. Sprawy zaszły za daleko. Nigdy nie obraziłam tak bardzo bliskiej mi osoby. Kiedyś, jeszcze w przedszkolu, nazwałam Julę „frajerką niewydymką”, bo podpatrzyła moje dzieło z plasteliny i zrobiła całkiem podobne. Nie znałam znaczenia wykrzyuczanych wtedy słów. Zapożyczyłam je od dwóch kobiet kłócących się na podwórku i cuchnących przetworzonym chmielem. Myślałam, że epitet pochodzi od dymki – wiosennej, młodej i pachnącej cebulki. Skończyło się na tym, że dyrektorka wezwała na rozmowę moją mamę, a ja – w gabinecie – w obecności rodzicielki

dowodziłam, że skoro kogoś się nazywa burakiem, to można też cebulą. Obie cierpliwie tłumaczyły mi, że zarówno jedno, jak i drugie to obelgi, które nigdy i w żadnej sytuacji nie powinny paść z ust damy. Ile wtedy miałam lat? Cztery? Pięć? W tej chwili od razu dotarło do mnie, co powiedziałam, ale nie dało się już cofnąć czasu. Cholera, zachowałam się jak prostaczka. Kompletnie straciłam klasę. Ale zaraz – on zaczął i był niewiele lepszy, uspokoiliam sumienie. Popatrzyłam na niego wyzywająco.

W tym momencie z piknikowego kosza dobiegł koci pisk. Poniekąd wybawiło nas to z impasu, bo wszyscy zwrócili oczy w stronę małej. Ale obciach, pomyślałam. Zaniepokoiłam ją tymi swoimi krzykami.

Zyta pochyliła się i poprawiła dziecku smoczek, szepcząc słodko, lecz jednocześnie przypatrywała się nam spod oka, jakby czekała na kolejny akt komedii. Taka cwana jesteś? – pomyślałam. Żadna sensacji? Zupełnie jak sąsiadka z mieszkania przy Topolowej. Wyławiała kłopoty innych, by później zabłysnąć wiedzą w towarzystwie. Znam ten typ. Jak tak dalej pójdzie, to lada moment będzie o nas głośno. Nie! Koniec tego spektaklu!

Ostentacyjnie demonstrując kompletny brak zainteresowania rozwojem sytuacji, odwróciłam się na pięcie i poszłam do swojego pokoju. Cicho, żeby bardziej nie rozsierdzać małej, zamknęłam za sobą drzwi i rzuciłam się na kanapę. To teraz będzie mój schron przeciwko bombie atomowej w postaci mojego jeszcze męża i jego ferajny. W pierwszej chwili czułam się jak ryba uwięziona w sieci, którą może uratować tylko cud w postaci przypadkowo zabłąkanego miłośnika przyrody. Z całych sił starałam się zrelaksować. Otworzyłam okno i próbowałam skupić uwagę na tym, co się dzieje na zewnątrz. Niestety, widok spowijała gęsta mgła, na dodatek padał ulewny jesienny deszcz, a gwałtowny południowy wiatr wiał dokładnie w moim kierunku. Poczułam się jak rybak w czasie sztormu. Nie, to zdecydowanie nie jest dzień dla meteopatki. Masakra! Siłując się z wichurą i szalejącą w jej podmuchach firanką, zatrzasnęłam okno. Opuściłam rolety i zasunęłam kotary, tłumiąc odgłosy z zewnątrz. Sięgnęłam po *Annę Kareninę*, ale po kilkunastu stronach miałam kompletnie dość. Gdyby bohaterka powieści stanęła teraz przede mną, dałabym upust swojej złości. Z całej siły cisnęłam książką o sekretkę po przeciwnej stronie pokoju. Odbiła się, okładka odpadła od reszty, kilka kartek posypało się na dywan.

Wzięłam folię bąbelkową i pykając, opracowywałam strategię spędzenia tego wieczoru. Nie miałam nastroju na siedzenie przy komputerze ani na kontakt z kimkolwiek. Nawet z moją przemądrą, kreatywną Julą, która pośrednio wmanewrowała mnie w cały ten karambol. A co dopiero z mamą, by usłyszeć, że Iwona nie ma fakultetów, ale życiową mądrością kładzie mnie na łopatki. Ani z żadną inną przyjaciółką czy teściową. Zresztą jak je wszystkie znam, to mój pokój szybko przekształciłby się w coś w rodzaju newsroomu. Dzwoniłyby co pół

godziny, nie wyłączając godzin nocnych, i wypytywały o rozwój wypadków. I co miałabym im raportować? Że mój mąż chodzi tam i z powrotem pod moim pokojem, najprawdopodobniej z małą na rękach, a ja ciągle słyszę jego słodkie do granic obrzydliwości „noski, noski, Eskimoski”? Cholera, robi to specjalnie, żeby wyprowadzić mnie z równowagi i sprowokować do kolejnego pojedynku – zupełnie jak amstaf ciotki Wiesi. Ten to dopiero miał problemy behawioralne! Na spacerze szukał zaczepki z każdym napotkanym psem. Dużym czy małym – to nie miało znaczenia. Ujadał i stawał dęba. Ciotka próbowała wszystkiego: kolczatki, kar, natychmiastowego powrotu ze spaceru do domu, ale nic nie pomagało. Kiedyś nawet wdał się w bójkę z owczarkiem prowadzonym przez policjanta na służbie...

Nie, nie dam mu satysfakcji. Ani tej flądrze – Zycie, która na pewno w pierwszym dogodnym momencie powysła wszystkim znajomym SMS-y relacjonujące wydarzenia pod naszym dachem. Zerwałam się na równe nogi, bo znalazłam sposób na odreagowanie. Błyskawicznie założyłam strój sportowy i zabezpieczyłam włosy opaską. Nie wybiegłam jednak z pokoju jak burza. Pokażę ci, mówiłam w myślach do Marcela, że mam klasę, a ten eksces w przedpokoju stanowił tylko wyjątek potwierdzający regułę.

– Noski, noski, Eskimoski... – dochodziło moich uszu.

Oparłam się plecami o ścianę, rozluźniłam spięte mięśnie. Zamknęłam oczy i uruchomiłam wyobraźnię. Mam magiczną gałkę, którą powolutku przekręcam w prawo. Mój jeszcze mąż staje się coraz mniejszy i mniejszy, aż osiąga rozmiary skrzata. Wtedy zakładam mu na głowę czerwoną spiczastą czapeczkę. Gotowe. A teraz Zyta. Powtórzyłam ten sam schemat działania. Pięć sekund i zostaje babskim krasnałem. Oboje ledwo dorastają mi do pięt. Są karykaturalni i całkowicie nieszkodliwi. Jestem panią sytuacji! Małą wspaniałomyślnie zostawiłam w spokoju, bo i tak jest miniaturką człowieka, a zresztą stała się graczem zupełnie mimo woli.

Zadowolona, z uśmiechem wyszłam do przedpokoju. Marcel odskoczył z zawiniątkiem w rękę. Widocznie był tuż za drzwiami. Lekko zażenowany lustrował mnie z zainteresowaniem. Myślał pewnie, że kupujemy stroje tylko po to, by na krótko uspokoić sumienie po folgowaniu sobie z jedzonkiem. Niewątpliwie gdyby nie szalona transformacja mojego życia, która dokonała się poprzedniego wieczora, mój sportowy mundurek zmurszałby jak bandaże na mumii egipskiej.

Popatrzyłam na niego triumfująco.

– Cóż z ciebie za tatuś? – Udawałam, że nie dostrzegam dziecka w jego ramionach. Zytę, wychylającą się z kuchni, ukradkowo spiorunowałam wzrokiem. Natychmiast się wycofała. Mój jeszcze mąż, rzecz jasna, tego nie dostrzegł.

– O co ci chodzi? – zapytał kąśliwie.

Z politowaniem pokręciłam głową.

– Nie przestrzegasz podstaw domowego BHP. Nie czyha się z niemowlakiem pod drzwiami. Mogłam ją uderzyć klamką. Zresztą nie mam ochoty z tobą dyskutować. Wyznaję starą jak świat zasadę: głupi prowokuje, mądrzejszy ustępuje. Miłej zabawy! – Odwróciłam się i poszłam w stronę drzwi.

W ostatniej chwili usłyszałam za plecami:

– Panie Marcelu! Na ile osób zamówić catering? – Ta zołza bardzo się starała mówić głośno i wyraźnie.

– A właśnie – rzuciłam przez ramię – w lodówce masz zupę i gulasz. Wybacz, że nie powitałam was chlebem i solą. Takie faux pas. Ale jedzenie możecie sobie podgrzać. *Bon appetit i adieu!*

– Nie udawaj troskliwej. Jesteśmy samowystarczalni – odszczeknął. – Zresztą głupi przy garach godzinami stoi, mądry jedzeniem na telefon głód zaspokoi – zaśmiał się zadowolony, jakby ta głupia rymowanka nominowała go do literackiego Nobla.

Prostak prostakiem pozostanie na wieki wieków amen – chciałam odpyskować, ale zerknęłam na małą. Poruszyła się niespokojnie. Cholera, tylko się znowu nie rozplącz.

Zjechałam windą do podziemi i pewnym krokiem stałej bywalczyni skierowałam się ku siłowni. Minęłam salę zabaw dla dzieci, salkę ze stołem do ping-ponga i pokój, w którym lokatorzy mogą urządzać większe przyjęcia, nie narażając własnych mieszkań na demolkę. Wszędzie pusto. Luksus i udogodnienia w zasięgu ręki, tylko szkoda, że nikt z nich nie korzysta. Moje kroki niosły się echem po korytarzu, pomimo że miałam buty na miękkiej, sportowej podeszwie. Poczulałam się nieswojo. Ktoś mógłby mnie zaatakować albo udusić. Otworzyłam drzwi siłowni i momentalnie się odpreżyłam. Oto jest moja grupa wsparcia – wprawdzie jednoosobowa, ale zawsze. Bogumił przywitał mnie szerokim uśmiechem. Musiał niedawno przyjść, bo wyglądał jeszcze całkiem świeżo.

– Witam! Sami swoi! – zawołał ze swojego kąta, zakładając obciążniki na sztangi. – I co? Status quo?

– Jeszcze gorzej! – odkrzyknęłam, z wprawą zakładając rękawice. – Konflikt zbrojny się zaostrzył! Topory wojenne wykopane!

Natychmiast do mnie podbiegł, jakbym potrzebowała pierwszej pomocy.

– Wiesz co ? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – zaczął pocieszająco. – Wprowadziłem się tu trzy lata temu, kilka dni po swoim ślubie. Jestem historykiem i pracuję w archiwum. Do dnia założenia kajdan – pokazał na obrączkę – nigdy nie byłem na siłowni. Jakby tego było mało, praktycznie przez całą szkołę i studia wymigiwałem się od zajęć WF-u. No wiesz, paluszek i główka to szkolna wymówka. Kombinowałem jak koń pod górę, byle tylko nie zrobić

przysiadu albo fikołka. Zazwyczaj się udawało, ale w rezultacie wyrosłem na cherlawego ciapka z zapadniętą piersią. I co? Dwa dni po ślubie już tu byłem, bo żona policzyła, że prezenty ślubne, które dostaliśmy od jej rodziny, są o dwadzieścia jeden procent droższe od tych podarowanych nam przez moich bliskich. Może bym odszedł w cholerę, ale była w piątym miesiącu ciąży bliźniaczej. – Rozłożył bezradnie ręce. – Zostałem i tak się męczę. Nie pora na radykalne kroki. Muszę wytrwać jeszcze jakies... – podniósł wzrok, jakby wykonywał w myślach bardzo skomplikowane obliczenia – ...minimum szesnaście lat. Dopóki dzieci nie staną się pełnoletnie. W każdym razie ludzie, którzy nie znali mnie wcześniej, nie wierzą, że pracuję w archiwum. – Naprężył bicepsy i roześmiał się gorzko. – Myślą, że robię za koksa na dyskotecę. A ty masz dzieci?

– Ja nie, ale mój mąż owszem. Jakąś godzinę temu zaprosił pod nasz dach swoją córeczkę i jej nianię.

– Co? – zapytał z niedowierzaniem. – Nie specjalizuję się w biologii, ale wiem tyle, że dziecko zwykle ma matkę.

– Tak, owszem – potwierdziłam z przekąsem. – Tyle że mamusia poznała Szweda, ewakuowała się do Sztokholmu i zostawiła dziecko na łasce tatusia. I mój jeszcze mąż myśli, że postawił mnie pod ścianą. Umówiłam się z nim przed ślubem, że może sobie tatusiować do woli, ale mnie ma w to nie mieszać, a tu proszę, układ się posypał jak zawirusowany komputer. W każdym razie ja z tego rodzinnego zdjęcia wycinam swoją postać. Nie upadłam na głowę i nie zatraciłam instynktu samozachowawczego. Nie moje zoo, nie moje pawiany. Spadam. Daję sobie od jutra dwa tygodnie na zorganizowanie życia na nowo, no chyba że zdarzy się cud i mamusia zabierze małą, ale szanse na to są promilowe, bo pozbyła się jej tak ochoczo jak kukułka jaj. Ach, nie ma co gadać! – Machnęłam ręką.

– A to sunia bez serca. I na dodatek głupia jak but – skomentował z naganą w głosie. – Przecież Szwedzi podczas potopu doszczętnie nas ograbili. Nawet paradną zbroję Zygmunta Augusta podwędzili i uszkodzili obraz Czarnej Madonny. Generalnie zrobili takie spustoszenie, że cofnęli nas w rozwoju o jakieś sto lat, jakby tego...

– Tak, tak, znam to wszystko – przerwałam, niecierpliwie podskakując w miejscu. Zapowiadał się dłuższy wykład, a mnie już nosiło, żeby uderzyć w worek i wprowadzić do treningu innowację w postaci naprzemiennych ciosów i kopnięć. – Reasumując, dzieci krzyżują nam plany.

– Prawda – przyznał skwapliwie. – Co najmniej tak samo, jak podróznym strajk obsługi lotniska.

– Albo układanie nowej kanalizacji mieszkańcom ulicy – ripostowałam.

– Albo ulewne deszcze rolnikom podczas żniw.

– Albo źle ustawiony znak drogowy kierowcom.

– Albo zmiana rozkładu jazdy pociągów pasażerom!

Równocześnie wybuchnęliśmy śmiechem, świadomi tego, że tylko tak możemy odreagować swoje frustracje, bo tak naprawdę żadne porównanie nie oddaje tego, jak bardzo dziecko komplikuje życie. To prawdziwy armagedon!

Po długim i intensywnym treningu wróciłam do mieszkania wykończona, ale znacznie szczęśliwsza. Czuję, że zaczynam wpadać w rytm, coś w rodzaju uzależnienia od ćwiczeń. Lepsze to niż zwinąć się w kłębek na łóżeczku, nakryć kołderką, pochlipywać i zapijać smutki gorącą czekoladą. Nie ma to jak silna motywacja.

Podczas gdy ja wyciskałam siódme poty na siłowni, Marcel i Zyta też nie próżnowali. Jednak zmiany, które rzuciły mi się w oczy zaraz po przekroczeniu progu, nie nastroiły mnie pozytywnie. Totalne bezguście. Z jaskrawych i migoczących sznurów bożonarodzeniowych lampek uformowali na ścianie napis: „Kruszynko, witaj w domu!”. Światelka odbijały się od lustrzanych drzwi garderoby. Poczulałam się jak we wnętrzu kalejdoskopu. Epileptyk niechybnie dostałby ataku. Oczywiście wszędzie porozwieszali też pęki różowych balonów, a na drzwiach biura Marcela przykleili kawałek kartonu w kształcie serca z napisem: „Pokój Princessy”. Drzwi były zamknięte, co znaczyło, że mała śpi. Z jadalni doszły mnie strzępki rozmowy:

– ...zrekompensować brak matki. – Dosłyszałam stroskany głos mojego jeszcze męża.

– Już moja w tym głowa – szczebiotała niania. – Zrobię wszystko, by wypełnić tę lukę, rozumiem...

– ...taka mądra... uśmiechnęła się na mój widok, a grzechotką podrzuciła jak żongler, a potem...

– Tak, wyjątkowo inteligentna... piękna, no wprost... zniewalająca! Mam taką ochotę już ją przytulić... szkoda, że śpi. Jest dla mnie jak słońeczko... Pokochałam ją z całego serca...

Nie, z tą kobietą od początku coś mi nie gra.

– Ale mu słodysz, żmijo – mruknęłam pod nosem, wiedząc, że i tak tego nie dosłyszą. – A ty, Marcel, jakiś przymulony jesteś, jak większość facetów zresztą. Prawda jest taka, że masz słuchać myśli kobiety, a nie łykać bez grymasu te wszystkie pierdoły, które gada. Trzeba by ci to wytłumaczyć jak krowie na rowie, ale po co? Nie ma sensu, trochę jeszcze z wami wytrzymam, choćby mnie żywcem kroili w cienkie plasterki i posypywali solą. Ale potem, moi drodzy, *adieu!*

Pierwsze kroki skierowałam do sypialni. Bynajmniej nie po to, by zaczekać na Marcela, a potem ułożyć się do snu na jego ramieniu, ale żeby zabrać swoje rzeczy: ulubiony jedwabny jasiek z naszym monogramem, prześcieradło

z bieliźniarki, wełniany pled w szkocką kratę, piżamę, szlafrok, krople nawilżające do oczu, rozpoczęte opakowanie tabletek antykoncepcyjnych, które postanowiłam łykać jeszcze do końca cyklu, żeby nie rozkolebać hormonów, i kilka książek, które czekały w kolejce do przeczytania. Smętnie, jak alkoholik wpatrujący się w dno pustej butelki, spoglądałam na nasze małżeńskie łóżko. Od wprowadzenia się do tego apartamentu przespaliśmy w nim każdą noc. Bywało, że sama, bo Marcel był w rozjazdach służbowych, ale jednak zwykle z nim. Myślałam, że tak będzie zawsze. Łza zakręciła mi się w oku, ale zaraz przywołałam się do porządku. Koniec baśni, czas zejść na ziemię. Zawsze liczyłaś tylko na siebie i dalej musisz. Ot, życie.

Cały ekwipunek zaniiosłam do swojego pokoju. Pościeliłam sobie na kanapie, wprawdzie wyszło trochę biwakowo, ale przytulnie. Miałam już dość wrażeń jak na jeden dzień, trening też zrobił swoje, więc posłanie wręcz mnie hipnotyzowało. Musiałam jednak wziąć prysznic. Poza tym byłam głodna.

Szybko przemknęłam do łazienki. Zazwyczaj biorę prysznic, ale tym razem postanowiłam zrelaksować się w wannie pełnej bąbelków i piany. Zanurzyłam się po szyję w wodzie pachnącej sorbetem malinowym, włączyłam hydromasaż na kręgosłup i stopy i już po minucie poczułam ulgę. Przymknęłam oczy i zaczęłam obmyślać plan działania. Prosty, szybki i bezbolesny. Jutro odpuszczę, bo jest niedziela, ale w poniedziałek pod wieczór wybiorę się do mojego starego mieszkania. Na samą myśl o wejściu do tego obrzydliwego bloku, w którym nie byłam od przeprowadzki, dostałam gęsiej skórki. Ale przecież to będzie jedynie wizyta. Poinformuję tylko młodych, którzy koczują tam za frajer, że muszą sobie poszukać innego gniazdka. Po prostu – trzeba zakasać rękawy i zarobić na czynsz, bo drugiego takiego jelenia jak Marcel, który robi to za nich, nie znajdą. Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy – jak wakacje albo dobra passa w pokerze. Na rynku jest pełno ofert wynajmu, więc dwa, góra trzy tygodnie wystarczą im z nawiązką. We wtorek dam ogłoszenie o sprzedaży mieszkania we wszystkich największych portalach nieruchomości. Myślę, że pójdzie szybko, bo nieco obniżę cenę rynkową tej nory, która i tak nie była moim docelowym mieszkaniem. W końcu od czasu poznania Iwona zbierałam na segment w szeregowcu... Cholera, że też mam takiego życiowego pecha do takich pasożytniczych facetów. Wyjątkowo Marcel, ale... Ech, szkoda gadać. A miało być tak pięknie.

Poczułam, że zaczynam się rozklejać, a do oczu napływają mi łzy. Zamrugałam szybko i spróbowałam zająć myśli czymś innym. Sięgnęłam po płyn do kąpieli i skupiłam się na czytaniu etykiety. Po chwili uspokoiliłam się na tyle, że mogłam doprecyzować swój plan. Po sprzedaży mieszkania kupię inne lokum – w lepszej dzielnicy, też dwupokojowe, posiłkując się swoimi panięskimi oszczędnościami. Kilka razy mówiłam o nich Marcelowi, bo wiem, że w biznesie różnie bywa, ale on zawsze wtedy wybuchał lekceważącym śmiechem i powtarzał:

„Zostaw sobie swoje pieniądze”. No i oczywiście muszę znaleźć pracę, myślę, że nie skorzystam z zasiłku dla bezrobotnych. Potrafię dużo, mam doświadczenie, wykształcenie i tylko krótką przerwę w zawodowej aktywności. Urządzą sobie spokojne życie, a facet będzie ostatnim i raczej zbędnym punktem na mojej liście pragnień. Zmęczyli mnie i zniechęcili. Sorry, panowie, spadajcie!

Założyłam piżamę, na nią narzuciłam szlafrok, wsunęłam stopy w papcie i stanęłam przed lustrem. I co teraz? Użyć suszarki, która zawsze robi na mojej głowie coś w rodzaju kopy siana, w którą strzelił piorun, a potem ujarzmić to coś prostownicą? Zrobić makijaż? Dla kogo? Dla tej żolty Zyty? Akurat! Postąpiłam jak zwykle: nałożyłam na włosy odżywkę bez spłukiwania na bazie jedwabiu i oleju z awokado, splotłam je w luźny warkocz i całość owinęłam folią, a następnie ręcznikiem. Ten sprawdzony sposób działa jak opatrunek, za pół godziny rozwinę włosy i pozwolę im wyschnąć. Jeszcze tylko gruba warstwa tłustego kremu witaminowego na twarz i dekolot.

Wyszłam z łazienki pewna, że Marcel będzie już w sypialni, a Zyta z małą w „pokoju księżniczki”. Miałam nadzieję, że będę mogła swobodnie zjeść kolację, bo po siłowni byłam głodna jak silnik infiniti mojego jeszcze męża przy ostrym zrywie. Drzwi do pokoju małej wciąż były zamknięte, a Marcel i Zyta w jadalni kontynuowali swoją banalną pogawędkę. Ileż można? Czy nie wystarczyłoby krótko: mała jest cudowna jak woda z Lourdes – i po sprawie?

Przez myśl mi przemknęło, by wypić piwko lub dwa, co na pewno by mnie odprężyło, ale dałam sobie z tym spokój, bo nigdy nie piję alkoholu sama. Wchodząc do kuchni, zahaczyłam o coś nogą. Niewiele brakowało, a wywaliłabym się jak długa. Zapaliłam światło. Na środku panoszył się bujany leżaczek. Na szczęście pusty. Rozejrzałam się. W kuchni nie było ani jednej szafki czy półeczki, na której nie byłoby śladu dziecka. Wszędzie walały się opakowania z mlekiem w proszku, butelki, smoczki, silikonowe łyżeczki, sterylizatory, podgrzewacze i inne kolorowe duperele.

– Ale fleja... – mruknięłam pod nosem, nogą przesuwając leżaczek pod stół.

Otworzyłam lodówkę, świadoma tego, że od Marcela i Zyty dzieli mnie teraz tylko szafka pełniąca rolę barku. Docierało do mnie każde słowo.

– Ona ma w sobie takie pozytywne vibracje, przebywanie z nią to sama rozkosz, ma taką śliczną...

Demonstracyjnie wypuściłam powietrze nosem. Tego już się nie da słuchać! Słodzi mu, a on, zafascynowany, łyka te wszystkie bzdety. Pewnie zaproponował jej niezłą kasę!

– Czy państwo poczęstują się gulaszem? – zapytałam z jędzowatym uśmiechem, wychylając się zza lodówki. Przy okazji zauważyłam, że stół zastawiony jest styropianowymi pudełkami, w których firma cateringowa przywiozła kolację.

– Ja dziękuję – odpowiedziała Zyta, drwiąco mi się przypatrując i wymownie gładząc się po brzuchu na znak, że właśnie zjadła coś pysznego i sycącego. Wiedziałam, że w turbanie, spod którego wystają strzępki folii, ze lśniącą jak wypolerowana patera twarzą, w kapciach i szlafroku nie przypominam seksbomby, ale absolutnie mnie to nie obchodziło. – Może pan Marcel ma ochotę – ciągnęła tymczasem żołą – chociaż jestem pewna, że nie. Zjedliśmy pyszną kolację. Prawda? – zwróciła się do mojego jeszcze męża z fałszywym uśmiechem.

– Prawda, pani Zyteńko – przytaknął i demonstracyjnie, żeby mnie wkurzyć, pogładził ją po dłoni. – Dziękuję za kolację.

Okej, czyli prowokacji do gierki ciąg dalszy.

Z dużego rondla przełożyłam do mniejszego dwie chochelki gulaszu i postawiwszy na gazie, raz po raz mieszałam, żeby się nie przypalił.

– Pani Zyteńko – usłyszałam – wezmę z mojego biura laptop i kilka swoich rzeczy i urzędę się w sypialni. Muszę wysłać kilka maili. A pani może skorzystać z łazienki i się odświeżyć, zanim moja jeszcze żona znów będzie się tam szarogęsić.

– Och, dziękuję, świetnie, może jeszcze pozbieram te...

– Ja to zrobię, nie ma problemu.

Nie ma problemu, frajerze? Resztkami sił hamowałam się przed atakiem. Ta flądra ułożyła cię jak zaklinacz psów dobermana mającego szmery pod kopułą! Przy mnie w domu palcem nie ruszysz. Gdyby nie moje ręce, to byłby tu burdel na kółkach. Wiedziałam jednak, że jeśli wszczęłabym awanturę, odnieśliby sukces. Oczami wyobraźni zobaczyłam Zytę w mojej łazience, którą jeszcze wczoraj wyszorowałam na glanc. Nawet fugi potraktowałam sodą z octem. Natychmiast wyłączyłam gaz i odwróciłam się w ich stronę. Niania akurat wstawała od stołu, z zachwytem przypatrując się zbierającemu pudełka Marcelowi. Wyprostowałam się i chrząknęłam, skupiając ich uwagę. Przez chwilę patrzyłam jej prosto w oczy. To była walka na czas. Przegrała. Speszona zaśmiała się impulsywnie i odsunęła fotel, chcąc wyjść. Zdemaskowałam ją. Ma coś na sumieniu.

– Pani Zyto – zaczęłam służbowym tonem, którego ostatnio używałam jeszcze w banku – ustalmy zasady. Na razie jestem jeszcze żoną mojego jeszcze męża i jeszcze panią tego domu, a pani jest wynajętą niańką. Tylko niańką – podkreśliłam. – Rozumie pani tę hierarchię? – Wpatrywała się we mnie niepewnie, co chwila zerkając na Marcela, jakby oczekiwała pomocy, ale on na szczęście milczał. Ze styropianowymi pudełkami w rękach patrzył na mnie z zainteresowaniem. – Jeżeli pani nie rozumie, to proszę sobie wyobrazić biskupa i proboszcza albo kapitana i szeregowego. Przy czym biskupem i kapitanem jestem ja, i to ja ustalę reguły. Po pierwsze, proszę jutro posprzątać ten bajzel, który zrobiła pani w kuchni, i ułożyć rzeczy dziecka w szafkach. Po drugie, jeżeli wybiera się pani do naszego pokoju kąpielowego, proszę nie używać mojej

szczoteczki do zębów. W wiklinowej komodzie są czyste ręczniki. Proszę wymyć po sobie wannę lub prysznic, sprawdzić, czy na sitku nie pozostały jakieś farfocle, a jeżeli tak, proszę się ich pozbyć. Reasumując: proszę zawsze pozostawiać łazienkę w takim stanie, w jakim ją pani zastała, i respektować inne zasady, które obowiązują w tym domu. Na dzisiaj wystarczy. Życzę pani kolorowych snów – zakończyłam z dobrotliwym uśmiechem.

Zyta, wkurzona, szurnęła krzesłem i wyszła. Odwracając się z powrotem do kuchenki, spojrzałam jeszcze na Marcela – przeciągle i triumfująco. Otóż właśnie był świadkiem poskromienia paskudnej i obłudnej flei. Może chwilowego, ale niech go głowa nie boli – potrafię sobie radzić z takimi typami.

Z kawałkiem bagietki i miseczką parującego gulaszu usiadłam przy kuchennym stole. Pokrojone spore kawałki soczystej wołowiny, duszone na sposób węgierski i zatopione w gęstym, lekko pikantnym paprykowym sosie, pachniały zachęcająco. Mięso w tym wydaniu to jedno z ulubionych dań Marcela. Poprawiłam zsuwający mi się z głowy turban i skosztowałam, czy nie trzeba doprawić. Potrawa była świetna. Zadowolona, umościłam się wygodniej i obserwowałam spod oka, jak tuż obok mnie Marcel układa pudełka po cateringu. Wymusiłam ziewnięcie, jawnie demonstrując znudzenie jego gierkami. Jak go znałam, znowu coś szykował. Zerknęłam na resztki. Wyszuszone i spalone frytki wyglądały jak nadpalone drewnianka; coś, co z założenia miało być pulpetami albo klopsami, było kłębkami ledwo trzymającej się sinej papki w pomarańczowym, wodnistym sosie, a surówka, chyba z kapusty pekińskiej – zielonkawą breją zatopioną w majonezie. Nigdy nie wzięłabym czegoś takiego do ust. Ohyda! Nie ma się co dziwić, że aż tyle tego zostało. Owszem, w przypadku większego przyjęcia ja też posiłkuję się daniami przygotowanymi w polecanej mi przez mamę Juli restauracji. Warto, bo wszystko przywożą świeże i smakowite, nie żałuję ani jednej wydanej złotówki. Ale to? Blee. Sprzedaż czegoś takiego powinna być ścigana z urzędu przez prokuraturę. Poza tym ta szantrapa nie zna podstawowej reguły: nigdy, nawet w najdroższych lokalach nie zamawia się mielonego mięsa. Jak świat światem, jest to doskonała okazja dla szefa kuchni na kreatywne pozbycie się wszelkiego kalibru resztek, niekoniecznie mięsnych.

– Proszę, jeszcze żono, częstuj się. – Mój jeszcze mąż podsunął mi pod nos pudełko z cuchnącą zawartością, cynicznie przypatrując się mojej świecącej twarzy i kawałkom folii zwisającym spod ręcznika. – Wszak kto zjada pozostałości, ten zyskuje na atrakcyjności.

Brawo, pomyślałam. Właśnie udało ci się doprowadzić mnie do stanu wrzenia. Ale nie dałam tego po sobie poznać. Spokojnie odsunęłam opakowania na przeciwległy koniec stolika, a potem podniosłam głowę i uśmiechnęłam się rozbajająco.

– Nie, dziękuję, będziecie mieli na śniadanie. Poza tym wolę jeść gulasz

domowy niż siekane kopyta krowy.

Bingo! Trafiłam w czuły punkt! Wiedziałam, jak w mig mu coś obrzydzić. Na jedną z pierwszych kolacji zaraz po ślubie przygotowałam spaghetti carbonara, czyli długie wstążki dość grubego makaronu otoczone gęstym śmietanowym sosem z dodatkiem żółtek i kawałeczków boczku. Proste, szybkie i sycące danie, doskonałe, gdy za oknem plucha. „Dzisiaj niespodzianka”, powiedziałam podekscytowana, kładąc na stole dwa talerze ze świeżo przygotowaną potrawą. „Młode tasiemce w towarzystwie smażonych łąkowych kleszczy”. Byłam pewna, że udał mi się świetny dowcip, tymczasem musiałam natychmiast odnieść oba talerze do kuchni. Skończyło się na tym, że podałam Marcelowi kanapki z rzodkiewką, a sama jadłam kolację przy kuchennym stole. Wtedy zrobiło mi się głupio. Dałam plamę. Tak jakbym siedząc w metrze, dłubała w nosie. Teraz jednak z satysfakcją patrzyłam, jak twarz mojego jeszcze męża robi się kredowobiała. Odwrócił się gwałtownie i szybkim krokiem ruszył prosto w kierunku toalety.

– Myślałeś, że jesteś taki cwany? Niestety, jesteś pokonany! – zawołałam za nim, chociaż chyba już tego nie usłyszał.

Spokojnie dojadłam przestygnięty gulasz, posprzątałam po sobie i zamknęłam się w swoim pokoju z głębokim postanowieniem, że poczytam sobie do snu. Przejrzałam stosik książek, które przyniosłam z sypialni. Broń Boże, nie miałam ochoty na nic, co zawiera jakąkolwiek fabułę. Nieważne, czy fikcyjną, czy opartą na faktach. A nuż znowu natrafię na wątek źle ulokowanych uczuć. Tylko jedna pozycja nie mieściła się w tym zbiorze. Tytuł *Sekrety transmigracji* wprowadził mi nie mówić, ale postanowiłam się weń zagłębić. Ułożyłam się na boku, przykryłam pledem i zaczęłam czytać, usiłując nie łowić dźwięków zza ściany. Mała cicho popłakiwała, a Zyta starała się ją uspokoić – bezskutecznie, bo śpiewając z przesadną ekspresją szlagiery disco polo. Przewróciłam oczami i pocieszałam się, że już niedługo mnie tu nie będzie. Gdyby to było radio, natychmiast zmieniałabym stację. Po chwili płacz ustał, ale śpiew pozostał – chyba nastąpiła pora karmienia. Zaczęłam współczuć małej – jedząc w takich warunkach, można się nabawić niestrawności.

Czytałam, nastawiona dość sceptycznie. Nigdy nie tknęłabym takiej tematyki, ale książkę jako gratis dodała mi pani w księgarni, gdy kupiłam kilka dzieł Tolstoja. Jednak po kilku stronach tekst mnie wciągnął, a szczególnie zagadnienie, co dzieje się z duszą pomiędzy śmiercią a powtórными narodzinami. Autor twierdził, że przeprowadził na grupie kilkudziesięciu osób badania, polegające na poddaniu ich regresji, i wywnioskował, że w tym okresie jesteśmy pod opieką kogoś w rodzaju doradcy do spraw naszego rozwoju. Doradca ten razem z nami analizuje błędy, jakie popełniliśmy podczas poprzednich wcieleń, i podpowiada, czego musimy się jeszcze nauczyć i co skorygować. Sugeruje, że uniwersytetem, na którym możemy osiąść tę wiedzę, jest następne życie,

i namawia, by wcielić się na nowo. Ale takich dusz do poprawki jest więcej, niektóre znamy, niektóre poznajemy i żeby było różniej, już tam montujemy ekipę, która będzie nam towarzyszyć na ziemskim padole. Skład niektórych ekip jest niezmienny. Rodzą się i umierają w kółko w tej samej konfiguracji. Stąd mamy wrażenie, że kogoś znamy od zawsze...

Odłożyłam książkę i na chwilę się zadumałam. Jeżeli to prawda, to jaką lekcję wraz z zajęciami praktycznymi mam przerobić tu, na ziemi, i kogo znam ze swoich poprzednich wcieleń?

W tym momencie usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Zyta wciąż zawodziła, więc musiał to być mój jeszcze mąż. Cholera, czy umówiłam się z nim na to zbikowane małżeństwo, czy tylko przypadkiem się przyplątał?

Wszedł, starannie zamknął za sobą drzwi i stanął przede mną. Mój Marcel, rozczuliłam się. Gdyby nie ten cyrk, poszlibyśmy teraz do sypialni. Pomimo ewidentnego zmęczenia, nawet w piżamie, był najwspanialszym facetem pod słońcem. Przeżyliśmy tyle cudownych nocy i dni. Jest taki och i ach, i w ogóle. I te oczy... Dość! – przywołałam się do porządku. Nie rozczulaj się, bo nie wyjdzie ci to na dobre! Wszystko się poplątało i nadszedł koniec. *Finito!*

– Blanka – zaczął – chciałem pewne rzeczy uzgodnić, bo...

– Marcel – przerwałam mu ostro – zanim zaczniesz te swoje quasi-mądre wywody, które przyprowadzają mnie do mdłości, mam do ciebie gorącą prośbę: odwal się ode mnie po śmierci i nie próbuj się wcisnąć do mojej ekipy na następne wcielenie.

Szerzej otworzył oczy i popatrzył na mnie, jakby brakowało mi piątej klepki. Dopiero potem spojrzał na okładkę książki, którą odłożyłam na czas zadumy.

– Czytałem to dawno temu. – Usiadł na fotelu tuż przede mną. – Może nawet nie było cię jeszcze wtedy na świecie – próbował żartować. – Zastanów się nad tym. Jeżeli to wszystko prawda, to gdzieś tam, przed tym wcieleniem, umówiliśmy się, jakie role będziemy pełnić i co nas spotka tutaj. A nasze faktyczne zachowanie, wynikające w dużej mierze z wolnej woli, zostanie potem ocenione przez doradcę. W rezultacie albo dostaniemy celującą cenzurkę, albo oblejemy egzamin i nasz duchowy doradca będzie nas...

– Przestań! – Doskonale wiedziałam, do czego zmierza. Próbował mnie zastraszyć pozaziemskimi konsekwencjami. – Czego ode mnie oczekujesz? Mam już i natychmiast pobiec do małej i robić z nią „noski, noski, Eskimoski”, bo inaczej w następnym życiu narodzę się jako muszka octówka albo owadożerny nietoperz? Daruj sobie. Przywożąc tu małą, sam się skompromitowałeś!

– A jak twoim zdaniem powinienem się zachować?

W pierwszym momencie mnie zatkało. Tak naprawdę to pytanie bombardowało mi głowę setki razy jak naprzykrzające się myśli w nerwicy natręctw. Odsyłałam je jednak na zieloną trawkę, by nie wzbudzić w sobie

uciążliwych wyrzutów sumienia.

– Marcel, ja z tego pociągu wysiadam. Wsiadłam do niego przez pomyłkę i muszę zawrócić. Najdalej do trzech tygodni nie będzie po mnie ani śladu. Muszę tylko samodzielnie stanąć na nogi. Zrobiłam sobie wakacje od życia i po raz stutysięczny jedenasty przekonałam się, że jedyną osobą, której mogę zaufać, jestem ja sama. Nasze życie potoczy się innymi torami. Trudno, wspólna przyszłość nie jest nam pisana – skwitowałam, wpatrując się w niego prowokująco.

Trafiłam w jego czuły punkt. Dziesiątki razy zapewniał, że zawsze mogę na niego liczyć.

– Blanka... – Chciał dotknąć mojej ręki, ale choć bardzo pragnęłam jego bliskości, cofnęłam ją gwałtownie. Czułam, że moglibyśmy nad sobą nie zapanować, a mi przyszłoby za to zapłacić zbyt wysoki rachunek. Przecież tuż za ścianą była żywa istota, którą trzeba się opiekować przez wiele lat. Na wszelki wypadek zapytałam:

– Elwira nie wróci?

– To absolutnie wykluczone. Muszę przekonać sąd, że jestem lepszy od rodziny zastępczej. To moje geny i mam obowiązek je chronić.

– Jasne – skwitowałam. Ostatnia iskierka nadziei zgasła. Impulsywnie sięgnęłam po kawałek folii, jak chory na serce po nitroglicerynę, i zaczęłam pykać, starając się ze wszystkich sił trzymać uczucia na wodzy. Chciałam, by już wyszedł, by przestał mnie magnetyzować wzrokiem.

– Blanka, pragnę cię zapewnić, że... – głos mu się załamał – ...jesteś dla mnie najwspanialszą dziewczyną pod słońcem. Ech, wszystko się pogmatwało. Zawiodłem cię, ale to nie do końca moja wina. Szanuję twój wybór, ale wiedz, że będę za tobą tęsknił. Za twoim dotykiem, tupaniem nogą, za niewyparzonym językiem. – Roześmiał się i otarł kilka łez, które spłynęły po jego policzkach. – Zrymowało się, ale to było niezamierzone. Wiesz, za czym jeszcze będę tęsknił? Za twoim gulaszem po węgiersku! – Znowu zaczął się śmiać. – Ale mnie dzisiaj załatwiłaś! Gdyby nie Zyta, puściłbym w toalecie pawia. Musiałem się powstrzymać. Słyszałaby, prawda?

– Prawda. – Czułam, że moje oczy też stają się wilgotne. Jak ja będę bez niego żyć? – Marcel, ty wcale nie byłeś lepszy. – W tym momencie przypomniało mi się, że wciąż mam na głowie turban, a pod nim folię. Ściągnęłam to jednym ruchem i przeczesałam włosy palcami.

– Ładnie wyglądasz – znów mnie mamił. – Masz takie błyszczące włosy.

– Jak zawsze – odparłam.

Coraz bardziej zanosilo się na miłą rozmowę, gdy nagle za ścianą rozległ się płacz małej. Marcel na moment odruchowo odwrócił głowę, ale zaraz znów spojrzał na mnie.

– Brakuje jej matki.

– Ameryki nie odkryłeś. Ma w zamian cudowną nianię.

– Blanka, muszę tam iść. Ale powiem krótko: czuję się winny całej sytuacji. Wiem, jak nienawidzisz tamtego bloku i pracy w banku. Dlatego postanowiłem kupić ci mieszkanie. Znajdź sobie jakieś dwu- lub trzypokojowe, które sprosta twoim wymaganiom. Nie będziesz też musiała pracować. Zobowiążę się na piśmie, że będę ci płacił co miesiąc kwotę, która spokojnie wystarczy ci na życie. Oczywiście bez szaleństw, bo mam teraz inne powinności i wydatki. Chciałbym jednak wyjść z honorem. – Zaparło mi dech w piersi. Spojrzałam na niego zdumiona. Do głowy by mi nie przyszło, że mogę czegokolwiek od niego oczekiwać, bo tak naprawdę po kilku miesiącach małżeństwa, w sytuacji, gdy nie mamy dzieci, należy mi się figa z makiem. Cały Marcel, mój Marcel... Jeszcze chwila i się złamię, pomyślałam, ale wtedy mała zawyla głośniej, a on poderwał się z fotela. Był niespokojny. – Jeszcze coś. Nie odwołałem lotu do Azerbejdżanu. Wiesz, muszę uruchomić tę linię do produkcji owocowych żelków. Pracowałem nad tym kontraktem kilka tygodni. Wynająłem ekipę monterów, technologa, wszyscy mają na jutro bilety i jeżeli nie polecę, wszystko pójdzie na marne i będę mieć straty. Zamiast zysk, będzie w pysk. Mamy otwarte bilety, ale myślę, że do dziesięciu dni wrócę. Mała ma zapewnioną opiekę, absolutnie nie musisz się martwić, jednak na wszelki wypadek chcę, żebyś wiedziała. Tak po prostu. Nie musisz wstawać rano, zamówiłem już taksówkę na lotnisko. – Na chwilę zamilkł. A potem zaśmiał się gorzko i dodał: – Dobranoc, jeszcze żono. Swoją drogą, mam nadzieję, że nie zdążyłaś przekazać Juli oraz połowie miasta radosnych newsów o naszym małżeństwie? Proponuję, żebyśmy zrobili to hurtowo, jak wrócę – westchnął ciężko. – Dobrze?

– Dobrze – przytaknęłam grzecznie. Było mi to nawet na rękę. W tej sytuacji cudze komentarze to jak wsłuchiwanie się w wycie wiatru, gdy stoi się w środku burzy śniegowej.

– I jeszcze jedno – kontynuował. – Zauważyłem, że nie pałacie z Zytą wzajemną sympatią. Proszę, jeżeli ci zagra na nerwach do tego stopnia, że rzucisz się na nią z pazurami, to zrób to tak, żeby nie skrzywdzić mojej kruszynki. W niektórych sytuacjach jesteś nieobliczalna jak woda uwolniona z pękniętej tamy. Pomimo wszystkich tych kursów asertywności, które skończyłaś z wyróżnieniem. Ale wierzę w ciebie, poradzisz sobie.

– Jak zawsze – skwitowałam.

– Dobranoc. – Nachylił się do mnie, ale odwróciłam głowę. Nigdy nie wiadomo, jaki mógłby być finał. Zakłopotany, natychmiast się wyprostował.

– Dobranoc, jeszcze mężu – wyszeptałam. – Jedź spokojnie. Przysięgam, że dopilnuję Zyty i twojej księżniczki. Nie z takimi sobie poradziłam.

Rano wstałam zaraz po dziewiątej. Ziewnęłam kilka razy i wyskoczyłam z mojego prowizorycznego legowiska. I tak lepsze to niż karton bezdomnego w przejściu podziemnym, pocieszałam się. Zresztą spałam tu z własnej woli i na własne życzenie. Postanowiłam, że na czas pobytu Marcela w Azerbejdżanie wrócę do jeszcze małżeńskiej sypialni i będę się delectować jej komfortem.

Wyszłam z pokoju przekonana, że zaraz usłyszę Zytę gaworzącą do małej, ale w mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. Drzwi do biura Marcela, opatrzone szyldem „Pokój Princessy”, były zamknięte. Pewniakiem mała pomyliła noc z dniem i teraz obie odsypiają. Spokojnie poszłam do łazienki. Najpierw sprawdziłam, czy moja szczoteczka do zębów jest sucha i czy na grzebieniu nie ma farbowanych na popielaty blond włosów tej flądry. Rozejrzałam się. Poza tym, że na półce stała dość sporych rozmiarów kosmetyczka zapięta na suwak, po Zycie nie było śladu. Jakoś wytrwam, stwierdziłam, jednak na wszelki wypadek wszłam pod prysznic w basenowych klapkach, a później wyciągnęłam z szafki świeży ręcznik. Może ta cwaniara użyła mojego wieczorem i zdążył wyschnąć, a teraz poczęstowałaby mnie grzybicą albo łupieżem pstrym. Blee! Cała ta Zyta działała na mnie jak alergen. Jak na moją mamę sierść kota.

Gdy kilka minut później w kuchni włączałam ekspres do kawy i rozglądałam się dokoła, doszłam do wniosku, że chyba jestem przewrażliwiona. Po wczorajszym bajzlu nie było ani śladu. Zajrzałam do szafek. W pierwszej pod oknem znalazłam równiutko poukładane buteleczki, smoczki, podgrzewacze, kolorowe pojemniczki i inne drobiazgi, a w drugiej puszkę z mlekiem i torebki z herbatkami. A myślałam, że mam niucha do ludzi, przez niektórych zwanego szóstym zmysłem. Już w piaskownicy poznałam się na jednej Ali, która najpierw mi się podlizywała, żeby uspić moją czujność, a potem próbowała mi ukraść niebieską foremkę do babek w kształcie żółwia. Tyle że dyskretnie ją obserwowałam – w kulminacyjnym momencie dopadłam i pociągnęłam ją za kucyk. Ona oddała. I tak zwykle wyglądały nasze relacje. Pewnego razu rozdzieliła nas sąsiadka. Obie miałyśmy podrapane nosy, w ferworze walki pogubiłyśmy spineczki i gumeczki. Raz na zawsze wykreśliłam Alę z mojego życiorysu. A teraz... Dziwne, czyżbym traciła swój dar?

Z kubkiem kawy i miseczką skomponowanego samodzielnie musli zamknęłam się w swoim pokoju i usiadłam przed komputerem. Trapiły mnie wyrzuty sumienia, bo od dwóch dni nie odczytałam poczty przychodzącej na skrzynkę mojej strony. A przecież tyle osób na mnie liczy. Na pewno mają nóż na gardle. Jestem ich ostatnią deską ratunku. Nie myliłam się. Pięćdziesiąt siedem nieodczytanych listów. Pierwsza z wiadomości wprawiła mnie w dobry humor. Z nadawczynią, typową młodą mężatką, która ochoczo dawała sobie wcisnąć wszelkie karty kredytowe we wszystkich możliwych bankach, korespondowałam od kilku tygodni. Nie potrafiła pojąć, że włożenie karty do czytnika w sklepie albo

bankomacie jest równoznaczne z wydaniem z pustego portfela sumy, której fizycznie tam nie ma, ale musimy mieć pewność, że niebawem się tam pojawi. Bank o niej nie zapomni i wyliczony debet przyśle pocztą. Owszem, ten niewinnie wyglądający świstek można wyrzucić do kosza i całkowicie wyprzeć go ze świadomości, wszak żyjemy w wolnym kraju, ale po upływie terminu płatności bank rozpocznie naliczanie karnych odsetek, doliczy opłaty za monity, a potem taksy windykacyjne i komornicze. W rezultacie obudzimy się z ręką w nocniku. A ona nagle, dosłownie przypadkiem, przechodząc obok biura podróży, zamarzyła o picie drinka pod palmami. Na jej nieszczęście agencja akceptowała płatność kartą. Potem nadarzyła się niesamowita okazja kupna robota do sushi i zestawu garnków z chirurgicznej stali oraz pieca do wypalania ceramicznych kubków. Tym sposobem kobieta wpadła w niezłe tarapaty. Tak naprawdę uważam, że karty debetowe powinno się traktować tak samo jak prawo jazdy i wydawać tylko osobom, które pomyślnie przeszły testy i śpiewająco zdały egzamin. Tyle że tu testy powinny być psychiatryczne, a egzamin polegać na prawidłowym rozwiązaniu prostego równania. Karta kredytowa równa się dług do spłacenia, bo inaczej jest niebezpieczna jak granat mózdzierzowy w rękach dziecka. Na szczęście mnie posłuchała i zwróciła te wszystkie pomalowane na złoto lub srebrno plastikowe prostokąci, dające ułudę bogactwa. Przyznała się mężowi, znalazła pracę, wprowadzie tylko na zlecenie, ale zawsze coś, na eBayu udało jej się sprzedać część kupionych rzeczy. Trochę stracili, ale trudno – nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Zacisnęli pasa i uzgodnili z bankami realny, opracowany przy moim udziale plan spłat. Jeżeli będą konsekwentni, powinno być dobrze.

Następne maile składały się na opłakany obraz naszego rodzimego biznesu. „Co robić? W Pani jedyna nadzieja. Mąż, z zawodu tynkarz, miał stałą pracę, nie najlepiej zarabiał, mimo to starczało na czynsz i jedzenie, ale naoglądał się amerykańskich filmów o szczęściarzach. I też chciał zostać Rockefellerem. Elegancki garnitur, pełne konto, willa z basenem, bankiety, kluby... Będzie super, zapewniał, bo wpadł mu do głowy pomysł założenia restauracji z daniami kuchni syczańskiej. Wymyślił nazwę – Prosto z Woka. Był przekonany, że chwytliwa nazwa to połowa sukcesu, a druga połowa sama przyjdzie. Poszukał w sieci przepisów, zatrudnił kilka osób i wynajął lokal. Pracuję jako przedszkolanka, podżyrowałam mu kredyt na dobry start, przecież trzeba mieć do siebie wzajemne zaufanie. Ponadto zainwestował wszystkie nasze oszczędności. Wychodziłam do pracy, on jeszcze spał, a potem dyrygował biznesem przez telefon. Zapewniał mnie, że wszystko hula, ale dzisiaj znalazłam w skrzynce awizo i pobiegłam na pocztę. Myślałam, że eksploduję, gdy wyciągnęłam z koperty pismo z banku, a ściślej mówiąc – ostateczne przedsądowe wezwanie do zapłaty. Miałam nadzieję, że to pomyłka. Dzwoniłam do oddziału, ale już mieli zamknięte. Męża nie było, zorganizował w swojej restauracji raut dla kumpli z byłej pracy. Robił to już kilka

razy. I tak nikt nie chciał jeść pikantnego tofu z sosem ostrygowym. Zawsze kończyło się na piwie i kaszance smażonej z cebulą... Ale nie w tym problem. Zanim wrócił, wyluzowany do tego stopnia, że nie można z nim porozmawiać, wyrzuciłam do góry dnem jego dwie szuflady z firmowymi papierami. Ponad połowa ma ponaglenie, wezwanie, monit w tytule, a reszta to niezapłacone faktury. Co robić? W pismach straszą windykatorem i komornikiem. Jak mi wejdą na wypłatę, to za co kupię dzieciom chleb i mleko? Nadmieniam, że mamy dwie dziewczynki w wieku szkolnym. Czy zlicytuje nas komornik?"

Zamyśliłam się, sącząc zimną już kawę. Szczerze współczułam tej kobiecie, ale musiałam jej zadać jeszcze wiele pytań, by opracować plan naprawczy. Tak, interes miał hulać, a skończyło się na tym, że hulał wiatr – po pustych kontach bankowych. Ot, kolejny naiwny wizjoner, który bez ciężkiej harówki od świtu do nocy, wiedzy, umiejętności, doświadczenia i zwykłej żyłki do interesów – chciał przeżyć amerykański sen. Przecież prowadzenie firmy to wielkie wyzwanie i ciężka praca. Pieniądze tak łatwo nie przychodzą. Kuchnia syczańska i tynkarz mają się do siebie tak, jak wół do karety. Powstał też jakiś dziwny, nowy model dzielenia się obowiązkami w małżeństwie: mąż robi długi, a żona je spłaca. Dobrze, że mój Marcel... Jeszcze mój Marcel.

W tym momencie wyprostowałam się gwałtownie, jakby ktoś kubłem zimnej wody zbudził mnie ze snu. Coś było nie tak. Spojrzałam w prawy dolny róg monitora. Dochodziła szesnasta. Nastawiłam uszu. Zero płaczu, zero ekspresyjnego altu Zyty, zero „noski, noski, Eskimoski”. Nawet ja, pediatryczna ignorantka, wiedziałam, że mała już dawno powinna się zbudzić.

Wyszłam z pokoju i stanęłam pod drzwiami z napisem „Pokój Princessy”. Cicho zapukałam. Potem głośniejsze. W końcu po prostu nacisnęłam klamkę i weszłam. Pusto. Obeszłam cały apartament, zajrzałam nawet do szafy wnękowej, na taras, pod kanapę w salonie. Ani śladu. Poczułam, że żołądek powoli podchodzi mi do gardła. Przecież obiecałam Marcelowi...

Opadłam na fotel w przedpokoju. Ogarnij się, przecież nerwy tu nie pomogą. Spokój, tylko spokój... próbowałam przywołać się do porządku, ale miałam wrażenie, że słyszę łomot własnego serca.

Powinnam powiadomić Marcela i pozbyć się problemu, ale przecież nie zawróci samolotu, a jeżeli jest już na miejscu, nie weźmie taksówki, by się tym zająć. Gdzie one mogą być? Wstałam i na wszelki wypadek jeszcze raz obeszłam wszystkie pomieszczenia, tym razem nawet podniosłam kocyk w łóżeczku, ale znalazłam pod nim tylko gumowy gryzak.

A może Zyta wcale nie jest taką wredną flądą? – pomyślałam. Może nie chciała mnie zbudzić i poszła z małą do któregoś z pomieszczeń w podziemiu? Przecież urządzili tam prawdziwy raj dla lokatorów. Wychodząc, na wszelki wypadek założyłam polarową bluzę, wzięłam z szafki kluczyki do samochodu

i tylko przymknęłam drzwi do naszego apartamentu. Tak przezornie – gdybyśmy się rozminęły.

W podziemiach panowała głucha cisza. Zrobiłam obchód. Pusto, nieprzyjemnie.

– Jest tu ktoś? – zawołałam. Echo poniosło moje pytanie przez cały korytarz, pozostawiając je bez odpowiedzi. Odwróciłam się i pobiegłam schodami na parter. Może są na placu zabaw? Jest naprawdę wypasiony. Gdy się tu wprowadzaliśmy, wszystko dokładnie obejrzałam. Kolorowe domki, faliste zjeżdżalnie, karuzela, tor z przeszkodami, piaskownica z ławeczkami... Wybiegłam na zewnątrz i zachłysnęłam się silnym podmuchem skierowanego wprost na mnie wiatru, niosącego małe drobinki przymarzającego deszczu. Natura meteopatki podpowiadała mi ucieczkę, ukrycie się w mieszkaniu, zasłonięcie okien i przeczekanie. Instynktownie zrobiłam krok w tył, żeby zawrócić. Wytrwałam jednak, mimo że na policzkach czułam ból podobny do ukłucia tysięcy lodowatych szpilek. Założyłam kaptur, ściągnęłam bluzę sprzączkami i rozejrzałam się.

Wichura przybierała na sile, targała wzburzonymi grafitowymi chmurami, wyginała konary drzew, zapraszając je do irracjonalnego tańca. Pachniało wilgocią i zgniłymi liśćmi. Poczułam, że marzną mi stopy. Nie ma się co dziwić – wciąż byłam w domowych, materiałowych balerinkach. Uginając się pod naporem wiatru, zrobiłam szybką rundkę wokół apartamentowca, zatrzymując się tylko raz, przy placu zabaw. Aleś ty nierozgarnięta, wyrzucałam sobie. Tracisz czas i energię. I tak wiedziałaś, że ich tam nie będzie. Biegając dalej, co chwila zadzierałam głowę w nadziei, że w naszym apartamencie zapali się światło. Nic z tych rzeczy. Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie...

Ziejąc jak pies, zbiegłam do podziemnego garażu i wsiadłam do mojej hondy. Silnik zawył z determinacją, gdy prulałam w kierunku otwierających się przede mną bramek. W tym momencie doznałam olśnienia i z impetem nacisnęłam hamulec. Przecież mamy ochronę i monitoring! Mieszkając przez trzydzieści jeden lat w zwykłych blokowiskach, miałam prawo o tym zapomnieć. Na mokrym asfaltowym podjeździe pokrytym butwiejącymi liśćmi autem lekko zachwiało, ale nie wpadłam w poślizg. Moja stara, dobra honda. Wysiadłam i pobiegłam do dyżurki. W tym dniu stróżował kruchej postury pan Włodek, emerytowany księgowy z grupą inwalidzką. Nawet w taką pogodę miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Cóż, i ty możesz zostać komando.

– Pędzi pani jak huragan – skomentował z uśmiechem, popijając herbatę z kubka z napisem „Security”. – Tak nie można! Życie pani niemiłe? Wczoraj na Dębowej był straszny wypadek, dwie karetki...

– Zauważył pan może kręcącą się gdzieś kobietę z dzieckiem? Tę, która wczoraj się do nas wprowadziła? – przerwałam mu niecierpliwie.

– Panią Zytę? – zapytał zdziwiony. Energicznie kiwnęłam głową. – Ależ

tak! Pan Marcel wyjeżdżał dziś bladym świtem i powiadomił mnie, że zamieszkała u państwa, by opiekować się córeczką. Prosił, byśmy nie robili żadnych hocków-klocków, bo ma prawo do korzystania z apartamentu na takich samych zasadach jak państwo. Zapewnił, że wszystkie formalności załatwi, jak wróci, bo trzeba meldunek...

– Tak, tak, oczywiście – przytakiwałam skwapliwie. – Tylko gdzie ona teraz jest?

– Rano, ja wiem... – zastanawiał się, celując w sufit półprzymkniętym okiem – tak przed dziewiątą przyszła się przywitać i przedstawić. Pogadaliśmy chwilę, zanim wsiadła do taksówki.

– Z dzieckiem?!

– Naturalnie. – Wzruszył ramionami. – Wszystko mi opowiedziała – westchnął i ze współczuciem pokręcił głową. – Przykro, że się państwo rozwodzie, a pan Marcel żeni się z nią. Wprawdzie ona też fajna babka, taka... otwarta na nowe kontakty, testosteron pewnie niejednemu zabułgocze na jej widok, ale żeby panu Marcelowi? Mając taką żonę jak pani? Nie sądziłem, że wasze małżeństwo to fikcja... – Czułam, jak policzki mi płoną i wzbiera we mnie złość. A jednak się nie pomyliłam: to przebiegła, zakłamana wywłoka. – Ale teraz – kontynuował – gdy mają dziecko, nie ma się co dziwić. Takie życie. Mój szwagier też nie może wytrzymać z moją siostrą. Poznał na basenie instruktorkę wodnego aerobiku...

– Panie Włodku, co to znaczy „też nie może wytrzymać”? – zapytałam zirytowana, znów wchodząc mu w słowo. Poczzerwieniał i przygryzł wargę. – Dobra, nie roztrząsajmy tego – powiedziałał ugodowo. – Dokąd ona pojechała?

– Właśnie! Ja też ją pytałem, gdzie ją ciągnie w taką zawieruchę, a ona się tylko zaśmiała, że musi sprawdzić, co na mieście słychać, i żadna mżawka jej w tym nie przeszkodzi. Wsiadła do taksówki z córeczką w koszyku, pomachała mi na pożegnanie i tyle ją widziałem.

– Co na mieście słychać... – powtórzyłam mechanicznie, starając się zrozumieć jej tok myślenia. Ale w głowie miałam próżnię, jakby ktoś wyssał mi mózg. – Panie Włodku, w bazie danych macie numer mojej komórki, w razie gdyby się pojawiła...

– Tak, natychmiast zadzwonię – zapewniał, a ja już się odwracałam. – Pani Blanko! – Spojrzałam pytająco przez ramię. – Jakby co, to ja jestem wolny!

– Porozmawiamy innym razem! – odkrzyknęłam, siadając za kierownicę. Na kilka chwil jego słowa poprawiły mi humor. No proszę, jakie mam powodzenie – nowa miłość może czyhać tuż za rogiem.

Gdy krążyłam po ulicach i starałam się opracować plan działania, moim umysłem zawładnęły mroczne myśli. Co rusz wyrzucałam sobie, że spałam twardym snem i pozwoliłam jej się wymknąć. Nie ma jej już prawie dziewięć

godzin. Co można robić tak długo z małym dzieckiem? Przy ładnej pogodzie możliwości byłoby wiele: park, wesołe miasteczko, zoo, spacer nad rzeką. Ale dzisiaj? Wyteżyłam umysł. Centrum handlowe! Przecież tam aż się roi od znudzonych mamusiek z maluchami. Znak naszych czasów – dzieci wychowywane w supermarketach. Tutaj, wśród przepychającego się tłumu, można skubnąć promocyjną próbkę pasztetu, tam truskaweczkę. Supersposób, by od kołyski wszczepić dzieciakowi bakcyła zamiłowania do komercji.

Ustawiłam wycieraczki na najszybsze obroty, ale i tak widoczność była znikoma. Z nosem przy szybie ruszyłam w stronę najbliższego, ale zarazem największego centrum handlowego. „Eksplozja wrażeń” – obwieszczał krzykliwy neonowy napis. Wjeżdżając na parking, odniosłam wrażenie, że umówiło się tu całe miasto. Z trudem udało mi się znaleźć wolne miejsce – jedno z ostatnich. Koszmar! Zanotowałam w myślach sektor i rząd, w którym zostawiłam auto, po czym – czując chlupiącą w balerinkach lodowatą wodę – ruszyłam do środka niesiona falą tłumu.

Spece od marketingu zrobili wszystko, by zatrzymać tu klientów jak najdłużej. Jasno, kolorowo, ciepło, sucho, sącząca się z głośników muzyka. Cztery poziomy w górę, dwa w dół, ale klient nasz pan, ma do dyspozycji ruchome schody, ławeczki, fotele, byle tylko wyciągnął portfel. Stałam z boku, tuż przy stoisku z hamburgerami i frytkami, i w oparach nieświeżego oleju uświadomiłam sobie, że próbuję znaleźć igłę w stogu siana. Rozejrzałam się nerwowo.

W tym momencie z megafonów dobiegł mnie zdecydowany męski głos: „Pracownik działu mikserów i blenderów proszony jest o zgłoszenie się...”. Bingo! Z łomoczącym z podekscytowania sercem ruszyłam do biura kierownika działu obsługi klienta. Zdawałam sobie sprawę, że mówię nieskładnie, nadmiernie gestykuluję, mam obłęd w oczach, a na nogach domowe balerinki. Na początku nawet wykazywał zainteresowanie i współczucie, ale gdy na pytanie o imię dziecka odpowiedziałam, że nie mam zielonego pojęcia, uśmiechnął się ironicznie pod nosem i na moment odwrócił do siedzącej przy biurku obok kobiety.

– Idiotek nie trzeba szukać, same się pchają – skomentował cicho, ale i tak go usłyszałam.

Oboje popatrzyli na mnie ze współczuciem, ale chyba ich złamałam swoją zdesperowaną miną, bo po chwili całe centrum usłyszało dochodzący do każdego kącika męski głos: „Pani Zyta wraz z córką pana Marcela proszona jest o przyjście do działu obsługi klienta. Sprawa bardzo pilna. Powtarzam...”.

Opadłam na fotel przed biurem. Jakaś pani podała mi plastikowy kubeczek z wodą, inna zapytała, czy powiadomić kogoś z rodziny, a może zadzwonić na pogotowie? Kręciłam tylko głową i rozglądałam się pełna nadziei. Nadaremno. Powoli w mojej głowie rodziły się różne koncepcje. Może Zyta uprowadziła córkę Marcela na zlecenie i wywiozła ją za granicę? Skasowała tam niezłą sumkę, a mała,

gdy dorośnie, będzie zmuszona do prostytuowania się. Hipotetycznie może też być zdesperowaną, nieszczęśliwą i bezpłodną kobietą, pragnącą przywłaszczyć cudze dziecko, by mu matkować. A może to psychopatka mordująca niemowlęta? Dość! – przywołałam rozszałą wyobraźnię do porządku. Najpierw muszę wrócić do domu, obdzwonić szpitale i posterunki policji. Potem wykonam najtrudniejszy telefon w moim życiu – powiadomię Marcela. Tak czy inaczej, musiało się stać jakieś nieszczęście.

Zalana łzami wstałam i omijając przyglądających mi się klientów galerii, ruszyłam w stronę wyjścia. W tym momencie poczułam pulsowanie mojej komórki w kieszeni. Oby był zasięg! Ogarnięta paniką wyciągnęłam aparat.

– Włodek, ochrona. – Usłyszałam. – Właśnie wróciła z dzieckiem dwoma taksówkami – meldował konspiracyjnie jak agent FBI.

– Dwoma? – upewniałam się, wycierając twarz rękawem bluzy.

– Przyjechało z nią jeszcze kilka osób. Gdy zapytałam, kto to, odpowiedziała, że goście, bo gości nigdy dość. Pan Marcel polecił, by traktować ją tak samo jak jego czy panią, więc nie mogłem ich nie wpuścić...

Przepychając się przez tłum, pędem ruszyłam do auta. Z niezapiętymi pasami łamałam wszelkie przepisy drogowe. Dwa razy wymusiłam pierwszeństwo, przymierzałam się nawet do wyprzedzenia oznakowanego radiowozu. Jak mus, to mus, tłumaczyłam sobie. Na szczęście dojechałam do celu cała i zdrowa. Wpadłam do mieszkania jak burza.

– Hej, sokoły! Oomijajcie góry, lasy, doły. Dzwooń, dzwooń... – Od progu powitał mnie refren starej biesiadnej piosenki.

Mieszkanie spowijały kłęby papierosowego dymu. Muzyka była tak głośna, że nie słyszałam własnych myśli. Wpadłam do salonu, czego towarzystwo nawet nie raczyło zauważyć, i moim oczom ukazała się kompletna rozpiarducha. Na sofie i fotelach w pozycjach półleżących imprezowało czterech pijanych w sztok facetów i tyle samo pań, w tym Zyta. Na dywanie wylegiwał się pies – kudłaty gigant z zabłoconymi łapami; tylko on leniwie podniósł na mnie wzrok. Zdążyłam zauważyć wywróconą doniczkę z kwitnącym na czerwono amarylisem, obok wysypaną ziemię, mlecznik z mojego najlepszego serwisu kawowego pełniący funkcję popielniczki, porozrzucane – puste lub zmięte – pudełka po papierosach i cały arsenał butelek, wyciągniętych z naszego barku. Jim Bean i Johnie Walker były opróżnione. Metaxę właśnie podawali sobie zgodnie ze wskazówkami zegara, pijąc z gwinta. Pilotem wyłączyłam muzykę. Nie zrobiłam jednak na nich żadnego wrażenia, nawet na Zycie, która chwiejąc się, nalewała z garnka – ustawionego bezpośrednio na stoliku – do miseczek mój gulasz po węgiersku.

– O! – zawołał jeden i czknął. – Mamy gościa! Zyciu, to przypuszczam ta zdzira, o której opowiadałaś! Witamy sponsorkę dzisiejszej imprezy! Siadaj – poklepał swoje udo – mi na kolankach. Lokal jest niezły, tylko na następny raz

przygotuj skrzyneczkę czystej, bo od tego kolorowego badziewia możemy mieć niedomagania zdrowotne. Będiesz pamiętać? No, to chodź!

Pozostali zarechotali.

– Czy ktoś tu, do cholery, jest trzeźwy?! – wrzasnęłam.

– Tak! Pies – zapewniła brunetka w różowej minisukience i zielonych kozakach typu walonki.

– Wynocha z mojego domu! – wydarłam się. Wszystko się we mnie trzęsło.

– Uważaj, do kogo mówisz – zabełkotała Zyta. – Marcel prosił, żebym się tu czuła jak u siebie, a to są moi przyjaciele. Najlepsi! Więc trzymaj język za zębami. Zresztą – wymachiwała chochelką jak mieczem, plamiąc kroplami czerwonego sosu beżowy wełniany dywan – już się przyzwyczajam, oziębła zdziro, bo za kilka tygodni to będzie moje królestwo.

– Zamknij się! Jesteś urznięta do granic możliwości. Wynocha!

Rzuciła we mnie chochlą, ale chybiła. Potem zwróciła się do swoich kompanów:

– Chodźcie, wiatry tu dzisiaj nie takie, ale jak się rozpogodzi, to wrócimy!

No – ruchem rąk zachęcała towarzystwo – zmieniamy lokal!

Kiwając się we wszystkie strony, wstali i ruszyli za nią gęsiego. Pochód zamykał brudny pies.

Zagroziłam im drogę i palcem wskazującym wycelowałam w Zytę.

– Ty zostajesz – zarządziłam. – Wypijesz kilka szklanek wody i przebiegniesz się po osiedlu. Potem weźmiesz lodowaty prysznic. – Pamiętałam jeszcze sposoby, z których korzystałyśmy z koleżankami po studenckich imprezach kończących się o szóstej rano, gdy o dziewiątej trzeba było zdawać kolokwium.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za... – wybełkotała.

– Słuchaj, nie mędrkuj. Muszkieterów było trzech, przy ośmiu moczygębach ten numer nie wypali. A poza tym... – rozejrzałam się, czując nagły przyptyw paniki – gdzie jest mała?!

– Leżakuj na tarasie. – Zyta obojętnie wrzuciła ramionami.

– W taką pogodę?! – wrzasnęłam.

– Dzieci trzeba hartować...

– Dobra – machnęłam ręką – zaiwaniaj po nią, a wy spadajcie. No już, śmigaj! Przecież jesteś nianią!

– Ha, ha, ha! – usłyszałam szyderczy chóralny śmiech.

– Taka z niej niania, jak ze mnie mniszka – odezwała się ruda, chuda jak badyl kompanka, przy okazji ujawniając brak obu górnych dwójek. – Urodziła czwórkę dzieci i wszystkie niemal od razu trafiały do domu dziecka. Nawet z tymi dorosłymi nie ma teraz kontaktu. Niania, ha, ha! Dobre!

– Nasza Zytka jest geniuszem na skalę światową! – Jeden z kumpli wysunął się do przodu, ziejąc alkoholem. – Ostatnio zgrywała pracownicę fundacji

i zbierała na hospicjum, niezłą kasę skosiła. Była też medium, prokuratorem, psychologiem klinicznym, no... – zastanawiał się, podczas gdy pozostali wpatrywali się w Zytę z uznaniem, a ona kłaniała się jak primadonna wśród aplauzu widowni.

Zawrzało we mnie. Zaczęłam się trząść ze zgrozy.

– Wypad! Wszyscy! – wrzeszczałam histerycznie. – Ty też, oszustko!

Pobiegłam do biura Marcela i w amoku zaczęłam wyrzucać do przedpokoju wszystko, co do niej należało: sweter z golfem, legginsy, torbę, majtki...

– Nie bądź taka do przodu, bo ci tyłu zabraknie – rzuciła, przytrzymując się framugi. – Po pierwsze, przeproś nas, a po drugie, bierz to w zęby i poukładaj na swoim miejscu, bo naprawdę sobie pójdę. – Pokazała na rozrzucone rzeczy i beknęła. – Słowo honoru, odejdę!

– Ty i honor! – dyszałam z wściekłości. – Ty obleśna, zakłamana wywłoko! Brudna, zapijaczona szmato! Chciałaś zająć moje miejsce? Ty?! Zbieraj manatki i jazda stąd! – Otworzyłam na oścież drzwi wejściowe. – Natychmiast, bo wezwę policję!

Ziomkowie jej pomogli. Chaotycznie upychali manele do torby, aż w końcu, podtrzymując się wzajemnie, wszyscy opuścili mieszkanie. Upewniłam się, że weszli do windy. W ostatnim momencie, zanim drzwi windy się zamknęły, Zyta odwróciła się do mnie i ostentacyjnie namalowała palcem na czole kółeczko. Dobiegł mnie zachrypty, stłumiony rechot jej kompanów i dźwig zjechał w dół.

Spokój, tylko spokój... – powtarzałam sobie, gdy potykając się o puste butelki, biegłam na taras.

Koszyczek leżał bezpośrednio na śliskiej, mokrej posadzce, wyłożonej marmurowymi płytkami. Wśród donic z iglakami, pojemników z wrzosami i kamiennych posążków spokojnie mógł zostać potraktowany jako jedna z jesiennych ozdób, gdyby nie cichutkie, ledwo słyszalne wśród podmuchów wiatru kwilenie.

Wzięłam głęboki oddech i ostrożnie, jak wazę z miśnieńskiej porcelany, zniosłam go do salonu. Nogą torowałam sobie drogę wśród butelek i miseczek z niedojedzonym gulaszem. Koszyk nakryty był lekkim, przesiąkniętym wilgocią kocykiem. Mój instynkt samozachowawczy podpowiadał: walcz albo czym prędzej bierz nogi za pas! Oczywiście drugie wyjście byłoby bardziej komfortowe, ale natura wojowniczką i obietnica złożona Marcelowi nakazywały mi stanąć w szranki.

– Raz, dwa, trzy – odliczyłam z zaciśniętymi powiekami, po czym ruchem cyrkowego magika, trzymającego widownię w niepewności, zerwałam kocyk i odrzuciłam na bok. Potem niechętnie uchyliłam powieki i pochyliłam się nad

małą. Rzeczywiście była mała. Nawet w wesołym, puchatym skafanderku w kolorowe uśmiechnięte słoneczka wyglądała jak kwintesencja nieszczęścia. Przyjrzałam się jej dokładniej: sina, napuchnięta od płaczu buzia, posklejane ropą powieki, obślinione rękawki, policzki całe w purpurowych krostkach. A to wszystko w towarzystwie potwornego odoru czegoś w rodzaju zepsutych kwaszonych ogórków wymieszanych z wymiocinami. Zemdliło mnie, więc wstrzymałam oddech. Mała zamrugała kilka razy i popatrzyła mi prosto w oczy. Tęczówki miała łudząco podobne do oczu Marcela, zielononiebieskie, tyle że nieco ciemniejsze, wpadające w grafit. Ciarki przeszły mi po plecach, ale wyciągnęłam rękę, by ją wziąć. Potraktowała to chyba jako próbę napaści, bo w odruchu samoobrony najpierw wyprężyła się, zbierając siły, a potem podniosła rwytes, jakby ją ktoś żywcem obdzierał ze skóry.

Chciałam krzyknąć o pomoc. Wybiec z mieszkania w poszukiwaniu zalanej Zyty i na kolanach prosić ją, żeby wróciła. Ja się do tego nie nadaję. Wpakowałam się w ten koszmar przez własną głupotę. I przez Julę! To ona mi wmówiła, że dziecko zawsze należy do matki. Najchętniej w rewanżu poprzecinałabym jej opony, wybiła szyby w aucie i na śpiocha przefarbowała włosy na zielono! Oj, będziesz miała za swoje!

– Julia! – krzyczałam kilka sekund później do słuchawki, starając się robić to donioślej niż córka Marcela. – Jesteś durna jak leszcz w galarecie! Posłuchałam twojej rady i wyszłam na tym jak Zabłocki na mydle! Przyjeżdżaj tu natychmiast i zajmij się nią! – Wciąż się wydzierając, obwiniając i wygrażając, w telegraficznym skrócie zrelacjonowałam wydarzenia ostatnich dni. – Przyjeżdżaj, tylko migiem!

– Blanka – musiałam zatkać palcem prawe ucho i z całej siły przycisnąć aparat do lewego, żeby usłyszeć cokolwiek poza konwulsyjnym wyciem – uspokój się! Natychmiast!

– Jestem spokojna jak wulkan podwodny! Ale jeżeli natychmiast tu nie przyjedziesz, wybuchnę i wywołam tsunami!

– Będę, oczywiście, że tak – uspokajała mnie pospiesznie. – Tyle że rano, zaraz po dyżurze. Teraz jestem w pracy i na cito musimy robić cesarkę. Dziecko ma zaburzenia tętna. Tu się liczy każda minuta. Przepraszam, Blanka. Wiem, że dasz radę, jak zawsze!

– Ale Julia... ktoś przecież może cię zastąpić! Sytuacja jest wyjątkowa! – krzyczałam, jednak odpowiedziała mi już tylko cisza.

Spróbowałam połączyć się z nią ponownie. Gdy po trzech sygnałach automatyczny głos poprosił mnie, żebym nagrała wiadomość, ze złości cisnęłam telefon w kąt.

W akompaniamencie spazmów krążyłam wokół stolika, na którym wydierało się cudo Marcela. Poza ucieczką nie widziałam wyjścia z tej sytuacji.

Mama? Śmieszne, jakoś nie wyobrażałam sobie jej w roli opiekunki. Mną i Iwoną w pierwszych latach życia opiekowała się babcia. Iwona? Jeszcze bardziej komiczne. Poszła w ślady mamy. Zaraz po powrocie z porodówki oddała Witusia w ramiona niani. Teściowa? Właśnie! Może ona? Chyba nie odmówi opieki nad żywym dowodem na przetrwanie jej genów. Uznałam tę opcję za optymalną, więc na kolanach ruszyłam na poszukiwania telefonu. Wtedy usłyszałam długi, nieustęplicy dzwonek do drzwi.

Pędem, przeświadczona, że zaraz łaskawie przyjmę z powrotem pod swój dach skruszoną Zytę, pobiegłam do drzwi i otworzyłam je na oścież. Jednak przecucie było mylące. Zdziwiona – i zawiedziona – ujrzałam Karolę, naszą sąsiadkę, mamę kilkumiesięcznych bliźniaków, tę samą, która była u mnie kilka tygodni temu, żeby się przedstawić. Od tego czasu konsekwentnie omijam ją na podwórku, gdzie dzień w dzień kursuje z wielkim jak namiot wózkiem. Zawsze pozoruję jednak uśmiech, macham przyjaźnie i czmycham jak najszybciej, by nie narażać się na konieczność grania komedii zachwytu nad obślinionymi dzieciakami.

Teraz – w piżamie i bez makijażu – zaniepokojona patrzyła raz na mnie, raz w przestrzeń tuż za mną.

– Pani Blanko – odezwała się łagodnie – nasza sypialnia sąsiaduje z państwa apartamentem i nie jestem w stanie zmrużyć oka. Ten płacz mi nie pozwala. Serce matki jest wyczulone na łzy nie tylko rodzonych dzieci, ale...

– Spadła mi pani z nieba! – Bezgranicznie szczęśliwa, chwyciłam ją za rękę, wciągnęłam do mieszkania i chaotycznie opowiadając całą historię, zaprowadziłam do piknikowego koszyka.

– Nieprawdopodobne... – Karola z zainteresowaniem pochyliła się nad małą. – Jak masz na imię, kochana?

– Blanka – odparłam mechanicznie.

– To wiem. Ale jak się nazywa to maleństwo, które rodzona matka porzuciła dla jakiegoś szwedzkiego przydupasa, niespełna rozumu ojciec wyjechał i zostawił na łasce niani na bani, a jego żona... – spojrzała na mnie z wyrzutem i niedowierzająco pokręciła głową – ...morzy głodem. No jak? – zapytała ponownie.

– To nieprawda, że ją głodzę. Po prostu miało być inaczej – tłumaczyłam pospiesznie. – Marcel zadbał o opiekę, a mówi do niej... No... – Wysiłałam pamięć. – Mała albo kruszynka. Proszę mnie z góry nie oceniać, zostałam w całą tę aferę wmanewrowana wbrew swojej woli...

– Dobra, nikogo nie mam zamiaru osądzać. Lepiej ratujmy to cudeńko, co ma oczka jak aniołek. – Z matczyną miłością sąsiadka podniosła małą. – Wypucujemy, nakarmimy, przytulimy i będzie lśniło jak brylant. – Pocałowała ją w policzek. – Cichutko, maleńka, ciotka Karola zaraz się tobą zajmie.

Sprawnie przejęła prowadzenie akcji ratunkowej, bo miała wiedzę i doświadczenie. Ja byłam wykonawcą zadań poślednich, czyli donoszenia wanienki, ręczników, oliwek, kremów, przygotowywania kaszki według przepisu na opakowaniu, chłodzenia butelki pod strumieniem zimnej wody. Przy okazji sprzątałam pozostałości po przyjęciu zorganizowanym przez Zytę.

W międzyczasie, zaniepokojony długą nieobecnością żony, zajął do nas mąż sąsiadki. Wyjaśniła mu, że stan jest wyjątkowy, i poleciła, by wrócił do dzieci, bo lada moment któreś może się przebudzić. Cały proces doprowadzania małej do stanu używalności odbywał się na stoliku w salonie. Byłam bezgranicznie wdzięczna i na wszelki wypadek, by Karola nie uciekła, pomna wszystkich szkoleń o strategiach działania z klientem, karmiłam jej ego pochwałami. Po wykąpaniu, osuszeniu, wszystkich zabiegach pielęgnacyjnych, nakarmieniu, ulaniu nadmiaru pokarmu i beknięciu, córka Marcela zasnęła w ramionach sąsiadki. Karola pokołysała ją jeszcze chwilę, a potem na palcach przeniosła do łóżeczka i dopieściła, łagodnie głaszcząc po błyszczącym od oliwki policzku.

Gdy ją obserwowałam, w pewnym momencie mój wzrok padł na stosik dokumentów leżących na parapecie. Z zainteresowaniem zaczęłam je przeglądać: akt urodzenia, książeczka zdrowia dziecka, wypis ze szpitala, zaświadczenia o szczepieniach...

– Apolonia – mruknęłam z niesmakiem.

– Co powiedziałaś? – zapytała Karola, z którą w międzyczasie przeszłyśmy na „ty”.

– Ma na imię Apolonia.

– Pięknie i oryginalnie. To imię oznacza dziewczynkę, która potrafi kochać szczerze i bezgranicznie, szczególnie gdy jest taką miłością obdarzana. – Popatrzyła na mnie znacząco, ale zaraz odwróciła wzrok, skupiając się na śpiącym dziecku.

– Wcale nie piękne, raczej takie sobie. – Wzruszyłam ramionami. – Ale przecież może być Pola. Tak, niech zostanie Polą – zdecydowałam.

Zawiedziona zegnałam Karolę, która musiała wracać do siebie. Byłam przekonana, że zostanie na noc, ale ona, patrząc na mnie jak na ufoludka oczekującego poręczenia kredytu bankowego, stanowczo odmówiła.

– Musisz sobie radzić sama. Na mnie czekają zdwojone obowiązki i wstający przed szóstą mąż, którego muszę wyprawić do pracy. Wpadnę jutro, ale gdybyś czegoś pilnie potrzebowała, to daj znać. – Zaniepokojona spojrzała na zegar. Było już po północy. – Dasz radę, Blanka – zapewniła. – Jesteś już dużą dziewczynką.

– Mam małe doświadczenie, bo tylko sporadycznie zajmowałam się moim chrześniakiem... – próbowałam argumentować, choć z góry wiedziałam, że jestem na przegranej pozycji.

– Ja też byłam laikiem, kiedy dziewczynki się urodziły. Zostały poczęte metodą in vitro. Udało się dopiero za trzecim razem. Nie trzymałam tego w tajemnicy. – Znowu spojrzała na mnie znacząco. – Myślałam, że będę moją radość dzielić z najbliższymi krewnymi, ale oni wyrzucili mnie poza nawias i zostałam sama na polu bitwy. Mąż wprawdzie trochę mi pomaga, ale nie mogę od niego oczekiwać cudów, bo sam jest przemęczony. Zostałam rzucona na głęboką wodę, ale nie utonęłam. Ty też dasz radę – powtórzyła krzepiąco. – I nie zapominaj: dziecko to dar od niebios. Ja dostałam podwójny, więc tym bardziej się cieszę i niczego nie żałuję.

Cisza, jaka zapanowała w mieszkaniu, gdy zamknęłam drzwi za Karolą, jaskrawo kontrastowała z panującym tu jeszcze przed godziną harmidrem. Opadłam na fotel w przedpokoju. Czułam się tak, jakby cała moja energia uszła gdzieś w eter. Nie chciało mi się analizować sytuacji, bo są takie chwile, gdy myślenie boli. A miało być tak pięknie. I było – jak w bajce, tyle że krótko. Wykrzesalam resztki energii i poszłam do pokoju Poli. Oparłam się o barierkę łóżeczka i patrzyłam na małą z dystansem. Spała spokojnie, miarowo ssąc smoczek. Naoliwione policzki błyszcząły w świetle lampki. Nic nadzwyczajnego. Taki miniaturowy człowieczek, liliput, a ma w sobie siłę rażenia ładunku nuklearnego. Robi kompletną demolkę w życiu, rujnuje małżeństwo, tłucze w miążgę wszystkie marzenia.

– A więc, dewastatorko mojej spokojnej egzystencji – szepnęłam – śpij do rana. Potem zajmie się tobą wszechwiedząca Jula, która wyciąga takie jak ty na ten świat. A po powrocie Marcela się zwijam i już nigdy nie będę musiała cię oglądać.

Nie oczekiwałam polemiki, ale nagle mała szeroko otworzyła oczy. Zaraz potem wypluła smoczek z taką siłą, jakby miała w buzi miniaturową armatkę, wygięła się jak cięciwa i zaczęła histerycznie wrzeszczeć.

– Co, bunt? – zapytałam z niedowierzaniem, próbując wcisnąć jej smoczek do buzi. – Niestety, koleżanko, nie ty tu rządysz. Rozumiesz?

W odpowiedzi wierzgnęła nóżkami, dwa razy mlasnęła i smok wyskoczył z jej buzi. Poczzerwieniała, zbierając siły do kolejnego napadu hysterii. Nie chciałam zaburzać snu Karoli, więc znów wcisnęłam małej smoczek i tym razem przytrzymałam stanowczo. Czułam, że językiem próbuje go wypchnąć, ale nie dawałam za wygraną. Kręciła się i siłowała, mocno oplotła paluszkami smoczek i patrzyła na mnie walecznie. Te oczy... skierowane prosto we mnie. Nogi się pode mną ugięły, bo przypomniała mi się tragedia, która zdarzyła się jakieś dwa lata temu na Koszmarku. Mamusia z tatusiem zabrali kilkutygodniowego potomka na melinę. I tak niefortunnie się zdarzyło, że dziecko akurat przechodziło okres kolek i – jak potem cytowały rodziców gazety – „skowytem pobijało światowy rekord decybeli”. Postanowili więc je uciszyć smoczkiem. Zadziałał jak knebel – dziecko się zakrztusiło i zmarło.

Kretynko, przemknęło mi przez myśl, prowadzisz wojnę nierównych szans! Udusisz ją! Zaraz tu będą ratownicy, karetka, policja, prokurator, ktoś z komitetu praw dziecka, sąsiedzi... W wyobraźni zobaczyłam nagłówki na pierwszych stronach gazet: „Macocho smoczkiem zadusiła niemowlę”. Boże!

Chwyciłam małą pod delikatne ramionka i wyciągnęłam z łóżeczka.

– Dobra, wygrałaś – przyznałam, wycierając dłonią jej oblepioną śliną buzię.

Przytuliłam ją nieporadnie. Była gorąca i spocona. Z emocji trzęsły mi się ręce. Bałam się, że zaraz ją upuszczę. Na wszelki wypadek usiadłam na kanapie. Czułam szybkie bicie jej serduszka. Oparła główkę na moim ramieniu i po chwili zasnęła.

Ostrożnie wstałam i ułożyłam ją w łóżeczku – na boku. Dla pewności, by nie przewróciła się na wznak i nie zaczęła krztusić, podłożyłam jej pod plecki kocyk.

– I cóż ty byś zrobiła beze mnie? – zapytała Jula, gdy rano otworzyłam jej drzwi. Była wyraźnie zmęczona, worki pod oczami i bladą cerę próbowała zatuszować makijażem. Mogła nabrać innych, ale nie mnie. – Na dyżurze nie zmrużyłam oka. Pięć porodów, w tym dwie cesarki – uskarżała się, zdejmując płaszcz. – Ale jestem i zaraz wyciągnę cię z rzekomej opresji – westchnęła wyrozumiale.

– Mów ciszej – szepnęłam i cmoknęłam ją w policzek na powitanie. – Chodź, tylko na paluszkach, bo dopiero co zasnęła. – Pogroziłam jej palcem.

Miałam po dziurki w nosie pełnienia roli niańki. Pola w nocy obudziła się jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem zmieniałam jej pampersa i układałam w innej pozycji. W międzyczasie drzemałam, skulona na sofie tuż obok łóżeczka, ale prawdziwy, głęboki sen nie przychodził. Wstawałam dziesiątki razy, by upewnić się, czy oddycha, czy kocyk się nie zsunął albo nos nie zatkał. Przecież zapewniłam Marcela, że jej dopilnuję i może spokojnie załatwiać interesy w Azerbejdżanie. A ja zawsze dotrzymuję obietnic.

Jula zacisnęła palce na barierce łóżeczka i wpatrywała się w dziecko przez łązy – jak w cudowny i niezwykle kosztowny pierścionek z brylantem w jubilerskiej witrynie, który już i natychmiast chce się założyć na palec, ale możliwości finansowe na to nie pozwalają, więc gdzieś tam w głowie błyska myśl, że można by rozbić szkło, porwać klejnot i dać dyla, licząc na szczęście. Wyraz jej twarzy sprawił, że dostałam gęsiej skórki. Zrozumiałam, że chce jej się płakać z zazdrości, bo mam w zasięgu ręki to, o czym ona marzy od trzech lat, podczas gdy we mnie nie ma krzty instynktu macierzyńskiego.

– Ależ ona śliczna – szepnęła. – Regularne rysy, prosty nosek, gęste włoski, pełne usta, długie czarne rzęski, dołeczki w policzkach. Ach, po prostu brak mi słów...

– Nie przesadzaj. Jesteś ginekologiem, a nie ogrodnikiem – ziewnęłam demonstracyjnie. – Pooglądasz ją dokładniej, gdy się zbudzi, a teraz chodź, napijemy się czegoś.

Po chwili siedziałyśmy na fotelach w salonie i z podkulonymi nogami piłyśmy herbatę. Opowiedziałam Juli wszystko z detalami, tak by nie zasnęła, czyli koloryzując co nieco i jak w horrorze stopniowo budując napięcie. Zaczęłam od momentu, gdy w restauracji zadzwonił telefon Marcela i okazało się, że Elwira zostawia małą i wyjeżdża do Szwecji, poprzez całą historię z Zytą, a apogeum opowieści była oczywiście ubiegła noc. Julia siedziała jak skamieniała, a jej zielone oczy robiły się coraz większe. Osiągałam zamierzony efekt.

– Bajerujesz, aż ci się z uszu kurzy – skwitowała wyrozumiale. – Lepiej powiedz, co teraz zamierzasz.

– Oddam ją Marcelowi w stanie nie pogorszonym – oznajmiłam, posiłkując się terminem z kodeksu cywilnego. – Czyli tak, jak po zakończeniu okresu najmu musimy zwrócić właścicielce apartament. Przez tych kilka dni zajmę się Polą, a on – westchnęłam ciężko, bo nagle zrobiło mi się tęskno za moim jeszcze mężem – zrobi, jak będzie uważał.

– Ale co z wami? – dopytywała.

– Nie ma szału – powiedziałam grobowym tonem. – Rozstajemy się.

– Przestań bredzić. – Wywróciła oczami. – Boże, słyszysz i nie grzmisz!

– Tak, Julia. To już ustalone. Uciekam z tego wariatkowa. Po prostu sprzedam moje mieszkanie i kupię inne, posiłkując się panięskimi lokatami. Wrócę do życia singielki, znajdę pracę... Wprawdzie przed wyjazdem Marcel, trapiiony wyrzutami sumienia, zadeklarował, że sfinansuje mi zakup mieszkania i nie muszę iść do pracy, ale przemyślałam to i ani mi się śni skorzystać z tej propozycji. Nie zamierzam być jego utrzymanką, bo...

– Dziewczyno, ogarnij się! Nie wiem, czy w *Księdze rekordów Guinnessa* istnieje dyscyplina definiowana jako ekstremalne frajerstwo, ale powinnaś już i natychmiast zgłosić do niej Marcela. Gwarantuję, że pobije wszystkich. Druga możliwość jest taka, że twój mąż nie jest aniołem, ale archaniołem – rozłożyła ramiona i poruszyła nimi, jakby chciała wznieść się pod sufit – którego zesłano, by umiłował ci ziemską egzystencję. W każdym razie bycie jego żoną to taki fart, jak znalezienie czterolistnej koniczyny na hektarach łąk upstrzonych krowimi plackami. I do tego grzeszy urodą. Zazdroszczę ci, gdybym ja...

– Ale nie dotrzymał umowy – przerwałam jej, bo już nie mogłam tego słuchać. Wszystko, co mówiła, było tak dołującą prawdą, że chciało mi się płakać. – Zaczekaj!

Pobiegłam do swojego pokoju po folię bąbelkową, na szczęście nie do końca wypstrykaną. Wróciłam, opadłam na fotel i z zapalem oddałam się mojej ostatniej pasji.

– Wiesz co? – Julia patrzyła na mnie z politowaniem. – Gadasz takie farmazony, że zjadów i depresji można się nabawić. Kup sobie cały wielki zwój... tego czegoś i pykaj do końca życia albo zrozum wreszcie, że świat jest nieprzewidywalny, tak samo jak pogoda. Co z tego, że pogodynka zapowiadała cudne popołudnie, skoro przyszła burza z piorunami? Podasz ją do sądu, bo nie zabrałaś parasola? Nie bądź głupia...

Pewnie dalej słuchałabym tego wywodu, gdyby nie nagły płacz małej. Zabrzmiało inaczej, jak nawoływanie, jakby była spragniona towarzystwa. Zerwałyśmy się jak na komendę, ale Julia była szybsza. Doskoczyła do łóżeczka i wzięła Polę na ręce z taką czułością, że ciarki przeszły mi po plecach. Delikatnie całowała jej czołko, policzki, paluszki. Sprawiała wrażenie, że syci się tą bliskością. Ja tak nie potrafiłam. Traktowałam małą jak paprotkę w doniczce, której do przeżycia mają wystarczyć odpowiednia temperatura, podlewanie i nawożenie, byleby przetrwała, bo za tydzień ma się stać prezentem imieninowym.

Julia wyraźnie zaczęła się szarogęścić. Wzięła ode mnie butelkę i rozsiadła się w fotelu w salonie. Sprzątając filiżanki po herbacie, przyglądałam się im spod oka. Tulila dziecko w ramionach, jakby karmiła piersią, cichutko nuciła kołysankę, głaskała małą główkę. Patrzyły sobie w oczy, jakby świat poza nimi nie istniał.

– A teraz, kochanie – Julia odłożyła pustą butelkę i wzięła małą pod ramionka – razem się położymy i przytulimy. Pozwolisz mi chwilę pospać, a potem pójdziemy na spacer. Dobrze? – Znowu ją pocałowała. Wyraźnie zaczynała mieć hopla na jej punkcie. W odpowiedzi Pola zaczęła radośnie popiskiwać i kopać. – Czyli zgoda? Jakaś ty mądra! – Julia wtuliła w nią twarz. – Tak pięknie pachniesz.

Pola, pełna zachwytu, wpatrywała się w Julę zielononiebieskimi oczami Marcela...

Niespodziewanie zaczęło mnie to wkurzać. Niby powinnam być zadowolona, że dzieckiem zajmuje się ktoś, kto czuje ten klimat i kogo sama poprosiłam o pomoc. Niby – znużona po nieprzespanej nocy – mogłam przez następne kilka godzin odpoczywać i mieć problem z głową. Ale kiedy Pola żywiłowo zagruchała, coś mi przestało pasować, a w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka. Powróciły obrazy z dziewczęcych zabaw. Nieustannie toczyłyśmy spory o obsadę ról. Julia wszelkimi sposobami chciała wyegzekwować dla siebie rolę księżniczki, a ja miałam być pokojówką; ona wróżką, ja czarownicą; ona agentką FBI, a ja złodziejką (wtedy mówiłyśmy „kradziejką”). Jest kilka miesięcy starsza i błędnie sądziła, że to upoważnia ją do rządzenia. „Starszy nie znaczy mądrzejszy!”, wrzeszczałam. „Nie masz jeszcze siwych włosów ani nie jesteś pępkiem świata”. Kończyło się na niosących się po całym osiedlu rykach, tupaniu, piskach, rzucaniu w siebie piaskiem i zabawkami, a gdy już prawie szarpałyśmy się za włosy, nasze mamy rozdzielały nas siłą i każda ze swoją córką

pod pachą wracała do mieszkania. My zaś, wierząc nogami, darłyśmy się jeszcze, że to koniec naszej przyjaźni. Zawsze jednak za godzinę lub dwie zaczynało mi jej brakować. Za cenę odgrywania podrzędnej roli maszerowałam więc do Juli i wyciągałam rękę na zgodę.

A teraz ona i Pola... Nie, tego już było za wiele.

– Daj mi ją – zażądałam kategorycznie.

Podniosła na mnie oczy zdziwiona, jakby dopiero teraz mnie zauważyła.

– Dlaczego? Mogę zostać do południa. Wszystko już zaplanowałam...

– Jedź do domu i odpocznij. Dam sobie radę. – Z wyraźnym ociąganiem oddała mi dziecko, próbując złapać ze mną kontakt wzrokowy. Zawsze miała magiczną moc odczytywania moich myśli. – Dopiero co zesłaś z dyżuru i musisz odpocząć. Jeżeli będę potrzebowała pomocy, to oczywiście... – starałam się brzmieć wiarygodnie.

– Tak, tak – przytakiwała, udając, że ją przekonałam. Na szczęście wstała. Marzyłam, żeby już jej nie było. Wtedy ona rzuciła: – Ale wiesz co? Zrobię jeszcze kilka zdjęć. Na pamiątkę tego epizodu w waszym życiu. Bo to tylko epizod, prawda? – W jej głosie wyczułam nutę drwiny. – Mam rozładowaną komórkę, więc pozwól, że popstrykam twoją. Tylko prześlij mi je na maila. Szczerze mówiąc, na twoim wizerunku mi nie zależy, mam tysiące twoich fotek. Ale uwieczniłabym Polę, skoro nie będę już jej widywać. Bo nie będę, prawda? – dopytywała.

Po kilku minutach, z małą na rękach, odprowadziłam Julę do windy. Pocałowała nas obie na pożegnanie. Z ulgą patrzyłam, jak znika mi z oczu.

Ułożyłam Polę w łóżeczku i włączyłam zawieszoną nad nim karuzelę. Kolorowe plastikowe zwierzątka zaczęły wirować w rytm cichej muzyki płynącej z pozytywki. Nawet na mnie nie spojrzała. Wyciągała rączki, chcąc chwycić zabawki. Oparta o barierkę łóżeczka, zastanawiałam się, dlaczego tak spławiłam Julę. Przecież błagałam ją o pomoc. W dodatku obie tak świetnie się czuły w swoim towarzystwie, tyle że mnie potraktowały jak zło konieczne. Czy ja przypadkiem nie szukam dziury w całym? Odbija mi czy co? Wstyd mi było się do tego przyznać, ale czułam się zepchnięta na drugi plan. Chyba mam jakieś kompleksy. Ale przy mnie Pola ani razu się tak nie zaśmiewała, nie zdołałam wykrzesać z niej takiego gdakającego rechotu.

– Pola? – szepnęłam. Zero reakcji. – Pola – powtórzyłam głośniejszym głosem, ale też o wiele cieplej, głosem, jakiego nie znałam.

Podniosła na mnie duże, zielononiebieskie oczy. Ciarki przeszły mi po plecach. Delikatnie ujęłam ją pod paszki i podniosłam. Zmarszczyła czoło i patrzyła z ograniczonym zaufaniem, jakby zastanawiała się, czy się rozpląkać. Uśmiechnęłam się i po raz pierwszy delikatnie pocałowałam ją w czółko. Jednak nie tak spontanicznie jak Julia. Obce, obślinione dziecko. Czy byłabym w stanie je

zaakceptować? Pokochać to za wiele, ale chociaż nie toczyć z nią wojen? Może tak, była przecież żywym odbiciem swojego taty, dla którego straciłam głowę. Przytuliłam ją. Z początku stawiała opór, ale po krótkiej chwili złagodniała i odprężyła się. Świat zwolnił tempo, a ja poczułam, że oplata nas jakaś niewytłumaczalna sieć, dla pewności płacze supły i zaciska tak mocno, że żadna siła nie da jej rady...

Cichutkie pukanie do drzwi przywołało mnie do porządku. Z przyklejoną do mnie małą poszłam otworzyć. W progu stała Karola.

– Hej, dziewczynki zasnęły. Obie naraz! To ewenement – trajkotała. – Więc postanowiłam zajrzeć do ciebie... – Zamarła, bo chyba dopiero teraz dostrzegła, że trzymam w ramionach Polę. – No tak, mówiłam, Apolonie potrafią w sobie rozkochać. – Pokiwała głową z uśmiechem. – Pomóc ci w czymś?

– Dziękuję, ale nie trzeba – odparłam stanowczo. – Wczoraj byłaś dla mnie wybawieniem, będę ci za to dogonnie wdzięczna, ale od dziś muszę sobie radzić sama.

– Gdyby coś...

– Wiem, dziękuję.

Cały dzień przeznaczyłam na sprawy organizacyjne. Wkropiłam w swoje zmęczone, czerwone oczy łagodne krople i z kolejnym kubkiem kawy usiadłam na fotelu obok łóżeczka, kładąc na kolanach laptop. Najpierw przejrzałam parę stron parentingowych i kilkadziesiąt filmików instruktażowych, robiąc przy okazji listę rzeczy, których Marcel jeszcze nie kupił: wózek, fotelik samochodowy ze ściąganą tapicerką, którą można wyprać lub wyczyścić, szczelnie zamykany pojemnik na brudne pieluchy, kilka par zapasowych śpioczków, ergonomiczne nosidełko z daszkiem chroniącym przed deszczem albo palącym słońcem i kilka innych drobiazgów. Kompleksowo złożyłam zamówienie przez internet. Potem wyjęłam z kuchennej szuflady album, który miałam dać Marcelowi w prezencie. Ściągnęłam z komórki i wydrukowałam zdjęcia, które zrobiła Jula. Do kompletu brakowało tylko wspólnych fotografii Marcela i Poli. Z ociąganiem włączyłam mężowski komputer – grzebanie w cudzych plikach było dla mnie jak czytanie czyjejś korespondencji. Na szczęście już tłem pulpitu była fotka świeżo upieczonego tatusia w jednorazowym fartuchu z fizeliny, z dumą prezentującego nowo narodzoną, malutką i pomarszczoną córeczkę – z sinoczerwoną buzią i zadziornie zadartym noskiem – owiniętą w szpitalny kocyk. W prawym górnym rogu znalazła się informacja, wpisana w różowe serduszko: „Ta cudna dziewczynka, Apolonia Tuszyńska, przyszła na świat 24 lipca o godzinie 19:03. Ważyła 3250 g i mierzyła 54 cm. Dostała 10 punktów w skali Apgar. Imię dla córki wybrał szczęśliwy tata”.

Skopiowałam zdjęcie i zrobiłam zbliżenie na ich twarze. Na widok Marcela

zrobiło mi się ciepło koło serca. Zatęskniłam za nim.

– No, Pola – powiedziałam cicho, wklejając zdjęcie do albumu – macie tu jeszcze sporo pustych stron. Czym się zapełnią? Nie mam pojęcia...

Zaraz potem zaczęły mnie dopadać wyrzuty sumienia związane z Julą. Głupia, dziwaczna sytuacja. Nie cofnę czasu, ale muszę coś z tym zrobić, i to natychmiast. Przecież zawsze była przy mnie. Łączy nas milion wspomnień. Wspólne wagary, pierwsze miłości, nocne imprezy w klubach studenckich...

Położyłam Polę do bujaczka, żeby mieć ją na oku. Bawiła się paluszkami, przypatrując im się kolejno, jakby widziała je pierwszy raz w życiu, a potem wpychała je do buzi i smakowała. Zabrałam się do urządzania pokoju dziecięcego, na który bohatersko przeznaczyłam swój gabinet. No cóż, mogę pracować w kuchni. Niewiele mogłam zrobić – zamieniłam żarówkę lampki, przy której czytałam, na taką o mniejszej mocy, uprzątnęłam szpargały ze stolika, by mógł służyć jako tymczasowy przewijak, zwinęłam w rulon dywan i wyniosłam go do schowka, żeby nie narażać małej na alergeny (wystarczy, że ma uczulenie na mnie), wytarłam kurze i umyłam podłogę mopem. Potem wydrukowałam jeszcze jedną kopię szpitalnego zdjęcia Marcela i Poli, włożyłam w ramkę i za pomocą kolorowej wstążki zawiesiłam na ścianie. Na parapecie postawiłam doniczkę z kwitnącym fiołkiem, którą przyniosłam z kuchni. Akurat gdy przesuwalam łóżeczko, by nie stało bezpośrednio przy kaloryferze, mała zapłakała, wyginając się w cięciwę. Cichutko, jak kociak. Znałam już ten ton, brzmiał jak nawoływanie. Kucnęłam obok.

– Pola, dopiero co jadłaś – przemawiałam do niej, upewniając się, że ma suchą pieluszkę. Wzięłam ją na ręce, ale dalej marudziła, więc włączyłam z laptopa kołysanki. Śliczne, z delikatnymi dźwiękami cymbałków w tle. Ziewnęłam. Spanie na zawołanie. Szkoda, że nie u niej. Jej dolna warga zadrżała i mała wpadła w rozpaczliwy, buntowniczy lament. – Pola, tylko nie to... – przemawiałam, ścisząc kołysanki. – Ja okrutnie fałszuję. Serio. Jako jedyna z dziewczyn z klasy w liceum nie dostałam się do chóru, choć bardzo chciałam. Od tego czasu imprezy karaoke omijam szerokim łukiem... – W odpowiedzi wierzgnęła nóżkami i zapłakała głośniej. – Dobra, wymiękam – westchnęłam pojednawczo.

Na początku nie mogłam wydobyć z siebie żadnego tonu, ale po chwili, gdy protest się nasilił, zaimprovizowałam nonsensownie: „Mała Pola nie chodzi jeszcze do przedszkola, bo taka jest jej wola, choć czeka na nią Ola...”. Mój śpiew brzmiał makabrycznie – jak odgłosy marcujących kotów. W najlepszym wypadku mógłby usatysfakcjonować kogoś z poważnymi problemami ze słuchem. Ale Pola zamilkła, wyraźnie zafascynowana.

– Zwariowałaś? – zapytałam. – Naprawdę podobała ci się ta chałtura? – Roześmiałam się. A wtedy... ona też się zaśmiała. Pierwszy raz przy mnie, i w dodatku głośno, wprost zniewalająco. – Dobra, pobawimy się w „a kuku”,

choć czas leci. Burczy mi w brzuchu, a tobie trzeba dokupić mleka. Muszę się zorganizować, bo inaczej obie padniemy z głodu, prawda? – Znów się zaśmiała. – Wiesz co? – Popatrzyłam na zegarek. – Julia powinna być już po drzemce. Wprawdzie dałybyśmy sobie radę bez niej, ale niech się dziewczyna pławi w przekonaniu, że jest niezastąpiona.

Julia zjawiała się u mnie w pół godziny. Wyglądała o niebo lepiej. Paznokcie, tak samo jak powieki, umalowała na czekoladowo, założyła rdzawą kurteczkę z podszewką z brązowego sztucznego futerka, a pod spód wełniany sweter w kolorze miedzi. Starym, dobrym zwyczajem, witając ją, zgadywałam, kim aktualnie jest. Rodzynką? Brązowym dobermanem? Jesiennym liściem dębu? Olimpijskim brązowym medalem? Cukrem trzcinowym? Nie! Okazało się, że jest ściółką leśną!

Roześmiałyśmy się równocześnie, a potem zachowywałyśmy się, jakby nic się nie stało. Przecież przyjaźń to również sztuka kompromisów i przymykania oczu na pewne sprawy. Niech się poczuje potrzebna, byle znów nie zaczęła się szarogęścić, pomyślałam. Poprosiłam ją do pokoju Poli, żeby mi poradziła, co jeszcze dokupić, a co zmienić. Zresztą Julia to artystyczna dusza. W liceum potrafiła ze zwykłych rzeczy zrobić cuda za dosłownie grosze. Z zafarbowanych domowym sposobem sznurków i koralików wygrzebanych z szuflad tworzyła naszyjniki, z guzików pierścionki, a z kupionych na kilogramy ubrań z lumpeksów całkiem odlotowe kreacje.

Ustaliliśmy, że kupię hipoalergiczne farby i razem namalujemy na jednej ze ścian postaci z bajek, na drugiej, w kolorowych ramkach, zawiesimy pamiątki, takie jak odciski stópek i rączek, ale z umiarem, by mała nie dostała oczopląsu.

– No to niania przyjdzie na gotowe – rzuciła Julia, niby od niechcienia, przeglądając ubranka.

Nie odpowiedziałam, udając, że jestem zaabsorbowana wygładzaniem prześcieradła w łóżeczku. Wtedy rozdzwonił się telefon.

– Dzień dobry – usłyszałam głos ochroniarza. – Jakaś pani chce rozmawiać z panem Marcelem.

Czyżby Zyta? Najeżyłam się, gotowa wyrzucić z siebie stek wyzwisk. Po drugiej stronie jednak odezwał się wyważony kobiecy głos:

– Nazywam się Irmina Śmigieł. Reprezentuję ośrodek pomocy społecznej. Poinformowano nas, że pod tym adresem przebywa Apolonia Tuszyńska. Czy ta informacja jest prawdziwa?

– Owszem – potwierdziłam zaniepokojona. Czego ona chce? Odebrać małą i przekazać do rodziny zastępczej albo do pogotowia rodzinnego? W sumie byłoby mi to na rękę, tyle że Marcel nie przeżyłby odebrania mu gwiazdki z nieba! Spokój,

tylko spokój... Przecież nie żyjemy z zasiłków. Dziecko ma swój pokój, jedzenie, ubranie i zabawki. Tyle że aktualnie nie ma tatusia. Ale jak jej nie wpuszczę, będzie jeszcze gorzej.

– Nazywam się Blanka Tuszyńska, jestem żoną ojca dziewczynki. Zapraszam.

W pierwszej minucie odetchnęłam z ulgą. W płaszczu koloru bawarki i z uśmiechem przesłodzonym jak marcepanowy batonik kobieta wyglądała niegroźnie. Ale zaraz wzmogłam czujność. Widziałam kiedyś na lotnisku uroczą biszkoptową labradorkę w kamizelce służby celnej. Leżała zwinięta w kłębek, jakby spała, ale na rozkaz zerwała się na równe nogi i systematycznie, po kolei, nie pozwalając sobie na żaden unik, przeszukała wszystkie bagaże. W plecaku jakiegoś studenta znalazła dziesięć gramów marychy zatopionej w zapachowej świeczce, dodatkowo spryskanej perfumami i posypanej pieprzem.

Wzmogłam więc czujność. Ponownie się przedstawiłam i zgodnie z prawdą poinformowałam, że Marcel jest w pracy. Rzecz jasna pominęłam fakt, że wyjechał na kilka dni, zostawiając małą na łasce pijanej hochsztaplerki, którą musiałam niemal wykopać z mieszkania.

– To moja przyjaciółka, która w dodatku jest le...

– Wiem przecież. – Kobieta uśmiechnęła się radośnie, jakby zobaczyła pod choinką górę przygotowanych dla niej prezentów. – Dzień dobry, pani doktor. – Julia z Polą na rękę uśmiechnęła się zakłopotana. Zerknęła na mnie porozumiewawczo. Nieraz uskarżała mi się, że ma tendencję do zapominania kompanów z różnych imprez, szczególnie tych zakrapianych, ale to też jej wina, bo mądrzy się, głośno wyraża swoje poglądy, obcałowuje i z każdym przepija brudzia. Reasumując, najchętniej stałaby na piedestale i rozdawała autografy. Potem nie pamięta zbyt wiele. Nie ukrywam, razem też bywałyśmy na pijackich imprezach, ale ja mam pamięć wzrokową, poza tym nie pcham się na pierwszą linię. Problem z rozpoznawaniem twarzy znajomych lub wcześniej widzianych osób to tak zwana prozopagnozja. Powstaje na skutek uszkodzenia mózgu – tak tłumaczyła mi Julia, przekonana, że sama cierpi na tę przypadłość. Ale wybiłam jej to z głowy. Moim zdaniem przyczyną tego stanu rzeczy jest alkohol zmieszany z gwiazdorzeniem.

– Jestem pani pacjentką. – Kobieta pomogła jej wybrnąć z sytuacji.

– Ach, przepraszam! – zawołała Julia. – Jestem po całonocnym dyżurze i mam już prawo do amnezji. – Wyraźnie się rozluźniła. – W dodatku mam taką specjalizację, że mniej skupiam się na twarzach.

Wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem i atmosfera natychmiast się rozluźniła.

– Dobra – inspektorka spojrzała na zegarek – mam jeszcze wizytę w rodzinie, gdzie tatuś, zamiast czytać na dobranoc bajki, podsuwa chłopcom pornosy do pooglądania. Daliśmy im środki na zakup butów dla dzieci, ale jestem pewna, że je przepili. Swoją drogą – zwróciła się już tylko do Juli – muszę się do

pani wybrać na cytologię. Tylko te kolejki... – zamilkła znacząco.

– Żartuje pani! – Jula natychmiast odnalazła się w sytuacji. – Kolejki dotyczą wszystkich poza rodziną i przyjaciółmi. Proszę zapisać sobie moją prywatną komórkę. Obiecuję, że nie będzie pani tracić czasu na przeglądanie starych magazynów w poczekalni.

– Czym panią mogę poczęstować? – zapytałam tymczasem, wymieniając z Julą porozumiewawcze spojrzenia. Urabiałymy babkę jak politycy wyborców. Miałyśmy to opanowane od podstawówki. W duecie potrafiłyśmy tak zagadać nauczyciela, że po półgodzinie na zapowiedzianą kartkówkę było już za późno. Zdążył tylko po łebkach omówić bieżący temat, a nieraz cała lekcja była w plecy.

– A kiedy ostatnio robiła pani cytologię? – sondowała Jula, prowadząc ją do salonu.

– Nigdy – odparła inspektorka szczerze zawstydzona.

– Podobnie jak jedna trzecia Polek – pocieszała ją kojącym głosem moja przyjaciółka, chociaż doskonale wiedziałam, jak radykalnie ocenia kobiety stroniące od fotela ginekologicznego. Ciągłe powtarza: „Wolą leczyć raka, niż ściągnąć przede mną majtki”. – Możemy się umówić już na wtorek. Nawet pani nie poczuje, taką malutką szczoteczką...

Czmychnęłam do kuchni. Błyskawicznie zaparzyłam kawę i odmroziłam w mikrofalówce spory kawał domowego jablecznika, który trzymałam w zamrażarce na wypadek nalogu niespodziewanych gości. Dalej poszło już gładko. Dosiadłam się do nich w salonie, puściłam oko do Juli i zagadnęłam inspektorkę o jej przepis na szarlotkę. Popijając kawę, wymieniliśmy się recepturami, aż zrobiło się tak późno, że zerwała się z fotela jak burza.

– Wszystko jest perfekcyjnie! Tak napiszę w protokole. Bo tak jest. Prawda? – dopytywała, w biegu zakładając płaszcz.

– Tak, oczywiście, tak – przytakiwałyśmy na zmianę.

– Zrób pa, pa cioci Irminie! – Jula wymachiwała rączką Poli. – I o jej zdrowko proszę się nie martwić. Na razie jestem ja, ale lada moment maleńka zostanie objęta prywatnym pakietem usług medycznych, podobnie jak jej ojciec i moja przyjaciółka. Badania analityczne ma zagwarantowane w laboratorium Pod Jodłami, prowadzonym przez moich rodziców.

– Podobno pełen wypas – skomentowała z uznaniem Irmina. – Gratuluję.

– Oczywiście pani również otrzyma pakiet zniżkowy.

– Dziękuję! A dziewczynka jest cudowna. Szkoda, że nie poznałam pana Marcela. Pewnie zaraz wróci z pracy. Proszę go pozdrowić. Pani Blanko, ciasto było przepyszne, dziękuję, sama takie upiekę – szczebiotała, gdy towarzyszyłam jej w oczekiwaniu na windę. – Aha, takich wizyt będzie więcej. I raczej proszę się nie spodziewać mojej osoby, bo dziś mam w tym rejonie zastępstwo. Ale – ściszyła głos – zawsze uprzedzę panią telefonicznie.

Wyszła, a ja opadłam na fotel. Uff, wszystkiego było może pół godziny, a czułam się, jakbym rzuciła sto ton węgla do piwnicy.

– Dzięki, Jula.

– Chciałoby się powiedzieć „nie ma sprawy”, ale sprawa jest. – Jula zbliżyła nos do pupy Poli. – I to bardzo śmierdząca. Kto robi za nianię, a kto za zaopatrzeniowca? Założyłam jej ostatniego pampersa.

– Ja załatwiam prowiant i ekwipunek, a ty zostajesz na linii frontu jako sanitariuszka. Doraźnie zamiast pieluchy możesz użyć podpasek, ręczników jednorazowych, czegokolwiek...

– Co ty powiesz? Musisz to opatentować. A teraz spadaj i niech cię o to głowa nie boli.

Jak huragan wpadłam do garażu, po drodze założywszy kurtkę. Gdy wsiadłam do hondy i zatrzasnęłam drzwi, poczułam charakterystyczny zapach, powodujący, że miękły mi kolana – zapach wieczornych perfum Marcela. Odwróciłam się odruchowo, ale byłam sama. Powąchałam futerko przypięte do kołnierza kurtki i przypomniało mi się, jak kiedyś, jeszcze w czasach narzeczeńskich, spryskał mi nimi kurtkę. Nazajutrz wyjeżdżał na Węgry. „Żebyś o mnie nie zapomiała. Przywiozę ci jeszcze jakąś pamiątkę”. Zażartowałam, czy będą to kłykciny kończyste albo rzeźączka po jakiejś gościnnej Węgierce, a wtedy on, przyciągając mnie do siebie, odparł: „Wariatka jesteś! Ja z inną? Zapomnij... Rozkochałaś mnie w sobie. Jesteś całym moim światem”. Jego oczy błyszczały pożądaniem. Pamiętam, że zarzuciłam mu wtedy ręce na szyję i przytuliłam go z całych sił, przekonana, że tak będzie już zawsze. Całą wieczność. Jego zapach, dotyk, pocałunki...

Westchnęłam ciężko i zapaliłam silnik.

Kurier dostarczył wózek następnego dnia przed południem; nawet pomógł mi go rozpakować. Zgodnie z deklaracją producenta miał być superlekki i dobrze amortyzowany, więc łatwy w prowadzeniu. Jednak już opuszczając mieszkanie, stwierdziłam, że kierowanie samochodem to pikuś w porównaniu do manewrowania tą bryką. Nie miałam ochoty nigdzie wychodzić, szczególnie że dzień był szarobury, typowo listopadowy. Ale rano zadzwoniła Jula zapytać, jak nam upłynęła noc. Po wysłuchaniu relacji przeprowadziła błyskawiczne szkolenie z zasad hartowania niemowląt, czyli krótko mówiąc: spacerki muszą być. Wyjątkiem są trzy sytuacje: wiatr, który będzie zrywał dachy, zimno, które zmusi nawet jej tatę do założenia czapki, i skwar, na którym da się usmażyć jaja sadzone bez użycia kuchenki.

Czułam się co najmniej dziwnie, opuszczając apartamentowiec w roli operatora wózka głębokiego. Minęłam się z Bogumiłem, moim kompanem

z siłowni. Szedł z żoną i dziećmi. Pokiwał głową z miną zwyczajowo zarezerwowaną do składania kondolencji. Gdy przez prawie dwie godziny szwendałam się po mieście, miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą, jakbym miała na głowie czerwonego irokeza, a na nogach japonki.

Pola na spacerze zdrzemnęła się tylko na chwilę. Po powrocie do domu dalej pokwękiwała, jakby miała pretensje do całego świata. W końcu koło północy udało mi się ją uspić nieustannym kołysaniem. Położyłam ją w łóżeczku, a sama poszłam do sypialni, zostawiając otwarte drzwi, na wypadek gdyby się zbudziła. Weszłam pod kołdrę i zamknęłam oczy. Wsłuchując się w błogą ciszę, czułam, że odpływam. Odetchnęłam głęboko, ale nagle rozległ się płacz. Spokój, tylko spokój, nie daj się wyprowadzić z równowagi. Policzyłam do pięciu, a później wstałam i poszłam do jej pokoju. Próbowałam ją nakarmić kaszką, ale pociągnęła tylko raz i odwróciła główkę. Ten sam numer powtórzyła z herbatą. Zaciskała buzię, gdy chciałam jej wsunąć smoczek. Wzięłam ją więc na ręce, pokołysałam i położyłam, ale powierciła się i znowu rozplakała. Cholera, to jakiś koszmar!

– Pola, nie rób cyrków – poprosiłam, ponownie biorąc ją na ręce. – Dobra, pośpiewam ci, ale tylko chwilkę. Zaimprovizowałam: – Wszystkie gwiazdy śpią na niebie, więc ja również błagam ciebie, zaśnij wreszcie, cicho nawet jest w areszcie...

Wydawało mi się, że zasnęła. Ostrożnie położyłam ją do łóżeczka i wróciłam do sypialni, ale za chwilę znów zaczęła kwilić, charakterystycznie, nawołująco. Nie, ja tego nie wytrzymam!

Nieprzytomna ze zmęczenia, na miękkich nogach, kołysałam ją, chodząc po całym mieszkaniu. Odkładałam, kołysałam, odkładałam, kołysałam i tak w kółko. Po kilku godzinach miałam naprawdę dość.

– Miej litość, Pola, daj mi choć odrobinę świętego spokoju – błagałam. – Czytałam, że trzymiesięczna dziewczynka jest w stanie przespać całą noc. Jesteś chora czy co?

Kompletnie załamana, ponownie wzięłam ją na ręce. Czułam, że lada moment dostanę świra. Na szczęście łóżeczko miało kółka z hamulcem, więc biodrem przepchnęłam je do sypialni i dostawiłam do małżeńskiego łóża. Odłożyłam ją, opatuliliłam, a potem sama się położyłam i wsunęłam rękę przez szczebelki. Pogłodziłam ją po główce, a ona sama przekręciła się w moją stronę. W słabym świetle lampki przyglądała mi się z triumfem.

– Ty mała manipulanko, włazisz mi na głowę – szepnęłam, przysuwając się jeszcze bliżej i bawiąc się jej małą rączką. Chwyciła mój palec. Wydawało mi się, że powieki jej opadają. Ostrożnie spróbowałam uwolnić się z uścisku, ale natychmiast zareagowała mocniejszym chwytem.

Zamknęłam oczy. Moje myśli odpłynęły w stronę Marcela i trudnego wyboru, którego muszę dokonać. Często gdy chcemy coś w swoim życiu zmienić,

wyznaczamy jakąś odległą datę: od nowego roku, od wiosny, od pierwszego, a ja czułam presję czasu. Musiałam zdecydować – czy podjąć wyzwanie, czy się poddać. Wiedziałam, że rezygnacja z Poli skutkuje pożegnaniem się z Marcelem, a tego mogę sobie nigdy nie wybaczyć. Bo jak będę dalej żyć bez jego dotyku, żartów, pocałunków, błyskotliwych docinków, czułości, głębokiego spojrzenia zielononiebieskich oczu, bez jego zapachu, szczególnie tego wieczornego, orientalno-korzennego, który działał na mnie jak afrodyzjak? Oddychałam spokojnie, mając wrażenie, że naprawdę czuję ten aromat. Ogarniała mnie przyjemna bezwładność...

I nagle doznałam dziwnego uczucia, jakby ktoś był tuż obok i pochylał się nade mną. Ciarki przeszły mi po plecach. Włamywacz? Duch? Zwidy? Załamanie nerwowe? Ech, to typowy omam hipnagogiczny, uspokajałam się. Po prostu przechodzę ze stanu czuwania w sen, a zmęczenie i stres zrobiły swoje. Zaraz jednak znów poczułam ten zapach – intensywniej – i miałam wrażenie, że ktoś delikatnie okrywa mnie kołdrą. Do tego jeszcze omamy dotykowe? Tego już za wiele! Otworzyłam oczy.

– Marcel? – wyszeptałam zdziwiona. – Nie spodziewałam się ciebie tak szybko...

Usiadł obok mnie na łóżku i zapatrzył się w piąstkę Poli obejmującą mój palec.

– Trzyma się ciebie kurczowo jak polityk władzy. – Pomimo zmęczenia próbował żartować. Cały on!

- - Cii... – Delikatnie, najdelikatniej jak tylko mogłam, uwolniłam się z uścisku małej i wyciągnęłam do niego rękę. – Marcel, chcę ją adoptować. Chcę zostać jej mamą i twoją żoną już na zawsze.

Położył się obok mnie. Gdy zachłannie całował moje usta, oczy, włosy i szyję, czułam, że twarz ma mokrą od łez.

– Blanka, wiesz, co słyszałem na mieście przed naszym ślubem? – Marcel przełknął kolejny kęs naleśnika z dżemem.

Pola była już nakarmiona i przewinięta. Leżała w bujaczku, potrząsając grzechotką i bacznie nas obserwując.

– Na pewno to, że nie bierze się ślubu w maju, bo to nieszczęście, albo jakiś podobny bzdet – odpowiedziałam, nalewając na patelnię kolejną porcję ciasta. Zastanawiałam się, jaki jest rekord w liczbie zjedzonych naleśników. Marcel pałaszował jedenastego. Lepsi mogą być tylko Amerykanie. Swoją drogą, muszę go namówić na siłownię. Pola może nam towarzyszyć, w końcu czym skorupka....

– Nie! – zaśmiał się. – Mówili, że jesteś największą suką w mieście – rzucił lekkim tonem, a ja poczułam się tak, jakby ktoś z całej siły uderzył mnie pięścią

w splot słoneczny. Zabolało jak cholera. Czułam, że krew odpływa mi z głowy i lada moment zabraknie mi tchu. Ręka mi zadrżała, ale udawałam, że skupiam się na przewracaniu naleśnika.

– A kto konkretnie tak mówił? – zapytałam, udając nonszalancję. Szósty zmysł podpowiadał mi, że takie info musiało wyjść z banku.

– A czy to istotne? Ludzie nieraz są podli, rzucają oszczerstwami na lewo i prawo, by tylko zamącić w cudzym życiu. Nie słuchałem tych bujdy, bo wiem, że to nieprawda. Ech, szkoda nerwów. A tak z innej beczki, co zrobiłaś z Zytą?

– Ogólnie mówiąc, miałam nosa, ale to dłuższa opowieść. Teraz jednak się połóż, bo prawie w ogóle nie spałeś i masz ciemne podkowy pod oczami, a my z Polą zaliczymy spacer.

Spojrzałam na nich z czułością. Jak dobrze, że ich mam i że już nie muszę pracować w banku. Nie obchodzą mnie plany sprzedażowe, niespodziewane naloty z centrali, narady w regionie, klienci drący się w kolejce, sztuczne uśmiechy i cała ta pieprzona filozofia firmy.

Godzinę później szwendałam się z wózkiem po prawie pustych alejkach parkowych. Trudno się dziwić, kilkustopniowa temperatura odstraszyła wszystkie babcie przesiadujące na ławkach, a amatorzy spożywania piwa na świeżym powietrzu przenieśli się pod wiaty, do piwnic i klatek schodowych. Mała spała – zapewne regenerowała siły, żeby móc mnie absorbować po powrocie do domu. Przede mną szła para z wózcikiem. Ona w musztardowym, dopasowanym trenczu, on w kurtce, która wydawała mi się dziwnie znajoma. Grafitowa, z charakterystycznymi niebieskimi wstawkami... I nagle olśnienie! Sprezentowałam taką samą Iwonowi tuż przed naszym rozstaniem. Cena złodziejska, ale pani w butiku była tak sugestywna, bo „kurtka cienka, ale ciepła, oddychająca, wiatro- i mrozoodporna, a w dodatku rewelacyjny fason”. Machnęłam wtedy ręką, niech stracę, będzie mu w niej ładnie, chociaż ciułałam każdy grosz, by kupić segment w szeregowcu. Tuż przed nimi kilku pracowników zieleni miejskiej grabiło ostatnie jesienne liście, zgarniając je w wielkie usypisko na samym środku alejki i uniemożliwiając tym sposobem przejście. Para zawróciła i prawie na siebie wpadliśmy. To rzeczywiście był Iwo. Oraz jego żona i wózek.

Na mój widok poczerwieniał, jakby ktoś zanurzył go we wrzątku. Spuścił głowę i utkwiał wzrok w czubkach swoich butów. Nie wyglądał już jak dawniej. Zrobił się nieco podtusiały, chyba przytył. Poza potomkiem zdażył się dorobić drugiego podbródka i policzków jak u chomika. Ona, niczego nieświadoma, omiotła mnie przelotnym spojrzeniem. Poruszona niecodziennym spotkaniem, mocniej zacisnęłam palce na uchwycie wózka. To trwało zaledwie kilka sekund. Mój eks, specjalista od życiowego fair play, nie rzucił nawet zdawkowego „cześć”.

Byłam zdegustowana. Miałam ochotę go pobić, opluć, obrzucić wiązką epitetów, wśród których najbardziej cenzuralnymi byłyby: zbuk, kutafon i kiwnięty playboy.

Ja też zawróciłam i teraz znów obserwowałam ich plecy. W końcu nie wytrzymałam.

– Iwo! – zawołałam. Oboje odwrócili się jak na komendę. – Ciągłe sypiasz w tej piżamie ze Spidermanem?

Poczerwieniał jeszcze bardziej i przyspieszył. Ona, starając się dotrzymać mu kroku, jeszcze kilkakrotnie się odwróciła, a potem, nerwowo gestykulując, szarpnęła go za rękaw. Masz za swoje, gadzie pospolity, pomyślałam.

Zwolniłam i wyciągnęłam komórkę. Westchnęłam ciężko, świadoma, że muszę wykonać ten trudny, ale nieunikniony telefon.

– Mamo, dzień dobry, to ja. Muszę ci o czymś powiedzieć, a raczej o kimś opowiedzieć... – zaczęłam i przez chwilę pomyślałam, że powiem, iż to surogatka urodziła Polę. Trochę ułatwiłoby mi to sprawę. Ale oszukiwać własną matkę? Bezsens. Zresztą wcześniej czy później i tak prawda wyszłaby na jaw. Zaczęłam relacjonować, a ona milczała. – Mamo, jesteś tam? – upewniałam się kilkakrotnie, czy połączenie nie zostało przerwane. Po chwili usłyszałam zdawkowe:

– Uhm.

– Miło mi będzie, jeżeli z tatą i Iwoną przyjdziecie poznać Polę, w końcu to nowy członek rodziny. Może jutro? Przygotuję obiad...

– Jutro jemy obiad w rodzinnym gronie – przerwała bezpardonowo.

– Czyli? – zapytałam, mając nikłą nadzieję, że zaraz mi nawymyśla, bo przeoczyłam jakieś imieniny albo coś w tym rodzaju, i ostatecznie zaprosi też naszą trójkę.

– Przychodzą do nas Iwonka, Benek i Wituś. Twój ojciec właśnie pracuje nad menu. Zresztą po co mielibyśmy was odwiedzać? – zapytała szorstko. – Ty dzieciaka nie urodziłaś, a my jeszcze nieraz będziemy musieli go oglądać. Wiesz co, Blanka? Niby jesteś taka wykształcona, ale taka głupia. Żal mi ciebie. Przegrałaś życie. Nie masz prawdziwej rodziny ani domu, tylko wynajęty kącik, dałaś się wciągnąć w gary, a teraz jeszcze w cudze dziecko. Dobrze, że Iwonka sprytniejsza – ożywiła się nagle i zaczęła mówić ciepłym, matczynym tonem. – Ona potrafiła się w życiu ustawić. Ma wszystko. A wiesz, że jadą na wakacje do Tajlandii? Oglądałam ten hotel w internecie, mówię ci...

– Mamo, przepraszam, ale muszę kończyć. – Miałam po dziurki w nosie starych, zgranych wywodów. Ileż można? Grunt, że mam teraz własny kawałek raj.

I nagle załała mnie fala czułości. Poczułam nagłą potrzebę schowania się w silnych ramionach mojego męża, pewna, że wtedy rozmowa z rodzicielką straci na mocy, bo przecież podjęłam najlepszą z najlepszych decyzji w życiu. Uśmiechnęłam się do mijanej pary starszków trzymających się za ręce, a potem

spojrzałam w zachmurzone niebo. Miałam ochotę wykrzyknąć: jestem szczęśliwa!

Przyspieszyłam kroku, skręciłam w boczną alejkę i wybrałam w telefonie inny numer.

– Julia? Zostaję z Marcelem! I adoptuję Polę – oznajmiłam uroczyście.

– Też mi nowina! – Julia zaśmiała się głośno. – Przecież od początku to wiedziałam. Słuchaj, daję wam trochę czasu na powrót do równowagi, ale potem... No, mamusiu, pępkowe musi być!

Powiadomienie rodziny Marcela o zmianach w naszym życiu pozostawiłam jemu. Tego wieczoru wziął telefon i zamknął się w biurze, a ja w tym czasie położyłam Polę do bujaczka i robiłam jej przedstawienie kukielkowe. Siedząc po turecku, nakładałam na palce różne pacynki: zebkę, zajaczkę, słoniu, misia i pingwina. Zdziwiona drżącymi we mnie pokładami kreatywności, prowadziłam pomiędzy nimi proste dialogi i naśladowałam ich odgłosy. Mała wytrzeszczała oczy z zachwytu, jakby oglądała sztukę na Broadwayu.

– Bravo! – zawołał Marcel, siadając obok mnie. – Ale spektakl! Gwiazdorska obsada. I ta reżyseria. Rewelacja! – Nachylił się i pocałował mnie delikatnie. Ogarnęło mnie przyjemne, kojące ciepło. Niech świat się zatrzyma, niech już tak zostanie. – Blanuś, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko zaproszeniu mojej rodziny jutro na kolację? Tak koło osiemnastej? Skręca ich z ciekawości...

– Nie mam nic przeciwko – odpowiedziałam szczerze, a on znowu mnie pocałował.

– Mówiłem ci już, że cię kocham? Nie wyobrażam sobie, co bym teraz robił, gdybyś nie zmieniła zdania. Spadłaś mi prosto z nieba. Aha, tak sobie pomyślałem, może twoja rodzinka też by przyszła? Mielibyśmy wszystkich hurtowo z głowy.

Ręce mi zadrżały. Jedna z pacynek spadła i poturlała się po podłodze. Najchętniej wypłakałabym się w jego koszulę i zrelacjonowała rozmowę z mamą. Na mnie szczerota zadziałałaby terapeutycznie, ale jemu chciałam oszczędzić nerwów.

– Mama ma jutro gości, przyjdzie innym razem – odparłam, zdejmując z palców pozostałe kukielki, i natychmiast zmieniłam temat: – Wykapiemy Polę?

Przytaknął, ale patrzył na mnie z ukosa. Znał mnie dobrze. Nie byłam w stanie wyprowadzić go w pole, szczególnie że miał już sposobność poznania punktu widzenia mojej mamy na wiele spraw i niejednokrotnie prowadziliśmy na ten temat dysputy. Posmutniał, a jego oczy nabrały ciemniejszego koloru. Mocno mnie objął.

– Blanka, jak to dobrze, że mamy siebie – wyszeptał, a ja wstrzymałam oddech, żeby się nie rozryknąć.

Nazajutrz, zaraz po obiedzie, bez większych kłopotów wygoniłam Marcela na spacer z Polą. „Popracujesz nad kondycją i podszkolisz się w pokonywaniu małymi kółkami dużych wyrw w chodnikach. A do tego zahartujesz małą, przyniesiesz mi kilka kasztanów...”, przekonałam go, chcąc w spokoju przygotować kolację dla jego rodziny.

Przyszli wszyscy. Tuż po osiemnastej. Teść trzymał przed sobą piękny bukiet białych róż, a pozostali, czyli teściowa, Milena, Michał – jak zwykle w lustrzankach – i ich synowie, obładowani byli pakunkami. Marcel pomógł im zdjąć płaszcze, a potem towarzystwo przystąpiło do ściągania butów.

– To nie Japonia – oponowałam, ale byli nieugięci.

– Nie będziemy wchodzić w butach w wasze życie – stwierdziła teściowa.

– W jakim sensie, mamó? – zapytał Marcel lekko kpiącym tonem.

– W każdym, synu – zapewniła, posapując przy rozpinaniu suwaka w botkach. – Wiem, kochacie się i to jest najważniejsze, ale ja nie mam zwyczaju mieszać komuś w garach i zaglądać do portfela. Bóg ci zesłał taką żonę! – Oczy jej się zaszklily. – Nie mogłam uwierzyć, że są wśród nas anioły! – Podeszła do mnie i objęła czule. – Rozpuściłaś moje serce na amen – wyszeptwała, ocierając łzę wzruszenia.

– Jesteś wyjątkowa. – Po teściowej szwagierka przejęła pałeczkę w komplementowaniu mnie i obcmokiwaniu. – Podziwiam cię. Tak dobrze patrzy ci z oczu.

Przed ich wizytą byłam spięta, z nerwów aż zagryzałam zęby, a okazało się, że niepotrzebnie, bo zrobiło się całkiem miło. Podekscytowana zaprosiłam ich do salonu, gdzie w bujaczku czekała Pola. W swojej pierwszej kiece w różowo-niebieską krateczkę, z napisem „Little lady” na piersiach, wyglądała cudownie, ale na widok gości wygięła usta w podkówkę. Bliska płaczu, skupiła na mnie wzrok błagający o pomoc. Wzięłam ją na ręce i przytuliłam, a już po kilku minutach, gdy oswoiła się z nowymi twarzami, wśród okrzyków zachwyty przechodziła z rąk do rąk.

Ochom i achom nie było końca, choć najbardziej ekspresywne były damskie głosy. W końcu rozpakowaliśmy prezenty. Na szczęście obyło się bez zbędnych zbieraczy kurzu, czyli kolejnych pluszaków. Wśród podarków znalazły się upieczony przez teściową tort czekoladowy, voucher na serię masażu relaksacyjnych dla mnie i Marcela, a dla Poli – kolorowe piszczące żabki do kąpielii i dmuchany fotelik w komplecie ze stolikiem do zabaw. Jednak największą niespodzianką była pozytywka – karuzela z konikami, którą w dzieciństwie bawił się Marcel. Był przekonany, że się zgubiła, a to teściowa przechowała ją na taką właśnie okazję. Oczy zabłyszczały mu z radości. Usiadł na dywanie, pokręcił

daszkiem karuzeli i uruchomił delikatnie brzmiącą klasyczną, starą melodyjkę. Bawił się jak dziecko.

– Mówmy o wszystkim, byle nie o polityce, śmierci i chorobach. I nie liczymy kalorii, bo się pokłócimy albo pobijemy – poprosiłam, serwując steki wołowe, ziemniaki i brokuły zapiekane pod beszamelem.

Poskutkowało. Obyło się bez darcia kotów, wręcz przeciwnie, było naprawdę miło. Marcel zrobił kilka pamiątkowych zdjęć, wszyscy pozowali, uśmiechając się i wzajemnie obejmując. Wyglądaliśmy na szczęśliwych. Mówią, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu, ale wówczas byłam przeświadczona, że wyjątek potwierdza regułę.

Czy pokochałam Polę od razu? Na pewno nie. Nie była moim zaplanowanym, upragnionym i wyczekiwanym dzieckiem. Szczerze mówiąc, na początku czułam się przez nią zniewolona, traktowałam ją jak zło konieczne, absorbujący produkt uboczny związku z Marcelem, który trzeba kąpać, karmić, bujać, hartować, a w dodatku robić to umiejętnie, żeby go nie skrzywdzić. Spadła pomiędzy nas jak grom z jasnego nieba. I niby to ja podjęłam decyzję, ale w sumie Marcel zdecydował za mnie. Poniekąd postawił mnie pod ścianą, bo jeżeli chciałam mieć jego, musiałam mieć i ją. Nie miałam już tyle czasu na relaks, czytanie i udzielanie porad przez moją stronę internetową. Wcale nie było tak kolorowo i pięknie. Gdy w nocy się budziła, w pierwszej chwili ze złości miałam ochotę wystrzelić ją w kosmos; dopiero później przypominałam sobie o pozytywnych aspektach tego stanu rzeczy.

Karola uparcie twierdziła, że wszystkie Pole potrafią rozkochać w sobie na zabój. Rzeczywiście, podczas karmienia mała hipnotyzowała mnie swoimi oczami i tuliła się do mojej piersi. W rezultacie po kilku tygodniach nie mieściło mi się w głowie, jak mogłam egzystować bez niej. W każdej sytuacji szukałam jednak potwierdzenia słuszności podjętej przeze mnie decyzji. Chociaż starałam się nie zmienić w sfrustrowaną kwokę podwórkową, utrzymywaną przez swojego pana i władcę. Regularnie namawiałam Marcela na wizyty w siłowni. „Umysł w niewysportowanym ciele ma tendencje do butwienia”, zwykłam mawiać, brutalnie odrywając go od komputera. Kładłam Polę na specjalnej macie piankowej, skąd wsparta na przedramionkach obserwowała nas podczas ćwiczeń, a gdy się jej nudziło, odwracała się na plecy i bawiła zawieszonymi na pałąku zabawkami.

Regularnie – dla zdrowia naszego związku i podsycenia atmosfery – organizowałam randki. Za każdym razem wyglądało to podobnie. Uzgadniałam z Julą, kiedy ma wolną sobotę (inny dzień ze względu na pracę Marcela nie wchodził w grę), a w piątkowy wieczór wysyłałam mu SMS-a – nawet gdy był tuż

obok – typu: „Hej, przystojniaku! Wiem, że żona trzyma Cię na smyczy, ale może się urwiesz jutro na drinka do Meduzy na dwudziestą?”. Odpisywał zwykle w stylu: „Terminarz mam wypełniony, ale te brzydsze laski przesunąłem na inny dzień. Będę punktualnie. I nie pisz więcej, bo żona dziwnie na mnie zerka”. Nazajutrz przychodziła Julia i zamykała się z Polą w jej pokoju. Mała już doskonale ją знаła i nie robiła problemów, poza tym ciocia zawsze przynosiła jakąś zabawkę. One harcowały, a my szykowaliśmy się do randki.

– Wychodzisz? – zapytałam ostatnio, gdy Marcel, jeden po drugim, wyciągał z garderoby krawaty i przymierzał do koszuli.

– Tak, mam spotkanie z klientem.

– O tej porze? Dziwne...

– Niestety, na tym polega nienormowany czas pracy przedsiębiorcy. Harówka od rana do nocy. Klient nasz pan. Pasuje mu wieczorem, więc nie mam nic do gadania. Nie chce mi się jak cholera, ale co robić? Z czegoś przecież na chleb mieć musimy. A ty? – Przyglądał się, jak przymierzam kolejne sukienki. – Czemu się tak picujesz?

– Idę na wieczór paniński Michasi. – Omijałam go wzrokiem.

– Popatrz, a dałbym sobie głowę uciąć, że ona już jest mężatką.

Dla podgrzania atmosfery każde z nas miało zamówioną osobną taksówkę. Najpierw wychodził Marcel, a ja kilka minut po nim.

Wracaliśmy już jedną – dobrze po północy. Prosililiśmy kierowcę, by zaczekał na Julę, a gdy zamykały się za nią drzwi, mieliśmy czas aż do szóstej rano. Wtedy Pola głośnym krzykiem zaczynała się dopominać o śniadanie i zmianę pieluchy.

Nie było mi łatwo zaakceptować Polę, ponieważ przypominała mi Elwirę (której zresztą nigdy nie widziałam). Pospolita babska ciekawość nie dawała mi spokoju i kiedyś, gdy Marcel brał prysznic, przejrzałam wszystkie zdjęcia w jego komórce. Znalazłam całe mnóstwo nieznanymi mi fotek z porodówki, ale nigdzie jej samej, nawet dłoni czy skrawka koszuli. Następnego dnia, pod jego nieobecność, dla pewności sprawdziłam jeszcze komputer. Najwidoczniej jednak pousuwał wszystkie ślady. I niech tak zostanie, skwitowałam. Z czasem zaczęłam myśleć o Poli jak o naszym dziecku. Pomagał mi w tym album rodzinny, który systematycznie prowadziłam.

Z pozbawieniem Elwiry praw rodzicielskich nie było problemu. Sąd na podstawie zeznań, protokołów, opinii i przekazanych przez jej pełnomocnika oświadczeń stwierdził rażące zaniedbania z jej strony. Sama o to prosiła. Dłuższa i bardziej męcząca była procedura adopcyjna. Prześwietlili mnie ze wszystkich stron. Musiałam przejść badania psychologiczne, odpowiadać na podchwytliwe pytania, rozwiązywać testy i potwierdzić dobry stan zdrowia. Ostatecznie na podstawie przesłuchań i pliku załączników orzeczono, że dobro dziecka jest

priorytetem, a wyraźnie łączy mnie z nim zażyłość. Gdy dostałam jej nowy akt urodzenia – z moim imieniem w rubryce „matka” – trochę dziwnie się poczułam, ale klamka zapadła. Nie rozplakałam się ze szczęścia, nie było wiwatów ani szampana lejącego się strumieniami. Po prostu wtedy zrozumiałam, że Pola jest moja, że zdjęcie Elwiry nigdy się nie pojawi na żadnej stronie naszego rodzinnego albumu.

Wkrótce potrafiłam tak się zorganizować, że miałam więcej czasu na udzielanie porad i śledzenie aktualizowanych bankowych produktów. Pola coraz bardziej umiała zająć się sobą, zdarzało jej się nawet przespać całą noc. Hołdowałam zasadzie „szczęśliwa mama to szczęśliwe dziecko” i gdy tylko potrzebowałam czasu na fryzjera, kosmetyczkę czy babskie zakupy, prosiłam o pomoc Julę, która zawsze chętnie przychodziła do małej. Nawet Marcelowi zdarzało się wziąć Polę na spacer, żebym mogła czasem odetchnąć. Cały czas pracował ciężko; ciągle był w rozjazdach albo siedział przed komputerem. Godzinami ustalał coś przez telefon, sprawdzał pocztę, odpisywał, rozliczał podatki, składał deklaracje do skarbowki... Nieraz prosiłam, żeby pozwolił sobie pomóc, bo przecież znałam się na tym, ale on zawsze odpowiadał tak samo: „Blanuś, daj spokój. Wystarczy, że wychowujesz Polę, prowadzisz dom i udzielasz porad. Poza tym gotujesz tak pysznie, że paski w moich spodniach są coraz ciaśniejsze”.

Pola oczywiście była oczkiem w głowie tatusia. Nieraz, dla relaksu, robił sobie przerwę w pracy. Wychodził wtedy z biura i zaczynała się zabawa, a ja w tym czasie kładłam się na kanapie i ich obserwowałam. Brał małą pod ramiona, a ona przebierała w powietrzu nóżkami i udawali, że chodzą, albo wyciągał z szafek miski, garnki i drewniane łyżki i urządzali sobie domową orkiestrę. To były zabawy w wersji light, ale nieraz tatusia porywało do działań bardziej ekstremalnych. Dopiero wtedy byli w swoim żywiole. Podnosił ją do góry i podrzucał albo chwytął za nogi i robił karuzelę. Pola zanosila się śmiechem, zdarzało się jej też zwymiotować resztki posiłku. Nie zaburzało im to jednak radości z zabawy.

– Zwariowałeś? – sztorcowałam go wtedy. – Nie znasz umiaru! Możesz jej uszkodzić mózg albo kręgosłup!

– Jeżeli taka zabawa mogłaby uszkodzić mózg albo kręgosłup, to jeżdżąc po polskich drogach, dziurawych jak ser szwajcarski, już dawno bylibyśmy na wózkach inwalidzkich.

– Nie wymądrzaj się i lepiej poczytaj jej bajeczkę albo zrób bańki mydlane.

– Przewrażliwiona mamusia się znalazła – komentował, niezadowolony jak dzieciak, któremu mama przerywała taplanie się w błocie.

Miał trochę racji. Jeżeli chodzi o zdrowie Poli, zdarzało mi się panikować. Pewnego przedpołudnia, gdy ubierałam ją na spacer, zauważyłam, że jest za ciepła

i oddycha przez usta. Zmierzyłam jej gorączkę. Trzydzieści siedem i trzy kreski! Na szczęście Marcel wykupił prywatny pakiet medyczny i w jego ramach mogliśmy korzystać z całodobowej opieki lekarza przez siedem dni w tygodniu. Natychmiast wezwałam pediatrę. Zanim przyjechał, mierzyłam jej temperaturę średnio co dwie minuty, w międzyczasie nosząc ją i bujając. Lekarz spokojnie badał Polę, zerkając na mnie raz po raz i uśmiechając się pod nosem.

– Pierwsze? – zapytał, robiąc jej po brzuszku „idzie rak” ku jej piszczącej radości.

– Co pierwsze?

– Dziecko.

– Tak.

– To zwykle przeziębienie. Ale premierowe mamusie często podnoszą rwetes. Przy drugim będzie pani spokojniejsza. Szczerze mówiąc, nie znam dziecka, które nie złapałoby kataru. Idźcie spokojnie na spacer. Po drodze może pani kupić fizjologiczny roztwór soli morskiej, by zakrapiać małej nosek, to jej ułatwi oddychanie. Na kaloryferach radzę powiesić mokre ręczniki i podawać dużo płynów. A w razie czego proszę dzwonić, to przyjadę – ja albo ktoś z kolegów.

Po kilku dniach po kataru nie było śladu, lecz na początku grudnia zaniepokoiła mnie bladość Poli. Ciarki przeszły mi po plecach na myśl, że może to być białaczka. Pojechałyśmy do przychodni. Trafiłam na tego samego pediatrę, co przy ostatnim wezwaniu. Gdy rozemocjonowana opowiadałam mu o swoich obawach, on znów ironicznie się uśmiechnął. Zignorowałam to i poprosiłam o komplet badań analitycznych na cito. Nie ma czasu do stracenia. Wyniki wyszły bardzo dobre, a on cierpliwie, jakbym była niedorozwinięta umysłowo, tłumaczył, że nic nie wskazuje na chorobę. Po prostu taka jej uroda. Nie dowierzałam. Zaraz po wyjściu zadzwoniłam do pani Lidzi, mamy Juli. Jej laboratorium było najlepsze w mieście, w dodatku miałam do niej pełne zaufanie.

– Oni muszą się mylić. W najlepszym wypadku Pola ma niedokrwistość – przekonywałam ją, bliska hysterii.

– Blanka, to są fachowcy. Ale jeśli chcesz, dla pewności zrobię komplet badań całej waszej trójce. Trzeba dmuchać na zimne.

Po powrocie do domu niemal siłą oderwałam Marcela od komputera. W tym momencie kompletnie mnie nie obchodziło, że szuka dla klienta z Rosji urządzeń do butelkowania kwasu chlebowego. Był zły, ale przecież zdrowie jest najważniejsze. Nie przyznałam mu się, że jedno badanie już Poli zrobiłam, bo wypchnąłby mnie z pokoju i zamknął drzwi od środka. Kilka razy już tak zrobił. Parę dni wcześniej na przykład, stojąc nad nim, tłumaczyłam, że z Polą jest coś nie tak, bo nie odwraca główki do źródła dźwięku. Wstał, szczerze zaciekawiony.

– Blanka, śmieszna jesteś. Przecież za skarby świata nie spojrzysz w stronę wieży, gdy ty stoisz z drugiej strony i trzymasz butlę. To instynkt, po prostu nie

chce stracić z oczu jedzenia.

Na szczęście na badania dał się namówić. Pojechaliśmy Pod Jodły i za niespełną godzinę byliśmy już w domu. Marcel poszedł do biura, a ja, czekając jak na szpilkach na telefon z laboratorium, połam Polę sokiem z marchwi. Na dźwięk dzwonka zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– Blanka – pani Lidzia westchnęła ciężko – wyniki są w najlepszym porządku. Przesłałam ci je mailem. Możesz sama sprawdzić.

Od razu zrobiło mi się lżej na duszy. Ale zaniepokoił mnie przygaszony ton jej głosu, bo zazwyczaj tryska energią i humorem.

– Coś się stało, pani Lidziu? – zapytałam.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Zmęczona jakaś jestem. Wiesz co, Blaneczko? Dla pewności możemy jeszcze zrobić analizę struktury pierwiastkowej włosów waszej trójki. Na tej podstawie stwierdzimy, czego wam brakuje, a czego macie w nadmiarze. Jak będziesz na mieście, podrzuć nam po kilka sztuk włosów w osobnych opisanych woreczkach. Tyle że na te wyniki trzeba poczekać jakieś trzy, cztery tygodnie. Nie zamartwiał się jednak, bo to strata czasu. Zrelaksuj się, obejrzyj jakąś komedię. Wiesz, dziecko, nieraz życie robi nam różne psikusy, doprowadzające do szaleństwa. Musisz być silna. Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Nie ma sytuacji bez wyjścia. – Mówiła serdecznie, ale miałam wrażenie, że trochę od rzeczy. Wszystko zrzuciłam jednak na karb jej przemęczenia.

Włosy zawiozłam już następnego dnia. Ale rozmawiałyśmy króciutko, bo była podenerwowana. Dwie laborantki nagle zachorowały, a pacjenci w poczekalni niepokoiли się długim oczekiwaniem na przyjęcie.

– Przepraszam, ale się nie rozdwoję. – Pocałowała mnie w policzek. – Powodzenia, Blaneczko!

Leżałam w sypialni z otwartym laptopem i przeglądałam maile. Marcel pracował w domowym biurze, a Jula wzięła Polę na basen. Codziennie przychodziło co najmniej kilka próśb o porady związane z szybkimi pożyczkami. Nie dziwiłam się, znałam ten trend jeszcze z pracy w banku. W okresach przedświątecznych jak szydło z worka wychodzi kwintesencja naszego rodzimego charakteru, czyli „zastaw się, a postaw się”. To nic, że spłacam kredyt na mieszkanie, samochód, kuchnię na wymiar, skórzaną sofę, robot odkurzający, symulator lotów, a w dodatku mam niespłaconą pożyczkę zaciągniętą na Wielkanoc. To nic, że płacę za to wszystko odsetki karne, bo ogólnie mam to, o czym inni mogą tylko marzyć. Jest jednak problem – znów na gwałt potrzebuję kasy. Prezenty przecież trzeba kupić i na sylwestra poszaleć w górach. Tylko gdzie te wszystkie pożyczki skonsolidować i który bank da mi następną? A może skorzystać z parabanku?

– Tak, korzystaj, śmiało – mruknęłam pod nosem. – Ucieszą się, że trafili na żyłę złota. – Załamalam ręce. Nie ma to jak pohulać, zabawić się, a potem stać się niewolnikiem banków na trzydzieści lat. Kredyt goni kredyt, na szyi zaciska się pętla zadłużeń, a wokół wciąż tyle pokus i niesamowitych okazji. Tylko czy się zastanowiłeś, co będzie, jeżeli dachówka spadnie ci na głowę albo stracisz pracę? A wydawałoby się, że człowiek istota rozumna.

„Szanowny Panie...”, zaczęłam odpowiedź. Ostatkiem sił powstrzymałam się, żeby nie dopisać „...bardzo pragnę, by przyjął Pan mój gwiazdkowy prezent w postaci młotka, według producenta przeznaczonego do wbijania gwoździ, a w mojej opinii – doskonałego do wybijania z głowy durnych pomysłów. Moja rada brzmi zatem: z całej siły palnij się nim Pan w głowę!”. Zamiast tego napisałam jednak: „...po szczegółowym przeanalizowaniu przedstawionej przez Pana sytuacji kredytowej, gorąco zachęcam do zastanowienia się nad zasadnością...”.

Nie skończyłam, bo zadzwonił telefon z dyżurki ochrony.

– Dzień dobry – usłyszałam. – Reprezentuję Towarzystwo Ubezpieczeń Eskorty Życia. Umówiłem się na siedemnastą z panem Marcelem Tuszyńskim. – Wzruszyłam ramionami. No tak, pomyślałam, kolejna sprawa dotycząca finansów mojej rodziny, o której nie mam pojęcia.

Po kilku chwilach siedzieliśmy w trójkę w salonie. Oboje z Marcelem byliśmy już trochę zmęczeni, agent z kolei tryskał optymizmem. Przedstawił się jako kierownik przedstawicielstwa, jedyny w naszym rejonie upoważniony do ubezpieczania VIP-ów. Nieco starszy od Marcela, po czterdziestce, z siwiejącymi skroniami, gładko ogoloną twarzą, ubrany w markowy granatowy garnitur i błękitną koszulę, wzbudzał zaufanie, ale wiedziałam, że przeszedł szereg szkoleń, na których wbijano mu do głowy, że wygląd w finansach to sprawa priorytetowa. Można mieć siano w głowie i wąskie horyzonty, ale wystudowanym wizerunkiem stwarzać pozory kompetencji. Spojrzeniem podszytym ironią zlustrował mój szary domowy dresik i włosy, upięte byle jak w wysoki kok. Myślał pewnie: ot, kolejna kura domowa, niemająca pojęcia o forsie ani realnym życiu. Jej królestwo to kuchnia, a jedynym nurtującym ją problemem jest wybór kształtu makaronu do zupy. I ma szczęście, bo złapała faceta z doskonałą umiejętnością koszenia kasy. Uśmiechnęłam się przebiegle. Niech mu będzie. Ale przestawiłam mózg na program: czujność i zdrowy rozsądek. Na wyrost, bo okazało się, że Marcel już wielokrotnie prowadził z nim rozmowy telefoniczne i był zdecydowany na zakup polisy.

– Zabezpieczenie przyszłości mojej rodziny od dłuższego czasu spędzało mi sen z powiek – tłumaczył mi, a agent słuchał jak urzeczony, zgodnie kiwając głową. – Jestem jedynym żywicielem i musicie mieć nad sobą parasol ochronny, gdybym przeniósł się na łono Abrahama. Na tyle duży i szczelny, byście żyły beze

mnie na takim samym poziomie jak teraz, a nawet na wyższym. Koniecznie potrzebujemy też asekuracji w razie mojego inwalidztwa. Oczywiście, Blanuś, zakładam, że dożyjemy wspólnej starości, i chciałbym wtedy odcinać kupony, ale przezorny zawsze ubezpieczony. Tak jak uzgodniliśmy – zwrócił się znowu do agenta – chcę wersję full wypas, i to jak najszybciej. Nigdy nie wiadomo, czy jutro, wychodząc z domu, nie wpadnę pod samochód. Wysokość składki nie ma znaczenia. Grunt, by ubezpieczenie było jak garnitur – uszyte na miarę.

– Dokładnie – potwierdził agent, ale niestety, w tym momencie jego profesjonalizm prysł jak bańka mydlana. Wiedziałam, że w myślach już szacuje wysokość prowizji. Taki zdecydowany klient, który nie liczy w portfelu drobniaków, to gratka. Rozgorączkowany rozsiadł się przed laptopem.

– Najpierw ustalmy, ile warte jest pana życie, czyli ile żona dostanie w przypadku nieszczęścia. Na tej podstawie skalkulujemy składki. Muszę zadać panu kilka pytań.

Pomyślałam, że moje dalsze uczestnictwo w tej rozmowie będzie nietaktem. Zostawiłam ich samych i wróciłam do sypialni.

Dokończyłam pisanie porady dla miłośnika zaciągania kredytów i otworzyłam następną wiadomość: „Całe moje życie legło w gruzach. Chcą mnie pozbawić dachu nad głową. Co dzień dostaję ponaglenia, odwiedzają mnie windykatorzy, a komornik zagroził, że jeżeli do końca miesiąca nie spłacę zaległości, to uruchomi postępowanie egzekucyjne. Nadmieniam, że dom wybudowali dziadkowie, odejmując sobie od ust chleb, potem należał do rodziców, a teraz jest mój. Jeszcze jest mój. Co mam robić, by mi go nie odebrano? Jestem tak zdesperowana, że jeżeli go stracę, to pozostanie mi już tylko najgorsze. Płacę, pisząc te słowa. W domu zimno, bo węgiel się skończył, a w lodówce pusto. Właścicielka spożywczaka nie chce mi już dawać chleba na zeszyt. Nie mam za co kupić lekarstwa dziecku, które choruje na astmę oskrzelową...”

Oderwałam na chwilę wzrok od ekranu i zadumałam się. Jestem szczęściarą, żyję w innym świecie. Tak naprawdę mam się jak pączek w maśle – przy boku zaradnego, trzeźwo myślącego i zapobiegliwego męża, a udzielanie porad daje mi radość i samospełnienie.

Usłyszałam poruszenie w salonie. Agent szykował się do wyjścia. Poszłam się pożegnać.

– Gratulacje! – zawołał rozemocjonowany. – Małżonek priorytetowo potraktował zabezpieczenie rodziny na wypadek zdarzeń losowych. Jeszcze tylko badania lekarskie, a potem może pani spać spokojnie. Nawet córeczka będzie miała polisę posagową. Przy tak wysokich sumach ubezpieczenia – składki tego rzędu to pestka. A tak ma marginesie, podobno jeszcze żadna wdowa nie powiedziała, że mąż był za wysoko ubezpieczony. Oczywiście życzę pani jak najlepiej, ale myślę, że w waszym przypadku istnieje duże prawdopodobieństwo, że takie słowa

mogłyby paść.

– Tak, nasz los jest tajemnicą. Nikt nie wie, kiedy spotka nas coś dobrego albo złego – skwitował nieco filozoficznie mój mąż, zamykając drzwi za agentem. Potem westchnął z ulgą: – Jak to dobrze, że mam to wreszcie z głowy.

Kilka dni przed świętami wybrałam się z Polą na targ, zaliczając przy okazji codzienny spacer. Dziwnym trafem zahartowałam się razem z nią i odzwyczaiałam od meteopatii, nie miałam czasu na taki luksus. Pchając wózek, obchodziłam stragany w poszukiwaniu jakiegokolwiek rękodzieła. Wśród wszechobecnej chińskiej tandety nie było łatwo, ale w końcu udało mi się kupić wianek z szyszek i żołądzi, przyozdobiony plastrami suszonej, pachnącej pomarańczy, kilka drewnianych, ręcznie malowanych aniołków do zawieszenia na choince i ceramiczne dzwoneczki. Już miałam wracać, kiedy moją uwagę zwróciła staruszka sprzedająca jemiołę. Kilka osób stało wokół niej i słuchało opowieści o magicznych właściwościach jedyne go towaru, jaki miała w swoim asortymencie. Przyłączyłam się z ciekawości. Wśród mojej rodziny i znajomych nikt nie wierzył w takie zabobony i nie miał zwyczaju przyozdabiania domu jemiołą.

– To nie jest taka zwyczajna jemioła, którą wiatr strząsnął z byle jakiego drzewa – kobiecina uświadamiała gawieź. – Taka nie ma mocy. I takiej, jak mi Bóg miły, bym nie sprzedawała. Mój wnusio z wielką fatygą wchodził wysoko na dęby i odrzynał ją specjalnym nożem. Tylko ta moja strzeże domowników przed biedą i utrapieniem, broni dostępu nieżyczliwym, zapewnia dostatek, niczego w domu nie zabraknie...

Zaszkodzić nie zaszkodzi, kupię, zdecydowałam. Szczególnie że żal mi się zrobiło staruszki, która zdrewniałymi od mrozu palcami poprawiała swoją ekspozycję.

Jeszcze tego samego wieczoru powiesiłam jemiołę pod żyrandolem w salonie i przyozdobiłam czerwonymi kokardami.

– Ale babcia bzdurzyła – skomentował Marcel, gdy powtórzyłam mu usłyszane na jarmarku słowa. – Z tego, co się orientuję, jemioła ma tylko jedno zastosowanie. We wszystkich domach w Stanach służy jako miejsce do całowania. Chodź! – Pociągnął mnie pod żyrandol. – Wprawdzie wisi trochę nisko, ale damy radę... A niech to! – Niechący zahaczył głową i gałązki posypały się na nasze włosy i na podłogę.

Śmialiśmy się do rozpuku, wyciągając sobie wzajemnie z włosów małe, kruche listki i gałązki. Nawet Pola, która bawiła się na kocyku, wydawała głośne piski.

– Ot, i mamy nauczkę. Nie można głupich anglosaskich zwyczajów przenosić bezkrytycznie na polski grunt – skwitowałam, przynosząc zmiotkę

i szufelkę. – Z drugiej strony mamy anegdotę rodzinną, z której będziemy się śmiać co święta.

Po chwili zadzwoniła Jula, by zapytać, co słyhać. Wracała akurat samochodem od mamy, robiły podział przedświątecznych obowiązków.

– W porządku – odpowiedziałam. – Właśnie sprzątnęłam bajzel po jemiolu. Nigdy więcej nie kupię tego pasożyta. Zainspirowała mnie babulina na targu, kupiłam i powiesiłam pod żyrandolem. Chcieliśmy się pod tą wiechą pocałować, ale Marcel niechcący strącił i...

– Co zrobiłaś z resztkami? – Jula przekrzykiwała klaksony.

– Większe kawałki wylądowały w kubie, a mniejsze pożarł odkurzacz.

– Ty już kompletnie postradałaś zmysły! Jemiolę wyrzucasz dopiero przed następnym Bożym Narodzeniem, gdy masz już nową! Zaczekaj, wjeżdżam na parking i zaraz będę mogła spokojniej pogadać... – Po chwili zrobiło się ciszej. – No już. Blanka, jemiola to talizman, który przez cały rok ma cię strzec przed nieszczęściami.

– Jula, ty lepiej zapukaj do jakiegoś kolegi z branży. Mam na myśli psychiatrę. Niech ci coś przepisze. Może jakieś czopki? Nie demonizuj znaczenia tego ziela i mnie nie wkurzaj. Naoglądałaś się amerykańskich filmów. Takie zabobony to jaskrawy przejaw ludzkiej głupoty. Jemiola pomaga żywym dokładnie tak, jak umarłemu kadzidło.

– Moim zdaniem stąpasz po kruchym lodzie, Blanka.

– Dobra, daj spokój – ofuknęłam ją. – Jak chcesz, to sobie wierz w te gusa.

– Hamowałam się, żeby nie dowalić z grubej rury. Jula desperacko przeszukała cały internet pod kątem gadżetów ułatwiających zaciążenie. Po każdym stosunku leży w pozycji świecy, bo tak radzi medycyna konwencjonalna, ale i tak kupiła posążek bogini płodności, na ścianie w sypialni powiesiła obraz z bocianem w gnieździe, w czasie owulacji nosi tylko czerwoną bieliznę, pije wywary z jakichś ziarenek, Filipowi serwuje na kolację krewetki i brukselkę i zmusza go do picia soku z selera. No i co? W dalszym ciągu pstro. A moim zdaniem jedynym, najskuteczniejszym lekarstwem na jej problem jest seks i jeszcze raz seks.

– Blanka... – Głos Juli zabrzmiał konspiracyjnie, jakby chciała mi wyjawiać wielki sekret. Znam ten ton od piaskownicy. Doskonale pamiętam dzień, gdy stukając łopatką w różową foremkę, najpierw puściła do mnie porozumiewawczo oczko, a potem wyjaśniła, że istnieją tak zwane kity świąteczne. Mikołaj to w rzeczywistości przebrany hydraulik z administracji osiedla, który w życiu nie widział renifera. Jeszcze większa ściema to zajaczek, bo czy przygotujemy mu gniazdko na balkonie, czy nie, i tak to mama kupi prezent. – Oglądałaś wyniki badań, które mama przysłała ci na maila?

– No pewnie. Wszystko w normie. Ma jeszcze robić wyniki z włosów. A co?

– Poczulałam na plecach dziwny dreszcz. – Pomyliła się? Przesłała jakieś inne?

– Nie, nic – skwitowała Julia z ciężkim westchnieniem. – Lepiej pogodzić się ze swoim losem. Zawsze powtarzam, że jesteś mądrą kobietą. No – zaśmiała się – masz swoje odpały, ale kto ich nie ma? Życie nas nie zanudza, a ty w tym wszystkim jesteś tak wielkoduszna...

Tego się po Juli nie spodziewałam. Nie ufam komplementom, szczególnie w połączeniu z pudełkiem czekoladek albo butelką alkoholu.

– Chcesz pożyczyć kasę albo coś w tym rodzaju? – zapytałam zdziwiona. – Mów prosto z mostu.

– Nie! – zaprzeczyła solennie. – Blanka, muszę kończyć, bo zwolniło się miejsce do parkowania, a następna okazja może się trafić za sto lat. Upojnej nocy. I wiedz, że miło mnie zaskoczyłaś.

Tego wieczoru nie miałam czasu na roztrząsanie jej słów. Czekał na mnie stos męzowskich koszul do uprasowania, a Pola, która dopiero co nabyła świeżą umiejętność pełzania, coraz częściej zbliżała się do donicy z difenbachią. Julia od czasu do czasu bredziła. Może jest zmęczona.

Wigilię spędzaliśmy w trójkę. Wprawdzie mieliśmy zaproszenie do jednych i drugich rodziców, ale wystarczyła prozaiczna wymówka, że Pola wcześniej zasypia, by całkowicie nas rozgrzeszyli. W rzeczywistości chcieliśmy nacieszyć się sobą, a oni nie nalegali, nie błagali, nie wyzwali nas od najgorszych. Wręcz przeciwnie – wyglądało na to, że im ulżyło. W rzuconym przez teściową „szkoda” wyczułam sporo fałszu, a moja mama bez pardonowo stwierdziła, że przynajmniej nie musi dokupować kolejnego krzesła dla Marcela, bo jednak jest „nadprogramowy”. Iwona oczywiście była u rodziców. Trochę było mi żal taty, że w samotności będzie lepił uszka i mełł mak do kutii, ale trudno.

Jeszcze przed świętami przebrałam Polę w strój śnieżynki, uszyty z połyskującego atlasu, cekinów, kryształów i piór, i zrobiłam jej sesję zdjęciową. Potem w specjalnym programie graficznym wkomponowałam najlepszą fotkę w piękną zimową scenerię i tym sposobem otrzymałam niepowtarzalne kartki świąteczno-noworoczne. Rozesłałam je przyjaciółom i kontrahentom Marcela. Zasypali nas gratulacjami i podziękowaniami.

Jak to dobrze, że mamy siebie – naszą malutką, trzyosobową rodzinę – i nie jesteśmy osamotnieni w swoich nieszczęsnych familiach, pomyślałam, zasiadając do wigilijnego stołu. Były to najwspanialsze święta w moim życiu, bez sztucznych uśmiechów, prezentów, o których nie marzyłam, i nachlanego Benka, kiwającego się nad karpem. Złapałam Pana Boga za nogi – i oby tak zostało.

Nie spodziewałam się żadnego prezentu. Od początku grudnia Marcel był bardzo zapracowany, ciągle w podróżach służbowych, na spotkaniach albo w biurze, gdzie prowadził wielogodzinne rozmowy przez telefon. Od poniedziałku

do soboty, na okrągło, nigdy nie kładł się spać przed północą. W dwie niedziele z rzędu kategorycznie wyłączałam jego służbową komórkę, odłączałam internet i zmuszałam go do relaksu, spaceru, wizyty na siłowni albo po prostu słodkiego leniuchowania.

Jednak gdy zasiadaliśmy do wigilijnego stołu, obok chodzika z pianinkiem – dla Poli – i bombonierki z dedykacją „Jesteś moją gwiazdką z nieba i nic mi więcej nie potrzeba” – dla Marcela, pod choinką znalazło się wielkie pudło owinięte w złoty, połyskujący papier. Gdy po kolacji usiedliśmy z lampkami wina na dywanie, zaintrygowana rozerwałam opakowanie. Jego zawartość okazała się mniejszym, równie pięknym opakowaniem. Na zasadzie matryoszki czynność rozpakowywania powtórzyłam jeszcze siedem razy. Napięcie rosło, a Pola, śmiejąc się, zgniatała szeleszczące skrawki papieru.

– Nie entuzjazmuj się tak, bo to nic wielkiego – komentował Marcel z miną niewiniątka, gdy rozrywałam ostatni kartonik. – Przerost formy nad treścią. Blanuś, im więcej oczekujesz, tym bardziej się rozczarujesz...

– Marcel! – Oniemiałam na widok niesamowitej kolii z czarnych oceanicznych pereł w komplecie z pierścionkiem z centralnie położoną perłą w otoczeniu brylantów. Wszystko w oprawie z białego złota. Tuż obok certyfikat autentyczności, waga, liczba, średnice klejnotów, pieczęć i podpis rzeczoznawcy. Wsunęłam pierścienek na serdeczny palec lewej ręki, na którym wciąż, od dnia ślubu, nosiłam obrączkę, a Marcel pomógł mi z kolią.

Podbiegłam do lustra. Stał za mną. Czułam, że obserwowanie mojego zachwyty sprawia mu radość.

– Marcel, dziękuję, ale to kosztowało majątek! Rozpieszczasz mnie, a przecież mamy kupić działkę, zacząć budowę. To wszystko kosztuje...

Nie pozwolił mi skończyć. Przyciągnął mnie i przyłożył mi rękę do ust.

– Cii, niech cię o to głowa nie boli. Będiesz miała, co zechcesz. Jesteś dla mnie wartościowsza niż wszystkie skarby świata.

Zaraz potem z życzeniami wpadli sąsiedzi – Karola z mężem i dziewczynkami. Siedzieliśmy w salonie, zając się upieczonym przeze mnie tortem makowym i przyniesionym przez nich piernikiem z bakaliami, i popijaliśmy herbatę z rumem. Córeczki Karoli, nieco starsze od Poli, dokazywały przy niej ze śmiechem, a ona próbowała im dorównać, pełzając jak gąsienica. Było dużo śmiechów i radości. Dziewczynki hałasowały, czym tylko się da: piszczącymi zabawkami, grzechotkami i wyjąłymi syrenami samochodzików. Marcel raz po raz siadał obok nich i rozśmieszał je głupimi minami.

Było naprawdę miło, ale w pewnym momencie Karola mnie zirytowała. Poszła ze mną do kuchni zaparzyć herbatę i przejęta zasugerowała szeptem, żebym natychmiast zdjęła perły, schowała je w najciemniejszy kąt i nigdy nie zakładała. Popatrzyłam na nią z politowaniem – ot, kolejna zawistnica. Tego się po niej nie

spodziewałam.

– Dlaczego? – zapytałam jednak grzecznie, licząc łyżeczki herbaty wsypywanej do ekspresu.

– Perły są zakrzepłymi łzami nimf wypłakujących oczy po żeglarzach, którzy utonęli w morskich otchłaniach. Kuszą swoim blaskiem, ale za łzy płaci się łzami. Szczególnie czarne. Te przynoszą żalobę, mają taką moc...

– Tratatata – przerwałam jej. – Daj spokój! Gadasz jak nawiedzona wieszczka. Mamy dwudziesty pierwszy wiek! Obie z moją Julą nadajecie na falach średniowiecznych czarownic. – Pokręciłam z politowaniem głową i delikatnie dotknęłam kolii. – Perły to obok diamentów najlepsze przyjaciółki kobiet. Produkują nawet kremy do twarzy z ekstraktem z pereł i jakoś nie słyszałam, żeby ich stosowanie groziło odpadnięciem policzków od kośćca.

– Perły powstają z bólu i na zasadzie odwetu przynoszą ból. – Karola nie dawała za wygraną.

– Bzdury! Jesteś już podpita czy urwałaś się z choinki? – Straciłam cierpliwość. – Chodźmy do salonu, herbata gotowa.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Podekscytowana miłym wieczorem, główkowałam nad wyjątkowym prezentem, którym mogłabym zaskoczyć Marcela na następną Wigilię. Piżama, zegarek, woda po goleniu, scyzoryk, zestaw do gry w darty, bokserki z jakimś wesołym napisem... Nie, to wszystko zbyt trywialne. Gdybym potrafiła robić na drutach, wydziergałabym mu sweter albo czapkę. Gdybym miała zdolności plastyczne, namalowałabym jego portret. To musi być coś od serca, czego nie można kupić, co będzie dowodem naszego uczucia, a może... Ta myśl od dłuższego czasu płątała mi się po głowie, również przy nakrywaniu do wigilijnej kolacji. Mało nas, pomyślałam. Wprawdzie nakryłam dla czworga, ale Pola i tak była w bujaczku, a czwarte miejsce było tradycyjnie puste. Aż się prosiło, by ktoś je zajął. Niekoniecznie zbłąkany wędrowiec czy dusza babci. Skoro jestem w stanie zaakceptować nie moje dziecko, to może czas na własnego malucha? Lata lecą, zegar biologiczny nieubłaganie tyka. Marcel jest o pięć lat starszy ode mnie. Jak będziemy zwlekać, to przyjdzie nam patrzeć do kołyski przez grube okulary. Przytuliłam się mocniej do śpiącego męża i powzięłam decyzję: od następnego cyklu precz z antykoncepcją!

Dzień przed skończeniem przez Polę ośmiu miesięcy bawiłyśmy się przed lustrem.

– A kto to? – gaworzyłam. – Pola. A co to? Brzuszek! Oczko! Rączka...! – Gdy wymieniłam już wszystkie części ciała i chciałam zakończyć zabawę, z głupia frant pokazałam na siebie. – A to kto?

– Mama – powiedziała Pola, klepiąc rączką w świeżo umyte lustro.

– Pola... – szepnęłam. Przeszedł mnie dreszcz i łzy stanęły mi w oczach. Piękna, niepowtarzalna chwila.

Potem, kiedy siedziała przede mną w swoim foteliku, a ja karmiłam ją startym jabłkiem z biszkoptem, zastanawiałam się, co odpowiedziałabym, gdyby ktoś mnie zapytał, czego chcę od życia. Odpowiedziałabym: chcę właśnie tego, co mam, bo akceptuję to bez zastrzeżeń. Prawda, Marcel mógłby być trochę mniej narwany, ale kto nie ma wad? Jeszcze tylko dom z ogródkiem blisko natury, dwójka dzieci, dwa przygarnięte bezdomne koty i pies. I można żyć pełną piersią w zgodzie ze sobą. Całkowicie wymazać z pamięci przeszłość zawodową i bezinteresownie pomagać innym. To daje poczucie spełnienia. Czego więcej do szczęścia potrzeba?

– Nie uwierzysz, co się stało! – Gdy kąpałyśmy się z Polą, usłyszałam krzyki Marcela. To znak, że wrócił. Siedziałyśmy w wannie już prawie godzinę. Przed kilkoma dniami odkryłam przyjemność ze wspólnych zabaw w wodzie, tym razem przy użyciu plastikowych butelek. Pola zdecydowanie też złapała bakcyła, bo co chciałam ją wyciągnąć, podnosiła krótki, ale spazmatyczny płacz.

– Marcel, wzywam cię na ratunek! – nawoływałam, przekrzykując piski radości.

– Co się stało? – Wbiegł do łazienki jeszcze w kurtce i butach. Na nasz widok na moment znieruchomiał, a potem zaczął się śmiać. Totalne szaleństwo. Zachlapana podłoga, zaparowane lustro i my – w dużej ilości piany, wśród gumowych kaczuszek i plastikowych butelek, ze skórą pomarszczoną jak wysuszone jabłuszka.

– Ta rebeliantka nie chce wyjść z kąpeli!

– Oj, kobiety, co ja z wami mam! – Zrzucił kurtkę, podwinął rękaw koszuli i wyciągnął korek. Poziom wody zaczął gwałtownie opadać, aż pozostało już tylko trochę piany. – No, księżniczko, zrób kaczuszkom pa, pa! – Pola wygięła usteczka w podkówkę i już chciała podnieść alarm, ale w końcu wyciągnęła rączki do Marcela.

– Tata...

– Brawo! – zawołał, a potem owinał ją w ręcznik i pocałował. – Widzisz, mamusiu, gdybym nie przyszedł z pomocą, rozpuściłybyście się i nic by po was nie zostało. Jestem mistrzem w sprawnym rozwiązywaniu ekstremalnych problemów. Trzeba działać zdecydowanie. Tak jak dzisiaj. Możemy świętować. Udało mi się sprzedać infiniti! I to całkiem korzystnie. Trafił mi się prawdziwy napaleniec!

– Nie mówiłeś, że chcesz sprzedać auto – rzuciłam, zakładając płaszcz kąpielowy. – Zawsze powtarzałeś, że kochasz je tylko ciut mniej niż nas.

– Przestań, w metryce trąciło już myszką. Przecież to trzylatek – odparł

niedbale Marcel. – Ale wiesz co? Byłem w salonie Infiniti i dowiedziałem się, że za jakiś miesiąc mają dostać najnowszy model z wersji limitowanej! Jedyny na całą Polskę. Cena astronomiczna, ma się rozumieć. Zastanawiali się, kto je kupi. No kto, Blanuś? Oczywiście my!

– Zwariowałaś? Przecież mamy budować, płacimy czynsz...

– Oj, zaczynasz być gderliwa. Uważaj, bo cię wyślę na Księżyc. Nie traktuj mnie jak smarkacza. Wiem, co robię. Wszystko będzie dobrze. Na budowę też wystarczy. – Spojrzał na mnie i zmarszczył brwi. – Czasem mam wrażenie, że mi nie ufasz. A tak w ogóle to mam do ciebie biznes. Czy mogę w tym czasie korzystać z twojego pojazdu?

– Z mojej hondy? – Zaśmiałam się, bo jakoś nie wyobrażałam sobie Marcela za kierownicą dziewiętnastoletniego auta. – Proszę bardzo. Chcesz nią jeździć na spotkania? Przecież sam zawsze powtarzasz: jak cię widzą, tak cię piszą.

– To tylko kilka tygodni. Trudno, będę parkował daleko, a na wszelki wypadek zakładał okulary przeciwsłoneczne i czapkę kominiarkę. Pełny kamuflaż – żartował. – A jak już jesteśmy przy temacie motoryzacji, może w końcu pozwolisz, żebym kupił ci coś nowego?

– Odczep się od mojego auta – fuknęłam. – Honda to moja druga skóra. W pełni sprawna, bezpieczna, ekonomiczna, ma kopyto, fajny kolor...

– No właśnie: kolor! To takie typowe dla kobiet – śmiał się do rozpuku. – Nie zapominaj, że jesteś moją żoną i nie możesz jeździć byle czym. Zachowujesz się jak miłośniczka staroci, a przecież postęp w motoryzacji jest olbrzymi.

– Nie – zaprzeczyłam kategorycznie. – To wyrzucanie pieniędzy w błoto. Prawda, Pola? My, kobiety, myślimy inaczej. – Połaskotałam małą w goły brzusek. – Zaraz ci zrobię jedzonko, potem karaluchy do poduchy, a my z tatą będziemy świętować, skoro uważa, że są powody.

Naczytałam się w necie, że zajście w ciążę statystycznie zajmuje kobiecie, która ma cały czas faceta przy boku, a ściślej mówiąc w łóżku, aż sześć miesięcy. To długo. W naszym przypadku może być jeszcze trudniej, skoro Marcel nieustannie podróżuje. Żeby nasza dzidzia została święteczną gwiazdką, trzeba działać szybko i precyzyjnie. Zresztą chciałam być niestatystyczna – dlatego zaopatrzyłam się w cztery testy owulacyjne, które ukryłam w łazience, za szafką z ręcznikami. Pierwszy zrobiłam tuż przed kąpielą. Pojawiły się dwie kreski, więc jajczkowanie tuż, tuż. Plemniki żyją nawet ponad sto godzin. Mogłam więc przystąpić do działania.

– Kochanie, zauważyłem, że ostatnio jesteś bardziej temperamentna – powiedział Marcel, gdy trzy dni później siedzieliśmy razem przy śniadaniu.

– Chyba nie narzekasz? – Przyjęłam lekki ton, ale tak naprawdę

zarumieniłam się i opuściłam nieco głowę, udając całkowite zaabsorbowanie układaniem na omlecie kawałeczków kiwi zmieszanych z jogurtem. – Poza tym tyle zdrad dokoła. To taka asekuracja, by ci nie przyszedł do głowy skok w bok. No wiesz, przeskoczysz z kwiatka na kwiatek i powiesz innej, że żona cię nie rozumie.

– Jasne, że nie narzekam. Ale przyznasz, pobolewała cię głowa, czasem tarłaś Poli jabłuszko, kiedy spała, raz nawet krosta ci na czole wyskoczyła, miałaś kiepski nastrój i podobno czułaś się „tak nieseksownie”. A wczoraj wieczorem? Byłem zmęczony, już prawie kimałem, gdy przyszałaś do łóżka po uśpieniu Poli. Nie byłem w stanie odmówić takiego przyjemnego molestowania. To było niesamowite jak...

– Marcel – podniosłam głowę – daruj sobie. Jedz, bo wystygnie.

Wstał, obszedł stół i kucnął przede mną. Odgarnął mi włosy z twarzy i mrugnął do mnie znacząco.

– Blanka, znam cię już dość długo i powinienem wiedzieć, co ci chodzi po głowie. Na pewno masz jakiś powód. Wiedz tylko, że takie zwariowane noce jak najbardziej mi odpowiadają. Tylko bądź konsekwentna!

Następnego dnia Marcel wyjechał, a ja, korzystając z pięknego wiosennego słońca, wybrałam się z Polą na dłuższy spacer. Założyłam okulary przeciwsłoneczne, wózek osłoniłam parasolem i z werwą poszliśmy do parku nakarmić labędzie resztkami czerstwego chleba. Potem ruszyliśmy w miasto. Minęłyśmy dość obskurną budkę oblepioną tandetną reklamą: „Pączki gorące, stesy łagodzące, na świeżej mące, ekstazę przynoszące”. Zawiało starym, śmierdzącym, spalonym olejem. Zemdlilo mnie. Tak jak kiedyś w każdy poniedziałkowy poranek, gdy otwierałam drzwi banku i miałam przed sobą perspektywę pięciodniowej walki. Skojarzenie było tak silne, bo właśnie zauważyłam idącą w moim kierunku panią Halinę od kredytów – tak zwaną pracownicę frontową.

Ogarnęłam się jakoś i już miałam się przywitać, gdy ta podniosła na mnie wzrok i momentalnie, w popłochu, przebiegła na drugą stronę ulicy, w miejscu niedozwolonym, wśród dźwięku klaksonów i pisku hamujących opon. Ktoś nawet gwałtownie zatrzymał samochód i wygrażał jej: „Powinni ci buty zabrać, babo!”.

Zrobiło mi się przykro. Przecież mogłam ją zwolnić dziesiątki razy za niską efektywność. Nawet gdyby sprawa skończyła się w sądzie pracy, i tak byłabym w stanie udowodnić swoją rację. Ale nie zrobiłam tego, wręcz przeciwnie – starałam się, jak mogłam, patrzeć na jej wyniki przez palce, a gdy ktoś ze znajomych chciał wziąć kredyt, kierowałam go właśnie do niej, dzięki czemu ratowałam jej wyniki. Spojrzałam na siedzącą w spacerówce Polę. Rozglądała się ciekawie, gaworzyła, uśmiechała się do przechodniów i wyciągała rączki do psów. Ech, Pola, takie właśnie jest życie, pomyślałam. Ale nic to, dobrze, że mam ciebie, tatę i... Z wrażenia aż usiadłam na najbliższej ławce, przy kiosku z lodami

włoskimi. Czyżby już? Wyostrzony węch to przecież pierwszy objaw wczesnej ciąży! Nigdy nie byłam aż tak wrażliwa na zapachy. A te mdłości, gdy zawiąło spalonym olejem...

Ucieszona rozejrzałam się w poszukiwaniu szyldu apteki. Chciałam pobiec po test ciążowy, ale zaraz w wyobraźni wylałam sobie na głowę kubel lodowatej wody. Przecież jest za wcześnie. A jednak nie mogłam się powstrzymać przed zrobieniem eksperymentu. Wstałam i ruszyłam do domu – tą samą drogą. Zatrzymałam się pod budką z paczkami, a dokładnie pod kratką wentylacyjną. Tym razem w ustach tylko zebrało mi się trochę śliny, nic więcej. Żadnej potrzeby puszczenia pawia. Ech, pewnie w międzyczasie zmienili olej na świeży, pomyślałam nieco zawiedziona. Wstąpiłam jednak do apteki i kupiłam dwa testy, dla pewności z różnych firm.

Przez następne dni żyłam tylko myślą o dziecku. Z testem ciążowym postanowiłam poczekać do końca cyklu i wykonać go uroczyście w towarzystwie Marcela. Dziesiątki razy wyobrażałam sobie jego osłupienie na widok dwóch wyraźnych kresek w okienku testowym, a potem wielką radość. Na pewno przyniesie mi kwiaty, może nawet kupi jakąś biżuterię. Z dnia na dzień nabierałam pewności, że się udało – moje piersi stawały się coraz większe i bardziej czułe. Obsesyjnie zaczęłam sprawdzać swój profil w lustrze, wypatrując powiększającego się brzuszka. Przymierzałam pierścionki, sprawdzając, czy mam charakterystyczną opuchliznę. Kupiłam nawet kilka ubranek dla noworodków, obmyśliłam wystrój dziecięcych pokoików w naszym nowym domu, typowałam imię – co chwilę inne. I martwiłam się o Julę. Biedaczka, bezskutecznie stara się o pierwsze dziecko, a tymczasem ja i Marcel przed Wigilią będziemy mieli już dwójkę. Pewnie zrobi dobrą minę do złej gry. Zaciśnie zęby i wysili się na coś w rodzaju uśmiechu. Na świecie nie ma sprawiedliwości. Mam jednak nadzieję, że i na nią przyjdzie czas i też zostanie szczęśliwą ciężarówką.

Marcel nie zauważył zmiany mojego nastroju. Myślę, że to z powodu zapracowania. Po kilkudniowym pobycie w domu, a ściślej mówiąc – w biurze, skąd godzinami rozmawiał, negocjował, prowadził korespondencję i załatwiał inne, tylko jemu znane sprawy, na kilka kolejnych dni wyjechał do Niemiec. Po powrocie znowu zamknął się w biurze. Wyraźnie gorzej sypiał. Wprawdzie kładł się około dwudziestej trzeciej, ale często się wybudzał, wiercił i nie mógł zasnąć. Od czasu, gdy przejęłam opiekę nad Polą, wyczuliły się we mnie wszystkie zmysły, a szczególnie słuch. Budził mnie każdy szmer. Wstawałam, robiłam mu herbatkę nasenną z dwóch saszetek albo szklankę ciepłego mleka z miodem. Ale rano też był jakiś nieswój. Przy śniadaniu bezmyślnie grzebał w jajecznicy, zjadał dwa, trzy kęsy i odstawiał talerzyk.

– Marcel, co się dzieje? – zapytałam w końcu. – Może ci w czymś pomóc?

– Blanka, ty lepiej zajmij się Polą, pobaw się w to swoje doradztwo albo poodkurzaj. Robienie pieniędzy zostaw mnie i się w to nie mieszaj. Nie jesteś dobra w te klocki. Tu trzeba myśleć logicznie i zdecydowanie. I mieć umiejętność chłodnej kalkulacji – komentował zgryźliwie. – Kobiety w połączeniu z biznesem to niewypał, wręcz katastrofa. Popołniają błąd za błędem. Mają dyplomy, ale to tylko papierki i nic więcej. Pchają się tam, gdzie nikt ich nie chce. Ty sobie żyj bezpiecznie, przyjemnie, zdrowo i bezstresowo pod moimi skrzydłami.

– Mylisz się – odparłam wkurzona. – Wiele kobiet ma olej w głowie. Ja też nie jestem w ciemną bita i zawsze mogę ci pomóc.

– Wiem, że masz dobre intencje, ale jeżeli naprawdę chcesz mi pomóc, to nie dyskutuj ze mną na ten temat. Będę ci za to wdzięczny – uciał, a potem wstał i poszedł do siebie.

Zrobiło mi się smutno. Jedynym zgrzytem w naszym małżeństwie była właśnie ta kwestia. Wiele razy proponowałam mu wsparcie, ale on zawsze reagował tak samo. Jego zdaniem tylko kobiety, którym nie udało się ustrzelić faceta z głową na karku, muszą pracować. Ogólnie płęć żeńska nadaje się do uczenia abecadła w przedszkolu, układania cukru na półkach w supermarkecie albo pielienia pietruszki w ogródku. Bo on sam w życiu nie wsiadłby do samolotu pilotowanego przez kobietę. Zresztą nie sądzi, że byłaby w stanie wystartować, bo jeszcze pomyliłyby jej się guziczki. A gdyby poszła na wojnę, wystawiłaby się jako żywa tarcza, żeby pochwalić się nową bluzeczką. A gdyby zgłosił usterkę hydrauliczną i w drzwiach stanęłaby babka, nie wpuściłby jej nawet za próg, bo nie odróżniłaby wpustu od zaworu i całe osiedle przez tydzień byłoby bez wody.

Po chwili z biura dobiegały mnie strzępki rozmów prowadzonych po angielsku albo rosyjsku, zagłuszane przez piski Poli, która siedziała w wysokim krzeselku i towarzyszyła mi w przygotowywaniu jej obiadku. Zagadywałam ją, uśmiechałam się, ale tak naprawdę odgrywałam teatr, bo humor Marcela nastroił mnie dość markotnie.

Minęło nie więcej niż pół godziny, a on wrócił. Zupełnie odmieniony. Miał gładką, zaróżowioną twarz, a poranne rozdrażnienie zmieniło się w euforię. Po dąsach nie było śladu. Podśpiewując, przyciągnął mnie mocno do siebie. Czując bicie jego serca, uspokoiłam się i postanowiłam przymykać oczy na te drobne wyskoki. Jak to dobrze, że mam takiego męża, który całkiem odmienił moje życie. Przy nim mi włos z głowy nie spadnie. A to, że przyjąłam wszystko z dobrodziejstwem inwentarza? To jak mała rysa na kryształach. Spojrzałam na Polę – wyciągając do nas rączki – i uśmiechnęłam się do siebie.

Tego samego dnia, po południu, wybrałam się z Polą na wizytę kontrolną do

poradni dziecięcej. Wprawdzie nie było takiej konieczności, ale chciałam, by Marcel mógł odpocząć – bez pisków, płaczu i gaworzenia w tle. Nazajutrz, wczesnym rankiem, miał wyjechać na spotkanie z kontrahentem.

Pani doktor już na nas czekała. Osłuchiwała Polę, opukała, zajrzała do uszu, buzi, gardła, zmierzyła, zważyła i zapewniła, że córeczka jest okazem zdrowia. W drodze powrotnej poszwendowałyśmy się jeszcze po sklepach w centrum. Gdy wróciłyśmy, Marcel leżał na kanapie w swoim biurze. Przykryłam go pledem, pocałowałam i postanowiłam, że dam mu jeszcze chwilę spokoju i wybiorę się do Karoli.

Sąsiadka poczęstowała mnie ciastem i kawą. Zaproponowała też kieliszek likieru, ale odmówiłam. To był dwudziesty ósmy dzień cyklu. Wolałam dmuchać na zimne. Dziewczynki dokazywały na dywanie, częstując nas kocią muzyką płynącą ze wszystkich dźwiękowych zabawek – piszczących, wyjących, śpiewających i grających. Nie obyło się oczywiście bez incydentów typu wyrwanie zabawek czy walka do upadłego o piłeczkę – chociaż obok leżało kilkanaście podobnych – gryzienia się i krótkich spazmów płaczu. Opanowanie tego miniżłobka stanowiło *mission impossible*. Na szczęście były to tylko krótkotrwałe epizody, a poza tym czas mijał szybko i niepostrzeżenie.

W pewnym momencie ze zgrozą spojrzałam na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Gdy patrzyłam, jak Pola z żalem rozstaje się z koleżankami, chciałam ją pocieszyć, że być może już za niespełna dziewięć miesięcy będzie miała siostrę albo brata. Ale lepiej nie zapeszać. Planowałam wykąpać Polę, nakarmić i utulić do snu, a potem zrobić Marcelowi niespodziankę. Test ciążowy powinien być już wiarygodny. Pewna pozytywnych emocji, które miały nam towarzyszyć tego wieczora, pożegnałam Karolę i wróciłyśmy do mieszkania.

Marcel siedział przed telewizorem, włączonym na cały regulator. Nawet nie zauważył naszego powrotu. Nie ma się co dziwić – w magazynie motoryzacyjnym testowali akurat infiniti, to samo, które zamierzał kupić. Spojrzałam na ekran. Zimowa sceneria. Samochód mknie po górskich, krętych drogach. „Fantastyczny, niesamowity potencjał, nieprzeciętna przyjemność z prowadzenia! Poradzi sobie w najcięższych warunkach...”, komentuje rozemocjonowany redaktor.

– Może piwko? – zawołałam z przedpokoju.

Nie zareagował, więc wzięłam pilota, wyłączyłam dźwięk i stanęłam przed nim, wciąż w doskonałym humorze, z Polą na rękach. Wyglądał kiepsko. Był blady jak ściana, a czoło zraszały mu duże krople potu. Spojrzał na mnie z rezygnacją.

– Blanka, chyba przesadziłem na siłowni – powiedział cicho, uciskając lewy bark. – Czuję tu niesamowity ból... Masowałem, ale nie pomogło. Wiesz, że rano wyjeżdżam. Muszę być w stanie prowadzić...

Usiadłam obok niego na oparciu fotela i dłonią otarłam mu czoło, przy okazji sprawdzając, czy nie ma gorączki. Nie był rozpalony.

– Przecież nie byliśmy na siłowni od tygodnia – powiedziałam, gładząc go po policzku i patrząc mu w oczy. Przenosił wzrok raz na mnie, raz na Polę. Jego zielononiebieskie tęczęwki były jakby przydymione. Kryły w sobie niewyobrażalny ból, ale też miłość. Rozczuliło mnie to. Mój Marcel, jesteście ze sobą tak krótko, a już tyle przeżyliśmy. Poczułam dreszcz na myśl o tym, że mam zrobić test ciążowy. Podniósł rękę, chcąc dotknąć mojej twarzy, ale syknął z bólu. – Kochanie, jesteś przemęczony – tłumaczyłam łagodnie. – Za ciężko pracujesz, jakbyś pchał się na siłę do świętego Piotra. A przecież on nie potrzebuje trzydziestosiedmiolatek. Musisz zwolnić tempo. Wiem, robisz to z miłości do nas, ale bez przesady. Czy coś jeszcze cię boli?

– Nie, nic mi nie jest – roześmiał się, ale był to wymuszony śmiech. Wyczułam, że tylko udaje twardziela. Mimo że mieliśmy wykupiony najwyższy pakiet prywatnych usług medycznych, sam skorzystał tylko z dwóch wizyt u dentysty. Uważał, że chodzenie po lekarzach przed osiemdziesiątką to dyshonor. – Obiecuję, że za kilka dni, jak tylko sprawy się wyklarują, zrobię sobie wolne. Może nawet tydzień. A teraz, Blanuś, zaparz mi jakiejś herbaty na uspokojenie. Ale takiej mocnej, z dwóch, może nawet trzech saszetek. Ta niedyspozycja tak mnie zdenerwowała, że aż kołaczę mi za mostkiem, tak mi ciężko, jakby mnie ktoś dusił. To nic takiego, muszę tylko...

Znieruchomiałam. Nie słuchałam go już, bo mój umysł zaczął bić na alarm. Lewy bark, ból zamostkowy, poty... Zerwałam się na równe nogi. W szaleńczym tempie podbiegłam do chodzika. Pola wiedziała już, co się święci. Wyprostowała się jak struna i podniosła straszny płacz. Nie traciłam jednak czasu na zachęty i tłumaczenia. Wsadziłam ją siłą do chodzika.

Spokój, tylko spokój, próbowałam sobie tłumaczyć, ale nie działało. Już po chwili trzymałam w dłoni telefon. Ręce mi się trzęsły. Wybrałam numer pogotowia. Przekrzykując drącą się wniebogłosy Polę, która objając się o meble, zdążyła już przydreptać do mnie, zdołałam podać nazwisko, adres i symptomy.

– Zamostkowy? – dopytywała dyżurna znudzonym, ślamazarnym głosem.

– Zamostkowy! Tak, zamostkowy! – wydzierałam się. – To jest zawał! Mój mąż za miesiąc skończy trzydzieści siedem lat. Rozumie pani? Trzydzieści siedem!

Zaraz potem wykręciłam numer do dyżurki ochrony.

– Proszę podnieść szlabany! – darłam się, odsuwając Polę, szarpiącą moją bluzkę. – Wezwałam pogotowie! Proszę ich kierować do naszego mieszkania!

Dopiero teraz odwróciłam się do małej. Ze spuchniętą, zapłakaną twarzą, podskakiwała w chodziku i wyciągała do mnie ręce. Podniosłam ją razem z chodzikiem i wybiegłam z mieszkania. Z całych sił załomotałam w drzwi Karoli. Miałam wrażenie, że minęła wieczność, zanim otworzyła.

– Pali się? – zapytała gderliwie. – Akurat karmię... – Spojrzała na nas i osłupiała. – O mój Boże, co się stało?

– Zajmij się Polą! Muszę biec do Marcela... Żle się czuje... Zaraz będzie pogotowie...

– Dobrze, dobrze. Chodź, kochanie, do cioci...

Wróciłam do siebie, słysząc za plecami kojący głos Karoli, starającej się uspokoić Polę. Drzwi do naszego apartamentu zostawiłam otwarte na oścież.

Pobiegłam do kuchni. Nalałam wodę do kubka, rozpuściłam w niej aspirynę i pobiegłam do Marcela. Dopilnowałam, by wypił do dna. Kręcił z dezaprobatą głową, dając wyraźny znak, że nie pochwała tego zamieszania. Wciąż masował ramię, miałam jednak wrażenie, że jego ruchy stają się powolniejsze i nie oddycha normalnie, tylko łapie powietrze, jakby chciał je połknąć.

Pomimo że miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i był dobrze zbudowany, teraz wydawał się mniejszy, chudszy, wręcz rachityczny. W jego nienaturalnie rozszerzonych oczach krył się paniczny strach. Pomogłam mu położyć się na dywanie. Przy każdym ruchu jęczał z bólu. Starając się panować nad trzęsącymi rękami, nakryłam go pledem, pod głowę położyłam poduszkę i otworzyłam okno. Potem klękłam obok i objęłam jego dłonie. Zawsze silne, bezpieczne, zmieniały się w bezwolne i chłodne. Chuchałam w nie, chcąc je ogrzać. Poddawał się bez protestów.

– Marcel... – Staralam się stwarzać wrażenie spokojnej. Wpatrywałam się w jego oczy, które tak bardzo mnie zauroczyły. Mogłabym tak w nie patrzeć do końca życia. Jak w akwamaryn, błękit nieba, niebieskie chmury albo głębię oceanu.
– Zaraz przyjedzie pogotowie. Wszystko będzie dobrze.

Wyszeptał coś, ale nie zrozumiałam. Nachyliłam się niżej.

– Umrę? – wydyszał ciężko i oblizwał spierzchnięte wargi.

– Skądże! – zapewniałam, całując jego dłonie, ale z sekundy na sekundę głos wiązał mi w gardle. Drżałam jak w febrze. – Tacy młodzi nie odchodzą z tego świata, szczególnie gdy mają tyle planów. Musimy przecież wybudować nasz wymarzony dom, wychować dzieci, osiwieć i dożyć razem późnej starości. Będiesz żył i jutro, i pojutrze, i jeszcze przez wiele, wiele lat.

Patrzyłam na migające cyferki zegara na kinie domowym. Czas dłużył się niemiłosiernie. Minęło dopiero siedem minut od wezwania pogotowia? Niemożliwe. Czułam pulsujący ból głowy. Spokój, tylko spokój, powtarzałam... Wciąż trzymałam dłonie Marcela, tak by kontrolować jego puls. Przeszłam kilka szkoleń z pierwszej pomocy. Pierwsze już w przedszkolu, kiedy wbijali nam do głowy, że numer pogotowia to trzy dziewiątki. Potem podstawówka, liceum, studia, kurs na prawo jazdy, kurs dla pracodawców. Ale wtedy ćwiczyłam na fantomach, a teraz zaczęłam panikować, bo być może będę musiała przejść najtrudniejszy życiowy egzamin. Reanimację najdroższego mi człowieka, na którego tak długo czekałam. Gorączkowo zaczęłam przypominać sobie zasady: trzydzieści mocnych ucisków na klatkę piersiową, ewentualne złamanie żeber jest betką przy uratowaniu

życia, i dwa oddechy usta-usta. Nadmiar emocji przytłoczył mnie do tego stopnia, że chciało mi się płakać, ale wszystkimi siłami starałam się zachować zimną krew. Setki razy słyszałam, że poszkodowanemu w każdej sytuacji trzeba zapewnić spokój.

– Wiesz, że bardzo cię Kocham? – zapytałam impulsywnie, przypominając sobie, co mówiła Julia, kiedy jako początkujący lekarz musiała zaliczyć pracę w pogotowiu. Kilka razy zdarzyło jej się stwierdzić zgon. W rozpacz i bólu najbliżsi wypominali sobie, że nie zdążyli zapewnić zmarłego o swojej miłości. Julia powtarzała mi nieraz: „Jeżeli chcesz komuś coś powiedzieć, to zrób to, bo możesz nie zdążyć i będą cię trapić wyrzuty sumienia. Nie mów sobie, że to nie stanie się dzisiaj, bo śmierć zwykle przychodzi znienacka. Nigdy nie wychodź z domu bez pożegnania, bo możesz żałować”. – Marcel – starałam się wskrzesić w sobie entuzjazm – prawdopodobnie nasza rodzina się powiększy, wiesz? Mamy już córeczkę, może tym razem będzie syn? Co ty na to, skarbie?

Uśmiechnął się ledwo zauważalnie, ścisnął moje dłonie, choć czułam, że ma niewiele siły.

– Kocham cię, jesteś aniołem – wyszeptał z trudem.

– Nie – roześmiałam się. – To ty jesteś aniołem. Takie oczy mają tylko istoty nieziemskie...

Nie dokończyłam, bo on znów coś powiedział. Nachyliłam się.

– Przepraszam...

W tym momencie usłyszałam dźwięk zatrzymującej się windy, szybkie kroki i kilka zmieszanych ze sobą głosów.

– Pod siódemkę! O, jest otwarte! – Rozpoznałam głos pana Włodka z ochrony.

– Wreszcie – szepnęłam i spojrzałam na zegar. Trzydzieści minut. Dlaczego nie dwanaście albo czternaście? – przemknęło mi przez myśl.

Pocałowałam Marcela w usta.

– Kocham cię, pamiętaj, że cię Kocham – zapewniałam pospiesznie.

Później już wszystko potoczyło się błyskawicznie. Pamiętam pochyloną nad Marcelem postać w białym uniformie i czerwonej kurtce z napisem „lekarz”, lakoniczne pytania, ratownika przygotowującego zastrzyk, drugiego dzwoniącego na kardiologię i proszącego o stan gotowości, bo za kilka minut przywiozą pacjenta z rozległym zawałem serca. Wynieśli Marcela na noszach, a ja wybiegłam za nimi. Pan Włodek otworzył windę towarową.

– Mogę jechać z wami? – dopytywałam.

– Nie, to zabronione.

– Gdzie go zabieracie?

– Na Kościuszki.

Przez szybę windy patrzyłam na Marcela. Chciałam mu dodać otuchy,

uśmiechnąć się, pomachać, ale jego twarz przysłonił ratownik.

– Mama, tata! – usłyszałam za sobą nawoływanie. Odwróciłam się. Karola stała w progu swojego mieszkania – z Polą na ręku. Bliźniaczki trzymały się jej tuniki. Miała łzy w oczach.

Podbiegłam do niej.

– Karola, zaopiekujesz się małą? – zapytałam gorączkowo. – Zostawię otwarte mieszkanie, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała. W szafce obok łóżeczka są pieluszki i chusteczki, w kuchni sok...

– Jedź już – przerwała mi, patrząc wymownie na mój dekolt. Odruchowo podążyłam dłonią za jej wzrokiem i dotknęłam małych kuleczek złączonych w sznur. Tego dnia rano założyłam kremowy kaszmirowy golf. Czarne perły doskonale do niego pasowały.

Wymusiłam pierwszeństwo już przy wyjeździe z naszej uliczki. Potem dwa razy przejechałam skrzyżowania na czerwonym. Gdy wyjechałam na prostą, zadzwoniłam do Juli. Marcela zawieźli do jej szpitala. Wiedziałam, że akurat ma dyżur na swoim oddziale. Szczęście w nieszczęściu.

– Marcela zabrała karetka! Rozległy zawał serca, rozumiesz? – przekrzykiwałam klaksony. – Jestem w drodze. Jeżeli masz chwilę, to podejdź i zobacz, co się dzieje – błagałam. Łzy ciekły mi po twarzy i ledwo widziałam. Dopiero teraz mogłam sobie pozwolić na słabość.

– Na pewno do nas? – upewniała się.

– Tak, na Kościuszki.

– Już pędzę. Blanka, jedź ostrożnie. Mamy naprawdę dobrych kardiologów!

Zanim weszłam do siedmiopiętrowego molocha, wytarłam do sucha policzki. Spokój, tylko spokój, powtarzałam, obserwując kilku pacjentów w szlafrokach, którzy skryci za żywoplotem, palili papierosy. Odetchnęłam kilka razy głęboko i wbiegłam przez główne wejście.

Ruch jak w ulu. Jakiś mężczyzna prowadził kulejącą kobietę – jedną nogę miała owiniętą reklamówką. Sanitariusz wywoził staruszkę na wózku inwalidzkim, dziewczynka ze łzami w oczach poruszała się o kulach, inna z odruchami wymiotnymi biegła do toalety, staruszek ze złością szarpał turban z bandaży, chcąc się od niego uwolnić, kilka osób krążyło po korytarzu, a inni stali pod oknem dyżurki, czekając na swoją kolej. Chciałam zapytać, gdzie jest Marcel, ale ratownik spisywał akurat dane kobiety trzymającej się za brzuch. Wskazał mi tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

– A pani w gorącej wodzie kąpana? – rzucił ktoś ze złością za moimi plecami. – Kolejka obowiązuje!

Wybiegłam na korytarz i zadzwoniłam do Juli.

– Blanka, kardiologia jest na czwartym piętrze – rzuciła rzeczowo, zanim zdążyłam się odezwać.

Nie czekałam na windę. Co sił w nogach, z przewieszoną przez ramię torebką, wbiegłam na górę. Wpadłam wprost na Julę. Czekła pod drzwiami z matowego szkła z czerwonym napisem: „Oddział intensywnej opieki kardiologicznej”. Uścisnęła mnie na powitanie, ale inaczej niż zwykle, mocniej, i podprowadziła do krzesła.

– Usiądź i posłuchaj – poprosiła i kucnęła naprzeciwko mnie. Założyła mi opadające kosmyki włosów za uszy. Wpatrywała się we mnie przenikliwie. – Marcel żyje.

Z ulgą wypuściłam z płuc powietrze.

– Mogę go zobaczyć? – Już prawie się zerwałam, ale powstrzymała mnie, mocno przytrzymując za nadgarstek.

– Posłuchaj mnie uważnie, Blanka – powiedziała bez cienia uśmiechu. – Nikt na studiach nie uczył mnie prowadzenia trudnych rozmów, szczególnie z przyjaciółką. Chciałabym być aniołem ogłaszającym dobre nowiny, ale jest odwrotnie. Stan Marcela jest bardzo poważny. Nie zadziałały nitrogliceryna, leki antyarytmiczne i maski tlenowe. Miał rozległy zawał serca. W tej chwili trwa operacja. Lekarze walczą o jego życie. Robią wszystko, by pobudzić jego serce do pracy. Rozumiesz? – Potrząsnęła moją bezwładną ręką. – Nie trać nadziei. Mówią, że umiera ostatnia.

Milczałam. Patrzyłam na nią jak otępiała. Ale powoli docierał do mnie sens jej słów. Nagle zrobiło się duszno jak przed burzą, a czarne chmury zdawały się zbierać nisko nad moją głową. Po policzkach gorącymi strumieniami płynęły mi łzy.

– Blanka... – Julia potrząsnęła mną mocniej. Patrzyłam na nią, ale obraz się rozmazywał. Miałam wrażenie, że zaraz zniknie. – Blanka, musisz być silna. Ty zawsze i wszędzie dajesz radę – przekonywała ciepło. Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni fartucha i zaczęła mi wycierać policzki.

– Julia... – wyszeptałam – ...chcę go zobaczyć.

– To niemożliwe. Jest na sali operacyjnej. Zrobimy tak: ja tam pójde, a ty idź do bufetu, napij się czegoś, spróbuj zająć myśli czymś innym. Dobrze?

– Tak – potwierdziłam bezwiednie, ale na moment się ożywiłam. – Tak, Julia, lekarzy nigdy za wiele! Idź i ratuj go!

Powoli schodziłam po schodach, kurczowo trzymając się metalowej poręczy. Miałam wrażenie, że moje kolana są z waty. Mijając kolejne piętra, tęnym wzrokiem patrzyłam na strzałki wiodące w różnych kierunkach i czytałam napisy: „Oddział wewnętrzny”, „Rezonans magnetyczny”, „Laboratorium analityczne”,

„Kaplica”... Już miałam zejść niżej, gdy przystanąłam i zawróciłam. Przecież wcale nie muszę iść do bufetu.

Powoli nacisnęłam klamkę. Drzwi kaplicy skrzypnęły. Znalazłam się w całkiem innym świecie. Niewielkie pomieszczenie, z kilkoma drewnianymi ławeczkami i jednym witrażowym oknem za ołtarzem, pachniało kadzidłem i dymem świec. Pusto i cicho. Łzy znów cisnęły mi się do oczu. Podeszłam kilka kroków, a potem osunęłam się na kolana – na zimną, kamienną posadzkę. Podniosłam wzrok na ołtarz. Jego centralnym punktem był obraz Boga przedstawionego jako starca w udrapowanych bordowych szatach, z siwą głową, otoczoną aureolą, na tle białych chmur. Z rozłożonymi rękami i twarzą bez cienia uśmiechu i litości wpatrywał się wprost we mnie.

Oko w oko z Bogiem, przemknęło mi przez myśl. Nigdy dotąd tak blisko. Zadrżałam ze strachu. Poczulałam się bezsilna jak pyłek, który ot tak można zdmuchnąć bez śladu. Kiedy ostatni raz byłam w kościele? Na naszym ślubie? Tak, zdecydowanie tak. Jak trwoga, to do Boga. Smutne, ale prawdziwe.

– Wiem, że jesteś wszechmogący – szepnęłam nieśmiało. – Przyznaję, że nasze drogi się rozeszły, ale obiecuję poprawę. Tylko nie patrz na mnie jak na głaz. Tobie w niebie dobrze, nie ma tam chorób, zawałów serca, cierpienia i reanimacji, ale spróbuj mnie zrozumieć. Marcel jest młody, silny i musi dla nas żyć! – Podświadomie zmieniłam ton na roszczeniowy. – Dla mnie, dla Poli i – dotknęłam swojego brzucha – naszego nienarodzonego jeszcze dziecka. Potrzebujemy jego ramion, by się nami opiekował. Nie możesz być tak niesprawiedliwy i nam go odebrać! Uzdrów go! Dla Ciebie to przecież łatwizna. Wystarczy, że pstrykniesz palcem, i wszystko będzie jak dawniej. Błagam, nie patrz na mnie w ten sposób, bo serce mi pęknie... Przecież Marcel nic nie zrobił! Jest najwspanialszym facetem pod słońcem. Czekałam na niego trzydzieści jeden lat. Nie możesz tak dawać i odbierać! Musisz się nade mną zlitować... – Zamilkłam, bo dotarło do mnie, że zaczynam swadę z Bogiem. Nie, nie tędy droga. Może się obrazić i jeszcze zrobić mi na złość. Pokornie opuściłam głowę, przeżegnałam się i po chwili znów zaczęłam, tym razem żarliwie: – Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – Chyba po raz pierwszy rozumiałam sens każdego wypowiedzanego słowa. – Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... – Zawiesiłam głos. Ostatnia fraza zahuczała mi w głowie. A jeżeli Boży zamysł w stosunku do Marcela jest inny niż moje pragnienia? Może umyślił sobie, że ma umrzeć? A ja, kretynka, jeszcze to aprobuję! Nie, w żadnym wypadku! – Boże wszechmogący – podjęłam w popłochu – odwołuję trzy ostatnie słowa i błagam, niech wola Twoja będzie taka jak moja, a jeżeli miałeś inny plan, to po prostu go zmień. Wiem, zdarzają się decyzyjne buble albo źle napisane scenariusze. Rozumiem, masz tyle na głowie, że trudno to wszystko ogarnąć, i nie do końca wiesz, czego mi potrzeba. Ale błagam, nie zabieraj mi męża. Podobno jesteś miłością, a ktoś, kto kocha, nie daje, by potem

zabrać. Prawda? Nie potrzebujesz go w swoim niebie z chórami anielskimi. Zresztą on wcale najlepiej nie śpiewa. Jego misja tu, na ziemi, jeszcze się nie skończyła. Mamy wybudować dom z ogródkiem. Na ławeczce będą się wylegiwały dwa koty, dzieciaki będą biegały wśród jabłoni i tak dalej. Umówmy się, że za sześćdziesiąt lat zabierzesz go do swojego świata, ale nie teraz. Błagam...

Skrzypnęły drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę w granatowym szlafroku, z oklejoną plastrami głową i ogipsowaną ręką, zawieszoną na temblaku. Zbliżała się do ławki. Przeżegnałam się. Moja chwila intymności, rozmowa w cztery oczy z Bogiem, została brutalnie przerwana. Podniosłam się z klęczek i wyszłam z kaplicy.

Wspinając się po schodach, próbowałam przekonać samą siebie, że wszystko będzie dobrze. Marcel po operacji będzie jeszcze pod wpływem narkozy, ale pozwolą mi go zobaczyć, choćby przez szybę. Na pewno będzie blady, słaby, może jeszcze będzie spał, ale z czasem przecież dojdzie do siebie. Jednak pomiędzy trzecim a czwartym piętrem usłyszałam cichy szloch. Od razu przypomniał mi się tamten dzień. To było przed dwoma laty. Julia wpadła do mnie przed dyżurem. Opracowywałyśmy szczegóły organizowanego przez nas spotkania klasowego, przy okazji oglądając zdjęcia z licealnego biwaku. Namioty, polana, szumiący wokół las i my – w wieku siusiumajtkowym – z papierosami w ustach i butelkami piwa w rękach, a obok zalany w sztok wychowawca. Gdy zaśmiewaliśmy się do rozpuku, zadzwoniła mama Juli z wiadomością, że przed godziną babcia wyszła jak zwykle do sklepu, zasłabła i upadła. Mimo natychmiastowej interwencji przechodniów i długotrwałej reanimacji lekarza pogotowia...

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Usiadłam na podeście i ukryłam twarz w dłoniach. Boże, co najlepszego zrobiłeś? Zabrałeś mi go? Nie, to niemożliwe! Jeżeli tak by było, to ziemia powinna zadrzeć w posadach i skończyć swoje istnienie. Nie, nie wierzę, to jakaś pomyłka...

Wstałam i weszłam na górę.

Gdy Julia, szlochając, mówiła, że Marcel odszedł przed kilkoma minutami, chwyciłam ją za ramiona i szarpałam, krzycząc, żeby przestała bredzić. Z oddziału, zwabione hałasem, wybiegły dwie pielęgniarki, a za nimi jakiś lekarz. Odciągnęli mnie od Juli, posadzili na krześle, ktoś zrobił mi zastrzyk, ktoś inny pocieszał, że Marcel długo nie cierpiał.

– To bujda, bujda na resorach! Tacy młodzi ludzie nie umierają! Jeżeli nie zobaczę, nie uwierzę – powtarzałam w kółko.

Naprawdę nie wierzyłam w słowa Juli i tych wszystkich osób ubranych w białe, cuchnące cierpieniem i medykamentami uniformy. Lekarz, gestykulując, szepnął coś do pielęgniarek. Zniknęły za drzwiami oddziału, wróciły po chwili

i znacząco pokiwały głowami. Jula narzuciła mi na ramiona lekarski fartuch. Zachwiałam się, więc objęła mnie mocno. Prowadziła mnie przez oddział wąskim korytarzem, pokrytym błyszczącym linoleum. Stanęłyśmy pod jakimiś drzwiami, a ona znowu mnie przytuliła.

– Bądź dzielna, tak jak zawsze – powtórzyła, otwierając drzwi.

Marzyłam, żeby ten senny koszmar już się skończył. Na uginających się nogach weszłam do środka.

Leżał na wózku z błyszczącej, chromoniklowej stali, nakryty aż po szyję prześcieradłem. Spod prześcieradła wysunęła się jego ręka z identyfikatorem, przyczepionym tasiemką do nadgarstka. Nazwisko, data, godzina zgonu – to wszystko się zgadzało, tyle że wyglądał, jakby się zdrzemnął, jakby za chwilę miał wstać. Może tylko był bardziej blady, z nieco zapadniętymi policzkami i skórą jakby pokrytą woskiem.

– Jula, jemu na pewno jest zimno. To prześcieradło jest takie cienkie, zrób coś – poprosiłam.

Patrzyła na mnie przez chwilę szeroko otwartymi oczami. Dokładnie widziałam, że były zmęczone i czerwone od płaczu. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Spuściła głowę i wyszła.

Za chwilę wróciła z kołdrą.

– Tylko tyle mogę zrobić – szepnęła i pomogła mi nakryć Marcela.

Potem poprosiłam, by zostawiła nas samych. Usiadłam obok niego i pogładziłam po jeszcze ciepłym policzku. Moja obrączka, od dnia ślubu noszona na lewej ręce, odbiła ostre górne światło jarzeniówki. „Jak u wdowy, kuszysz los, przełóż ją na prawą”, wielokrotnie nalegała Jula. A ja się śmiałam i wysyłałam ją do psychiatryka.

– Marcel – szepnęłam, oblizując wyschnięte usta – nie wygłupiaj się, przecież tylko śpisz. Wstań już, no. Pamiętasz, jak oglądaliśmy ten program o syndromie Łazarza? Bywa, że lekarze po nieudanej, jak im się wydaje, reanimacji serca spisują delikwenta na straty, a on wtedy robi wszystkim kawał i ożywa. Po prostu kardiolodzy tak długo i intensywnie naciskają na klatkę, że powodują jakąś blokadę, a po pewnym czasie klatka się rozpręża i serce zaczyna bić. No, Marcel, daj z siebie wszystko! Wracajmy do domu. Pola jest u Karoli. Odbierzemy ją, położymy w łóżeczku, a potem usiądziemy w kuchni i będziemy tarzać się ze śmiechu z tego twojego żartu. Proszę, ożyj, albo chociaż coś powiedz... – Potrząsałam jego ręką. – Marcel, przecież cuda się zdarzają! – Szarpnęłam mocniej. – Ściśnij mnie chociaż! Bez ciebie nie potrafię żyć! – Przytuliłam się do niego i głośno rozszlochałam.

Wtedy poczułam na ramieniu rękę Juli.

– Blanka, musimy już iść.

Niewiele pamiętam z następnych dni. To Julia, Filip i Karola wszystkim się zajęli. Na szczęście nie dawali mi trywialnych rad typu: „potrzebujesz czasu, bo czas leczy rany”. Komórka Marcela w kółko dzwoniła, ale nie miałam siły odebrać. W końcu utworzyłam wiadomość w dwóch wersjach językowych – po polsku i angielsku: „Z ogromnym bólem zawiadamiam, że wczoraj odszedł Najwspanialszy Człowiek Świata – mój mąż, mój przyjaciel, Marcel Tuszyński. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele Opatrzności Bożej, 12 maja o godzinie 13.00. Proszę o nieskładanie kondolencji – Blanka Tuszyńska”. Wysłałam do wszystkich z jego listy kontaktów. Potem usiadłam do jego komputera i weszłam na skrzynkę mailową. Zignorowałam nieprzeczytane wiadomości i ten sam tekst przesłałam na wszystkie adresy, które miał zapisane.

Rodzina Marcela i moja przyszły dopiero na pogrzeb. Wcześniej nikt z nich nie wyciągnął do mnie pomocnej dłoni. Pamiętam, jak stałam przed garderobą i przebierałam w garniturach. Wybrałam ten ślubny, a potem długo wtulałam w niego twarz, napawając się wciąż żywym, charakterystycznym zapachem mojego męża.

W zakładzie pogrzebowym, trzymając w ramionach Polę, wpatrywałam się w ciało Marcela złożone w trumnie. Ktoś z personelu włożył mu do butonierki kalinę. Jak na ślubie, przypomniałam sobie. Kwiaciarka oponowała, sugerowała róże... Ale ja się uparłam. Jak zwykle.

– Tata, tata – wołała Pola rozpaczliwie i wyciągała rączki w kierunku trumny, zanim wieko opadło. Sprawiała wrażenie, jakby chciała go zbudzić. Byłam nafaszerowana tabletkami przepisanyymi przez Julę, ale niewiele pomagały. Dławiła mnie bezgraniczna niemoc.

Julia swoimi sposobami załatwiła, by nabożeństwo żałobne odbyło się w tym samym kościółku na terenie skansenu, w którym wzięliśmy ślub. Stałam z Polą na ręku tuż za trumną – obolała, odchodząca od zmysłów. Miałam wrażenie, że lada moment serce mi pęknie. Pola wierciła się i rozglądała, a gdy organista zaintonował marsz pogrzebowy, zaczęła rozpaczliwie płakać. Karola zabrała ją i wyszła na zewnątrz. Zajmowała się nią do końca ceremonii.

Wiedziałam, że powinnam się modlić o spokój jego duszy, ale nie byłam w stanie. Jak mogłeś mi go odebrać?! – chciałam wykrzyknąć na całe gardło, wpatrując się w Oko Opatrzności Bożej. Stworzyłeś mi piekło na ziemi! Dlaczego?! Dlatego że wyrzuciłam połamaną jemiołę do kubła na śmieci? Daruj

sobie!

Potem na cmentarzu długo się wahałam, zanim rzuciłam na trumnę garstkę ziemi. Może jednak Marcel się przebudzi i zastuka w wieko? Nikt, kto tego nie przeżył, nie zrozumie. Pomimo że na koniec ksiądz przekazał zgromadzonym moją prośbę o nieskładanie kondolencji, natychmiast podeszła do mnie mama, ubrana jak na party – w małą czarną i gustowne szpileczki. Otarła mi łzy z opuchniętych policzków. Poczułam się dumna, ot, rodzicielka – łamie zasady i pociesza córkę. Mocno wtuliłam się w jej ramiona. Pachniała ciepło i znajomo. Naprawdę się wzruszyłam. Przecież matka jest na dobre i na złe. Może ta tragedia nas zbliży? Przez kilka sekund czułam błogość. A potem ona wycedziła sucho:

– Dziecko, opamiętaj się i nie rycz. Czas leczy rany. Minie rok i o nim zapomnisz. Zresztą jak zwykle spadłaś na cztery łapy. Iwona słyszała od pacjentki Benka, co o tobie mówią. Jesteś ponoć najbogatszą wdową w mieście. Faceci będą do ciebie lecieć jak ćmy do światła.

Ramiona, którymi oplatałam matkę, bezwiednie opadły. Zniesmaczona odsunęłam ją od siebie. Mruknęła coś niezadowolona, a ja odwróciłam się na pięcie i zabrałam Polę z rąk stojącej tuż obok Karoli. Popatrzyłam w jej zielononiebieskie oczy i przytuliłam do siebie, najmocniej jak zdołałam.

– Skarbie – wyszeptałam czule – jak dobrze, że cię mam. Jesteś w połowie swoim tatusiem. Zrobię dla ciebie wszystko. Nie będziesz musiała się wstydzić za mamę, tak jak za babcię.

Od pogrzebu minęły dopiero dwa dni. Skrajnie wyczerpana rozpaczą, leżałam w łóżku. W sypialni panował półmrok. Odkąd pojawiła się Pola, zawsze paliła się mała lampka, żebym w razie potrzeby mogła szybko dobiec do dziecięcego pokoju. Łzy strumieniami płynęły po moich policzkach, a sen nie przychodził. Z zamkniętymi oczami, na granicy jawy i snu gładziłam poduszkę Marcela.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – szlochałam. – Tak bardzo chciałabym, żebyś przy mnie był, tak bardzo cię potrzebuję...

Nagle zamarłam. Po moich plecach przebiegł zimny dreszcz. Wyraźnie poczułam, że ktoś delikatnie otula mnie kołdrą. Potem usłyszałam ciche kroki wokół łóżka i za chwilę poduszka i materac po drugiej stronie się ugięły. Głęboko wciągnęłam w nozdrza zapach zniewalającej wody po goleniu mojego męża. Moje policzki owionął ciepły oddech, a usta ledwo wyczuwalnie musnął dotyk. Od razu zrobiło mi się lżej na sercu. Przyszedł błogi spokój. Nie otwierałam oczu w obawie, że wszystko pryśnie.

– Blanka, tak bardzo cię kocham – usłyszałam wyraźne słowa. – Ale nie zatrzymuj mnie dłużej swoją rozpaczą. Wybacz mi i bądź silna. Poradzisz sobie,

jak zawsze. – Ponownie poczułam na ustach aksamitny dotyk. Zaraz potem sprężyny materaca powróciły do swojego poprzedniego stanu. Usłyszałam oddalające się kroki, coraz cichsze i cichsze.

– Marcel, nie odchódź! – Gwałtownie usiadłam i szeroko otworzyłam oczy. Zdziwiona rozglądałam się dokoła. Omamy? Nie, na poduszce Marcela było wyraźne wgłębienie. Wskoczyłam z łóżka i obiegłam całe mieszkanie. W pokoju Poli poczułam delikatny zapach jego wody, ale nic więcej.

Wróciłam do łóżka i z całych sił zacisnęłam powieki, marząc o powtórce. Bezskutecznie. Zaczęłam więc po raz setny analizować wydarzenia z ostatnich dni życia Marcela i utwierdzać się w przekonaniu, że jestem główną sprawczynią jego śmierci. Był wyjątkowo nerwowy, całe dni spędzał w biurze, a jeszcze w środę wcisnęłam mu Polę na pół godziny, bo musiałam podjechać do sklepu po ziemniaki. Jakbym nie mogła do obiadu ugotować ryżu albo makaronu! Próbował się wykręcić, ale ja nie dawałam za wygraną: „Nie zajmujesz się jej kaszkami, marudami, kupami i wysypkami. Pół godziny cię nie zbawi!”. Jakby to była sprawa najwyższej wagi. Odwrócił się wtedy na moment od komputera i mruknął coś niezadowolony. Nie zrozumiałam go, ale zaczęłam gderać: „Co? Nie masz ochoty? A na inne rzeczy miałeś ochotę? W tym góralskim pensjonacie na przykład?”. Zagryzł wargi i poczerwieniał, a ja z hukiem zamknęłam za sobą drzwi...

I te niezliczone ilości kawy, czarnej jak smoła. Pozwalałam mu ją pić. Jeszcze gorzej – sama mu ją parzyłam. Zatrulałam go kofeiną, obciążając serce...

W czwartek hojnie potraktowałam solą kanapki z pomidorem, a przecież jej nadużywanie to jak kopanie grobu. Wystarczyłby sam szczypiorek...

I ten pamiętny dzień. Zasiadzałam się u Karoli i za późno wezwałam pogotowie. Mogłam nalegać, by zawieźli go do kliniki kardiologicznej, a nie do najbliższego szpitala. Tam na pewno mają lepszą aparaturę...

I ta aspiryna. Dałam mu kategorycznie za małą dawkę. Gdybym rozpuściła dwie, krew byłaby bardziej rozrzedzona, a przecież w zawałach serca aspiryna jest lekiem pierwszego rzutu...

Ach, gdybym mogła cofnąć czas, nie popełniłabym tych błędów. A teraz z własnej winy umieram za życia. Przeze mnie obie z Polą zostałyśmy wypędzone z raj, w którym żyliśmy bez troski i bezpiecznie.

Posadziłam Polę w bezpiecznym foteliku przed telewizorem i włączyłam kreskówki. Z ostatnich warzyw, które znalazłam w lodówce, ugotowałam dla niej zupę. Poza kawałkiem masła, resztką dżemu, napoczętą butelką mleka i zwiędłym pęczkiem koperku, lodówka świeciła pustkami. Wprawdzie rano zadzwoniła Julia i pytała, czego potrzebuję, ale zapewniłam ją, że wszystko mam. Potem Karola podrzuciła mi własnej roboty risotto. Solennie obiecałam, że zaraz je zjem,

i naprawdę miałam taki zamiar, bo po pierwsze, czułam, że po tygodniowym poście zaczynam tracić siły, a po drugie, Karola naprawdę świetnie gotuje. Wzięłam od niej ciepłe ceramiczne naczynie, podziękowałam i poprosiłam, by wróciła do córeczek, bo one bardziej jej potrzebują. Gdy w końcu wyszła, uchyliłam pokrywkę. Uderzył mnie zapach bazylii i mięsa, powodując falę mdłości. Usiadłam na taborecie i instynktownie splotłam ręce na brzuchu. Poczułam dziwne napięcie. Byłam już niemal pewna, że kielkuje we mnie nowe życie – dziecko, które nigdy nie pozna swojego ojca.

– Marcel – szepnęłam ze ściśniętym gardłem – miałeś w ogródku przy naszym domu posadzić drzewo, miałeś wychować dzieci... A nie dożyłeś ani roczku Poli, ani rocznicy naszego ślubu, ani narodzin drugiego dziecka.

Nie miałam już siły płakać. Przyłożyłam dłonie do oczu i poczułam nabrzmiałe opuchnięcia. Zaczęłam sobie uświadamiać, że wszyscy wokół wiodą normalne życie i nie mogą ich absorbować swoimi problemami. Chociażby ze względu na Polę muszę się zmierzyć z rzeczywistością. Tylko jak? Nie miałam żadnej koncepcji, nie miałam też na nic ochoty. Od pogrzebu nie umyłam nawet włosów, nie mówiąc o zrobieniu makijażu. Nie posprzątałam, nie byłam z Polą na spacerze, gotowałam też tylko dla niej. Myśl o tym, że muszę się zmobilizować i pojechać do sklepu po pampersy i jedzenie, była zupełnie ponad moje siły – jak wejście na szczyt Kilimandżaro. Wiedziałam, że ten stan nie może trwać wiecznie. Dotychczas to Marcel zajmował się domowymi finansami, a mnie do nich nie dopuszczał. Dobrze, że chociaż wiem, w którym banku są ulokowane pieniądze. Byliśmy tam krótko po ślubie. Upoważnił mnie wtedy do wszystkich środków i dał dyspozycje na wypadek swojej śmierci. Zaraz po wyjściu powiedziałam mu, żeby puknął się w czoło. „Na wypadek śmierci?”, pytałam, mrużąc oczy od ostrego południowego słońca. „Pospieszyles się o dobre kilkadziesiąt lat”.

Szczęście w nieszczęściu, że sprawy spadkowe nie będą skomplikowane. Mieszkamy w wynajętym apartamencie. Nie mamy żadnych nieruchomości. Marcel sprzedał samochód, czyli jedyną schedą są pieniądze ulokowane w banku, a jedynymi spadkobiercami – ja i Pola. Bardziej zawile będzie zamknięcie spraw firmowych w skarbowce.

Spojrzałam na Polę. Z otwartą buzią wpatrywała się w ekran telewizora, na którym kolorowe stworki podskakiwały, wrzeszczały i strzelały do siebie. Wiem, powinnam to dziadostwo wyłączyć i skupić jej uwagę na czymś innym, ale nie miałam siły na udawanie, że wszystko jest w porządku. Włączyłam za to komputer i weszłam na swoją skrzynkę. Z ulgą stwierdziłam, że jest wypełniona po brzegi. Jak to dobrze, że zaangażowałam się w korespondencję z tymi nieszczęśnikami. Zajmę myśli czymś innym niż własna tragedia. W celu udzielenia kompetentnych wskazówek sprawdziłam aktualne kursy walut, nowe oferty banków, warunki leasingowe, oprocentowania lokat, kont, kredytów, kart. Gdy odpisałam

wszystkim, po raz pierwszy od tygodnia się uśmiechnęłam. To naprawdę ma sens. Mogę nieść ratunek biedakom niemającym pojęcia o finansach, uwalniać ich z sidła bankowych, zmniejszać ich miesięczne zobowiązania, tłumaczyć na polski regulaminy celowo napisane językiem niezrozumiałym dla przeciętnego zjadacza chleba. I to wszystko za darmo. U innych doradców wybuliliby ciężkie pieniądze, których i tak nie mają. No, chyba że wkręcą się w kolejny kredyt.

Nastrój poprawił mi się na tyle, że ubrałam Polę i w końcu wyszliśmy na spacer połączony z zakupami. W drodze powrotnej zamierzałam uregulować rachunek wystawiony przez zakład pogrzebowy. Idąc wśród przechodniów, miałam wrażenie, że założyłam jakieś dziwne okulary. Widziałam same pary z dziećmi, tak jakby single i wszystkie samotne matki zapadli się pod ziemię. Z zazdrością wpatrywałam się w mężczyznę niosącego na barana chłopczyka niewiele starszego od Poli. Obok dreptała jego ciężarna żona. Nie uśmiechaj się tak głupio, jakbyś została wdową, wiedziałabyś, jak to jest – wykrzyczałam w myślach, ale zaraz, przerażona, przywołałam się do porządku. Nie życz drugiemu, co tobie niemiłe.

By zająć myśli czymś innym, weszłam do delikatesów i wpadłam wprost na parę rozszczebiotanych staruszków, z dumą pchających przed sobą wózek z wnuczkiem, a może nawet prawnuczkiem. I znów pojawiły się pretensje do losu – Bóg chyba się pomylił. Powinien przecież zabrać do siebie tego dziadka, a nie Marcela. Klucząc pomiędzy półkami, z przyzwyczajenia sięgnęłam po pasztet z kaczych wątróbek, ale zaraz z ciężkim westchnieniem opuściłam rękę. Tylko Marcel go lubił... Zrobiłam podręczne zakupy. Na większe wybiorę się samochodem. W wózku miałam niewiele: kawałek cielęciny, mleko, chleb, jogurt, dwa banany, jajka, trochę jarzyn.

– Polecam konfiturę morelową z płatkami róży – automatycznie zatrajkotała młoda, dobrze mi znana kasjerka. Była zaabsorbowana układaniem drobniaków w przegródkach i dopiero po chwili podniosła na mnie wzrok. Momentalnie z jej twarzy znikł służbowy uśmiech. – Ach, to pani – powiedziała ze współczuciem, lustrując moje czarne ubranie. – Wiemy, zresztą całe miasto wie. Jaka wielka strata, taki młody...

– Dziękuję – ucięłam. Wprawdzie starała się być miła, ale bałam się, że gdy zacznie się użalać, mogę się rozplakać. – Poproszę te konfitury. – Podałam jej kartę kredytową. Na szczęście zrozumiała, że nie mam ochoty ma konwersację, szczególnie że za mną ustawiły się już dwie osoby. Czułam na plecach ich ciekawski wzrok.

– PIN i zielony, proszę. – Wystukałam na podstawionej mi klawiaturze terminala cztery doskonale znane mi cyfry i nacisnęłam „akceptuj”. Dziewczyna, z pochyloną głową, czekała na wydruk. – Chyba się pani pomyliła. Proszę jeszcze raz – powiedziała cicho, podając mi białą karteczkę z dużym czarnym napisem „Transakcja odrzucona” i ponownie podsunęła terminal. Powoli, cyfra po cyfrze,

wstukalałam: siedem, dziewięć, zero i jeszcze raz siedem. – Przykro mi – szepnęła smutno, podając identyczny wydruk. – Próbujemy jeszcze raz?

– Nie, zapłacę gotówką – odparłam. – Ostatnio nie wiem, na jakim świecie żyję. Wszystko wylatuje mi z głowy – tłumaczyłam z udawaną swobodą, ale tak naprawdę zrobiło mi się głupio. Na dodatek Pola, znudzona czekaniem, zaczęła się prężyć, kopać i krzyczeć. Zorientowałam się, że bank nałożył blokadę na kartę. Spojrzałam na kasę z wyświetloną na czerwono kwotą do zapłaty i zrobiło mi się gorąco. Zajrzałam do przegródek portfela, potem do kieszeni. Kolejka za mną robiła się coraz dłuższa. Wszyscy wpatrywali się w nas jak zahipnotyzowani.

– Z czegoś muszę zrezygnować – powiedziałam cicho, przysięgając sobie w duchu, że już nigdy nie wejdę do tego sklepu.

Błyskawicznie omiotłam wzrokiem zakupy. Wszystko było potrzebne poza konfiturami. Wyciągnęłam je i odłożyłam. Do torby przewieszanej przez ramię wrzuciłam prostokątny, pomalowany na złoto kawałek plastiku z wytłoczonym napisem „Visa Gold”. Dotychczas dawał mi praktycznie nieograniczoną swobodę finansową i budził zawiść wszystkich ekspedientek. Delektowały się nim przez krótką chwilę, gdy wkładały go do terminala, a on absolutnie za każdym razem wypływał białą karteczkę „Transakcja zaakceptowana”. Wiedziałam, że teraz stał się całkowicie bezużyteczny. Nie było sensu, żebym szła zapłacić nim za usługi zakładu pogrzebowego.

Gdy w pośpiechu, z pochyloną głową, opuszczałam sklep, postanowiłam, że muszę zbudzić się z letargu i zadbać o interesy mojej zdekompletowanej rodziny. Czas na nowo zmierzyć się z życiem.

Po południu zrobiłam delikatny makijaż, wyszczotkowałam i spięłam włosy, a później zawiozłam Polę do Juli, która jak zwykle chętnie zgodziła się nią zaopiekować. Już w przedpokoju zarekwirowała małą i zaczęła ją obcałowywać. Położyłam w kącie torbę z wałówką, pampersami i zapasowymi śpiochami i zerkając na przyjaciółkę, postanowiłam powiedzieć jej o ciąży. Serce mi się krajało i najchętniej przemilczałabym sprawę, ale Jula nie zasłużyła na takie traktowanie. Od zawsze pierwsza dowiadywała się o każdym moim smutku i każdej radości. O ironio, pomyślałam, nawet o śmierci Marcela wiedziała wcześniej niż ja. Westchnęłam ciężko, bo wiedziałam, że tego miesiąca, pomimo heroicznego wysiłków i wspomagania się terapią hormonalną, jej znów się nie udało.

– Dzięki, że zgodziłaś się z nią pobyc – zagaiłam. – Mam trochę spraw do załatwienia.

– Nie ma problemu – odpowiedziała z uśmiechem. – Może tu zostać, na ile tylko chcesz. Jestem w stanie nawet z dnia na dzień załatwić sobie urlop, gdybyś...

– Jestem w ciąży – przerwałam jej.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. Nie była pewna, czy to nie jeden z naszych głupich żartów, ale chyba w mig zrozumiała, że to ani chwila, ani okoliczności, ani temat do dowcipkowania, bo spoważniała. Stałyśmy naprzeciwko siebie jak sparaliżowane, słychać było tylko brzęk grzechotki, którą potrząsała niczego nieświadoma Pola. Julia zmarszczyła czoło, a ja niemal słyszałam, jak trybiki w jej mózgu pracują na najwyższych obrotach. A potem niespodziewanie, jakby za sprawą magicznej różdżki, pojaśniała. Podeszła do mnie, wyraźnie poruszona.

– To wspaniale! Tak bardzo się cieszę, że ci się udało. Powstaje nowe życie, cud, którego sama na sobie możesz doświadczyć. Już moja w tym głowa, żeby dzidzius był zdrowy. Będę najszczęśliwsza, jeśli pozwolisz mi poprowadzić tę ciążę.

Ulżyło mi. Obawiałam się zazdrości, może nawet wybuchu płaczu, a tu – totalne zaskoczenie. Julia objęła mnie mocno wolną ręką i uściskała.

– A co z Polą? Powiedz, co teraz z nią zrobisz? – dopytywała podekscytowana.

– Jak to co? – Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem. – No... zostanie u ciebie, a ja muszę skoczyć do banku, i nie tylko zresztą...

– Tak, tak, kochanie, pozalatawaj sobie wszystko bez pośpiechu. I nie martw się o maleńką, sama wiesz, że my się doskonale rozumiemy. Prawda, skarbieńku? – Połaskotała małą w brzuszek. – A teraz daj buziaka!

Jadąc do banku, miałam w głowie gotowy plan. Po pierwsze, podejmę środki ze złożonej przez Marcela dyspozycji na wypadek śmierci, wprowadzie ta kwota jest ograniczona do dwudziestokrotności przeciętnego wynagrodzenia, ale po zsumowaniu zasiłku pogrzebowego z ZUS-u wystarczy na zapłacenie za organizację pochówku i stypę. Potem pojedę do kancelarii adwokackiej przy Moniuszki, wprowadzie są piekielnie drodzy, ale słyną z błyskawicznego i skutecznego działania. Dam im pełnomocnictwo do załatwienia spraw spadkowych, bo nie mam do tego głowy.

Zaparkowałam tuż pod tabliczką „Tylko dla VIP-ów”; prawie pusty parking gabarytami przypominał zajezdnię autobusową. Inni klienci krążyli wokół głównego zatłoczonego parkingu, zawzięcie walcząc o kawałek wolnego miejsca. Moja stara, wysłużona honda, z niewielkim wgnieceniem na prawych drzwiczkach, wyglądała jak uboga krewna w towarzystwie błyszczącego czarnego porsche cayenne i białego astona martina z przyciemnionymi szybami.

Skierowałam się wprost do wejścia – tego dla elity, którym kiedyś wchodziłam tu z Marcelem. Ochroniarz, z gęstymi siwymi włosami i kwadratową

twarzą, uśmiechając się drwiąco, śledził każdy mój ruch. Gdy podeszłam, zwałistą sylwetką zagroził drzwi.

– Sorry – rzucił protekcjonalnie, wskazując mi szyld. – Trzeba było chodzić do szkoły i nauczyć się czytać. Proszę zaprowadzić swoje auto gdzieś tam. – Niedbale machnął w kierunku pełnego po brzegi głównego parkingu.

Nie wiedziałam, czy wybuchnąć śmiechem, czy wyzwać go od popaprańców. Darowałam sobie jednak i tylko popatrzyłam na niego z litością.

– Myli się pan. To ja chodziłam do szkoły, a pan trwonił czas na oglądanie głupich seriali o agentach FBI i CIA – tłumaczyłam mu oschle. Słuchał z rozdziawionymi ustami, zionąc oddechem po cukierkach mentolowych. – Jest mi niezmiernie przykro, że nie dostał pan posady policjanta i musi stać tu w tym mundurku. Rozumiem, że jest pan sfrustrowany, ale z tym to już proszę do psychologa, a nie do mnie. Jestem... – głos uwiązł mi w gardle – ...wdową po Marcelu Tuszyńskim.

Zbladł. Natychmiast mnie przeprosił, z zakłopotaniem drapiąc się w głowę, a potem poprowadził mnie do małego holu z sofą i dwoma fotelami. Wskazał stolik z ekspresem do kawy i herbaty, słonymi paluszkami, minicukierkami i zaproponował, żebym się poczęstowała, czekając na obsługę. Kolejna doskonale mi znana bankowa sztuczka. Mamią VIP-ów poczuciem wyjątkowości, serwując ucztę za grosze. Żenada, biorąc pod uwagę furę pieniędzy, którymi dzięki nim obracają.

Po kilku minutach zjawił się facet w szarym garniturze z identyfikatorem „Zastępca dyrektora oddziału”. Na moje oko daleko mu było do wieku średniego. Ot, kolejny młokos wciągnięty w światek finansjery i myślący, że uda mu się go zawojować. Jak dobrze, że ja mam to już za sobą.

– Jest nam niewymownie przykro. Wszyscy byliśmy w szoku... – Potrząsał moją dłońią, a ja marzyłam o tym, żeby wreszcie przeszedł do rzeczy. – Przyznam szczerze, że z niecierpliwością czekaliśmy na pani wizytę. Rozumiemy, że jest pani przytłoczona emocjami i jest pani ciężko, ale jesteśmy gotowi udzielić pani pomocy tak sprawnie, jak to możliwe. Zapraszam do mojego gabinetu.

Usiedliśmy w szerokich fotelach z czarnej ekoskóry. On naprzeciwko mnie – z laptopem. Gdzieś musiał mieć ukryty odświeżacz powietrza, bo zajeżdżało środkiem do czyszczenia toalet, choć z założenia chyba miało to być soczyste zielone jabłuszko. Bałam się, że zaraz zwymiotuję, ale zmusiłam się do koncentracji.

– Podjęła pani mądrą decyzję, wybierając współpracę z nami. – Nieprofesjonalnie zatarł ręce i pochylił się w moją stronę.

– Niekoniecznie – stwierdziłam zagadkowo. Znałam te sztuczki, wiedziałam, że gdybym przyjęła jego postawę ciała, istniałoby prawdopodobieństwo, że dam się złapać w zastawioną na mnie pułapkę. Dlatego

założyłam nogę na nogę, wysyłając mu pozawerbalny sygnał: „Nie bądź taki cwany, to ja jestem główną rozgrywającą w tej grze. Samodzielnie rozporządzę pieniędzmi, na które mój mąż tak ciężko harował”.

– Mam nadzieję, że pani z nami zostanie i będziemy się regularnie widywać. Zobowiązuję się osobiście podsuwać pani najkorzystniejsze rozwiązania inwestycyjne – zapewniał gorliwie. – A tak z ciekawości zapytam, kiedy wpłyną pieniądze z Rosji?

– Co proszę? Mają wpłynąć jeszcze jakieś pieniądze? – Zmieniłam nogę, zauważając, że mam nieco spuchnięte kostki.

– Tak. Nie wiem, na ile orientuje się pani w finansach i interesach męża... – Wymownie zawiesił wzrok na mojej głowie, jakby oceniał mnie przez pryzmat koloru włosów.

– Zaspokoję pana ciekawość. Kolor jest naturalny. A w kluczowych sprawach firmy męża jestem obeznana – odpowiedziałam, jawnie naciągając prawdę. Wstydziłam się przyznać, że przez te wszystkie miesiące małżeństwa Marcel mnie do nich nie dopuszczał.

– A więc zapewne doskonale pani wie, że pani zmarły mąż był uzależniony od potężnych dawek adrenaliny w postaci stawiania wszystkiego na jedną kartę. Jedni preferują spływ kajakiem przez rwącą rzekę, inni wspinaczkę... Nieważne. Jedni i drudzy balansują na granicy życia i śmierci. Kibicowaliśmy mu w tych ryzykownych, jak nam się na początku wydawało – zbyt ryzykownych posunięciach, a pan Marcel zawsze wychodził zwycięsko! – Facetowi iskrzyły oczy, a ja kiwałam głową, dając mu do zrozumienia, że porusza oklepany temat, choć tak naprawdę czułam się totalnie oszołomiona. – To się nazywa niuch do robienia pieniędzy – skwitował. – I tym sposobem pan Marcel pomnażał środki w błyskawicznym tempie. Zawsze mu tego zazdrościłem. Największe sukcesy miał w handlu ze Wschodem, a konkretnie z tą firmą z Petersburga. Zawsze coś kupił dla nich na Zachodzie i sprzedął z ogromnym zyskiem. Ostatnio znowu postawił wszystko na jedną kartę. Siedząc tu, na pani miejscu, mówił, że tym razem robi interes życia. Kupował w południowych Niemczech całe wyposażenie plajtującej fabryki jogurtów. Miał nadzieję utargować więcej, ale ponoć byli twardzi. Dlatego sprzedał samochód. Cieszył się, że za miesiąc będzie jeździł o niebo lepszym. Proponowaliśmy kredycik, ale środków wystarczyło prawie na styk i przelew do Niemiec wyszedł... – tłumaczył, a ja powtarzałam sobie swoją mantrę: spokój, tylko spokój, nie wkręcaj się, bo jeszcze nie wiesz w co. – Na jednym z kont pozostało niecałe dwieście złotych i trochę się niepokoimy, bo przelew z Petersburga jeszcze nie wpłynął... – Spojrzał na mnie czujnie. – Przepraszam, czy pani może wie, co się dzieje?

– Ach, o to chodzi. – Udawałam swobodę, ale mięśnie barku miałam napięte do bólu. Przed oczami miałam przepraszającego mnie Marcela, tuż przed

przyjazdem pogotowia. Już wiedziałam, że poniósł druzgocącą klęskę. Poczułam ucisk w mostku i znów mnie zmuliło, ale musiałam jakoś wybrnąć z tej sytuacji. – Spodziewałam się takiego pytania. Otóż nic strasznego się nie dzieje, przelew wpłynął kilka dni temu – wciskałam mu kit. – Tyle że do innego banku. Mój zmarły mąż dywersyfikował ryzyko bankowe i tym razem wskazał inny rachunek do przelewu za tę transakcję. – Tak naprawdę miałam ochotę zwinąć się w kłębek w tym obszernym fotelu i rozplakać, ale wytrwale kłamałam, żeby zachować twarz, nie tylko moją, lecz też mojego zmarłego męża. Udało mi się. Bankier patrzył na mnie oniemiały, ale z uznaniem. – Niewykluczone – kontynuowałam – że nawiążę z państwem współpracę, ale na dzień dzisiejszy chcę wyzerować salda i poprosić o wyciągi z kont za ostatni rok w formie papierowej. Sprawa spadkowa zajmie trochę czasu, potem zadecyduję, czy ulokuję środki u państwa czy gdzieś indziej. W końcu banków jest całe mnóstwo.

– Prawda – zatarł ręce – ale my jesteśmy najbardziej elastyczni. Proszę nie zwracać uwagi na oficjalne oprocentowania, zawsze się dogadamy...

– Oczywiście. – Nie miałam ochoty słuchać jego wywodów. Nie znam banku, który przy większych kwotach nie dopuszcza negocjacji oprocentowania. – Proszę jednak wybaczyć, muszę sprawę spokojnie przemyśleć. Jestem zbyt wyczerpana wydarzeniami ostatnich dni.

– Tak, rozumiem. Ach, jeszcze jedno – zerknął na monitor – wiem, że to dla pani drobiazg, ale korzystaliście państwo z kart kredytowych. Przepraszam, ale gdy dowiedzieliśmy się o tej tragedii, ze względu na procedury musieliśmy je zablokować. Czy możemy liczyć na spłatę zobowiązań? Niewiele tego... – Kliknął kilka razy myszką. – Zaledwie siedem tysięcy z małą górką.

– Nie ma problemu, oczywiście. Dziękuję za przypomnienie. Zrobię przelew jeszcze w tym tygodniu. – Zdecydowałam, że jak gram, to do końca.

Wychodząc bocznym wejściem dla VIP-ów, żegnana przez wicedyrektora oddziału, starałam się zachować pozory opanowania i dać mu nadzieję, że rozważam możliwość powrotu. Z każdym krokiem nabierałam pewności, że cały harmonogram tego popołudnia rozsypał się w drobny mak, a z niecałymi dwustoma złotymi w portfelu świata nie zawojuję.

Dopiero gdy wsiadłam do auta, pozwoliłam sobie na komfort bycia sobą. Skuliłam ramiona, drżącą ręką ledwo trafiłam do stacyjki. Wyjeżdżałam z parkingu z postanowieniem, że moja noga już tu nie postanie. Poza tym muszę skończyć z rozmemłaniem i zacząć działać. Jesteś przecież specem od podbramkowych sytuacji bankowych, pocieszałam się. Radzisz innym, poradzisz też sobie.

Jadąc do domu, wykonałam dwa telefony. Pierwszy do Juli – z pytaniem, do kiedy Pola może u niej zostać.

– Do skończenia studiów, a nawet dłużej – stwierdziła ze śmiechem.

– Jula, muszę wyjaśnić kilka spraw. Jak jutro pracujesz?

– Mam poradnię dopiero od piętnastej. Ale mogę wziąć urlop, nawet na dłużej...

– Odbiorę Polę około czternastej.

– Dobrze. – W jej głosie usłyszałam rozczarowanie. – Ale proszę, przemyśl to.

– Mam wystarczająco dużo spraw do przemyślenia – odpowiedziałam zdawkowo i poprosiłam, by ucałowała ode mnie małą.

Potem zadzwoniłam do zakładu pogrzebowego. Wprawdzie upoważniłam ich do pobrania zasiłku z ZUS-u, ale jego wysokość nie wystarczyła na pokrycie rachunku i musiałam sporo dopłacić. Wszak nie żałowałam mojemu małżonkowi niczego na jego ostatnią podróż: trumna z litego drewna orzechowego, miejsce nagrobne w centralnej części cmentarza, skrzypaczka, trębacz, a na stypę pięciogwiazdkowa restauracja. Przeprosiłam szefa zakładu, tłumacząc swoją nieobecność chorobą. Wymuszałam kaszlnięcia i siorbałam nosem, choć tego drugiego akurat nie musiałam udawać, bo z upokorzenia łzy ciurkiem płynęły mi z oczu. Solennie obiecałam, że ureguluję wszystko do końca tygodnia.

Gdy weszłam do pustego mieszkania, poczułam się nieswojo. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio byłam tu sama. Pierwsze kroki skierowałam do kuchni. Sama myśl, że mogłabym wypić cokolwiek, co ma jakiś smak, przyprawiała mnie o mdłości, więc nalałam do kubka zwykłej, przegotowanej wody i oparta o szafkę, piłam małymi łydkami. Potem, ociągając się, poszłam do biura Marcela. Wciąż były tam świeże ślady jego bytności, jakby dopiero co wyszedł i zaraz miał wrócić. Na oparciu fotela wisiał sweter z wielbłądziej wełny, na biurku stała filiżanka z niedopitą kawą, na dziurkaczu została przyklejona guma do żucia, a na drukarce piętrzył się plik nietkniętych gazet z datą jego śmierci.

Starając się nie rozpraszać, włączyłam komputer i weszłam na jego pocztę. Zignorowałam nieprzeczytane maile z prośbami o oferty, propozycjami zakupu programów komputerowych i materiałów biurowych i zapuściłam się w całkowicie nieznanym mi terenem mężowskich interesów. O ile zrozumienie korespondencji z niemiecką firmą, od której odkupił wyposażenie fabryki, nie nastroczało mi trudności, przy wiadomościach napisanych cyrylicą zaczęły się schody. Ale jakoś sobie poradziłam. Na zasadzie kopiuj-wklej tłumaczyłam zdanie po zdaniu na stronach translatorskich. Firmę z Petersburga reprezentował niejaki Borys, notabene jej właściciel. Na szczęście na końcu każdego postu była stopka z nazwą firmy i numerami telefonów. W zasadzie tak jak powinno być. Mail Marcela i odpowiedź Borysa, a w nich ustalenia szczegółów technicznych, warunki dostawy, ustalenie płatności przelewem do siedmiu dni od otrzymania towaru i cena po dziesięcioprocentowym upuście, łaskawie udzielonym przez Marcela – cyfra w dolarach i słownie... Zawirowało mi przed oczami. Po chwili, nieco spokojniejsza, przybliżyłam twarz do ekranu, żeby się upewnić. Wszystko się

zgadzało. Z łomoczącym sercem sprawdziłam na wyciągu bankowym, ile zapłacił Niemcom. Kwota wyrażona była w euro. Policzyłam pobieżnie. Tak, facet w banku miał rację. Spektakularny zarobek, podwojona kwota, tyle że na papierze. Z płonącymi z emocji policzkami czytałam dalszą korespondencję: elektronicznie wygenerowany dokument z urzędu celnego, że towar przekroczył granicę Unii Europejskiej, potwierdzenie spedycji międzynarodowej o dostawie towaru, skany potwierdzeń odbioru podpisane przez Borysa, wraz z pieczęciami firmowymi. Perfekcyjna dokumentacja eksportowa. Następnie ciąg dalszy korespondencji z Borysem. Miło, przyjemnie, serdecznie.

Dzisiaj towar doszedł. Jak zwykle, wszystko pierwszy sort. Dziękuję za udaną transakcję.

Borys.

Cóż, staram się usatysfakcjonować mojego najlepszego klienta. Robienie z Tobą interesów to czysta przyjemność.

Marcel

Przyjacielu, jesteś moim najlepszym dostawcą.

Borys.

Pragnę Ci uprzejmie przypomnieć, że zgodnie z ustaleniami dzisiaj mija termin płatności faktury.

Pozdrawiam,

Marcel.

Przyjacielu, śpij spokojnie, terminu dotrzymałem. Za kilka dni będziesz miał kasę na koncie.

Borys.

Czy mógłbyś mi wysłać dla potwierdzenia skan przelewu?

Pozdrawiam,

Marcel.

Bezwzględnie to zrobię, gdy tylko znajdę wolną chwilę.

Borys.

Na tym mailu rosyjski kontrahent zakończył korespondencję. Z kolei liczba wiadomości wysyłanych przez Marcela z dnia na dzień rosła, a ich treść stawała się coraz bardziej alarmująca. Kręciło mi się w głowie.

„Przypominam o skanie przelewu...”

„Dlaczego nie odbierasz telefonu...?”

„Borys, forsy wciąż nie ma na koncie. Może została źle zaksięgowana. Prześlij potwierdzenie. Będę interweniował w swoim banku...”

„Odezwij się, potwierdź chociaż, że żyjesz. Zmieniłeś numer telefonu...?”

I na końcu ostatni mail – wysłany przeze mnie do wszystkich z listy kontaktów: „Z głębokim żalem...”

– Przeczytałeś to, Borys? – szepnęłam, patrząc w ekran nieruchomym wzrokiem. – Może wtedy utwierdziłeś się w przekonaniu, że wraz z jego śmiercią należność stała się niebyłą? Mylisz się. Ta kwota należy do spadku. I znajdę sposób, żeby ją z ciebie wydusić!

Oparłam się i ciężko westchnęłam. Marcel, co ty zrobiłeś? Jak flesze w mojej pamięci rozbłysły wspomnienia, gdy na podstawie zawodowych doświadczeń opowiadałam mu o firmach, które latami ciężkiej pracy i wielkich wyrzeczeń naprawdę nieźle się dorobiły, a potem z dnia na dzień zrujnowało je tak zwane zaufanie, które ja zwykłam nazywać frajerstwem. Wystawili się jak tarcza na strzał, odraczając kontrahentowi płatność. Owszem, mieli pieniądze, ale tylko na papierze, bo gość okazał się pospolitym oszustem. Nie było za co kupić materiałów, zapłacić rachunków za prąd i telefony, zabrakło na pensje, a szefa otoczył korowód komorników, windykatorów i strajkujących pracowników, domagających się wypłat. Tragedia, szczególnie gdy szef miał kredyt, a w zastawie dom, auto, działkę, mieszkanie teściów, dodatkowo żona poręczyła z pensji, matka z emerytury, sąsiad z renty... „Fałszywymi obietnicami można się zadławić”, powtarzałam. „Lepiej jeść małą łyżeczką”. Rzecz jasna istnieje możliwość zasięgnięcia wiedzy o partnerze w zakresie jego wypłacalności, ale tak naprawdę jedynym sposobem, żeby spać spokojnie, jest gotówka przy odbiorze albo przedpłata przed wysyłką towaru. Kontrahent nie ma pieniędzy? Trudno, niech weźmie kredyt albo zrezygnuje z zakupu.

Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie, ostatnio jakiś miesiąc przed śmiercią Marcela. Siedząc w fotelu, przerzucał kanały w telewizji. Rzucił w moją stronę rozkojarzony: „Przestań, Blanka. Trafili w złym czasie na złych ludzi, mieli pecha, bywa. Gdybym ja był takim minimalistą i jadł biznes małymi łyżeczkami,

koczowalibyśmy na chodniku bez dachu nad głową, cierpiąc głód, smród i ubóstwo. A tak żyjemy sobie jak pączki w maśle. Swoją drogą, kiedy usmazysz pączki? Tylko proszę, nie posypuj ich tą kolorową posypką, bo przypomina mi motyle odchody...”

Oplotłam ręce na dziwnie twardym brzuchu i przymknęłam oczy. Co mogę zrobić? Po pierwsze, nie mogę dać się ponieść nerwom, po drugie, muszę spojrzeć na całą sprawę z boku, jakbym oglądała jakiś reportaż w telewizji albo właśnie przeczytała kolejny list z prośbą o udzielenie porady.

Postanowiłam zacząć najprościej. Na stopkach w mailach Borysa były nazwa firmy oraz dwa numery telefonów. Bez większych nadziei sięgnęłam po aparat. Dwa zera, osiem, jeden, dwa, dwa, siedem...

Przyjazny męski głos odebrał po drugim sygnale. Po rosyjsku oczywiście. Zaskoczona, w pierwszym momencie nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Marcel, to proste! Myliłeś numery w stresie czy co?

– Borys? – upewniłam się z zapalem.

Padła odpowiedź w abstrakcyjnym dla mnie języku rosyjskim. Ton głosu w dalszym ciągu był życzliwy. Cholera, zamiast w weekendy tracić czas na Iwona, mogłam się uczyć rosyjskiego. Na szczęście angielski i niemiecki w biznesie mam opanowany do perfekcji. Pracowałam nad tym ciężko. Teraz trafiła się najważniejsza w życiu okazja do przetestowania umiejętności. Spróbowałam. Głos, nie tracąc cierpliwości, nie potrafił, a może nie chciał nawiązać dialogu w innym języku. W tle słyszałam jakieś rozmowy, dzwonił inny telefon, wszystko wskazywało na to, że firma hula. Rozłączyłam się.

– Oj, Borys, już mi cię żal. Mam cię na celowniku – mruknęłam pod nosem.

– A ty, Marcel, dostałeś kopa od życia. Byłeś łatwowierny i wszystko obróciło się przeciwko nam. Blanka nadaje się nie tylko do mieszania zupy w garnku, niuniania Poli i szorowania fug w łazience. Przekonasz się!

Podminowana otworzyłam przeglądarkę, wyszukałam listę tłumaczy rosyjskiego i zaczęłam dzwonić. Potrzebowałam kogoś, kto jest mnie w stanie przyjąć od razu. Udało się za trzecim razem. Kobieta o melodyjnym, ciepłym głosie powiedziała, że jest w trakcie tłumaczenia współczesnej poezji, z którą zawsze ma pod górkę, i przyda jej się jakiś przerywnik.

Wprawdzie tłumaczka miała biuro kilka przecznic dalej, więc mogłam pójść pieszo, ale zdecydowałam się podjechać samochodem, żeby było szybciej. Wyjeżdżając z podziemnego garażu, zauważyłam świecąca się na pomarańczowo kontrolkę rezerwy paliwa. Licznik kilometrów potwierdzał, że lada moment mogę stanąć na drodze, zatamować ruch i najeść się wstydu. Zawsze tankuję auto do pełna, gdy tylko zaświeci się rezerwa, ale ostatnio nie miałam do tego głowy.

Szczęśliwie udało mi się dojechać na najbliższą stację. Odprężyłam się, chwyciłam za wąż dystrybutora i zaczęłam tankować, przyglądając się przeskakującym żwawo cyferkom i czekając, aż same się zatrzymają. W ułamku sekundy głos zdrowego rozsądku uruchomił alarm w mojej głowie i zatrzymałam dopływ benzyny. Wpatrywałam się w kwotę do zapłaty, marząc, by wąż pociągnął część paliwa z powrotem, ale nie było już wyjścia. Podanie kasjerce zablokowanej karty kredytowej byłoby absurdalne, to tak jakbym chciała wyciągnąć z portfela nieistniejące banknoty, licząc na to, że jakimś cudem się zmaterializują. Tak mogą działać tylko politycy, składając deklaracje bez pokrycia. Z ciężkim sercem uściłam należność gotówką, zostając z fortuną w wysokości stu kilku złotych z małym hakiem.

Tatiana Morozowna okazała się przysadzistą starszą kobietą w okularach. Mówiła melodyjnie, ze wschodnim akcentem. Usiadłam naprzeciwko jej biurka. Podziękowałam, gdy zaproponowała herbatę prosto z samowara, i rozejrzałam się po pokoju. Miłe, przytulne biuro, ale nie w moim stylu – pełne łapaczy kurzu w postaci porozwieszanych makatek, haftowanych kolorowymi nićmi, dywanów i zegarów z widokiem Kremla. Na każdej możliwej półce gospodyni eksponowała komplety matrioszek, charakterystyczne drewniane łyżki malowane w kwiaty, błękitne porcelanowe talerze i szkatułki. Biuro nadawałoby się na gabinet wróżki.

Krótko przedstawiłam swoją sytuację. Nie obyło się bez łez, gdy opowiadałam o śmierci Marcela, o jego naiwności i fakturze z odroczonym terminem płatności. Kobieta kiwała głową ze zrozumieniem. Potem podałam jej wydrukowaną stopkę z maila Borysa. Oczywiście nie powiedziałam, o jaką kwotę chodzi, a ona na szczęście nie była wścibska.

– Petersburg... – Uśmiechnęła się i spojrzała tęskno za okno. – Tam mieszkają sami dobrzy ludzie. Piękne miasto, kanały, rzeki, mnóstwo mostów, a przede wszystkim mężczyźni, tacy jak Rasputin. Jemu żadna nie potrafiła odmówić. Tam też dokonał żywota – pomogli mu w tym, a potem wrzucili ciało do Newy. Przez kilka lat przyjaźniłam się z... – Spojrzała na mnie i się ocknęła. Przypuszczam, że moja mina nie skłoniła jej do kontynuowania zwierzeń. I dobrze. – Zresztą nieważne – skwitowała, siadając prosto i przywołując się do porządku. – Przejdźmy do rzeczy.

– Tak – poparłam ją ochoczo. – Przejdźmy do rzeczy.

W swojej komórce wybrała numer telefonu. Chwila, która nastąpiła potem, wydała mi się jedną z najdłuższych w moim życiu. W końcu ktoś po drugiej stronie odebrał. Ulżyło mi, gdy rozpoczął się dialog. Mówiła pięknie, śpiewnie, wręcz kojąco, a dochodzące mnie strzępki głosu rozmówcy brzmiały równie spokojnie i sympatycznie. Próbowałam wyczytać coś z jej miny i raz po raz zadawałam sobie pytanie, co zrobię, jeżeli za usługę zażąda więcej niż sto złotych. Trudno, zawyrokowałam, dam jej obrączkę albo pierścionek z akwamarynem. Mijały

kolejne długie minuty, a ja myślałam o tym, że rozmowy ze Wschodem są koszmarnie drogie. Czy doliczy do rachunku koszt połączenia? Po około dwudziestu minutach i pożegnaniu pełnym śmiechów i uprzejmości wreszcie skończyli. Z wypiekami na twarzy czekałam na werdykt. Pochyliła się i oparła przedramiona na biurku.

– Mam dobre i złe wieści – zaczęła, wbijając we mnie poważne spojrzenie oczu obrysowanych czarną jak sadza kredką. – Pod tymi numerami i tym adresem – postukała w kartkę z wydrukowaną stopką – są hale do wynajęcia pod działalność produkcyjną. Ich właścicielem jest Anton, ten przemiły pan, który od wczoraj odbiera telefony, bo dał w prasie i internecie ogłoszenia o poszukiwaniu nowego najemcy. Borys był poprzednim właścicielem. Jego firma przerabiała odpady tworzyw sztucznych na donice, ale ją zlikwidował i wyprowadził się jakieś trzy tygodnie temu. Od tego czasu do wczoraj biuro stało puste i nikt nie mógł się tam dodzwonić. Borys chce się przebranżowić. Gdzieś w obwodzie iwanowskim rozpoczął budowę hal pod produkcję jogurtów. Pożegnali się w zgodzie, ponoć nawet na wódeczkę poszli. Anton żałuje, że nie poprosił Borysa o numer telefonu, ale zapewnił, że to człowiek honorowy i na pewno w całym ferworze związanym z wyprowadzką zapomniał o płatności za fakturę. Myśli jednak, że zapłaci i jeszcze odsetki dorzuci. Anton obiecał mi, że gdyby Borys zadzwonił, to weźmie namiary i mi je przekaże. Cóż, możemy liczyć na pomyślne zakończenie sprawy. Proszę zostawić mi swój numer telefonu, skontaktuję się z panią, gdy tylko otrzymam jakieś informacje.

– Pani Tatiano, zejdźmy na ziemię – zaproponowałam cierpko. – Nie mogę liczyć na to, że Borys zdmuchnie z zaległej faktury pył zapomnienia i dostaniemy z córeczką to, co nam się należy. Czyli reasumując, możemy szukać wiatru w polu.

– Dlaczego wiatru, i to w dodatku w polu? – zapytała głosem pełnym aluzji. – Anton powiedział – rozejrzała się ukradkiem, jakby się upewniała, że jesteśmy same, a potem ściszyła głos – że w razie czego poleca firmę swojego przyjaciela. Wprawdzie nie pracują za słońca wodę i trzeba wyłożyć część honorarium z góry, ale znajdą wszędzie i każdego. Przetrzęsą każdą piąstkę ziemi, niezależnie od państwa i kontynentu. Jeszcze nie było przypadku, żeby poszukiwany raptownie nie wyleczył się z amnezji i nie uregulował długu co do rubla. No, chyba że ma status tak zwanej świętej pamięci. Wtedy, owszem, zgadzam się, jest to musztarda po obiedzie. Rozumie mnie pani? – zapytała z naciskiem.

Pokiwałam głową. Czułam, jak gorąca strużka potu płynie mi po plecach. Nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie sądziłam, że posunę się do takich metod.

– Ale po wyciągnięciu z niego kasy nie zwiną go w worek i nie wrzucą do bagażnika czarnego bmw z przyciemnionymi szybami? – upewniałam się, nerwowo oblizując usta.

– Mam nadzieję. Jak to mówią, słowo większą ma moc niż pięść, ale jak

trzeba to trzeba – stwierdziła, wzdychając. – Jedno jest pewne: po wszystkim ten pan pokłoni się nisko i przyzna do swojej niefrasobliwości. Chyba że, jak mówiłam, nie ma go już wśród żywych.

– Ile? – zapytałam szeptem. – Ile to kosztuje?

– To już sprawa do ustalenia między wami. Na razie przyjmijmy, że do tego nie dojdzie. – Tatiana spojrzała na zamknięte drzwi oddzielające jej gabinet od miniaturowej poczekalni. Wyraźnie usłyszałyśmy, że ktoś właśnie wszedł. – Proszę napisać mi swój numer. – Podała mi karteczkę wyrwaną z notesu. – Dajmy Borysowi trochę czasu. Może się ocknie z letargu jak syberyjski niedźwiedź ze snu. Pomogłam? – zapytała takim tonem, jakbyśmy przed chwilą nie rozmawiały o metodach działania rosyjskiej mafii.

– Tak, bardzo. Dziękuję.

– Bądźmy w kontakcie. Może Anton zadzwoni z dobrymi wieściami.

– Ile? – Dźwignęłam się z fotela. – Ile się należy?

Chwyciła moją rękę i popatrzyła mi w oczy – jak szamanka, przenikliwie i głęboko, aż przeszedł mnie dreszcz.

– Nic, absolutnie nic. Oczy to zwierciadło duszy. Wiem, że nie masz w tym portfelu majątku i że ciężko ci niebywale. Ktoś traci, inny się bogaci, takie jest życie. Sama wiem, jak to jest być w tarapatkach. Ale ty jesteś silna i nigdy się nie poddajesz. Odwagi, kochanieńka – zakończyła z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem.

Gdy podziękowałam i podeszłam do drzwi, usłyszałam za sobą jeszcze:

– Strzelec?

– Tak. – Odwróciłam się przez ramię, nieco przerażona.

– Wiedziałam. Dasz radę, kochana. Zawsze dajesz.

Prawda boli jak cholera, ale przynajmniej wiem, co jest grane, pocieszałam się, gdy niecałą godzinę później leżałam na sofie w salonie, z nogami opartymi na poduszce. Taka pozycja przyniosła mi natychmiastową ulgę, opuchlizna przy kostkach prawie znikła. Realnie patrząc, szansa na dobrowolne wywiązanie się Borysa ze zobowiązania jest nikła. O takich płatnościach się nie zapomina. W portfelu mam stówkę, na jej cudowne rozmnożenie liczyć nie mogę, a muszę zapłacić rachunki za stypę i usługi zakładu pogrzebowego. Westchnęłam ciężko i po kilku minutach wstałam. Od wylegiwania się i uzalania nad sobą pieniędzy mi nie przybędzie.

Poszłam do kuchni i próbując wmusić w siebie kawałek bułki, popijanej przegotowaną wodą, zerknęłam na dużą kartkę przyklepioną magnesem do drzwi lodówki: „Czwartek, godz. 11.00 – wizyta kontrolna u pediatry”. Boże, to już jutro! A o tej godzinie Pola będzie jeszcze u Juli. Wprawdzie na moje oko mała jest

zdrowa jak rzepa, ale lepiej dmuchać na zimne. Natychmiast chwyciłam za słuchawkę. Chwaląc się w duchu, że zważywszy na okoliczności, i tak jestem całkiem przytomna, wytłumaczyłam jak zawsze przemielej, bardzo pomocnej i cierplivej pani rejestratorce, że musimy przełożyć wizytę.

– Ależ oczywiście – zaszczębiotała słodko. – Pozwoli pani, że zerknę w komputer... Apolonia Tuszyńska... Tak, zgadza się. Och, ale nie możemy przyjąć córeczki... Wyświetla mi się podświetlony na czerwono komunikat, że abonament wygasł, ponieważ bieżąca składka nie została opłacona. To nic wielkiego, każdemu się zdarza – ciągnęła uspokajająco. – Proszę tylko uregulować zaległość i natychmiast uzgodnimy termin. Czy w czymś jeszcze mogę pomóc?

– Nie, dziękuję.

Zakręciło mi się w głowie. Na wszelki wypadek kucnęłam. Zaczęłam masować skronie. Doszłam do wniosku, że nie będę się tym przejmować, w końcu prywatny pakiet usług medycznych to zbytek. W państwowej służbie zdrowia pracują tacy sami pediatrzy. Julia po przyjacielsku poprowadzi mi ciążę. Badania analityczne w dalszym ciągu mogę robić w laboratorium jej rodziców – pomimo że nalegałam, jej mama nigdy nie wzięła ode mnie ani grosza.

Nieco spokojniejsza, wstałam z zamiarem kontynuowania posiłku. Upiłam łyk wody i oderwałam kolejny kawałek bułki. Przerwał mi dźwięk dzwonka u drzwi. Krótko: raz, dwa i cisza. Zjeżyłam się. Kto zacz? Karola zawsze puka, poza nią nikt z sąsiadów mnie nie odwiedza, a o wizycie gościa z zewnątrz informuje ochrona. To dlatego w apartamentach nie ma wizjerów. Ich montowanie nie miałyby sensu.

Niechętnie uchyliłam drzwi. Ujrzałam ładną brunetkę, ubraną w granatowy biznesowy kostiumik. W pierwszej chwili jej nie poznałam, ale gdy się odezwała – charakterystycznym, delikatnym, ale pewnym siebie głosem – olśniło mnie. Manuela Hartop, właścicielka apartamentowca. Jesteś mi teraz potrzebna jak dziwce majtki, pomyślałam, ale nie wypadało zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

– Pozwoli pani, że zajmę chwilę? – zapytała speszona.

– Zapraszam. – Odsunęłam się, robiąc jej przejście. Dopiero teraz zauważyłam, że trzyma gustowny bukiet kremowych róż. Chciałam poprowadzić ją do salonu, ale uparła się, by zostać w przedpokoju.

– Zajmę tylko moment. Wiem, że przeżywa pani trudne chwile... – Wręczyła mi kwiaty. – Wszyscy ubolewamy nad śmiercią pana Marcela. To był szok. Ale na pewno o nim nie zapomnimy i nie wyrzucimy z naszych serc. Jest mi bardzo niezręcznie... – przerwała zażenowana, a ja już zaczęłam wyczuwać, co w trawie piszczy. Rozumiałam ją jednak, musiała dbać o swoje interesy. – Proszę wybaczyć, ale mój księgowy i prawnik naciskają... – Kiwałam głową, zachęcając ją do mówienia. Jeśli chce mnie dobić, niech to zrobi, byle szybko. – Musimy uregulować sprawy najmu – kontynuowała z rumieńcami na twarzy. – Umowę

mamy podpisaną z panem Marcelem. Wraz z jego... – starannie dobierała słowa – ...odejściem, utraciła ona moc. Nie mam zamiaru w żadnym przypadku pani poganiać czy wywierać jakiegokolwiek presji, ale chciałabym zapytać, czy zechce pani podpisać z nami nową umowę? – zapytała, unosząc brwi i patrząc na mnie z nadzieją.

– Nie zastanawiałam się nad tym jeszcze – odparłam zgodnie z prawdą.

– Rozumiem. Ale prawnik i księgowy naprawdę suszą mi głowę. Nie chcę pani poganiać, to takie krępujące, ale kiedy mogę liczyć na odpowiedź?

– Za kilka dni. Może być?

– Ależ oczywiście, nie ma problemu. Pożegnaj się już. – Podała mi rękę. – Przepraszam, że zajęłam pani czas.

Stojąc w drzwiach, odprowadziłam ją wzrokiem.

– Mam jeszcze pytanie – zawołałam za nią. – Czy w razie czego mogę opuścić mieszkanie ostatniego dnia miesiąca?

Odwróciła się i znowu uniosła brwi

– Przykro mi niezmiernie, że bierze pani pod uwagę możliwość wyprowadzki, ale tak, jest taka opcja. Mam kilku chętnych, oczekujących na wolny apartament. Tylko proszę mnie uprzedzić. Ach, jeszcze jedno, byłabym zapomniała – ściszyła głos i zawróciła. – Księgowy pyta, czy może liczyć na uregulowanie zaległości czynszowej? Jest niewielka, bo tylko jednomiesięczna. Dzisiaj mamy dwudziesty pierwszy, a czynsz za bieżący miesiąc jest płatny do dziesiątego.

– Ależ oczywiście – potwierdziłam gorliwie, a przed oczami zamigotały mi cyferki horrendalnego odstępnego.

– Byłam o to spokojna, ale wołałam się upewnić, bo księgowy nie dałby mi żyć. Dla pani to przecież pestka.

– Tak, to pestka – powtórzyłam machinalnie, próbując sobie przypomnieć, gdzie już słyszałam takie określenie. Tak przecież wyraził się agent ubezpieczający Marcela: „Przy tak wysokich sumach ubezpieczenia składki tego rzędu to pestka”. Co on jeszcze mówił? Że żadna wdowa nie narzeka na zbyt wysokie ubezpieczenie po mężu, ale w moim przypadku istniałoby takie prawdopodobieństwo...

– Może pani być spokojna – zapewniłam, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

Gdy tylko weszła do windy, podekscytowana zamknęłam drzwi. Wszystkie negatywne emocje, miotające mną tego dnia, w jednej chwili odpłynęły. Ubezpieczenie! Jak mogłam o nim zapomnieć? Pobiegłam prosto do mężowskiego biura.

– Marcel, kochany... – Rozdygotanymi rękami przeszukiwałam szafki i szuflady. – Jak mogłam w ciebie zwątpić? Jak mogłam zapomnieć o parasolu, który nad nami rozłożyłeś? Przecież nie zostawiłbyś nas bez grosza! – Przerzucałam segregatory, szeleszczące papierki po cukierkach pistacjowych,

teczki, dwie puste puszkę po piwie, foldery z salonu Infiniti, hotelowe saszetki szamponu jednorazowego, pieczątki i ładowarki do starych telefonów... Bezskutecznie. Zaczęłam od początku, powtarzając w myślach pozornie niekonsekwentną, ale życiowo prawdziwą maksymę Oktawiana Augusta: spiesz się powoli. Przesunęłam biurko, sprawdzając, czy coś za nie nie spadło, ale znalazłam tylko spinacze, koperty i łupiny po słoneczniku. Podniosłam nawet dywan. Pusto. Zaczęłam jeszcze raz – systematycznie, szuflada po szufladzie, półka za półką. Bez rezultatu.

Zniechęcona usiadłam przy biurku i przysunęłam do siebie stos nieopisanych papierów. Tracąc nadzieję, przekładałam z jednej sterty na drugą: pożółkłe wydrukowane maile, stare gazety, foldery hoteli, ubiegłoroczny kalendarz ścienny, reklamówki pizzerii, kartki z jakimiś bazgrołami. W końcu pomiędzy folderem a gazetą znalazłam dwie niepozorne teczki z logo Towarzystwa Ubezpieczeń Eskortą Życia. Moje serce wystartowało do galopu, gdy uchyliłam pierwszą obwolutę. Tak! Polisa! Uchyliłam drugą. Również! Marcel, ty bałaganiarzu! Przecież mogłam to wyrzucić do makulatury! Wreszcie odetchnęłam pełną piersią. Mogę sobie tylko pogratulować tak zapobiegliwego męża. Będę miała kasę, a dzięki niej przypomnę Borysowi o poślizgu z płatnością. Nie odpuszczę mu ani grosza! Oczy mi się zaszkliły. Spojrzałam w sufit. Marcel, dziękuję... A jednak byłeś moim aniołem!

Myślałam, że z nadmiaru wrażeń oszaleję, więc dla własnego zdrowia psychicznego i dla zdrowia mojego nienarodzonego dziecka postanowiłam poczekać z jakimkolwiek działaniem, aż ochłonę. Odłożyłam teczki na biurko i zadzwoniłam do Juli. Odebrała zdyszana. W tle słyszałam piszczącą radośnie Polę.

– Wilk cię gonił, że tak sapiesz? – zapytałam bez zbędnych wstępów.

– Ach, Blanka, jest cudownie! Przede wszystkim cieszę się, że brzmisz jak dawniej i sobie żartujesz. A poza tym bawimy się całą trójką w stado. Filip jest już cały zgrzany od tych wygłupów. Nigdy nie sądziłam, że mój mąż potrafi dać dziecku tyle serca! Jesteśmy wprost oszołomieni szczęściem! – relacjonowała rozentuzjasmowana, a ja gdzieś tam w sercu poczułam ukłucie zazdrości. To ja i Marcel powinniśmy teraz tak się śmiać.

– Możesz sprecyzować, na czym polega zabawa w stado? – zapytałam w nadziei, że podzieli się ze mną pomysłem na edukacyjną, twórczą zabawę z moją córką.

– Ach, to Filip wymyślił! Tak na poczekaniu. Po prostu raz jesteśmy stadem psów, biegamy na czworakach, szczekamy i udajemy, że się gryziemy. Innym razem jako stado koni staramy się galopować, rzeć i stawać dęba. Aktualnie jesteśmy gołębiami, więc fruujemy i dziobiemy! Blanka, a co u ciebie? – Julia zmieniła ton na bardziej zatroskany. – Udało ci się wszystko pozałatwiać?

– Połowicznie... – odparłam pokrętnie, choć w pierwszym momencie miałam ochotę się wyżalić, nawet popłakać, wszak to moja najlepsza przyjaciółka. Ale jak miałyby mi pomóc? Pojechałyby szukać Borysa, żeby własnoręcznie wymierzyć sprawiedliwość? Przywiozłyby mi jako trofeum jakąś spreparowaną część jego ciała do powieszenia na ścianie? Poza tym wolałam nie burzyć wyidealizowanego do bólu obrazu mojego męża, który zawsze miała w głowie.

– Nie spiesz się, nikt cię nie pogania – zapewniła. – Chętnie zaopiekujemy się Polą, jak długo pozwolisz. Załatwiasz sobie wszystko spokojnie, bo co nagle, to po diable. – Zdziwiło mnie, że właśnie ona to mówi. Zawsze była w gorącej wodzie kapana. Przykłady można mnożyć. Rano kupuje coś przez internet, a po południu dzwoni do sprzedającego z pretensjami, dlaczego kurier jeszcze nie dotarł. Zbyt krótko trzyma farbę na włosach, bo skręca ją z ciekawości, czy nowy kolor będzie twarzowy, i zamiast rdzawego wychodzi jej pomarańczowy. Nawet mając czas, jeździ po mieście brawurowo, a potem przychodzi ze zdjęciem z fotoradaru i żebrze, by wziąć na siebie choć kilka jej punktów. – Sprawy bankowe masz już za sobą? – zainteresowała się.

– I tak, i nie – znów odpowiedziałam wymijająco.

– Ach, jak cię znam, była bankierko, to na bankowych sprawach bankowo trzymałaś rękę. Lada dzień będziesz miała pieniądze. To dla ciebie dziecinada – podsumowała lekko. – A swoją drogą, oboje z Filipem naprawdę cieszymy się twoją ciążą i faktem, że będziesz miała swoje dziecko, takie absolutnie swoje, które sama urodzisz. Przemyśl wszystko, kochanie – radziła słodko.

Gdy w końcu z tekturowymi teczkami zasiadałam w fotelu, wzięły w łeb wszystkie szkolenia na temat skutecznego zwalczania stresu i kontrolowania emocji. Ręce mi dygotały ze strachu, czy suma ubezpieczenia wystarczy chociaż na zapłacenie czynszu i uregulowanie rachunków za pogrzeb, nie mówiąc już o zapewnieniu mi środków na spokojne przetrwanie ciąży, a potem na poradzenie sobie z dwójką dzieci przez rok albo dwa, aż Pola pójdzie do przedszkola, dzidzia do żłobka, a ja, spokojna o maluchy, znajdę sobie pracę. Czułam się tak, jakby o moim dalszym życiu miał zdecydować rzut monetą. Otworzyłam pierwszą teczkę. Przed oczami zamigotał mi rząd cyferek. Emocje wzięły górę. W pierwszej chwili nie mogłam się doliczyć, więc przybliżyłam kartkę do oczu i przeczytałam kwotę zapisaną słownie: pięć milionów złotych.

Nie, to niemożliwe, uspokajałam się. Ubezpieczyciele najpierw mają korzyściami, a jak przyjdzie do wypłaty, to zaczynają się schody. Spokój, tylko spokój... Sprawdzałam wszystko dokładnie. Firmowy papier, numer polisy, data wystawienia, rozpoczęcie okresu ubezpieczenia, a potem literka po literce czytałam: ubezpieczony – Marcel Tuszyński, drugie imię, data i miejsce urodzenia,

uposażony – Blanka Tuszyńska, nazwisko panięńskie – Borek i pozostałe dane. Wszystko się zgadzało co do joty.

Czułam, jak boleśnie splątane nerwy nieco się rozluźniły. Wytarłam spocone dłonie o bluzę i delikatnie odłożyłam polisę na bok. Jeszcze się nie ciesz, jeszcze za wcześnie, napominałam się.

Następnym dokumentem była broszura „Ogólne warunki ubezpieczenia na życie”, bardzo ładnie wydana na kredowym, połyskującym papierze. Sięgnęłam po nią niecierpliwie, jak po długo oczekiwany światowy bestseller, który wreszcie pojawił się na półce księgarni. Interesowało mnie jedno – w jakich sytuacjach, czyli kiedy i z jakich przyczyn, firma ubezpieczeniowa nie wypłaci świadczenia. Miałam na tym polu doświadczenie, bo w poradach, których udzielałam, trafiłam na kilka spraw frustratów, którzy przy wykupie polisy nie czytali obwarowań, a potem niesłusznie domagali się gruszek na wierzbie.

Z wypiekami na twarzy przewertowałam kilka stron. „Odmawia się wypłaty odszkodowania w razie śmierci na skutek zarażenia wirusem HIV, zaburzeń świadomości spowodowanych środkami narkotycznymi, działań wojennych, uprawiania sportów ekstremalnych typu spadochroniarstwo...” Było tego prawie sześć stron napisanych prawniczym językiem, nieprzystępnym dla przeciętnego zjadacza chleba. Czytałam dokładnie, a im bliżej końca, tym bardziej dawałam na luz. „Czynne uczestniczenie w aktach przemocy lub terroryzmu”, przeczytałam ostatni punkt i wielki kamień spadł mi z serca. Ani jedno ograniczenie nie dotyczyło Marcela! Ubezpieczyciel nie miał się do czego doczepić!

Sięgnęłam po następną teczkę. Była w niej polisa „Start w dorosłość”, zabezpieczająca Polę. Nigdy nie miałam do czynienia z tego typu produktem, więc od razu zaczęłam czytać ogólne warunki ubezpieczenia. Produkt polegał na połączeniu inwestycji z zabezpieczeniem na wypadek śmierci ubezpieczonego, czyli Marcela. Gdyby dożył, Pola po osiągnięciu pełnoletności dostałaby coś w rodzaju posagu, wyprawki w dorosłość w kwocie nieznanej, bo nie wiadomo, jakie będą zyski z inwestycji z wpłacanych kwartalnie składek. W przypadku wcześniejszej śmierci ubezpieczonego osierocone dziecko otrzymuje miesięczną rentę aż do ukończenia studiów, nie dłużej jednak niż do dwudziestego szóstego roku życia, równą dwukrotności aktualnego średniego wynagrodzenia w gospodarce narodowej.

Oparłam głowę o zagłówek fotela i przymknęłam oczy. Uff, niepotrzebnie tak się zamartwiałam. Ta fortuna wystarczy na wszystko: na wynajęcie rosyjskich windykatorów, opłacenie rachunków, budowę domu, wychowanie dzieci... Nagle poczułam, jakby ktoś gładził mnie czule po policzku, a potem, z delikatnością aksamitu, musnął mnie w usta. Wstrzymałam oddech, przyjmując pieszczoty. „Przepraszam, chciałem jak najlepiej”, usłyszałam głos w środku głowy.

– Marcel, wiem. Wyegzekwuję tę kasę od Borysa – zapewniłam szeptem.

Podniosłam rękę, by go dotknąć, ale natrafiłam na pustkę. Półprzytomna rozchyliłam powieki. Nikogo nie było. Czyżby to znów projekcja moich pragnień? Dziwne, ale nie miałam czasu tego roztrząsać. Wstałam, rozprostowałam ścierpnięte nogi, poszłam do kuchni, napiłam się zimnej wody i po chwili ponownie, już pewna swoich racji, zasiadłam w fotelu. Czas upomnieć się o swoje.

Wystukałam na klawiaturze numer infolinii Eskorty Życia. Wkurzający, egzaltowany kobiecy głos nagrany na automacie przywitał mnie po polsku i angielsku i poinformował, że infolinia jest czynna od poniedziałku do piątku, następnie wysłuchałam skocznej muzyczki, kujawiaka chyba, po czym męski głos patetycznie i rozwlekle zaczął przedstawiać możliwości promocyjnego zakupu polis oraz nowe oferty towarzystwa. Później znowu melodyjka, a po niej seria pytań: „Jeżeli chcesz się umówić na niezobowiązujące spotkanie z naszym agentem, wybierz jeden, jeżeli chcesz dokupić polisę, wybierz dwa, jeżeli chcesz...”. Kolejne sekundy mijały. Słuchałam pokornie, wszak skórka warta była wyprawki. „Jeżeli chcesz zgłosić roszczenie, wybierz dziewięć”.

Uff, wreszcie! Byłam pewna, że odezwie się człowiek z krwi i kości, ale znów kaszana. Cholera, jak można być takim złodziejem czasu! – zachodziłam w głowę, ale wysłuchiwałam w skupieniu: „Jeżeli chcesz zgłosić obrażenie ciała, wybierz jeden, jeżeli zgon, wybierz dwa...”. Poirytowana wcisnęłam dwójkę. „Obecnie wszyscy nasi konsultanci są zajęci. Prosimy o cierpliwość”. Kujawiak. „Jesteś siódmy w kolejce oczekujących”. Kujawiak. „Dziękujemy za wyrozumiałość”. Kujawiak. „Jesteś szósty w kolejce...”

Zanosilo się na dobre kilkanaście minut czekania. Przysunęłam bliżej ramkę ze zdjęciem Marcela. Zrobiłam je pod koniec marca. Piliśmy na tarasie popołudniową kawę, korzystając z wyjątkowo ciepłego dnia. Siedział rozparty w rattanowym fotelu i patrzył prosto w obiektyw, dumny i pewny siebie. Dopiero co wygłosił monolog na temat tego, że facet dla kobiety powinien być złotą rybką spełniającą nieskończenie wiele jej życzeń. Uśmiechnęłam się do wspomnień i trzymając lewą ręką aparat przy uchu, prawą czule pogładziłam zimne szkło.

– Marcel, kochany... Mam nadzieję na istnienie życia po śmierci i na nasze ponowne spotkanie. Żartowałam, mówiąc, żebyś odwalił się ode mnie w następnym wcieleniu. Przecież jesteśmy dla siebie stworzeni. Bardzo ci dziękuję, że byłeś taki zapobiegliwy i nie będziemy klepać biedy. Obiecuję, że...

– Dzień dobry – przywitał mnie męski, konkretny głos, z dykcją jak u aktora.

– Z tej strony Blanka Tuszyńska. W związku ze śmiercią męża chciałam zgłosić roszczenie – powiedziałam wyraźnie, pewna swoich racji.

– Tak, oczywiście. Zaznaczam, że w trosce o najwyższą jakość usług nasza rozmowa jest rejestrowana. Nadmieniam ponadto, że ja tylko przyjmuję zgłoszenie, a wypłata sumy ubezpieczenia nastąpi na notarialnie wskazane przez panią konto

w terminie do czternastu dni od dostarczenia do naszego dowolnego oddziału aktu i karty zgonu.

– Nie można tego terminu w jakikolwiek sposób przyspieszyć? Rozumie pan, mam zobowiązania, nawet zaległość czynszową, a w portfelu tylko stówkę – dopytywałam błagalnie.

– Rozumiem. To częste przypadki, ale dwutygodniowy termin jest określony w ogólnych warunkach ubezpieczenia. Ze swojej strony jednak radzę, by wraz ze wspomnianymi dokumentami zaniósł pani do oddziału prośbę, opisując zaistniałą sytuację. To zazwyczaj nieco pomaga. Może nie zrobią przelewu w ten sam dzień, ale kilka dni z tych czternastu zazwyczaj uda się wytargować.

– Dziękuję za odpowiedź.

– Drobiazg. A teraz przystąpmy do formalności. Czy ma pani pod ręką polisę?

– Nawet dwie. W jednej mąż uposażył córkę, a w drugiej mnie.

– Nic, tylko podziwiać dalekowzroczność pani męża. Przykro mówić, ale w dzisiejszych czasach większość myśli, że śmierć dotyczy każdego, ale nie mnie. Ubezpieczamy samochód, mieszkanie, a przecież najcenniejsze jest życie. Nowy samochód można nabyć nawet na raty. A drugie życie można kupić tylko w grze komputerowej. Należy pani do tych, wprowadzie w nieszczęściu, ale szczęśliwców, że mąż kierowany przezornością zadbał o pani finanse. Ale przejdźmy do konkretów. Poproszę o numer pierwszej polisy. Znajdzie go pani w prawym górnym rogu.

– Trzy zera, dziewięć, dwie czwórki, jeden i znowu osiem.

– Imię i nazwisko męża?

– Marcel Tuszyński.

– Uhm. Numer drugiej polisy poproszę.

– Prawie ten sam, jedyna różnica, że na końcu jest dziewięć – mówiłam ochoczo.

– Uhm. Data śmierci małżonka?

Gdy podałam jeszcze kilka niezbędnych danych, kazał mi czekać i włączył kujawiaka.

Wpatrywałam się z czułością w zdjęcie Marcela i kręciłam głową z udawaną dezaprobatą.

– Marcel, ty bałaganiarzu... A gdybym nie wiedziała, że się ubezpieczyłeś, i wyrzuciłabym te szpargały do śmieci? Jak można trzymać tak cenne rzeczy wśród starych gazet i ulotek pizzerii? Jak znam życie, nikt nie latałby za mną, żeby wypłacić taką fortunę. I co by wtedy było ze mną i z Polą?

– Halo, dziękuję za cierpliwość – usłyszałam. – Trochę to trwało.

– Nie szkodzi, rozumiem – skomentowałam wielkodusznie. – Jeśli chodzi o pieniądze, zawsze trzeba dmuchać na zimne.

– Dokładnie tak – potwierdził. – Sprawdziałem kilkakrotnie, konsultowałem z moim menedżerem, nawet dzwoniłem do centrali. Pani zmarły małżonek był w kategorii klientów VIP i ubezpieczył się na naprawdę pokaźną sumę, jedną z najwyższych w historii towarzystwa, w zamian za płacenie bardzo wysokich składek. Mamy jednak problem, bo obie polisy wygasły na sześć dni przed dniem śmierci męża z powodu nieuiszczonych składek bieżących. Gdyby zejście nastąpiło choćby tydzień wcześniej, suma ubezpieczenia zostałaby wypłacona, a córeczka miałaby prawo do comiesięcznej renty. W pani przypadku jednak odpowiedzialność ubezpieczyciela ustała na sześć dni przed śmiercią małżonka. Przykro mi.

– Dobrze, dobrze – przytaknęłam, nie tracąc zimnej krwi. Facet po prostu nie wiedział, z kim ma do czynienia. – Tyle że nie znam przypadku towarzystwa ubezpieczeniowego, które nie dopuszcza zwłoki w terminie płatności składki bez konsekwencji upadłości polisy. Przecież każdy może zapomnieć.

– To prawda. U nas ten termin wynosi trzydzieści dni. Mąż zapłacił trzy miesięczne składki, termin czwartej przypadł na drugiego kwietnia, do tego doliczamy trzydzieści dni, więc polisy upadły. Przykro mi – powtórzył.

– A jeżeli napisałabym prośbę o reaktywację polis? Zapłaciłabym zaległe składki wraz z odsetkami – zaproponowałam z rozpędu, zachowując się jak finansowa analfabetka. Przecież polisa wygasła w majestacie prawa, a ubezpieczyciel musiałby postradać zmysły, by na to przystać. Wypłata świadczenia byłaby równoznaczna ze zrobieniem mi prezentu w postaci bajonńskiej sumy.

– Prośbę oczywiście może pani napisać. Były już takie przypadki. Tyle że zawsze rozpatrujemy je negatywnie. Proszę zrozumieć, towarzystwo to nie instytucja charytatywna. Czy mogę pani w czymś jeszcze pomóc?

Wiedziałam, że nawet jeśli z wyдутym brzuchem i histerycznie wrzeszczącą Polą na rękach przypięłabym się łańcuchami do drzewa pod centralą towarzystwa, poniosłabym klęskę. Co najwyżej Polę zabraliby do pogotowia opiekuńczego, a mnie do zakładu psychiatrycznego. Biznes jest biznes.

– Tak – potwierdziłam, widząc jeszcze cień nadziei. – Mąż przecież mógł przeoczyć płatność, a wówczas towarzystwo powinno wezwać go do zapłaty i ostrzec, że nieuregulowanie zaległej składki w wyznaczonym dodatkowo terminie będzie skutkowało ustaniem odpowiedzialności towarzystwa...

– Zgadza się. Tyle że przy zawieraniu umowy mąż w trosce o środowisko zgodził się na kontakty w formie SMS-ów i takie zostały wysłane. Mogę pani podać daty. Ponadto mam w dokumentacji notatkę agenta, który ubezpieczał pana Tuszyńskiego, datowaną na dwa tygodnie przed śmiercią. Pozwoli pani, że przeczytam: „Klient oświadczył, że nie będzie kontynuował płatności polis z powodu krótkoterminowego problemu z płynnością finansową. Umówiłem się

z nim, że gdy tylko sytuacja się ustabilizuje, ponownie spisujemy wnioski o ubezpieczenie. Zamierza podwyższyć sumy ubezpieczenia w stosunku do poprzednich i płacić wyższe składki. Klient bardzo kontaktowy, zdecydowany, pragnący zapewnić rodzinie komfort psychiczny i poczucie bezpieczeństwa...”

Rozłączyłam się. Świat, w którym żyłam bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem, rozsypał się jak budowla z klocków. Ktoś wyciągnął jeden, najmniejszy, u podstawy, a potem całość runęła.

– Co ja mam dalej robić? Jak żyć? – zapytałam, z impetem odwracając ramkę zdjęciem do blatu. Jeszcze przez ułamek sekundy patrzyły na mnie duże, zielononiebieskie oczy. „Poradzisz sobie, jak zwykle”, usłyszałam. Głowę dałabym sobie uciąć, że to był głos Marcela. Rozejrzałam się, ani ducha...

– Odejdź wreszcie! – rzuciłam ze złością w przestrzeń. – Nawarzyłeś gorzkiego piwa, by mnie nim uraczyć.

Zirytowana sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Juli.

– Jakie wieści? – zapytała głosikiem skowronka obwieszczającego koniec zimy. – Pomyślnie?

– Powiedzmy... – odparłam, choć znów w pierwszej chwili miałam ochotę wylać z siebie wszystkie żale i po prostu się wyrzucić.

– Blanka, zapewniam, że z Polą jesteśmy jak dwie połówki jabłka albo dwie połówki serca. Wiesz, że ani razu nie zapłakała? Byłyśmy na wycieczce za miastem. Podziwiałymy kwitnące krokusy i przebiśniegi, a potem byłyśmy w gościach u mojej mamy. Nakarmiła ją zupą ogórkową, zajadała, aż się jej uszy trzęsły. Mama robi nie za kwaśną...

– Wiem, wiem – przerwałam jej, bo w myślach już opracowywałam grafik na następny dzień. – Julia, czy Pola może zostać u ciebie jutro do wieczora?

– Tak jak mówiłam, może i jutro, i pojutrze, i jeszcze dłużej. Blanka, czy wszystko w porządku? – zapytała z troską.

– Oczywiście.

– Mówisz jakoś bez przekonania.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Jest pani pewna? – Starszy pan wpatrywał się przez specjalne okulary w zawartość przyniesionego przeze mnie pudełka. Zjawiłam się u niego z samego rana, zaraz po otwarciu salonu.

– Nie mam żadnych wątpliwości – odparłam zdecydowanie.

Uniósł okulary i oparł na czole. Lupy odstawały od głowy jak czułki trzmiela. Zlustrował mój czarny strój.

– To prawdziwy rarytas. Doskonale pamiętam tego pana, który raczył do nas wpaść w okresie przedświątecznym z zamiarem kupna prezentu gwiazdkowego dla

żony. Proponowałem pierścioneczek z rubinem, może szafirkiem nawet, ale śmiał się i stwierdził, że coś takiego można dać żonie w podziękę za wyprasowaną koszulę, a on potrzebuje czegoś wyjątkowego. Pokazałem mu właśnie ten komplet, najdroższy w całym sklepie. Niesamowity kunszt, prawda?

– Być może – odparłam obojętnie.

– Proszę spojrzeć, czarne oceaniczne perły, a wokół iskrzące się brylanty! – Znowu się pochylił i urzeczoną wpatrywał w błyskotki. Odwróciłam głowę do okna. Nie chciałam już patrzeć na tę biżuterię, nie chciałam nawet o niej pamiętać, a przede wszystkim najzwyczajniej na świecie potrzebowałam kasy. – Tak, to ten sam komplet. Takiego cacka się nie zapomina. Zresztą podobnie jak takiego klienta. To mąż? Prawda? – Wyprostował się.

– Tak, mąż. Aktualnie o statusie świętej pamięci – potwierdziłam bez emocji. Wzdrygnął się, jakby ktoś na ułamek sekundy potraktował go paralizatorem. – Nie przyniosły mi szczęścia, może przyniosą je komuś innemu. Dlatego pytam, czy chce je pan odkupić?

– Taaak – potwierdził przeciągle. – Prawda, z perłami różnie bywa. – Zadumał się. – Słyszałem, że jeżeli są naturalne, to potrafią cieszyć swoim blaskiem, ale krótko – ściszył głos i rozejrzał się płochliwie – bo wcześniej niż później wystawią rachunek za swoje męczarnie. Te największe, jak w tej kolii, powstały przy największym cierpieniu. Ponoć nic w życiu nie jest za darmo. Sztuczne można nosić bez ryzyka.

– Przejdźmy do rzeczy. Ile?

– Trzydzieści procent ceny zakupu.

– Nie zgadzam się. To lichwiarska propozycja. Mąż doskonale mnie zabezpieczył. Sprzedaż pereł to tylko fanaberia, po prostu nie gustuję w takiej biżuterii. Ale to nieprzyzwoite, żebym oddała je za darmo. – Grałam va banque z miną pokerzysty. Tak naprawdę nie miałam alternatywy. Targowałam się z największym i najbardziej majątnym jubilerem w mieście. Tylko on miał w swojej ofercie takie luksusy. Inni specjalizowali się w małych złotych i srebrnych pierścionkach z syntetycznymi kamieniami.

Sięgnęłam do pudełka na znak, że zamierzam się pakować. Przytrzymał moją rękę.

– Trzydzieści pięć?

– Skandal. – Zrobiłam oburzoną minę. – Sześćdziesiąt procent. To i tak dwukrotność ceny zakupu.

– No bez przesady! – Udawał zbulwersowanego. – Pięćdziesiąt?

– Pięćdziesiąt pięć i ani grosza mniej.

Wystudiowanym gestem frasobliwego podrapał się w głowę. W końcu podał mi rękę.

– Zgoda.

Mam nadzieję, że przy opuszczaniu salonu udało mi się ukryć uśmiech triumfu. Byłam uboższa o pudełko świecełek, a bogatsza o czternaście tysięcy złotych, pieczołowicie ukryte w środkowej przegródce torebki. Przyspieszyłam kroku, bo poczułam zapach płynu do czyszczenia okien, którym ekspedientka spryskiwała przeszkloną ladę. Zemdziło mnie.

Gdy wyszłam na zewnątrz, z przyzwyczajenia rozejrzałam się za swoją hondą, ale zaraz sobie przypomniałam, że przyszłam pieszo. Niby dla zdrowia i w trosce o środowisko, ale tak naprawdę postanowiłam radykalnie oszczędzać. Dobrze, że nie bosy, pocieszałam się, zmierzając do osiedlowego ośrodka zdrowia. Z racji ciąży miałam prawo do bezpłatnej opieki medycznej. Wprawdzie Julia zobowiązała się mną opiekować, ale wołałam mieć w zanadrzu jeszcze jednego ginekologa.

W przychodni zastałam całkiem inny świat niż ten, który znałam z mojej prywatnej poradni. Gigantyczna kolejka do rejestracji poradni ginekologicznej i dziecięcej wiała się do drzwi wejściowych. Panował rozgardiasz, pielęgniarki, wywołując numerki, przekrzykiwały płacz i marudzenie rozgorączkowanych dzieci, których było tyle co na zlocie przedszkolaków. Wzajemnie na siebie kichały i kaszłały.

Stałam potulnie na samym końcu ogonka. Czując skurcze w łydkach, przypatrywałam się dwóm ponurym rejestratorkom. Pierwsza rozmawiała przez telefon, a druga resetowała komputer, który rzekomo się zawiesił. W końcu raczyły wznović zapisy i kolejka ruszyła. Wprawdzie w żółtym tempie, ale jednak.

Gdy w końcu doszłam do okienka, dostałam do wypełnienia kwestionariusze. Stojąc przy kontuarze, wpisywałam dane w odpowiednie rubryki na formularzu Poli: miejsce pracy ojca, miejsce pracy matki. Wpisałam kolejno: nie żyje, bezrobotna. Słyszałam szemranie kobiet stojących za mną, że tamuję ruch jak wóz drabiniasty na autostradzie. Rejestratorka, kobieta z długimi włosami zafarbowanymi na rudo i pokręconymi na wzór sierści cocker-spaniela, sprawdzając deklarację, spojrzała na mnie spod oka z mieszaniną ciekawości i niechęci.

– Proszę jeszcze dopisać numery pesel. – Podała mi z powrotem kartki, a potem wstała, podeszła do koleżanki szperającej w kartotekach i zaczęła udawać, że też czegoś szuka.

– Ej, popatrz na tamtą w czarnym. – Pomimo gwaru łowiłam każde jej słowo. – Widzisz, na co idą nasze podatki? Bezrobotna, dziecko nie skończyło roku, mąż jeszcze ciepły w grobie, a ona znowu z brzuchem. Gorąca wdówka zdążyła już się pocieszyć. Pasożyt na garnuszku państwa.

Już otwierałam usta, żeby jej odszczeknąć, że sama może zostać niepokieszoną wdową, i to szybciej, niż pomyśli, ale dałam sobie spokój. Popatrzyłam tylko na nią z pobłażaniem, kwalifikując ją do zbioru typów

irytująco-niereformowalnych. Uważają się za wszechwiedzących, błyskotliwych ekspertów w każdej dziedzinie życia. Nie da się ich wytepić, podobnie jak karaluchów w bloku na moim dawnym Koszmaru.

Ręka mi zadrżała, ale dopisałam dwie ostatnie cyfry. Wsunęłam formularze w otwór okienka, po czym odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Do banku, w którym jeszcze jako panna ciułałam pieniądze na segment w szeregowcu, miałam jakieś dwadzieścia minut. Rano, gdy wychodziłam, było zimno i wietrznie; teraz jasne słońce było wysoko na bezchmurnym niebie, zapowiadał się ładny dzień. Wprawdzie jestem ciepłolubna, ale w wełnianym golfie i czarnej kurtce miałam wrażenie, że się rozpływam. Przy ostatnich kaprysach aury trudno wstrzelić się z garderobą. Czułam dyskomfort, ale z zaciśniętymi zębami dzielnie maszerowałam, starając się nie dostrzegać kursujących taksówek. Przydałoby się trochę nowych czarnych ubrań, pomyślałam. Przed pogrzebem wyciągnęłam z szafy wszystko, co miałam w tym kolorze. Było tego niewiele i do dzisiaj wciąż zakładałam to samo. Zdecydowałam jednak, że kupowanie ciuchów w mojej sytuacji to zbytek. Jak te się złachmanią, będę chodzić w tym, co mi wpadnie pod rękę, nawet we wściekłych, papuzich kolorach. I nie obchodzi mnie, co ludzie powiedzą. Marcel, jakby co, nie miej pretensji, bo sam mnie w tę pułapkę wpakowałeś, ostrzegłam w myślach. I nie próbuj do mnie przychodzić, by robić mi wymówki.

W sali transakcyjnej stanęłam w kolejce do okienka. Cóż, szary klient swoje musi odstać. Na szczęście nie lokowałam oszczędności w Elitumluxie, więc ujęłam sobie dodatkowego stresu. Na samą myśl o tym, że miałabym tam wejść, poczułam drgawki. Ponadto konkurencja dawała lepsze oprocentowanie. W końcu nadeszła moja kolej.

– Chcę zlikwidować lokatę – powiedziałam, nachylając się do okienka wyciętego w szkłe. Jednocześnie wsunęłam przez szparę poniżej swój dowód osobisty.

Dysponentka ze skwaszoną miną wpatrywała się w monitor. Nagle zrobiła wielkie oczy.

– Ma pani roczną lokatę, której termin kończy się za jedenaście dni. Straci pani wszystkie odsetki, całkiem sporą sumkę. Proszę się wstrzymać – radziła, patrząc na mnie życzliwie. – W dzisiejszych czasach trzeba lepiej szanować każdy grosz.

– To moja ostateczna decyzja – odparłam zdeterminowana. – Są rzeczy ważne i ważniejsze. Część pobiorę gotówką, a część proszę przelać na mój rachunek bieżący.

Idąc potem ulicą, uświadomiłam sobie, że moje latami ciułane oszczędności,

których Marcel nawet nie brał pod uwagę w naszym domowym budżecie, rozejdą się w jeden dzień. Trudno przyszyły, łatwo pójdą, skwitowałam z bólem. Większość moich koleżanek żyła od wypłaty do wypłaty, a często od kredytu do kredytu, albo posiłkowały się pożyczkami od mamusi, zaciągniętymi na wieczne nieoddanie. Kupowały sobie wszystko, co absolutnie *must have*. Nie byłam skąpa, ale ustaliłam pewne zasady – określałam sobie miesięczny limit wydatków i kontrolowałam każdy zakup, gotowałam sama albo stołowałam się w tanich barach, choć teoretycznie mogłam w restauracjach. Nigdy nie wyrzucałam jedzenia, nie kupowałam dziewiętnastego słoika kremu nawilżającego, do pracy robiłam kanapki, wiele rzeczy kupowałam on-line, bo taniej, korzystałam z porównywarek cen, programów lojalnościowych i bonów rabatowych. Jediną moją fanaberią było kupowanie firmowych garniturów, butów do pracy i prezentów świątecznych czy imieninowych. A co będzie potem? Jutro, pojutrze, za tydzień? Poradzisz sobie! – dudniło mi w głowie. Tylko jak – z jednym dzieckiem na rękę, a drugim w brzuchu?

Gdy zziajana otwierałam drzwi zakładu pogrzebowego Szloch, rozległ się automatyczny gong. Szef pochylał się nad katalogami z rzeźbami nagrobnymi. Pomimo z założenia niewesołej atmosfery wstał, wyprostował się i uśmiechnął szeroko. Wiadomo, rachunek znacznie przekraczał kwotę zasiłku pogrzebowego, który odebrał na podstawie mojego upoważnienia z ZUS-u.

– Bał się pan? – zapytałam, wyciągając z torebki plik odliczonych dwustuzłotówek. – Myślał pan pewnie: ot, kolejna wdowa, która poszalała z wydatkami, wyprawiając męża na tamten świat, bo to przecież ostatnie, co może dla niego zrobić. A teraz będzie trzeba zlecić windykatorom wyduszenie z bidulki długu.

– Będę szczery, kamień spadł mi z serca – odparł mężczyzna – bo takie sytuacje są dość częste. Panie zamawiały wykładane aksamitem trumny, dodatkowo ozdobione kryształkami Swarovskiego i wyposażone w telefony z długo trzymającą baterią. Któraś nawet pytała o cenę repliki trumny Michaela Jacksona. Nie wiem, czy się pani orientuje, ale został pochowany w trumnie ze złota. A wdowom często jest ciężko, ledwo wiążą koniec z końcem, potem żałują tych wydatków, ale niestety, zwrotu towaru z wiadomych względów przyjąć nie możemy, więc rozkładam dług na raty. W zasadzie mogę stwierdzić, że nieroztropnością wbijają gwoździe do własnych trumien.

– Proszę przeliczyć. – Położyłam na stole banknoty. – Ja zawsze oddaję długi. Co do grosza.

– Wiem, zasięgnąłem nawet opinii na mieście. Ponoć zmarły małżonek był niezwykle zapobiegliwy i troszczył się o rodzinę. Dla pani to nic – spojrział na zwitek banknotów i bez sprawdzania włożył je do metalowej kasetki – a dla mnie bardzo wiele. Muszę opłacić pensje pracownikom, faktury poddostawcom, podatki,

ZUS-y, rachunki za prąd i tak dalej. Naprawdę trudno przy takiej silnej konkurencji zostać krezusem. No, ale nie będę pani zanudzał! Może kawy albo czegoś zimnego? Wygląda pani na zmęczoną. – Przyjrzał mi się troskliwie. Nie musiał tego mówić, wiedziałam, że wyglądam nieciekawie.

– Ach, wybrałam się na dłuższy spacer po mieście, ale chyba przesadziłam – odparłam lekko. – Zapuściłam się za daleko i teraz żałuję, że jednak nie wzięłam samochodu.

– Z przyjemnością podwiozę panią do domu – zaproponował niespodziewanie. – Proszę nie odmawiać. I tak zamierzałem jechać do księgowej z dokumentami.

– Jeżeli nie sprawi to panu kłopotu, chętnie skorzystam – odparłam dystyngowanie, chociaż z wdzięczności omal nie rzuciłam mu się na szyję. Wiem, że powinnam pomarudzić, upewnić się, że jest mu po drodze, szczególnie że naprzeciwko zakładu stało kilka taksówek, ale ja nie mogłam pozwolić sobie na żaden zbytek. Wprawdzie w torebce i na koncie bieżącym miałam niezłą sumkę, ale miałam też niezłe zobowiązania. A pieniądze mają to do siebie, że topnieją szybciej niż lodowce. Nastąpiła era rygorystycznej dyscypliny finansowej, postanowiłam po raz kolejny.

Z ulgą odwiesiłam płaszcz na wieszak, zdjęłam z siebie żałobną czerń i przebrałam się w zwykły domowy dres. Obchodząc mieszkanie z koszem na bieliznę pod pachą, wrzucałam do niego ślady po Marcelu, również jego zdjęcia w ramkach. Zastanawiałam się chwilę nad tym największym, w formie portretu, przepasanym przez Julę na skos czarną tasiemką. Sugerowała, żebym umieściła je w centralnym punkcie czegoś w rodzaju ołtarzyka, a wokół ustawiła świece i kwiaty.

– Sorry, ale nie będziesz mnie rozpraszał – powiedziałam, wrzucając zdjęcie do kosza. – Pewnie chciałbyś, żebym pod tym ołtarzykiem leżała od rana do nocy, wyła, skręcała się z bólu i darła na sobie ubrania. Tylko kto wtedy pozałatwiałby za mnie sprawy? Wpadłabym jeszcze głębiej w grzędawisko i w życiu z niego nie wyszła! Gdybym cię teraz dorwała, to doszłoby do rękoczynów, więc lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. Życie tu, na ziemi, jest brutalne, a tam, gdzie jesteś, nie płaci się czynszu, rachunków, nie spotyka pazernych ludzi, a ciężarne nie mają mdłości.

Wsunęłam kosz w najdalszy kąt garderoby i nakryłam go pledem. Potem się wyprostowałam i po raz pierwszy od śmierci Marcela poczułam, że odzyskuję nieco wigoru. Zassało mnie nawet w pustym żołądku. Miałam ochotę na pizzę prosto z pieca opalanego drewnem. Taką na cienkim cieście, ze szpinakiem i dużą ilością ciągnącego się sera. Dobry znak, pomyślałam, organizm domaga się żelaza

i kalorii. Chyba nawet dam radę wsunąć dużą. Już sięgałam po telefon, by zadzwonić do sprawdzonego włoskiego lokalu i poprosić o pilną dostawę, ale zaraz się zreflektowałam. Pomimo że na myśl o chrupiącym brzeżku pizzy dostałam ślinotoku, z żalem odłożyłam komórkę. Nie mogłam sobie pozwolić na spełnianie zachcianek, nawet tych wynikających z mojego odmiennego stanu. Cóż, miałam przymusową okazję przetestowania swojej silnej woli. Przypomniały mi się któreś imieniny taty – zastawiony stół i ciężarna Iwona, której nagle przyszła ochota na placki ziemniaczane. Mama pogoniła tatę do kuchni. Robot był zepsuty, więc musiał ręcznie utrzyć kilka kartofli. Usmażył te placki, a kiedy położył parujący talerz przed księżniczką, ta stwierdziła, że pypeć jej przeszedł. Tata był trochę zły, choć próbował to ukryć, a mama tłumaczyła, że zachcianki trzeba spełniać, bo w przeciwnym wypadku myszy zjedzą mu warsztat i rzodkiewkę na działce.

Westchnęłam ciężko i poszłam do kuchni. Odgrzałam resztkę zupy, którą ugotowałam dla Poli, i zjadłam, przegryzając chlebem. Potem z kubkiem słabej neski z mlekiem usiadłam w biurze Marcela, uprzednio bez sentymentów wyrzuciwszy jego kubek z niedopitą kawą.

Uruchomiłam komputer, zalogowałam się na mój osobisty rachunek bankowy i zapłaciłam czynsz. Na szczęście wszystkie media były w niego wliczone. Kiedy potwierdziłam hasłem horrendalną kwotę, o mało się nie rozplakałam. Większa część ciężko zarobionych pieniędzy za sprawą jednego kliknięcia ulotniła się z konta. Słono zabuliłam za afiszowanie się mojego męża, że stać go na najlepszy adres w mieście, konsumpcyjne podejście do życia i infantylną wiarę w wyłącznie pomyślne wiatry.

Następnie napisałam dyplomatycznego maila do właścicielki apartamentowca, starając się nie zszargać reputacji Marcela:

„Szanowna Pani, podjęłam decyzję, że z ostatnim dniem maja opuszczam mieszkanie. Pragnę nadmienić, że doceniam jego komfort i doskonałą lokalizację, ale wiąże się z nim zbyt wiele świeżych, pełnych emocji wspomnień. Każdy kąt przypomina mojego zmarłego męża. Pozostając tutaj, trudno byłoby mi rozpocząć nowy etap w życiu”.

Kliknęłam „wyślij” i zabrałam się do kart kredytowych. W torebce zawsze przechowywałam pokwitowania zakupów opłacanych kartą. Sprawdziłam, czy kwoty zgadzają się z wyciągiem bankowym. Wszystko grało co do grosza. A sprawunki były ot, takie sobie, bez nadmiernych szaleństw: spożywka, środki czystości, pampersy i witaminy.

Potem przejrzałam transakcje Marcela. Nie mogłam ich z niczym porównać, bo nie miał zwyczaju przetrzymywania wydruków z terminali, a nawet weryfikowania poprawności kwoty przed wbiciem kodu PIN. Setki razy zwracałam mu uwagę, że kasjerka przez pomyłkę mogła nabić jedną cyfrę więcej, ale śmiał się, jak to on. „Trzeba mieć zaufanie do ludzi”, powtarzał. Paragony od razu

wyrzucał do kosza albo zostawiał na ladzie, nawet jeżeli chodziło o zakupy podlegające gwarancji. A bez paragonu reklamować się nie da. Tak było, gdy kupiliśmy maszynkę do golenia. Pamiętam, jak głupio mi było wygrzebywać wyrzucony przez niego świstek z kosza. „Przestań, jesteś przeczulona”, uspokajał mnie wtedy. „Producenci to spryciarze i sprzęt psuje się dopiero po upływie gwarancji. Zresztą to tylko trzysta złotych”.

Następny SMS z hasłem, następne klik na „potwierdź” i kolejna kwota zniknęła z konta.

No, ekspertko, pomyślałam, patrząc na podświetlone na pomarańczowo saldo po transakcji. Niecałe trzy tysiące. Jak sobie poradzisz? Jak zamierzasz dalej żyć – bez pracy, pensji, bez zaskórniaków w materacu albo śwince-skarbonce? Czy można nic nie jeść i z dwójką dzieci mieszkać na dworcu?

Westchnęłam ciężko i bez wyrzutów sumienia wykręciłam numer do Funfla, który wraz ze swoją dziewczyną Zulą wciąż rezydował za friko w moim panińskim mieszkaniu. Marcel, cały on, opłacał im czynsz. „Niech się młodzi pocieszą”...

Odebrał od razu.

– Halo? Blanka? Gitowo, że dzwonicz! Ubiegłaś mnie dosłownie o sekundę!
– powitał mnie radośnie. W tle słyszałam głośny hip-hopowy przebój. – Niunia, ścisiz! – zawołał w głąb mieszkania.

– Nazywasz teraz Zulę Niunią? – upewniłam się.

– Nie, Zula to zamknięty rozdział, kumasz? Nastąpiła era Niuni. Przykleiła się do mnie na dysce i tak jakoś zostało. Miałam dzwonić, bo rachuneczków się nzbierało. Prąd, telefon, czynsz zaległy jest. Poza tym niezłą kasę zainwestowaliśmy w tę twoją norkę. Nabyliśmy korek do zlewozmywaka, bo stary gdzieś się zapodział. Pewno Niunia z kapsłem pomyliła i wyrzuciła, ale to nieważne. Żarówka się spaliła w łazience i trzeba było nową kupić. Wyobrażasz sobie? – W jego głosie usłyszałam pretensję. – Akurat gdy z Niunią braliśmy prysznic! Miało być przyjemnie, a tu klops. – Zmienił ton na rozżalony. – I jeszcze jakieś ponaglenia przychodzą. Za Marcela mieliśmy spokój, ale ty chyba nad tym nie panujesz, co? Ogarnij się, dziewczyno, już najwyższy...

Zawrzało we mnie. Myślałam, że po wydarzeniach ostatnich dni już nic mnie w życiu nie zszokuje, a jednak.

– Słuchaj, Funfel – przerwałam mu bezpardonowo – może jeszcze przyjdę i przyłożę cię do piersi? Nie będę owijała w bawełnę. Epoka Marcela minęła bezpowrotnie. Mieszkanie jest moje. Zajmowaliście je całkowicie za friko. Wasze rachunki to wasze sprawy. Nie zapłaciliście za nic ani grosza, a powinniście płacić czynsz i media, nie mówiąc o odstępnym. Powiem krótko, do końca miesiąca macie się wyprowadzić. A z rachunkami wszystko ma być na bieżąco. Zrozumiałeś? – Uderzyłam dłonią w blat biurka, aż mnie zabolęło.

– Blanka, odbiło ci? – usłyszałam po drugiej stronie. – Spoko, wyluzuj, wpadnij do nas, przynieś flachę, obalimy i się dogadamy...

– Do końca miesiąca ty i twoja Niunia macie opuścić moje mieszkanie – warknęłam. – I uregulować wszystkie zaległości.

– Ha, ha, ha! – zaczął się spazmatycznie śmiać. – Aleś ty słitaśna! Niby z czego mamy to zapłacić?

– Pracujesz chyba?

– Rzuciłem, bo Niunia zasiłek ma. Tyle że mało płacą. Trudno wyżyć. Ty nic nie kaman, bo na hajsie śpisz. Nawet moja mama mówiła...

– Nie mam czasu ani ochoty tego słuchać. Trzydziestego pierwszego do dziewiątej masz opuścić moje mieszkanie. I uregulować zadłużenia – powtórzyłam stanowczo.

– Ha, ha, ha, nie wytrzymam! Niunia, daj łyknąć piwa, bo ze śmiechu się zakrztuszę! – rzucił w głąb mieszkania, po czym łaskawie kontynuował: – Wyprowadzimy się z tej nory, bo to syf totalny. Kilka kafelków w kuchni szlag trafił, ściany podrapane, tapety odpadają, z materaca sprężyny wystają, tak że jak się nachylisz, to możesz oko stracić! – Słuchałam, oniemiała z przerażenia. Nie wierzyłam własnym uszom. Takiego scenariusza się nie spodziewałam. Gdy opuszczałam mieszkanie, było czyste i zadbane. – A rachunki, monity i ponaglenia zostawimy ci na kuchennym stole. Są jakby adresowane na ciebie. Blanka Tuszyńska. To ty, no nie? – rzucił z drwiną i się rozłączył.

I bądź tu, człowieku, dobry, pomyślałam. Znowu ponoszę twarde konsekwencje miękkiego serca Marcela. Uszczęśliwił nierobów, może dzięki temu wchodzi sobie lekko po schodach do nieba... Tyle że mi pozostawił przyziemne sprawy. Po niemal roku małżeńskiego letargu spadłam z głośnym hukiem z chmur na ziemię i nie wiem, czy uda mi się wylizać rany.

Nie miałam czasu na dogłębne rozważania, bo zadzwonił telefon, którego spodziewałam się od jakiegoś czasu. Mama. Nie rozmawiałam z nią od dnia pogrzebu. Po stypie, żegnając się ze mną, szeptała z satysfakcją: „Przyjrzyj się bliżej ciotce Józi. Ale jej zmarszczek przybyło, jakby jej pług po twarzy przejechał. I te żyłaki. Paweł ma chyba problemy z oczami, że jeszcze z nią siedzi. Zresztą to nie moja sprawa. Zmykamy, bo czas leci. Chcemy z Iwoną trochę się pobujać po galeriach, żeby dnia całkiem nie zmarnować. A, i jak będziesz regulowała rachunek, to powiedz, że zrazy były zbyt suche, a panierka na kotletach mało chrupka. Tata robi lepsze, tak powiedział Benek”.

Odebrałam od razu. I tak wiedziałam, co usłyszę. Zastanawiałam się tylko nad formą.

– Czy to prawda, że każesz Funflowi się wyprowadzić do końca miesiąca? – zapytała bez słowa wstępu. Bez jakiegokolwiek „cześć”, nie mówiąc już o czymś w rodzaju: „jak sobie radzisz?” albo „jak się czuje moja wnusia?”.

– Tak, mamó – potwierdziłam nadzwyczaj łagodnie, co zaskoczyło mnie samą. Nie zważając na jej ton, poczułam ochotę na zwierzenie się. Niech chociaż ona wie, że jestem w tarapatkach. Przecież mogłaby spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, wymyślić jakieś rozwiązanie albo chociaż pocieszyć. Czułam, że postronki w mojej psychice zaczynają popuszczać, a w kącikach oczu gromadzą się łzy. – Mamó – kontynuowałam głosem bliskim płaczu – to nie jest tak, jak myślisz. Marcel był bardzo ryzykowny w interesach. Wyobraź sobie, że sprzedał do Petersburga...

– Blanka, mnie to nie obchodzi – stwierdziła kategorycznie. – Nie dzwonię, by wspominać twojego męża. Nawet o nim nie myślę i tobie, jako matka, radzę to samo. Interesują mnie żywi. Zmarli to przeszłość. Nie wskrzesisz go.

– Tak, wiem, muszę się zająć własnym życiem, nabrać wiary we własne siły, teraz tak bardzo mi ich potrzeba... Mamó, jestem w ciąży...

– W którym miesiącu? – zapytała rzeczowo.

Ucieszyłam się, że pyta o szczegóły. Jednak serce matki mięknie.

– To dopiero piąty tydzień – odpowiedziałam, wierząc się w fotelu, by przyjąć wygodniejszą pozycję do długich zwierzeń.

– Świetnie! Masz całe mnóstwo możliwości. Zaczekaj, tylko zamknę drzwi do kuchni, tata robi na jutro obiad i nie musi podsłuchiwać, a przecież rady matki są bezcenne. Jeżeli chcesz urodzić, to szybko, ale piorunem, zaciągnij kogoś przyzwoitego do wyrażenia. Teraz wszyscy będą na ciebie lecieć. No i tatuś gotowy. Dzieciak zawsze może się urodzić trochę wcześniej! – Czułam, że wszystkie nadzieje, jakie jeszcze przed sekundą wiązałam z tą rozmową, pękły jak bańka mydlana. Zresztą czego, do cholery, się spodziewałam? – Albo jeszcze lepiej – kontynuowała ożywiona. – Pozbądź się kłopotu, to łatwe jak bułka z masłem. Benek ma kolegę ze studiów i za odpowiednią opłatą załatwi wszystko w mig. Nie marnuj sobie życia. Z Polą, tym pędrakiem Marcela, też coś zrób, najlepiej oddaj do adopcji. I tak nigdy nie zostanie moją wnusią. Niby jesteś wykształcona, ale życiowo durna jak dym z komina. Popatrz na Iwonę, ustawiła się w życiu jak należy.

– Mamó, dzięki za wskazówki, ale nie skorzystam – odparłam oschle. – To moje życie i sama sobie poradzę. I powiem ci jeszcze coś. Gdyby Iwona znalazła się w mojej sytuacji, to nie odstępowalabyś jej na krok, tylko wspierała, pocieszała, przytulała, po główce głaskała i zajmowała się Witusiem. A Polę omijasz szerokim łukiem, jakby była kupą cuchnącego łajna.

– Przecież to nie twoje dziecko, więc logicznie rzecz biorąc, nie moja wnuczka – odparła. – Za życia Marcela jeszcze mogłam ją ścierpieć. Ale teraz? Daj spokój, pozbądź się jej, dobrze ci radzę. Zresztą rób sobie, co chcesz! – fuknęła. – Nie po to dzwonię. Chodzi mi o Funfla. Przecież wiesz, że to syn mojej przyjaciółki, więc okaż serce i pozwól mu tam mieszkać. Co ci zależy? Forsy masz

jak lodu! To jak? Może zostać? – zapytała obłudnie słodko.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Z końcem miesiąca opuszczam apartament i wracam z Polą do mojego mieszkania!

– Wiesz co? Zachodzę w głowę, jak możesz się tak różnić od Iwony. Chyba cię w szpitalu podmienili, bo gadasz jak nie moje dziecko. Czytałam, że od nadmiaru szmalu potrafi odbić. Są nawet tacy, co z milionami na kontach zaczynają wieść życie kloszardów. Chcesz pójść tą ścieżką? Och, jaką pazerną, nieczułą na cudze cierpienia zmię wychowałam! – podsumowała i się rozłączyła.

Nie wiedziałam, że może aż tak zboleć. Broda mi zadrzała, po policzkach popłynęło kilka łez. Siorbnęłam nosem i czekałam – na telefon od Iwony. To zawsze działało lawinowo. Długo nie musiałam czekać.

– Hej, Blanka! Czy to prawda, że jesteś w ciąży ? – Iwona była wyraźnie rozemocjonowana.

– Tak. – Nie miałam ochoty wdawać się z nią w dyskusje, a już na pewno wprowadzać w meandry mojej sytuacji finansowej. Nawet jeśli by uwierzyła i wykazała współczucie, nie byłoby szczerze i tak by mi nie pomogła. Z kolei po mieście zaczęłyby krążyć legendy i po pewnym czasie dowiedziałabym się o sobie więcej, niż wiem.

– Ale się narobiło! – ucieszyła się. Wszak zaczyna się ruch w plotkarskim interesie. – Chciałaś czy wpadka?

– Chciałam.

– Nie bądź frajerka i pozbądź się zdublowanych problemów, ale decyduj piorunem, przynajmniej w kwestii ciąży, bo czas leci. Benek już dzwoni do Cześka. Odpalisz mu trochę kasy i sprawa załatwiona. Piąty tydzień to żaden człowiek, tylko zarodek. Da się usunąć jak chwast w ogródku z zielonym groszkiem. Możesz zacząć życie jak w operze mydlanej. Aż ci zazdroścę. Wolna, młoda, z forszą. Tylko pomarzyć...

– Tak, tak. Dzięki za troskę, siostrzyczko. Jakby co, to zadzwonię. Sorry, ale mam jeszcze trochę do pozłatwiania. Miłego wieczoru, pa!

Gwałtownie wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju jak pensjonariusz psychiatryka po izolatce. W pierwszym odruchu z wściekłości miałam ochotę wyć, tupać nogami i rozbijać o ścianę wszystko, co mi wpadnie w ręce. Jak one – wierzące i praktykujące chrześcijanki, jak same zapewniają – mają czelność dawać mi tak plugawe rady? Co niedzielę chodzą do kościoła, przypuszczam, że po to, by nie wyłamywać się z sąsiedzkich standardów, wszem wobec zapewniają, że żyją, jak Bóg przykazał... Ech, szkoda słów. Po kilku minutach do wzburzenia dołączył strach, jak sobie poradzę – bez pracy i pieniędzy, za to ze statusem bogatej wdowy. Poniekąd miały rację, samotne macierzyństwo to najgorsze, co mogło mi się zdarzyć w tej sytuacji, ale teraz nie miałam czasu tego roztrząsać. Zbliżała się godzina odbioru Poli.

Gdy wyjeżdżałam z podziemnego garażu, pan Włodek z dyżurki ruchem dłoni poprosił, bym opuściła szybę. Zdjął okulary, spojrzał na mnie maślanymi oczami i wyszeptał tak konspiracyjnie, jakby zdradzał mi tajemnicę państwową:

– Przypominam, że jestem wolny i jak zawsze do pani dyspozycji.

– Rozkochała mnie w sobie na dobre! – stwierdziła Jula, wzdychając ciężko i z ociąganiem podając mi Polę. Siedziałam na taborecie w kuchni. Wprawdzie nie miałam zamiaru wchodzić, ale przyciągnęła mnie siłą pod pretekstem, że w końcu musimy porozmawiać. Na blacie szafki zauważyłam jeszcze nieumytą sokowirówkę i obierki marchewki. Zadała sobie trud i zrobiła małej świeży sok. Na kuchence stał ronderek, czyli nie odgrzewała zupy w mikrofalówce. Ciągłe napomina mnie, bym jej nie używała, bo mikrofałe są zabójcze dla żywych organizmów i niszczą witaminy. – Jest naprawdę wyjątkowa – kontynuowała, przysuwając drugi taboret i siadając naprzeciwko mnie. – Blanka, nie będę owijała w bawełnę. Muszę powiedzieć swoje, bo dostanę białej gorączki... – Głos jej zadrżał, a napięte mięśnie twarzy miały udawać uśmiech. – Wiesz, jak marzę o dziecku, a buntownicza natura robi mi na przekór. Blanka, pozwól, aby Pola stała się częścią mojego życia. Proszę... – Patrzyła na mnie błagalnie.

– Chcesz ją adoptować? – zapytałam, zmagając się z małą, która wszelkimi siłami próbowała się zsunąć z moich kolan. W zasadzie tylko się upewniłam, bo myśl, że Jula robi sobie taką nadzieję, chodziła mi po głowie już od dłuższego czasu.

– Tak. Blanka, błagam, ty będziesz miała swoje. Znasz mnie i wiesz, że nie będę jej maltretować, wprost przeciwnie, będę najlepszą matką pod słońcem, a Filip najwspanialszym tatą.

– Wiem, Jula, wiem...

– Przyznam, że kruczki prawne mamy już opracowane. Przez wszystko przebrniemy. Sąd weźmie pod uwagę okoliczności, a jest ich przecież trochę. Można to załatwić poprzez adopcję ze wskazaniem. Zrzekniesz się praw do Poli na naszą rzecz, a my w pełni ją przysposobimy. Będziesz mogła się skoncentrować na swoim maluszku i swoim życiu. Błagam, Blanka, zgódź się. Z jednym dzieckiem będzie ci łatwiej, a nas uszczęśliwisz...

Jula zawsze potrafiła suszyć głowę, męczyć, wywierać psychiczną presję, wiercić dziurę w brzuchu – aż urobiła drugą stronę jak plastelinę i dopięła swego. Włączała nawet szlochy, jeżeli uznała je za pomocne. I to od najmłodszych lat. Przypomniało mi się, jak bawiłyśmy się w salon fryzjerski. W ułożonych przez siebie nawzajem fryzurach miałyśmy zejść na plac zabaw, gdzie byli również koledzy. Jula pobiegła ze skargą do mojej mamy. „A Blanka zrobiła ze mnie Babę-Jędzę w późnym okresie starości”, mówiła ze łzami w oczach. „Jak ja się

kolegom pokażę? To grozi staropanieństwem!” Mama dla świętego spokoju zlikwidowała moje dzieło i zrobiła jej lokówką pukle księżniczki. Przyglądałam się temu z dobrotliwym uśmiechem, obiecując sobie, że jeszcze chwila, a odpłacę jej pięknym za nadobne. Mała manipulantka wkraczała na podwórko jak na salę balową, pewna rychłych ochów i achów, a ja w tym momencie wyprzedziłam ją i tak głośno, że słycać mnie było w całej dzielnicy, krzyknęłam: „Uwaga! Ona ma perukę!”. Albo inna sytuacja. Przed Bożym Narodzeniem, kiedy zwyczajowo w szkole był dzień wolny od nauki i uczniowie mogli zagospodarować go twórczymi zajęciami, Jula, która miała wielkie zdolności plastyczne, koniecznie chciała zorganizować konkurs ozdabiania bombek styropianowych, chociaż pozostali w związku ze zbliżającym się karnawałem optowali za kursem samby. „Jak będziesz siedzieć godzinami pochylona w bezruchu z pędzelkiem w ręce, to urośnie ci tyłek i dostaniesz garba! Czas się rozruszać!”, przekonywałam. Jula jednak pobiegła do wychowawczynie i robiąc słodkie oczka, przemawiała: „Wygibasami choinki nie ozdobimy, a własnoręcznie pomalowane bombki staną się obiektem westchnień i pożądania kolejnych pokoleń. Będą przekazywane jak najcenniejszy rodzinny klejnot”. Dopięła swego. Albo jasełka. Chciała być Marią, chociaż jej rude kręcone włosy zdaniem klasy ją dyskwalifikowały. Niestety, przekonała katechetkę, że założy perukę i tym sposobem ominie jedyną przeszkodę, poza tym zaśpiewa tak pięknie i wysoko *Lulajże, Jezuniu*, że prawdopodobnie szyby w kościele popękają, a wierni z innych parafii zzielenieją z zazdrości. Zawsze jeśli coś szło nie po jej myśli, obrażała się na cały świat. Jako jedyna byłam w miarę odporna na jej gierki. Ignorowałam ją, a to jej najbardziej doskwierało.

– Blanka, słyszysz mnie? – zapytała z niepokojem, wrywając mnie ze wspomnień.

Staralam się nie patrzeć w jej błagalne oczy, gdy mówiłam:

– Wiesz przecież, że Pola to największy skarb Marcela. Wariował na jej punkcie. Ja też bardzo się do niej przywiązałam, chociaż z początku było tak ciężko, że chciałam zdezerterować. – Przytuliłam małą mocno, bo dreszcz wspomnień ogarnął moje ciało. – Jak bym mogła ją oddać? To w połowie Marcel. Myślę, że gdzieś tam, w zaświatach, byłby na mnie zły. Wprawdzie darzył cię wielką sympatią, ale dziecko to nie przedmiot. Pola – pocałowałam córeczkę w spocony policzek – to kontynuacja rodu...

– Przestań z tą kontynuacją! – ucięła. – Blanka, dałabym ci za nią wszystko, co mam, całe nasze oszczędności, możemy sprzedać auta, wziąć kredyt, ale wiem, że w twojej sytuacji takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Swoją drogą, wyznam ci, do czego może doprowadzić desperackie pragnienie dziec-ka. Jesienią znalazłam na necie ogłoszenie niejakiej Nikol, studentki, i jej partnera, również studiującego na pierwszym roku. Oboje bez grosza przy duszy, a tu nagle wpadka. Aborcja nie

wchodzi w grę, bo chrześcijanie, a czas mija, to już trzeci miesiąc. Są świadomi, że nie zapewnią dziecku przyszłości, więc decydują się na uszczęśliwienie bezdzietnego małżeństwa. Chodziło o adopcję ze wskazaniem. Najpierw korespondowałam z nimi mailowo, sprawiali wrażenie wiarygodnych, więc zaprosiłam ich do siebie. Zjawili się punktualnie. Przemili, inteligentni, o doskonałej aparycji. Sama należałam na pomoc finansową, by dziewczyna dobrze się odżywiała. Dałam jej trzy tysiące i zadeklarowałam, że dostanie tyle co miesiąc, aż do rozwiązania. Potem też nie będę miała węża w kieszeni. Opowiedzieli, że odwiedzili kilku potencjalnych rodziców, ale my robimy najlepsze wrażenie – zwierzała mi się, a ja miałam ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia. Julia dała się naciągnąć na z daleka cuchnącą naciągaczami sprawę, której finał był do bólu przewidywalny? – Po dwóch tygodniach – kontynuowała zażenowana – zadzwoniłam zapytać, jak tam zdrowko, i zaprosić na badania. Numer był nieaktywny, a na forum aż wrzało od postów innych naciągniętych małżeństw...

– I szukaj wiatru w polu. – Pokiwałam głową.

– Tak. Byłam nawet na uniwersytecie, gdzie, jak zapewniali, studiują biotechnologię, ale tam też ani słychu, ani dychu.

– Zbyt pięknie to wyglądało, żeby było prawdziwe – podsumowałam, przekrzykując popiskującą Polę. Najprawdopodobniej była znudzona przysłuchiwaniami się tej rozmowie.

– Właśnie. Już palicho te pieniądze. To nie majątek, a w twoim przypadku wręcz grosze – stwierdziła, jakby głosiła prawdę oczywistą.

Nie oponowałam, zaczęłam się już przyzwyczajać do wysłuchiwania sądów o moim rzekomym bogactwie. Julia nie miała pojęcia, że groszem nie śmierdzą i po nocach, leżąc z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w suficie, dochodzę do wniosku, że tylko cud może mnie uratować. Pola wierciła się i marudziła. Julia wyciągnęła do niej rękę i mała wydała z siebie okrzyk radości. Ale objęłam ją mocniej i wstałam, dając wyraźny znak, że wizyta skończona.

– Zrób cioci pa, pa, córeczko.

– Blanka, nie musisz odpowiadać dzisiaj – zapewniała mnie Julia, odprowadzając nas do drzwi. – Przemyśl to, weź pod uwagę wszystkie okoliczności. Poza tym jakakolwiek będzie twoja decyzja, wiedz, że nie wpłynie na naszą przyjaźń. I bardzo cię proszę, przyjdź na badania. Mama też zaprasza cię do laboratorium. Zadbamy, byś była zdrowa i urodziła ślicznego bobaska – łączącego geny twoje i Marcela.

– Zrób cioci pa, pa, córeczko – powtórzyłam i skierowałam rozmowę na inną tory: – Wiesz, Julia, wyprowadzam się z apartamentowca i wracam na swoje dawne śmieci. – Nie patrzyłam jej w oczy, udając, że jestem skupiona na poprawianiu Poli szelek w spodenkach.

– Co? Nie wierzę – odparła zaskoczona. – Przemyślałaś to?

– Tak. Nie potrafię mieszkać w apartamencie, gdzie każdy kąt, poduszka i ręcznik pachną Marcellem. To się nie zmienia, pomimo upływu czasu. Czuję to jak policyjny pies tropiący i nie mogę normalnie funkcjonować, a najwyższy czas zacząć układać życie na nowo. Moje mieszkanie jak na razie będzie dobrą bazą – skwitowałam i w końcu odważyłam się spojrzeć jej w oczy.

Udało się. Ze zrozumieniem pokiwała głową.

Gdy usadowiłam Polę w foteliku i zapięłam pasy bezpieczeństwa, zajrzałam do torby z jej rzeczami, którą odebrałam od Juli. Szukałam przywieszki w kształcie kolorowego, poruszającego skrzydłami motyla, a znalazłam dwie pary nowych śpiochów, kilka nieprzemakających książeczek do kąpieli, słoik z mielonym mięsem, drugi – z zupą jarzynową, przezroczyste pudełko pełne nieforemnych, domowych biszkoptów i butelkę świeżego soku marchwiowego.

– Wiem, Jula, że byłabyś wspaniałą mamą – szepnęłam.

Wracając do domu, uświadomiłam sobie, że owszem, Pola jest zaopatrzona w prowiant, ale ja nie mam w lodówce nic do jedzenia. Zatrzymałam się przy najbliższym markecie i poszwendałam wśród regałów, niosąc małą w nosidełku na placach. Wprawdzie cierpiałam z powodu wyszarpywania włosów, ale miałam wolne ręce i sposobność przerzucania produktów w poszukiwaniu tych promocyjnych. Gdy z zakupami w małym koszyku ustawiłam się w kolejce do kasy, stwierdziłam, że niewiele tego: paczka mrożonego szpinaku, pęczek rzodkiewek, pół chleba, dwa jogurty naturalne z datą przydatności do spożycia do jutra, więc przecenione, i kilka plastrów mielonki. Powoli zbliżała się moja kolej. Czulałam się wypluta. Wydarzenia ostatnich dwóch dni mnie dobiły. Obok kasy stała półka z delikatesami. Tak niedawno, bez strachu o to, za co przeżyję kolejne dni, sięgnęłabym po cokolwiek. Teraz mogłam tylko pomarzyć o orzechach makadamia w gorzkiej czekoladzie albo kawałku sękacza, wypiekanego według tradycyjnej receptury.

Tuż przede mną przygaszony młody facet w podniszczonych dżinsach i żółtym T-shircie układał na taśmie dwie skrzynki piwa, keczupy, zafoliowaną dużą paczkę kielbasy, musztardę i bagietki.

– Ale będzie grillowanie – skomentowała ze śmiechem kasjerka.

– Trzeba się jakoś pocieszyć. – Wzruszył ramionami i podał jej kartę płatniczą.

– Zbiera pan nasze znaczki na noże szefa kuchni? Aktualnie mamy promocję...

– Nie – uciał, wciąż z pochmurną miną. Nagle jego twarz pojaśniała nadzieją. – A tasaki? Macie może znaczki na tasaki?

– Niestety.

– Szkoda, przydałby się na moją wredną teściową. Ta cholera doprowadza mnie do szału!

Roześmiałam się, podobnie jak wszyscy wokół. Facet, podbudowany naszą reakcją, od razu się rozchmurzył.

– Właśnie – odezwał się ktoś za mną. – To jest pomysł. Zróbcie taką promocję. Moja też jest upierdliwa jak japoński turysta.

– Ja tam nie narzekam – stwierdziłam, szczerze rozbawiona. – Moja jest w porządku. Ma swoje życie i nie wchodzi z butami w moje.

– Pani to ma szczęście, tylko pozazdrościć!

– Tak. Przynajmniej pod tym względem urodziłam się w czepku – powiedziałam lekko.

Zobaczyłam je z daleka. Stały obok dyżurki i rozmawiały z panem Włodkiem. Obie od stóp do głów na czarno, z zaczesanymi gładko włosami, upiętymi w koczki, wyglądały, jakby właśnie szły na pogrzeb. Z tyłu identyczne jak dwie krople zabarwionej czernią wody, dopiero z przodu ilość zmarszczek jasno wykazywała różnicę wieku. Wyglądały skromnie i nadobnie. Zresztą czemu się dziwić? Przecież dopiero co straciły syna i brata.

Zaparkowałam tuż obok nich.

– Właśnie wspominamy pana Marcela – poinformował mnie pan Włodek przygnębionym głosem. Cała trójka wyglądała, jakby stała nad świeżo wykopanym grobem, do którego opuszczono trumnę. Teściowa i szwagierka, z bolesciwymi minami i załzawionymi oczami, podeszły do mnie i obcałowały ze wszystkich stron. Nie widziałam ich od pogrzebu. Zeszczuplały, wydawały się mniejsze i bardziej kruche. Powitałam je równie serdecznie. Przecież wszystkie przeżywamy trudne dni, musiałyśmy przewartościować nasze życie, każda z nas wiele razy zadawała sobie pytanie: „dlaczego?”, na które nikt nigdy nie znalazł odpowiedzi.

Zaprosiłam je do środka. Z wdzięcznością przyjąłm kartonik z pączkami domowej roboty, ułożyłam je na paterze, zaparzyłam herbatę i ze łzami wzruszenia obserwowałam, jak siadają na dywanie, ściskają, obcałowują i łaskoczą Polę. Pomimo że praktycznie ich nie znała, była zachwycona.

– Mam nadzieję, że będziemy się częściej spotykać – powiedziałam, z ulgą opadając na krzesło. – Szczególnie że następny maluch w drodze. Jestem w ciąży.

Zamarły. Wpatrywały się we mnie rozszerzonymi źrenicami. W końcu wstały i znowu mnie uściślały. Obie nie umiały powstrzymać łez.

– Blanka, kochana – przemawiała czule teściowa – jesteś najwspanialsza pod słońcem, lepszej żony mój syn nie mógł wybrać. Dbaj o siebie, bo blada jesteś, jedz za dwoje. Ach, jak bardzo się cieszę, że rodzina nam się powiększy!

– Ja również – zadeklarowała Milena, ochoczo wpychając się przed matkę. – Masz wielkie serce, bo nie tylko adoptowałaś Polę, ale pokochałaś jak swoją. Złego słowa bym na ciebie nie powiedziała. I przecież pieniądze mi pożyczyłaś! Ale ze mnie gapa! – Wyciągnęła z portfela pięćset złotych i położyła na stole. – Przepraszam, że trwało to całe wieki.

Przypomniałam sobie tamtą sytuację. Wpadła do mnie, niby w odwiedziny, i poprosiła o pożyczkę, bo miała upatrzone ciuchy w butik. Napomknęłam o tym Marcelowi, a on stwierdził, że dla Mileny pożyczka jest równoznaczna z darowizną. A tu proszę, niespodziewanie wykazała się honorem. Patrzyłam na pięć równo ułożonych stówek jak na fortunę, która może zadecydować o moim być albo nie być.

– Oczywiście możesz na nas liczyć. O nic się nie martw – zapewniały jedna przez drugą, głaszcząc mnie po brzuchu. – Będziemy zabierać dzieci na spacer, wakacje, na basen. W końcu wdowom trzeba pomagać. Nawet ksiądz na kazaniu o tym mówił.

Proste kobiety z sercem na dłoni, pomyślałam. Z nimi będzie mi łatwiej poukładać swoje życie na nowo. Niespodziewanie przyszła mi ochota na zwierzenia. Wprawdzie obiecałam sobie, że nigdy i nikomu nie uchylę drzwi do prawdy o katastrofalnych posunięciach Marcela, ale przecież to jego rodzina – matka i siostra. Powinny znać prawdę. Trudno, jak bańka mydlana pryśnie ich przekonanie, że syn i brat był genialny, ale przynajmniej tym sposobem otrzymam wsparcie. Przecież lada dzień, jeżeli szybko nie znajdę pracy, zabraknie mi na chleb. Może udzieli mi pożyczki na nieformalnych windykatów, a jak tylko uda mi się wyciągnąć od Borysa kasę, oddam im z nawiązką. A jeżeli nie, zapracuję i oddam w ratach. Grunt to rodzina. Popatrzyłam na teściową, tulącą wnuczkę na kolanach. Wyglądały słodko – jak z bajkowej ilustracji. Teraz albo nigdy, powiedziałam sobie.

– Jutro zaczynam się pakować, a z końcem miesiąca się stąd wyprowadzam – zagaiłam, dolewając do filiżanek ciepłej herbaty.

– Szybka jesteś. Marcela trzeci tydzień nie ma wśród żywych, a ty już zdążyłaś kupić willę? Przemyślałaś to? Nie przepłaciłaś przypadkiem? – zapytała Milena, patrząc na mnie z ukosa.

– Kto szybko kupuje, ten dwa razy płaci – skwitowała teściowa.

– Nie, nie! – zaprzeczyłam pospiesznie. – Wracam do mojego panińskiego mieszkania. Tutaj jest za wysoki czynsz. – Westchnęłam ciężko. – Myślę, że powinniśmy porozmawiać o finansach.

– Dobrze, że nie szastasz spadkiem – stwierdziła teściowa. – Właśnie o majątku po moim synu przyszyliśmy porozmawiać. Dobrze, że sama zaczęłaś. Niczego od ciebie, dziecko, nie chcemy ponad to, co nam się prawnie należy.

Ręka z filiżanką, którą zbliżałam do ust, zadrżała. Kilka kropli herbaty

spadło na obrus. Spokój, tylko spokój... Muszę się wykazać anielską delikatnością, przecież tu chodzi o zburzenie piedestału, na którym postawiły swojego syna i brata. Nie mają zielonego pojęcia, jak wygląda sytuacja. Muszę się opanować. Położyłam serwetkę na poplamiony obrus i popatrzyłam na nie z powagą. Obie siedziały naprzeciwko mnie. Poczułam się niekomfortowo – jak winny na przesłuchaniu. Brakowało tylko oślepiającego reflektora skierowanego w moją twarz. Zdawałoby się, że to gra nierównych szans, ale ja czarno na białym mogłam udowodnić, jak wygląda moja sytuacja finansowa.

– Muszę wam coś uzmysłowić – podjęłam. – Owszem, Marcel dynamicznie pomnażał kapitał...

– Kochanie – teściowa uśmiechnęła się do mnie słodko i rozsiadła wygodniej, pewna, że wszystko idzie po jej myśli – my to wszystko wiemy.

– Tak, mój braciszek miał smykałkę do nabijania kasy – przytaknęła Milena, cmokając w policzek siedzącą teraz na jej kolanach Polę.

– Owszem, tyle że popełniał też błędy. W interesach był jak pokerzysta. Pewny, że zawsze wyciągnie wysoką kartę, stawiał i przebijał, nie potrafił opanować emocji i grał o coraz wyższe stawki. Niewątpliwie przedsiębiorca musi mieć coś z pokerzysty, ale bez przesady. Nie można ryzykować całego majątku, bezgranicznie wierząc, że kontrahenci zawsze odwzajemnią się grą fair. A Marcel gasił wszystkie ostrzegawcze światełka i nie sprawdziwszy, czy karty nie są znaczone, zrobił rozdanie o najwyższą stawkę. Niestety przegrał. W rezultacie jestem zmuszona do wyprowadzki – kontynuowałam spokojnie i rzeczowo. – Tak naprawdę Marcel nie konsultował ze mną spraw firmy i naszych finansów. Uważał się za najmądrzejszego. Wydawało mu się, że robi interes życia. Za całe oszczędności i pieniądze ze sprzedaży samochodu kupił w Niemczech linię do produkcji jogurtów i sprzedał ją z zyskiem do Petersburga. Tyle że na fakturę z odroczonym terminem płatności. Rozumiecie? Bez jakiegokolwiek zaliczki! Przelew z Rosji nie wpłynął, nabywca wyprowadził się i podobno buduje firmę w obwodzie iwanowskim. Posłuchajcie – pochyliłam się w ich kierunku i ściszyłam głos – jest szansa, żeby wygzekwować ten dług. Tyle że za darmo nikt nie ruszy palcem. – Nie potrafiłam zachować spokoju i zaczęłam pociągać nosem. – Nasze zobowiązania opłacam panińskimi oszczędnościami, które topnieją w błyskawicznym tempie i lada moment pozostanie po nich wspomnienie. Nie wiem, jak przeżyję następny miesiąc, jeżeli natychmiast nie znajdę pracy. A z tym będzie ciężko, w końcu jestem w ciąży. Pola ma wprawdzie prawo do renty rodzinnej po ojcu, ale to są grosze. Nawet kredytu wziąć nie mogę, bo nie mam dochodów. Osiągnęłam całkowite dno i bez wsparcia nie odbiję się od niego. Jedyne, co mam, to panińskie mieszkanie i samochód. Ani jednego, ani drugiego nie mogę sprzedać. Ja i dzieci musimy mieć dach nad głową, a samochód jest niewiele wart, a może być niezbędny, gdy zacznę pracę...

– Nie wytrzymam! – Milena przerwała mi rozeźlona. Gwałtownie wstała i odstawiła Polę na dywan, jakby była torbą z zakupami. – I ty myślisz, że my łykniemy takie głupoty?

– Długo to wymyślałaś? – zawtórowała jej teściowa podniesionym głosem i też wstała.

Oparte dłońmi o blat stołu, nachyliły się do mnie. Wpatrywałam się w ich zwężone, pełne nienawiści oczy i miałam wrażenie, że lada moment przewiercą mi czaszkę. Przypominały dwie śledcze, zastraszające ofiarę i wymuszające złożenie obciążających ją zeznań. Wytrzymałam jednak. Przecież nie kłamałam.

– To nie jest tak, jak myślicie. Mogę wszystko udowodnić. Mam całą korespondencję z Petersburga...

– Nie kłam! – ucięła teściowa. – Podrobiłaś papierki, w banku pracowałaś, to dobrze wiesz, jak mają wyglądać. A teraz komedię odgrywasz! Takimi świstkami możesz sobie, mądralo...

Nagle Pola zaniósła się histerycznym płaczem. Wyciągnęła do mnie rączki. Nie była przyzwyczajona do krzyków. Roztrzęsiona wstałam, podniosłam ją i mocno przycisnęłam do siebie. Cała dygotałam. Taki scenariusz nie był do przewidzenia. Bardziej spodziewałam się zbiorowego płaczu. Swoimi niesłusznymi oskarżeniami rozpały mnie do czerwoności. Świeżą ranę w moim sercu hojnie potraktowały solą. Podjęłam ostatnią próbę pokojowego ułożenia naszych stosunków:

– Mówię prawdę. Przysięgam – zapewniałam przez łzy. Mała wyczuła mój nastrój, płakała, jakby ją obdzierano ze skóry. – Marcel popełnił błąd i zostawił mnie z dziećmi bez grosza przy duszy...

– Łzesz, cwana wywłoko! – krzyczała teściowa, krążąc po pokoju, wściekła jak osa. – Pieniądze ci świat zasłoniły jak bielmo oczy i nie chcesz się dzielić łupem! Jeszcze wielką mamuszkę z siebie robisz! Wzięłaś Marcela tylko dla kasy! Kto przy zdrowych zmysłach pakowałby się w faceta z dzieckiem? Myślisz, że jestem ślepa? Nie widzę tu żadnego jego zdjęcia, nawet nie chcesz na niego patrzeć! Od początku miałaś plan!

– Ty pospolita złodziejko! – huczała Milena, pieniać się ze złości. – Dopomogłaś Marcelowi przenieść się na tamten świat!

O, nie! Miarka się przebrała. Obelgi obelgami, ale oskarżanie mnie o śmierć Marcela było prawdziwą potwarzą.

– Odszczekaj to! – wrzasnęłam, podchodząc do niej na wyciągnięcie ręki.

– Akurat! Może go bezpośrednio nie zabiłaś, ale kazałaś mu od świtu do nocy harować na twoje zachcianki! Ty beżużyteczny pasożycie!

– Wiecie co? – Doszłam do wniosku, że nie mamy szans na kompromis, więc ta awantura jest bezsensowna. Jeżeli jej nie przerwę, to obelgom nie będzie końca, może dojść do rękoczynów, tortur, nawet mordy. Nie, nie zamierzam

wzywać policji do rodzinnej zadymy. Moje racje nigdy do nich nie trafią. Mają zakorzeniony w umysłach wyidealizowany obraz Marcela i błędne przekonanie, że cokolwiek należy się im po jego śmierci. – Wyjdźcie stąd – powiedziałam nad wyraz spokojnie. – Nie jesteście dla mnie partnerkami do rozmowy. Poza tym chcę wam uświadomić, że nawet gdyby na kontach były miliardy i nawet jeżeli zdarzy się cud i uda mi się wyegzekwować te pieniądze z Petersburga, to nie jesteście uprawnione do dziedziczenia. Przykro mi. – Wzruszyłam ramionami.

– Chodź, mamusiu. – Milena, siorbiąc nosem, wzięła matkę pod ramię i skierowały się w stronę wyjścia. Nagle się odwróciła i ekspressem, jak doświadczony złodziej, zgarnęła ze stołu pięć banknotów stużłotowych. – Pójdziemy do adwokata – rzuciła jeszcze. – A potem do sądu. Załatwimy cię!

– Wiesz co? – Teściowa odwróciła się do mnie z zaciętą miną, jeszcze bardziej eksponującą poorane bruzdami czoło, i wycedziła przez zęby: – Prawdę o tobie ludzie z banku mówili przed waszym ślubem. Jesteś największą suką w mieście.

Tragarz zrzucił worek z zabawkami Poli na stertę kartonów i walizek piętrzących się na środku pokoju. Potem wytarł spocone czoło i wyciągnął z kieszeni rachunek. W bagażówce rozmawialiśmy chwilę, miły dwudziestolatek, studiujący weekendowo, na co dzień zatrudniony w firmie przeprowadzkowej za najniższą krajową. Wieczorami udzielał korepetycji, nocami się uczył. Nie miał postury herosa, ale naprawdę się starał. Wszystko przebiegło miło, sprawnie, nie pozwolił mi nieść nawet reklamówki. Przyjechał trochę przed czasem i pomógł mi spakować do kartonów książki. Pomimo że z mebli zabrałam tylko łóżeczko, bo wszystkie pozostałe były na wyposażeniu apartamentu, i tak nazbierało się całkiem sporo kłopotów. Chłopak cierpliwie czekał, aż się wyściskamy z Karolą. Obiecałyśmy sobie częste spotkania, gorąco dziękowałam jej za pomoc, przyjazne sąsiedztwo i wsparcie. Była chyba jedyną osobą, która wyczuwała, że nie jestem najbogatszą wdową w mieście, bo na pożegnanie obdarowała mnie całą torbą wałówki, argumentując, że nie będę miała teraz głowy do gotowania. Do tego dorzuciła wór z ubraniami dla Poli – bo jej dziewczynki już z nich wyrosły – i dwa opakowania witamin dla ciężarnych, ponoć apteczne gratisy. Dziwnym trafem ciuszki były nowe, a ceny na metkach zamazane markerem.

Student stał, wyraźnie skrzępowany. Wiedziałam, że z całej kwoty rachunku do jego kieszeni trafią grosze, i liczy na coś ekstra. Na pewno jego praca jest nieadekwatna do pensji. Spojrzałam na niedbale rozrzucone na kuchennym stole zaległe rachunki i sięgnęłam po portfel świecący pustkami. Niewątpliwie chłopakowi należał się napiwek. Pięćset pięćdziesiąt złotych zaokrągliłam do sześciuset.

– Reszty nie trzeba – powiedziałam serdecznie.

Ucieszył się, a dzięki temu i mi nieco się poprawił humor. Niestety, na krótko.

Z Polą na rękach przeszłam się po mieszkaniu, zachodząc w głowę, jak w niespełna rok można było zrobić z niego taką spelunę. Oczywiście przyczyniło się do tego hojne serce Marcela. Gdybym wzięła jakąś kaucję, teraz byłoby chociaż na malarza i tapeciarza. Smród w łazience o mało nie powalił mnie na kolana, zasłoniłam chusteczką nos, by nie zwymiotować. Na podłodze walało się kilka zużytych podpasek, ubicacja na pewno nie była myta od mojej wyprowadzki i co ciekawe, zniknęły deska sedesowa i kilka kafelków. W pozostałych pomieszczeniach ze ścian tu i ówdzie odpadała tapeta, podeszwy butów przy każdym kroku lepiły się do brudnej podłogi, potykałam się o puste butelki po tanim piwie i jabolach, a kłęby kurzu przelatywały z miejsca na miejsce. Przez upačkane okna nie było widać świata. W większym pokoju wyrwali kontakt, a dywan tak wybrudzili, że można było już tylko zgadywać, w jakim jest kolorze. Spodki, filiżanki i kubki przeznaczyci na popielniczki. Na podłodze w sypialni leżała zmięta pościel, cała w brunatnoczerwonych plamach, jak po rytualnym mordzie. W kuchni zlew zawalili kielichami, kuflami i szklankami, a wszystkie blaty – przypalonymi garami i rondlami. Uchylałam drzwiczki szafek i kolejno wysuwałam szuflady. Pusto. Wszystko, co czyste, zużyli i tak zostawili. Przy okazji przejrzałam rachunki, które zostawili na stole. Czynniki bieżący, zaległy, prąd, woda, gaz... Skalkulowałam pobieżnie: razem prawie dwa tysiące.

– Gdyby tu był twój tata, sponsor tych darmozjadów spod ciemnej gwiazdy, dostałby za swoje – powiedziałam gorzko do Poli. – Mop, szmaty, środki dezynfekujące i zaiwaniałby do skutku.

Podeszłam do sterty kartonów i wysunęłam ten, który opisałam jako środki czystości. Kucnęłam i po dokonaniu przeglądu zawartości stwierdziłam, że to nie to. Potrzebuję czegoś do zadań specjalnych – czyli kilku butelek niedrogiego, pospolitego octu kuchennego. Zabije bakterie, zarazki, pleśń i grzyby, poradzi sobie z osadami, oczyści czajnik i lodówkę. Do tego kilka par rękawic gumowych. No i znowu wydatki.

Wsadziłam Polę do spacerówki i weszłam do windy, która wydała z siebie zatrważający jęk i trzask. Miałam wrażenie, że lada moment się urwie i runiemy w dół albo że utkniemy pomiędzy piętrami, ale jakoś dała radę. Na parterze się rozejrzałam. Wszystko znajome. Ta sama obskurna, odpadająca warstwami lamperia, pomalowana fioletową olejną farbą, te same zdewastowane skrzynki na listy. Cuchnęło uryną, a z nieodkrytych drzwi do piwnicy zalatywało stęchlizną. Na zewnątrz nie było lepiej. Na ławeczce wylegiwała się nieśmiertelna gwiazda osiedla, czyli pan Grzesio. Przysypiał w słońcu. Obok połyskiwały dwie puste butelki po bełcie. Coś, co z założenia miało być pasem zieleni, odcinającym nas od

sąsiednich bloków, chlubiło się wysokimi ostami i pokrzywami oraz jednym uschniętym krzewem berberysu. Pokonywanie nierównych, zapadających się płytek chodnikowych było nie lada sztuką. Skierowałam się w stronę sklepu osiedlowego. Patrzyłam pod nogi, jak w slalomie omijając liczne psie odchody.

Nagle usłyszałam za sobą znajomy, aczkolwiek długo niesłyszany męski głos:

– Dziuba! – Tylko Iwo mnie tak nazywał.

Nie dowierzałam. Odwróciłam się zaintrygowana. Nie widziałam go od pamiętnego spaceru z Polą, kiedy w towarzystwie żony pchał przed sobą wózek. Wtedy potraktował mnie jak powietrze. Pamiętam, że miał przed sobą nie tylko dorobek w postaci dziecka, ale też piwną zdobycz w postaci okalającej brzuch oponki. Teraz po oponce nie było śladu. W ogóle jakoś zmizerniał. Koszula w lamparcie cętki wydymała się na wietrze i wyglądała jak odziedziczona po starszym, a na pewno grubszym bracie. Był blady jak ściana, za to gładko ogolony, z włosami jakby dopiero co wyszedł od fryzjera. Zawiało znaną mi wodą kolońską, świeżą, lekką, jak ciasteczka anyzkowe. To ja wybrałam mu ten zapach.

Wpatrując się w niego, nie czułam nic poza zaciekawieniem. Wiedziałam, że jest zdenerwowany, bo w charakterystyczny sposób przygryzał dolną wargę. Nie wytrzymał mojego pytającego spojrzenia i kucnął przed wózkiem. Do pałąka kolorowymi łańcuszkami był przyczepiony cały arsenał zabawek. Chwycił grzechotkę w kształcie niebieskiego konia, zaczął nią potrząsać i wydawać z siebie jakieś onomatopieczne dźwięki, czym wprowadził Polę w bezbrzeżną radość, a mnie w równie wielkie osłupienie.

– Słodziutka jesteś – podlizywał się. – Co tu jeszcze mamy? Czym się jeszcze z wujkiem pobawisz? Ach, kaczuska, ona robi kwa, kwa...

Co to za cyrk! I to na środku chodnika. Sąsiedzi uwielbiają takie publiczne widowiska. Każdy, kto przechodził, rzucał na nas dziwne spojrzenia. Nawet pan Grzesio przerwał drzemkę i teraz bezceremonialnie nam się przyglądał, drapiąc się w czubek głowy.

– Iwo – zaczęłam – są dwie możliwości: albo chcesz u mnie robić za niańkę, w co wątpię, bo dzięki ożenkowi wywindowałeś się finansowo, albo źle z tobą, bo uwsteczniłeś się w rozwoju o dobre trzydzieści lat. Po starej znajomości i z litości pozwolę, by Pola sprezentowała ci maszynkę do robienia wielkich baniek, pachnących zielonym jabłuszkiem, albo po prostu odczep sobie kilka zabawek, które najbardziej wpadły ci w oko i spadaj na swoje podwórko. No, Iwo, szybciej, nie tarasuj przejścia, bo idę na zakupy – ponaglałam go. – Chcesz konika czy kaczuszkę?

Wstał. Nawet się nie spieszył. Tylko wpatrywał się we mnie jak w bożyszcze tłumów. Potem podszedł tak blisko, że czułam jego oddech. Nagle chwycił mnie w pasie i zbliżył usta do moich. Byłam szybsza. Jednym zdecydowanym ruchem

odepchnęłam go i zrobiłam krok w tył.

– Odwaliło ci?! – zapytałam ze złością.

– Dziuba, tak, odwaliło mi, i to zdrowo, tego dnia, kiedy odszedłem. Ale wybacz mi i zacznijmy wszystko od początku. Tęsknię, jesteś miłością...

– Nie truj – przerwałam mu, bo nie mogłam tego słuchać. Jego słowa ociekały sztucznym miodem. Za dobrze go znałam, wywęszyłam podstęp. – Dostałeś kosza? Żona kazała ci spakować manatki i wiać gdzie pieprz rośnie?

Stał przede mną, potulny jak uczeń złapany przez dyrektora na smarowaniu klamki do gabinetu klejem.

– Kochanie...

– Nie mów do mnie w ten sposób.

– Dziuba, jestem na życiowym zakręcie...

– Czyli mam rację. Dała ci kopa. Ale ogarnij się, chłopcze, mamusia ci pomoże, zresztą przecież masz pracę. Sama ci ją załatwiłam.

– Zwolnili mnie zaraz po naszym rozstaniu. Potem pracowałem u teścia, ale teraz... Dziuba, szaleję za tobą. Na mieście aż o tobie huczy. Wiem, że miewasz babskie fanaberie, ale przegięłaś z tym powrotem na stare śmieci. Masz już upatrzoną jakąś rezydencję z basenem, prawda? – Dostrzegłam błysk w jego oku.

– Być może. – Uśmiechnęłam się zagadkowo. Iwo był ostatnią osobą, której chciałam się zwierzyć. Zresztą po wizycie teściowej utwierdziłam się w przekonaniu, że informacje o bagnie, w którym siedzę po uszy, zachowam tylko i wyłącznie dla siebie. Zaczęłam domyślać się jego planu, jak u większości facetów – nieskomplikowanego: wygodnictwo, luzactwo, bezpieczeństwo, drink lub piwo, kasa, samochody albo motocykle, a to wszystko u boku zaradnej życiowo żony, która na to zaharuje. Na wszelki wypadek chciałam się upewnić: – Iwo, wiesz, że adoptowałam dziecko Marcela i teraz jestem dla Poli matką nawet w sensie prawnym?

– Ależ oczywiście! – zapewnił entuzjastycznie. – Żaden problem. Będę dla niej wujkiem.

– To jeszcze nie wszystko. Zaciążyłam i za siedem miesięcy z górką będę mamą dwójki dzieci. Nie przeszkadza ci to?

Zamarł, ale tylko na moment.

– Ależ ja uwielbiam dzieci! Dzieci nigdy dość. Gdybyś miała siedmioro, byłoby jeszcze lepiej. Dziuba, mogę się do ciebie od razu wprowadzić, cieszymy się sobą. Wynajmiesz baby-sitterkę – rozmarzył się – i niezależni finansowo będziemy wiedli cudowne, bajkowe życie. Przecież jesteś najbogatszą wdową w mieście!

A więc miałam rację. Ten gołodupiec szuka miękkiej kanapy, na której będzie się wylegiwać, oglądać mecze, popijać piwko za piwkiem i od podstaw hodować oponkę, a wszystkie problemy świata oczywiście sceduje na mnie.

– Spadaj, Iwo! – rzuciłam ostro.

– Ale z ciebie żyłeta. – Cmoknął z uznaniem. – Ubóstwiam cię taką niedostępną, jak twierdza Temple, ale wiem, jak cię zdobyć. Mam swoje sposoby. – Zrobił maślane oczy i mrugnął porozumiewawczo. – Stara miłość nie rdzewieje...

– Spadaj stąd – wycodziłam. – Bo jak cię kopnę, staniesz się kolejnym śmieciem w nieskończoność zanieczyszczającym orbitę.

Szczęka mu opadła. Nerwowo przełykał ślinę.

Zrobiłam gwałtowny zwrot w tył i ruszyłam w stronę sklepu. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać. Iwo był facetem, który może się podobać. Przystojny, pewny siebie, inteligentny, dusza towarzystwa, ale z drugiej strony – nieporadny życiowo lekkoduch, jakich pełno. Nauczyłam się na własnych błędach, że takich typów trzeba omijać szerokim łukiem. Chcą być na zawsze szczeniackami zaszywającymi się w legowisku, wtulonymi w matkę i mającymi wszelkie problemy w głębokim poważaniu.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, gdy wodą z octem pucowałam łazienkowe lustro. Spojrzałam w swoje odbicie. Czy to na pewno ja? Wyglądałam jak własna karykatura, twarz opuchnięta, napięte mięśnie, ściągnięte brwi, cera zmiętolona, oczy wylupiaste, jakbym cierpiała na wytrzeszcz. Staralam się uśmiechnąć, ale nie wychodziło. Bo z czego tu się cieszyć? Od prawie czternastu godzin centymetr po centymetrze myłam, odplamiałam, dezynfekowałam, szorowałam chlew po Funflu i jego Niuni. Pola doprowadzała mnie do szału. Niby powinnam ją zrozumieć – była w nieznanym miejscu, a stan mieszkania nie pozwalał mi na wypuszczenie jej na podłogę. Ale biła rekordy w dziedzinie wrzasków. Najpierw posadziłam ją przy stoliczku edukacyjnym i zachęcałam do grania na pianinku. Skupiła uwagę na krótko, bo zaraz był płacz. Wzięłam ją na ręce, uspokoiłam i odstawiłam z powrotem, ale znów zaczął się lament. Sprawdziłam, czy ma sucho, czy nie ma gorączki, czy następny ząb się nie wyrzyna – nic z tych rzeczy. Z wyćwiczoną cierpliwością próbowałam nakarmić ją jogurtem, ale pluła na wszystkie strony. Zgrzaną od spazmów, kołysałam w ramionach. Kiedy zasnęła, położyłam ją w łóżeczku i zabrałam się do kafelków w łazience. Szorowałam zapamiętane, a kiedy usłyszałam jej płacz, zignorowałam go, ale tak się nasilił, że sąsiedzi z prawej zastukali w ścianę. Cisnęłam gąbką i wpadłam z furią do pokoju. Gdy zobaczyłam, jak wariuje, wyrzucając wszystko na zewnątrz łóżeczka, moje ciśnienie sięgało zenitu.

– Już nie mam siły! Czego się drzesz? Uspokój się, mam dość problemów, a ty mnie dobijasz! Jesteśmy tu przez twojego tatę! Bądź cicho, bo zadzwonię do Juli i niech cię zabiera w cholerę!

Zamilkła. Patrzyła na mnie, zszokowana, tymi swoimi zielononiebieskimi

oczami, jakby zrozumiała sens moich słów. Nie wiedziałam, że potrafię się aż tak wydrzeć. Wcale mi nie ulżyło, wręcz przeciwnie, czułam, że płonę ze wstydu. To przecież dziecko, całkowicie ode mnie zależne.

Wzięłam ją na ręce i tuląc mocno, w milczeniu krążyłam po mieszkaniu. Wszystko mnie przytłaczało: śmierć Marcela, brak kasy, brak pracy, konflikt z teściową, ciąża, brak zrozumienia ze strony mamy, powrót na stare śmieci... I wtedy po raz pierwszy pomyślałam o tym, żeby spełnić marzenie Juli. Pola jest moja przecież tylko w sensie prawnym. Dlaczego mam się nad nią litować, skoro jej rodzona matka prysnęła do Szwecji, a ojciec – na tamten świat? Nie obchodzi ich, za co kupię pampersy i marchewkę do zupy. A ja już nie mam siły. Aż nadto wystarczy dziecko, które urodzę. Nie porzuciłabym Poli, tylko oddała w sprawdzone, kochające ręce. Dziwne, ale gdy o tym pomyślałam, mała, jakby czując, co się święci, przywarła do mnie z całych sił.

Z zadumy wyrwało mnie stukanie do drzwi. Wiadomo, w tym bloku nie funkcjonowała dyżurka ochrony. Samozamykacz w drzwiach wejściowych był zazwyczaj zepsuty i na klatkę mógł wejść każdy o każdej porze dnia i nocy – jak na dworzec kolejowy. Nie spojrzałam nawet przez wizjer. Niech się dzieje, co chce. I tak nie mają mnie z czego okraść. Najwyżej mnie zabiją.

– Siemanko, sąsiadko! – usłyszałam, jeszcze zanim ujrzałam w całej krasie sąsiadów z lewej. Prezentując w uśmiechu prawie bezzębne dziąsła, wśliznęli się do środka. Nie widziałam ich od czasu wyprowadzki. Mieli na sobie swoje niemal całodobowe stroje, które doskonale znałam. On – flanelową piżamę w kratkę, ona – przezroczystą koszulę nocną. Ale ząb czasu, alkohol, papierosy i balangi zrobiły swoje, bo twarze w kolorze denaturatu poorane były gęstszą siecią bruzd. Zajechało bełtem.

– Witam. – Odwzajemniłam się grymasem, mającym pozorować uśmiech.

– Ale śliczna mała! – Sąsiadka rozplywała się w zachwycie. – Mogę ją ucałować?

– Może innym razem. – Przytuliłam mocniej Polę, by uchronić ją przed niechybnym atakiem zarazków i wirusów.

– Pępkowe musi być, by nam się mała sąsiadka zdrowo chowała. No nie?

– Jasne, zaczekajcie. – Poszłam do pokoju. Wódki z poprzedniego mieszkania miałam cały arsenał. Marcel zawsze przywoził jakieś butelki z zagranicznych wojaży, znajomi też coś przynosili, a my nie nadążaliśmy z piciem. Wybrałam litrowego Johnniego Walkera. Na widok butelki twarze im pojaśniały. – Przestalibyście już chlać. To szkodzi bardziej niż cholesterol i te wszystkie świństwa, które dodają do żywności – powiedziałam, podając im flaszkę.

– My chlejemy? – Sąsiad, oburzony, ochoczo sięgnął po butlę i ucałował ją soczyście. – My pijemy z umiarem, a to na pewno nie szkodzi, nawet w dużych ilościach. Chodź, Mania, orzeźwienia nam trzeba, bo suszy okrutnie! – Pociągnął

swoją towarzyszkę za rękaw i wycofali się na korytarz.

– Na zdrowie!

Zamknęłam za nimi drzwi i zdążyłam zrobić zaledwie kilka kroków, gdy ponownie usłyszałam natarczywe pukanie. Zła jak szerszeń zawróciłam. Cholera, zaklęłam pod nosem, zapomnieli o kasie na szluzi?

Szarpnęłam drzwi i zamarłam. W progu stały mama i Iwona. Obie zapłakane i roztrzęsione, na przemian siorbały i wydmuchiwały nosy. Weszły, wzajemnie się podpierając. Gdy usiadły na kanapie, płacz się nasilił. Poli natychmiast udzielił się nastrój, broda jej zadrzała i była bliska wrzasku. Staralam się opanować, choć zrobiło mi się gorąco i byłam niemal na sto procent pewna, że chodzi o tatę. Łza zakręciła mi się w oku. Mój Boże, tak niespodziewanie? A ja nawet nie zdążyłam się z nim pożegnać. Na pewno jakiś wypadek drogowy! Choć całymi dniami naprawia samochody, kierowca z niego mierny. Nigdy nie złapał tego bakcyła. Na skrzyżowaniach silnik mu gaśnie, denerwuje się, gdy wszyscy wokół trąbią, zdarza mu się pomylić hamulec z gazem; nawet gdy parkował na stałym miejscu pod blokiem, kilka razy udało mu się walnąć w śmietnik. Mój kochany, misiowaty tatuś.

Nie wiedziałam, od kogo zacząć pocieszenie i uspokajanie, chociaż sama ledwo powstrzymywałam płacz. Druga śmierć w tak krótkim czasie. Nieszczęścia naprawdę chodzą parami. Spokój, tylko spokój...

– Daj mi moją wnusie, niech się nacieszę. – Mama niespodziewanie wyciągnęła ręce, uśmiechając się przez łzy. Zszokowana ulokowałam stawiającą lekki opór Polę na jej kolanach. Przytuliła ją do siebie i ucałowała jej spoconą główkę. Coś mi tu nie grało. Ta sytuacja do złudzenia przypominała tę sprzed kilku dni, gdy odwiedziły mnie teściowa i szwagierka. Odetchnęłam z ulgą. Nie chodziło o tatę.

– Ach, księżniczko, ciocia Iwonka przyniosła ci prezent! – Moja siostra, opanowując atak spazmów, wyciągnęła z torebki różową grzechotkę w kształcie słonika i zaczęła nią potrząsać. O mało nie wyszłam z siebie. Dokładnie tę grzechotkę dałam Witusiowi, gdy się urodził.

Bez słowa wzięłam słonika i nacisnęłam na brzuszek, żeby uruchomić pozytywkę. Zero efektu. Albo mechanizm był zepsuty, albo bateria wyładowana. Daję głowę, że siostra nie pamiętała, kto był darczyńcą tego drobiazgu. Wpatrywała się we mnie cielecym wzrokiem. Oddałam jej zabawkę, udając, że ja też cierpię na amnezję. Zresztą nie słonik był tu najważniejszy. Ciekawił mnie rozwój wypadków.

Przysunęłam puf i usiadłam naprzeciwko nich, udając, że odjęło mi mowę. Obserwowałam ten osobliwy spektakl. Dawały z siebie wszystko, dwoiły się i troiły, żeby zabawić małą, potrząsały grzechotką, robiły głupie miny, nawet podśpiewywały. Wyzwoliły w niej żywioł – popiskując i podskakując, szarpała je

za włosy i uderzała obślinionymi piąstkami w ich policzki. Nie oponowały, wręcz przeciwnie – wydawały się zachwycone. W końcu Pola, zmęczona wygłupami, przytuliła się do mamy i zaczęła pocierać oczy. Nadchodziła pora karmienia, a potem spania. Sama o niczym innym w tej chwili nie marzyłam.

– Taka tragedia... – stwierdziła mama smętnym tonem i podniosła na mnie zażawione oczy.

– Owszem – potwierdziłam, pewna, że chodzi o mnie.

– A więc już wiesz, że moje małżeństwo rozpierdzieliło się w drobny mak przez tę wywłokę i mieszkam teraz u rodziców? – zapytała Iwona i bliska paniki, chwyciła się za głowę. – Pewnie całe miasto huczy!

Czegoś takiego się nie spodziewałam.

– Nic z tych rzeczy – starałam się ją uspokoić, bo Pola szeroko otworzyła oczy i zrobiła się niespokojna jak pies wyczuwający trzęsienie ziemi.

– Jak to siostra, po prostu się domyśliła – podsumowała mama, ocierając łzy. – Siostra siostrę zawsze zrozumie, wesprze, pomoże, przecież jesteście jak bliźniaczki jednojajowe...

– O, to coś nowego, mamó – zaśmiałam się gorzko, ale nie ciągnęłam tematu. Gdybym zaczęła wylewać z siebie litanie pretensji, nie skończyłabym przed północą. – Co konkretnie się stało? – zwróciłam się do Iwony.

– Benek wrócił dzisiaj wcześniej z pracy – zaczęła opowiadać wzburzona – i lekkim tonem stwierdził, że małżeństwo ze mną to dla niego żaden interes i odchodzi do Malwiny. Wiesz, kto to? – Pokręciłam głową. – Dwudziestoletnia szmata, którą przyjął kilka miesięcy temu jako pomoc dentystyczną! Taka gąska, głupiutka i cichutka. Skończyła ogólniak, a potem roczne studium asystentek stomatologicznych. Jego zdaniem jest chodzącym ideałem, bo potrafi zrobić lakierowanie, odciski szczęk, zastrzyk i jeszcze zamieszać masę. Teraz jej płaci, a po naszym rozwodzie będzie to miał gratisowo. Mieści ci się to w głowie? To kompletna paranoja, takich kobiet jak ja się nie zostawia! Przecież jestem lepiej wykształcona! Skończyłam studia! A Malwina jest podstępna, wredną lafiryndą! Przyznał się, że przynosi mu lancze. Amerykankę zgrywa czy co? Jakieś debilne sałatki z tuńczykiem, pstrągi w galarecie albo zapiekanki z kaszą. I co mu z tego? Przytył ostatnio, a otyłość to prosta droga do nadciśnienia, cukrzycy i żyłaków. On sobie nie zdaje sprawy, że z każdym zjedzonym kęsem tego świństwa kopie sobie grób! Kawa by mu nie wystarczyła? No powiedz, mamusiu, kawa, a potem porządna kolacja ze mną? – Mama skwapliwie pokiwała głową. – Wyprowadziłam się z Witusiem do rodziców. Teraz jest pod opieką taty, żebyśmy mogły spokojnie porozmawiać. Blanka, pomożesz? – zapytała z ufnością.

Dałam sobie kilka chwil na przemyślenia. Sprawa była zbyt poważna, jakakolwiek rada wiązała się z dużą odpowiedzialnością. Wprawdzie możliwych rozwiązań było całe mnóstwo, ale bądź co bądź, decyzja nie dotyczyła wyboru

owoców na kompot. Trybiki w moim mózgu aż trzeszczały z wysiłku. Wzięłam pod uwagę najróżniejsze warianty, ale najpierw wolałam się upewnić, jakiego rodzaju pomocy oczekuje.

– Zawsze ci pomogę, tylko sprecyzuj jak?

– Twoja mamcia to aniołek! – Matka entuzjastycznie pocałowała Polę. – Zresztą ty też!

– Możemy z Witusiem u ciebie zamieszkać? – zapytała Iwona.

Zgłupiałam. Przecież u rodziców są trzy pokoje, a u mnie tylko dwa. Rodzice pomogą jej finansowo, co więcej – grosza nie pozwolą dołożyć do kosztów utrzymania. Ale z drugiej strony ją rozumiałam. Cóż, różnica pokoleń, mama – irytująca w swojej nadopiekuńczości – będzie ingerowała w życie małego i zrobi z niego maminsynka. Może siostra chce się w końcu ode mnie nauczyć, że najwyższy czas dorosnąć i iść dalej na własnych nogach? Niech będzie, zdecydowałam. Nie ma co rozjątrzać starych ran, wszak rodzina daje wsparcie i ciepło, i wszystko.

– Zgoda – odpowiedziałam zdecydowanie.

Na ich twarzach zagościł wyraz ulgi. Spojrzały na siebie porozumiewawczo. Iwona podniosła kciuk w geście zwycięstwa, a mama pokiwała głową z uśmiechem i mocniej przytuliła Polę. Najwyraźniej sprawy szły po ich myśli.

– Od kiedy? – zapytała Iwona. Oczy jej iskrzyły. Wygodniej usadowiła się na sofie i podwinęła pod siebie nogi.

– Nawet od dzisiaj – zadeklarowałam, rozglądając się dokoła. – Akurat zdążyłam ogarnąć tę stajnię Augiasza... – Spojrzałam wymownie na mamę, która oczywiście udawała, że nie rozumie aluzji.

– Nie chcę ci sprawiać kłopotu...

– Przestań się przekomarzać. Rozmawiajmy konkretnie, bo robi się późno. Możesz się wprowadzać już dziś – powtórzyłam dobrodusznie, choć wiedziałam, że w czwórkę, a za jakiś czas już w piątkę, na czterdziestu czterech metrach będzie nam dość ciasno. Miałam cichą nadzieję, że Iwona nie zagości u mnie długo, bo Benek będzie musiał ją spłacić z połowy domu. Wyjdzie niezła sumka – willa ma doskonałą lokalizację, prawie sześćset metrów i wyposażenie równe pięciogwiazdkowemu hotelowi, więc po rozwodzie Iwona powinna mieć na tyle własnych pieniędzy, że kupi sobie coś sensowniejszego niż ta moja nora. – Wprowadzaj się nawet dzisiaj – zachęcałam. Poza tym wpadł mi do głowy genialny, prosty pomysł. – Posłuchaj, od jutra zaczynam szukać pracy, a dzięki tobie będę miała opiekę dla Poli. Ty się zajmiesz dziećmi od poniedziałku do piątku, a ja będę chodzić do pracy. W weekendy ja będę robić za baby-sitter, a ty będziesz uczęszczać do studium i zdobędziesz jakiś konkretny zawód. Profili nauczania jest zatrzęsienie: kosmetyczka, pomoc przedszkolna, technik weterynarii, florystka, fryzjer. Możesz przebierać jak w marchewce na bazarze. Oj,

szczęka Benkowi opadnie, jak potem pójdziesz do pracy i udowodnisz temu pazernemu prostowaczowi zębów, że bez niego twój świat się nie zawalił. – Zapaliłam się do tych pomysłów i zapamiętałam prowadzić monolog, nie zważając na ich rzędzące miny. – Nie jest przecież alfą i omegą! – Skrzywiłam się na myśl o nadętym, skąpym i antypatycznym szwagrze. – Nie przejmuj się, weźmiemy prawnika i wytrzepie mu kieszeń. Nie ma znaczenia, że tylko on zawodowo pracował, a ty, powiedzmy, prowadziłaś dom. W sądzie może bzdurzyć, że w nierównym stopniu przyczyniliście się do powstania majątku, ale ty masz asa w rękawie, bo w budowę domu zainwestowałaś pieniądze ze sprzedaży panińskiego mieszkania. Nie będzie tak źle, Iwona. Oczywiście będzie płacił alimenty, tyle że za jakieś dwadzieścia lat się skończą, więc trzeba myśleć perspektywicznie. Musisz zdobyć zawód i etat już teraz, bo potem, bez doświadczenia, twoje szanse na rynku pracy będą marne. Poza tym musisz gromadzić składki na emeryturę. Idealnie to wymyśliłam. No nie?

Nie, nie oczekiwałam entuzjazmu ani bezwarunkowego zaakceptowania mojego planu, ale chociaż kreatywnego, wzajemnego doprecyzowania. Tymczasem zapadło milczenie. Obie wpatrywały się we mnie ze zgorzkniałymi minami dziwnym, wyjąłowym z emocji wzrokiem.

– Mamo – Iwona kilkakrotnie zamruwała jak królowa budząca się z letargu – czy dzisiaj jest prima aprilis? – Mama zaprzeczyła ruchem głowy. Nie obejmowała już przysypiającej w jej ramionach Poli. Zauważyłam, że ogarnia ją coś w rodzaju bezwładu. Przez moment myślałam, że mała spadnie na podłogę. – Ja w tej spelunie? Stroisz sobie głupie żarty? – Iwona rozejrzała się z obrzydzeniem.

– Jestem od tego daleka – odparłam zbaraniała.

– Nie rób ze mnie idiotki! – huknęła. – Przynajmniej przed rodzoną siostrą mogłabyś się przyznać, że powrót do tej nory to zmyłka. Jesteś kuta na cztery kopyta i masz w tym wszystkim jakiś plan. Nie wnikam w to, ale wiem, że pośrednicy nieruchomości zacierają ręce i czekają, aż święta Blanusia – złożyła dłonie jak do modlitwy – zacznie przebierać w ofertach najdroższych posiadłości. Wbiłaś im niezłego klina. Jedni mówią, że czaisz się na neobarokowy przedwojenny dworek przy Piotra Skargi, drudzy optują za tym białym klasycystycznym pałacykiem na Dębowym Wzgórzu. Przecież wiem, że Marcel się dorobił fortuny i dodatkowo wysoko was ubezpieczył. Sam po kilku drinkach pochwalił mi się na imieninach taty. Myślałam, że mnie pocieszysz, poprosisz, żebym trochę zaczekała, aż kupisz coś wystrzałowego, i będziemy sobie żyły w luksusach. A ty odstawiasz jakiś debilny teatr! Oj, szczwana z ciebie lisica, jakiś szemrany interes kręcisz, ale uważaj, bo możesz się mamoną zadławić! – Wyglądała tak, jakby zaraz miała puścić pawia. – Mamusiu, idziemy, bo wyjdę z siebie!

Zacząłam się gorzko śmiać. Z własnej naiwnej wiary w uzdrowienie relacji między nami. I z tego, że ostatnimi czasy podobne sytuacje powielają się jak w kserokopiarni. Patrzyłam, jak mama wstaje, rzuca mi na kolana na dobre już rozbudzoną Polę i staje przede mną. Po makijażu na jej twarzy już dawno nie było śladu. Popękane naczynka, z którymi zawsze miała kłopot, tworzyły na skórze coś w rodzaju czerwonej pajęczyny. Ale nie miała zmarszczek. Przesadziła z botoksem, była sztuczna jak lalka. Jedno wiedziałam, nie przytuli mnie, nie podziękuje za chęć pomocy.

– Ty totalna egoistko! – powiedziała z nienawiścią. – Robisz nam na złość. Chcesz, żeby Iwona została kosmetyczką? Żeby zniżyła się do wyciskania wągrows na nosie takim bogaczkom jak ty? Albo pomocą przedszkolną od wycierania ciekących gili? Doskonale wiesz, że brzydzi ją wszystko, co śmierdzi i się ciągnie! I jak śmiesz mówić, że jest niewykształcona! – wydarła się. – Przecież skończyła kulturologię...

Pola nie została w tyle – włączyła się do konwersacji tak rozzwierającym krzykiem, jakby ktoś chłostał ją po plecach. Nie dało się tego słuchać. Sąsiedzi z prawej walili w ścianę. Jeszcze tego brakowało, żeby wezwali policję.

– Koniec tej zabawy! – Wstałam i krzyknęłam tak głośno, że sama się przeraziłam.

– Wypraszasz nas? – Iwona doskoczyła do mnie.

– Tak. Wyjdźcie stąd i dajcie mi święty spokój!

– Chodź, mamusiu. Nasze nogi więcej tu nie postaną.

– I nikt tu na was nie czeka! – Otworzyłam na oścież drzwi. Część sąsiadów, zwabiona wrzaskami, wyszła na korytarz. Z pewnością oczekiwali gratisowej rozrywki. Spiorunowałam ich wzrokiem.

Zatrzasnęłam drzwi za mamą i Iwoną, które jeszcze coś wykrzykiwały, i cała się trzęsąc, poprzysięgłam sobie, że była to ostatnia próba odbudowania rodzinnych więzów. Definitywnie do mnie dotarło, że nie dostanę od nich miłości i wsparcia.

Pola darła się histerycznie. Chodziłam po mieszkaniu, kołyszając ją rytmicznie. Plecy bolały mnie jak cholera, a ręce wydawały się coraz dłuższe. Postanowiłam ją nakarmić, wychodząc z założenia, że nie da się jednocześnie jeść i płakać. Zacząłam od butelki z kaszką, ale odwróciła główkę ze wstrętem. Potem usiłowałam nakarmić ją mielonym mięsem. Pociamkała nieco, po czym zaczęła pluć zawzięcie. Przeprowadziłam więc test wanienki. Zazwyczaj uwielbiała kąpiele, ale teraz za żadne skarby nie chciała wejść do wody. Darła się ogłuszająco, jakbym zanurzała ją w ukropie. Udając opanowanie, otuliłam ją szlafrokiem i dalej nosiłam. Wyczuwała nerwową atmosferę, przeżywała wszystko razem ze mną. Nie rozumiała słów, ale wystarczyło brzmienie głosu. Brakowało jej beztrudnej zabawy, bliskości Marcela, spokoju, szczerych uśmiechów, skupienia na niej całego zainteresowania, codziennych rytuałów, które wraz ze śmiercią jej ojca

odeszły w zapomnienie. Przytuliłam ją mocniej i rozpoczęłam kolejną rundę po mieszkaniu, choć dosłownie padałam z nóg. Gdy wydawało mi się, że usnęła, i spróbowałam odłożyć ją do łóżeczka, ona znów zanosła się przeraźliwym płaczem. Wyginała się i szarpała ze mną jak zbudzona z koszmarnego snu.

Sukces odniosłam, gdy do pokoju wpadły pierwsze promienie słońca. Wykończona oparłam się o barierkę łóżeczka. To jakiś bezsens, dłużej tak się nie da. Muszę mieć siły, by pracować. Może rzeczywiście u Juli byłoby jej lepiej, a i ja łatwiej ułożyłabym swoje życie? Łzy popłynęły mi po policzkach. Ostatkiem sił poczłapałam do drugiego pokoju, padłam na łóżko i natychmiast zasnęłam.

Tuż po siódmej zbudził mnie telefon. Półżywa odebrałam i usłyszałam melodyjny głos Tatiany, tłumaczki rosyjskiego. Podekscytowana poinformowała mnie, że właśnie zadzwonił do niej Anton. Swoimi sposobami dowiedział się, że jogurtowy interes Borysa całkiem nieźle hula i jest realna szansa na wyciągnięcie z niego kasy. Trzeba tylko zainwestować.

– Wchodzi pani w to? – zapytała, ścisząc głos.

Serce załomotało mi z radości. W euforii pomyślałam o kredycie, ale zaraz wylałam na siebie kubek zimnej wody. Po pierwsze, wątpliwe, by którykolwiek bank mi go udzielił, bo nie mam dochodów, a nawet gdyby udało mi się pożyczyć pieniądze pod zastaw mieszkania, to jeśli Borys rozplynie się we mgle, mogę zostać bez dachu nad głową.

– Nie, przynajmniej nie w tej chwili – odparłam smutno.

– Czas działa na pani niekorzyść.

– Wiem, ale...

– Niech pani nie kończy, domyślam się.

Z kubkiem mięty i dwoma sucharkami usiadłam przy komputerze, żeby uregulować rachunki, które łaskawie zostawił mi Funfel. Saldo po transakcjach wyniosło niecałe trzysta pięćdziesiąt złotych. Potem dla pewności trzy razy przeliczyłam pieniądze w portfelu i westchnęłam ciężko. Muszę wcielić w życie plan awaryjny, by poczuć się pewniej. Spojrzałam na pierścionek zaręczynowy. Akwamaryn w kolorze oczu Marcela i Poli... Otaczające go diamentyki skrzyły się w promieniach porannego słońca. Wróciłam wspomnieniami do dnia zaręczyn, z pewnością jednego z najcudowniejszych dni w moim życiu. Wtedy wszystko było takie proste. Zgodziłam się rzucić pracę i zostać żoną biznesmena, przy którym nie miało mi zabraknąć ptasiego mleka. Ile może się w życiu człowieka zmienić w tak krótkim czasie? Wrażeniami mogłabym obdzielić całe pokolenia. Miało być pięknie – i było, tyle że krótko. Podobnie jak Ikar, szybowałam

w chmurach, wierząc, że tak będzie zawsze, i tak jak on uśpiłam czujność. Marzyłam i ufałam zbyt mocno. Spadłam na ziemię z wielkim hukiem, wprost w brutalną rzeczywistość. Niefrasobliwość Marcela wypaliła mnie doszczętnie, podobnie jak słońce wosk w skrzydłach Ikara... Jeszcze raz spojrzałam na pierścionek. Nie, nie będę się rozczulać. Jeszcze dziś wyląduje w lombardzie, zawyrokowałam. Gdy się stoi nad przepaścią, nie można mieć sentymentów. A jednak zrobiło mi się okrutnie przykro.

Szczęście w nieszczęściu, za ścianą zapłakała Pola. Obudziła się już z muchami w nosie. Zmieniłam jej pieluchę, nakarmiłam, przytulałam, całowałam, ale gdy tylko próbowałam ją posadzić przy stolyczku albo położyć w łóżeczku, wyła z rozpacz. Usiadłam przy komputerze, trzymając ją na kolanach. Weszłam na największy portal z ofertami pracy i zaczęłam czytać: doradca klienta zamożnego, starszy doradca do spraw klientów korporacyjnych, dyrektor oddziału banku, inspektor do spraw kredytów inwestycyjnych, asystentka do spraw relacji z klientami poziomu VIP, menedżer sprzedaży kredytów detalicznych, konsultant do spraw transakcji z biegłą znajomością angielskiego...

Niespodziewanie Pola uderzyła rączką w klawiaturę i obraz się zmienił. Spodobała jej się ta zabawa i planowała powtórkę. Rozeźlona przytrzymałam jej dłoń. Zaczęła wyc jak syrena i cała się trząść. Wiedziałam, że dobrym rozwiązaniem byłby spacer, ale nie miałam na to czasu. Musiałam walczyć o byt, ale najpierw ją uspokoić. Rozpoczęłam rytmiczne podrygi góra-dół, jedzie konik hop-hop... Ale myślami byłam daleko.

Ofert dla mnie było zatrzęsienie. Z moim wykształceniem i doświadczeniem mogłam się ubiegać o każde z tych stanowisk. Znałam bankowość od podszewki, wszelkie sprzedażowe sztuczki, techniki manipulacyjne, negocjacyjne, przepisy, a nawet aktualne oferty banków – udzielałam przecież porad pro publico bono. Na samą myśl, że od kilku dni nie zajrzałam na pocztę, poczułam wielką falę wyrzutów sumienia, ale teraz musiałam się skupić na swoim być albo nie być. W zasadzie spełniałam wszystkie wymagania potencjalnych pracodawców. Był tylko jeden problem – praca w Elitumluxie tak dała mi w kość, że czułam głęboką awersję do całego sektora bankowości. Nawet czytanie ofert sprawiało, że ścisnęło mnie w pustym żołądku, a do oczu napływały mi łzy.

Westchnęłam ciężko i trzymając Polę z dala od klawiatury, wróciłam do lektury: „Zapewniamy: spełnienie marzeń o karierze, uczciwe wynagrodzenie adekwatne do uzyskanego poziomu sprzedaży, elitarną kulturę firmy, pracę w zgranym, nastawionym na sukces zespole oraz bardzo wysoką prowizję od sprzedaży...”. Zaśmiałam się gorzko, bo doskonale wiedziałam, co znaczyły te wyświechtane frazesy w Elitumluxie. Bez antydepresantów ani rusz.

– Cholera, ja już się do tego nie nadaję – mruknęłam pod nosem. – Nawet brygada terrorystyczna pod groźbą odstrzału nie zawlecze mnie do tej pracy.

Postanowiłam, że poszukam pracy poza branżą. Tymczasem musiałam się zdystansować, zrobić Poli przyjemność spacerem, a po drodze zaliczyć lombard.

Polę zafascynowało nowe otoczenie. Z otwartą buzią przyglądała się karuzeli na placu zabaw i dzieciakom skaczącym wśród obłoków kurzu na wyciągniętym spod śmietnika starym materacu. Ale z każdym krokiem zbliżającym nas do centrum krajobraz stawał się bardziej oswojony i mała zaczynała się nudzić. Upał robił się coraz bardziej dokuczliwy, bolały mnie nogi, znów lekko napuchnięte, i chciało mi się pić. Na szczęście w pobliżu mieściło się laboratorium analityczne rodziców Juli. Postanowiłam wpaść na moment, napić się czegoś i odsapnąć. Zawsze zazdrościłam przyjaciółce cudownej rodziny, a zwłaszcza wspierającej mamy. Regularnie aplikowała jej coś w rodzaju zastrzyków znieczulających troski, podczas gdy ja musiałam radzić sobie sama. Ale były też minusy – Julia nie miała pojęcia o prawdziwym, brutalnym życiu, a ja się zahartowałam. Ciekawe, jak zniosłaby moją tragedię. Ale ona nie byłaby sama. Tuż obok, jak przybocznicy, staliby jej rodzice.

Laboratorium Pod Jodłami mieściło się na parterze nowoczesnego, pięciokondygnacyjnego budynku w samym centrum. Swoją nazwę zawdzięczało kilku wysokim choinom, rosnącym tuż obok rozległego prywatnego parkingu. Zajmowało cały parter, a na wyższych poziomach mieściły się klinika chirurgii plastycznej i kilka prywatnych gabinetów lekarskich. Czynsz wynosił krocie, ale lokalizacja, inwestycje w najnowocześniejszą aparaturę, renoma i reklama zrobiły swoje. Klientów skuszonych blichтром, jakością usług i przyjazną atmosferą przybywało i zyski rosły.

Podjazdem dla wózków pokonałam kilka schodów i po chwili znalazłam się w przestronnych, klimatyzowanych i pachnących sterylnością wnętrzach. Kilka osób siedziało w poczekalni, na sofach obitych kremową, wytłaczaną tkaniną, a w kąciku zabaw dziewczyna w zaawansowanej ciąży z chłopczykiem niewiele starszym od Poli układała piramidę z kolorowych plastikowych klocków.

Przywitała mnie Maja – rejestratorka, a prywatnie kuzynka Juli. Po ukończeniu liceum plastycznego nie mogła znaleźć pracy, została więc przygarnięta przez wujostwo. Zresztą cały personel, niespełna dwadzieścia osób, stanowili krewni i powinowaci. Tego też Juli zazdrościłam. Fajna sprawa, jak cała rodzina trzyma się razem. Zawsze można liczyć na pomoc, święta to prawdziwe zjazdy rodzinne na czterdzieści osób i biesiady do białego rana.

Odwzajemniłam uśmiech Mai i pchając przed sobą wózek, skierowałam się na zaplecze, prosto do gabinetu szefowej.

Pani Lidzia uściskała mnie, posadziła w fotelu i poprosiła, bym się częstowała wszystkim, na co mam ochotę. Potem wyjęła z wózka Polę, która już

wyciągała do niej rączki, i podśpiewując, usiadła naprzeciwko mnie w obrotowym fotelu. Okręciła się kilka razy, robiąc małej karuzelę, a potem postawiła ją sobie na kolanach i pomagała jej podskakiwać. Obserwowałam je. Pasowały do siebie – gdy się śmiały, w policzkach robiły się im słodkie dołeczki. Mama Juli, jak wzorcowa babcia, chwaliła ją na okrągło, jakby była najcudowniejsza. Pola nie zwracała na mnie uwagi, przestałam dla niej istnieć. I dobrze, pomyślałam, mam czas dla siebie. Bawiłam się pierścieniem zaręczynowym, świadoma tego, że za chwilę oddam go do lombardu i nigdy więcej nie zobaczę.

Mama Juli przytuliła Polę i pocałowała w czubek głowy.

– Źle wyglądasz, Blaneczko – powiedziała, wpatrując się we mnie uważnie.
– Wpadnij jutro na badania. Pewnie wyniki nie będą rewelacyjne.

– Może nie będzie tak źle, to tylko zmęczenie – powiedziałam bez przekonania.

– Jesteś bledsza od mojego fartucha. Ale anemia to nie koniec świata – mówiła krzepiąco. – Julia przepisze ci jakieś suplementy z dobrze wchłaniającym się żelazem i wyprowadzimy cię na prostą. A tak w ogóle, jak sobie radzisz? – zapytała z troską.

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się słabo.

– Wróciłam do swojego starego mieszkania, rozglądałam się za jakąś pracą, najpóźniej jutro wysłę kilka aplikacji. Tyle że muszę zdecydować, czy pozostać w bankowości, czy spróbować się przebranżowić. – Siliłam się na swobodny ton, ale ona przewiercała mnie swoimi brązowymi, mądrymi oczami. Zawsze miała niesamowitą intuicję. W pewnym momencie pożałowałam tej wizyty, bo pewnie lada moment zasypie mnie lawiną pytań. – Ech, proza życia, po prostu – skwitowałam.

– Tak... – potwierdziła przeciągle, kołysząc w ramionach wiercącą się niecierpliwie Polę. – Plotki, jakie krążą po mieście, często są wzięte z sufitu. Ludzie lubią legendy, sensacyjki, skandale. Wiesz, ciągle zachodzę w głowę, kto czyta w internecie wyssane z palca bzdury o wszystkich tych gwiazdeczkach. Niektórzy nawet kupują kolorowe magazyny z tego typu sensacyjkami, przyczyniając się do zagłady ekologicznej... – Wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że wiele się domyśla. – Ogólnie mówiąc, smaczki z życia innych napędzają życie towarzyskie frustratów. Obierają sobie kogoś na celownik i pijąc kawę za kawą, tworzą legendy. A innym wyrządzają wiele krzywdy.

– To prawda – przyznałam gorzko. – Ale nie zamierzam się tym przejmować. Niech sobie myślą, co chcą. Ja mam teraz inne sprawy na głowie.

– Chcesz pogadać? – zapytała wprost. Za to ją lubiłam. Zadawała konkretne, klarowne pytania. Nawet gdy kiedyś dzwoniła do mnie z pytaniem, czy jestem w stanie załatwić jej preferencyjny kredyt, nie zagajała wcześniej o pogodzie albo o polityce.

– Nie – zaprzeczyłam, skupiając się na czytaniu etykiety na butelce mineralnej. – To nie fair obarczać innych własnymi problemami. Muszę sobie radzić sama.

– Blanka, ty zawsze sobie poradzisz – orzekła z uznaniem. – Jesteś wyjątkowa. Nie robisz maślanych oczu szczeniaczka, tylko walczysz jak lwica. Ale pamiętaj, co za dużo, to niezdrowo. Silny stres bezpowrotnie niszczy komórki obronne i w końcu staniesz się jak żółw bez pancerza. Będziesz łapać wszystkie choroby. Zadbaj o siebie. Dla mnie zawsze pozostaniesz bohaterką. – Spojrzała na mnie czule. – Wiedziałam, że masz miękkie serce, ale żeby aż tak? Może to dlatego, że wszystkie Pole potrafią w sobie rozkochać każdego, kto na nie spojrzy? Ach, życie jest dziwne. Jeśli będziesz miała ochotę pogadać, zawsze możesz do mnie przyjść. I to niezależnie od tego, czy Pola zostanie moją wnuczką, czy nie. To zależy od twojej woli i ja ją uszanuję. Rozumiesz?

Pokiwałam głową i odwróciłam się w stronę drzwi. Akurat wszedł przedstawiciel firmy farmaceutycznej. Przyjrzałam mu się przelotnie. Był przed trzydziestką, gładko wygolony, krótko obcięty, szary garnitur, krawat i ten służbowy, obowiązkowy uśmiech. Jego też obowiązują zasady. Ma wzbudzać zaufanie i szacunek. Ale gdy tylko stąd wyjdzie, w samochodzie będzie masował zdrętwiałe mięśnie twarzy, nastawi nawigację do następnego punktu i weźmie udział w kolejnym show. Udając bezinteresownie uprzejmego, będzie przekonywał, że jego preparaty są najlepsze pod słońcem. Dla wzmocnienia efektu rzuci komplementem, wręczy kalendarz firmowy i długopis, a na koniec dnia, przekonany, że dał z siebie wszystko, zda relację szefowi. Pewniakiem szef się wpieni, że źle i za mało. Facetowi gwałtownie spadnie samoocena i będzie się modlił, by nie zlecieć na sam dół tabeli sprzedażowej.

Nie chciałam im przeszkadzać. Zresztą czas mnie gonił, sprawy przecież nie rozwiążą się same. Zanim włożyłam Polę do wózecka, mama Juli jeszcze raz ją wyściskała.

Gdy długim, pokrytym kremową glazurą korytarzem kierowałam się w stronę głównego wyjścia, usłyszałam za sobą przyspieszony stukot obcasów. Doganiała mnie.

– Blanka, byłabym zapomniała! – Podała mi jakieś kartki. Na wszelki wypadek wydrukowałam wyniki krwi i wyniki badań z włosów. Pamiętasz? Tak naprawdę namówiłam cię na to drugie badanie tylko po to, by mieć pewność. Nie ma mowy o omyłce. To może być dowód.

– Dowód? Mam wytoczyć szpitalowi proces za jakieś zaniedbania? – zapytałam, nie kryjąc zaskoczenia.

– Nic z tych rzeczy. Podstawowe wyniki badań Marcela nie wskazywały na ryzyko zawału. Tak nieraz bywa. A badanie z włosa dotyczyło DNA. Masz w sądzie mocny dowód i adopcja ze wskazaniem byłaby ułatwiona, gdybyś jednak

się zdecydowała obdarzyć nas tym słodkim skarbem – powiedziała, jakby doskonale znała temat. – A teraz lecę, kochanie. Pa! Trzymam za ciebie kciuki.

Pocałowała mnie w policzek, odwróciła się i pobięła korytarzem. Patrzyłam za nią nierozumiejącym wzrokiem, aż wreszcie zaskoczyłam. Nie, to nie może być prawda!

Przyspieszyłam kroku i wyszłam na zewnątrz, wprost na rozgrzane słońcem powietrze. Zmrużyłam oczy, żałując, że nie zabrałam okularów z filtrem. To jakiś obłąd... Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Rozejrzałam się bezradnie. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, więc usiadłam na pierwszej z brzegu ławce, zacienionej rozłożystym kasztanowcem, tuż przy ruchliwym chodniku. Pola przecierała oczy, dając znak, że najwyższy czas na drzemkę. Wyregulowałam spacerówkę do pozycji poziomej, ułożyłam małą na boku i kilka razy pobujałam. Na szczęście to wystarczyło. Zasnęła.

Kurczowo trzymałam w drżących dłoniach plik zwiniętych kartek, które dostałam od pani Lidzi. Starając się oddychać rytmicznie, w myślach odliczyłam od dziesięciu wstak. Rozprostowałam kartki i wyszperałam wyniki Marcela. Skupiłam się na sprawach nieistotnych. Leukocyty, erytrocyty, hemoglobina... Norma, norma i jeszcze raz norma. Wiedziałam, że powinnam je ominąć, ale podświadomie odsuwałam w czasie to, co bolesne. W końcu niechętnie zestawiałam obok siebie dwa dokumenty wydrukowane na ładnym, firmowym papierze z logo laboratorium Pod Jodłami. Wydawały się identyczne. Te same rubryki: data, numer badania, imię i nazwisko, grupa krwi. Z tym że jeden dotyczył Marcela, a drugi Poli.

Zrobiło mi się gorąco.

Nie ma mowy o pokrewieństwie...

Patrzyłam na wynik badania DNA na ojcostwo. Darowałam sobie opis badań, wykresy i liczby i skupiłam się na opisowym wniosku: „Ojcostwo wykluczone w 100%”. Zamigotało mi przed oczami. Gdy nieco ochłonęłam, pochyliłam się nad śpiącą Polą. Czar prysł.

Kim jesteś – zapytałam w myślach. Uczepiłaś się mnie i Marcela jak rzep psiego ogona, wepchałaś się pod nasz dach i już nic nie było jak przedtem. Jaka ja byłam głupia! Dlaczego nie sprawdziłam, czy twoja gościnną pod spódnicą mama nie jest oszustką. Marcel, ten naiwniak, wszystko łykał, a ja przy nim byłam jak przymulona. Adoptowałam cię pod wpływem błędu, a wszystko przez te oczy...

Wrzuciłam wyniki badań do torebki. Sięgnęłam po komórkę i zadzwoniłam do Juli.

– Dziwne, Pola ma takie niezwykle oczy, jak akwamaryny. Identyczne jak miał Marcel. A nie są spokrewnieni – powiedziałam bez wstępów.

– Blanka, mówiłam ci już milion razy: Marcel miał szare oczy. Możesz poprosić o potwierdzenie każdego, kto go znał. Wiem, że zakochana kobieta widzi

inaczej – westchnęła wyrozumiale. – Z kolei Pola – zmieniła ton na tkliwy – ma oczy jak skarby, jak Adriatyk w słońcu, jak radosny cherubinek, jak...

– Dobrze, Julia, muszę kończyć. – Nie miałam najmniejszej ochoty słuchać zachwyków nad małą wicherzycielką mojego małżeństwa, podrzuconą do naszego domu jak kukułcze jajo. – Zadzwoń lada dzień.

– Z dobrymi wiadomościami? – zapytała szybko, w obawie, że się rozłączę.

– Zobaczymy – uciełam.

Zawsze starałam się powstrzymać od podejmowania decyzji pod wpływem impulsu. Spojrzałam na Polę. Skrzywiła się. Albo jej się coś śniło, albo szykowała się do wybudzenia i wycia. Ja też się skrzywiłam. Telefon w mojej dłoni aż kusił, by nacisnąć „redial” i powiedzieć Juli, że już i natychmiast może ją sobie zabrać, a formalności załatwimy później. Czułam się perfidnie oszukana przez życie. Z jakiej racji mam ją utrzymywać i wypruwać sobie żyły przez kolejne dwadzieścia pięć lat? Przecież jest dla mnie nikim, a będzie mnie kosztować tyle co willa z ogródkiem. Najlepiej wymigać się z tego układu, spakować jej manatki i już. Pora zacząć nowe życie. A do tego potrzebuję pracy i gotówki. Spojrzałam na pierścionek. Jeszcze chwilę się nim nacieszę... Wtedy usłyszałam charakterystyczny głos:

– Góra z górą się nie zejdzie, ale bankierzy zawsze!

Na wysokości mojego wzroku pojawił się brzuch, wielki jak piłka rehabilitacyjna, opięty połami granatowej marynarki w cienkie bordowe paski. Pomimo upału dostałam gęsiej skórki. A jednak złych wspomnień nie da się puścić w niepamięć. Podniosłam wzrok na pucułowatą, spoconą twarz Kamila, regionalnego dyrektora sprzedaży, który wyciskał ze mnie siódme poty, gdy jeszcze byłam dyrektorką oddziału.

– Prawda – potwierdziłam, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że kiedykolwiek nasze drogi się skrzyżują.

– Mogę się przysiąc?

– Jasne. – Starając się ukryć niezadowolenie, zrobiłam mu miejsce, chociaż jego towarzystwo było ostatnią rzeczą, której teraz pragnęłam.

Usiadł, posapując. Ławka zatrzeszczała, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– Co? – Popatrzył na mnie z podziwem. – Wiesz teraz życie bogatej, znudzonej wdówki?

– Trafiłeś w dziesiątkę. Brawo! – odpowiedziałam, po czym rozejrzałam się i konspiracyjnie ściszyłam głos: – Wiesz, zachodzę w głowę, jak sensownie ulokować kapitał, który notabene jeszcze dzisiaj się powiększy.

Nie dodałam oczywiście, że wzbogacę się kosztem zubożenia mojej dłoni o rodzinny klejnot. Spontanicznie wchodząc w rolę, odreagowywałam stres, frustrację i zniechęcenie. Aż podskoczył z podekscytowania, ławka ponownie

zatrzeszczała. Pieniądze były siłą napędową jego życia. Wpatrywał się we mnie jak myśliwy, który dostrzegł niezwyklej okaz łośia, spacerującego tuż obok. Policzki mu poróżwiały.

– Blanka, w życiu nie ma przypadków...

– Czyżby? – Niewinnie udawałam, że nie przejrzałam jego zamiarów.

– Wiesz, możemy się dogadać. Ulokujesz kasę u nas, ja opracuję ci konkurencyjną ofertę, będziesz obsługiwana na zapleczu jako super-VIP. Wiesz, że jesteśmy poważnym, elitarnym, wiarygodnym...

– Kamil, nie chrzań jak do pierwszego lepszego zgarniętego z ulicy – zaśmiałam się. – W życiu nie ulokuję u was pieniędzy. Mam swoje powody i pozwól, że zachowam je dla siebie.

– Wiem. Nie chcesz, żebyśmy wiedzieli, ile masz – podsumował, kiwając głową ze zrozumieniem. Przypominał pluszowego pieska umieszczanego przez kierowców na półkach pod tylnymi szybami, dyndającego łbem przy każdym ruchu. – Ale spróbować można, no nie?

– Jasne, kto nie próbuje, ten przegrywa – skwitowałam, przypatrując się z zazdrością kobiecie w zaawansowanej ciąży idącej po chodniku w towarzystwie podtrzymującego ją troskliwego męża. – A w ogóle, co ty tu robisz?

– Przyjechałam do oddziału, którym dyrektorowałam. Jest skwar i nie chciałam zostawiać auta pod bankiem. Wiesz, jak jest. Zanim klima wychłodzi, to czujesz się jak golonka wrzucona w ukrop. Zaparkowałam tu, w cieniu, a resztę przeszedłem pieszo – dla zdrowotności.

– Toż to prawdziwy maraton. – Patrzyłam na niego z ironią. – Przeszedłeś jakieś... trzysta metrów?

– Nie kpij. Żona suszy mi głowę, że mam się odchudzać, a ja po prostu mam taką przemianę materii. Jem tyle co ptaszek, a czuję się ociężały i mam wzdęcia. – Chwycił się za brzuch.

– Uhm – potwierdziłam dla świętego spokoju, bo przypomniały mi się tak zwane biznesowe lancze. Ja zamawiałam pół porcji sałatki, z czego połowa i tak po skończeniu posiłku zostawała na talerzu, bo sparaliżowana stresem, skupiałam się na trafianiu widelcem do buzi, a popijając mineralkę, szczękałam zębami o brzeg szklanki. Z kolei Kamil pomiędzy jednym a drugim kęsem ociekającej sosem karkówki tłumaczył mi, że oddział stać na więcej, a moja rola to wytlaczanie z podwładnych produktów, podobnie jak prasa wyciska olej z nasion słonecznika. Potem jadł frytki maczane w majonezie zmieszonym z keczupem. Sałatek nigdy nie ruszał, twierdząc, że jest na diecie rozdzielnej...

– Pozdrów żonę – rzuciłam kurtuazyjnie.

– Dzięki. To ona swoimi sposobami zasięgała o tobie języka i przekazywała mi wieści. Byliśmy pełni podziwu, że zdecydowałaś się na tę adopcję. – Znów patrzył na mnie z uznaniem. – Cała ty! Jak coś robisz, to dajesz z siebie wszystko.

Byłaś moim faworytem, gdy zmienialiśmy dyrektora oddziału, i miałem nosa. Po twoim odejściu wszystko zaczęło się sypać. Żaden z następnych dyrektorów, a w ciągu roku było ich... – zastanowił się – ...pięciu, nie, przepraszam, sześciu, nie był w stanie utrzymać twoich wyników, nie mówiąc o poprawie. Sprawa wygląda kiepsko. Po dzisiejszej kontroli kłamka zapadła. Likwidujemy oddział z przyczyn permanentnych strat.

– Samo życie – skwitowałam, bezwiednie kołyszając wózkami, bo Pola znów zaczęła wykrzywiać buzię. To, czy oddział będzie istniał czy nie, obchodziło mnie tyle co układ wydalniczy mrówkojada. Bardziej frapowało mnie, czy mała zaraz umili nam spotkanie arią dzikich ryków. Na szczęście rozpogodziła się i kontynuowała drzemkę.

– Blanka – zaczął Kamil niepewnie, drapiąc się po łysej głowie – a może... przeżylibyśmy to jeszcze raz? – Odwróciłam się ku niemu gwałtownie. Myślałam, że śnię. Obiecałam sobie przecież, że moja noga więcej tam nie postanie. – Spokojnie. – Patrzył na mnie przepaszająco. – Wiem, że masz kasy jak Antarktyda lodu i praca ci niepotrzebna, ale Blanka – ożywił się – ty jesteś stworzona do bankierstwa, a nie do nudnego życia krezuski. Dzięki tobie oddział podniósłby się z kolan. Możesz zacząć nawet od jutra.

– Kamil, jestem w ciąży – ucięłam w nadziei, że ten argument ostudzi jego wizje i nie będę musiała dalej słuchać tego kadzenia. Oślupiał, wpatrując się w mój płaski brzuch. Pewnie pomyślał, że to ściema. – Piąty tydzień. Jeszcze nie widać – dodałam, a on znowu podrapał się po głowie.

– Ciąża trwa dziewięć miesięcy, prawda? – zapytał po chwili, podnosząc na mnie wzrok.

– Zależy u kogo. U słońca dwadzieścia jeden, a u kotek dwa...

– Więc mamy ponad siedem miesięcy! – Zatarł ręce. – Zdasz wybudzić tych wałkonów z letargu. Będziesz musiała nadrobić trochę zaległości, dowiedzieć się, co piszczą w trawie pod paroma bankami – zażartował.

– Nie mam zaległości – zaoponowałam. – Jestem na bieżąco. Wiesz, że Balon Bank wprowadza ofertę kredytów wakacyjnych pod hasłem: „Nie bądź wyjątkiem w rodzinnym albumie i zrób sobie zdjęcie z wielbłądem”? – Roześmiałam się gorzko. – Zasuwanie głodnych kawałków! Nikt, kto ma nieco oleju w głowie, nie da się naciągnąć na reklamę naiwniaka wylegującego się w bujaku pod palmami. No, chyba że mu palma odbiła i nie czyta tego, co podpisuje. Odsetki niby w porządku, niby bez prowizji, ale te ukryte koszty... – Machnęłam ręką lekceważąco.

Kamil patrzył na mnie zafascynowany i wprost jaśniał szczęściem.

– Blanka, zdumiewasz mnie. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która jest w stanie wyprowadzić ten grajdoł na peleton. Błagam! Jesteś idealna, kreatywna i efektywna. Po roku przerwy spojrzysz na wszystko świeżym okiem. Zaczynaj,

kiedy chcesz, ale czas nagli, bo każdy dzień pogłębia straty. Potem, gdy urodzisz, potrzywasz zdalnie rękę na pulsie, a po macierzyńskim znów wrócisz. Nie mogę ci zaproponować fortuny... – Spojrzał na mnie przeprasząco. – Ale jestem w stanie podwoić twoją ostatnią pensję. No, wiadomo, plus premia proporcjonalna do sprzedaży – dodał pospiesznie. – Wiem, że to żaden argument, ale w tobie jedyna nadzieja. No jak, Blanka? Zgodzisz się – naciskał z wypiekami na twarzy.

Miałam w głowie szaloną gonitwę myśli. Przecież każdy medal ma dwie strony. Z jednej była moja solenna obietnica, że nie wrócę do Elitumluxu, a z drugiej – świadomość, że przy zmianie branży, jako nowicjusz, będę mogła pomarzyć najwyżej o średniej krajowej. Jako samotnej matce będzie mi trudno, ale dam radę, jednak nie będzie mnie stać na opłacenie windyatorów, zmianę mieszkania, prywatne lekcje gimnastyki korekcyjnej, klocki Lego...

– Hej, Blanka, zawiesiłaś się jak stary atari. – Kamil machał mi dłonią przed oczami. – Jeżeli chodzi o pensję, to może uda mi się jeszcze coś wydebić w centrali. No i co? Wracasz do gry?

– Zadzwoń do ciebie jutro – odpowiedziałam ledwo słyszalnie, a potem już głośniej, bez zająknięcia: – Jutro poznasz moją decyzję.

Wyciągnęłam z torebki trzy ozdobne ramki ze zdjęciami i ustawiłam je w prawym rogu biurka, tuż obok przybornika na długopisy opatrzonego logo Elitumluxu. Przyjrzałam im się chwilę w zamyśleniu. Pierwsze – ze ślubu, moje ulubione. Z mrocznawego wnętrza drewnianego kościółka wychodzimy wprost na skąpany w południowym słońcu dziedziniec, otoczony majową zielenią. Promieniejąc szczęściem, trzymamy się za ręce. Najszczęśliwszy dzień mojego życia. Ja – uśmiechnięta, pełna optymizmu, świeżo poślubiona żona biznesmena. Marcel – przystojniaczek, z kokieterijną, pewną siebie miną. Wokół nas wianuszek gości. Niektórzy klaszczą, inni wiwatują, jeszcze inni obsypują nas ryżem i grosikami. Tuż przed nami dziewczynka z wielkim zaangażowaniem sypie z wiklinowego koszyka garście płatków róż. Teściowa przykłada do oczu chusteczkę, wycierając łzy wzruszenia. Myśleliśmy, że tak będzie zawsze...

Wyteżyłam wzrok. Kalia w butonierce Marcela i cała ich wiązka w mojej ręce. „Kalie to kwiaty pogrzebowe”, ostrzegła kwiaciarka. Na serdecznym palcu mojej prawej ręki widać plaster, dlatego obrączka jest na lewej dłoni. „Jak u wdowy”, komentowała Jula. Potem jak flesze pojawiły się inne obrazy. Ja ze śmiechem okręcająca się przed przyszłym mężem w sukni ślubnej. Naprzemiennie zerkał raz na mnie, raz w ekran telewizora, bo nadawali akurat program *Bryki tylko dla orłów*. Jula błagająca mnie, bym nie brała ślubu w maju, a na ceremonię założyła coś starego, pożyczonego i błękitnego. Grzmoty w czasie przysięgi. Fotograf namawiający mnie choć na kilka kolorowych zdjęć. Perły w prezencie

gwiazdkowym...

Czy rzeczywiście skusiłam los? Czy naprawdę istnieje związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy brakiem pieniążka w bucie panny młodej a przyszłą katastrofą finansową? Szkoda, że nauka uniwersytecka stroni od badań nad takimi tematami i zamiata je pod dywan. Może warto było trzymać się rad Juli i dmuchać na zimne? Czy sama jestem sobie winna?

– Wiem, Marcel – wyszeptalam, gładząc jego policzki przez zimne szkło – chciałeś jak najlepiej. Jednak w interesach trzeba być nie tylko uczciwym, ale też bezwzględny. Miałeś za miękkie serce. Wszyscy myślą, że jestem najbogatszą wdową w mieście, i nie zamierzam wyprowadzać ich z błędu. Nie martw się, jak zawsze dam sobie radę. A ty kołysz się gdzieś tam, w obłokach, z aniołami. Ciągłe uważam, że twoje oczy były niezwykle, zielononiebieskie, jak w pierścionku cioci Jusi.

Spojrzałam czule na prawą dłoń. Wciąż tam był. Raz założonego nigdy nie ściągnęłam. Niech pozostanie tam na zawsze.

Po tamtej rozmowie z Kamilem nie poszłam do lombardu, tylko na grób Marcela. Najpierw wypłakałam się i wykrzyczałam w myślach cały gniew i irytację, obarczyłam go winą za wszystko, co mnie spotkało po jego śmierci, również za decyzję, którą byłam zmuszona podjąć. Pomogło. Potem byłam w stanie porozmawiać z nim spokojnie i mogłam już tylko wybaczyć. Przecież nie mogę wciąż na nowo zaśmiecać swojego umysłu toksycznymi myślami. Muszę się otrząsnąć, by mieć siłę na nowe wyzwania, by utrzymać moją rodzinę. „Nie nawiedzaj mnie w snach”, prosiłam. „Nie materializuj się, nie mam swoim zapachem. Nie musisz podtrzymywać mnie na duchu, nie potrzebuję twoich rad. Nauczyłam się sama rozwiązywać problemy i twardo stąpać po ziemi. Wybacz, ale nie będę się pogrążyć w depresji, nie mam na to czasu. Bądź szczęśliwy”.

Obok zdjęcia ze ślubu ustawiłam zdjęcie Poli, zrobione poprzedniego wieczora. Posadziłam ją przy kuchennym stole – w wysokim krzeselku do karmienia. Dałam do rączki łyżeczkę, a na blacie postawiłam miseczkę z płatkami wymieszanymi z jogurtem i jagodami. Zaczęła się zabawa. Wywróciła miseczkę do góry dnem, łyżeczkę wyrzuciła na podłogę i bazgrała piąstkami w biało-fioletowej masie. Testując moją wytrzymałość, patrzyła na mnie z miną „i tak postawię na swoim”. Zrobiłam jej komórkę kilka zdjęć, a potem usiadłam naprzeciwko niej. Spojrzałam w zielononiebieskie, lśniące oczy, które kiedyś utwierdziły mnie w przekonaniu, że jest córką Marcela. Uśmiechnęłam się wyrozumiale. Przecież dziecko musi dać upust swojej energii – w połowie, a może nawet w całości góralskiej.

– Słuchaj, mała, nie rób takich min – zaczęłam przemawiać jak do przyjaciółki. – Nie zapędzisz mnie w kosi róg, nawet gdy zaczniesz się czas nastoletnich pysków. Teraz jesteś jak plastelina, a ja cię ulepię na swoją modłę.

Nauczę, jak sobie radzić w życiu, rozprawić się z problemami, wytyczać cele i odnosić sukcesy. Wiadomo, wielu sytuacji nie przewidzisz, ale kiedy pada na ciebie zimny prysznic, nie możesz się skulić i czekać na księcia w złotej zbroi, który osłoni cię peleryną. Musisz znieść strugi lodowatej wody, podnieść się i własnoręcznie wyłączyć ten prysznic. Broń Boże nie licz w stu procentach na faceta. Opieranie się na nim jak na filarze to piękna iluzja, ale filar w każdym momencie może skruszeć i runąć. Ech, Pola, dużo tego, ale mamy czas. Wychowam cię na silną, niezależną babkę. Jeżeli dostaniesz w pupę, sykniesz z bólu, a potem zabierzesz się za życie ze zdwojoną energią. I kto miałby cię tego nauczyć, jak nie ja? Julia? – Zaśmiałam się. – Ta miętka, chowana pod kloszem jedynaczka, która musi być zawsze w centrum uwagi? Daj spokój, to histeryczka. Strzela fochy, gdy coś idzie nie po jej myśli. Wiesz, co ona by robiła w mojej sytuacji? Wciąż płacząca, z głęboką depresją, siedziałaby godzinami u terapeutów, opłacanych przez rodziców, którzy spełniają wszystkie jej zachcianki.

Później wybrałam numer Juli. Czułam się trochę jak kapitan Titanica, który oznajmia pasażerom, że katastrofa jest nieunikniona. Z drugiej strony czułam dziwną satysfakcję, bo w końcu udowodnię mojej rozkapryszonej przyjaciółce, że chceć, nie zawsze znaczy mieć.

– Sorry, Julia, ale nie jestem aż tak wielkoduszna, by oddać ci Polę – mówiłam łagodnie, ale stanowczo. – W domach dziecka na pewno czeka na twoją miłość i oddanie to jedyne. Zresztą twoja dotychczasowa bezdzietność to nie wyrok na całe życie. Jesteś jeszcze młoda, masz olbrzymie szanse wygrać tę wojnę. Daj sobie czas. Trzymam za ciebie kciuki i gorąco życzę ci, żeby wszystko się dobrze skończyło.

– Czy twoja decyzja jest nieodwołalna? – zapytała cicho. Wyczułam, że wciąż widzi światełko w tunelu.

– Tak. Dziecko to nie bukiet stokrotek, który można dać komuś w prezencie. Sama wiesz, ile mnie kosztowało, by ją zaakceptować. Ale decyzję o adopcji podjęłam świadomie i już jej nie cofnę.

Przez chwilę milczała. Przyłożyłam aparat mocniej do ucha, nasłuchując, czy nie próbuje wyrzucić na mnie presji płaczem, ale nie słyszałam, bo Pola, wyciągając do mnie rączki, zaczęła się głośno domagać uwolnienia z krzeselka.

– Poszukaj sobie innego ginekologa – zakomunikowała zimno Julia i się rozłączyła.

– Nie spodziewałam się zrozumienia, ale żeby aż tak? Zrobiło mi się przykro.

– Widzisz, córciu, ile zamieszania wprowadziłaś w życie innych?

Pod wieczór z odrazą wyciągnęłam z szafy garderobianej wielki wór z kostiumami i białymi bluzkami. Na szczęście ich nie oddałam. Po wędrówce do apartamentowca wróciły wraz ze mną do starego mieszkania. Nagle usłyszałam dźwięk komórki. Odebrałam.

– Przegięłam pałę. Przepraszam – usłyszałam pełen skruchy głos Juli. – Czy pozwolisz mi od czasu do czasu zająć się Polą?

– Załatwione – odpowiedziałam z ulgą.

– A z tym ginekologiem to ściema. Już moja w tym głowa, by maluszek urodził się zdrowy.

– Dzięki, Jula.

Przed snem z ciężkim sercem podeszłam do komputera. Wiedziałam, że wielu ludzi czeka na moją pomoc. Są bezradni wobec bezkarnych banków, takich jak Elitumlux. Nie śpią po nocach. Zostali sami na polu walki. Ale nie mogłam kontynuować mojej charytatywnej działalności. Rozczuliłam się, wspominając stare, dobre czasy, które nie powrócą. Dziesiątki listów z podziękowaniami dawały mi poczucie spełnienia. Ale wtedy miałam Marcela i nie musiałam walczyć o byt. Przyczyniałam się do małych cudów, ale niestety – aniołem na ziemi się nie jest, aniołem na ziemi się bywa.

Otworzyłam pocztę. Dwadzieścia dziewięć nowych wiadomości wabiło, by je przeczytać, by wejść w świat cudzych problemów. Ale dałam sobie spokój. Utworzyłam ogólną wiadomość: „Przepraszam, lecz ze względów osobistych musiałam podjąć bardzo trudną i przykrą dla mnie decyzję o zaprzestaniu udzielania bezpłatnych porad finansowych. Proszę o zrozumienie. Proponuję powierzyć sprawę radcy prawnemu. Udzieli profesjonalnej porady. Z całego serca życzę powodzenia, Wojciech Łukowicz”. Tak, nigdy nie ujawniłam prawdziwej tożsamości, wolałam być anonimowa. Wysłałam wiadomość do wszystkich osób z listy kontaktów.

Potem usunęłam pocztę i stronę internetową, starając się zatrzeć po sobie wszelkie ślady. Operacja zakończyła się sukcesem, gdy na ekranie zobaczyłam komunikat: „Strona o podanym adresie nie istnieje”. Tak, nie istnieje. Tak samo jak nie istnieje moje dotychczasowe życie. Czas zmierzyć się z tym prawdziwym.

Było już koło północy, gdy poszłam się położyć. Tuż obok mojego łóżka stało łóżeczko Poli. Spała spokojnie, ułożona na boku.

– Kolorowych snów, córeczko – szepnęłam. – Jesteś w dobrych rękach.

O szóstej usłyszałam makabrycznie brzęczący budzik. Spocona zerwałam się na równe nogi. Czułam się jak w pierwszy dzień po długim, przyjemnym urlopie, kiedy muszę wrócić do codziennej udręki. Gdy dotarła do mnie świadomość, co mnie czeka, zawartość żołądka podeszła mi pod samo gardło. Pobiegnęłam do łazienki.

Dwie godziny później zasiadłam tutaj, w gabinecie dyrektora oddziału Elitumluxu. Minął rok. Historia zatoczyła krąg.

Sięgnęłam po telefon. Zanim przeanalizuję wyniki za czas mojej nieobecności, muszę się upewnić, czy z Polą wszystko w porządku. Zostawiłam ją w domu pod opieką niani – ciotki Karoli, emerytowanej instruktorki fitnessu,

papieroplastyki i kreatywnych metod wyrażania emocji. Nie organizowałam castingów, nie przeprowadzałam selekcji, nie miałam na to czasu. Nie oczekiwałam spokojnej, opanowanej babci, bo Pola by ją zamęczyła. Potrzebowałam kogoś dynamicznego i młodego duchem. Karola zapewniła mnie, że jej ciotka pod tym względem jest idealna. Odebrała prawie natychmiast.

– Ależ ona energiczna! To taki bączek, przez minutę nie może usiedzieć na miejscu. Daje bardziej w kość niż cała grupa – stwierdziła kobieta, łapiąc oddech. – Ale proszę się nie martwić, wszystko pod kontrolą – dodała uspokajająco. – Aktualnie ćwiczymy wymachy nóg do tyłu. Zapewniam panią, że tej nocy nie będzie miała problemów z zaśnięciem.

Sięgnęłam po torebkę i wyciągnęłam plik z wynikami badań wykluczającymi ojcostwo Marcela. Nie miałam ochoty oglądać ich po raz setny. Jednym zdecydowanym ruchem wsunęłam je do niszczarki. Bez żalu patrzyłam, jak zmieniają się w cienkie, niemożliwe do posklejania i odczytania paski.

Potem wstałam, podeszłam do okna i spojrzałam na pasaż. Było za wcześnie, by wśród szarego, pędzącego w różnych kierunkach tłumu wyłapać jakąś żonę biznesmena. O tej porze seksowne, urodziwe i znudzone żony swoich mężów jeszcze śpią. Wstaną przed południem, wypiją kawę, a potem pobujają się od jednego salonu urody do drugiego. Niektórym na pewno się upiecze, dożyją w tym letargu sędziwego wieku przy boku kochającego męża zarabiającego krocie i umrą, nie mając pojęcia o prawdziwym życiu. Ale część z nich zbudzi się pewnego dnia z ręką w nocniku. Bo mąż znajdzie sobie młodszego model, a na zdobycie doświadczenia zawodowego będzie już za późno. Niektóre z nich z dnia na dzień zostaną wdowami – bez lokat, kont i polis, za to z zalegającymi fakturami, pismami od windykatorów, komorników i wszelkiej maści wierzycieli. Ech, nigdy nie wiadomo, co nas czeka.

Odwróciłam się i ogarnęłam wzrokiem gabinet. W zasadzie nic się nie zmieniło, tak jakbym była tu wczoraj. Tylko te kwiaty na biurku. Rano przed drzwiami gabinetu czekała na mnie sekretarka – z wielkim bukietem irysów. Obok stała pani Zofia. Gdy tylko je ujrzałam, przypomniało mi się, jak szalały w pubie, fetując moje odejście z pracy.

– W imieniu wszystkich pracowników zapewniamy, że jesteśmy uszczęśliwieni pani powrotem – zaczęła pani Zofia przez zaciśnięte szczęki, za to z fałszywym uśmiechem, patrząc mi prosto w oczy. – Chcemy przy pani pomocy i dzięki pani radom poprawić wyniki sprzedażowe...

Przemowa była długa i landrynkowa, ale dzielnie wytrwałam do końca. Staralam się nie pamiętać o zarysowanym aucie i ich pijackiej balandze. Przyjęłam kwiaty, które sekretarka zaraz pieczołowicie włożyła do wazonu, poprawiła kilka wymykających się ozdób i postawiła centralnie na moim biurku. Potem przeszłam się po oddziale, witając każdego z osobna. Spuszczali wzrok, przygryzali wargi,

nerwowo mrugali. Już mi was żal, pomyślałam. I siebie również. Ale jesteśmy istotami z krwi i kości i musimy walczyć o przetrwanie w tej dżungli.

Obok dwóch ramek ustawiłam trzecią – to zdjęcie Jula zrobiła w swoim gabinecie. Mój maluszek na razie przypomina dwucentymetrową fasolkę z bijącym serduszkim i formującymi się paluszkami.

– Za kilka tygodni dowiemy się, czy to synek, czy córeczka. – Jula, zafascynowana, wpatrywała się w monitor USG.

– A raczej Marcel czy Marcelina – skomentowałam. – W tym przypadku ojcostwo mojego zmarłego męża jest bezsporne. Wprawdzie wolałabym Wiktora albo Wiktorię, ale niech mu będzie. – Wytarłam ligniną żel z brzucha. – Jula, a co z tobą? – Wiedziałam, że mimo wszystko prowadzenie mojej ciąży jest dla niej trudne.

– Próbuję czegoś nowego. – Podniosła na mnie wzrok. – Zaaplikowałam sobie zastrzyk stymulujący moje jajniki do wydzielania większej ilości hormonu luteinizującego. Może tym razem się uda.

Chciałabym ją zapewnić, że się uda, ale to byłoby nieuczciwe.

– Jula – chwyciłam ją za rękę – mamy dopiero trzydzieści dwa lata. Jeżeli nie to, to na pewno coś innego poskutkuje. Głowa do góry!

Ocknęłam się ze wspomnień, bo sekretarka położyła mi na biurku przesyłkę z biura dyrektora regionu. Poinformowała, że kurier czeka w sekretariacie na dokumenty zwrotne, i wycofała się. Zwykła tekturowa koperta z logo spedytora wyglądała niepozornie. Rozerwałam ją, zaintrygowana nie tyle zawartością, co rzędem cyfr wpisanym w rubryce „wynagrodzenie”. Kamil dotrzymał słowa. Kwota na umowie na czas nieokreślony z dużym hakiem przekraczała dwukrotność mojej poprzedniej pensji. Dodatkowo premia uzależniona od wyników oddziału. W prawym górnym rogu przyklejona była żółta karteczka zapisana odręcznym, koślawym, doskonale mi znanym charakterem pisma: „Witaj na pokładzie, Blanka. Nie muszę Ci chyba przypominać, że priorytetem są dla nas wyniki sprzedażowe. Jeżeli trzeba będzie, to wykurz połowę tej zgrai, Kamil”.

Ukryłam twarz w dłoniach. Powinna się cieszyć z lukratywnej posady, ale nagle zrobiło mi się duszno i powróciła na długo zapomniana zgaga. Wprawdzie nie zabraknie mi na czynsz i media, na opiekunkę, pieluchy, odżywki, szampony, a nawet zbytki, choć pozwalanie sobie na nie nie leżało w mojej naturze. Za dwa, trzy miesiące zdołam zaoszczędzić na opłacenie zaliczki dla windykatorów z Petersburga, którzy sobie tylko znanymi metodami sięgną po to, co wypracował mój mąż i co być może nawet przyplacił życiem. Jeżeli im się uda, to rzucę to wszystko w cholerę.

Sięgnęłam po długopis i szybko zaparafowałam oba egzemplarze – mój cyrograf z diabłem.

Dochodziła dziesiąta. Najwyższy czas rozpocząć farsę. Zacznę mydlić oczy

pracownikom – ich kompetencje znaczą dla firmy tak wiele, wszak tworzą ją oni, a nie biurowce... Czas jednak zakończyć roczny płatny urlop i zabrać się za sprzedaż produktów. Bank nie jest instytucją charytatywną.

Wcześniej jednak zalogowałam się do programu z wynikami sprzedażowymi pracowników i prześledziłam je, poczynając od miesiąca po moim odejściu. Każda rubryka z liczbą punktów od góry na dół aż pulsowała na czerwono, czyli poniżej standardów – wiadomo, zawyżonych przez zarząd, ale żeby aż tak? Szok! W zasadzie wszyscy byli na czarnej liście i kwalifikowali się do odstrzału. Odnieśli niebywały sukces. Udało im się pobić rekord sprzedażowego marazmu.

– Boże, przebacz... – szepnęłam i przywołałam na twarz twardą dyrektorską maskę.

Potem zawołałam sekretarkę. Podałam jej zaklejoną kopertę z kopią mojej umowy o pracę, by przekazała ją kurierowi.

– Czy jeszcze w czymś mogę pomóc? – zapytała. – Może kawy?

– Nie – ucięłam. – Nie ma na to czasu. Chcę dziś porozmawiać z każdym pracownikiem tego oddziału. Proszę zapraszać ich do mnie po kolei.

Spis treści

1 2 3 4 5